



**KSZTAŁT
CIEMNOŚCI**

Jacek Kalinowski

Prószyński i S-ka



Jacek Kalinowski (1964) – z wykształcenia anestezyjolog, doktor nauk medycznych, od lat zajmuje się marketingiem farmaceutycznym. Miłośnik historii i dojrzałych win, pasjonuje się ornitologią i podróżami. Mieszka pod Warszawą. Jego książkowy debiut otwiera cykl powieści o inspektorze Hagenie.

W krwawym satanistycznym obrzędzie, wśród tajemniczych symboli, zostaje brutalnie zamordowany młody biskup diecezji lubelskiej, wykładowca KUL-u. Podinspektor Hagen z Komendy Głównej Policji, właśnie w atmosferze skandalu odwołany z misji w Brukseli, ma pomóc ująć sprawców. Na miejsce przybywa również jezuita, ojciec Scarpi, specjalny wysłannik papieża. Wśród narastającej hysterii mediów Hagen podąża śladem mordercy przez salony Pałacu Biskupiego, cmentarze, kościoły i mroczne zaułki lubelskiej starówki. Tropy wikłają się, krąg podejrzanych rośnie, a groźba kolejnych zbrodni zapowiedzianych przez nieuchwytnego zabójcę staje się coraz bardziej realna.

Patronat medialny



Cena 34 zł

ISBN 978-83-7469-773-6



9 788374 697736

www.proszynski.pl

KSZTAŁT CIEMNOŚCI

Jacek Kalinowski

Prószyński i S-ka

Copyright © Jacek Kalinowski, 2008

Projekt okładki

Anna Kłos

Izabella Marcinkowska

www.zielonykot.com

Zdjęcie na okładce

Photonica/Getty Images/Flash Press Media

Redakcja

Katarzyna Pawłowska

Korekta

Bronisława Dziejic-Wesołowska

Redakcja techniczna Elżbieta Urbańska

Łamanie Małgorzata Wnuk

ISBN 978-83-7469-773-6 Warszawa 2008

Wydawca

Prószyński i S-ka SA

ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

ABEDIK S.A.

ul. Ługańska 1, 61-311 Poznań

- To nie ja wystąpiłem do komendy głównej o wsparcie, inspektorze. Jestem pewien, że możemy poradzić sobie z tą sprawą własnymi siłami. Przyznaję, że jest jedyna w swoim rodzaju, wymaga wyjątkowej dyskrecji, taktu i tak dalej, ale nie ma żadnego powodu, by uważać, że któreś z tych cech brakuje naszym ludziom. Proszę zauważyć, że do sprawy przydzieliłem ogromny zespół, a na razie nic jeszcze nie przedostało się do gazet.

Podinspektor Hagen patrzył na siwiejącego mężczyznę o okrągłej, opalonej twarzy, zaczerwienionej teraz pod wpływem silnego wzburzenia, który po raz kolejny poderwał się zza biurka i chodził po pokoju, wzmacniając efekt wypowiedzianych słów zamaszystymi gestami.

Komendant lubelskiej policji przystanął, rozluźnił krawat i oparł się o biurko.

- Wiem, że to episkopat zwrócił się do was o pomoc. Wszyscy chcą być informowani z pierwszej ręki o tym, co się dzieje, to jasne. Proszę jednak zrozumieć moje położenie, na odległość pachnie mi to wotum nieufności.

- Myślę, że powinien pan na to spojrzeć bardziej jak na polisę ubezpieczeniową, panie komendancie. Nie zaniedbał pan niczego, zaprosił do współpracy kolegów z Głównej, cóż więcej

można było zrobić? A mówiąc poważnie, również nuncjusz apostolski wystąpił do ministra spraw wewnętrznych o włączenie nas w dochodzenie. Nie było innego wyjścia. To nie jest kwestia zaufania czy braku zaufania, to jest polityka.

- Polityka. Polityki to ja mam potąd, inspektorze. Co dwa lata są jakieś wybory i potem każdy robi swoją politykę, a my zawsze dostajemy w dupę. Ilu komendantów wojewódzkich wymieniono po wyborach? A w powiecie? Jak mamy prowadzić w terenie jakąś sensowną pracę, kiedy każdy tylko czeka, aż go wykopią ze stanowiska? Tak to wygląda, niestety.

Komendant usiadł za biurkiem i wrócił do przeglądania papierów.

- A więc wrócił pan niedawno z Brukseli, z biura łącznikowego Europolu i od razu w takie szambo... Czyżby nadinspektor chciał się pana pozbyć z Warszawy?

- Nadinspektor ma do mnie pełne zaufanie i pokłada wielkie nadzieje we współpracy z komendą wojewódzką. Tak powiedział, kiedy się żegnaliśmy.

- Zapewne, zapewne... Co to dokładnie znaczy „specjalny emisariusz Jego Świątobliwości”? - Komendant spojrzął znad rozłożonych papierów.

- Nie jestem pewny. Nuncjusz uprzedził nas, że przybędzie z Rzymu. Podobno papież jest osobiście zainteresowany postępowaniem śledztwa i to będzie pewnie jego ucho i oko. Zwrócone na nas i na kurie.

- Tego nam właśnie trzeba, żeby jeszcze Watykan wtrącał swoje trzy grosze do naszego śledztwa. Brakuje tu już tylko prezydenta Stanów Zjednoczonych. - Komendant podniósł

słuchawkę telefonu. - Zaraz pozna pan prowadzącego tę sprawę nadkomisarza Hołownię. To bardzo dobry policjant, inspektorze. Skuteczny.

Hołownia był potężnym mężczyzną koło czterdziestki, wyższym od Hagena prawie o głowę. Jego masywne ciało rozpięrało ciemnoszary garnitur, kupowany wyraźnie na poprzednią, szczuplejszą wersję nadkomisarza. Ciemne włosy z równym przedziałkiem, opadały na szerokie czoło, w cieniu grubych brwi kryły się małe niebieskie oczy, bystro wpatrujące się w gościa.

- Podinspektor Hagen z komendy głównej z Warszawy - przedstawił Hagenowi komendant.

Hołownia potężnie uściśnął mu prawicę.

- Niech pan wprowadzi pana podinspektora w szczegóły tej nieszczęsnej sprawy. - Komendant gestem zaprosił ich, by usiedli.

- Ogólną sytuację pan zna, inspektorze - zaczął Hołownia, wyjmując z teczki papiery i układając je na stole przed nimi - ale dla porządku: ósmego października, czyli dwa dni temu, zgłoszono nam zaginięcie księdza Rafała Wygnowskiego, biskupa pomocniczego archidiecezji lubelskiej, profesora kontraktowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zaginiony, lat czterdzieści sześć, niekarany, bez znaków szczególnych, nie pojawił się poprzedniego dnia na porannej mszy w kościele akademickim, następnie nie było go na wykładach, a potem w kurii. Nie odbierał telefonu, nie odpowiadał na SMS-y. Taka absencja nie zdarzyła mu się nigdy wcześniej. Sekretarz kurii wysłany do mieszkania biskupa stwierdził, że go tam nie ma oraz że najprawdopodobniej nie spał w domu również poprzedniej nocy. Skontaktowano się z matką i siostrą mieszkającymi w... - Hołownia zajrzał do notatek - Zamościu, ale te

widziały się z nim miesiąc wcześniej, a rozmawiały w poprzednim tygodniu. Potwierdziły, że nie planował żadnych wyjazdów. Kiedy nie pojawił się do rana, o ósmej piętnaście złożono doniesienie o zaginięciu. Zgłoszenie przyjął oficer dyżurny i rozpoczęto standardową procedurę. Nie poczyniono praktycznie żadnych nowych ustaleń, poza zebraniem informacji z kuryli, kiedy sytuacja zmieniła się diametralnie...

Komisarz wyjął następny dokument i rzuciwszy na niego okiem, podsunął go Hagenowi.

- Wczoraj rano na posterunek w Wólce Kozłowieckiej przyjechał rowerem niejaki Olejnik Mieczysław, rolnik, z synem i zgłosił znalezienie zwłok. Dzieci zamiast pójść do szkoły, wybrały się do stojącej samotnie pod lasem dawnej gajówki, niezamieszkannej od wielu lat, gdzie jak się zdaje, zaszywały się dosyć regularnie. Tam stwierdziły obecność ciała. Pobiegły do rodziców, a Olejnik był pierwszy, który przyjechał na posterunek. Taak... - Hołownia przerzucił chwilę papiery. - To jest dokumentacja miejsca zbrodni, zabezpieczonego przez posterunek do naszego przybycia. Proszę.

Z dużej brązowej koperty wyjął plik kolorowych zdjęć i wręczył je Hagenowi.

- Na miejscu zastaliśmy zwłoki mężczyzny około czterdziesto-, pięćdziesięcioletniego, który zginął najprawdopodobniej od wielu ciosów nożem, ale to dokładnie wyjaśni sekcja. Denat był nagi, przywiązany do krzesła grubym nylonowym sznurem do bielizny. Na piersiach i na czole miał wyciętą gwiazdę pięcioramienną wpisaną w okrąg. Taki sam niewyraźny znak namalowany był, najprawdopodobniej krwią denata, na ścianie naprzeciwko i kredą na podłodze wokół krzesła, ale czy to rzeczywiście jest krew, to jeszcze będzie musiało

potwierdzić laboratorium. Zwłoki spoczywały tam już od pewnego czasu, bo zdążyły się do nich dobrać jakieś zwierzęta. Nie był to ładny widok. - Wskazał na zdjęcia, które Hagen powoli przekładał, chowając górne na spód trzymanej w ręku talii.

W zimnym świetle policyjnego flesza widać na nich było odrapany, zniszczony pokój z siedzącym na środku człowiekiem. Jego ręce były skrępowane z tyłu, łydki przywiązane do nóg krzesła. Silnie zaciągnięte więzy wpijały się głęboko w ciało, co można było obejrzeć na zbliżeniach. Zdjęcia twarzy ukazywały puste, skrwawione oczodoły, pewnie ślady zwierząt, o których wspomniał komisarz. Tłumiąc obrzydzenie, Hagen przyjrzał się pentagramowi wydrapanemu czymś ostrym na czole ofiary. Taki sam wycięty był na jej piersiach, namazany na ścianie, na podłodze. Pod ścianami stało kilkanaście świec, w większości całkowicie wypalonych, inne stały lub leżały na podłodze wokół krzesła.

- Mamy też zapis wideo, jeżeli chciałby się pan zapoznać. - Hołownia położył na stole kasetę.

- Chętnie. - Hagen skinął głową. Otwierała się przed nim perspektywa wieczoru wypełnionego obrazami z miejsca zbrodni.

- Pies podjął ślad, ale doprowadził nas tylko do starej studni z tyłu domu, skąd wydobyliśmy ubranie, najprawdopodobniej należące do ofiary, w tym dokumenty na nazwisko Wygnowski, karty kredytowe i dwa telefony komórkowe. Nie było kluczy do domu ani do samochodu. Koszula była typowa dla księży, taka z koloratką. - Komisarz wykonał nieokreślony gest wokół szyi i opuścił rękę.

- A ten napis? - Hagen wskazał na zdjęcie brudnej ściany z niezgrabnie nakreślonymi brązowymi literami.

- Też pewnie zrobiony przez mordercę. - Hołownia upił łyk herbaty. - Tak jak wszystkie te malunki.

- *Mane tekel fareg* albo *może fareq...* - odcyfrował Hagen i przez chwilę przyglądał się zdjęciu w milczeniu. - Nie powinno być *fares? Mane tekel fares?*

Hołownia i komendant spojrzeli na siebie.

- Być może, być może... - mruknął komendant.

- Czy rodzina już rozpoznała ciało? - Hagen odłożył zdjęcia na stół.

- Jeszcze nie. Przyjadą dzisiaj, ale widział je już sekretarz kurii i rozpoznał biskupa Wygnowskiego.

- A zatem nie ma już praktycznie żadnych wątpliwości?

- Nie ma. Wygląda na to, że w tej zapadłej dziurze popełniono rytualny mord na biskupie, profesorze KUL-u. Teraz my, jako prowadzący to śledztwo, jesteśmy wystawieni na strzał z każdej strony.

Hagen ich rozumiał. Sprawa, która ustawi policję lubelską w świetle jupiterów, nie była im do niczego potrzebna.

- Jakie kierunki śledztwa założyliście panowie do tej pory?

Hołownia popatrzył na komendanta, jakby szukał u niego rady.

- Powołaliśmy zespół. Teraz pan również wchodzi w jego skład - powiedział komendant. - Na czele zespołu stoi pan nadkomisarz. W tych papierach jest lista nazwisk. W razie potrzeby będziemy rozszerzać grupę o nowe osoby. Jeśli chodzi o aktualne założenia, to może pan, komisarzu...

Hołownia potarł podbródek palcami prawej ręki. Widać było, że nie ma tej sprawy jeszcze ułożonej w głowie, że ciągle obraca ją na nowo w myślach.

- Założenia wstępne są następujące: po pierwsze, trzeba wziąć pod uwagę oczywisty fakt morderstwa rytualnego, satanistycznego, ofiary lub czegoś w tym rodzaju. Zaczęliśmy przeczesywać środowisko sekt, wyznawców rozmaitych kultów, gromadzimy informacje. Zwróciliśmy się o pomoc do ośrodka walki z sektami prowadzonego przez ojców dominikanów, liczymy na pomoc kurii, być może również Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Koledzy od przestępczości nieletnich i z obyczajówki również próbują uruchomić swoje kontakty... Szczerze powiedziawszy, nigdy nie słyszałem o takiej zbrodni, ale to też sprawdzamy, jesteśmy w kontakcie z archiwum w Warszawie.

- Przeszukamy też bazy danych Europolu - wtrącił Hagen.

Hołownia skinął głową. .

- A zatem wersja pierwsza, morderca, lub mordercy, wyznawcy kultu uprowadzają lub zwabiają Wygnowskiego na miejsce zbrodni, a następnie dokonują na nim rytualnego mordy i stąd te świece, pentagramy i napisy. Druga wersja mówi, że wszystkie te diabelskie malunki to dzieło szaleńca, osoby, która być może otarła się już o leczenie psychiatryczne, i to też sprawdzamy. Przygotowujemy się do rozmów z psychiatrami, poprosiliśmy o wyrażenie opinii biegłych. Kolejna wersja zakłada, że biskup został zamordowany z powodów niezwiązanych w żaden sposób z kultem szatana, a ten sztafaż służy tylko odwróceniu uwagi i zmyleniu śladów. Wskazówek szukać trzeba będzie w przeszłości i w otoczeniu ofiary. Ta wersja czeka właściwie na swoje rozpoczęcie. Mam nadzieję, że zainaugurujemy ją razem wizytą w kurii. Czeka nas rozmowa z arcybiskupem Gościmskim. I na koniec, jest też możliwe, że to atak na

Kościół, a osoba biskupa jest ważna tylko w aspekcie jego funkcji kapłańskiej. Byłaby to wersja polityczna i gdybyśmy mieli się ku niej skłaniać, trzeba będzie wprowadzić na scenę Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

- Sądzę, że również rozpatrując wersję o sekcie, musimy zasięgnąć ich opinii - powiedział Hagen.

- Niełatwo jest wydobyć informacje z ABW – odparł ostrożnie Hołownia.

- Może mi się uda.

Hołownia, najwidoczniej nieprzekonany, z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Zaczniemy od odtworzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin życia ofiary, minuta po minucie. Zbadamy każdy trop, sprawdzimy każdy pyłek. Złapiemy tego skurwysyna, choćby się schował u samego Belzebuba - oświadczył komendant. - Nie zabija się, ot tak sobie, biskupów w moim mieście.

Po chwili szli już długim, słabo oświetlonym korytarzem.

- Gdzie pan się zatrzymał, inspektorze? - zapytał nadkomisarz, gdy skręcali na klatkę schodową.

- Nigdzie, szczerze powiedziawszy. Przyjechałem prosto do komendy, nie znam miasta.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to poleciłbym pewną stancję, która jest oficjalnie zatwierdzona przez księgowość. Właścicielka jest wdową po jednym z poprzednich komendantów wojewódzkich. Bardzo miła kobieta, świetnie gotuje.

- Skoro świetnie gotuje, to jestem bardzo zainteresowany.

- Zapewniam, że to znacznie lepsze niż hotel garnizonowy.

Centrum dowodzenia, obejmujące kilka pokoi i dużą salę odpraw, zorganizowane było piętro wyżej niż gabinet komendanta. Technicy podciągali jeszcze dodatkowe linie telefoniczne, młody człowiek pisał coś na dwóch klawiaturach naraz. Wśród kartonowych pudeł kręciło się kilka osób pod nadzorem mężczyzny w czerwonym swetrze rozstawiających komputery, ktoś rozmawiał przez telefon.

- Dzisiaj uporamy się ze wszystkimi sprawami technicznymi. Po podaniu informacji przez media zacząną dzwonić świadkowie, będziemy więc potrzebować więcej linii niż normalnie. W pokoju obok instalują miejsca dla pięciu telefonierek i dodatkowy sprzęt nagrywający, a tu będzie nasz gabinet. - Hołownia wskazał drzwi z naklejonym numerem 27. - Z powodu braku miejsca będziemy dzielić tę celę. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

- Skąd. - Hagen spojrział na dwa biurka połączone długim bokiem na środku pokoju. - Będę potrzebował dostępu do sieci wewnętrznej i wyjścia na zewnątrz do Internetu, mam swój laptop, nie potrzebuję komputera.

- Oczywiście.

Komisarz zawołał człowieka w czerwonym swetrze i szybko ustalili wszystkie szczegóły.

- Komputery, telefony, wszystko prosto z kartonów, a wciąż czyta się, że brakuje nam benzyny do radiowozów. - Hagen pokręcił głową.

- Bo brakuje. Ten sprzęt dostaliśmy dzisiaj od wojewody, który jest w wyśmienitych stosunkach z arcybiskupem. Nawet nie zdążyliśmy porządnie poprosić. Ale to tylko dobrze świadczy o jego zmyśle politycznym. Jaką tu mieliśmy ostatnio naprawdę sensacyjną sprawę? Gdy na starówce jakaś kobieta po pijanemu zadźgała nożem swojego konkubenta? Włamanie do supermarketu? Jeśli kiedykolwiek pomagać policji, to teraz.

- Co pan planuje dla mnie na tak pięknie rozpoczęty dzień?

Hołownia spojrział na zegarek.

- Na piętnastą zwołaliśmy wspólnie z kurią konferencję prasową. Do tego czasu powinny być już wstępne wyniki sekcji, otrzymamy też już może pierwsze dane laboratoryjne. Dzisiaj także, jak sądzę, należałoby odbyć kurtuazyjną wizytę w prokuraturze. Pani prokurator źle znosi wszelkie uchybienia formalno-grzecznościowe. Od czego chciałby pan zacząć?

- Od prokuratury. - Hagen podrapał się w głowę i spojrział na komisarza. - To pańskie śledztwo, ja zapewniam tylko łączność z centralą i ewentualnie służę pomocą swoim doświadczeniem.

Hołownia wzruszył lekko ramionami, jakby mówiąc: „gadaj zdrów”.

- A więc prokuratura, potem miejsce zbrodni, zakład medycyny sądowej i kuria lub, jeżeli czas nie pozwoli, to najpierw konferencja prasowa, a potem kuria.

Hagen w milczeniu skinął głową. Zapowiadał się długi dzień. Zapowiadał się długi tydzień i diabli wiedzą, co jeszcze.

Budynek lubelskiej prokuratury mieścił się niedaleko komendy. Po drodze komisarz wprowadzał Hageną w niuanse lokalnych układów.

- Sprawę przydzielono prokurator Tarnawskiej. Pani prokurator znana jest z... hm - Hołownia zawahał się na chwilę - ...ostrego charakteru.

- Jęcza?

- Nawet nie to. Raczej, powiedziałbym, nasilona potrzeba bycia traktowaną nadzwyczaj poważnie i w sposób profesjonalny.

- Większość ludzi na to cierpi.

- Niektórzy bardziej, zobaczy pan.

Kiedy weszli do pokoju prokuratorów, zza biurka podniosła się filigranowa blondyneczka o delikatnych, regularnych rysach lalki. Nie mogła mieć więcej niż 150 cm wzrostu i była doskonale proporcjonalna. Kiedy wyszła zza biurka, zauważył, że należy odjąć następane sześć centymetrów na obcasy.

Hołownia przedstawił ich sobie, spoglądając niespokojnie to na Hagena, to na drobną panią prokurator.

- A więc sam sławny inspektor Hagen z Europolu do nas zawitał. - Prokurator Tarnawska przebiegła spojrzeniem po jego garniturze od Armaniego. Ironia w jej głosie musiała być czytelna dla wszystkich. - Witamy na naszej nudnej prowincji.

Hagen ujął delikatną dłoń o szczupłych palcach. Jej uścisk był nieoczekiwanie silny, męski. Zajrzał głęboko w chabrowe oczy, jakby namalowane na porcelanie, i przypominając sobie, co mówił Hołownia, przygryzł język, by powstrzymać cisnącą mu się na usta złośliwą ripostę. Zamiast tego przybrał najbardziej służbowy ton, na jaki było go stać tej jesieni.

- Stoimy przed prawdziwym wyzwaniem, pani prokurator. Cały zespół dochodzeniowy. Ta potworna zbrodnia musi zostać wyjaśniona, a sprawcy zatrzymani jak najszybciej. Ze swej strony liczę na dobrą, profesjonalną współpracę z prokuraturą.

- Może pan na nas liczyć, inspektorze. Może pan na nas liczyć... - odparła i wycofała się za biurko.

Reszta rozmowy upłynęła w idealnie formalnej atmosferze.

- Cieszę się, że znalazł pan właściwe słowa - powiedział Hołownia, kiedy wrócili i zatrzymali się na schodach przed budynkiem komendy.

Lekki kapuśniaczek zacinał im na buty, mimo że stali pod dużym balkonem wiszącym nad wejściem na kanciastych, betonowych słupkach. Hagen oparł się o ścianę i patrzył w zamyśleniu przed siebie. Ołowiane chmury leniwie przewalały się nad dachami domów. Miał wrażenie, że za chwilę osiadą na nich w śmiertelnym znużeniu i zawałą je ludziom na głowy.

- Moja sława mnie wyprzedziła - powiedział z przekąsem. - Tak to jest, kiedy człowiek rozwiedzie się z prokuratorem z krajowej. Wszystkie koleżanki mają mnie na celowniku.

- Aha. - Pauza. - Ja nic nie słyszałem. - Nadkomisarz zapalił papierosa.

- Mniejsza z tym. - Hagen wyjął z teczki listę nazwisk ludzi przydzielonych do sprawy i chwilę się jej przyglądał.

- Czy policyjny psycholog był już na miejscu zbrodni?

- Nie. - Hołownia zaciągnął się głęboko i wypuścił wielki kłęb dymu. - Ściągnęliśmy ją ze zwolnienia - jakaś depresja czy coś takiego. Dzisiaj właśnie jest jej pierwszy dzień.

- Dobrze, chętnie zabiorę ją ze sobą. To graffiti potrzebuje fachowego oka.

Pani psycholog była wysoką, szczupłą kobietą koło czterdziestki. Jej wąska twarz o regularnych, ostrych rysach pozbawiona była jakichkolwiek śladów makijażu.

- Anna Zawistowska - powiedziała, wyciągając rękę.

Samochód, którym jechali, dożywał emerytury i hałas w środku uniemożliwiał normalną rozmowę. Po kilku próbach przekrzywienia silnika umilkli i każdy pogрузzył się we własnych myślach. Hagen patrzył na nasiąknięty wodą krajobraz i rozważał to, co powiedział Hołownia i co sam przeczytał w

dokumentacji. Wersje dotyczące satanistów i wariatów zależały od szczęścia operacyjnego. Ktoś, gdzieś natrafi być może na jakiś fakt, ślad lub osobę. Ktoś inny skojarzy to z innym faktem, plotką, wspomnieniem. Powstanie poszlaka. Być może po konferencji prasowej odezwie się świadek, który widział, słyszał lub wie cokolwiek, co pozwoliłoby im ukierunkować postępowanie. Jeśli to jednak szaleniec i jeśli dobrze się kamufluje, to dowiemy się o nim czegoś nowego, dopiero kiedy uderzy po raz drugi. Jego myśli pobiegły nagle w innym kierunku i zobaczył przed sobą blond włosy pani prokurator, którym przyglądał się w czasie rozmowy. Swoją drogą, świat jest mały, cholernie mały. Skoro w Lublinie, w prokuraturze apelacyjnej, wiedzą o jego rodzinnych problemach w Warszawie, to być może ktoś będzie znał przebieg zdarzeń rozgrywających się tuż za miedzą. Lublin to nie Nowy Jork, tu ludzie powinni wiedzieć o sobie dużo, być może więcej, niż morderca lub mordercy przypuszczają.

Samochód skręcił z szosy rzeszowskiej w wąską asfaltową drogę, zaslaną przedwcześnie w tym roku opadającymi liśćmi. Drogowskaz informował o trzech kilometrach do celu podróży. Po chwili na tle ściany lasu zamajaczyły pierwsze bryły zabudowań, które wyglądały z daleka jak szare bloki gazobetonu wrzucone w błoto. Nie dojeżdżając do pierwszego gospodarstwa, skręcili w drogę gruntową, a kierowca krzyknął do nich:

- To tutaj!

Samochód wjechał w las. Kołysząc się na wybojach, pokonał kilkaset metrów między drzewami i znowu wyjechał na odkryty teren. Tu w załamaniu linii drzew, na skraju pola otoczonego ze wszystkich stron sosnami, stał mały drewniany dom.

Kiedy podjeżdżali, Hagen zdążył zauważyć pozostałości budynków gospodarczych, prawie całkowicie pochłoniętych już przez czas. Obejście otaczały resztki drewnianego płotu. Sztachety, czarne i przegniłe, pokrywał zielonkawy nalot mchów. Przed domem stały dwa wozy policyjne i duża półciężarówka należąca do laboratorium kryminalistycznego. Teren ogrodzony był żółtymi taśmami z napisem „Policja”, a dwóch znudzonych funkcjonariuszy rozmawiało z grupką miejscowych stojących na drodze.

- Pan inspektor z komendy głównej – przedstawił Hagen kierowca i policjanci zaszalutowali.

Krople wody spływały im z hełmów na czarne peleryny przeciwdeszczowe, pod którymi widać było zarysy przewieszonych przez szyję karabinów maszynowych. Wywołany przez kierowcę, w drzwiach pojawił się jakiś człowiek w marynarce i machnął do nich ręką.

- Zapraszam, pani Aniu, bo zmokniecie!

Idąc przez podwórko, Hagen dostrzegł kolejną postać w pelerynie przesuwającą się powoli, kołyszącym krokiem, wzdłuż ściany domu. Dopiero po chwili zorientował się, że to policjant z wykrywaczem metalu sprawdza teren.

Weszli do budynku. Zniszczony dach musiał jednak zachować szczelność, bo w środku było sucho, a zacieki wilgoci widoczne były tylko przy powybijanych oknach. Zawistowska przywitała się z mężczyzną w sztruksowej marynarce, kierownikiem laboratorium kryminalistycznego.

- Doktor Lewicki - przedstawiła go psycholog i Hagen uściśnął jego delikatną, niemal kobiecą dłoń.

- Zebraliśmy już w zasadzie wszystko, co było do zebrania.
- Lewicki wskazał na białe postacie techników z małymi odkurzacami w rękach. - Był tu taki chlew, że oddzielenie ziarna od

plew będzie w zasadzie niemożliwe. Dzieciaki, młodzież, a zapewne i dorośli urzędowali tu od lat. Mamy kilka worków śmieci z budynku i z terenu wokół.

Teraz dopiero Hagen zorientował się, że stoją w idealnie czystym pomieszczeniu.

- Imponujące - powiedział, przypominając sobie bałagan widoczny na zdjęciach. - Można pańskich ludzi zatrudniać do pomocy w domu?

Lewicki uśmiechnął się i poprawił okulary.

- Najpierw musiałby pan zgłosić morderstwo, inspektorze.

- Czy te ślady na ścianie?... Można, doktorze? - Hagen wskazał na pomieszczenie z białymi postaciami krążącymi jak mary senne.

- Proszę. - Lewicki odsunął się - Już można.

- Czy te ślady na ścianach i na podłodze - kontynuował Hagen, kiedy weszli do pokoju - to krew denata?

Lewicki nie odpowiedział od razu, tylko poprosił swoich ludzi o zasłonięcie okien. Zakryli je dużymi brezentowymi płachtami i pokój zatonął w mroku. Pstryknął przełącznik i nagle wokół nich zapłonęły zimnym biało-zielonkawym światłem plamy i wzory pokrywające podłogę i ściany. Patrzyli w milczeniu na doskonale teraz widoczny napis na ścianie, odwrócony pentagram z cyfrą „1” wpisaną w środek, liczne ślady, krople i smugi na podłodze.

- To krew, tak... ale nie wiemy na pewno, czy zabitego. To będę mógł powiedzieć dopiero po przeprowadzeniu analizy, niemniej sądzę, że z dużym prawdopodobieństwem możemy założyć, że to krew ofiary.

Odsłonięto okna i upiorna iluminacja przygasła, a potem znikła.

- Niesamowite - powiedział kierowca, który wszedł za nimi. - Co to było?

- To luminol - odparł Lewicki. - Wchodzi w reakcję z nadtlenkiem wodoru obecnym we krwi i świeci. Gdybyście przyjechali trochę później, już byście tego nie zobaczyli.

Na środku podłogi kredą namalowany był drugi, trochę niezadarny pentagram, niedokończony tam, gdzie policyjnym markerem zaznaczone zostały pozycje nóg krzesła i stóp człowieka. Widoczne na zdjęciach świece były pozbierane, tak jak wszystkie najmniejsze drobiny czegokolwiek, co udało się znaleźć. Sterylne pomieszczenie nie kryło już w sobie tej grozy i dusznej atmosfery śmierci, które pamiętał ze zdjęć. Zostało z nich wyprane przez ludzi w białych fartuchach. Profanum usunęło sacrum sprawnie i bezwzględnie.

- Kiedy, według pana, nastąpił zgon, doktorze?

- O, ja mogę wypowiadać się tylko bardzo ogólnie. Jeżeli chcielibyście wiedzieć o denacie cokolwiek więcej, to proszę raczej pytać patologów, ale z grubsza rzecz ujmując, biorąc pod uwagę temperaturę ciała i temperaturę na zewnątrz, stężenie pośmiertne i tak dalej, sądzę, że śmierć nastąpiła trzydzieści sześć do sześćdziesięciu godzin przed odkryciem zwłok.

Można więc założyć, że Wygnowski zginął tej nocy, kiedy, jak twierdzi gospodyni, nie wrócił do domu, pomyślał Hagen.

- Czy udało się znaleźć jakieś ślady na zewnątrz? Przecież musieli go tu jakoś dostarczyć.

- Niestety - Lewicki zdjął okulary i przecierał je chusteczką - cały czas padał deszcz, momentami ulewny, poza tym dzieci, a potem tutejsi policjanci zdeptali ślady na podwórku. Co gorsza, większość terenu porośnięta jest zbitym kożuchem

chwastów. Musieliby przejechać czołgiem, żeby coś się w nim odcisnęło. Droga jeżdżą ciągniki z kartoflami i z burakami, tak więc... - Wymownym ruchem rozłożył ręce, a następnie obejrzał szkła pod światło i włożył z powrotem na nos. - Nie mamy też jeszcze narzędzia zbrodni - dodał, uprzedzając następne pytanie.

Zadzwonił telefon Hagena i przenikliwy dźwięk pobudki kawaleryjskiej rozbrzmiewał przez chwilę w półmroku.

- Przepraszam - powiedział, wyjmując komórkę z kieszeni.

Dzwonił Hołownia. Inspektor słuchał go przez chwilę w milczeniu, potem podziękował i pożegnał się.

- Ktoś zadzwonił już do radia i wszystkie media w kraju za chwilę będą o tym mówić. Arcybiskup prosił o przyspieszenie konferencji.

- To będzie wydarzenie roku w Lublinie - powiedział Lewicki. - Bez wątpienia.

Wyszli z powrotem do sieni. Przez otwór drzwi widać było srebrzyste kreseczki deszczu na tle ciemnej ściany lasu.

- Co pani o tym wszystkim sądzi? - spytał Zawistowską, która do tej pory nie brała udziału w rozmowie.

- Nie zetknęłam się nigdy dotąd z takim wyglądem miejsca zbrodni - powiedziała zamyślonym głosem. - Bardziej przypomina mi to dekorację do jakiegoś filmu niż to, co się widzi zazwyczaj, ale tu nic nie jest zwyczajne, zaczynając od ofiary. Nie wiemy o żadnych zorganizowanych grupach satanistycznych czy też kultowych, które by aktywnie działały w mieście. Zwykle są to jakieś nastolatki kontestujące świat rodziców chodzących do kościoła. Słuchają ciężkiej muzyki, noszą czarne

ciuchy, wypisują, owszem, pentagramy po śmietnikach, ale nie zabijają ludzi. Z drugiej strony, gdyby taka zorganizowana grupa istniała, to z samej istoty byłaby zakonspirowana i może właśnie teraz po raz pierwszy dała o sobie znać.

- Może to wariat? - zapytał Hagen.

- Może. Obejrzę jeszcze raz zapis wideo i zdjęcia, ale wydaje się, że mamy tu do czynienia ze starannie planującym, wyrachowanym mordercą. Być może chorym psychicznie, tego nie jesteśmy w stanie wykluczyć, ale na pewno sprawnym w sensie organizacyjnym. Zaplanował przebieg wydarzeń. Znalazł to miejsce. Dostarczył tu ofiarę i odjechał tak, że nikt go nie zauważył. Nie dostrzegam żadnych elementów depersonifikacji ofiary, zatem wstępnie można by założyć, że nie znali się osobiście. Kontekst quasi-religijny, rola społeczna zabitego, to wszystko zdaje się sugerować, że biskupa zabito dlatego właśnie, że był biskupem, hierarchą Kościoła.

Zawistowska wyjęła z torebki białą paczkę papierosów i pytająco spojrzała na Hagenę.

- Dziękuję, nie palę - powiedział.

Lewicki podał jej ogień i psycholog zaciągnęła się głęboko.

- Kiedy szkolili nas Amerykanie z FBI, zawsze podkreślali, że w wypadku miejsc zbrodni z premedytacją ważne jest, by dostrzec teatralny aspekt całej sprawy. Usunięcie jednych, a pozostawienie innych dowodów. Nie mamy tu odcisków palców, o ile zrozumiałam? - Spojrzała na Lewickiego.

- Mamy mnóstwo, ale to artefakty. Będziemy je oczywiście segregować, ale nie spodziewam się po nich zbyt wiele. Nie mamy jednak żadnych odcisków na świecach, a przecież przy

zapalaniu zwykle trzyma się je w dłoni. Nie ma ich na sznurach, a krzesło zostało starannie wytarte. Nie liczyłbym zbyttno na to, że znajdziemy tu odciski mordercy.

- Mamy zatem przypadek działania z całkowitą premedytacją. To mógł być diabelski rytuał, inspektorze, ale równie dobrze mogło to być coś zupełnie innego.

- Tak... - Hagen pocierał podbródek, patrząc na mokre pola. - Spodziewałem się, że powie nam pani coś w rodzaju: biały czterdziestoletni mężczyzna, praworęczny, z blizną na policzku, miał pod górkę do szkoły, dręczył zwierzęta, molestował go katecheta, a teraz mieszka samotnie w zapuszczonym mieszkaniu, a na spacer zabiera siekiere w reklamówce.

- Nóż kuchenny raczej - wtrącił Lewicki. - Na oko wygląda to na nóż kuchenny, taki średniej wielkości.

- Nie lubi pan psychologów, inspektorze? - spytała Zawistowska. Jej duże orzechowe oczy patrzyły na niego badawczo.

- Bardzo lubię. - Uśmiechnął się do niej. - Tak sobie zająłowałem, proszę nie zwracać uwagi.

Droga powrotna upłynęła im znowu w milczeniu wypełnionym zawodzeniem silnika.

Zawistowska wysiadła pod komendą, a Hagen krzyknął do kierowcy:

- Sądówka!

Kiedy wszedł do prosekatorium, pochylone sylwetki lekarzy w zielonych fartuchach zasłaniały widok stołu sekcyjnego. Zapach rozkładu i śmierci zdawał się wżarty w ściany wyłożone starą glazurą, kiedyś białą, a teraz w kolorze kości słoniowej, pokrytą delikatną pajęczyną pęknięć, zmatowiałą jak oczy trupa wbite w przestrzeń. Inspektor po raz kolejny przekonał się,

że warto spryskiwać maskę na twarz wodą kolońską. Patolodzy spojrzeli na niego pytająco. Hagen przedstawił się.

- To może ja bym wyszedł na chwilę?... - spytał słabym głosem człowiek w fartuchu, przycupnięty w kącie pod ścianą. Nadzorował sekcję z ramienia prokuratury.

Ciało biskupa było rozcięte od spojenia łonowego do brody. Narzędzia utrzymywały otwartą jamę brzuszną z żółtawo-zielonymi węzami nabrzmiiałych jelit kłębiącymi się wewnątrz. Mostek był przecięty, a potężny stalowy rozpierak rozginał obie części klatki piersiowej na boki, jak połówki próbującej się zatrzaskać ostrygi. Pustej ostrygi. Narządy wewnętrzne zostały już usunięte. Leżały teraz na stole obok zakrwawionej wagi, a technik pobierał wycinki i pakował je w małe próbówki. Ogoną z włosów skórę głowy rozcięto i ściągnięto na twarz, tak nisko, że widoczne były puste jamy oczodołów. Czaszka była otwarta, mózg leżał na stole obok, lekarz ciął go na cienkie plastry, oglądając każdy uważnie. Technik małą stalową chochelką zaczerpnął właśnie zawartość jamy czaszki i wlewał płyn mózgowo-rdzeniowy pomieszany z krwią do stalowej miseczki w kształcie nerki.

- Nie przeszkadzam? - zapytał Hagen.

Prowadzący sekcję pokręcił przecząco głową.

- Już praktycznie kończymy. Zaraz siadamy do pisania raportu, ale to będą dane tylko z badania makroskopowego i hm... organoleptycznego. Na wyniki badań laboratoryjnych trzeba będzie poczekać od kilku godzin do kilku dni.

- Kiedy i jak zginął? - spytał Hagen.

- Co najmniej czterdzieści osiem godzin przedtem, zanim znaleziono ciało, nie więcej jednak niż siedemdziesiąt dwie

godziny. Tak wnosić można zarówno ze stopnia stężenia pośmiertnego, jak i temperatury mierzonej w wątrobie. Z przyczyn oczywistych nie mogliśmy wykonać testu na zawartość potasu w ciele szklistym gałki ocznej. Być może będziemy to mogli jeszcze uściślić. Sądząc z rozkładu plam opadowych - wskazał palcem na ciemnowisniowe plamy na dłoniach, stopach i pośladkach - zmarł w pozycji siedzącej, najprawdopodobniej w miejscu, w którym go znaleziono. Patolog zamyślił się i palce jego lewej ręki przez chwilę bębniły rytmicznie po krawędzi stołu sekcyjnego.

- Zginął od ciosu nożem. W sumie, jak się pan przyjrzy, zadano mu wiele pchnięć, okaleczono i nacinano skórę. Ale śmiertelny był tylko jeden cios, w serce, zadany tutaj. - Palcem w okrwawionej gumowej rękawiczce wskazał cienką bladą ranekę pod lewym sutkiem. - Ostrze przebiło worek osierdziowy, prawą komorę, przegrodę i ugrzęzło w ścianie lewej komory. Wystąpiły zapewne zaburzenia rytmu serca oraz na pewno wylew krwi do osierdzia i śródpiersia z zatrzymaniem akcji serca.

- Co pan sądzi o tych... - Hagen zawahał się na chwilę, szukając właściwego słowa. - O tych znakach wyciętych na ciele?

- Ma pan na myśli pentagramy? Wydaje mi się, że zrobił to ktoś niespełna rozumu, ale nie jestem psychiatrą sądowym i nie chciałbym, żeby brał pan moje słowa na poważnie. Ja mogę powiedzieć tyle, że rany zostały zadane wąskim, ostrym narzędziem, na przykład ostrzem noża lub sztyletu, i że z całą pewnością powstały za życia denata. Jak sądzę, razem z innymi okaleczeniami, a wszystkie są powierzchownymi nacięciami, służyły do uzyskania wystarczającej ilości krwi, aby namalować te... te freski.

Hagen przymknął na chwilę oczy, w jego umyśle formował się obraz szaleńca, wśród nocy tnącego żywe ciało w satani-
styczne wzory. Niemal słyszał krzyk ofiary, widział płynącą po
nagim torsie krew, zalewającą czerwienią oczy, i rękę mordercy
zbierającą ją starannie, by móc pisać na ścianie owe *mane tek-
el fares* z dziwnym błędem ortograficznym.

Głos patologa przywołał go do rzeczywistości.

- To wszystko było wiadomo praktycznie od początku.
Znaleźliśmy jednak coś, inspektorze, co powinno was zaintere-
sować. Tutaj, z tyłu głowy, znajduje się siniak po uderzeniu
tęnym narzędziem, z pewnością przyżyciowy. Sądząc po orga-
nizacji krwiaka, powstały co najmniej kilka godzin przed
śmiercią. To był potężny cios, kość pod spodem jest uszkodzo-
na, proszę spojrzeć. Z pewnością pozbawił go przytomności na
wiele godzin, można by nawet zaryzykować przypuszczenie, że
ofiara nie odzyskała przytomności do chwili śmierci, chociaż,
zastrzegam się, to tylko spekulacja.

- A zatem najpierw został ogłuszony, a następnie, naj-
prawdopodobniej, przetransportowany do Wólki, gdzie zginął.
Zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, co się potem działo.
Na szczęście - podsumował swoją relację, przekazaną właśnie
pośpiesznie przez telefon. - Tak, teraz jadę się zakwaterować.
Konferencja prasowa jest dla prowadzących śledztwo. Ja wo-
lałbym na razie pozostać trochę z boku.

To była lokalna sprawa. Miała z pewnością wydźwięk ogól-
nopolski, być może będą o niej mówiły media europejskie, ale z
punktu widzenia policji to była sprawa lubelska i na razie nie
było potrzeby, żeby występował przed kamerami. Poza tym

trzeba było się jakoś urządzić. Możliwe, że spędzi tu kilka tygodni i ten nowy dom musi zagospodarować jak najprędzej, by po całym dniu móc wrócić do siebie, a nie do anonimowego, pustego pomieszczenia. Upewnił się u kierowcy, gdzie znajduje się podany przez komisarza adres, wyprowadził samochód z policyjnego parkingu i pojechał na Jesionową. Była to cicha uliczka, położona w małej enklawie jednorodzinnej zabudowy, niedaleko centrum. Dom z numerem siedem wyglądał na wzniesiony w początku zeszłego wieku. Jedna ze ścian porośnięta była dzikim winem, którego liście zaczynały już gdzieś niedługo zmieniać kolor i połyskiwały purpurą wśród ciemnej zieleni.

Drzwi otworzyła starsza pani ze starannie ułożonym hełmem siwych włosów, trochę wyższa od niego, o prostej, nieco kanciastej sylwetce. Ubrana była w zieloną bluzkę i ciemnoszarą wełnianą spódnicę, prawą ręką podtrzymywała przy piersi okulary na złotym łańcuszku.

- Witam pana, panie inspektorze. Jestem Maria Zgliczyńska. Komisarz Hołownia dzwonił do mnie w pana sprawie.

Pani komendantowa miała głos matowy i niski. Hagen świetnie mógł sobie wyobrazić, jak jednym rozkazem rzuca w błoto długie szeregi poborowych.

- Zazwyczaj zatrzymują się u mnie na stacji dziewczęta z dobrych domów, których rodzice nie widzą dla nich miejsca w akademikach. Wie pan przecież, co tam się wyprawia - mówiła, prowadząc go przez hol, a potem schodami na piętro. Wypastowane klepki starego parkietu leciutko skrzywiały pod stopami. W domu czuć było czystość i delikatny aromat gotowanego rosołu.

- Tak się akurat złożyło, że jedna z panienek zachorowała i wróci na uczelnię dopiero po feriach, więc do lutego ten pokój

stoi wolny. - Otworzyła ciężkie dębowe drzwi i weszli do środka. - Proszę się rozejrzeć, czy panu odpowiada - powiedziała, podchodząc do okien i rozsuwając kotary.

Pokój był duży, z meblami z lat osiemdziesiątych. Przypominał mu mieszkanie matki.

- Tu jest łazienka. - Zapaliła światło i Hagen obejrzał małe pomieszczenie wyłożone zielonymi kafelkami. - Te drzwi są zwykle zamknięte. - Jej dłoń przesunęła się pieszczotliwie po dębowej framudze. - Na zewnątrz wychodzi się tędy. - Wskazała drugie drzwi. - Prowadzą do dodatkowego przedpokoju. Tam znajduje się oddzielne wejście do tej części domu, a tu jest mała kuchnia dla lokatorów.

- Czy ktoś mieszka u pani w tej chwili?

- Tak. Te pokoje obok wynajmują dwie studentki. Jedna jest, jeśli mnie pamięć nie myli, na piątym roku historii sztuki, a druga przeniosła się właśnie w tym roku z Warszawy i, jak mi się zdaje, studiuje polonistykę. Ta kuchnia byłaby, jak wspomniałam, do wspólnego użytkowania, oczywiście gdyby pan się zdecydował.

Założyła okulary i jej oczy zrobiły się nagle większe i bardziej wypukłe. Wpatrywały się w niego bez jednego mrugnienia.

- Komisarz wspominał coś o wyżywieniu... - zaczął pytająco.

- Oczywiście! - Pani Maria rozpromieniła się nagle, jakby perspektywa żywienia go była dawno wyczekiwaną nagrodą od losu. - Gotuję obiady, które zwykle jemy z dziewczętami około piątej. Jeżeli byłby pan zainteresowany...

- Jak najbardziej. Nie lubię stołówek, zwłaszcza policyjnych stołówek. Zanim podejmę decyzję, chciałbym wiedzieć,

czy ma pani w tym pokoju gniazdko telefoniczne i wyjście antenowe do telewizora?

- Tak. Proszę spojrzeć, tu jest aparat, a przy stoliku gniazdko anteny. Mamy tu telewizję kablową, ale nie mam niestety telewizora, bo Ania, ta dziewczyna, która tu przedtem mieszkała, miała swój, ale zabrała go, wyjeżdżając.

- Poradzę sobie, proszę się nie kłopotać. Z przyjemnością zostanę pani gościem.

Pani Maria wyszła, zamykając na klucz drzwi łączące pokój z jej częścią domu, a on zabrał się do urządzania swojego małego świata. Przyniósł wszystkie rzeczy z samochodu. Potem rozłożył ubrania w szafie, powiesił spodnie, marynarki, wszystkie przybory toaletowe rozstawił w łazience i na koniec zdjął ze ściany obrazek ukazujący Alpy wiosną, a na jego miejsce powiesił wyjęte z walizki zdjęcie, które sam zrobił, przedstawiające świt na afrykańskiej sawannie. Usiadł przy stoliku, z którego usunął kilka bibelotów, i włączył komputer. Na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz Claire, przykryta po chwili okienkiem pytającym go o hasło.

Pamiętał ten obrzydliwy dzień, prawie taki sam jak dzisiejszy, tylko wiosenny, z kaskadami deszczu szarpanymi ostrymi porywami wiatru, zimny, przenikliwie wilgotny, ponury. Siedzieli już ponad godzinę w małej kawiarence przy rue du Rouleau i Hagen miał wrażenie, że z każdą minutą ta brukselska szaruga coraz głębiej przenika do jego wnętrza. Widzieli się po raz ostatni. Był środek dnia, ale wewnątrz było mroczno i przytulnie. Na stoliku paliła się świeca. Twarz Claire opalizowała złotawo, a jej białe zęby błyskały, kiedy uśmiechała się smutno do niego. Pod stołem kurczowo ścisnął jej dłoń i czuł,

jak jej wypielegnowane paznokcie wbijają mu się w ciało. Butelka białego gaskońskiego wina, takiego samego, jakie pili, kiedy się poznali, była już prawie pusta.

- Mam coś dla ciebie na pożegnanie – powiedziała nagle po dłuższej chwili milczenia. Puściła jego rękę i pochyliła się, by wyjąć coś z torby, która leżała u jej stóp. - Tylko nie waż się odmówić.

Położyła na stoliku przenośny komputer i Hagen spojrzął na nią zdezorientowany.

- Claire... - zaczął, ale ona położyła mu palce na ustach, najbardziej poufały gest, na jaki zdobyli się w miejscu publicznym od chwili, kiedy zaczęli się spotykać.

- Wiesz, że w firmie ciągle dostajemy najnowsze modele do testowania, a ty wozisz ze sobą ten złom. Chcę, żebyś miał coś, co naprawdę będzie ci mnie przypominać. Otwórz go.

Hagen posłusznie włączył komputer i spojrzął na twarz Claire, która pojawiła się na ekranie. To zdjęcie zrobił jej, kiedy pojechali do Brugii. Claire zajrzała mu przez ramię i najechała kursorem na swoje usta.

- Naciśnij - szepnęła.

Hagen przycisnął jej palec na klawiszu myszki i głos Claire z głośnika komputera powiedział do niego: „kocham cię”.

- Kocham cię... - powtórzyła szeptem i szybko usiadła na swoim miejscu.

- Nie wiem, co powiedzieć... - wymamrotał.

- Powiedz mi, że mnie kochasz. Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

- Kocham cię i nie wiem, jak sobie dam radę bez ciebie.

Milczeli przez chwilę. Hagen wyjął z kieszeni małe czarne pudełeczko i przesunął po blacie w jej kierunku.

- Być może kajdanki byłyby bardziej na miejscu - powiedział. - Dostajemy nowe modele do testowania, ale mam tylko to.

Claire uśmiechnęła się. W świetle świecy oglądała parę złotych kolczyków z zielonymi kamieniami. Jarzyły się złotawymi odblaskami i w tym migotliwym półmroku błyszczały tak samo jak zielone oczy kobiety wpatrującej się w nie w milczeniu.

- Są piękne - powiedziała. - Dziękuję.

- Chciałbym, żebyś wkładała je tylko w środy - szepnął.

Claire znowu uśmiechnęła się do niego i nagle po jej policzku potoczyła się łza.

- O Boże, zaraz zupełnie się rozkleję.

Sięgnęła do torebki po chusteczkę. Wytarła oczy i wydmuchała nos. Patrzył na nią i próbował po raz kolejny zapamiętać każdy szczegół, wilgotne rzęsy, wyrazisty wykrój ust, lok jasnych włosów, który zaplątał się na policzek i który odgarnęła szczupłą dłonią.

- Pisz do mnie - powiedziała cicho przed drzwiami kawiarni, a potem odwróciła się i szła pod wielkim szarym parasolem szarpanym przez wiatr, po którym bębnił deszcz, a on czuł krople wody płynące mu po twarzy.

Z bramy naprzeciwko wyszedł człowiek w długim płaszczu i szybkim krokiem ruszył za nią.

Hagen sprawdził pocztę. Odpisał kilka słów synowi w zamian za krótkie sprawozdanie z zajęć w szkole, a potem podłączył komputer do gniazdka antenowego i przejrzał wszystkie kanały telewizji. Na razie nic jeszcze nie mówiło się o ich sprawie. Do spotkania z arcybiskupem zostało sporo czasu, toteż wyjął dokumenty, które rano dostał w komendzie, i zaczął studiować je uważnie, robiąc na marginesach uwagi czerwonym pisakiem.

Jadąc na spotkanie do pałacu arcybiskupa, mógł wysłuchać wiadomości lokalnych, gdzie sucha informacja o zabójstwie połączona była z prośbą o kontakt z policją pod numer ich centrum operacyjnego lub 997. Hagen wjechał na teren pałacu i zaparkował samochód obok radiowozu, przy którym stał Hołownia i palił papierosa.

- Jak poszła konferencja? - zapytał.

- Pani rzecznik z prokuratury wzięła na siebie ciężar przekazania informacji, ja tylko kiwałem głową i wspominałem o tajności i dobru śledztwa. I tak dowiedzą się wszystkiego. Jak nie dziś, to jutro. Komenda jest jak stary durszlak, jeśli chodzi o takie sekrety. - Przerwał na chwilę. - Rzecznik kurii natomiast praktycznie wstrzymał się od komentarza. Zobaczymy, co powiedzą nam teraz.

Hołownia zgasił papierosa i ruszyli wybrukowanym podjazdem w stronę wejścia prowadzącego przez portyk wsparty na czterech białych kolumnach, co nadawało mu, jak pomyślał Hagen, charakter wiejskiej rezydencji.

- Witam panów i od razu na wstępie deklaruję pełne wsparcie i pomoc w wykryciu sprawców tej niesłychanej zbrodni. - Głos arcybiskupa był starannie modulowany. Wyrazy, toczony i obły, układały się jeden obok drugiego jak paciorki różańca. Zaprosił ich gestem, by zajęli miejsca.

Arcybiskup ujął krucyfiks wiszący na piersi. Pierścień biskupi połyskiwał czerwonym blaskiem. Hagen przyglądał się szczupłej twarzy hierarchy, ostrym liniom o pionowym przebiegu, znaczącym oblicze naszkicowane przez czas zdecydowaną kreską. Siwe włosy miał gęste i połyskliwe. Proste plecy i precyzyjne ruchy nie niosły w sobie ładunku lat, jakie minęły od czasu wstąpienia do seminarium. Puciołowaty sekretarz

kurii stał za fotelem Jego Eminencji. W rękę trzymał teczkę z dokumentami.

- Księżę biskupie, zapewniamy, że dołożymy wszelkich starań, by jak najszybciej znaleźć morderców, lub mordercę, biskupa Wygnowskiego, i potrzebować będziemy pomocy, o której eminencja wspomniał. Chciałbym zacząć od rutynowych pytań. Czy macie, panowie, jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógł dopuścić się tego czynu? - Hołownia przeniósł spojrzenie z arcybiskupa na sekretarza i z powrotem.

- Absolutnie żadnych. Kiedy o tym myślę, to Bóg mi świadkiem, nie mogę dopatrzeć się żadnego sensu w tym zabójstwie. Natura ludzka jest ułomna, wiem to dobrze, bo spowiadam już prawie czterdzieści lat. Rządzą nami chciwość, głupota, zazdrość. Czasem pragnienie zemsty lub nienawiść popychają nas do zbrodni. Ale czemu ktoś miałby mordować księdza biskupa? Tak okrutnie, tak bestialsko, z takim zapamiętaniem? Po prostu tego nie pojmuję. - Metropolita zacisnął mocniej palce na krzyżu, kłykcie jego suchej dłoni pobieleły. Wydawało się, że we wzburzeniu zgniecie go lub złamie. - Nigdy, od rozbiorów, nic takiego nie zdarzyło się w Polsce. Po raz pierwszy podniesiono rękę na hierarchę, uderzono prosto w serce Kościoła. Być może, panowie, to nie jest przypadek, być może jest to przejaw walki sił ciemności z pasterzami owczarni Pańskiej.

- Kogo konkretnie Wasza Eminencja ma na myśli, mówiąc o siłach ciemności? - zapytał Hołownia.

Biskup odetchnął głęboko i opadł na wysokie oparcie krzesła.

- Kościół ma wielu wrogów. Różne sekty mieniające się chrześcijańskimi, poganie, ateści, czciciele szatana... - Zawiesił głos.

- Ci, którzy uważają, że zwrot mienia Kościołowi odbył się ich kosztem - dodał nagle sekretarz.

- Tak, chciwość jest potężną siłą - zgodził się arcybiskup - ale to wszystko spekulacje. Tak naprawdę nie wiem o niczym, co mogłoby panom pomóc.

- Co biskup Wygnowski właściwie robił w kurii, czym się zajmował? - spytał Hagen.

- Spodziewałem się, że panowie o to zapytacie, ksiądz Jan przygotował wszystkie potrzebne dokumenty. - Dał znak i sekretarz położył na stoliku przed nimi teczkę, po czym wycofał się na swoje stanowisko.

- Biskup Wygnowski, niechaj spoczywa w spokoju, zajmował się głównie sprawami administracyjnymi diecezji. Sprawował nadzór nad seminariami, nad działalnością charytatywną, podlegał mu diecezjalny Caritas. Wizytował parafie, nadzorował fundusze kościelne. Jednym słowem robił wszystko to, czym ja nigdy nie lubiłem się zajmować. Poza obowiązkami w kurii ksiądz biskup był także wykładowcą na KUL-u i w Wyższym Seminarium Duchownym.

- Na jaki temat prowadził wykłady? - spytał Hagen.

- Był specjalistą dogmatykiem. Posiadał doktorat Papieskiego Instytutu w Rzymie z teologii dogmatycznej.

Policjanci spojrzeli na siebie.

- Czy możemy prosić o wyjaśnienie, co to konkretnie oznacza?

Arcybiskup uśmiechnął się lekko.

- Dogmatyka jest najważniejszym działem teologii i traktuje o zawartych w Objawieniu Bożym prawdach wiary. Obejmuje orzeczenia Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, poglądy Ojców Apostolskich, Ojców Kościoła i wczesnochrześcijańskich pisarzy i teologów. Ogólnie mówiąc, bada prawdy wiary zawarte w dogmatach, jak na przykład o niepokalanym poczęciu i innych.

- Czy jest ktoś, kto był bliżej z biskupem Wygnowskim? Czy znacie panowie może jakichś jego przyjaciół?

- Wszyscy, wydaje mi się, bardzo go lubili - powiedział w zamyśleniu arcybiskup. - Zdaje mi się, że bardziej go lubili niż mnie... Tak... ale jeśli miałbym wskazać kogoś, kto był z biskupem szczególnie blisko, to byłbym w pewnym kłopotcie.

Na chwilę zapadła cisza.

- Może ksiądz Piotrowski? - odezwał się niepewnym głosem sekretarz. - Byli razem na roku w seminarium, chyba spotykali się czasami. Ksiądz biskup coś tak kiedyś wspominał...

- Być może. - Dłonie arcybiskupa wskazały na księdza Jana jako na tego, który znalazł rozwiązanie problemu. - Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że biskup Wygnowski był raczej typem samotnika. Głęboki umysł, kontemplacyjna natura, ale przy tym niespożyta energia. Bardzo nam go będzie brak.

Hołownia zapisał, jak mogą skontaktować się z księdzem Piotrowskim, oraz telefony do kierowcy i sekretarza.

- Proszę nam podać numery telefonów księdza biskupa - poprosił Hagen.

Sekretarz podyktował numer domowy i telefonu komórkowego. Długopis Hageny zawisł w oczekiwaniu nad kartką.

- A inne telefony? - zapytał.

- To wszystko. Ksiądz biskup miał stacjonarny telefon w mieszkaniu oraz tę służbową komórkę, którą panu podałem, inspektorze - powiedział ksiądz Jan. - Po co byłoby mu więcej telefonów?

Właśnie, po co? - pomyślał Hagen.

- Będziemy musieli dostać się do mieszkania księdza biskupa, zabezpieczyć wszystkie dokumenty w jego miejscu

pracy oraz przesłuchać wielu pracowników kurii - oświadczył komisarz. - I to jak najprędzej.

- Rozumiem doskonale, proszę czynić swoją powinność, z naszej strony nie będzie żadnych przeszkód.

- Czy eminencja wie, kiedy przyjeżdża wysłannik z Rzymu? - spytał Hagen.

- Oczekujemy go w Lublinie jutro po południu. Przylatuje rano do Warszawy.

- Wiadomo może, kto to jest?

- Tak. To ojciec Scarpi, jezuita z Kongregacji Doktryny Wiary. Jest bardzo blisko Ojca Świętego. Na pewno będzie chciał się z panami spotkać. - Arcybiskup skinął głową, audyencja została skończona.

- Kongregacja Doktryny Wiary? - zastanawiał się Hołownia, kiedy schodzili szerokimi kamiennymi schodami na parter. - My tu mamy morderstwo, a nie problem teologiczny.

- Kiedyś nosiła inną nazwę, bardziej odpowiednią do tego, z czym być może mamy do czynienia.

- Mianowicie? - Hołownia przytrzymał drzwi i wyszli na brukowany dziedziniec zalany deszczem.

- Jeszcze nie tak dawno znana była jako Święte Oficjum - powiedział Hagen - czyli inkwizycja.

Sobotni ranek witał go takimi samymi kłębamii chmur, jakimi pożegnał go piątek.

Kolejny weekend w pracy, tym razem już bez garnituru, pomyślał, siedząc przy małym stolczku w kuchni dla lokatorów i pijąc bawarkę z herbaty Earl Grey i chudego mleka. Kuchnia była przytulna i ciepła, znać tu było ślady kobiecej ręki. Poprzedniego wieczoru obejrzał na pożyczonym od gospodyni magnetowidzie zapis z Wólki Kozłowieckiej i wyjątkowo wcześniej poszedł spać. Musiał przyznać, że w Lublinie spało mu się znakomicie. Czuł się rześki i wypoczęty. Zamierzał właśnie wstać i odstawić kubek do zlewu, kiedy drzwi otworzyły się nagle, więżąc go w maleńkiej niszy za stołem. Do kuchni weszła dziewczyna, z kaskadą ciemnych włosów spływających połyskliwymi kędziorami na ramiona i plecy, i stanęła tyłem do Hageny. Ubrana była w dużą, żółtą koszulkę z krótkimi rękawami sięgającą odrobinę poniżej krągłej pupy i nic więcej. Lewą ręką przeszukiwała zawartość szafki, prawą, zgiętą w łokciu i podniesioną do poziomu twarzy, poruszała rytmicznie. Prawdopodobnie myła zęby. Jej nogi były zgrabne i opalone, przypominały, że studenckie wakacje skończyły się raptem kilka dni temu. Kiedy pochyliła się nad blatem, by

sięgnąć po coś z parapetu, koszulka podjechała wyżej i odsłoniła równie opalone pośladki.

- Dzień dobry - powiedział Hagen.

Obróciła się, błyskawicznie obciągając koszulkę, i chyba chciała krzyknąć, ale zakrztusiła się pastą do zębów i zaniósła przeraźliwym kaszlem. Skłoniła się głęboko w jego stronę, z jedną ręką na piersiach, drugą, ściskającą szcztoteczkę, wymierzając w niego obronnym gestem. Kaszel zaczął przechodzić w niepokojąco wysokie tony. Hagen uwolnił się ze swego zamknięcia, chwycił ją za ramię i uderzył kilka razy w plecy. Po chwili przestała się krztusić, więc posadził ją na krześle i szybko podał szklanekę wody.

- O Boże... - szepnęła i znowu zakaszła, ale już mniej gwałtownie. Napila się wody. Teraz włosy opadły jej na twarz i wyglądała prawie tak samo jak wtedy, kiedy widział ją od tyłu. Splątana kurtyna ciemnych loków, zza której błysnęły mokre od łez oczy. Hagen cofnął się o krok i przedstawił się.

- Jestem nowym lokatorem - dodał - i zajmuję ten drugi pokój.

- Jestem Ewa - odpowiedział lekko zachrypnięty głos spoza włosów. Zakaszła znowu.

- Przepraszam...

Wstała i wyszła tak szybko, że Hagen nie był w stanie dostrzec rysów jej twarzy. Słyszał tylko kaszel na korytarzu, aż uciszył go trzask zamykanych drzwi. Inspektor obrócił w myślach jeszcze raz widok jej letniej nagości i uśmiechając się, wyszedł z domu.

Biuro operacyjne w komendzie działało już z pełnym rozmachem. Telefony dzwoniły bez przerwy.

- Trzeba będzie zwiększyć liczbę osób odbierających rozmowy - powiedział komisarz.

- Jeden już się przyznał! - krzyknął wesoło do Hołowni młody chłopak, zasłaniając dłonią mikrofon słuchawki.

- Który to?

- Leśniewski.

- Czemu go zabił?

- Nie potrafił dokładnie wyjaśnić, ale chciał, żeby go aresztować. Piąty komisariat teraz go sprawdza.

- Ten Leśniewski to taki nasz wsiowy głupek. Zawsze jak jest jakaś większa sprawa, zgłasza się dobrowolnie. Jak on to mówi? „Oddaję się w surowe ręce sprawiedliwości ludowej z wiarą, że ukarzą mnie bez litości”. Jest w mieście jeszcze paru tego samego pokroju.

We wspólnym gabinecie Hołownia zrobił poranną prasówkę. Wszystkie gazety dostępne w kiosku na dole leżały potwierane na stronach z artykułami o ich sprawie. O zabójstwie biskupa na pierwszej stronie pisały wszystkie dzienniki. „Śmierć purpurata”, „Kto zabił biskupa?”, „Morderstwo księcia Kościoła” - krzyczały tytuły z okładek. Dominującym tonem artykułów było oburzenie na zdziczenie obyczajów i upadek moralny społeczeństwa. Skoro zamordowany został wysoki hierarcha Kościoła, to wszystko jest już możliwe, nie pozostało nic świętego, zdawali się mówić autorzy, niektórzy zresztą pisali to wprost. Różniły się natomiast znacznie diagnozy co do przyczyn takiego stanu rzeczy. W żadnym z artykułów nie znalazł wzmianki na temat satanistycznego kontekstu morderstwa, a zatem ta sensacja czekała jeszcze na swoją kolej.

Kiedy zbierali się w sali odpraw, za oknami zaczął znowu padać deszcz i dobry nastrój wywołany porannym spotkaniem

w kuchni opuścił go natychmiast. Trzeba mi słońca, pomyślał, siadając na swoim miejscu. Słońca, morza, wina i seksu. Zresztą może być tylko słońce, byle nie ta plucha za oknem. Błotni-sta pora deszczowa, w jaką przerodziły się jesień i zima, napa-wała go wstrętem i powodowała przyływ melancholii, którą uleczyć mogło tylko babie lato lub wakacje na południu konty-nentu. „Jestem człowiekiem śródziemnomorza” - mawiał o sobie, kiedy Claire żartowała z jego chandry. - Miałem szczę-ście, że poznałaś mnie latem. Moja wersja zimowa nie nadaje się do użytku”. „Zawsze można zrobić z ciebie termofor - po-wiedziała. - Mój gorący Słowianinie”.

Hołownia rozpoczął spotkanie, przedstawił Hagena oraz kilka nowych osób, które zostały przydzielone do sprawy. Zre-ferował pokrótce wszystko to, czego Hagen dowiedział się wczoraj, następnie oddał głos kolejno szefowi laboratorium, psychologowi i patologowi, który poprzedniego dnia prze-prowadził sekcję zwłok. Żadne z tych wystąpień nie zawierało nic nowego oprócz definitywnego potwierdzenia ze strony patolo-ga, że śmierć nastąpiła tej nocy, po której ksiądz nie pojawił się na zajęciach.

- Na zakończenie chciałbym podnieść jeszcze problem brakujących gałek ocznych - powiedział lekarz sądowy. - Zało-żyliśmy początkowo, że zostały wydziobane przez ptaki, co często zdarza się w przypadku zwłok leżących w pobliżu lasu. Po dokładnej analizie materiału wydaje mi się, że mogły być również usunięte przez mordercę bądź morderców, a inne drobne obrażenia twarzy mogły spowodować gryzonie. Nie znaleźliśmy nic, co wyglądałoby na ślady ptasich pazurów, a wrona czy gawron to duże ptaki i musiałyby się czegoś trzymać,

żeby dosięgnąć do oczu siedzącego człowieka. Zatem to może być jakiś dodatkowy ślad.

Paweł Nęcki, uchodzący w zespole za technicznego guru, omawiał sprawę telefonów. Oba aparaty, identyczne egzemplarze, zalane były przez wodę i przechodziły teraz proces intensywnego suszenia.

- Skontaktowałem się z producentem i jeżeli znajdzie taka potrzeba, to wyślemy je do ich centralnego laboratorium. Eksperci twierdzą, że jeżeli nie leżały w słonej wodzie, to jest szansa na odzyskanie danych zapisanych w pamięci aparatów. Bez znajomości osobistych numerów identyfikacyjnych, czyli PIN-ów, nie jesteśmy na razie w stanie odczytać danych zawartych na kartach SIM, ale tutaj szansa, że zapis się zachował, jest znacznie większa. Nie mamy też jeszcze dostępu do skrzynek, w których przechowywane są nedoręczone SMS-y, do poczty głosowej ani do spisu numerów, z którymi były nawiązywane połączenia. To wszystko ma się zmienić dziś, kiedy sąd rozpatrzy wniosek pani prokurator.

Hagen dopiero teraz zauważył siedzącą z tyłu sali prokurator Tarnawską.

- Czy wiemy już, co to są za telefony? - spytał Nęckiego.

- Ogólnie tak, panie inspektorze. - Nęcki wziął do ręki kartkę papieru. - Jeden aparat jest zarejestrowany na kurie lubelską i to jest ten numer służbowy, który podano nam w pałacu arcybiskupa. Drugi numer jest zarejestrowany na Wygnowskiego prywatnie u innego operatora i, jak zdążyłem ustalić, miał go mniej więcej od roku.

- Zatem dwa identyczne telefony, innych operatorów, jeden służbowy, drugi prywatny, o prywatnym nic nie wiedzą w kurii - podsumował Hagen.

- Tak jest. - Nęcki pstrykał trzymanym w rękę długopisem.
- Dzisiaj będziemy wiedzieć znacznie więcej, jak tylko dostaniemy nakaz.

- Informuj nas na bieżąco - powiedział Hołownia. - Czy wniosek do sądu dotyczy także kont bankowych, tajemnicy korespondencji i telefonu stacjonarnego? - spytał, pochylając się lekko, żeby widzieć panią prokurator.

- Tak, wystąpiliśmy od razu o jak najszersze uprawnienia, myślę również, że w tej sytuacji sąd przychyli się do naszego stanowiska.

- Doskonale. - Hołownia spojrział w notatki i poprosił aspirantkę Sylwię Sobczuk o zebranie ustaleń poczynionych na gorąco wczoraj w kurii i na KUL-u.

- Krytyczny dzień przebiegał tak, jak każdy poniedziałek w kalendarzu biskupa - zaczęła rudawa blondynka o milej twarzy, patrząc w papiery. Jako jedna z niewielu obecnych na sali miała na sobie mundur i kiedy Hagen słuchał jej cichego głosu, miał wrażenie, że nosi go głównie dla zwiększenia pewności siebie. - Wyszedł z domu, jak zapamiętała dozorczyńni, kwadrans przed dziewiątą, o dziewiątej był już w kurii. Drogę pokonał samochodem, chociaż to dosłownie kilkaset metrów. Faktem jest, że tego dnia mocno padało. W kurii spotkał się z kilkoma osobami w sprawach związanych z administracją seminarium, a konkretnie to prowadzony jest tam teraz remont i tego dnia mieli zaczynać wymianę rur z wodą... Potem rozmawiał przez telefon z zastępcą dyrektora Caritasu, z proboszczem z Ostrowa Lubelskiego, gdzie wybierał się z wizytą w piątek, i z przełożoną zgromadzenia zakonnego sióstr szarytek, bo plany rozbudowy ich Domu Pielgrzyma były właśnie zatwierdzane przez wydział architektury, a dotowane częściowo

przez diecezję. Przed jedenastą spotkał się z mecenasem Jaworskim, który reprezentuje Kościół w procesach o zwrot mienia utraconego po czterdziestym piątym roku oraz w sporach dotyczących nieruchomości zapisywanych w spadku, i rozmawiali prawie pół godziny za zamkniętymi drzwiami. Pan mece-nas nie zechciał ujawnić, czego dotyczyła rozmowa, powiedział tylko, że jej treść w żaden sposób nie odnosi się do wydarzeń, które nastąpiły potem. Ogólnie rzecz biorąc, omawiano podob-no sprawy związane z polityką dotyczącą nieruchomości w Lublinie i do ujawnienia szczegółów konieczna będzie zgoda arcybiskupa.

- Wystąpimy o tę zgodę - odparł Hołownia.

Sylwia skinęła głową, nie odrywając oczu od notatek.

Jeżeli tak samo śmiało przesłuchiwała podejrzanych, mu-siała budzić wśród recydywy prawdziwy popłoch.

- Po jedenastej wyszedł z kurii i udał się na KUL, gdzie od jedenastej trzydzieści do trzynastej miał wykład dla studentów teologii o wcieleniu Ducha Świętego. Wykład przebiegał nor-malnie, żaden z innych pracowników ani studentów, z którymi rozmawiałam, nie zauważył nic dziwnego w jego zachowaniu, nic szczególnego nie rzuciło im się w oczy. Po wykładzie pojechał do stołówki Caritasu, gdzie zjadł obiad razem z bez-domnymi, tak jak zawsze w poniedziałek. Po obiedzie poszedł do biura, które jest obok stołówki, i rozmawiał z dyrektorem ekonomicznym. O szesnastej był już w Wyższym Seminarium Duchownym, gdzie prowadzone były warsztaty medialne, i tam pozostał prawie do dziewiętnastej. Pożegnał się z ojcem Dionizym, redemptorystą, który prowadził zajęcia, i wyszedł.

Wiemy, że był zaproszony na dwudziestą do jednego z dziekań na urodziny, gdzie bywał co roku, ale nie przyszedł. Jak na razie wydaje się, że ostatnimi osobami, które widziały go żywego, są ojciec Dionizy i furtian seminarium, który otwierał mu drzwi.

- Dzisiaj trzeba będzie wydać bardziej specyficzny komunikat, z prośbą o odezwanie się wszystkich tych, którzy widzieli lub słyszeli biskupa po wyjściu z seminarium. Trzeba również dołączyć jakieś zdjęcie biskupa, i dobrze, żeby to szło w wiadomościach lokalnych kilka razy dziennie przez następny tydzień. Być może zawężenie spektrum poszukiwań da do myślenia komuś, kto nie uważa swoich obserwacji za na tyle istotne, żeby się nimi z nami podzielić - powiedział komisarz.

- Daj Boże - odparła wysoka kobieta siedząca naprzeciwko Hagena - bo liczba telefonów i koncepcji, jakimi jesteśmy obdarowywani, jest niesamowita. Poprosiłam o współpracę dziewczyny z piątego roku psychologii, które wspomogą nas na umowę o dzieło. Odróżnić ziarno od plew nie będzie łatwo.

- Na razie nie było żadnych ważnych sygnałów? - upewnił się Hołownia.

- Na razie nic, co miałyby realny związek z zabójstwem. Dużo wyrazów oburzenia, podpowiedzi, kto jest naprawdę winny i stoi za tym wszystkim. Mam to nawet spisane: komuniści, skini, Żydzi, masoni, liberałowie, wrogowie Polski, Unia Europejska, Rosjanie i Ukraińcy. Jedna z kobiet twierdziła, że wykryje mordercę, jeżeli przyślemy jej strzęp jego zakrwawionej szaty, jak się wyraziła. - Szefowa telefonistek zamyśliła się na chwilę. - No i oczywiście Leśniewski przyznał się już do wszystkiego.

- Dziękuję wszystkim za wyczerpujące informacje - powiedział Hołownia i zaczął przydzielać zadania na resztę dnia.

- Mamy już wszystkie pozwolenia. - Hołownia wetknął głowę do ich gabinetu, gdzie Hagen studiował protokół sekcji zwłok. - Zawiadomiłem Lewickiego i jedziemy do mieszkania denata, a Nęcki wycisnie soki z sieci telefonicznych. Jedzie pan z nami?

- Jadę. - Hagen odłożył papiery z czerwonymi notatkami na marginesach. - Oczywiście, że jadę.

Był to budynek z lat dwudziestych, jedno z pierwszych westchnień modernizmu na południowych kresach, dom, który porzucił funkcję estetyczną na rzecz użytkowej, z fasadą bez wyrazu, wypełnioną rzędami trójdzielnych okien. Kiedyś w kolorze zgaszonego różu, teraz, po wielu latach kontaktu z wyziewami miasta, stał się podobny do brudnej szmaty do podłogi. Drzwi wejściowe były ciężkie, dębowe, przeszklone w górnej jednej czwartej matowym szkłem. Nowoczesny domofon wmontowano w ścianę po prawej stronie. Hagen nacisnął przycisk z napisem „dozorca” i po chwili drzwi zostały otwarte przez korpulentną kobietę w nieokreślonym bliżej wieku średnim.

- Ach, panowie do księdza biskupa - powiedziała, wpuszczając ich do środka po przeczytaniu legitymacji komisarza. - Proszę za mną.

Razem z całą ekipą Lewickiego dreptali za nią posłusznie na trzecie piętro, do drzwi zaplombowanych i oklejonych policyjną taśmą. Tutaj wszyscy założyli ochraniacze na buty, gumowe rękawiczki i czepki na włosy. Wyglądamy, jakbyśmy szli pod

prysznic, tylko wstydzimy się rozebrać, pomyślał Hagen. Po sprawdzeniu plomb otworzono drzwi kluczami gospodyni i cała ekipa weszła do środka. Było to jasne, trzypokojowe mieszkanie, z oknami wychodzącymi głównie na zielone podwórko z tyłu domu. W jednym z pokoi była sypialnia, w drugim gabinet, trzeci pełnił funkcję pokoju dziennego. Urządzone było nowoczesnymi meblami w różnych odcieniach jasnego drewna. Na podłogach leżały dywany o prostych geometrycznych wzorach, kolory były stonowane, pastelowe, wiele jasnego beżu, błękitów. W salonie stał zestaw kina domowego z dużym ekranem plazmowym. Obszerna, nowocześnie urządzona kuchnia, służyła też za jadalnię. Pod ścianą stał drewniany stół, w rogu duża lodówka Boscha z oksydowanym frontem, na blacie kuchenka mikrofalowa. Wszystko było czyste i pachnące cytryną, żadnych resztek jedzenia, żadnych brudnych talerzy w zlewie. Całość bardziej kojarzyła się Hagenowi z pastorem ewangelickim niż z następcą Ignacego Krasickiego. Nie było tu nic z ducha baroku, nie było niczego, czym przesiąknięta jest liturgia i przestrzeń duchowa Kościoła katolickiego od czasów kontrreformacji. Żadnego ekwiwalentu złotych szat pontyfikalnych.

- Czy ktoś prowadził dom biskupowi? - zapytał Lewicki.

Z pokoju obok usłyszeli trzask migawki, widać było rozbłyśki flesza.

Dozorczyzni skinęła głową.

- Ja sprzątam i piorę dwa razy w tygodniu. Czasem, jak ksiądz biskup ma gości, to prosi, żeby coś ugotować, bo tak zazwyczaj to jada na mieście, a śniadania i kolacje to sobie lubi sam zrobić.

- A kiedy ostatnio sprzątała pani tutaj? - Lewicki zatoczył ręką krąg, obejmując tym gestem całe mieszkanie.

- W poniedziałek. Jak tylko ksiądz biskup wyszedł z domu, zabrałam się do porządków. Pozmywałam, nastawiłam pranie, umyłam podłogi, łazienkę, przetrarłam meble, nawet telewizor. W poniedziałek zawsze robię generalne sprzątanie, a trzeba panom wiedzieć, że jestem dokładna, dlatego ksiądz biskup mnie zatrudnił. On zawsze lubił mieć czysto i wszystko na swoim miejscu.

W miarę jak mówiła, twarz Lewickiego wydłużała się, niemal jak na filmie rysunkowym. Wyglądało na to, że jego ekipa nie będzie tu miała wiele do zrobienia.

- Wie pani zatem dokładnie, pani Rokicka, gdzie co leży w mieszkaniu? - upewnił się Hołownia.

- Jakżebym miała nie wiedzieć? - Dozorczyńi spojrzała na otaczających ją mężczyzn z pewną dozą politowania. - Ja tu wiem, gdzie jest każda jedna rzecz, nawet najmniejsza.

- Świetnie. - Hołownia położył jej rękę na ramieniu. - Proszę teraz, żeby pani obejrzała całe mieszkanie, każdy kąt, i proszę nam powiedzieć, czy wszystko jest na swoim miejscu i czy nic nie zginęło. Niech pani się nie spieszy, proszę zwracać nam uwagę na każdy drobiazg, nawet taki, który wyda się pani całkiem nieważny.

- Myśli pan, że ten morderca tu był? - zapytała z niedowierzaniem w głosie.

- Nie wiem - odparł Hołownia szczerze - ale nie znaleźliśmy kluczy do domu.

- Dobrze, obejrzę wszystko krok po kroku, a jak tu był i coś wziął, to na pewno zauważę.

- Niech pani spojrzysz też, czy czegoś nie przybyło - powiedział Hagen.

- Możecie mi panowie zaufać. Sprzątam tu już trzy lata i wiele się tu przez ten czas nie zmieniło.

- Proszę zacząć od kuchni - powiedział Lewicki. - Raczej patrzeć niż dotykać.

Rokicka w milczeniu skinęła głową i zaczęła przeglądać zawartość szafek. Hagen wyszedł do salonu, ale tam technicy nadal robili zdjęcia, więc przeszedł do sypialni, niewielkiego pokoju, którego okno wypełnione było mokrymi, pożółkłymi liśćmi kasztanowca wyciągającego gałęzie prawie do samej szyby. Panował tu półmrok. Zapalił światło i przyglądał się miejscu, w którym biskup przestawał być hierarchą Kościoła, a stawał się człowiekiem pogrążonym w marzeniach sennych, w ich takt przewracającym się pod kołdrą. Wciągnął głęboko powietrze, ale zapach sypialni, sprzątniętej przez gospodynię, ulotnił się bezpowrotnie. Hagen czuł tylko drewno, lakier, odrobinę lawendy. Na ścianie nad łóżkiem wisiał mały krzyż z polerowanej stali, w pokoju nie było żadnych obrazów o treści religijnej, jakie kojarzą się z wnętrzami zagospodarowanymi przez ludzi Kościoła. Jedną ze ścian zasłaniała szafa wnękowa wykończona jasnym drewnem. W taflach lustra wprawionych w jej drzwi Hagen widział swoje odbicie. Naprzeciwko stało łóżko przykryte kremowo-błękitną, połyskliwą narzutą. Na ścianie na wprost okna wisiała duża grafika przedstawiająca obłę, splątane kształty, zawężlające się miejscami w czerń, nierozpoznawalne, pozostawiające uczucie niepokoju. Podeszedł do nocnego stolika. Leżała na nim, z rozpostartymi skrzydłami, grzbietem do góry, powieść „Nazo poeta” Bocheńskiego. Hagen podniósł ją i odwrócił. Na białych kartach napisane były tylko te słowa „Część trzecia - Śledztwo”.

- Zgadza się - mruknął i odłożył ją z powrotem.

Otworzył szafę i przejrzał wiszące w niej ubrania. Dwie su-tanny, koszule z koloratkami pod szyją, ciemne garnitury,

kilka par spodni, dwie marynarki, koszule białe i błękitne. Wszystko markowe, Digel, Boss, Zegna. Na specjalnym wieszaku wisiało kilka jedwabnych krawatów w stonowanych odcieniach bordo, granatu i szarości. Kieszenie marynarek i spodni były puste, z wyjątkiem kilku drobnych monet. Do sypialni weszli technicy, więc przeniósł się do gabinetu. Tutaj ściany pokryte były regałami wypełnionymi książkami. Pod oknem stało biurko z monitorem LCD, drukarką i klawiaturą, komputer stał na podłodze, za nim widać było plątaninę kabli.

- Pokaż mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś - szepnęła, podchodząc do kolorowych rzędów grzbietów książek.

Chciał zrozumieć, kim był zabity w domu na odludziu człowiek. O czym marzył, o czym myślał, na czym upływało mu życie, kiedy nie pełnił funkcji kapłańskich, nauczycielskich i administracyjnych. Przebiegł wzrokiem tytuły tomów na górnej półce. Teologia, książki polskie, włoskie i angielskie. Większość nazwisk nic mu nie mówiła. W oczy rzuciły mu się dzieła Ratzingera, prace Jana Pawła II, zbiór encyklik, dokumenty Vaticanum Secundum, kilka wydań Biblii w różnych językach, książki o historii Kościoła, ale również „Historia chrześcijaństwa” i „Historia Żydów” Johnsona, „Zarys dziejów religii”, jakieś książki o zen, o buddyzmie, wielkie wydanie „Mahabharaty” po angielsku, Koran. Niżej na półkach stało pięknie ilustrowane, wielotomowe wydanie „Baśni z 1001 nocy”, książki Tischnera, Kołakowskiego, św. Augustyn, kilka tomów pism tomistycznych, biografia Mistrza Eckharta i Benedykta XVI. Im niżej, tym bardziej świeckie tytuły, przewodniki krajoznawcze, książki o obsłudze programów komputerowych, po ęzne

albumy malarstwa, Ermitaż, d'Orsay, Luwr. Na samym dole, przy podłodze, zobaczył wiele numerów czasopisma „Zawsze Wierni” wydawanego przez Bractwo Kapłańskie św. Piusa X, obok stał mocno wysłużony mszał rzymski z 1963 roku w tłumaczeniu benedyktyńów tyńskich z imprimatur Karola Wojtyły. Biskup Wygnowski nie był postacią jednowymiarową, przynajmniej jeśli chodzi o gusta literackie. W całym księgozbiornie nie było prawie w ogóle beletrystyki, zauważył natomiast kilka książek popularyzujących naukę, „Krótką historię czasu” Hawkinga, „Życie wszechświata” Smolina. Na samym końcu najniższej półki wetknięty był plik luźnych kartek, spiętych spinaczem. Hagen wyjął go ostrożnie, spojrział na stronę tytułową i poczuł na karku znajome łaskotanie. Jedna z nici gęstej pajęczyny spowijającej to mroczne morderstwo napięła się i zadrgała. W rękę trzymał „Biblię Szatana” Szandora LaVeya, zwanego Czarnym Papieżem, założyciela Kościoła satanistycznego. Wydrukowana z jakiegoś portalu internetowego, 67 jednostronnie zapisanych kartek. To się nazywa pełne spektrum zainteresowań, pomyślał Hagen. Delikatnie, żeby nie zamazać odcisków palców, ujął znalezisko i zaniósł do salonu, by pokazać Hołowni.

- Może potrzebował tego do pracy naukowej - powiedział komisarz, przerzuciwszy kilka pierwszych stron.

Technicy zabezpieczali kartki pod kątem odcisków palców, wszyscy stali, przyglądając się im w milczeniu. Pamiętali, jakie znamiona nosił biskup, kiedy umierał.

- Być może, ale to ciekawy zbieg okoliczności. Ilu hierarchów ma takie rzeczy w domu? Zbiegi okoliczności są cennymi podarunkami od losu.

- Zapewne jest tak, jak pan mówi, inspektorze, chociaż nie wiem, jaki miałyby być bezpośredni związek tych dwóch faktów:

morderstwa, powiedzmy nawet rytualnego, i obecności tutaj tych papierów. Nie sądzi pan chyba, że Jego Ekscelencja był satanistą?

- Nie, raczej nie. - Hagen uśmiechnął się. - Ja też nie widzę bezpośredniego związku, choć nie zaprzeczy pan, że jest związek na poziomie metafizycznym. Lepsze to niż nic.

Gospodyni wyszła z kuchni i powiedziała, że według niej nic tam nie uległo zmianie.

- Zapraszamy do gabinetu - powiedział Lewicki i zniknęli za drzwiami.

Hagen podszedł do domowego centrum rozrywki. Przyjrzał się płytom kompaktowym. Muzyka poważna, tego można się było spodziewać, chociaż nie tylko sakralna. Obok Pergolesiego i Bacha jest ten mason Mozart i jego „Czarodziejski flet”, Beethoven, Vivaldi, Chopin. Jest Gershwin, Goodman, Glen Miller, Sinatra w dużych ilościach, Beatlesi, kolędy Mazowsza. Na drugim stojaku rock, heavy metal, rap. *Parental advisory, explicit content*.

- Nasz biskup słuchał wszystkiego - powiedział z podziwem stojący za jego plecami komisarz.

- Taki „wszystkoizm” może oznaczać, że nie miał jasno wyrobionych gustów lub że był otwarty na różne nowości. Ciekawe, co jest lepszą cechą dla biskupa? - zapytał Hagen.

Hołownia, pochylony nad szafką z kasetami wideo i płytami DVD, nie odpowiedział od razu.

- Niech pan przełączy telewizor na odtwarzacz DVD - powiedział do Hagen.

Inspektor podniósł pilot ze stolika i zaczął naciskać kolejne guziki. Po chwili na ekranie zobaczyli interaktywne menu poprowadzające film „Ksiądz”.

- Otwartość na nowości może prowadzić do nieposłuszeństwa - mruknął Hołownia. - O ile pamiętam, ten film był bardzo ostro skrytykowany przez Kościół. Był w nieoznaczonym pudełku, wydaje mi się, że skopiowany na komputerowej nagrywarce DVD. Jest tu jeszcze kilka takich, być może to jest jakieś archiwum prohibitów.

- Myśli pan, że jest tam „De revolutionibus” w wersji multimedialnej?

Komisarz uśmiechnął się i włożył do odtwarzacza następną płytę. Po kolei sprawdzili wszystkie DVD domowej produkcji. „Zły porucznik”, „Dziecko Rosemary”, „Omen”, jakaś lekko rozebrana komedia z lat dziewięćdziesiątych, „Ostatnie kuszenie Chrystusa”.

- Recepta na długie samotne wieczory - podsumował Hołownia - nic specjalnego.

A zatem umysł otwarty, chłonący świat wraz z tym, co Kościółowi oficjalnemu się podobało, i z tym, przeciwko czemu występował, nieraz bardzo gwałtownie. Na jednym regale materiały soborowe i prasa integrystów, Biblia i sataniści, Nowy Testament i gangsta rap. Im dłużej przyglądał się kremowobłękitnej wydmuszce, pozostałej po życiu Wygnowskiego, tym bardziej myślał, że chętnie poznałby go osobiście, w jakichś bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Panie komisarzu! - Lewicki wyszedł szybkim krokiem z gabinetu, niosąc przed sobą jakiś dokument. - Coś wreszcie mamy! Proszę spojrzeć, znaleźliśmy to w szufladzie biurka.

Doktor obrócił w ich stronę trzymaną w rękę, lekko wymiętą kartkę. Litery wycięte z gazety układały się w napis: *Twój Pan Nadchodzi*, a na dole, zamiast podpisu, narysowany był pentagram.

- To wygląda jak list od naszego człowieka - powiedział Hołownia podekscytowanym głosem. - Co pan o tym sądzi, inspektorze?

- Chyba tak - zgodził się Hagen. - Czy widziała pani tutaj kiedykolwiek któryś z tych dokumentów? - Hagen wskazał na wydruk „Biblii Szatana”, zabezpieczony już w foliowej torebce, i na pakowany właśnie list.

- Gdzie go pan znalazł? - zapytała Rokicka.

Hagen wskazał miejsce na regale i gospodyni stała przez chwilę w zadumie przed rządami półek.

- Nie pamiętam - powiedziała wreszcie. - Być może ksiądz biskup trzymał je wcześniej w którejś książce. Często tak robił, dlatego zresztą zabronił mi wyjmowania książek z regału, żeby mu się te kartki nie pogubiły. - Rokicka miała w ręku połą fartucha.

- A ta druga kartka? Ta, którą znaleźliście w szufladzie biurka, czy widziała ją pani wcześniej?

- Z tą kartką to nie wiem - wyznała jakby z pewną ulgą, widać było, że stała na znacznie pewniejszym gruncie. - Do szuflad ekscelencji nigdy nie zaglądałam. Ja tam nie jestem taka, żebym grzebała lokatorowi w papierach. Ja sprzątam, a nie szpieguję.

- Naturalnie, naturalnie - powiedział Hagen uspokajająco. Odwrócił się do Lewickiego i wskazał na książki. - Trzeba przejrzeć je tom po tomie. Zobaczymy, co jest między stronami.

- Zostawimy to sobie na deser, bo zrobiliby się tu zbyt ni bałagan i niepotrzebnie wzbilibyśmy kurz.

- No nie, jaki kurz, panie oficerze - powiedziała gospodyni urażonym tonem. - Tu wszystko odkurzone jak się patrzy.

Hagen zostawił Lewickiego na pastwę kobiety i wrócił do salonu.

- I jak? - spytał Hołownia, nadal zajęty przeglądaniem płyt na stojakach.

- Nie pamięta, czy wcześniej widziała te kartki - wskazał na dzieło LaVeya - a do szuflady nigdy nie zaglądała.

- Założmy zatem wstępnie, że to jednak jest list od mordercy lub kogoś z nim lub z nimi związanego, i miejmy nadzieję, że laboratorium znajdzie tu coś, co popchnie śledztwo do przodu.

- Założmy. - Hagen jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu.
- Nic tu już po nas, komisarzy. Wracajmy.

3

W komendzie czekała na nich wiadomość, że pomimo soboty Nęckiem udało się uzyskać dostęp do skrzynek pocztowych obu numerów biskupa, więc od razu ruszyli do głównej sali, żeby się z nimi zapoznać.

Wokół komputera stało kilka osób i pochylone wsłuchiwały się w charakterystyczny poświst nagrywanych wiadomości. Kiedy podeszli bliżej, wszyscy odsunęli się trochę i Nęcki skinął im głową.

- Mamy coś ciekawego? - Hołownia przysunął sobie krzesło i usiadł na nim odwrotnie, kładąc ramiona na szczycie oparcia.

- Pełna skrzynka nagrań na telefonie służbowym i dziesięć na prywatnym. Te służbowe to wszystkie są telefony z wtorku i środy, z prośbą o kontakt. Sprawdzamy numery, z jakich dzwoniło, ale wstępnie wydaje się, że pochodzą głównie z kurii i z KUL-u. W skrzynce prywatnego numeru jest jedno nagranie z poniedziałku, trzy z wtorku i sześć ze środy, czyli z dnia, w którym znaleziono ciało. Nie zarejestrował się numer dzwoniącego. Wydaje się, że jego telefon obsługiwany jest przez analogową centralę. Oto, co się nagrało.

Uruchomił program w komputerze i w ciszy wszyscy wsłuchiwali się w płynące z głośników dźwięki.

Pierwsze sześć połączeń było bardzo krótkich i bez żadnych nagrań. Wyglądało na to, że ktoś czekał cierpliwie do końca sygnału, a kiedy włączała się sekretarka, odkładał słuchawkę. Wreszcie w środę o 14.21 ktoś się odezwał.

„To ja, zadzwoń, proszę” - powiedział kobiecy głos i połączenie zostało przerwane. Następne trzy połączenia znowu były głuche.

- No cóż, niewiele - mruknął Hagen.

- Na domowej sekretarce są tylko nagrania z kurii - powiedział Hołownia, a potem streścił wyniki przeszukania mieszkania ofiary.

Kiedy ucichł szum podnieconych głosów i wszyscy rozeszli się do swoich stanowisk, Hagen przysiadł się do Nęckiego.

- Czy wiadomo, jakie dzelnice Lublina są obsługiwane przez centrale analogowe? - spytał.

- Owszem. Mam tu spis z TPSA. - Stuknął palcem w kartkę leżącą obok klawiatury. Hagen podniósł ją i zaczął odczytywać nieznanym nazwy zakreślające kwartały ulic.

- Nic mi to nie mówi - przyznał po chwili.

- Chodźmy do mapy, pokażę panu - zaproponował Nęcki.

Wstali i podeszli do planu miasta przypiętego pinezkami do płyty pilśniowej, zawieszzonego na ścianie. Nęcki czytał nazwy ulic, odnajdywał je na mapie i końcem ołówka zakreślał niewidoczne granice.

- Jest tego trochę - powiedział Hagen.

- Niestety tak - zgodził się Nęcki. - Na szczęście zarówno kuria, jak i KUL obsługiwane są przez centrale cyfrowe. Ta granica na przykład przechodzi tuż obok KUL-u i niektóre szkoły wyższe są podłączone do łączy analogowych. Gdyby była

przesunięta trochę bardziej w prawo, to mielibyśmy połowę niezidentyfikowanych numerów w nagraniach.

- Mamy już wydruki połączeń za ostatnie dni?
- Mamy. Właśnie nad nimi pracujemy z Sylwią. Wrócili od mapy do biurka Nęckiego.

- Interesują mnie wszystkie numery znajdujące się w analogowych strefach - powiedział Hagen. - Zaczynjcie od wyciągu z jego prywatnej komórki. Niech pan mi prześle te nagrania, posłucham ich sobie spokojnie w gabinecie.

Pół godziny później, kiedy Hagen kończył już raport do centrali, aspirantka Sobczuk przyniosła wyniki poszukiwań.

- Mamy trzy numery ze stref analogowych, z którymi denat łączył się w czasie ostatniego miesiąca. Jeden to centrala Akademii Medycznej, drugi należy do Zakładu Fizjologii Kręgowców Akademii Rolniczej, trzeci do parafii św. Elżbiety. Tu jest wyciąg z zaznaczonymi połączeniami. Połączenie z parafią było jednorazowe i trwało cztery minuty. Za to w okresie miesiąca rozmowy wychodzące z telefonu biskupa na dwa pierwsze numery trwały w sumie sto siedemnaście minut, czyli prawie dwie godziny, rozmowy zaś przychodzące z łączy analogowych prawie trzy godziny. W porównaniu: wszystkie inne rozmowy przychodzące w tym samym okresie trwały niecałe dwie godziny.

Hołownia podniósł głowę znad papierów i słuchał z zainteresowaniem.

- Co ciekawe, żaden z tych numerów nie był nigdy wybierany ze służbowej komórki. Trzeba przyznać, że ksiądz biskup potrafił oddzielać sprawy prywatne od służbowych.

- Zatem mamy dwa numery, na dwu uczelniach, które najprawdopodobniej konferują z biskupem, a na pewno numery te były przez niego wybierane - powiedział Hagen. - Proszę mnie poprawić, jeśli czegoś nie zrozumiałem. W sumie rozmowy te trwają w ciągu miesiąca prawie pięć godzin. Dłużej niż wszystkie inne razem wzięte, jak mi się wydaje... - Hagen szybko podsumował w pamięci kolumny cyfr. - Sporo dłużej.

Aspirantka Sobczuk kiwała głową w takt wypowiedzi inspektora, zgadzając się z nim całkowicie, i Hagenowi nasunęło się skojarzenie z pieskiem, którego kiedyś kierowcy stawiali na tylnej półce w samochodzie i który kołysał głową do jadących za nimi w miarę mijanych nierówności na drodze.

- Chciałbym, żeby pani zajęła się identyfikacją rozmówców biskupa. Sprawa jest ważna, bo ten, z kim dyskutuje się godzinami, zazwyczaj wie całkiem sporo o rozmówcy, a na razie nikt nie chce powiedzieć nam o nim nic, co wychodziłoby poza ramy schematu. - Hagen klepnął stos protokołów z przesłuchań, jaki zaczynał gromadzić się na biurku. W specjalnych pokojach cała ekipa rozmawiała z ludźmi z KUL-u, z kurii i z seminarium.

- Zorientuj się, czy w poprzedzających miesiącach intensywność komunikacji była podobna jak we wrześniu - polecił Hołownia. - Sięgnijmy wstecz tak daleko, jak zapisy pozwolą. Gdybyśmy tylko mogli wiedzieć, o czym rozmawiali... - Komisarz się rozmarzył.

- Wiemy lub możemy się przynajmniej domyślać, że jednym z rozmówców jest kobieta. To sugeruje nagranie na jego prywatnej komórce. Trzeba ją znaleźć. Ją i tę drugą osobę. Może rozmawiał z nimi o tym anonimie, który znaleźliśmy w domu? Do tej pory nikt nie pamięta, żeby biskup o nim wspominał.

- To prawda. - Hołownia odchylił się na krześle i spojrział w sufit, jakby tam szukając natchnienia. – Jego współpracownicy z seminarium i z KUL-u nie potwierdzają żadnego specjalnego zainteresowania diablami ani w przeszłości, ani ostatnio. Co innego w domu Biblia Szatana”, „Omen”, „Dziecko Rosemary” na DVD...

- Z drugiej strony, nie zauważyłem zbyt wielu publikacji stricte naukowych na ten temat w domowym księgozbiore. - Hagen spojrział na dziewczynę. - Może byśmy tak przejrzeli zapis książek pożyczanych w bibliotece uniwersyteckiej?

- Chętnie się tym zajmę - odparła Sylwia i wstała, aby wyjść. Jeśli posiedziałyby w tym pokoju dłużej, musiałyby przynieść do biura dmuchany materac, by wygodnie spędzać tu pracowite noce.

Na komputerze pojawiła się informacja o nowej poczcie, więc otworzył wiadomość.

- Oho - powiedział. - Mamy wyciągi z konta bankowego biskupa.

Kliknął odpowiednią ikonę i wstał, żeby podejść do drukarki.

- Przesłałem panu wyciągi z konta Wygnowskiego - poinformował go Nęcki, przechodząc koło jego biurka.

- Tak, dziękuję. Już je drukuję.

- Mam tu też wydatki z karty kredytowej za trzy miesiące wstecz, ale poza jedną pozycją nie ma tam nic ciekawego.

- A ta pozycja?

Hagen zdjął wydruki z podajnika i odwrócił się w stronę rozmówcy. Aspirant pokazał mu linijkę z wrześniegowego podsumowania.

- Jubiler. Zaraz będę do nich dzwonił. Wszystkie sklepy na Krakowskim są czynne w sobotę.

- Niech pan do nich od razu pojedzie ze zdjęciem Wygnowskiego. Bardzo jestem ciekaw, co kupował za prawie 600 złotych.
- Myśli pan, inspektorze, że stara maksyma *cherchez la femme* będzie miała zastosowanie w naszej sprawie?
- Nie wiem - Hagen pokręcił głową - ale szukać trzeba.

Usiadł wygodnie, tyłem do okna, żeby mieć jak najlepsze światło. Ponieważ Hołownia wybrał się posłuchać rozmów ze współpracownikami biskupa z KUL-u i był w pokoju sam, założył nogi na blat biurka. Powoli, punkt po punkcie, przeglądał wyciągi z konta, zaznaczając małe ptaszki na marginesie przy powtarzających się wypłatach. Wygnowski nie wydawał wiele, jak na księcia Kościoła, pomyślał najpierw, sumując w myśli miesięczne obroty. Z drugiej strony, należało wziąć pod uwagę, że kuria zapewniała mu mieszkanie, wyposażenie mieszkania, samochód, kierowcę, opłaty za telefon domowy i komórkę, płaciła ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne, a obiady jadał w pracy. Nie miał rodziny, a wiemy, ile kosztuje posiadanie dzieci. Zatem na co wydawał pieniądze i skąd je brał? Wpłaty oznaczone jako „przelew z instytucji kościelnej” pojawiały się dwa razy w miesiącu, jedna mniejsza, druga dość znaczna. Oprócz tego pensje z KUL-u i z seminarium duchownego. Była także wpłata z „Tygodnika Powszechnego” i z wydawnictwa Znak. Regularnie pojawiały się również niewielkie sumy przelewane przez jakieś firmy z Zamościa. Odnotował, że należy je sprawdzić. Teraz wydatki. Największą pozycję stanowiła co miesiąc obsługa karty kredytowej, a tam, jak powiedział Nęcki, nie było ponoć nic ciekawego. Oprócz tego drobne kwoty po 100 lub

200 złotych wyjmowane z bankomatów. Tylko raz we wrześniu, jedenastego, wypłacono 700 złotych. Przebiegł wzrokiem wydruk sierpniowy. Spłata 1700 złotych debetu na karcie, nic, nic, 900 złotych wypłacono dziesiątego sierpnia. W lipcu 800 złotych jedenastego, w czerwcu 700 dwunastego. To było wszystko, co dostali. Majowego wydruku już nie było. Napisał e-maila do Nęckiego z prośbą o sprawdzenie, kiedy zaczęły się te wypłaty, dokonywane pod koniec pierwszej dekady miesiąca. Kiedy Hołownia wrócił, zapoznał go ze swoim znaleziskiem, ale komisarz nie był specjalnie poruszony.

- Niech w tym pogrzebią - zgodził się jednak, mając na myśli Nęckiego. Widać było, że choć nieprzekonany, to chciał być zabezpieczony tak, by nikt nie mógł mu zarzucić lekceważenia sugestii człowieka z Warszawy.

Wybierali się właśnie, żeby coś przegryźć, kiedy zadzwoniono z kurii i Hołownia został połączony z arcybiskupem. W kilku słowach streścił do słuchawki, co zrobiono w ciągu dnia, nie wspomniał jednak o żadnych znaleziskach. Hagen wsparł się ramieniem o framugę i słuchał. W miarę trwania rozmowy Hołownia chmurzył się coraz bardziej. Palce prawej ręki niecierpliwie wybijały rytm na blacie biurka.

- Mam nadzieję, że będzie to możliwe. Tak, postaramy się to zagwarantować. Oczywiście, rozumiemy sytuację, w jakiej znalazła się cała diecezja - powtarzał kilkakrotnie. Po chwili odłożył słuchawkę, założył płaszcz i wyszli z pokoju.

- Przyjechał już ten jezuita z Rzymu, ojciec Scarpì, czy jak mu tam - powiedział, kiedy szli korytarzem. - Arcybiskup zaprasza nas na spotkanie do pałacu na piętnastą. Wygląda na to, że mamy mu zdać sprawozdanie ze wszystkiego, co dotychczas

udało nam się ustalić. Poprosili nas również o dokumenty. Zdjęcia z miejsca przestępstwa, protokoły przesłuchań, wyniki autopsji i badań laboratoryjnych. Wydaje się, że nie mają zamiaru zadowolić się naszymi raportami, ale chcą prowadzić własne śledztwo.

- No to pięknie. - Hagen uśmiechnął się. - Najpierw ja, a teraz ma pan na głowie jeszcze inkwizycję.

Wyszli z komendy i zmiierzali szybkim krokiem w stronę restauracji, którą komisarz polecał. Przestało padać, ale niebo było ciemnoszare i deszcz ciągle wisiał w powietrzu.

- Łatwo się panu śmiać, inspektorze. - Hołownia był wyraźnie rozdrażniony. - Rozumiem - komenda główna. Zawsze tam jakoś z wami współpracujemy, ostatecznie to nasza własna góra, okej. Ale na Boga, to już jest chyba lekka przesada. Niedługo jak zamordują kierowcę, to będziemy przekazywać materiały śledcze korporacjom taksówkowym. Będziemy je publikować w „Kurierze” albo coś w tym stylu.

Hagen rozumiał jego stan ducha. Śledztwo nie było proste i nikt nie mógł zagwarantować, że zakończy się powodzeniem, a tu dochodziła jeszcze subtelna gra z hierarchią kościelną w „wiem, ale wam nie powiem, bo nie wiem, czy mogę”.

- Obawiam się, że nie mamy wyboru. Zarówno minister spraw wewnętrznych, jak i komendant główny obiecali nuncjuszowi i episkopatowi pełną współpracę. Musielibyśmy mieć bardzo poważny powód, żeby nie udostępniać im tych materiałów.

- Być może, ale przecież nie muszę panu tłumaczyć, że równie dobrze mógł go załatwić ktoś ze swoich. Na razie nie wiemy, jaki mógł mieć motyw. Może pieniądze, może ambicja, może choroba umysłowa. Wszystko jest możliwe. A ponieważ

nic do tej pory nie jest jasne, to nie możemy roznosić po całym mieście tych cholernych materiałów!

- Niech pan zadzwoni do komendanta – poradził Hagen. - Powinien wiedzieć, co się szykuje.

Hołownia wyjął telefon i po chwili, spokojniejszym już głosem, zdał przełożonemu relację z żądań kurii.

- Tak. Tak jest. Oczywiście - powiedział po chwili przerwy.

- Komendant chce z panem mówić. - Podał telefon Hagenowi.

Inspektor powtórzył te same argumenty, które przedstawił Hołowni, a następnie doradził, żeby skontaktować się z nadinspektorem w Warszawie.

- Oddzwonię do was, jak tylko coś będę wiedział - powiedział na koniec komendant i rozłączył się.

- Nie lubi, jak mu przeszkadzać w weekendy - zauważył Hołownia, który wyparskał już całą złość i zdawał się nieco zrezygnowany.

- A kto lubi? - spytał Hagen i dalszą drogę odbyli w milczeniu.

Sekretarz arcybiskupa spotkał ich przy samym wejściu i szybko wskazał im drogę na górę. Ekscelecja oczekiwał ich w tym samym pokoju, co poprzednio. Po lewicy biskupa siedział szczupły ksiądz o czarnych, lekko przetykanych siwizną włosach, pociągłej twarzy, wydatnym, wąskim nosie i dużych, ciemnych, inteligentnych oczach. Kiedy wstał, żeby się przywitać, Hagen zauważył, że jest niskiego wzrostu. Gdy Hołownia podawał mu rękę, ksiądz sięgał mu ledwo pod pachę.

Ku zaskoczeniu policjantów arcybiskup zaczął rozmowę po polsku, a Scarpi kiwał głową, jakby wszystko rozumiał. Po chwili

odezwał się zresztą sam, mówiąc zupełnie poprawnie, chociaż z silnym akcentem. W odpowiedzi na wyrażone przez Polaków zdziwienie uśmiechnął się i wyjaśnił, że jego matka była Polką, a i jeszcze do niedawna był to język bardzo popularny w Watykanie.

- Proszę mi wybaczyć wszystkie błędy, jakie na pewno popełnię, i proszę pamiętać, że jestem pełen dobrej woli.

Hołownia poruszył następnie sprawę dokumentów.

- Wszystko, o co panowie prosiliście, dostarczymy jeszcze dziś, tu do pałacu. My, ze swej strony, stawiamy warunek, żeby do tej dokumentacji miało dostęp jak najmniej osób. Proszę sporządzić listę uprawnionych i oddać ją ludziom, którzy przywiozą papiery. Gdzie właściwie chcielibyście je panowie przechowywać?

Hagen przyglądał się w milczeniu, jak omawiają szczegóły techniczne. Scarpi gestykulował dość oszczędnie, mówił cichym głosem, oczekiwał na odpowiedzi gospodarza, a kiedy ten się wypowiadał, lekko kiwał głową, jakby potwierdzając, że ze wszystkim się w zupełności zgadza. Arcybiskup jednak, jak zauważył inspektor, nie czuł się swobodnie i komfortowo mimo pełnej pokory postawy gościa. Hagen pochwycił jedno czy dwa szybkie spojrzenia Gościmskiego, kiedy Scarpi zdecydował się przemówić, i pełen rewerencji ton, w jakim do gościa zwracał się sekretarz gospodarza. Choć pozbawiony zewnętrznych oznak władzy, Scarpi był postacią, z którą nawet arcybiskup musiał się liczyć. Był trochę jak niższy stopniem oficer kontrwywiadu, do którego uśmiechają się starzy generałowie, bo kto wie, czyją teczkę studiuje w biurze wieczorami.

- Nie chcielibyśmy pozostawić wrażenia, że Kościół miesza się w prowadzone przez policję śledztwo - mówił tymczasem

ojciec jezuita. - Naszym celem jest tylko zorientowanie się w faktach, które miały miejsce, oraz wyciągnięcie wniosków ważnych dla tutejszej katolickiej wspólnoty. Śmierć naszego brata, męczeńska śmierć, nie powinna pozostać niewyjaśniona. W pełni ufamy sprawności polskiej policji, niemniej pragniemy, o ile to będzie możliwe, przyczynić się do dzieła sprawiedliwości. Choćby przez ułatwienie zrozumienia różnych aspektów życia Kościoła, które nie dla wszystkich przychodzących z zewnątrz są jasne i oczywiste.

Liczba mnoga, jakiej używał, zadźwięczała Hagenowi w uszach znajomo. Oto człowiek, za którym stoi potężna organizacja. *Roma locuta*. Miał wrażenie, że ostatnio spotykał takich ludzi na swej drodze zbyt często.

Znowu miał przed sobą twarze dwóch zwalistych, krótko ostrzyżonych Amerykanów, którzy też mówili o sobie „my”, ale bynajmniej nie chodziło tylko o obecnych w pokoju.

- Uważamy, że to, co się wydarzyło, było ze wszech miar niefortunne, i pragniemy, żeby cała sprawa dobiegła końca, zanim któraś ze stron poniesie jakiegokolwiek straty.

Dwie pary chłodnych oczu patrzyły na niego uważnie.

- Ja natomiast uważam, że zaszła tu jakaś szalenie niefortunnna pomyłka, i chciałbym zakończyć już tę rozmowę - powiedział wtedy Hagen i zaczął wstawać od stołu.

- Niech pan poczeka, inspektorze - powiedział jeden z nich, a następnie zdarzyło się coś, czego Hagen zupełnie się nie spodziewał.

- ...Zarówno inspektor Hagen, jak i ja będziemy z panami w codziennym kontakcie. Proszę, oto moje wizytówki. - Komisarz wręczył rozmówcom białe kartoniki.

Hagen pośpiesznie wyjął wizytownik i wymienił adresy z ojcem Scarpim.

- Na moją komórkę trzeba dzwonić przez Rzym, niestety. - Jezuita uśmiechnął się. - Ale zwykle będziecie mnie mogli panowie zastać tutaj, w kurii, gospodarz bowiem był tak łaskawy i zaferował mi mieszkanie w Pałacu Biskupim.

- Myślałem, że ojciec zatrzyma się u jezuitów - rzucił Hagen lekkim tonem.

Scarpi i Gościmski spojrzeli na siebie krótko.

- Może następnym razem, jak Bóg pozwoli - odparł Włoch.

- Wizytujący zakonnik winien posłuszeństwo biskupowi diecezji, na której terenie przebywa - powiedział żartobliwym tonem arcybiskup, odstawiając ostrożnie filiżankę - więc ojciec Scarpi nie mógł mi odmówić.

- Posłuszeństwo rzecz święta. - Scarpi skłonił lekko głowę. - Każdy z nas winien jest posłuszeństwo swemu pasterzowi.

Hagen uśmiechnął się w duchu, słysząc, jak nad chińską porcelaną z angielską herbatą delikatnie dźwięczą krzyżowane klingi.

- Posłuszeństwo i dyscyplina - podchwycił Hołownia. - Tych cnót chyba najbardziej nam brakuje.

- I modlitwy, komisarzu - dodał arcybiskup - i modlitwy.

Kiedy się żegnali, sekretarz nachylił się i szepnął coś do ucha biskupa.

- Ach tak, dziękuję - powiedział Gościmski, po czym zwrócił się do policjantów: - Panowie, uroczysta msza żałobna za duszę świętej pamięci biskupa Wygnowskiego odbędzie się we wtorek w archikatedrze, a pogrzeb w środę, w Zamościu. Ciało

zostanie złożone do grobu rodzinnego. To będzie prywatna uroczystość.

Sobota wieczór w obcym mieście. Hagen słyszał głosy współlokatorek wybierających się na prywatki, ale nie wyrzał z pokoju, chociaż ciekawość, jak też naprawdę wygląda poznana rano dziewczyna, o mało nie wzięła góry. Leżał na tapczanie z poduszką złożoną podwójnie pod głową i czytał zapisy przesłuchań, a część tych nieprzepisanych słuchał na walkmanie. W uszach brzęczały mu głosy, przed oczami migotały słowa, a on próbował z tego szumu wydobyć choćby jeden dźwięczny ton lub może jedno miedziane brzęknięcie.

Nic.

Nic, czego można by się uczyć. Wzorowy administrator, pełen energii i pomysłów. Dobry wykładowca, lubiany przez studentów, „nie zakładał drętwej mowy”, zawsze przygotowany, całkiem pokaźny dorobek naukowy, biegle posługiwał się trzema językami. „Spodziewaliśmy się, że w przyszłości będzie jednym z filarów, kontynuatorów lubelskiej szkoły filozoficznej, szczególnie w zakresie filozofii religii”, powiedział jeden ze starszych wykładowców. Nie zaniedbywał obowiązków duszpasterskich, odprawiał msze, przynajmniej dwie w tygodniu, a w niedzielę dodatkowo spowiadał w archikatedrze. Zajmował się biednymi, bezrobotnymi, sierotami i upośledzonymi dziećmi. Pod jego ręką działalność charytatywna Kościoła nabrała rozmachu. Potrafił zdobywać pieniądze. Miał kontakty w całej Europie, jeszcze z rzymskich czasów, i umiał je wykorzystywać. Jak powiedział jego sekretarz, ksiądz Nawrocki: „Wierzył, że papież miał rację, mówiąc, że działalność dobroczynna Kościoła stąpiła ostrze ateizmu w komunistycznym świecie. Uważał,

że tak stanie się i teraz, kiedy zagrożeniem nie jest już ateizacja, lecz laicyzacja społeczeństw. Zawsze powtarzał, że łódź kościelna będzie dryfować na mielizny indyferencji religijnej, taki jest bowiem aktualny prąd historii europejskiej. Dlatego należy ją wiązać do ludzkich serc nie tylko stołą, ale i miłosierdziem”. To już za jego czasów lubelski Caritas rozpoczął wielką akcję koordynacji pomocy parafiom katolickim i unickim na Ukrainie. Pomocy, która nadchodziła do Lublina z całej Europy, a potem była rozdzielana przez władze diecezji według potrzeb. Czytając to, Hagen uzmysłowił sobie, że słyszał o tej akcji w radio lub w telewizji. Tak... energia, rozmach, inteligencja, miłosierdzie. I modlitwa.

Przyglądał się przez chwilę zdjęciu biskupa, które wysunęło się z teczki z dokumentami. Pociągała twarz, lekki uśmiech kształtnych ust, gęste ciemne włosy, starannie uczesane, wysokie, odsłonięte czoło i oczy, chyba niebieskie, patrzące zza okularów bez oprawek. Oczy, których już nie było, kiedy wczoraj Hagen wpatrywał się w te same rysy. Dlaczego? - pytał się po raz nie wiadomo który, odkładając papiery na piersi i patrząc na ścianę z obrazkiem z Afryki. Dlaczego go zabito?

Spośród morza słów, które zapisano na różnych nośnikach w tej sprawie, nie wyłaniał się żaden możliwy do przyjęcia motyw. Czyżby jednak sekta lub szaleniec? Być może ludzie, z którymi biskup tak długo konwersował przez telefon, będą wiedzieć coś więcej. Może ksiądz Piotrowski, z którym Hagen był umówiony na jutro, będzie mógł powiedzieć coś bliższego o człowieku, którego wszyscy zdawali się znać bardzo powierzchownie.

„Rzadko go widywałam”. - Głos siostry Wygnowskiego, młodszej od niego o kilka lat, brzmiał miło i łagodnie. Była nauczycielką w szkole podstawowej w Zamościu, mężatką z dwojgiem dzieci. Biskup był ojcem chrzestnym starszego. Inspektor był pewien, że dzieci lubiły jej słuchać, kiedy prowadziła lekcje. „Od czasu wstąpienia do seminarium rzadko gościł w domu. Nawet wakacje spędzał na jakichś wyprawach z kolegami, często za granicą. Potem, kiedy wyjechał do Rzymu, to nasz kontakt był praktycznie tylko listowny. Myślałyśmy z mamą, że jak wróci i obejmie parafię, będziemy go częściej oglądać, ale jego kariera potoczyła się tak szybko... Teraz, odkąd został wyświęcony na biskupa, to właściwie słyszeliśmy się głównie przez telefon. Czasem przyjeżdżał na chwilę. Wpadał, żeby ucałować matkę, chwilę porozmawiał, pobawił się z dziećmi i już go nie było. Był bardzo zajęty. Tylko święta Bożego Narodzenia starał się, choćby częściowo, spędzić w domu, a to nie jest łatwe, dla duchownego znaczy...”.

Nawet najbliższa rodzina niewiele o nim wiedziała. A co dopiero dalsi krewni i współpracownicy... Bo trzeba zjeść beczkę soli, żeby poznać człowieka, to po pierwsze. Po drugie zaś, nikt nie feruje wobec policji pochopnych wyroków ani nie wypowiada niezbyt wyważonych sądów na temat biskupa i profesora wyższej uczelni. Można spekulować, gdy zginie sąsiad z bloku, i snuć domysły na temat jego ciemnych powiązań i łajdackiego prowadzenia się. Pozycja społeczna Wygnowskiego sprawiała, że stara zasada *de mortuis nil nisi bene* nie pozwalała przeniknąć do żadnych szczegółów i aspektów jego życia, które nie należały do oficjalnej biografii. Jeszcze raz popatrzył na zdjęcie biskupa, a potem zaczął przeszukiwać dokumenty.

Po dłuższej chwili w stosie na biurku odnalazł fioletową teczkę pełną kserokopii, które zaczął niecierpliwie przerzucać. Spis rzeczy znalezionych przy zmarłym, a raczej w starej studni, w obejściu i w gajówce, w mieszkaniu. Ponieważ nie było tam tego, czego szukał, czerwonym flamastrem napisał na teczce: *Gdzie są okulary denata?* Zamknął ją, spojrzął na zegarek i stwierdził, że przyszła już pora na dobrą kolację.

„Piwnica” była według Hołowni najlepszą restauracją w Lublinie. „Jest tam jednak dosyć drogo” - ostrzegł lojalnie komisarz, nieświadom, że po chrzcie cenami warszawskimi i brukselskimi niewiele jest w stanie człowieka zadziwić. Hagen usiadł przy małym stoliku dla dwojga, zarezerwowanym wcześniej w ciągu dnia, zamówił piwo i zaczął studiować menu. Ze wzrastającym apetytem ślizgał się wzrokiem po nazwach potraw. Zamówił przystawki, a jako danie główne nerkę z grilla z czosnkiem, duszone bakłażany i pomidory w oliwie. Rozparł się wygodnie na krześle i wolno sączył zimny bursztynowy napój. Myśłami wrócił do popołudniowego spotkania z wysłannikiem papieża. Inteligentny jezuita ze swoim „my” stanął mu przed oczami, a zaraz potem znowu zobaczył tych dwóch osiłków mówiących do niego: - Niech pan poczeka, inspektorze.

Hagen zatrzymał się wtedy w pół gestu, niewyprostowany jeszcze całkowicie, i spojrzął na nich. Patrzyli na niego spokojnie, z lekkim półuśmieszkiem, ale nie na twarzy, broń Boże. Migotał zwodniczo gdzieś na dnie oczu, a może teraz tak mu się tylko wydaje. Usiadł z powrotem.

- Słucham. Czy macie panowie jeszcze coś do powiedzenia?

Ten z lewej wyjął z teczki grubą brązową kopertę i wyciągnął ją w stronę Hageny.

- Proszę. Proszę bardzo - dodał, kiedy zobaczył, że ten waha się, czy wziąć oferowane papiery.

Hagen sięgnął przez stół, ujął pakunek, który okazał się nadspodziewanie ciężki, i otworzył go. Na blat wysypał się stos lśniących zdjęć. Hagen wziął pierwsze z brzegu, obrzucił je szybkim spojrzeniem i zamarł. Zobaczył nagą parę, kochającą się na wielkim łóżku z białą pościelą, kobieta miała jasne włosy i szczupłe uda, a mężczyzną był on. Odruchowo spojrzął jeszcze na kilka zdjęć, jakby nie dowierzając własnym oczom, szukając na nich potwierdzenia. Tak, była tam również twarz Claire. Z przymkniętymi oczyma, lekko rozchylonymi ustami, skupiona na rozkoszy, pochłonięta miłością, nieobecna, piękna. Hagen czuł, jak narasta w nim fala wściekłości. Zrobiło mu się nagle gorąco i mięśnie szczęk stężały mu tak, że nie był zdolny powiedzieć ani słowa. Zaczął szybciej oddychać. Pod stołem jego lewa dłoń mocno zacisnęła się na udzie, aż ból dotarł do niego i nagle przestraszył się sam siebie, bo bliski był wyciągnięcia pistoletu i zrobienia krwawej jatki, bez względu na konsekwencje. Jakim prawem brukacie czyjeś życie, wy bydzie hamburgerowe, co daje wam prawo pchać grube paluchy w czyjaś duszę i serce?! - chciał krzyknąć im w te kanciaste mordy, ale nagle przecucie własnej śmieszności w tej wyreżyserowanej sytuacji spuściło z niego wezbrany gniew jak powietrze z przekłutego balonu. Jednym płynnym ruchem zgarnął stos zdjęć, wsadził je z powrotem do koperty i położył na kolanach. Przez chwilę bał się, że ręce będą mu się trzęsły. Nie chciał okazać nawet cienia słabości, nie chciał im dać tej przyjemności. Odetchnął jeszcze raz, głęboko, bo bał się, że głos go

zawiedzie, i odezwał się z całym udawanym spokojem, na jaki było go stać.

- Czy mają panowie nakaz prowadzenia inwigilacji podpisany przez miejscowego sędziego śledczego?

Spojrzeni na siebie, ich twarze nie zmieniły wyrazu, miało się wrażenie, że takich rozmów odbyli już dziesiątki.

- Jak już wspomnieliśmy, panie inspektorze, uważamy, że dla dobra wszystkich zainteresowanych, również dla pana własnego dobra, należy zakończyć związek łączący pana z panią Claire Carmody. Pani Carmody jest żoną pracownika służby dyplomatycznej USA. Mogłaby mieć dostęp do materiałów nieprzeznaczonych dla osób postronnych. Kontynuowanie przez państwa tego związku niesie ze sobą ryzyko zagrożenia bezpieczeństwa narodowego. Pan, inspektorze, nie przeszedł procesu weryfikacji i nie otrzymał pan klauzuli dostępu do danych uznanych przez nasz rząd za ściśle tajne.

Pani Carmody jest żoną pracownika CIA, chciał powiedzieć Hagen, ale ugryzł się w język i tylko patrzył na nich z twarzą bez wyrazu.

- Jeżeli państwo nie postąpicie zgodnie z naszą sugestią, wtedy o wszystkim będzie poinformowany pan Carmody i zgodnie z zasadami będzie musiał albo natychmiast rozstać się z żoną, albo porzucić pracę.

Hagen zrozumiał w tym momencie, że pewnie jednocześnie rozmawiają z Claire, i na myśl o upokorzeniu, jakie będzie odczuwać na widok tych ohydnych zdjęć, znowu poczuł, jak czerwona mgła wściekłości zakrywa mu oczy. Skurwysyny! Odczekał moment, powtarzając sobie w myślach, że nie chce zrobić żadnego głupstwa, które mogłoby jej zaszkodzić.

- Czy teraz to już jest wszystko? - zapytał.

Spojrzeni na siebie, a po krótkiej chwili ten siedzący po prawej odparł:

- Tak, na razie to wszystko. Będziemy z panem w kontakcie.

- Nie wątpię - powiedział Hagen tak chłodno, jak tylko był w stanie, wziął kopertę i wyszedł z pokoju.

Dopiero po długiej chwili zorientował się, że idzie ulicą w rozpiętym płaszczu, bez parasola, a zimny deszcz zacina mu prosto w twarz. Zawinął się w mokre już poły. Cholerna pogoda, niech ją szlag trafi...

- Pana przystawki - powiedziała kelnerka i zaczęła ustawiać na stole talerzyki pachnące bazylią i słońcem.

Niedzielnny poranek ma w sobie zawsze coś odrobinę uroczystego. W powietrzu zawisa bicie dzwonów, zegar tyka głośniej niż zwykle. Ludzkie mrowisko porusza się w powolniejszym, trochę sennym rytmie. Wyspany, wykąpany, Hagen celebrował świąteczne lenistwo w małej kuchni. Nastawił posoloną wodę na duży gaz, wyjął z lodówki dwa jajka i położył na blacie przy kuchence. Palnik szumiał, inspektor kroił chrupiącą skórkę dobrze wypieczonego chleba.

- Dzień dobry - zabrzmiał kobiecy głos i Hagen odwrócił się. Gęste, połyskliwe włosy upięte były w koński ogon i widział teraz wreszcie jej ciemne oczy, wysokie kości policzkowe, pełne usta. Lekko śniada cera, brwi wygięte łagodnymi łukami, starannie wydepilowane. Wchłonął to wszystko jednym spojrzeniem. Ubrana była w kremowy szlafrok frotte sięgający do połowy łydki, więc z wczorajszych opalonych nóg pozostało tylko wspomnienie.

- Dzień dobry.

Przez chwilę zastanawiał się, czy w żartobliwy sposób nie nawiązać do poprzedniego spotkania, ale doszedł do wniosku, że może to być dla niej krępujące, i postanowił być poważny i

szarmancki. Zaprosił ją na śniadanie. Zapytał, czy lubi jajka po wiedeńsku, a kiedy powiedziała, że nigdy jeszcze nie próbowała, zaproponował, że zrobi jej małą porcję, jeśli rzecz jasna jada jajka na miękko, bo jak to ujął, jest jej to winien za swoje niewybaczalne zachowanie w sobotę. Nie powinno się nigdy tak straszyć młodych dam. Nie ma sprawy, usłyszał na to, nie mógł przecież wiedzieć, że ona wejdzie tu tak znieca, zresztą pani Maria wspominała wcześniej, że ktoś nowy będzie tu mieszkał, ale miała teraz tyle zajęć, że zupełnie o tym zapomniała. Przeszli na ty zupełnie naturalnie, jakby wczorajsze wydarzenie zbliżyło ich do siebie i pomogło przełamać dystans wypływający z różnicy wieku.

Zrobił jej kawę, dla siebie kakao. Ugotował jajka, obrał i włożył do dużych szklanych kielichów. Posolił, posypał świeżo zmielonym pieprzem, udekorował wiórkami masła i natką pietruszki. Podał na stół.

- To miłe, taka obsługa w niedzielny poranek - powiedziała i uśmiechnęła się po raz pierwszy. Miała duże, białe zęby, w okolicy trójek widać było mały fragment różowych dziąseł.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ostatnio prawie zawsze jadam samotne śniadania, zatem jest to jakaś odmiana.

Jedli, rozmawiając o niej. Dowiedział się, że studiowała historię sztuki, była na ostatnim roku i przymierzała się do pracy magisterskiej. Zanim zdecydowała się na swój obecny kierunek, była rok na polonistyce, ale już po pierwszym semestrze wiedziała, że to nie to. Zmieniła polonistykę na drugi w kolejności wybór i nie zawiodła się. Widziała przed sobą jasną przyszłość, tym bardziej że ciotka, dość już wiekowa, była współwłaścicielką jednego z dużych domów aukcyjnych w Warszawie.

- Jednak mój ojciec do dziś nie może mi wybaczyć, że nie poszłam na prawo. Prowadzi dużą kancelarię adwokacką i chciał, żebym ją po nim przejęła.

- A właściwie czemu nie?

- To takie nudne. Od małego słuchałam ojca i jego kolegów dywagujących nad rozmaitymi sprawami. Kradzież węgla w cukrowni, włamania do sklepów, rozwody, potem sprawy cywilne, oszukani wspólnicy, beznadzieja. Życie prawnika w małym mieście to nie amerykański serial. Brudny gmach sądu, wszystko takie zapyziałe, zaściankowe, czy ja wiem zresztą... Na pewno nie chciałam iść na prawo.

- Sztuka jest barwniejsza niż prawo - powiedział Hagen.

- Jest też bardziej subtelna i delikatna, bardziej zwiewna...

- Szczególnie pomnik sapera w Warszawie.

Uśmiechnęła się znowu uśmiechem, który był biały, ale i trochę różowy. Odgarnęła niesforny kosmyk, który wymknął się spod opaski i opadł jej na policzek.

- Świetne to jajko, dziękuję.

- Nie ma za co. Masło jest świeże, ze wsi. Chleb pieczony w piecu chlebowym na liściach łopianu. Bądźcie panie moimi gośćmi, sam tego nie przejem.

- No nie wiem...

- Ja zawsze staram się kupować najciekawsze lokalne produkty. Takie mam hobby. Sprawicie mi przyjemność i będzie to z pożytkiem dla wszystkich.

- Dobrze, ale ostrzegam, że i ja, i Agnieszka możemy naprawdę dużo zjeść.

Hagen przebiegł wzrokiem po puchatym szlafroku maskującym figurę, której, jak pamiętał, nic nie można było zarzucić, i uśmiechnął się.

- Nie wiem czemu, ale jestem dziwnie spokojny. Jakieś ciekawe plany na dziś?

- Nauka. A o trzeciej jest niedzielny obiad. Pani Maria serdecznie zaprasza. Powinniście się dobrze dogadać ze sobą. Ona też ma takie lekkie odchylenie kulinarne. Hobby.

- Brzmi świetnie. Zatem o trzeciej?

- O trzeciej. Dzięki za śniadanie. - Wstała od stołu, zebrała swoje nakrycia i włożyła do zlewu. - Proszę wszystko zostawić. Później pozmywam, dzisiaj moja kolej.

Kiedy wyszła, Hagen siedział jeszcze przez chwilę, patrząc za nią, a jego palce wolno obracały na spodeczku pustą filiżankę po kakao.

Po długim spacerze po starym mieście, Krakowskim Przedmieściu i okolicach Pałacu Biskupiego Hagen wyczekiwał godziny trzeciej z miłym poczuciem lekkiego głodu, bliskim uczucia nienasycenia raczej niż fizjologicznej potrzeby wyrównania poziomu glukozy we krwi. Czytał dokumenty ze śledztwa i od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Kiedy stary zegar w korytarzu wybił porę obiadu, złożył papiery i zapinając marynarkę, ruszył do części domu zamieszkałej przez gospodynię. Pani Maria kończyła właśnie nakrywać do stołu. Hagen pocałował ją w rękę na powitanie. Jak zauważył, jego elegancki strój spotkał się z dobrym przyjęciem.

- Czy mógłbym może w czymś pomóc? - zapytał.

- Absolutnie nie - odpowiedziała pani Maria, stawiając na stole wagę pochodzącą z jakiegoś starego serwisu, innego jednak niż talerze, do których miała być rozlewana zupa.

- Mężczyźni nie powinni się plątać po kuchni. Są w domu rzeczy męskie do zrobienia i są kobiece. Nie powinno się ich

mieszać, bo z tego są tylko kłopoty i rozbijają się rodziny.

Hagen, który właśnie chciał nadmienić, że bardzo lubi plątać się po kuchni, słysząc takie dictum, zmilczał pokornie i zasiadł za stołem, rozpinając guzik od marynarki. Spod pokryw wazy wydobywała się wąska wstążka pary i wyginając się węzowo, wędrowała w górę jak lina zaklinana przez fakira. Wciągnął głęboko powietrze, nachylając się do przodu. Rosół. Mógł założyć się z każdym, że w wazie jest rosół. Gospodyni zauważyła to jego zainteresowanie i uśmiechnęła się pod nosem.

- Ładnie pachnie, inspektorze?

- Doskonale. Rosołek, nieprawdaż?

- Tak jest. Na wywarze z kawałka wołowiny i prawdziwej wiejskiej kurce. Palce lizać. Ponieważ nasze panienki nie lubią, żeby był zbyt zawieszisty, więc najpierw, po sklarowaniu, chłodzę go i zdejmuję tłuszcz. Ale nie cały, proszę się nie obawiać - dodała szybko, widząc minę Hagen. - Za to do rosółu mała niespodzianka. - Spojrzała na niego znad okularów, które zjechały jej na koniec nosa. - Kołduny, według przepisu mojej teściowej. Prawdziwe, z łojem baranim. Teściowa, która pochodziła z Litwy, gdzieś z okolic podwileńskich, twierdziła, że tam u nich każda rodzina miała swój własny przepis na kołduny i jak się chodziło w gości na prośzone obiady, to w każdym domu smakowały inaczej. Utarło się, że rozróżniane są zwykle kołduny i tyszkiewiczowskie z szynką, ale tak naprawdę to było ich bardzo wiele rodzajów.

- A jaki jest, jeśli wolno zapytać, przepis szanownej teściowej?

- Wołowina, barani łój, sól i dużo majeranku. Inni robili kołduny z baraniny, dodawali wieprzowinę, można stosować

łój wołowy zamiast baraniego, zmieniać przyprawę... - Pani Maria spojrzała na zegarek. - Wygląda na to, że nasze panie studentki zapomniały o obiedzie i rosół ostygnie.

- To byłoby niewybaczalne. Rosół musi być gorący.

- Cieszę się, że pan docenia te drobiazgi, które dla dzisiejszej młodzieży, a daruje pan, ale dla mnie pan też się do niej zalicza, są tak zupełnie bez znaczenia. Jedzą byle co, byle gdzie, byle czym i z byle kim. Wiem, że jestem śmieszna i staroświecka, ale myślę, że nie wystarczy tylko czytać książki i chodzić na modne filmy do kina, żeby móc nazywać się człowiekiem kulturalnym. Jest jeszcze inna warstwa kultury, takiej codziennej kultury życia, która wyraża się w dobrze skomponowanych posiłkach, eleganckich nakryciach, miłej konwersacji przy stole, eleganckim ubraniu w domu. To takie drobno-mieszczkańskie, pewnie. Ale ten komunizm zniszczył w nas właśnie najbardziej tę codzienność. My nigdy nie byliśmy bogaci, mam na myśli swoją rodzinę, ale matka zawsze dbała zarówno o to, żeby jeść srebrnymi sztućcami, jak i o to, żeby dzieci skończyły dobrą szkołę. Jedno szło z drugim w parze i jedno z drugiego wynikało. To chamstwo, które zalewa nas ze wszystkich stron, nie wzięło się z niczego. Sparszywił nasz naród bardzo, bardzo.

Usiadła przy stole, zdjęła okulary i obracała je chwilę w ręku, patrząc w talerz, a potem nachyliła się lekko do Hageny.

- Jak mówiłam o tym mężowi, to strasznie się oburzał, że ja mam takie sanacyjne ciągotki, bo on był przekonany komunistą, ten mój Stefan. Jemu się wydawało, że można coś zbudować, odrzucając wszystko to, co było dawniej. Sama tak myślałam kiedyś, przez chwilę... Jak widać, nie można. Są pewne fundamenty, religia, rodzina, kultura, tradycja, dobre

wychowanie. Kiedy się je odrzuci, zostaje tylko takie lub inne barbarzyństwo.

- Owszem - zgodził się Hagen - a potem mija wiele lat i dzieci tych barbarzyńców zaczynają kupować w antykwariatach srebrne zastawy i wyszukiwać sobie przodków u Niesieckiego.

Hagen również spojrzął na zegarek, kiedy drzwi do salonu otworzyły się z impetem i szybkim krokiem weszły dwie dziewczyny. Koleżanka Ewy, Agnieszka, której do tej pory nie miał okazji poznać, była wysoka i szczupła. Miała figurę modelki, krótko obcięte włosy, pociągłą twarz i wąskie usta. Obie były elegancko ubrane i umalowane, pani Maria mogła być z nich dumna.

- Proszę, proszę - powiedziała, zakładając okulary i przyglądając im się uważnie. - Sama obecność mężczyzny potrafi zdziałać cuda. Do tej pory nigdy nie były takie wystrojone.

- Pani Mario, niech pani nas tak nie zdradza od samego wejścia - odparła Ewa, siadając obok Hageny. - Pan inspektor pomyśli sobie, że jesteśmy jakimiś dzikusami i nigdy nie widzieliśmy srebrnego widelca.

Jeżeli gospodyni zorientowała się, że stroją sobie z niej żarty, to nie dała tego po sobie poznać i zniknęła w kuchni, skąd wyszła po chwili z wielką łyżką wazową i potężnym półmiskiem kołdunów.

- Można je jeść w rosoli lub jako drugie danie, każdy ma wybór - oświadczyła. Agnieszka przyniosła z kuchni dużą misę z sałatką i postawiła ją na stole.

- Czy byłby pan tak miły i otworzył wino, inspektorze? - Pani komendantowa podała mu butelkę australijskiego Cabernet Sauvignon i korkociąg.

Agnieszka ustawiała kieliszki.

- Obecność mężczyzny rzeczywiście potrafi zdziałać cuda - powiedziała Ewa. - Jeszcze nigdy nie piłyśmy wina do obiadu.

- Piłyśmy przed świętami - odparła pani Maria, ale widać było, że jest nieco zmieszana.

- Możemy to uczynić nową świecką tradycją - wtrącił inspektor, nalewając odrobinę do swego kieliszka i próbując. - Chętnie dostarczę wino.

Po chwili, kiedy już zaczęli jeść, Hagen ujął kieliszek.

- Chciałbym wnieść toast za zdrowie naszej gospodyni i podziękować za tak znakomite, tradycyjne danie. W pani ręce, pani Mario.

Wszyscy wypili. Rosół był doskonały, kołduny wyśmienite.

- Proszę się nie krępować, panie inspektorze - zachęcała go komendantowa. - Mój teść potrafił zjeść ich ze czterdzieści, chociaż, co prawda, nie jadał wtedy śniadania ani kolacji. - Podsunęła mu po raz kolejny talerz i Hagen nałożył sobie kolejne kilka pierożków. - Za to jego stryj, o, to był ogromny chłop, podobno zatrzymywał parę koni w zaprzęgu, chwytając za tylne koła od wozu. Mój mąż mówił, że widział to na własne oczy, jak był jeszcze małym chłopcem. Ten stryj potrafił zjeść nawet sto.

- Ech, gdzie te ogromne chłopcy się podziały... - westchnęła Agnieszka, a Ewa parsknęła śmiechem.

- Oj, Agnieszko, czy to mało jest wysokich chłopców na uczelni? - zdziwiła się pani Maria.

- Nie tak znów wielu. Jak założę szpilki, to mam sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Chłopak musi mieć wtedy dwa metry, a wśród takich nie ma już zbyt wielkiego wyboru.

- Pozwoli pani, że zabiorę głos w imieniu niższych mężczyzn i upomnę się o ich prawa. Proszę nas tak od razu nie skreślać. Proszę nam dać szansę.

- Proszę bardzo - powiedziała Agnieszka, gestykulując trzymanym w rękę widelcem z nabitym na niego pierożkiem. - Tylko jakoś nie widzę zbyt wielu chętnych. Prawda jest taka, że faceci nie lubią wyższych dziewczyn. Pomyślcie, ile się śmiali z Toma Cruise'a i Nicole Kidman, aż ci się rozeszli.

- Och, przestań. - Ewa spojrzała na Hagen. - Rozeszli się, bo on sobie znalazł inną panienkę.

- Niższą od niego. - Agnieszka nie poddawała się tak łatwo. Widać było, że dotknęło palącego problemu.

- To jak to jest? Czy to prawda, panie inspektorze, że mężczyznom nie podobają się wyższe kobiety? - zapytała gospodyni.

Wywołany do tablicy jako ekspert, Hagen przybrał odpowiednio zamyśloną minę.

- To jest złożona kwestia. Dla części mężczyzn, tych z ukrytym kompleksem niskiego wzrostu, faktycznie może to być problem, bo wyższa kobieta podkreśla dodatkowo ten, jak uważają, feler. Inni nie zwracają na to uwagi i albo im się dziewczyna czy kobieta podoba, albo nie, i wzrost nie ma tu nic do rzeczy. Jest wreszcie grupa, dla której wysoka kobieta stanowi pewnego rodzaju wyzwanie, i ci będą wręcz wybierać kobiety wyższe od siebie. Tak to wygląda z męskiego punktu widzenia.

Hagen słuchał potem, jak dziewczęta się przekomarzają, i patrzył na Ewę siedzącą obok niego, jak lekko pochyłona mówi coś do koleżanki siedzącej naprzeciwko, śmieje się, odsuwa z twarzy niesforne kosmyki gęstych włosów. Widział z profilu jej zgrabny, lekko zadarty nos, pełne usta, drobniutkie kropelki

potu szklące się nad poduszczką górnej wargi, długie rzęsy. W pewnej chwili zorientował się, że przypatruje mu się pani Maria, i zauważył, że lekko się uśmiecha. Potem podano deser.

Ksiądz Leon Piotrowski mieszkał na plebanii przy kościele Św. Mikołaja, który, jak się mówiło i o czym Hagen zdążył się już dowiedzieć, objął kilka lat temu jako proboszcz przy zdecydowanym poparciu późniejszego biskupa Wygnowskiego. Przeniósł się wtedy z małej parafii w Suchawie, co było dużym awansem w nieformalnej hierarchii diecezji. Bryła świątyni tonęła w mroku, ledwie widoczna na tle zachmurzonego nieba odbijającego światła miasta widmową, bladopomarańczową poświatą. Przeciął podwórko wyłożone kostką, na którym połykiwały tu i ówdzie czarne lustra kałuż. W oknach plebanii przycupniętej na końcu podwórza blado tliło się światło, przeciekając przez gęste zasłony. Dźwięk domofonu wywołał jakiś ruch za ciężkimi drzwiami z zeszłego stulecia, szcęknął zamek i w smudze światła Hagen zobaczył niskiego, otyłego mężczyznę o okrągłej twarzy, nieodparcie nasuwającej skojarzenie z dobrym wojakiem Szwejkiem z czeskiego filmu z lat pięćdziesiątych.

- Proszę, proszę bardzo - powiedział, zanim jeszcze Hagen zdążył wyjąć legitymację. - Czekałem na pana.

Pokój, do którego weszli, był urządzony, lub raczej zagraco-ny, dużymi, ciemnymi eklektycznymi meblami z przełomu wieków. Masywny kredens wraz z sekretką zajmował prawie całą jedną ścianę, drugą okupowała wielka trzydrzwiowa biblioteka z przeszklonymi drzwiami. Pozostałą powierzchnię wolną od okien i drzwi wypełniały obrazy religijne, w tym ikony. Na środku pokoju królował duży, okrągły stół, przykryty

białym, koronkowym obrusem. Na stole stał wielki ośmioramienny lichtarz, na którym płonęły grube świece. Ich migotliwe światło zatapiało księżowski salonik w atmosferze minionych lat. Z zacienionej przestrzeni ukrytej za skrzydłem drzwi dobiegał dziwny bulgocący dźwięk. Zajrzawszy tam, Hagen zobaczył wielki tulski samowar. Bulgotał wrzątek w jego opasłym, posrebrzonym brzuchu.

- Herbaty? - Ksiądz Piotrowski wskazał na zabytkowe urządzenie.

- Z przyjemnością.

Hagen usiadł w miękko wyściełanym fotelu, jednym z dwóch stojących obok małego, podręcznego stolika przystawionego do ściany obok wejścia. Zapach starych mebli, których od dawna nie oglądał tapicer, wypastowanej podłogi, drewna i węgla drzewnego mieszał się z delikatną wonią konfitur, które gospodarz nakładał na talerzyki.

Ksiądz Leon przyniósł herbatę w szklankach osadzonych w misternie plecionych srebrnych koszyczkach. Postawił na stole konfitury, spodeczki, talerzyki i talerz z drożdżowym ciastem. Przetawił lichtarz na stolik, zamykając ich wewnątrz bąbla złotawego światła i pogrążając w cieniu zakamarki starych mebli. Ze szklanek unosiły się poskręcane smugi pary, połyskując w blasku świec. Gospodarz ułał nieco gorącej herbaty na spodeczek, nabrał łyżeczką trochę konfitur do ust, a potem popił, cicho siorbiąc, złotawy płyn ze spodka. Hagen zrobił to samo. Herbata była mocna i bardzo aromatyczna, lekką gorycz osiadającą na podniebieniu łagodziły znakomite konfitury.

- Z róży i z... malin, chyba? - zawiesił głos, patrząc na księdza.

- Z róży i z malin, zgadza się jak najbardziej. - Gospodarz uśmiechnął się, nalewając znowu herbaty na spodeczek i dmuchając na niego lekko. - Robi je moja mama. To taka tradycja rodzinna, jak ten samowar. Pradziadek ze strony matki był rodowitym Rosjaninem, cała ich rodzina uciekła przed rewolucją. Zresztą to też tradycja. - Wskazał na koloratkę. - Pradziadek był popem.

- Stąd te ikony?

- Tak. Dziadek przywiózł ich ze sobą całą skrzynię. Od małego byłem pod wpływem Bizancjum.

- Wiernym to nie przeszkadza, że tak tu wiszą na plebanii? W końcu nie jest to tradycja katolicka.

- Jeżeli komuś przeszkadza, to mu przypominam o Matce Boskiej Częstochowskiej, czternastowiecznej ikonie przecież, i przestaje przeszkadzać. Ludzie nie są tu jakoś specjalnie konfrontacyjnie nastawieni do schizmatyków. Za rogatkami miasta już się zaczynają kresy. Niejeden tu kościół w dawnej cerkwi poświęcony.

Hagen pokiwał głową, potem podmuchał delikatnie na spodeczek i napił się herbaty. Miłe ciepło rozchodziło się po całym ciele. Blask świec, bulgotanie samowara, niespieszny rytm konwersacji uspokajały, wyciszały, odcinały go od szamotaniny świata spoza ręcznie haftowanych zasłon. Tak musiały mijać wieczory u Łarinów. Tak samo jak on teraz, siadywał pewnie Leński, a blada twarz Olgi raz pojawiała się, a raz znikła w złocistej poświacie.

- Podczas naszej rozmowy telefonicznej wspominał pan, inspektorze, że być może mógłbym rzucić nowe światło na zgromadzone przez was dane.

Hagen pokonał z wysiłkiem sto siedemdziesiąt lat, na jakie zdążył się już oddalić. Ksiądz patrzył na niego wyczekująco. Jego twarz nie przypominała już twarzy Szwejka. Błękitne oczy były czujne i skupione.

- Mam taką nadzieję, to prawda. - Hagen upił kolejny łyk i odstawił spodek. - Zazwyczaj, jeżeli popełniane jest morderstwo, dość łatwo zorientować się, dlaczego ofiara zginęła. Zemsta, pieniądze, zazdrość, alkohol. Czytelny, wiarygodny motyw. Tutaj brakuje tego zasadniczego elementu układanki. Próbuję zatem poznać i zrozumieć biskupa Wygnowskiego, bo być może to w nim samym, w jego życiu, tkwi odpowiedź na pytanie: dlaczego musiał zginąć? Czemu go zabito? W swoich poszukiwaniach natrafiam na dwie przeszkody, które jak szyby odgradzają mnie od niego. Jego specyficzna pozycja społeczna i wszystkie pokłady rezerwy, jakie ona wyzwała, oraz fakt, że nikt, jak się zdaje, nie był z nim w naprawdę bliskich stosunkach. Biskup miał wielu znajomych, pewne grono, można by powiedzieć - wielbicieli, ale nie udało mi się znaleźć żadnych jego przyjaciół. Słyszałem z kilku źródeł, że jeżeli w ogóle był ktoś, o kim można by powiedzieć, że przyjaźnił się z biskupem, to tą osobą jest właśnie ksiądz. Potrzebuję wiedzy księdza o człowieku, istocie z krwi i kości, o tym wszystkim, co było poza funkcją uniwersytecką, kościelną i poza kapłaństwem.

- Rozumiem. - Spojrzenie księdza Leona spoczęło na talerzykach do ciasta. - Nie wiem, czy nie przecenia pan, inspektorze, zakresu naszej znajomości, choć nie przeczę, że uważałem Rafała, to znaczy biskupa Wygnowskiego, za przyjaciela. Wydaje mi się, że on mnie też za takiego uznawał. Zapewniam pana jednak, że nie mam najmniejszego pojęcia, co spowodowało jego śmierć. Nie wiem, dlaczego zginął. Po pańskim telefonie długo zastanawiałem się, co takiego mogło się wydarzyć. Nic nie przychodzi mi do głowy. Jedyna konkluzja, do jakiej doszedłem, to ta, że musiał to być przypadek, jeden z tych

nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, które tamują czasem bieg ludzkiego żywota bez widocznej przyczyny.

- Zapewniam, że nie spodziewam się od księdza jasnej i prostej odpowiedzi na pytanie: dlaczego zginął? Gdyby taka odpowiedź istniała, pewnie już byśmy ją znali. Chciałbym raczej wzbogacić swoją wiedzę o prywatne informacje, niedostępne z innych źródeł. - Hagen napił się herbaty, otarł usta serwetką. - Zanim zaczniemy, chciałem pokazać księdzu materiały ze śledztwa. Materiały ściśle tajne, zaznaczam, które ze strony kościelnej widzieli tylko arcybiskup i monsignore Scarpi. - Wyjął z teczki brązową kopertę zawierającą najbardziej drastyczne zdjęcia ofiary, które sam specjalnie dobrał, i podał ją Piotrowskiemu.

- Uprzedzam, że to jest wstrząsający widok - dodał, kiedy ksiądz Leon zaglądał do środka.

Gospodarz wolno przeglądał odbitki, powtarzając cicho: mój Boże, mój Boże... Hagen milczał. Siedział nieruchomo, nie chcąc zakłócać tej chwili niepotrzebnym gestem. Zdążył już przywyknąć do tych obrazów śmierci, oglądając je wielokrotnie i analizując każdy szczegół. Teraz jednak zobaczył je jakby na nowo, patrząc na nie oczami starego przyjaciela biskupa. Przeszył go lekki dreszcz obrzydzenia i czegoś jeszcze, może strachu. Ta krew rozmazana po ścianach, pocięte ciało, wyłupione oczy budziły głęboko ukryty, pierwotny lęk, jaki odczuwali kiedyś ludzie, słysząc nocami wycie wilków w zaśnieżonym lesie, lęk, jaki może w człowieku budzić bliskość bestii. Piotrowski położył zdjęcia na stole i chwilę siedzieli w ciszy. Potem wykonał taki ruch, jakby szybko, ukradkiem ocierał łzę w kąciku oka, i odwrócił twarz od światła. Świece z naturalnego wosku skwierczały cicho. Milczenie przeciągało się i wreszcie,

kiedy zaczęło już ciążyć, odezwali się razem.

- Przepraszam. - Inspektor przerwał w pół słowa. - Słucham.

- Rafał był zawsze taki pełen życia, energiczny. Nie potrafię tego... - Zawiesił na chwilę głos, patrząc na zdjęcia. - Nie potrafię tego ciała połączyć z obrazem Rafała, jakiego pamiętam. - Mówiąc, zaciskał dłonie przy piersi, jakby rozcierał w nich i rozgniatą te obrazy, które pochłoniął przed chwilą. - To zrobił jakiś szaleniec, prawda? - zapytał po chwili.

- To też bierzemy pod uwagę. Czy mógłby ksiądz powiedzieć mi coś więcej o waszej znajomości? Kiedy się poznaliście, jaki był jej charakter, jakim człowiekiem był biskup?

Gospodarz wypił duszkiem całą herbatę, odstawił szklanke, otarł usta wierzchem dłoni i spojrzął na Hagenę.

- Poznaliśmy się zaraz na początku seminarium, jakieś ćwierć wieku temu. Ja pochodzę z bardzo tradycyjnej, religijnej rodziny. Pradziadek, jak wspomniałem, był popem, brat mojego ojca był księdzem. Dość wcześnie, tak gdzieś w połowie liceum, zrozumiałem, że mam powołanie do stanu duchownego i droga do seminarium była dla mnie prosta i oczywista. Nigdy nie miałem zbyt wielu, powiedzmy: świeckich zainteresowań. Zawsze za to, odkąd pamiętam, lubiłem czytać i zanim przyszedłem do seminarium, przeczytałem większość tekstów teologicznych i filozoficznych, jakie potem przerabialiśmy na studiach. Stryj Henryk był tu moim cicerone. Rafał natomiast pochodził z rodziny, ujmijmy to tak, znacznie mniej przywiązanej do tradycji religijnej. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy był jeszcze małym dzieckiem. Z ojczymem, który go wychowywał, nie miał zbyt dobrych stosunków. Wcześnie odsunął

się od domu, żył trochę we własnym świecie, trochę na ulicy. Miał wtedy w Zamościu bliskiego kolegę, przyjaciela, z którym chodzili godzinami po parku, po łąkach pod miastem, rozmawiali o wszechświecie, o czasie, o tym, czy świat istnieje, czy też może nie, o Bogu. Ten przyjaciel zmarł jakoś tak pod koniec liceum, przed maturą. Miał guza mózgu chyba, jeśli dobrze pamiętam... - Ksiądz zamyślił się na chwilę.

- Pamięta pan może, jak się nazywał?

Piotrowski pokręcił głową.

- Nie jestem pewien. Chyba Adam, ale musi pan spytać jego matki albo siostry. Sądzę, że wtedy wiara nie była w jego życiu czymś ważnym. Ta śmierć najbliższego mu wtedy człowieka wzbudziła w nim wielki gniew i Rafał zaczął wadzić się z Bogiem. Jak sam mówił, swoją wściekłość i osamotnienie skierował ku Bogu, bo nie miał tak po prawdzie do kogo. Ale przez to Bóg stał się nagle kimś ważnym w jego życiu. Był adwersarzem, to prawda, ale zaistniał. Zdał egzaminy i zaczął studiować filozofię na UMCS. Ten wydział nie miał wtedy zbyt wielkiej renomy. Był ustawiany w opozycji do KUL-u, na którym zebrało się sporo naprawdę światłych umysłów. Rafał szybko grawitował w te rejony. Na drugim roku chodził równolegle na wykłady z teologii, a na trzeci już nie poszedł, bo postanowił iść do seminarium.

- Tak po prostu?

Piotrowski potarł dłonią czoło.

- No cóż, w pewnym sensie tak po prostu, ale głównym powodem podjęcia tej decyzji było doświadczenie mistyczne, pewnego rodzaju oświecenie, akt łaski, nazwijmy to jak pan chce.

- Prawdziwa augustiańska iluminacja? - spytał Hagen.
- Widzę, że pan odrobił zadanie domowe - powiedział Piotrowski, a Hagen uśmiechnął się. - Tak, sądzę, że to było coś takiego, o czym myślał Augustyn. Nie tak spektakularne, jak przeżycie, które stało się udziałem Pawła, ale oddziało na niego wystarczająco silnie, by zmienić jego drogę życiową.
- Czy mógłby ksiądz powiedzieć coś bliżej?
- Rafał nie do końca potrafił, a może nie chciał, ubrać tego w słowa. Szedł pewnego zimowego dnia Krakowskim Przedmieściem i kiedy przechodził koło kościoła Kapucynów, poczuł nagle nieprzepartą chęć wejścia do środka. Wewnątrz było pusto i ciemno. Zmierzchało się wcześniej, jak to w zimie, ale światła w środku nie były jeszcze zapalone. Usiadł w ławce. Drugiej lub trzeciej na prawo od wejścia, pokazywał mi potem kiedyś. Podparł twarz dłońmi i zaczął rozmyślać o życiu, o śmierci. Przypomniał sobie przyjaciela i po raz pierwszy zaczął się modlić za spokój jego duszy. W trakcie tej modlitwy nagle zrozumiał z przeraźliwą jasnością, że Bóg istnieje i że on jest powołany do głoszenia prawdy Jezusa Chrystusa. Słowo iluminacja, jak uważał, było bardzo właściwe. Do rzeczywistości ziemskiej powrócił, kiedy kościelny zamykał już świątynię i zaczął go szarpać za rękaw. Jak sam powiedział, minęły prawie cztery godziny i odbyła się wieczorna msza, a on nic nie zauważył. Miał wrażenie, że siedział tam kilkanaście minut.
- Może zasnął?
- Tak samo go zapytałem, kiedy mi to pierwszy raz opowiedział. - Ksiądz Leon uśmiechnął się samymi kącikami ust. - On porównał to raczej do transu mistycznego. „Teraz lepiej rozumiem świętą Hildegardę” - powiedział.

- Czy podobne wydarzenia miały miejsce później?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie sądzę, żeby Rafał był mistykiem. Myślę, że było to odosobnione wydarzenie, bardzo ważne dla niego, na pewno, ale to nie był sposób, w jaki na co dzień przeżywał kontakt z Bogiem.

- Poznaliście się zatem po jego wstąpieniu do seminarium?

- Tak. W seminarium, inspektorze, panują dosyć rygorystyczne zasady. Odosobnienie, dyscyplina i bardzo stały, zawsze taki sam rozkład dnia. Sprzyja to skupieniu, ale sprzyja też powstawaniu silnych więzów pomiędzy alumnami. Mieszkaliśmy po dwu w pokoju. Teoretycznie każdy z nas zmieniał swojego współlokatora co pół roku, żeby dla odmiany więzy nie stały się zbyt silne, ale, szczególnie na starszych latach, jest to głównie teoria. Rafał był moim socjuszem, mieszkaliśmy razem podczas drugiego semestru pierwszego roku, potem pół roku na trzecim, potem cały czwarty rok. Dużo rozmawialiśmy o filozofii, on jako były student, ja jako miłośnik. Kiedyś, pamiętam... Tak, to, można powiedzieć, było dość charakterystyczne dla niego. Otóż kiedyś w całej grupie dyskutowaliśmy, kogo z wielkich filozofów chcielibyśmy spotkać, i wszyscy wymieniali a to Tomasza, a to Alberta, inni znowu Augustyna albo przez przekorę Marksa, a wreszcie, kiedy go zapytano, Rafał powiedział, że on chciałby poznać i zaprzyjaźnić się z Arkezylaosem.

- Nic mi to imię nie mówi.

- Nikomu nic nie mówiło, aż Rafał przypomniał, że to był jeden ze scholarów Akademii, sceptyk, uczeń Teofrasta, o którym pisano, że poza wielką mądrością był umysłem wytwornym, miłośnikiem piękna, sztuki i poezji, a słynął jako charakter bezinteresowny i rycerski. Takiej charakterystyki nie spotyka

się często wśród wielkich z panteonu miłośników mądrości. „I bardzo, bardzo - powiedział wtedy - chciałbym spotkać świętego Franciszka. Chciałbym posłuchać jego kazań do ptaszków i zwierząt”.

- Niezły pomysł - zgodził się Hagen - ale wracając do Arkezylaosa, czy nie wydaje się księdzu dziwne, że przyszły specjalista od dogmatyki upodobał sobie przedstawiciela szkoły, która była przeciw samej idei dogmatu?

- Nie... - Ksiądz machnął ręką. - Nie przywiązywałbym do tego większej wagi. Sądzę, że zainteresował go raczej opis cech charakteru niż doktryna. Czasem miałem wrażenie, że Rafał mógłby być jednym z tych renesansowych kardynałów z wielkim dworem, artystami, metresami i pozowaniem do portretów. Chociaż w odróżnieniu od niektórych z nich naprawdę wierzył w Boga. - Zamyślił się na chwilę, palce prawej dłoni skubały guzik od sutanny. - Miał w sobie pewną taką... Był jakby predestynowany do wielkości. Mam na myśli stanowiska w hierarchii. Wie pan, inspektorze, czasem wydaje mi się, że już wtedy w seminarium można było powiedzieć o wielu z nas, jak potoczą się nasze losy w Kościele. Zresztą o wielu się mówiło.

- Co mówiło się o alumnie Wygnowskim?

- Wszystkie plotki lokowały go wysoko, bardzo wysoko. Osobiście sądzą, choć wtedy nie był to może mój pogląd, że zostałby członkiem kolegium kardynalskiego, a gdyby nie zniesiono pozycji prymasa, myślę, że byłoby to właściwe miejsce dla niego.

- Czemu nie papież?

- Czemu nie. Ale poważnie mówiąc, po Janie Pawle II nie ma zbyt wielu szans na następnego kandydata z Polski. Polityka...

- Był więc, w opinii księdza, wybitnym duchownym.
- O, w opinii wszystkich. No może prawie wszystkich... W końcu był najmłodszym w historii Polski wyświęconym biskupem pomocniczym.

- Mieliśmy zdaje się kiedyś nastoletnich purpuratów...
- Mam na myśli dziewiętnasty i dwudziesty wiek. Matka nasza Kościół ukształtowała się wtedy ostatecznie w to, czym żyjemy dzisiaj. Poza tym nie był bratem królewskim.

Hagen podniósł pod brodę talerzyk z ciastem, żeby nie nakruszyć sobie na kolana, a móc wygodnie patrzeć na rozmówcę.

- Wspomniał ksiądz o obawie przełożonych seminarium o wytworzenie się zbyt mocnych więzów między alumnami.

Piotrowski skinął głową.

- Czytałem raport, z którego wynika, że okazjonalna pedestria w tego typu miejscach jak seminaria jest dość powszechna. Czy młody Rafał Wygnowski miał jakieś tego rodzaju doświadczenia, skłonności?

Ksiądz Leon westchnął głęboko i popatrzył na swoje pulchne dłonie leżące w czarnych fałdach sutanny na kolanach, w półmroku wyglądające jak odcięte i położone tam dla żartu.

- Cóż... - zaczął po chwili. - Nie są to tematy, które porusza się z ludźmi spoza kręgów kościelnych, a i tu raczej nie mówi się o nich. Czystość duchowa i czystość cielesna są ideałem, ku któremu dążymy, a niektórym przychodzi to łatwiej niż innym. Widzę, że łączy pan, inspektorze, tę młodzieńczą przyjaźń zamojską, nasze wspólne pomieszkiwanie w seminarium i wywodzi z nich homoseksualne skłonności, co być może dałoby jakiś motyw do rozważenia.

Hagen nie potwierdził ani nie zaprzeczył, siedział tylko z talerzykiem pod brodą i żując powoli ciasto drożdżowe, patrzył księdzu prosto w oczy.

- Otóż nie. - Piotrowski potrząsnął głową, dodając siły swoim słowom. - Rafał nie był nawet okazjonalnym homoseksualistą, co nie oznacza, że nie doświadczał pokusy. Doświadczał, oj doświadczał, ale była to pokusa skierowana ku płci przeciwnej. Miał zupełnie zdrowe, naturalne skłonności.

- I jak sobie z nimi radziliście?

- No cóż, jak wspominałem wcześniej, ja nie byłem nigdy specjalnie zainteresowany sprawami świeckimi i tu mam na myśli właśnie sprawy ciała lub, jak to się teraz mówi, seksu. Tak mnie już Pan Bóg stworzył, że nie ciągnęło mnie nigdy specjalnie do dziewcząt, ale nie ciągnęło mnie również, na szczęście, do mężczyzn. Rafał nazywał mnie czasem Wielkim Eunuchem i miał, jak sądzę, trochę racji. Zawsze byłem taki... - spojrzał na siebie, a potem na Hagenę - ...trochę otłuszczony. Myślę, że to ma coś wspólnego z jakimiś zaburzeniami hormonalnymi.

- Za mało androgenów? - Hagen podsunął mu słowo.

- Coś takiego. Nie żebym narzekał. Wręcz przeciwnie, sądzę, że oszczędzone mi jest trochę z tych demonów, co tak małowniczo nachodziły Hieronima.

- A przyjaciel?

- Rafał, o ile wiem, miał kilka znajomości i jeden poważniejszy związek, zanim zdecydował się przyjść do Kościoła. Nie był takim zielonym, przyszczatym, nieśmiałym chłopaczkiem, któremu się zdaje, że wszystkie kobiety są poza jego zasięgiem, jacy często do nas trafiali. Ich dojrzewanie emocjonalne dokonywało się, że tak powiem, w murach seminarium i

różnie to potem wyglądało. Rafał był przystojny, elokwentny, sądzę, że podobał się kobietom. Na pewno podobał się komuś w seminarium. - Ksiądz uśmiechnął się. - Wspomniał mi kiedyś o jakiejś niezbyt zawoalowanej propozycji, jaką otrzymał, ale nigdy nie zdradził od kogo.

- Te jego związki - Hagen odstawił talerzyk, wytarł dłonie serwetką i napił się herbaty - czy wie pan o nich coś więcej? Jakaś wielka miłość? Może nieszczęśliwa? Może to była przyczyna tej jego nagłej decyzji o pójściu do seminarium?

- Chyba nie. Nigdy nie mówił o jakiejś jednej dziewczynie, nigdy nie zauważyłem w nim też tego osadu goryczy, jaki pozostawia zawiedzione uczucie. Był daleki od mizoginii, tak nieszczęśliwie łączącej się czasem z celibatem. Sądzę, powiem szczerze, że te jego przygody były tym właśnie.

Hagen rzucił mu pytające spojrzenie.

- Przygodami. Niczym specjalnie ważnym. Charakterystyczne było, że kiedy mówił o dziewczynach ze swojej przeszłości, nie używał słów „miłość”, „zakochanie”. Nie mówił o uczuciach. Wspominał zwykle, proszę pamiętać, że mieliśmy po dwadzieścia parę lat, o różnych atrybutach, że tak się wyrażę, urody kobiecej. Mówił o pięknych włosach, długich nogach, błękitnych oczach. Kiedyś, pamiętam - oczy księdza patrzyły teraz na wskroś przez ściany plebanii, w przeszłość - leżeliśmy wieczorem w łóżkach, było już po dziesiątej, a zatem był całkowity zakaz rozmów, i najcichszym szeptem rozmawialiśmy o najpiękniejszych wspomnieniach spoza murów. Pamiętam, że opowiadałem mu o tym, jak w starej wierzbie za pastwiskiem założyły kiedyś gniazdo kasiwronki, kraski znaczy, takie piękne, kolorowe ptaki, a ja spotkałem je tam późną wiosną wśród

świeżej zieleni, i siadywałem sobie na tej łące całe lato, i patrzyłem, jak wychowują młode. Pamiętam, że uważałem kiedyś, że takie piękne ornamenty są wyraźnym znakiem danym nam od Boga, tak jakby jego autografem na wszechświecie.

Ksiądz Leon milczał przez moment, zanurzony we wspomnieniach. Spojrzał po chwili na Hagen, z powrotem tu i teraz.

- Rafał opowiedział mi wtedy o tym, jak pięknie pachnie dziewczyna, kiedy wieczorem po upalnym dniu wykąпалиście się razem nago w jeziorze i potem leżycie w trawie, wśród ziół i powoi, jak kiedyś powiadano, i kiedy można całować całe jej ciało.

- Nie wydało się to księdzu dziwne?

- Takie wspomnienie? Nie. Wiedziałem, że Rafał lubił kobiety i miał z nimi do czynienia. Nigdy nie ukrywał, że te znajomości nie ograniczały się do spacerów pod rękę, ale też nie przechwalał się i na szczęście oszczędził mi szczegółów.

- Nie ciekawiło nigdy księdza - zapytał go Hagen jako mężczyzna bardziej niż policjant - jak to jest być z kobietą? W końcu te sprawy zajmują tyle miejsca w dzisiejszym nauczaniu Kościoła, że trudno się wypowiadać, nie wiedząc tak naprawdę, o czym się mówi.

- Jest coś w tym, co pan mówi, inspektorze. - Ksiądz Leon uśmiechnął się. - Ale jakoś Bóg oszczędził mi tej rozterki. Ja nauczam wiernych o sakramencie małżeństwa i miłości w duchu chrześcijańskim. Ziemskim aspektem zajmują się u nas w parafii świeccy. Wspaniali ludzie, dużo dzieci, ogromne doświadczenie.

- To bardzo rozsądnie - zgodził się z nim Hagen. - Czy mógłby mi ksiądz powiedzieć, czy w ostatnich miesiącach, może tygodniach, coś w zachowaniu biskupa zwróciło księdza

uwagę? Cokolwiek niepasującego do jego zwyczajów?

Hagen intensywnie wpatrywał się w rozmówcę. Ksiądz Leon pocierał dłonią czoło przez kilka chwil, potem wstał i raz, i drugi przeszedł się po pokoju.

- Przepraszam - powiedział. - Takie perypatetyczne przyzwyczajenie.

- Proszę bardzo - odparł Hagen. - Jeżeli to księdzu pomoże coś sobie przypomnieć, to proszę nawet wejść do beczki.

- Na to jestem, niestety, zbyt mało cyniczny. - Gospodarz uśmiechnął się i kontynuował spacer. Usiadł po kilku minutach. - Nic specjalnego, naprawdę. Grzebię w pamięci jak w dziurawym worku i tylko mi się piasek sypie... Widywaliśmy się ostatnio, mam na myśli ostatnie kilka miesięcy, raczej rzadziej niż kiedyś, ale za to jak tu przyszedł, to siedzieliśmy czasem przez całą noc.

- O czym rozmawialiście?

- O wszystkim i o niczym. O polityce, o sytuacji w kurii, o tym, co się mówi w diecezji, o różnych decyzjach lub zmianach personalnych. Plotkowaliśmy jak stare baby, tak jak na to teraz patrzę. Rozmawialiśmy o życiu, o powołaniu kapłańskim, o tym, czy istnieje jednak Bóg osobowy, w Trójcy jedyny i tak dalej, czy całe nasze życie jest igraszką z fantasmagorią. O śmierci i zbawieniu, o życiu wiecznym, o miłosierdziu. O wszystkim.

- Takie dyskusje o istnieniu Boga są normą wśród kleru?

- Bawiliśmy się przerzucaniem różnych myśli, a to coś z Leibniza, a to z Kartezjusza, a to z Kanta. Ćwiczenie, żeby umysł tak do reszty nie zardzewiał. Chociaż... Kiedy mówimy o tych nocnych spotkaniach, to przypominam sobie, że jakies

dwa miesiące temu rozmawialiśmy o nienaruszalności sakramentów. Wie pan, kwestia rozwodów, kapłaństwa, tajemnicy spowiedzi i tak dalej. Otóż Rafał powiedział wtedy, że łamiąc jeden z nich, desakralizuje się sama osoba, zatem złamanie następnych nie ma już wielkiego znaczenia. Coś jak z zabójstwem, jeżeli zabijemy jedną lub dziesięć osób, to i tak mogą nam dać tylko dożywocie.

- Nie do końca - zauważył Hagen. - Karą za zabójstwo nie musi być wcale dożywocie. Wielokrotne zabójstwo zaś, o, wtedy można być pewnym maksymalnego wymiaru kary.

- No tak - zgodził się ksiądz. - Być może nie była to najlepsza analogia, ale takiej wtedy użył. Pamiętam, że zastanowił mnie sposób, w jaki o tym mówił. Nie był to rodzaj naszej ulubionej żartobliwej dysputy, ale raczej poważna refleksja, coś, co obracał w myślach od pewnego czasu. Tak to wtedy odebrałem.

- Zapytał go pan o to?

- Nie pamiętam, ale chyba nie. To są bardzo osobiste i czasem bolesne dla osób duchownych rozważania. Wydaje mi się, że postanowiłem być dyskretny.

- Szkoda - mruknął Hagen.

- Nie, inspektorze, nie sędzę, żeby kryło się za tym coś naprawdę poważnego albo istotnego dla sprawy. Na przykład w trakcie spowiedzi słyszymy czasami rzeczy, z którymi trudno jest się pogodzić, ale usta mamy zapieczętowane przysięgą i milczenie jest naszą świętą powinnością. To mogło być coś takiego... Trudno mi powiedzieć.

- A kobieta? Nie zauważył może ksiądz u przyjaciela symptomów wskazujących na to, że w jego życiu mogła się pojawić kobieta?

- Widzę, że ma pan jakąś teorię, inspektorze - zauważył Piotrowski. - Nie przypomina mi się jednak nic, co mogłoby sugerować tego typu związek.

- Na jego sekretarce mamy zapis głosu kobiety proszącej o telefon. Mówiła do niego na ty.

- Może to siostra?

- Nie. - Hagen uśmiechnął się. - To nie siostra i nie matka. Nie znamy na razie żadnej kobiety, która miałaby zwyczaj zwracać się do niego per „ty”. Ale szukamy.

- Kobieta, powiada pan... - Piotrowski zamyślił się na chwilę. - Ujmijmy to tak: gdybym dowiedział się, że Rafał, będąc księdzem, miał jakiś epizod, jakąś znajomość na swoim koncie, nie byłbym tym chyba aż tak bardzo wstrząśnięty. Celibat jest ważny, to prawda, ale nie jest zasadniczym elementem posłannictwa, którym jest nauczanie i ewangelizacja w duchu miłości Jezusa Chrystusa. Było wielu żonatych księży i biskupów w historii, wielu miało kochanki czy, nazwijmy to, towarzyski życia, i jakoś się od tego świat nie zawalił. Nie demonizowałbym akurat tego aspektu posługi duchowej. Jak już wspomniałem, był atrakcyjnym mężczyzną... Cóż mogę powiedzieć więcej? Niech pan szuka.

- Nie uważa ksiądz, że mogłoby to zaszkodzić jego pośmiertnej legendzie męczennika, która już zaczyna powstawać?

- Żeby zostać świętym, inspektorze, nie wystarczy umrzeć w męczarniach. Przynajmniej nie w naszych czasach. Jak pan pewnie wie, czasem nawet może to być przeszkodą, jak w przypadku jednego z mieszkańców Lublina, księdza Powęskiego, znanego lepiej jako Piotr Skarga.

- A jego dobre imię?

- Rafał był moim przyjacielem taki, jaki był, a był wspaniałym człowiekiem, wybitnym duchownym. Pana rolą jest dążyć

do prawdy. Nie sędę, by prawda mogła mu zaszkodzić.

- Rozumiem i dziękuję za szczerość. Gdyby ksiądz przypomniał sobie coś jeszcze, to proszę dzwonić na ten numer. - Podał swoją wizytówkę i dopisał do niej numer komendy oraz telefon w domu pani Marii.

Pożegnali się w korytarzu mocnym uściskiem dłoni. Chwilę potem znowu szedł ciemnym dziedzińcem wśród kałuż, a jego kroki zgrzytały na granitowych kostkach i wsiąkały bez echa w wilgotną noc.

5

Poniedziałkowa odprawa poranna polegała na zebraniu wszystkich znanych faktów i podsumowaniu pytań. W spotkaniu uczestniczył komendant wojewódzki i Hołownia miał okazję wykazać się dogłębną znajomością sprawy. Hagen niewiele się odzywał, niezbyt uważnie też słuchając tego, co przedstawiali współpracownicy, w tym ekipa przesłuchująca krewnych i znajomych ofiary. Jego myśli krążyły wokół rozmowy z księdzem Piotrowskim. Jeszcze raz obracał w myśli wszystkie wypowiedziane przez niego zdania. Wieczorem kilkakrotnie przesłuchał wszystko to, o czym mówili. O dyktafonie przezornie nie wspomniał w trakcie rozmowy, zresztą nagrał ją na swój własny użytek. Do akt trafi wersja oficjalna zeznań, jakie ksiądz Leon złoży w prokuraturze. Z zamyślenia wyrwał go głos komendanta zamykającego spotkanie.

- Mamy wszystkie wymagane zgody arcybiskupa i episkopatu. Dzisiaj zaczynamy na poważnie przesłuchiwać wszystkich pracowników kurii. Do roboty!

- Wiemy, że nic nie wiemy. - Komisarz podsumował odprawę na ich użytek, kiedy weszli do pokoju.

- I niech to stanowi dla nas dobry punkt wyjścia - mruknął Hagen, siadając za biurkiem i wpinając komputer do sieci. - Z nicości wszak wyłonił się cały świat.

Hołownia spojrział na niego dziwnie i usiadł po swojej stronie stołu.

- Niech no ja dorwę tego skurczybyka! - zawołał po chwili.

Hagen, zaciekawiony, podniósł głowę znad pisanej właśnie notatki służbowej z rozmowy z Piotrowskim, w której nie wspominał nic o dyktafonie. Hołownia uderzył dłonią w trzymaną w ręku płachtę gazety, lokalnego dodatku do „Gazety Wyborczej”, i podał go inspektorowi.

- Niech pan zobaczy, co te pismaki wypisują.

Hagen przebiegł oczami krótki tekst, który nie dość, że zapowiadał na przyszłość jakieś rewelacje w sprawie, to jeszcze wspominał coś o opieszałości policji.

- Myślę, że to dopiero początek - powiedział, oddając gazetę komisarzowi.

- Jak pan sądzi, co mają w rękawie? - Hołownia patrzył na artykuł, jakby między wierszami mógł odczytać treść zapowiadanych rewelacji.

- Niech nasz rzecznik prasowy sprawdzi to u nich - poradził Hagen.

- Dobrze wiem, co usłyszy. „Wszystkiego dowiedzą się panowie policjanci z jutrzejszego wydania naszej gazety” - powiedział, parodiując, zresztą całkiem udanie, żydowski akcent. - Ale niech tam.

Kiedy dzwonił do rzecznika, Hagen pomyślał najpierw o tym, jak blisko są Majdanka, a potem, że co to ma do rzeczy? Czy gdyby komisarz sparodiował akcent białoruski, to też miałby to niezręczne poczucie dyskomfortu? Tkwiło w nim gdzieś pewnie, jak ziarnko piasku, poczucie winy lub coś podobnego, co sprawiało, że szmonces był koszer tylko w wykonaniu oryginalnym. Do takiego wniosku doszedł w czasie rozmowy Hołowni z rzecznikiem komendy.

- Nie lubi pan Żydów, komisarzu? - zapytał kolegę zza biurka, kiedy ten odłożył telefon.

Hołownia spojrzał na niego zaskoczony.

- Jest pan Żydem? Poczuli się pan urażony? - Zadał jedno pytanie zaraz po drugim, nie czekając na odpowiedź Hageny.

- Nie, nie jestem Żydem i nie poczułem się urażony, ale kiedy pan żartował, przypomniała mi się hekatomba miejscowych Żydów i jakoś mi to zgrzytnęło.

- No tak, rozumiem. Jak pan pewnie wie, inspektorze, mieliśmy tu przed wojną dużą żydowską gminę, a w okolicy były takie miejsca jak Bełżec, gdzie Żydzi stanowili praktycznie sto procent mieszkańców. Nic z tego nie zostało. Nie jestem antysemitą, jeśli o to panu chodzi, ale mój dziadek całe życie pracował w żydowskich fabryczkach i powiem panu, że nie przepadał za nimi. Szanował ich za zmysł do interesów i taką specyficzną narodową solidarność, której nam zawsze brakowało, ale ich nie lubił. Byli jego, jak on to mówił, wrogami klasowymi. Wasze ulice, nasze kamienice i te rzeczy. I nie płakał za tymi, którzy odeszli. Ja mam do nich stosunek obojętny - ciągnął dalej, bo Hagen milczał. - Szanuję cienie pomordowanych, ale nie widzę powodu, żeby padać na kolana przed ich wnukami. Czy pan się obrazi, jeżeli ktoś będzie przy panu żartował z Niemców?

- Na pewno nie. - Hagen pokręcił głową. - Tym bardziej że rodzina ze strony ojca pochodzi podobno od jakichś osadników holenderskich, którzy przybyli na Żuławy dobre kilkaset lat temu.

- Z Holendrów zatem?

- Nie... - Hagen uśmiechnął się. - Nie obrażę się. Szczerze powiedziawszy, ani mnie to ziębi, ani grzeje.

- Tak czy owak przepraszam, jeżeli pan to tak odebrał, ale nie miałem nic złego na myśli. Zwyczajny żart, Michnik i inni, rozumie pan...

- Jasne, nie ma o czym mówić. - Hagen spojrział na ekran komputera. - Zapytałem, bo byłem ciekaw, w jakim kontekście pan żartował, komisarzu, i już wiem.

Hołownia nie odezwał się więcej i w milczeniu powrócił do przeglądania prasy.

Jakiś czas potem, w kuchni, gdzie Hagen robił sobie bawarkę, pojawił się Nęcki z informacją o zakupach u jubilera.

- Nie wygląda to na romantyczną historię, panie inspektorze - mówił z pewnym żalem w głosie. - Denat kupił dość duży, robiony na zamówienie srebrny krzyż i łańcuch. Jak zdążyłem się zorientować, zakup był związany z obroną doktoratu przez jednego z księży, którego był promotorem. Widziałem zresztą zdjęcie tego krzyża, złotnik miał zamiar wprowadzić go do swojej oferty, bardzo ładny, taki bardziej nowoczesny, powiedziałbym.

- No to tę sprawę mamy wyjaśnioną. - Hagen oparł się o szafkę i wolno popijał gorący napój. - Co się stało z krzyżem?

- O ile mi wiadomo, został wręczony. Jeszcze to sprawdzę, ale ślad wygląda na zimny.

- Chciałbym, jeśli to możliwe, wyjaśnić sprawę tych wypłat z konta, panie Pawle. Wydaje mi się, że dostrzegam w nich pewną prawidłowość. Niech pan porówna je z jego wydatkami. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Nęcki pokiwał głową i oddalił się do swojego biurka. Jego miejsce przy elektrycznym czajniku zajęła Sylwia Sobczuk.

- Nic jeszcze nie wiem - zastrzegła od razu, nastawiając wodę.

Odgarnęła z twarzy kosmyki ciemnoblonde włosów wymykających się z końskiego ogona spiętego granatową opaską. Dzisiaj nie była w mundurze, pewnie dlatego, że jej późniejsze zajęcia wymagały pewnej dozy maskowania.

- Pani Sylwio - zaczął Hagen - mam do pani taką prośbę, żeby podczas rozmów w obu uczelniach zachowała pani jak najdalej idącą dyskrecję. - Zamilkł na chwilę, obracając całą sprawę jeszcze raz w myślach. - Szczerze mówiąc, to wolałbym, żeby pani nie wspominała w ogóle, o jaką sprawę chodzi. Nie potrzeba nam tam zbytniego rozgłosu. Nie chciałbym spłoszyć tego rozmówcy zbyt wcześnie.

Sylwia zrobiła sobie kawę, dołała mleka i dosypała trzy łyżeczki cukru ze słoika, który stał w szafce z jej imieniem naklejonym na boku.

- Myśli pan, że jedna z tych osób jest naszym podejrzanym?

Hagen rozważał przez chwilę, co jej odpowiedzieć, i w końcu postanowił być szczery.

- Nie wiem. Widzę jednak, że jakieś osoby rozmawiały z nim więcej niż wszyscy inni razem wzięci. Brakuje mi czytelnego motywu. Może oni coś wiedzą.

- Jeżeli wiedzą, to nie kwapią się, żeby się do nas zgłosić. Przejrzałam dane wszystkich, którzy dostarczyli nam samorzutnie jakichś informacji, oraz namiary podane przez przesłuchiwane osoby na ludzi, którzy ewentualnie mogliby nam przekazać jakieś dodatkowe dane, i nie ma wśród nich nikogo z Akademii, Medycznej ani Rolniczej.

- Widzę, że miała pani udany weekend - zauważył Hagen z uśmiechem. - Dobra robota - dodał już poważnie.

W świetle jarzeniówki dostrzegł, że lekko się zarumieniała, i uśmiechnął się do niej jeszcze raz. Jeżeli za te pieniądze, jakie

tu zarabia, straciła wolny dzień na przekopywanie się przez dokumentację śledztwa po to, żeby następnego dnia być dobrze przygotowaną do zadań, to należały jej się słowa uznania.

- Mam wrażenie, że pan wiąże z tym śladem spore nadzieje - powiedziała, wstawiając filiżankę do zlewu i płucząc ją silnym strumieniem wody.

Kiedy Hagen nie odezwał się, potrząsnęła lekko głową i jeszcze więcej kosmyków opadło jej na policzki.

- Chciałabym, żeby miał pan rację.

Po jej wyjściu pomyślał, że właściwie niepotrzebny mu pokój. Wyglądało na to, że większość spraw mógłby załatwiać w kuchni. Wrócił do gabinetu, a Hołownia, widząc go, przesunął na jego stronę biurka jakieś papiery, które właśnie skończył czytać.

- Niech pan rzuci na to okiem i powie mi, co o tym myśli.

Hagen wziął do ręki raport laboratorium kryminologicznego i bez pośpiechu zapoznał się z jego zawartością, robiąc w tekście i na marginesach adnotacje czerwonym mazakiem. Poddano analizie dokumenty znalezione u biskupa. „Biblia Szatana” była laserowym wydrukiem pliku ściągniętego z portalu internetowego szatanjestpanem.pl, jednego z wielu, na których można było zidentyfikować w sieci materiały o podobnej treści. Nie stwierdzono na nim żadnych innych odcisków palców poza kilkoma bezspornie należącymi do denata. Nikt poza biskupem nie dotykał tych kartek. Komputer domowy ofiary był zabezpieczony hasłem i dopiero dzisiaj spodziewano się, że będzie można przejrzeć jego zawartość, łącznie z e-mailami i historią internetową. Być może uda się ustalić, kiedy dokładnie ściągnął ten konkretny plik. Hagen przyglądał się temu wszystkiemu i zastanawiał, co mu nie pasuje do obrazka.

Jeszcze raz przeczytał krótką notatkę. Tak... O ile sobie przypominał, a miał dosyć czasu, żeby dobrze się przyjrzeć, Wygnowski miał w domu drukarkę atramentową. Zupełnie niezłą, przystosowaną do druku kolorowych zdjęć profesjonalnej jakości, ale na pewno nie laserową. Zatem jeśli nawet ściągnął tekst LaVeya w domu, to z pewnością wydrukował go gdzie indziej. Postawił na tekście duży znak zapytania i podzielił się swoimi wątpliwościami z komisarzem.

- Niech pan przeczyta dalej - zachęcił go Hołownia. - Chyba coś wreszcie mamy.

List znaleziony w mieszkaniu Wygnowskiego także nosił ślady tylko jego palców. Wyklejony był literami wyciętymi z nagłówków w „Kurierze Lubelskim”. Użyto zwykłego kleju do papieru w sztyfcie, jaki można kupić w każdym sklepie ze sprzętem biurowym. Papier, na którym wyklejono list, był tego samego rodzaju, jak ten, na którym wydrukowano „Biblię”, ale trudno byłoby wyciągać na tej podstawie zbyt daleko idące wnioski, bo był to powszechnie używany, tani papier do drukarek laserowych dostępny w wielu biurach. Komenda policji na przykład używała tego samego rodzaju papieru, zauważał na marginesie Lewicki, szef laboratorium. Spośród mikrośladów, zabezpieczonych na powierzchni listu, uwagę Hagen zwróciły dwa. Włos, pochodzący najprawdopodobniej z kociego futra, a jak wiedzieli, denat nie miał żadnych zwierząt, oraz jedno szare włókno, bardzo podobne do tego, jakie znaleziono na ubraniu biskupa.

- Miłośnik kotów, he? - Hołownia zatarł ręce. - Zaczynam powoli go widzieć. Portret psychologiczny od pani magister, kotek z listu, rzadko spotykany rodzaj zainteresowań... Krok po kroku znajdziemy tego bydlaka.

- Zrobmy od razu selekcję wszystkich ludzi z kręgu ofiary, którzy mają koty. Taka baza danych może nam się przydać, nie mówiąc o ewentualnych badaniach porównawczych. - Hagen wpatrywał się w raport. - Co pan myśli, komisarzu, o tym włókienku, podobnym do tych z Wólki, z ubrania?

- Też się nad tym zastanawiałem. Sądzę, że jeżeli morderca i autor listu to jeden i ten sam człowiek, to ta nitka pochodzi z jego samochodu, z jakiegoś pledu czy koca, może z tapicerki. Dotykał tego przed wyklejaniem listu, na przykład przyjechał do domu z gazetą. Sądzę, że to niezłe pasuje.

- Powoli się układa - zgodził się Hagen.

Cały dzień trwały przesłuchania pracowników kurii. Hagen wysłuchał kilku rozmów, przeczytał stos dodatkowych materiałów, napisał kolejny raport do nadinspektora, rozmawiał przez telefon z oficerami Euro-polu i Interpolu w sprawie analizy porównawczej lubelskiej zbrodni. Robiąc to wszystko, jednocześnie czekał na jakieś dane od Nęckiego i Sylwii. Na razie nie mieli mu nic do powiedzenia. Było już późne popołudnie, kiedy na biurku Hołowni zadzwonił telefon. Komisarz rozmawiał chwilę i z zadawanych pytań Hagen domyślił się, że to dziewczyny przyjmujące telefony nalegają, żeby odebrał rozmowę z miasta.

- Dlaczego każdy chce rozmawiać z prowadzącym śledztwo? - zapytał wreszcie retorycznie i zrezygnowanym głosem poprosił o połączenie. Spojrzał na inspektora, ten skinął głową i Hołownia przełączył telefon na głośnik zewnętrzny. - Komisarz Hołownia, słucham - powiedział oficjalnym tonem.

Chwilę trwała wypelniona chrobotem cisza.

- Czy to pan kieruje śledztwem w sprawie śmierci tego klechcy? - zapytał męski, lekko stłumiony głos, jakby ktoś, wzorem ze starych filmów, mówił do słuchawki przez chusteczkę.

Hagen i Hołownia spotkali się wzrokiem. Komisarz wzruszył ramionami z wyrazem twarzy, który przemawiał dobitniej niż jakiegokolwiek słowa. Kolejny świr.

- Tak, słucham pana.

- Powiem wam tylko tyle, i dobrze sobie to zapamiętajcie: nigdy nas nie złapiecie.

Szczęknęła odłożona słuchawka i zaległa cisza. Hagen wyskoczył na korytarz i wpadł do pokoju podzielonego tymczasowymi boksami, gdzie siedziały telefonistki.

- Skąd on dzwonił?! - krzyknął do zarządzającej nimi policjantki.

- Kto? - zapytała, patrząc na niego ze zdziwioną miną.

- Ten facet, którego przełączyłyście teraz do komisarza.

Spojrzała na dziewczyny i wzrok Hageną podążył w tę samą stronę. Krótka obcięta, ciemnowłosa studentka w białej bluzce podniosła rękę.

- Ja łączyłam teraz rozmowę do pana komisarza.

- Czyli trójka - powiedziała podoficer, której nazwiska Hagen nie pamiętał. - Z budki telefonicznej przy ulicy Chopina. To w samym centrum.

- Niech natychmiast tam jadą i zdejmą odciski z całego aparatu - usłyszeli zza pleców głos komisarza.

Policjantka spisała numer ulicy na kartce i wybiegła z pokoju. Wśród dziewcząt podniósł się szmer podekscytowanych głosów. Do pokoju zajrzał Nęcki, zwabiony gwarem. Po nim zjawili się inni.

- Myśli pan, komisarzu, że to rzeczywiście jeden z morderców? - zapytał któryś z młodszych policjantów po przesłuchaniu nagrania rozmowy.

- Nie mam pojęcia. - Hołownia rozłożył ręce. - Wiem tyle samo, co i wy.

- To najbardziej sensowny ślad, jaki na razie mamy. - Hagen usłyszał czyjś komentarz, kiedy rozchodzili się do swoich stanowisk.

- To jedyny ślad, jaki mamy - poprawił mówiącego inny głos.

Jak na razie, pomyślał inspektor. Jak na razie.

Kolejny ranek powitał go pogodniejszym niebem. Słońce wychylało się zza białych chmur i chowało z powrotem, jak młódka strzelająca oczami znad wachlarza na pierwszym balu. Czuł na sobie ciepło tego spojrzenia, kiedy wchodził na dziedziniec komendy. To jedno wystarczyło, żeby poprawić mu humor.

- Świat nie jest taki zły, świat nie jest taki zły, niech no tylko... - zanucił, wchodząc po schodach, ale widząc rozbawione spojrzenie jakiejś urzędniczki, zreflektował się i umilkł.

Hołownia, który nie sypiał dobrze, zawsze był w pracy pierwszy.

- Zasypiam wcześniej i wcześniej wstaję - powiedział któregoś dnia, kiedy jedli południową przekąskę.

- Filozofia pana Zagłoby - zauważył wówczas Hagen, a widząc, że komisarz nie wie, o co mu chodzi, wyjaśnił: - Sienkiewiczowski pan Zagłoba zawsze uważał, że najważniejszy rozkład dnia to kłaść się spać po wieczornym udoju, a wstawać o rannym, co oznaczało godzinę mniej więcej piątą rano.

- Zważmy, że nie było wtedy telewizji, co znacznie ułatwiało sprawę - powiedział Hołownia. - Tak czy siak zazwyczaj budzę się koło pół do szóstej i nie mogę już spać. Wolę tu przyjść

wcześniej, kiedy jest jeszcze cicho i spokojnie i można swobodnie pomyśleć.

Hagen nie wierzył w dobrodziejstwa wczesnego wstawania, toteż kiedy wszedł do pokoju, komisarz, jak zwykle, siedział od dawna przy biurku. Tym razem jednak nie był pogrążony w rozmyślaniach, ale gniewnie wymachiwał płachtą gazety przed nosem rzecznika komendy, który jednak nie wyglądał na specjalnie poruszonego.

- O, jest pan inspektor! - zawołał na jego widok. - Czytał pan to? - Podsunął mu pod nos „Gazetę Wyborczą”. - Na pierwszej stronie! - Parsknął jeszcze z irytacją.

Hagen rzucił okiem na tytuł: „Nowe, nieznane okoliczności śmierci biskupa Wygnowskiego”. Otworzył gazetę na czwartej stronie, gdzie był właściwy artykuł. Przebiegł wzrokiem po śródtytułach. Satanistyczne rytuały, okaleczone ciało, ponura tajemnica... Autor podawał wiele informacji nieujawnionych przez policję i prokuraturę.

- Nic tu się nie uchowa - kontynuował w tym czasie komisarz. - Mówi się, że ta komenda jest jak dziurawy garnek, ale mi się zdaje, że jesteśmy jak garnek bez dna. Komendant podrapie się w nos i następnego dnia będzie o tym notatka w „Kurierze”. Zna go pan, tego autora od siedmiu boleści? - zapytał rzecznika.

- Znam. - Rzecznik mówił takim tonem, jakby cały ten wybuch, którego fragmentu Hagen był przed chwilą świadkiem, nigdy się nie zdarzył. - Jest możliwe, że artykuł ma swoje źródło w komendzie, ale możliwe też, że przeprowadzili swoje własne śledztwo.

- Powołuje się tu na funkcjonariuszy pragnących zachować anonimowość. - Komisarz oskarżycielsko wycelował palec w gazetę leżącą przed inspektorem.

- Może jedno i drugie. Dostał cynk od kogoś od nas, a resztę wyniuchał i trochę sobie dośpiewał.

- Jak to jest, do cholery, że nigdy nie ma przecieków z kurrii? Czy możecie mi powiedzieć, dlaczego za to zawsze są od nas i z prokuratury? Czy ci ludzie nie mają żadnego poczucia przyzwoitości? Ja nie wiem...

- Jeśli chodzi o prokuraturę, to stamtąd wyciekają nie tylko informacje, ale i akta, jak pan świetnie wie - powiedział rzecznik, nawiązując do głośnej niedawno afery związanej ze zniknięciem dokumentów procesowych tuż przed trafieniem sprawy polsko-ukraińskiego gangu przemycającego samochody przez granicę na wokandę sądową. - Nie jesteśmy znowu tacy najgorsi.

- Jakby nam zniknęły dokumenty sprawy, to ktoś by za dyndał za jaja pod sufitem - warknął Hołownia. - To by już był ostateczny upadek.

- I co pan o tym sądzi? - zapytał Hagen.

- Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że dokładnie przepytali mieszkańców Wólki Kozłowieckiej, łącznie z tym Olejnikiem, który zawiadomił policję, obejrzeliby tę chałupę. Nawiasem mówiąc, będzie ona przez jakiś czas największą lokalną atrakcją turystyczną. Myślę też, że ma pan rację. Co nieco wypłynęło również od nas albo z prokuratury... Szczerze powiedziawszy, od początku było jasne, że to się wyda. Chodziło tylko o te parę dni przewagi.

- Pewnie, że tak, ale mnie to zawsze wkurza. Czerwony telefon radia Zet i te wszystkie inne oficjalne stragany z informacją... To demoralizuje naszych ludzi.

- Z drugiej strony, dzięki temu trudniej jest różne sprawy zamieść pod dywan - zauważył Hagen. - Gdybyśmy zawiązali mediom dziób, to po chwili byłibyśmy w jeszcze większym bagnie niż teraz.

Jeden rzut oka na komisarza wystarczył, żeby stwierdzić, że nie miałyby nic, przynajmniej dzisiaj, przeciwko porządnemu kagańcowi z drutu kolczastego, ale nie odezwał się i tylko westchnął ciężko.

- Teraz dopiero wszystkie świry będą miały używanie - mruknął wreszcie po chwili. - Zero szans na odcedzenie jakiejś sensownej informacji.

Jak się okazało, miał całkowitą rację. Jeżeli dotąd ich minicentrala była bardzo zajęta, to tego dnia łączy praktycznie się zablokowały. Czytniki elektroniczne w komputerze monitorującym przychodzące połączenia wskazywały na numery z całego kraju. Oliwy do ognia dolewali jeszcze dziennikarze radiowi, a na spotkanie z komendantem czekały już ekipy wszystkich polskich i kilku zagranicznych stacji telewizyjnych.

- Kuria, bardzo zresztą rozsądnie, odmówiła komentarzy i dla dobra śledztwa odesłała wszystkich do nas - powiedział Hołownia zrezygnowanym tonem koło południa, po powrocie z kolejnej rozmowy z mediami, gdzie wspierał merytorycznie swojego przełożonego.

- Ten dzień jest stracony.

Jakby na potwierdzenie jego słów do pokoju zajrzał Nęcki i przyznał, że nie potrafi znaleźć żadnych korelacji między przychodami i wydatkami biskupa. Poza faktem, że w okolicach dziesiątego każdego miesiąca wypłacał z konta kilkaset złotych, nie było w nich żadnej dającej się rozpoznać prawidłowości.

- Jak tam komputer Wygnowskiego? - spytał Hagen.

- Uzyskali już do niego dostęp, ale na razie nic nowego. Nie wydaje się, aby ściągał te materiały satanistyczne na swoje domowe konto. W historii Internet Explorera nie ma żadnego połączenia z portalem satanistycznym. Oprócz częstych wizyt na stronach rozmaitych katolickich i chrześcijańskich serwisów

z całego świata zapisanych jest kilka wejść na strony pornograficzne i wiele na strony związane z nieruchomościami w całym województwie lubelskim. Co ciekawe - kontynuował Nęcki - w niedzielę wieczorem biskup odwiedził stronę Centralnego Biura Śledczego, a potem ściągnął i zapisał na dysku ich stronę główną. Czyli, jak to się mówi, zdawniłowował ich *home page*.

- To ciekawe - powiedział komisarz w zamyśleniu. - Po co by to robił?

- Może ten list napędził mu stracha? - zasugerował Nęcki.

- Może tak, ale czemu CBS? Mógł przecież zadzwonić do nas. - Aspirant popatrzył na niego dziwnie i Hołownia zasępił się. - No tak - mruknął po chwili. - Gazety, radio, telewizja i film. Naszą specjalnością są przecież public relations.

- Mógł nie życzyć sobie nagłaśniania tej sprawy - zgodził się Nęcki. - Wydaje się, że instynkt w sprawie autora tego listu go nie zawiódł.

- Do pewnego stopnia - zauważył Hagen. - Jeżeli to autor listu jest mordercą, możemy przyjąć, że jednak go nie docenił.

Do dyskusji dołączyła na chwilę Sylwia.

- W bibliotece dowiedziałam się, że nie wypożyczał ani nie czytał ostatnio nic, co mogłoby nawet odlegle zahaczać o satanizm, demonologię i takie tam... - oświadczyła.

- Nie stójcie tak w drzwiach, do cholery, wejdźcie i usiądźcie jak ludzie - zaprosił ich komisarz.

- Na żadnej z uczelni nie udało mi się niczego znaleźć. W zakładzie kręgowców Akademii Rolniczej pracuje ponad trzydzieści osób. Żadna z nich nie pojawiła się w naszym dochodzeniu w

jakimkolwiek momencie, który mnie udałoby się zidentyfikować.

- Jak tam jego domowe e-maile? - zapytał Hagen.

- Na komputerze nie ma nic ciekawego. Może miał skrzynkę mailową w jednym z portali? Jeżeli jednak tak, to do korespondencji nie używał Outlooka, tylko pisał bezpośrednio w swojej skrzynce. Na razie nie udało nam się tego ustalić.

- A zatem nic. Kolejna ślepa uliczka - stwierdził Hagen rozczarowany. - Trudno.

Do pokoju wszedł funkcjonariusz, który zajmował się segregacją korespondencji. Na dłoniach miał lateksowe rękawiczki. W jednym ręku trzymał otwartą kopertę, w drugiej list, oba przedmioty włożone do specjalnych foliowych koszulek.

- Zechce pan rzucić okiem, komisarzu - powiedział z galanterią, kładąc list przed przełożonym.

Wszyscy pochylili się nad dokumentem.

- No proszę. - Hołownia trzepnęła wierzchem dłoni w list. - Czyżby nasz pan satanista?

Odwrócił list tak, żeby inspektor mógł go przeczytać. Literami wyciętymi z gazety ułożone było jedno zdanie: *I przyszedł pan ciemności po jego dusze jak po swoja.*

- Nie bawi się w drobiazgi - zauważył Hagen.

- Tak, nie jest niewolnikiem ortografii - zgodził się komisarz. - Czy to jakiś cytat?

Nikt nie wiedział, postanowiono więc skontaktować się z kurią. Nęcki poszedł dzwonić.

- Dzięki, Tomek - powiedział Hołownia do policjanta, który przyniósł list. - To może być dla nas bardzo ważne. Trzeba koniecznie sprawdzić odciski na liście i na kopercie, może będą

pasowały do tych zdjętych z telefonu. Wiecie, ile różnych odcisków może być na słuchawce publicznego telefonu? - zwrócili się do nich wszystkich. Pokręcili głowami. - W sumie zdjęli prawie trzydzieści, ale czy to będzie miało jakiegokolwiek znaczenie...

- Pokaż, proszę, kopertę - rzucił Hagen do młodego człowieka, przejmując styl komisarza mówienia mu na ty.

Zwykła koperta, zaadresowana równymi drukowanymi literami, rysowanymi przy linijce ciemnoniebieskim długopisem. Data nadania była wczorajsza, zatem sensacje prasowe zatruwające im życie od rana nie były wtedy jeszcze w obiegu.

- Ostemplowany na poczcie głównej - oznajmił Tomek, widząc, jak Hagen studiuje stempel. - To ta przy placu Litewskim.

- Wygląda na to, że nadana była przed ujawnieniem satańczego kontekstu zbrodni. - Hagen postukał w kopertę palcem wskazującym. - Czy jego treść jest dla was wystarczająco klarowna, żeby uznać, że autor wiedział więcej, niż powinien?

Wszyscy obecni w pokoju spojrzeli po sobie. Nieoczekiwanie to Sylwia odezwała się pierwsza.

- Komunikat jest bardzo ogólnikowy. Nawiązuje do szatana, ale w kontekście śmierci. Równie dobrze mógł to napisać ktoś, kto uważał, że dusza Wygnowskiego powinna po śmierci pójść do piekła. Możemy tylko spekulować, dlaczego tak sądził - mówiła cichym głosem, jak zwykle, ale wszyscy obecni w pokoju słuchali jej uważnie. - Z drugiej strony, jeżeli zestawimy go, abstrahując nawet od strony formalnej i wyglądu listu i skupiając się tylko na treści, z tym znalezionym w mieszkaniu biskupa, to muszę powiedzieć, że dostrzegam pewną ciągłość. Zaryzykowałabym stwierdzenie, że napisał je ten sam człowiek.

Czy są powiązane bezpośrednio ze zbrodnią? - Wykonała dłonią ruch przypominający kręcenie żarówką w tę i z powrotem.
- Nie jestem pewna.

- Mnie też się wydaje, że to jest ta sama osoba, tutaj się w pełni z tobą zgadzam. Sądzę jednak, że listy te mają bezpośredni związek ze sprawą. - Hołownia odchylił się na krześle i patrzył na nich, założywszy ręce na piersiach. - Zobaczcie. Biskup dostaje list od anonimowego nadawcy. Pomimo jego bardzo ogólnej treści, zawierającej jednak w sobie ton groźby, sprawdza strony internetowe CBS. Myśli prawdopodobnie o jakimś śledztwie bez rozgłosu. Co więcej, wydaje mi się, że po interwencji episkopatu chłopcy zabraliby się do tego. Nie było to takie zupełnie pozbawione sensu, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. - Spojrzał na Hagenę, który potwierdził lekkim skinieniem głowy. - Zresztą być może nie był to pierwszy list, jaki otrzymał? Może poprzednie wyrzucił? Nie wiemy. Autor listu realizuje jednak swoją groźbę w sposób znacznie bardziej dosłowny i znacznie szybciej, niż Wygnowski się spodziewał. Teraz wysłał do nas list, żeby ogłosić wypełnienie się poprzedniej przepowiedni. Taki prorok, rozumiecie.

- Ciekawe tylko, dlaczego ten poprzedni list biskup miał w domu? - zapytała Sylwia. - Sugerowałoby to, że nadawca znał jego prywatny adres. Gdybym ja wysłała taki list, tobym zaadresowała go na nazwisko i na kurię. Nie mam pojęcia, gdzie mieszkają biskupi pomocniczy, ale wszyscy wiedzą, gdzie pracują.

- Może tak było, biskup zabrał go jednak z pracy do domu? - odpowiedział Nęcki, który jakiś czas temu wrócił do pokoju i przysłuchiwał się dyskusji. - Nawiasem mówiąc, to nie jest żaden cytat. Najprawdopodobniej jego własna twórczość.

- Dzięki. Zatem, wracając do listu, być może koperta od niego jest jeszcze gdzieś w papierach biskupa, które zabrało z kurii laboratorium kryminalistyczne.

- Zobaczymy. Jutro powinny być już skopiowane i posegregowane, będziemy mogli im się przyjrzeć - powiedział Hołownia.

- A co pan sądzi o tej sprawie, inspektorze? - zapytała Sylwia.

- No cóż... - Hagen nie miał jasno sprecyzowanego poglądu. - Wydaje mi się, że nie tracąc z oczu tej hipotezy, o której mówiliście, musimy również badać inne wątki. Ja zakładam, że te listy i wczorajszy telefon mogą mieć coś wspólnego ze śmiercią biskupa, ale mogą być również pewnego rodzaju szumem informacyjnym, który zaciemnia istotę sprawy. To znaczy, sprawdzamy tę wersję, tak, ale rozglądamy się pilnie na boki, bo a nuż chodzi tu o coś zupełnie innego.

- Tak jest - zgodził się Hołownia. - Zachowujemy czujność i całą parą do przodu. - Wyglądało na to, że pragnął na zakończenie nadać całej rozmowie pewien walor dydaktyczny.

Hagen spojrział na zegarek i wstał szybko, sięgając po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła.

- My tu gadu-gadu, a pogrzeb rozpoczyna się dosłownie za chwilę.

- Idzie pan na pogrzeb? - zapytał Nęcki. - Filmujemy wszystko.

- Wiem. - Hagen spojrział w lustro i poprawił krawat. - Mam ochotę trochę się rozejrzeć.

Pożegnał się i wyszedł, nie wdając się w żadne bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Po pierwsze, nie musiał. Na szczęście. Po drugie, co by im powiedział? Że chciał w ten sposób wyrazić swój szacunek dla człowieka, którego nigdy nie spotkał,

a który stał mu się zaskakująco bliski przez te godziny spędzone na pościgu za jego cieniem? Człowieka, nad którego doczesnymi szczątkami stał, a one, na jego oczach niemal, w proch się obracały. Być może jego dusza nieśmiertelna zdążyła do niebios, być może już tam dotarła, pomyślał, idąc szybkim krokiem w stronę archikatedry, mijając ludzi ubranych w czerń i niosących kwiaty. Być może wraz z ustaniem pracy mózgu popogrążył się w ciszy i ciemności, które stanowią o absolutnej nicości biologicznej śmierci, bez żadnych metafizycznych subtelności. Jakkolwiek tam jest, po drugiej stronie Styksu, biskup Rafał już to wiedział. Oni wszyscy, którzy tu pozostali, mogli się tylko domyślać lub modlić się i wierzyć. Mogli czekać na swoją kolej, która, jak uczyło doświadczenie, na pewno nadejdzie.

Przed katedrą zdążył się już zebrać potężny tłum. Hagen ocenił, że przyszło kilka tysięcy osób. Cały plac i ulica Królewska wypełnione były ludźmi aż po Bramę Krakowską. O wejściu do wnętrza kościoła nie było nawet co marzyć.

- Nie spodziewał się pan takich tłumów, inspektorze? - usłyszał za sobą kobiecy głos i odwrócił się. Prokurator Tarnawska była ubrana w czarną garsonkę i białą bluzkę. Wyglądała, jakby szła pisać egzamin maturalny.

- Witam panią. - Pocałował ją w rękę. - Zasiedzieliśmy się w komendzie i moje plany, żeby wejść do środka, spaliły na panewce.

- Podejdźmy bliżej - zaproponowała.

Ofiarował jej ramię i po chwili wahania wzięła go pod rękę.

- To małe miasto - powiedziała cicho, nie precyzując bliżej, co ma na myśli. Sądził, że nawiązuje do ich spaceru, więc zaczął

mamrotać przeprosiny i cofać rękę, ale poczuł, że jej szczupła dłoń ścisnęła jego ramię, więc zamilkł.

Tłum, którego obrzędem szli, nie był zbyt gęsty, lecz widać było, że w ciągu kilkudziesięciu minut, jakie pozostały do rozpoczęcia obrzędu, wszystkie wolne miejsca zostaną wypełnione. Kiedy drogę zagroziły im służby porządkowe, Hagen pokazał legitymację i zostali przepuszczeni przez kordon oddzielający ludzi od jezdni. Znajdowali się teraz trochę z boku katedry. Daleko, w perspektywie ulicy, widać było bramę prowadzącą na dziedziniec kurii.

- Och, pan inspektor, czy można w czymś pomóc? – Głos należał do księdza Jana, sekretarza arcybiskupa.

- Dzień dobry. - Hagen miał przedstawić właśnie księdzu panią prokurator, kiedy nagle uświadomił sobie, że nie wie, jak ta filigranowa kobieta ma na imię.

- Joanna Tarnawska - powiedziała, ratując go z opresji i podając dłoń księdzu, który wyraźnie był pod wrażeniem harmonii, w jakiej pozostawały organy ścigania.

- Czy nie mielibyście państwo ochoty wejść do środka? - zapytał i oboje odparli, że owszem.

Poprowadził ich do bocznego wejścia, otworzył małe żelazne drzwi i po chwili już otaczał ich mrok i chłód świątyni.

- Siadajcie państwo, za chwilę nie będzie już żadnych miejsc.

Podziękowali mu cicho, a ksiądz przeprosił ich, wymownym gestem wskazując na całą świątynię, i oddalił się do swoich obowiązków. Katedra wypełniała się szybko ludźmi, ruchem dyrygowali funkcjonariusze służby kościelnej i harcerze. Zauważył, że do środka można było wejść tylko za zaproszeniami.

- Siadajmy, jeżeli nie chcemy przestać całej mszy - powiedział szeptem, pochylając się i zbliżając usta do jej ucha.

Jasne włosy połaskotały mu wargi i poczuł delikatny zapach perfum. Usiedli w przedostatnim rzędzie, gdzie było jeszcze kilka miejsc. Po chwili wszystkie były już zajęte, a ktoś cichym głosem prosił, żeby trochę się ścisnąć, bo wiele osób chciałoby jeszcze usiąść. Zanim zaczęto ceremonię, byli już upakowani jak sardynki w puszcze i zastanawiał się, jak będą wstawać i przyklękać podczas mszy. Tymczasem siedział, czując ramieniem ciepło kobiecego ciała, i próbował skupić się na tym, po co tu przyszedł. Gwałtowna reakcja na fizyczną bliskość tej kobiety, której prawie nie znał, wprowadziła go w zdumienie. Faktem było, że od pół roku, odkąd przestał spotykać się z Claire, nie licząc dziwnego epizodu z byłą żoną, jakim zakończyli celebrowanie rozvodu, żył w prawdziwym celibacie. Można by powiedzieć, że była to jedna z nici łączących go z ofiarą. Tyle że tę akurat nic miał zamiar przeciąć przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Rozległ się ostry dźwięk gwałtownie potrząsanych dzwonek, wzywających do skupienia. Msza żałobna celebrowana była przez arcybiskupa, koncelebrowana przez biskupów pomocniczych. W pierwszych ławkach Hagen zdążył zauważyć fiolety i purpury, a na fotelu z boku charakterystyczną postać prymasa. Wokół siedziało i stało bardzo wielu duchownych i zakonników. Katedra była nabita do granic możliwości ludźmi w czerni. Wydawało się, że jest w niej znacznie ciemniej niż zazwyczaj. Hagen pochylił się i wsparł czoło na złożonych dłoniach. Głosy sprawujących liturgię i pokasływania wiernych powoli od niego odpływały. Zobaczył siebie, zatopionego w

obojętnym mu tłumie. Poczul nagle zmęczenie i smutek. Przejmujący, wydobywający się gdzieś z głębi trzewi smutek zatruty gorzką kroplą rezygnacji. Boże, jaki robię się stary, pomyślał. Jestem samotny, nieszczęśliwy w miłości i powoli obumieram. Kiedy już umrę, ludzi, którzy przyjdą się ze mną pożegnać, będzie można posadzić w trzech pierwszych rzędach tej czy innej świątyni. Popatrzą na siebie, na trumnę i rozejdą się do swoich spraw, jakby nigdy nic... Ujrzał na moment swoje życie z innej, odległej perspektywy, jakby patrzył na nie przez odwróconą lornetkę. Miał wrażenie, że dotąd ślizgał się po jego szklistej powierzchni, jak nartnik po gładkiej tafli wody, niezdolny, by zanurzyć się w głąb, zaczerpnąć głęboki haust i, niechby tam nawet, utopić się, ale żeby chociaż to było prawdziwe. Przez tę krótką chwilę rozumiał, co złego wydarzyło się w jego przeszłości, pojmował, że zabrakło mu odwagi, żeby kiedyś powiedzieć „nie” i żeby krzyknąć „tak”, jak choćby wtedy, wiosną, w nasiąkniętej wodą Brukseli. Nie potrafił przyjąć dobra i piękna tam, gdzie chciano go nim obdarować. Odsuwał je od siebie pełen strachu przed całkowitym zbliżeniem i zjednoczeniem się z innym człowiekiem. Ze strachu przed otwarciem się przed kimś do końca. Z lęku przed miłością. Zrozumiał, że nieprzypadkowo najbardziej pragnął kobiet, których nigdy nie mógł mieć, bo główny nurt ich życia toczył się gdzieś obok. Pozwalało mu to przeżywać emocje, unikając jednak głębszego zaangażowania, bo były to historie miłosne na niby. Czasem barwne i pełne uniesień, ale nieprawdziwe, bo z góry skazane na niespełnienie. Bezpiecznie puste wydmuszki rzeczywistych miłości. Co prawda, w ich zimnym ogniu nie można było spłonąć na popiół, ale nie pozwalały też, by powstać jak

feniks. Kiedy zaś przychodziła chwila, że trzeba było wybierać i albo poddać się szaleństwu i uczuciu, albo pograć w melancolii niespełnienia, to w końcu wybierał to drugie, bo nie wierzył w siebie i nie wierzył w miłość. Poczł też wtedy, w tej dziwnej chwili zrozumienia, że to o nim pisał Paweł do Koryntian: „Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brzęcząca albo cymbał brząający. Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką możliwą wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”. Nieważne, że niezupełnie taką miłość miał Szaweł na myśli, kiedy to pisał prawie dwa tysiące lat temu. I stałem się jak miedź brzęcząca i jak ołów głuchy, i jak cymbał, przede wszystkim jak cymbał...

Wokół zrobił się szum, ruch. Stuknęły pulpity. Wszyscy wstali i Hagen, wyrwany tym poruszeniem z zamyślenia, spóźniony poderwał się na nogi. Ramieniem odepchnął stojącą obok panią prokurator. Zachwiała się i przytrzymała jego ręki.

- Przepraszam - szepnął w jasne włosy, czując je teraz na całej twarzy, muskające powieki i rzęsy, wargi i język, kiedy mówił. Po kryjomu, jak chłopak podglądający dziewczyny nad rzeką, odetchnął głęboko jej zapachem.

- Nic nie szkodzi. - Dotknęła lekko jego przedramienia.

Usiedli. Przez chwilę słuchał pradawnych formuł budujących przestrzeń duchową wokół niego, ale moment introspekcji, jaskrawej i bolesnej, minął. Pozostał po nim zawrót w głowie i smak krwi w ustach. Po kilku minutach jego myśli pobiegły do dębowej trumny stojącej w przejściu między pierwszymi

rzędami. Przypomnił sobie, co o powodach wstąpienia leżącego w niej człowieka do seminarium opowiadał ksiądz Piotrowski. Znowu obracał w głowie wszystko to, czego dowiedział się do tej pory o biskupie i znowu nie potrafił dojść do żadnej konkluzji. Uklękli, podnieśli się i znowu usiedli. Ponownie wsparł czoło na złożonych dłoniach. Po chwili zorientował się, że przygląda się ładnym kolanom prokurator Joanny, widocznym w półmroku, obciążonym delikatną mgiełką czarnych pończoch. Przez chwilę walczył z pokusą położenia na nich dłoni i zamknął oczy. Teraz całym swoim prawym bokiem czuł jej sylwetkę, ściśle przylegającą do niego. Ramię, biodro, udo. Kątem oka widział jej delikatne rysy i złote włosy. Czuł jej zapach i bijące od niej ciepło. To bez sensu, żeby sadzać wyposzczonego faceta w jednej ławce z piękną kobietą, powiedział do siebie bezgłośnie, a ktoś obserwujący go z boku mógł pomyśleć, że się modli. Takie zestawienie może popsuć najbardziej wzniosłą mszę żałobną. Pajacowanie przed samym sobą pozwalało nie pamiętać z pełną ostrością tego, co przydarzyło mu się przed chwilą. Wiedział dobrze, że nabyta właśnie wiedza o sobie nie opuści go, że wystarczy trochę obniżyć gardę i celnie wyprowadzony cios znowu dosięgnie go prosto między oczy, bo nie ma ucieczki przed samym sobą. Wszyscy oszukujemy się i żyjemy jakby na cudzy rachunek, ale w głębi duszy wiemy, że nie ma od siebie ucieczki. Za plecami zawsze skrada się nasz cień, gotów w każdej chwili skoczyć nam do gardła. Chyba wiedział to wszystko już wcześniej, przeczuwał może raczej, tętniło to w nim jak duże naczynie przeżące się pod skórą, niewidoczne jednak wyraźnie na powierzchni. A teraz, pół roku od brukselskiej szarugi, ostre zęby rozdarły tę tętnicę i krew

chlusnęła na wszystko wokoło. Poczuł, jak Joanna poprawia się w ławce. Odetchnął głęboko. Ciekaw był, czy kobieca intuicja pozwoliła jej wyczuć jego stan ducha i niepokój, jaki w nim wzbudziła. Podejrzewał, że tak. Wierzył w magiczną zdolność kobiet do rozpoznawania takich nastrojów u mężczyzn. Czując się bezbronny i przejrany na wylot w swoich niskich instynktach, Hagen pogrążył się w kontemplacji własnej małości i tak trwał do końca ceremonii.

Msza skończyła się i w czarnym ludzkim strumieniu, wylewającym się z kościoła jak kawa z pękniętego dzbanka, wyszli na plac. Ludzie przemieszczali się we wszystkich kierunkach, żegnali bądź witali ze sobą. Hagen się zatrzymał. Chciał się pożegnać. Czuł się niezręcznie i głupio. Miał poczucie, że ona słyszała wszystkie jego myśli. Otwierał właśnie usta, kiedy za jej plecami zamajaczyła znajoma sylwetka i słowa pozostały niewypowiedziane.

- *Buongiorno, ispettore* - przywitał się ksiądz Scarpi.

Hagen przedstawił mu Joannę i patrząc na nich, stwierdził, że rozmiarem są dla siebie stworzeni. Kieszonkowe ludziki.

- Jakże to miło, że tu się spotykamy - powiedział jezuita, patrząc na panią prokurator.

Joanna spojrzała zdziwiona na Hagenę, a ten wyjaśnił, że monsignore Scarpi nauczył się języka polskiego od matki i nie używa go na co dzień. Scarpi uśmiechnął się i przeprosił z góry za wszelkie błędy.

- Sądzę, że to nasze spotkanie jest świetną okazją do wymiany poglądów w mniej formalnej atmosferze - dodał.

Czyli: „Chciałbym się czegoś dowiedzieć”, przetłumaczył ostatnie zdanie księdza na swój użytek Hagen, a potem pomyślał, że robi się złośliwy na starość. Joanna zaproponowała

ogródek jednej z restauracji na rynku starego miasta i po chwili siedzieli tam, mając przed oczami bryłę Trybunału Koronnego.

Scarpi dał do zrozumienia, że to on zaprasza, zachęcając, żeby nie mieli żadnych obiekcji, następnie sam dał dobry przykład, zamawiając kilka dań i dwie butelki wina.

- Jak pani doskonale wie - powiedział, kiedy kelner nalewał wino do kieliszków - współpracujemy w pełni z komendą wojewódzką. Jutro, o ile mnie pamięć nie myli, prokuratura będzie oficjalnie przesłuchiwać Jego Eminencję. - Joanna skinęła głową. - Można więc powiedzieć, że w pełni współpracujemy również z prokuraturą. Pierwsze pytanie, jakie chciałbym zadać, brzmi: czy macie już państwo podejrzanego?

Prokurator spojrzała na niego jakby z pewnym niedowierzaniem. Widać było, że otwartość zakonnika zrobiła na niej wrażenie. Znając opinię Hołowni na jej temat, Hagen patrzył ciekawie na Włocha, niezdającego sobie chyba sprawy, po jak cienkim lodzie stąpa. Joanna wzięła do ręki kieliszek i po chwili namysłu odparła głosem chłodnym jak białe soave, które piła.

- Wiem, że państwo prezentujecie dobrą wolę i współpracujecie z nami, ale wydaje mi się, że jest to zwyczajny obywatelski obowiązek. Każdy jest zobowiązany pomóc organom ścigania w schwytaniu mordercy. Nigdy nie miałam wątpliwości, że ze strony kurii spotkamy się tylko i wyłącznie z przykłądną współpracą.

- *Naturalmente!* - Scarpi rozłożył ręce, przechylając lekko głowę na prawe ramię, cała jego postawa zdawała się wyrażać: po co mówić rzeczy tak oczywiste w kontaktach między inteligentnymi ludźmi? Potem pochylił się lekko w ich stronę i zanim rozpoczął kwestię, spojrział obojgu głęboko w oczy. - Nie

chęć przed państwem ukrywać, że wyniki śledztwa żywo interesują najwyższe czynniki kościelne. Samemu Ojcu Świętemu rozwiązanie tej tajemnicy leży bardzo na sercu i jest przez nas informowany na bieżąco. Sądzę, że mamy prawo wiedzieć, jak przebiega śledztwo.

- Oczywiście. Jesteście panowie na bieżąco informowani.

Scarpi uśmiechnął się.

- Naturalnie, że jesteśmy informowani. Jesteśmy bardzo wdzięczni prokuraturze za informacje. Niemniej są, jak się wydaje, w śledztwie elementy, o których wiedza nie dociera do nas kanałami oficjalnymi.

- Co ksiądz ma na myśli?

- Wśród dokumentów przysłanych do nas nie udało mi się znaleźć żadnej wzmianki o pewnych materiałach natury - zastanowił się chwilę - satanistycznej, które zostały ponoć znalezione w mieszkaniu Jego Ekscelencji.

- Skąd ksiądz uzyskał taką wiedzę?

Scarpi uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego zęby były białe i równe, wyglądało na to, że pozwalał sobie i swemu dentyście na odrobinę próżności.

- Ludzie mówią o wielu sprawach na mieście - powiedział.

- Trzeba tylko wiedzieć, gdzie przyłożyć ucho.

- A ksiądz wie?

- Wiem. Zatem, wracając do dobrej woli obu stron, a sądę, że nie ma pani prokurator żadnych wątpliwości co do intencji strony kościelnej, czy moglibyśmy liczyć w przyszłości na pełniejsze wprowadzanie nas w sprawę? Chyba że macie już państwo podejrzanego, jak zauważyłem na początku rozmowy, i jest nim arcybiskup.

Do stolika podszedł kelner i zapadła cisza przerywana tylko stukaniem talerzy stawianych na drewnianym stole.

- Poprawia nam się pogoda - zauważył inspektor, kiedy kelner dolewał im wina, a wszyscy ujęli sztućce, aby rozpocząć posiłek.

- O tak - przytaknęła Scarpi - idzie powietrze znad Włoch. Bóg jest łaskaw mojej misji.

Hagen uśmiechnął się, ale twarz pani prokurator pozostała nieporuszona.

- Szanuję misję księdza i rozumiem, jak sądzę, księdza zadanie, niemniej proszę pozostawić do mojej oceny, jakie konkretnie materiały przekazujemy stronie kościelnej. Jak do tej pory otwartość, z jaką postępujemy wobec kurii, jest bez precedensu w sprawie o morderstwo.

- Sprawa jest bez precedensu - zauważył Scarpi. - Zapewniam, że pełna wymiana informacji może tylko pomóc. My ze swojej strony również ją badamy i kiedy tylko dojdziemy do pewnych niepodważalnych, tak to się chyba mówi, ustaleń, na pewno je prześlemy właściwym urządzeniom.

- Czekamy na te dane z niecierpliwością. - Joanna spróbowała drugiego wina i pochwaliła wybór, jakiego dokonał Scarpi.

Hagen skonstatował ze zdziwieniem, że przemowa jezuita zdawała się nie robić na niej wrażenia. Oto siedział przy jednym stoliku z panią prokurator, niepodatną na naciski z zewnątrz, choćby nawet poparte powołaniem się na najwyższe autorytety. Być może posłaniec był źle dobrany. Scarpi nie był figurą na lokalnej szachownicy, jego słowa nie miały prawdziwej wagi, jaką nadają im układy i zależności kształtowane od lat. Niewątpliwie lepszy efekt można by osiągnąć dzięki wymianie

telefonów między pałacem arcybiskupa i naczelnikiem prokuratury. Chociaż patrząc na Joannę, Hagen nie był wcale pewien rezultatu.

Z drugiej strony, Scarpi był właściwym człowiekiem do przeprowadzenia wstępnego sondażu. Ewentualna odmowa nie powodowała utraty twarzy najwyższych czynników i zostawiała miejsce na następne ruchy. Jeżeli sytuacja stanie się rzeczywiście nagląca, Jego Eminencja zawsze może sięgnąć po słuchawkę.

- Za szczerotę i otwartość. - Scarpi wzniósł w górę kieliszek.

- Za dobrą współpracę - dodał Hagen.

- Za rozwiązanie zagadki - Joanna dołączyła się do toastu.

Wypili, a potem rozmowa dotyczyła już tylko uroczystości pogrzebowych.

Kiedy Scarpi pożegnał się i odszedł, na chwilę zapadła między nimi cisza. Hagen popijał białe wino małymi łykami, patrząc na jej delikatne rysy, gładką cerę, która przypominała mu chińską porcelanę, a może jedwab... Ich spojrzenia spotkały się i jeszcze raz zdumiało go, że jej oczy są takie duże i niebieskie. Pewnie nosi barwione szkła kontaktowe, pomyślał. Lecz im pilniej wpatrywał się w jej tęczówki, tym bardziej był pewny, że nie ma tam żadnych sztucznych dodatków. Opuściła wzrok na kieliszek wina.

- Czemu tak mi się pan przygląda, inspektorze?

- Nie mogę jakoś uwierzyć, że ten niebieski kolor jest prawdziwy - przyznał szczerze.

Uśmiechnęła się. Kiedy przymknęła lekko powieki, by potem spojrzeć mu prosto w twarz, zorientował się, jakie długie ma rzęsy. Jej spojrzenie stało się ciężkie, powłóczyście, nie było w niej teraz nic z laleczki ani z maturzystki. Spozstrzegł nagle,

że siedzi przy wyjątkowo pięknej, dojrzałej kobiecie i wszystkie pragnienia, wywołane przez jej wyczuwalną bliskość i zapach, powróciły znowu w pełnym świetle dnia. Teraz ona wpatrywała się w niego, trochę badawczo, trochę kpiąco, a w kącikach ust wciąż czał się cień poprzedniego uśmiechu. Hagen z niejasnym poczuciem winy odwrócił spojrzenie i przemknął wzrokiem po fasadzie Trybunału.

- Jak pan sądzi, skąd ksiądz Scarpi ma informacje, o których wspominał?

A więc wracali na znajome podwórko.

- Gospodyni biskupa, jak sądzę. To najprostsze rozwiązanie, jakie mi się nasuwa.

- Znała te materiały?

- Przeczytała list, to na pewno, a z tej biblii satanistycznej wystarczyło, jeżeli zapamiętała tytuł lub choćby imię autora, a Scarpi z pewnością wiedział już, o co chodzi.

- To taki znany dokument?

- Z tego, co mi się udało ustalić, można by go nazwać dziełem fundamentalnym dla dzisiejszych czcicieli szatana. Na pewno zetknął się z nim pracownik kongregacji. Sama tak zwana Biblia Szatana to raczej dość żalosne dzieło. Z jednej strony, propaguje skrajny egoizm, egotyzm raczej, umiejscawiając człowieka rozumianego jako konkretną jednostkę, panią, mnie, w centrum wszechświata, jego lub jej wszechświata i mówiąc jej: rób, co chcesz, bo piekło to bajka dla idiotów. Z drugiej strony, wprowadza kult szatana i modły do niego. Przypomina mi to trochę zachowanie małego Jasia, którego zbeształ katecheta, w związku z tym on napisze w zeszycie do religii, że Pan Bóg jest be, a jego wróg szatan cacy. „A to się ksiądz zezłości, jak to przeczyta”. Coś mocno poplątanego, dla

bardzo zagubionych ludzi.

- Pan jest wierzący, inspektorze?

Spojrzał na nią, zaskoczony nagłą zmianą tematu. Błękitne oczy wpatrywały się w niego z dziwną intensywnością. Jeżeli było to w ogóle możliwe, to zniebieszczały o jeszcze jeden odcień i były teraz jak jesienne niebo.

- Zanim odpowiem, niech mi pani powie, dlaczego mnie o to pyta?

- Hm... - zamyśliła się na chwilę, patrząc na niego. Szczupłe palce przeczesaly jasne włosy. - Może chcę pana lepiej poznać? Mamy razem pracować nad tą sprawą, a właściwie w ogóle się nie znamy.

- I sądzi pani, że kwestia przekonań religijnych będzie dobra na początek?

- Czemu nie? Cała ta historia jest z pogranicza religii i kryminalistyki.

- To prawda. Niemniej, czy pytała już pani o to komisarza Hołownię?

- Komisarza znam od lat. Współpracowaliśmy już niejedną raz, pewnie już zresztą panu wspominał. No więc jak, wierzy pan w Boga, inspektorze Hagen?

Uśmiechnął się i podniósł ręce do góry w geście poddania.

- Dobrze, zatem złożę zeznanie, ale proszę o wprowadzenie do protokołu, że byłem bity i zmuszany siłą do wyjawienia prawdy.

- Ma pan to zagwarantowane.

- Odpowiedź na pani pytanie brzmi: nie. Nie wierzę.

- I to wszystko? - zapytała po chwili oczekiwania na rozwinięcie wypowiedzi, gdy on zamiast tego podniósł do ust kiełiszek i napił się wina.

- Tak się to z grubsza przedstawia. - Skinął głową. - A pani, czy pani jest wierząca?

- Tak, wierząca i praktykująca - odpowiedziała natychmiast. - Dlatego zresztą przyszedłam na pogrzeb, nie z obowiązku służbowego. Wiele razy byłam w niedzielę na mszach, które celebrował ksiądz biskup. Bardzo lubiłam jego kazania. Były proste w słowach, ale bardzo mądre i głębokie. Często miałam wrażenie, że mówił właśnie do mnie, że poruszał sprawy, które właśnie mnie nurtowały. - Zamilkła, jakby szukając słów. - W gruncie rzeczy wydaje mi się, że mówił właśnie do mnie, do tej kobiety obok czy człowieka w ławce pod ścianą. Miał ludziom coś do powiedzenia. O świecie, o Bogu, o dobru i złu. To zupełnie co innego niż odbębnić wykład na zadany temat.

- Miał zatem dar głoszenia ewangelii?

- Tak. Czasem myślę, że dlatego go zabili.

- Wierzy pani w koncepcję satanistyczną, w morderstwo rytualne?

- Sama nie wiem... Cała ta zbrodnia jest groteskowa w swej potworności. Sądzę jednak, że nienawiść, jaka pchnęła kogoś do takiego czynu, musiała być potężna i wypływać z jakiegoś głębokiego źródła.

- Musiał być jakiś zdecydowany i jasno określony motyw?

- Oczywiście. Trudno mi wyobrazić sobie, jaki motyw, poza nienawiścią do Boga i religii, może pchnąć do takiego czynu.

- Lub nienawiścią do kleru.

- To możliwe, ale mało prawdopodobne.

- Lub do Wygnowskiego jako człowieka?

- Nic na to nie wskazuje. Nie usłyszeliśmy jeszcze o nim jednego złego słowa.

- Wariat?

- Koncepcja szaleńca wpisuje się moim zdaniem w tę pierwszą, religijno-satanistyczną. Trzeba być szalonym, żeby w taki sposób zabić człowieka.

Joanna napiła się wina. W zamyśleniu przez chwilę bawiła się wąską srebrną obrączką na małym palcu. Hagen przyłapał się na próbie odgadnięcia, jak duży biust właściwie ma jego rozmówczyni przy tak drobnej figurze. Rozbawiony własną beznadziejnością, przygryzł lekko wargę, żeby nie zauważyła, że uśmiechnął się lekko. Spojrzał w bok. Dostrzegła to spojrzenie i zinterpretowała je po swojemu.

- Spiesz się pan, inspektorze?

- Nie, nie jestem dzisiaj nigdzie umówiony - odpowiedział.

Przez następne pół godziny rozmawiali o różnych aspektach proceduralnych sprawy, kolejności przesłuchiwania świadków, pozwoleniu sądowym na dostęp do poczty elektronicznej biskupa, raporcie w sprawie mikrośladów z zabezpieczonych w jego mieszkaniu dokumentów. Przez większość rozmowy Hagenowi udawało się skupić na temacie, ale od czasu do czasu pozwalał sobie na obsceniczne fantazjowanie, szczególnie od momentu, kiedy poprawiła się na krześle i w polu jego widzenia pojawiły się jej szczupłe nogi o, jak to mawiał jego wuj, cienkich pęcinach. Pod czarnymi rajstopami dostrzegł, albo tak mu się wydawało, cieniutki złoty łańcuszek zapięty na lewej kostce. Pożegnał się z nią z lekkim uczuciem żalu, ale i z pewną ulgą. Zbyt długie przebywanie w jej towarzystwie mogło zaburzyć jego delikatną równowagę uczuciową, z takim trudem uzyskaną po powrocie z Belgii. Patrzył za nią przez chwilę, jak szła w stronę Bramy Grodzkiej i zamku, lekkim krokiem, pewnie

przemierzając nierówną powierzchnię rynku do wtóru dyskretnego staccato wysokich obcasów. Usiadł z powrotem przy stoliku, zamówił jeszcze jedną butelkę wina i niespiesznie popijał, przyglądając się ludziom, siedzącym i przechodzącym obok. Podziwiał kształtne pośladki w obcisłych spodniach, które zmiana pogody przywołała z powrotem na targowisko próżności, nogi obute w szpilki i odkreślone od reszty ciała zdecydowaną linią minispódniczek. Patrzył na kolorowe frontony kamienic wymagające pilnej renowacji i pozwalał myślom płynąć swobodnie, donikąd. Zaczął zapadać wieczór, powietrze ochłodziło się wyraźnie. Zapłacił za wino i ruszył w drogę do domu. Wolnym krokiem poszedł ulicą Gruella. W perspektywie widział prześwit Bramy Trynitarskiej wychodzącej na plac przed katedrą. Uliczka była pusta, wieczorne słońce lizało kalenice kamienic, wąwóz ulicy pogrążał się już w głębokim cieniu. Kiedy przeszedł kilkanaście kroków, gwar rynku rozplynął się za jego plecami, jakby powstrzymywany niewidoczną, dźwiękoszczelną barierą. Usłyszał swoje kroki na starym, wyboistym bruku. Pod ścianą budynku leżał wielki granitowy głaz. Hagen mijał go kiedyś, idąc tędy z Hołownią. Katowski Kamień. Kiedyś ponoć służył jako podłoże do egzekucji, ale odkąd ścięto na nim niewinną ofiarę i jej krew spłynęła po nim do ziemi, stał się przeklęty i przynosił nieszczęście każdemu, kto się go dotknął. Wszedł w ciemność bramy, zatonął w niej na kilkanaście kroków i wychynął na oświetloną ostatnimi promykami dnia przestrzeń przed katedrą. Przeciął plac i Żmigrodem zaczął schodzić w stronę domu.

6

Hagen był ciekaw, co oznacza stwierdzenie „mała prywatna uroczystość” w stosunku do pogrzebu księcia Kościoła, zamordowanego brutalnie przez, jak mówiono już teraz powszechnie, czcicieli szatana. W tym wypadku oznaczało to, że wziął w nim udział cały Zamość. Tłumy odprowadziły trumnę z katedry zamojskiej do bram cmentarza, i tam dopiero zaczęła się prywatna część ceremonii. Hagen sforsował zapórę straży kościelnej przy furcie cmentarnej za pomocą legitymacji policyjnej i szedł między drzewami, alejką równoległą do tej, którą poruszał się kondukt. Gdzieś w okolicy miał być operator policyjny z kamerą i dyskretnie, z oddali, filmować całe wydarzenie, ale na razie inspektor nie mógł go zlokalizować. Kondukt przemieszczał się powoli. Na czele szedł biskup pomocniczy diecezji zamojsko-lubaczowskiej w uroczystych szatach, w otoczeniu kilku księży i ministrantów. Zaraz za trumną niesioną na ramionach przez kleryków z seminarium postępowały matka i siostra zmarłego. Nie mógł dostrzec ich twarzy, ukrytych za grubymi woalkami. Dwa kroki za nimi szła grupa około trzydziestu, czterdziestu osób. Jak dowiedział się od strony kościelnej, byli to głównie bliscy znajomi i przyjaciele. Dosłownie

kilka osób z dalszej rodziny. Bliskich krewnych biskup nie miał. Kondukt się zatrzymał. Rozpoczął się ostatni akt, za chwilę trumna zostanie złożona w ziemi. Wszyscy trwali nieruchomo. Był zbyt daleko, by doszedł go głos prowadzącego ceremonię. Po chwili dostrzegł charakterystyczny ruch kropidła. Stał w cieniu rozłożystego klonu. Cmentarz wokół był pusty, służby porządkowe wykonały dobrą robotę. Pogodne niebo w dniu pogrzebu stanowiło dziwny kontrast z tym zaciągniętym ołowianymi chmurami, które pamiętał z dnia przyjazdu. Natura zakończyła już okres oplakiwania, pomyślał. Po chwili powróciły do niego słowa, jakie przekazał mu rano komisarz.

- Znowu zadzwonił. Po zakończeniu uroczystości w katedrze, z aparatu odległego o dwie przecznice od poprzedniego. Niech pan posłucha, co powiedział.

W głośniku zabrzmiał zniekształcony głos: „To ja. Pięknie nam się udał pogrzeb tego klechy. Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie!”.

- Psycholodzy uważają, że to ten sam facet?

- Tak. Laboratorium też tak sądzi, a to może nawet ważniejsze.

A więc wyglądało to na stały kontakt. Listy, telefony. Najwidoczniej człowiek ten miał dużą potrzebę dzielenia się swymi uczuciami z innymi. Choćby z policjantami prowadzącymi śledztwo, a może przede wszystkim z nimi?

Uroczystość dobiegła końca. Żałobnicy wracali w stronę bramy. Wśród księży otaczających majestatyczną postać biskupa Hagen ze zdziwieniem zauważył Scarpiego. Pozwolił im odejść, po czym zbliżył się do świeżego grobu. Grabarze zabierali się właśnie do zamurowania prostokątnego otworu.

- Policja - uprzedził wszelkie pytania.

Obaj spojrzeli na niego. Ich opalone na rzemień twarze przywoływały na myśl pracę na budowach w czasie lata. Spojrzał w głąb grobowca. Ciemna, dębowa trumna połyskiwała mosiężnymi okuciami. Wyglądała dostojnie i ostatecznie. Obok leżała prawdziwa góra kwiatów i wieńców, przywiezionych tu przed konduktem półciężarówką. Lekki wiatr chwiał czerwonymi główkami goździków.

- To rodzinny grób?

- Nie. Rodzinny grób jest tam. - Robotnik nieokreślonym ruchem dłoni wskazał kierunek. Był pierwszym napotkanym, który mówił z silnym kresowym akcentem. - Tu jest taka nasza aleja zasłużonych. Już i pomnik gotowy czeka.

Hagen powiódł spojrzeniem za kolejnym machnięciem dłonią i zobaczył wystający spod kwiatów fragment czarnego kamienia. Odsunął leżące na płycie wieńce i spojrzął na napis. Świętej pamięci, biskup, nazwisko, daty, zmarł śmiercią męczeńską.

- Miało być coś z Biblii jeszcze, ale kamieniarze nie zdążyli wykuć przez noc i dodadzą później. - Jeden z mężczyzn wszedł do grobu i stał w rozkroku nad trumną na wymurowanym wewnątrz gzymsie, drugi podawał mu betonowe elementy stropu.

- Ksiądz biskup już wyjechał - odezwał się za plecami Hagenowi jakiś głos. Odwrócił się. Stał za nim młody ksiądz, mówił do grabarzy. - Tylko żebyście to wszystko zrobili jak się należy. Ksiądz kanonik kazał mi was przypilnować.

Hagen ruszył alejką w stronę bramy. Służba kościelna musiała już skończyć blokadę wejścia, bo spotkał po drodze kilka osób idących z kwiatami w stronę, skąd właśnie wracał. Przy

bramie stała niewielka grupa, głównie duchownych. Rozmawiali cicho między sobą i umilkli, kiedy podszedł bliżej. Jeden z nich wyszedł mu naprzeciw. Był to Scarpì.

- *Buongiorno, ispettore* - powiedział, podając mu rękę. Przedstawił towarzyszących mu księży, jak się okazało, miejscowych jezuitów. - Nie wybiera się pan, *ispettore*, na stary rynek? - zapytał.

- Owszem. - Hagen skinął głową.

- Pozwoli pan, że będę mu towarzyszył?

- Naturalnie, z przyjemnością.

Pożegnali zakonników, Hagen zaprosił Włocha do samochodu i pojechali w stronę starego miasta.

- Co księdza tu sprowadza? - spytał Hagen, kiedy ruszyli.

- Przyjechałem wczoraj po południu, zaraz potem, jak rozstaliśmy się w Lublinie. Chciałem porozmawiać z kilkoma braćmi oraz innymi duchownymi, którzy być może mogliby dodać co nieco do mojej wiedzy o tej sprawie. No i miasto, oczywiście - dorzucił po krótkiej przerwie. - Sławne miasto. A pana?

Ponieważ Hagen sam nie do końca był pewny, co go tu sprowadziło, powtórzył słowa jezuitę.

- Chciałem porozmawiać z ludźmi, którzy mogliby dodać co nieco do mojej wiedzy o tej sprawie.

- *Naturalmente*. - Scarpì skinął głową. - I dowiedział się pan czegoś ciekawego?

- Nie. A ksiądz?

- Też nic. Jak to się mówi? Korzenie z Zamościa...

- Zamojskie korzenie - podpowiedział Hagen.

- O tak, dziękuję. Zamojskie korzenie świętej pamięci ksiądz biskup przeciął już wiele lat temu. W zasadzie odkąd poszedł na uniwersytet, przestał już być miejscowy.

Zostawili samochód na parkingu i ruszyli jedną z uliczek pokrytych granitowym brukiem w stronę rynku.

- Chętnie usłyszałbym, do czego doszła święta inkwizycja w swoim śledztwie - powiedział Hagen.

Scarpi uśmiechnął się.

- Dobrze pan wie, że obie inkwizycje już dawno są zniesione, inspektorze. Niemniej jakaś część doświadczenia nagromadzonego przez te wszystkie stulecia pozostała. Tu się z panem zgodzę.

- Czemu ksiądz sądzi, że orientuję się w faktycznym stanie spraw Świętego Oficjum?

- Jest pan człowiekiem szerokich zainteresowań. - Scarpi uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Studiował pan trochę medycyny, trochę historii, prawo. Mówi pan biegle kilkoma językami, założę się, że wie pan o tym doskonale.

- Widzę, że odrobił ksiądz pracę domową na mój temat. - Hagen też się uśmiechnął, ale w duchu zadał sobie pytanie: jak wiele Scarpi wie?

- Zawsze dobrze jest wiedzieć, z kim się współpracuje. To pozwala uniknąć nieporozumień. Czasami.

- Tak, to może ułatwić niektóre sprawy. A zatem, wracając do mojego pytania, czego ksiądz się dowiedział?

Weszli na rynek i jezuita nie odpowiedział od razu, rozglądając się wokół.

- Pięknie tu - skomentował z podziwem. - Siądźmy w ogródku, będzie nam wygodniej rozmawiać.

Scarpi zamówił piwo, a Hagen, pamiętając o czekającej go drodze powrotnej, pozostał przy wodzie mineralnej. Spojrzał wyczekująco na jezuitę.

- Obawiam się, że pana rozczaruję - powiedział Włoch po wypiciu kilku łyków. - Nie znaleźliśmy nic istotnego ponad to, co jest w dokumentach prokuratury. Zeznania pracowników

kurii potwierdziliśmy wewnętrznie, nie ma w nich nic, co mijaloby się ze znanym nam stanem rzeczy. To znaczy nie ma w nich nic, co mijaloby się z prawdą - poprawił się. - To samo, jeśli chodzi o pracowników uniwersytetu. Hagen skinął głową.

- A sam biskup Wygnowski i jego najbliższe otoczenie?

- Tutaj starałem się być możliwie dokładny. Jak dotąd nie wypłynęło nic, co mogłoby wyglądać na możliwy trop.

- To znaczy?

- Biskup nie był hazardzistą, homoseksualistą, pedofilem ani kobieciarzem. Nie korzystał z usług prostytutek. Nie pożyczał od nikogo ani nikomu pieniędzy. Wszystkie sprawy finansowe są w największym porządku.

- Nie ma ksiądz złudzeń co do hierarchów?

- Wszyscy jesteście ludźmi. - Zakonnik wzruszył lekko ramionami. - Wystarczy wziąć do ręki gazetę, żeby przekonać się jak bardzo. Kościół jest ogromną organizacją, różne rzeczy się zdarzają.

- Zwykle otacza je zmowa milczenia - zauważył Hagen. - Mieliśmy taki przykład w Poznaniu.

- „Zwykle” jest, być może, dobrym słowem. Może nie tak często jak „zwykle”, ale zdarza się, niestety. Jednak nie w tym wypadku. Nie wobec mnie.

Hagen patrzył na jego opaloną twarz. Wyglądało na to, że był przekonany, iż nic się przed nim w kurii nie ukryje. Być może miał rację. Hagen nie wiedział, jak duże pełnomocnictwa przywiózł ze sobą z Rzymu. Z jego całej postawy można było wywnioskować, że były wystarczające.

- Niemniej mam też pewne osiągnięcia. - Teraz Scarpi mówił żartobliwym tonem. - Nie wiem co prawda, kto go zabił

ani dlaczego to zrobił, ale być może wiem, co chciał nam przekazać. Pamięta pan, inspektorze, te rysunki i napisy na ścianie w budynku, gdzie znaleziono ciało biskupa?

Hagen skinął głową. Scarpi wyjął z zakamarków sutanny długopis i na serwetce narysował odwrócony pentagram wpisany w okrąg, a w środku cyfrę jeden.

- Czy to coś znaczy?

- Możliwa interpretacja jest bardzo bogata. - Scarpi bawił się długopisem, obracając go w palcach. - Pentagram, jak pan widzi, jest najprostszą formą gwiazdy, jaką można narysować bez odrywania pióra od papieru.

- Obwiódł kontur swojego rysunku końcem długopisu.

- Z tego powodu nazywany bywa węzłem nieskończoności. Tych nazw jest zresztą więcej, grecka pentalfa, bo jego ramiona przypominają pięć liter alfa, krzyż goblinów, gwiazda betlejemaska. Znak ten ma bardzo długą historię. Najstarsze wyobrażenia odkryto na tabliczkach sprzed pięciu tysięcy lat pochodzących z Ur w Mezopotamii. Używane były jako pieczęcie, symbole władzy królewskiej sięgającej czterech krańców świata. Żydzi natomiast uważali pentagramy za symbole Prawdy i Pięcioksięgu Mojżeszowego, pierwszych pięciu ksiąg Biblii. Podobno stanowił on pierwszą, najpotężniejszą z Siedmiu Pieczęci, amuletu, którego pieczęcie symbolizowały siedem tajemnych imion Boga. Król Salomon nosił jego wyobrażenie na pierścieniu, choć inni twierdzą, że pieczęcią Salomona był heksagram, czyli gwiazda sześcioramienna. Gnostycy uważali pentagram za płomienną gwiazdę, symbol magii, chrześcijanie widzieli w nim symbol pięciu ran Chrystusa otrzymanych na krzyżu. Uważano także, że wyobraża gwiazdę, która wiodła trzech króli do Betlejem. W średniowieczu malowano go na

ścianach i na oknach dla ochrony przed złymi mocami. Jak pan widzi, generalnie rzecz biorąc, pentagram był w tym czasie uważany za symbol prawdy i religijnego mistycyzmu. W czasach renesansu pojawił się jako odzwierciedlenie osoby ludzkiej, często z sylwetką człowieka wpisaną w koło. Rysunek ciała ludzkiego na jego planie, jak u Tychona de Brache lub Leonarda, symbolizował związek człowieka z otaczającym go wszechświatem. Powiada się, że odwrócony pentagram był symbolem złych mocy, a tradycja ta ponoć bierze początek od oskarżenia zakonu templariuszy o herezję i oddawanie czci Bafometowi, bożkowi z kozią głową, utożsamianemu z szatanem. Wydaje się jednak, że w tamtych czasach dominikanie prowadzący przewód inkwizycyjny nie łączyli tych dwu spraw. Żaden z jedenastu zarzutów postawionych zakonnikom ani też żadna z ośmiu bulli papieskich poświęconych tej sprawie nie wspominają nic o związku Bafometa i pentagramu. Wielu historyków uważa, że nie było również wtedy samego Bafometa, a zakonników oskarżano o oddawanie czci głowie człowieka lub kota. Nawiasem mówiąc, spotkałem się z opinią, że nawiązano tutaj do faktycznie posiadanych przez zakon relikwii głów świętej Eufemii i jednej z jedenastu tysięcy dziewic, towarzyszek świętej Urszuli. Trzymano je w relikwiarzach, często w kształcie głowy ludzkiej, zrobionych ze srebra, i oczywiście oddawano im cześć. Wracając do złej sławy pentagramu, to dopiero w połowie XIX wieku niejaki Eliphaz Levi Zahed, czyli Alfons Constant, ksiądz zresztą, choć usunięty z Kościoła, użył pentagramu w jednej ze swoich książek, łącząc go z obrazem Bafometa, tak jak go sobie wyobrażał, postaci z głową kozła, tułowiem kobiety, z płonącą świecą ustawioną na głowie pomiędzy rogami,

skrzydłami i pentagramem na czole. Paskudztwo. Scarpi napił się piwa.

- W dwudziestym wieku zarówno Bafometa, jak i pentagram, tym razem odwrócony, zaadaptowali sataniści spod znaku LaVeya. Co ciekawe - dodał po chwili namysłu - pierwsze chrześcijańskie wyobrażenie pentagramu, z pieczęci Konstantyna Wielkiego, jest właśnie odwrócone. Dziwnymi torami podąża przez wieki myśl ludzka. Jak pan zatem widzi, możliwych interpretacji dla tego znaku - stuknął długopisem w rysunek na serwetce - jest sporo, niemniej zważając na kontekst, chodzi oczywiście o tę ostatnią, nazwijmy ją popularną, satanistyczną wersję symboliki.

- A ta jedyńska w środku?

Scarpi napił się piwa i machinalnie obrysował kontur pentagramu jeszcze raz.

- Liczba jeden symbolizuje byt, istnienie. Symbol jedności duchowej, światła, dla niektórych Boga.

- Czyli co to razem znaczy?

- Samo nie znaczy nic. Zbyt wielka jest mnogość możliwych interpretacji. Ale był tam jeszcze napis: *Mane Tekel Faraq.* - Wpisał słowa na serwetce nad okręgiem. - Zastanawiał się pan nad nim?

- Cóż, na pewno jest napisany z błędem. Zazwyczaj pisze się „Fares”.

- Oczywiście. „Policzono, zważono, rozdzielono”, po aramejsku. Taki napis pojawił się, jak pan zapewne pamięta, według Księgi Daniela, podczas uczty króla Baltazara, wypisany tajemniczą ręką na ścianie, i zapowiadał upadek Babilonu. Pomyślałem sobie, że jeżeli ktoś w takiej sytuacji zadaje sobie trud pisania krwią długiego tekstu, przy jednoczesnej obecności tych wszystkich elementów kultowych na miejscu zbrodni,

zdradzających zainteresowanie wiedzą tajemną i satanizmem, to raczej będzie znał pisownię tych słów. Powstaje pytanie: czemu zatem umieścił ten napis z błędem?

- Czemu? - powtórzył jak echo Hagen.

- Pomyślałem, że być może chciał nam przekazać jakąś wiadomość.

- Zaszyfrował swoje nazwisko i numer NIP-u?

Scarpi roześmiał się. Hagen droczył się z nim, ale jezuita zdawał się mieć naturalne poczucie humoru i żadnych kompleksów co do ważności swojej osoby i swoich odkryć. Bardzo się to Hagenowi podobało.

- Niestety, nie posunął się tak daleko. Wracając do mojego toku myślenia, to ta jedynka wpisana w pentagram sprawiła, że pomyślałem o kabale i takich prostych sztuczkiach z przedstawianiem wyrazów w postaci liczb. Jeżeli każdej literze alfabetu łacińskiego nada się wartość liczbowa, na początek według klucza: a to jeden, b to dwa i tak dalej, to można każdy wyraz lub zdanie przedstawić jako ciąg liczb, a następnie dokonywać na nich różnych operacji, dodawania, odejmowania i innych. Jeżeli zrobimy to z naszym *Mane Tekel Fareq*, to po zsumowaniu wartości przypisanych poszczególnym literom otrzymamy liczbę sto trzydzieści trzy. - Scarpi wpisał wynik na serwetce obok okręgu.

- Nic mi to nie mówi - przyznał Hagen.

- Tu się w zasadzie dopiero zaczyna zabawa. Można z tą liczbą wyczyniać rozmaite rzeczy, ale jak sądzę, nie bez powodu wypisano te słowa na ścianie właśnie nad tym rysunkiem. - Jezuita wskazał czubkiem długopisu środkowy pięciokąt z wpisaną jedynką, a potem ramiona gwiazdy. - Pięć ramion, symbolizujących w odwróconej figurze triumf rzeczy materialnych,

ziemskich nad sferą boską, duchową. Pięć zmysłów, pięć palców, pięć planet starożytności, pięć form żywiołów. - Wpisał „133” w każde z ramion pentagramu. - Ile to będzie po dodaniu? - zapytał.

Hagenowi posortowanie tych wszystkich trójek zajęło dłuższą chwilę.

- sześćset sześćdziesiąt pięć - powiedział.

- Tak jest. - Scarpi spojrział na niego. - Pięć razy po sto trzydzieści trzy i jedyńka w środku. - Stuknęła jeszcze raz w centrum figury. - Razem sześćset sześćdziesiąt sześć. Liczba Bestii z Apokalipsy, symbol szatana i mającego nadejść antychrysta.

Hagen zamyślił się. Jeżeli Włoch miał rację, a jak na razie jego rozumowaniu nic nie można było zarzucić, hipoteza mordu rytualnego, popełnionego przez jakąś sektę lub szaleńca, uzyskiwała dodatkowe wsparcie. Gdzieś tam obok nich, niemal na wyciągnięcie ręki czaił się człowiek, którego umysł owładnięty był magią, demonami i śmiercią i który gotów był dla tych demonów zabijać. Ukryty był w mroku i Hagen nie potrafił dostrzec jego twarzy.

- Ciemności kryją ziemię - szepnęła.

- Słucham? - Scarpi patrzył na niego pytającym wzrokiem.

- Zamyśliłem się, przepraszam. Nawiasem mówiąc, jak ksiądz sądzi, co rzeczywiście tam się wydarzyło?

Jezuita patrzył na niego przez chwilę, obracając szklankę w dłoniach. Poblask słońca chwycił się mokrego brzegu i co chwila roziskrzył go małą gwiazdką. Ratusz przed nimi chłonał niespodziewane październikowe ciepło wilgotnymi murami.

- Wydaje mi się, że odprawiono tam obrządek przywoływania szatana - powiedział wreszcie. - Lub przynajmniej usiłowano. Pewne elementy nie do końca zgadzają się z oczekiwaniami.

Można by to określić jako obrządek przeprowadzony tanim kosztem i bez zachowania wszystkich tych skomplikowanych przepisów dotyczących czarnych świec i tak dalej. Ofiara ludzka natomiast była jak najbardziej rzeczywista.

- Czy potrafi ksiądz ocenić, czy obrzęd był udany? Czy diabeł się pojawił?

- Nie. Ja nie potrafię na ten temat nic powiedzieć. Ale oglądał to miejsce ojciec Alvaro, słynny mistyk i egzorcysta, dominikanin.

- Kiedy, jeżeli wolno zapytać? - Hagen uświadomił sobie po raz kolejny, że nic nie wie o poczynaniach strony kościelnej.

- Wczoraj rano. Modlił się tam i medytował. Twierdzi, że nie wyczuł śladów obecności diabła *in personam*. Jest tam tylko zło w ludzkiej postaci, nie było jawnego obcowania z demonami.

- Na ile jego zdanie jest dla państwa miarodajne?

- Jest najlepszym specjalistą w tej dziedzinie - odparł Scarpi. - To najbardziej autorytatywna opinia, jakiej możemy zasięgnąć.

- Czy zatem zetknął się on już wcześniej z czymś takim?

- Niezupełnie. Oczywiście zdarza się, że jakaś grupa okultystów, satanistów, czy jak ich zwać, próbuje przywołać demona. Zetknęliśmy się także z próbami składania ofiar z ludzi, choć nie w cywilizowanym świecie. Raczej na obrzeżach naszej kultury, głównie w Afryce. W naszym kręgu nie znamy żadnej zbrodni, którą można by przypisać satanistom ze stuprocentową pewnością. Niemniej krążą pogłoski o rytualnych zabójstwach, głównie w Stanach Zjednoczonych, chociaż nikt nie znalazł do tej pory konkretnych dowodów.

- Gdyby więc te podejrzenia o rytualnym kontekście zbrodni znalazły potwierdzenie, byłyby to pierwsza historyczna sprawa?

- Owszem. Jeżeli jest to prawda, to będzie się ją studiować na każdym uniwersytecie i w każdej szkole policyjnej na świecie.

- Czemu zatem biskup?

- Nie jestem pewny. Być może poświęcenie na ołtarzu szatana dostojnika kościelnego, sługi bożego, miało w ich mniemaniu wzmocnić ofiarę. Może dzięki temu bluźnierstwo osiągało granice ostateczne, poza które już nie da się posunąć, gdzie już tylko jest ciemność i szatan? Nie potrafię udzielić ostatecznej odpowiedzi. Tak to chyba jednak musiało wyglądać.

Umilkli na chwilę. Obok ich ogródka przeszła wyjątkowo zgrabna dziewczyna i Scarpì podchwycił spojrzenie, którym inspektor ją odprowadził. Uśmiechnął się.

- Kobiety są niewątpliwym ozdobnikiem ludzkości - powiedział.

- O, to mamy dużą zmianę w poglądach Kościoła. Od worka nieczystości do ozdoby. Daleka droga.

- To były tylko błędy i wypaczenia. Zresztą bardzo stare. Od dawna jesteście na etapie ozdoby.

- Oczywiście. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

- Słucham?

- To takie dziecinne powiedzenie. Rzeczy minione nie mają znaczenia.

- Rzeczy minione, jak pan to ładnie określił, mają znaczenie, jak najbardziej, weźmy na przykład Ewangelię. Niemniej niechaj bywsze błędy nie przesłonią jutrzeńki dnia nowego, która wschodzi nad horyzontem.

- A to z czego cytat?

- Moja improwizacja, na motywach księdza Wujka. - Jezuita uśmiechnął się.

Zamilkli. Hagen patrzył na barwne fasady kamienic, zgrabne podcienie, wielką płaszczyznę renesansowego rynku. Kroki Wygnowskiego przemierzającego ten plac umilkły na zawsze. Kolejne życie przemknęło przed ich dekorowanym obliczem jak cień przechodnia, muskając kolorowe tynki.

- Sądzę, że jest ksiądz najwłaściwszą osobą, do której mogę skierować to pytanie - podjął Hagen, kiedy milczenie zaczęło się już przeciągać do granic wyznaczonych przez dobre wychowanie. Scarpi spojrział na niego wyczekująco. - Jak ksiądz sądzi, po co biskup miał w domu publikację LaVeya?

Ksiądz zastanawiał się przez moment.

- Nie potrafię udzielić żadnej pewnej, jednoznacznej odpowiedzi. Właściwie powodów mogło być kilka. Po pierwsze, mógł jej potrzebować do swoich badań, choć o ile mi wiadomo, a starałem się to ustalić dość dokładnie, żaden z tematów, którymi się zajmował, nie należał do kręgu tej problematyki. Niemniej mógł planować jakieś nowe kierunki poszukiwań, nigdy się już tego nie dowiemy. Po drugie, mógł ją od kogoś dostać.

- Nie było na niej żadnych innych odcisków palców poza jego własnymi - wtrącił inspektor - więc ta wersja chyba odpada.

- No tak, odpada. - Scarpi potarł czoło palcem wskazującym prawej ręki. - Być może były to jego własne, prywatne, zainteresowania. Nie chodzi mi o ideologię satanizmu, raczej o sam fenomen tego ruchu.

- Czy mógł się zainteresować tą tematyką po otrzymaniu listu z pogrózkami?

- To jest możliwe - przyznał Włoch z pewnym ociąganiem - ale wydaje mi się, że biskup, teolog, doktorant instytutu papieskiego, miałby wystarczającą wiedzę o problemie, żeby zrozumieć groźbę, jaka była ukryta w tekście i prawidłowo go zinterpretować bez dodatkowego studiowania źródeł.

- A jak ksiądz by zinterpretował taki list?

- Ze mną to jest trochę inna sprawa. - Scarpi uśmiechnął się szeroko. - Ja z tym panem z rogami od dawna mam mocno na pieńku. Tak to się chyba mówi?

- Dokładnie tak. Zatem ksiądz nie przejąłby się nim?

- Widzi pan, *ispettore*, ten list jest dla mnie pewnego rodzaju zagadką. Pomijając naturalnie fakt, że nie został nam oficjalnie przekazany i nic o nim nie wiemy -Hagen skinął głową - to sam list nie wydaje mi się jakiś wyjątkowo alarmujący. Jest taki na pewno w kontekście wydarzeń, jakie nastąpiły później, ale w danej chwili, będąc na miejscu biskupa, nie przywiązywałbym do niego zbyt wielkiej wagi. No cóż, nie od dziś wiadomo, że świat pełen jest ludzi o, nazwijmy to, lekko skrzywionym spojrzeniu na rzeczywistość. Nie ma w jego treści jasno sformułowanej groźby. Jest tak ogólny, jak to tylko możliwe. Podejrzewam, że oprócz poinformowania o nim przełożonych nie poczyniłbym żadnych kroków.

- No to biskup Wygnowski był ostrożniejszy lub bardziej przewidujący, bo zajrzał nawet na strony Centralnego Biura Śledczego i myślę, że chciał się z nim w tej sprawie skontaktować.

- Bardzo rozsądnie. - Scarpi w zamyśleniu gładził górną wargę. Hagen zauważył, że wykonywał dużo gestów wiążących się z dotykaniem twarzy, uciskaniem jej, pocieraniem i głaskaniem. Zawyrokował, że związane to było z zachowywaniem

celibatu i nieświadomą potrzebą kontaktu fizycznego. - Rozsądnie, niemniej dziwnie. Jak wspomniałem, ja o tym liście nie informowałem *carabinieri*.

- Rozumiem. Wracając do LaVeya, nie bulwersuje księdza sam fakt znalezienia tych materiałów u biskupa?

- Szczerze?

- Szczerze.

- Nie bulwersuje mnie.

Gdy Hagen uniósł powątpiewająco brwi, Scarpi wyjaśnił:

- Gdybyśmy to znaleźli u parafialnego księdza, nic nie ujmując naszym księżom, to wtedy tak, byłbym zdumiony. Ale u naukowca, biskupa, profesora? Szczerze mówiąc, poza tym jednym tekstem nie było tam nic, co mogłoby budzić jakiegokolwiek zastrzeżenia.. Powiedziałbym, *ispettore*, że jak na niespodziewaną śmierć, to w ogóle nie było tam nic. Niech pan pomyśli, co znaleźlibyśmy w pana mieszkaniu, gdyby to panu przydarzyło się takie nieszczęście?

- Duży bałagan, to pewne.

- Właśnie. Ksiądz biskup nie był pedantem. Nie był bałaganiarzem, co to, to nie, ale pomiędzy tymi dwiema skrajnościami jest dużo stanów pośrednich. Mieszkanie biskupa było jednak niemal sterylne. Oprócz książek nie było w nim żadnego jasnego odbicia jego natury, upodobań, charakteru. Na mnie zrobiło wrażenie poskładanego w kostkę, gotowego do inspekcji.

- Sądzi ksiądz, że spodziewał się przeszukania?

- To bardziej taka figura retoryczna, ale teraz, kiedy pan o to spytał, to wydaje mi się, że coś w tym rodzaju. Był gotów na prześwietlenie swojego życia. Być może.

- Czemu?

- Nie wiem. Czasami, kiedy mamy coś do ukrycia, to jesteśmy bardzo... - szukał przez chwilę słowa – *transparenti*.

- Przewrocyści? - odpowiedział Hagen.

- Tak. Kiedy ludzie uważają, że wiedzą o nas wszystko, to po pierwsze, przestają się nami interesować, po drugie, trudniej będzie im uwierzyć w pomówienia, gdyby jednak cokolwiek wyszło na jaw.

- Czy próbuje mi coś ksiądz zasugerować? - Hagen wpatrywał się uważnie w jego opaloną twarz.

- Nie. Nie wiem nic więcej ponad to, co powiedziałem. Daleki jestem również od rzucania cienia na pamięć księdza biskupa, niech spoczywa w pokoju. Po prostu myślę, spekuluję, wyciągam wnioski. Być może nie ma w tym nic i jest to zupełnie mylne przeczucie. Miewałem już takich wiele.

- Ale być może nie?

- Może nie.

Po zastanowieniu Hagen przedstawił Włochowi swoje podejrzania dotyczące obecności domniemanej kobiety w życiu ofiary. Scarpi wysłuchał go uważnie, nie przerywając.

- Zatem jedyny realny ślad, jaki mamy, to krótkie nagranie na sekretarce? - zapytał, kiedy Hagen skończył.

- W zasadzie tak. Poza tym są tylko bardzo słabe poszlaki. Ten trop jest jednak całkiem wyraźny. Nie udało nam się dotąd zidentyfikować żadnej kobiety znającej biskupa, której głos nasze laboratorium mogłoby uznać choćby za bardzo podobny do nagranego.

- Tajemnicza nieznajoma.

- Właśnie. W sprawie, o której mówi cała Polska i nie tylko, nie powinno być takich postaci, spowitych mrokiem i mgłą. Wszystko powinno być jasne jak słońce. Ta kobieta powinna

sama się do nas zgłosić i powiedzieć: dzwoniłam do niego wtedy i wtedy, z takiego i takiego powodu. Prosiłiśmy wielokrotnie o informację wszystkich, którzy go znali, kontaktowali się z nim w krytycznych dniach. Nadawały to już wielokrotnie wszystkie media. Dziwne jest nie samo nagranie. Dziwne jest to, że nie ma śladu jego autorki. Ten brak jest bardzo dotkliwy i daje do myślenia.

- Załóżmy, że istnieje taka kobieta, i założmy, że mieli romans. Do jakich wniosków to prowadzi?

- Jeżeli tak było, to być może zabójstwo nie jest związane z szatanem, pentagramami malowanymi krwią i czarną mszą, ale pozostając w kręgu figur geometrycznych, ze zwykłym trójkątem, z zazdrością i gniewem? Ktoś mógł popełnić zbrodnię w afekcie, a następnie, chcąc ukryć swój udział, zainscenizować całe to makabryczne widowisko. Ta wersja jest bardziej przekonująca niż tajemnicza sekta satanistyczna lub pojedynczy szaleniec. Jest bliżej życia, tego wszystkiego, co znamy z naszej codzienności.

- Ja nie mam dużego doświadczenia w trójkątach - zauważył Scarpi. - Motywacja religijno-demonologiczna wydaje mi się zupełnie naturalna. Czy pan wierzy w Boga, *ispettore*?

- Jest ksiądz kolejną osobą, która zadaje mi to pytanie. Nie wierzę, ale sądzę, że nie ma to specjalnego znaczenia.

- Tu bym się akurat z panem nie zgodził. – Scarpi uśmiechnął się. - Wiara w Boga zakłada również, siłą rzeczy, wiarę w wiele innych, powiedzmy, pomniejszych aspektów rzeczywistości duchowej, jak demony, które wypędzał Jezus, zmartwychwstanie, anioły i diabły. Zatem tam, gdzie pan szuka

szaleństwa, człowiek wierzący dostrzega przejaw wiary. Innej niż jego własna, powiedzmy: o odwrotnie skierowanym zwrocie, żeby zapożyczyć takie słowo z podręcznika do fizyki, ale jednak wiary. W zasadzie przywoływanie szatana niewiele różni się z takiego punktu widzenia od modlitwy. Ma inny zwrot.

- Ciekawe słowa w ustach księdza.

- Niech pan mnie dobrze zrozumie. Chodzi mi o to, że oba te zachowania są przejawem wiary. Mieszczą się wewnątrz tradycji judeochrześcijańskiej i mają swoją historię. Są zupełnie różne jakościowo z punktu widzenia dobra i zła oraz poprawności teologicznej. Przywoływanie szatana oznacza oddanie się we władanie najciemniejszym mocom wszechświata. Modlitwa zbliża nas do Boga. Zarówno jedno, jak i drugie ma dla nas sens tylko wtedy, kiedy wierzymy w Boga i szatana. Pan, jako ateista, nie zabierałby się do czarnej mszy, tak jak i nie modli się pan wieczorem. Obie te rzeczy są dla pana pozbawione znaczenia, są pustymi rytuałami, bo nie wierzy pan w system teologiczny nadający im sens.

- A zatem, klasyfikując mentalnie mordercę satanistę jako szaleńca, popełniam błąd, jest on bowiem po prostu wierzącym inaczej?

- Jest szalony, bo trzeba być dotkniętym szaleństwem, aby wzywać szatana na ziemię i składać w tym celu ofiarę z człowieka. Być może bliższe rzeczywistości byłoby stare dobre określenie „opętany”? Nie sądzę jednak, byśmy szukali wariata w potocznym rozumieniu tego słowa, mam na myśli psychozę, na przykład schizofrenię. Jak go pan złapie, nie spodziewam się widocznych zaburzeń myślenia, kojarzenia i tym podobnych. Sądzę raczej, że jest to ktoś przepojony głęboką wiarą. Wiarą w szatana, to prawda, i dlatego nazywam go szalonym.

- Chciałby ksiądz go ująć?
- Jest mordercą, wrogiem Kościoła i Boga, czcicielem diabła. Tak, chciałbym go złapać.
- I trochę potorturować?
- Wie pan, mroczne i wilgotne kazamaty, szczury, zardzewiałe żelaza na ręce, nogi i szyję, z zakrzepłą na nich krwią poprzedników, połączone z dociekliwością ojców dominikanów, stosowane przez dwadzieścia lat, to wydaje mi się bardziej adekwatną karą niż pojedyncza cęła z telewizorem dla niebezpiecznych przestępców i wizyty narzeczonej. Być może jestem zbyt zajadły w gniewie i nie dość szybko nadstawiam drugi policzek. - Scarpi pokiwał głową. Odstawił pustą już szklankę po piwie. - Panu zawsze udaje się zachowywać profesjonalny dystans?
- Nie jestem robotem. Nie raz i nie dwa miałem ochotę przystawić facetowi pistolet do głowy i niech się dzieje, co chce, ale po co? Zmarnować życie sobie i rodzinie przez mordercę pedofila, kompletnie moralnie zdegenerowanego, który śmieje nam się w twarz, bo nie ma już kary śmierci? Gwałcił małe dziewczynki, a potem je zabijał, żeby nic o nim nikomu nie powiedziały. Nagrywał to na wideo i miał rozrywkę na długie zimowe wieczory. I co możemy zrobić? Nic.
- Rzeczywiście nic?
- Wie ksiądz, jak to jest. Więzienia są przepelnione, zdarzają się różne pomyłki. Czasem takiego zboczeńca wsadzą razem z zawodowymi mordercami i żołnierzami gangów skazanymi na dożywocie, którzy też gdzieś tam mają małe córeczki, o których myślę w wolnych chwilach. I czasem ktoś nieodpowiedzialnie wygada się, za co siedzi ten tłustawy pan w okularach. To się zwykle fatalnie kończy, a zanim się skończy, to

jest prawie jak u ojców dominikanów bywało, tyle że bez Słowa Bożego.

- Taki zbieg okoliczności?
- Bardzo nieszczęśliwy. Ktoś nawet dostał nagane, ale bez wpisania do akt.

- Bóg będzie nas wszystkich sądził w dniach ostatecznych.
- Ale na razie czasem ręce świerzbią. Scarpi przytaknął ruchem głowy.

- Wszyscyśmy grzeszni - powiedział.

Zamilkli na chwilę, a potem jezuita wstał, aby się pożegnać. Hagen patrzył na jego niewielką postać przemierzającą czerwonałą powierzchnię rynku, zagubioną w przestrzeni renesansowej architektury.

Kiedy wracał do Lublina, połączył się z nim Hołownia.

- Znowu zadzwonił, dosłownie przed chwilą - oznajmił bez większych wstępów. - Tym razem z innej budki, na Kalinowszczyźnie.

- Co powiedział? - Komisarz nie dzwoniłby, gdyby nie uważał, że informacja jest ważna.

- Odtworzę to panu przez telefon.

Dobiegły go postukiwania i szuranie, jakieś metaliczne trzaski, pewnie komisarz przykładał słuchawkę do głośnika. Najpierw usłyszał głos swego współpracownika.

- „Komisarz Hołownia, słucham”.

- „To znowu ja. - Dźwięk był stłumiony i niezbyt wyraźny. - Jeden klecha już gnije w ziemi, zobaczymy, który będzie następny”.

- „Czy to pan zabił biskupa Wygnowskiego?” - zapytał Hołownia, a w odpowiedzi szcęknięła odkładana słuchawka.

- I jak to się panu podoba?

- Albo mi się wydaje, albo on grozi następnymi zabójstwami.

- To jest, niestety, możliwe. Powiadomiłem już kurię. Myśle, że nie zlekceważą ostrzeżenia.

- Czy zdjęto już odciski z tego automatu?

- Właśnie jest tam ekipa. Niestety, nikt w okolicy nie szczególnego nie zauważył. Ten automat jest na uboczu, nie było nawet za bardzo kogo pytać. Jak pogrzeb?

Hagen zrelacjonował pokrótce swoje wrażenia, a następnie streścił rozmowę z jezuitą.

- Sprytne - powiedział komisarz, usłyszawszy o rozwiązaniu zagadki napisów i znaków z miejsca zbrodni. - Coś mi mówi, że to nasz telefoniczny przyjaciel stoi za tym wszystkim. Ma kota i lubi łamigłówki. To dobrze pasuje do samotnego mężczyzny w mocno średnim wieku. A jak mówi moja żona, taki facet to zawsze dobry kandydat na świra.

- Aresztujmy ich wszystkich - zażartował inspektor.

- Wszystkich samotnych z kotami w Lublinie?

- Tak jest. Arcybiskup powie, że to w porządku, a jemu uwierzą.

Hołownia zaśmiał się, ale niewesoło.

- Przydałby się nam bardziej taki duży palec, wychodzący z nieba i wskazujący winnego.

- Czego nam wszystkim życzę - zakończył Hagen.

Jechał szeroką drogą Zamość-Lublin, znacznie przekraczając dopuszczalną prędkość. W wyobraźni widział już nagłówki gazet krzyczące: „Seryjny morderca księży znów uderza. Kto będzie następny?”. I odruchowo wciskał pedał gazu jeszcze mocniej.

Kiedy dotarł na miejsce, wszyscy mówili już o czymś innym.

- Widział to już pan, inspektorze? - zapytała go jedna z sekretarek, kiedy mijał ją na schodach.

- Jeszcze nie. - Hagen nie miał pojęcia, o czym mówi, ale nie chciał przyznać się do swojej ignorancji.

Kiedy wszedł do głównej sali oddanej na ich potrzeby, na spotkanie wyszli mu zarówno Hołownia jak i Nęcki.

- Mamy coś nowego - komisarz uprzedził jego pytania. - Niech pan pozwoli.

Przeszli do sali odpraw, gdzie przed telewizorem stała grupka ludzi, dyskutując żywo.

- Pokażmy to panu inspektorowi - zarządził komisarz i głosy umilkły.

Doktor Lewicki nacisnął przewijanie na magnetowidzie.

- Przesyłka została wrzucona rano do skrzynki na pocztę głównej. Nie miała naklejonych żadnych znaczków, tylko duży napis „Komenda Wojewódzka Policji, dla prowadzących śledztwo w sprawie śmierci biskupa Wygnowskiego, bardzo ważne”. Mamy szczęście, że trafiło na rozsądnych ludzi, i dołączyli ją do naszej dzisiejszej poczty. W środku była kasetka wideo. Jak ją włączyliśmy, to najpierw był nagrany z telewizji film „Notting Hill”, więc pomyśleliśmy, że ktoś sobie robi żarty. - Lewicki nacisnął odtwarzanie i na ekranie pojawiły się napisy końcowe z filmu wędrujące powoli do góry.

- Już - powiedział.

Napisy zniknęły i ekran na moment pokrył się szarą gęstwą migocących punktów, spod których wydobyło się poprzednie nagranie. Teraz obraz przedstawiał jakieś pomieszczenie, wypełnione nieokreślonymi ciemnymi kształtami, w których po chwili rozpoznał ludzi okrytych ciemnymi płachtami. Obraz

był ziarnisty, kolory bardzo przygaszone, widocznie świece, które były jedynym dostrzegalnym źródłem światła, dawały go zbyt mało. Oko kamery przesunęło się w lewo. Zobaczył człowieka w czarnej masce i czarnej pelerynie, wznoszącego ręce do góry. Kiedy skierował się na niego mikrofon kamery, można było usłyszeć, co mówił. „... Zodacare! Zodameranu! Iecarimi Quo-a-dahe od I-mica-ol zododa aaiome”. Zamaskowany mężczyzna skandował obce wyrazy powoli, wymawiając je z pewnym trudem. W górnej lewej części ekranu migotały białe cyferki, odliczając czas. „Bajirele papenore idalugama elonusahiod umapelifa vau-ge-ji Bijil lad!”.

- Nic nie rozumiem. - Hagen potarł czoło.

Czarna postać opuściła ręce, rozległ się wyraźny i głośny dźwięk dzwonka. Słysząc było męski śmiech i stłumiony głos kobiety.

„Niech tak się stanie”, powiedział człowiek w masce uroczystym tonem. Kamera obróciła się w prawo, pokazując zakapturzone postacie. Jedna z nich zsunęła z głowy kaptur. Dojrzał płomiennie rude włosy i nagie białe ramiona. Nagle wielka czarna dłoń przesłoniła obraz. Rozległ się głośny hałas, kiedy dotknęła mikrofonu. Spoza szumu usłyszeć jeszcze można było: „Wyłącz to!”. I cisza. Ekran pokrył się brudnym śniegiem nienagranej taśmy.

- I co to było? - Hagen spojrzał na Lewickiego.

- Sam koniec czarnej mszy, głównego rytuału satanistycznego. - Znajomy głos zabrzmiał zza jego pleców i Hagen się odwrócił.

Scarpi stał za nimi z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

- Czy w zakonie ćwiczycie się w bilokacji?

Włoch uśmiechnął się.

- To kierowca Jego Ekscelencji. Ten człowiek naprawdę umie prowadzić samochód.

- Co ksiądz o tym sądzi? - Hołownia dziwnie łatwo przeszedł do porządku nad niezapowiedzianą wizytą i nad faktem, że Scarpi wie już o nagraniu.

- Widziałem tylko ostatnie ujęcie. - Scarpi rozłożył ręce. - Gdyby panowie zechcieli pokazać mi całość...

Obejrzel film raz jeszcze.

- Niewiele tego - mruknął Hagen. - Po jakiemu oni mówią? Nie mogę skojarzyć tego języka.

- Nie dziwię się.

Scarpi przysunął sobie krzesło, usiadł i spojrzał na ekran. Na zatrzymanym kadrze widać było wielką czarną dłoń przesłaniającą prawie całe pole widzenia. Wszyscy czekali na wyjaśnienia.

- To po enochiańsku - powiedział po chwili.

- Słucham? - Lewicki najwyraźniej nie słyszał o takim języku.

Po minach obecnych widać było, że nikt nie miał pojęcia, o czym mówi mnich.

- Czyciele szatana zaadaptowali do swoich obrządków tajemniczy język, który jeszcze w XVI wieku został ponoć objawiony dwóm magom, Johnowi Dee i Edwardowi Kelleyowi. Twierdzili oni, że jest to język, którym porozumiewają się aniołowie. Większość znanych słów to zresztą imiona anielskie. Oprócz nich istnieje jeszcze około tysiąca innych, występujących w symbolicznych wierszach, zwanych kluczami. To, co słyszeliśmy, to był, zdaje się, klucz siódmy, jeżeli mnie pamięć nie myli. - Scarpi wyjął z aktówki jakieś papiery i szybko je przekartkował. - Tak, to klucz siódmy, używany do wezwania pożądania, oddania hołdu przepychowi i radości z uciech cieleśnych, jak pisze LaVey.

- Chryste, co za bzdury. - Komisarz westchnął.
Scarpi uśmiechnął się.
- Wielu ludzi strawiło życie na analizie tego, co pozostawili Dee i Kelley. Nawiasem mówiąc, w swoich peregrynacjach zahaczyli też o Polskę. Cała sprawa nie jest więc tak odległa i egzotyczna, jak to by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.
- Rozumiem. Jak to się jednak ma do tego skurczybyka, który do nas wydzwaniał?
- Nie mam pojęcia. - Jezuita rozłożył szeroko ręce. „Ja się znam na enochiańskim - zdawał się mówić - to wy macie złapać mordercę”.
- Kiedy powstało to nagranie? - Pytanie Hagen wyrwało Lewickiego z głębokiego zamyślenia.
- Nagranie? A tak... Na pewno przed osiemnastym czerwca tego roku.
- Skąd ta pewność?
- Film, który nagrano na zapisie czarnej mszy, był nadawany przez tę konkretną stację tylko osiemnastego czerwca, o godzinie dwudziestej dziesięć. Zatem nagranie pod spodem musi być wcześniejsze. To jest zwykła taśma analogowa z magnetowidu, nie ma na niej zakodowanej podstawy czasu.
- Kolejne pytanie brzmi: gdzie to nakręcono? - mruknął Hagen.
- I dlaczego przysłano do nas? - Komisarz bezwiednie bawił się papierosem.
- Pierwsze pytanie nie jest tak całkiem pozbawione szans na odpowiedź - odparł Lewicki. - Chodźmy do mnie.
Liczny orszak podążył za nim do laboratorium.
- Podczas gdy my oglądaliśmy sobie filmy – zaczął szef laboratorium, kiedy wszyscy zgromadzili się już wokół audiowizualnego

stanowiska komputerowego - inni nad nimi pracowali. Zobaczymy, co jeszcze da się z niego wycisnąć, ale to jest fragment, który mnie zainteresował.

Na ekranie pojawił się kadr z filmu, na którym zamaskowany kapłan wznosił w górę ręce. Obraz wydawał się znacznie wyraźniejszy niż ten widziany poprzednio na ekranie telewizora.

- Nadal go nie rozpoznaję. - W głosie Hołowni dał się wyczuć sarkazm.

- Ja też nie, ale... - Lewicki nachylił się, ujął myszkę i powiększył fragment zdjęcia. Hagen nadal nie wiedział, o co mu chodzi.

- I? - Hołownia był w bojowym nastroju.

- I proszę bardzo.

Wskaźnik myszki objechał stojącą na stole butelkę po piwie.

- Piwo - powiedział komisarz. - Pili piwo. Trzydzieści milionów ludzi w tym kraju pije piwo.

- A jakie piwo? - Lewicki najwyraźniej bawił się doskonale zniecierpliwieniem Hołowni.

Komisarz pochylił się nad ekranem.

- To wygląda jak Perła, i co z te... - zaczął i nie dokończył.

- No właśnie. Perła. Nasza kochana, lubelska Perła. Spróbujcie ją kupić gdzieś indziej.

- Nie ma szans. Nigdy jej nie widziałem w Warszawie - przyznał Hagen.

- Lokalne piwo... Zawsze uważałem, że trzeba kultywować takie regionalne odrębności - szepnął mu do ucha Scarpì.

- Zatem możemy przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że film nakręcono tutaj, na miejscu, w Lubli nie. Pozostaje

jeszcze pytanie numer dwa: po co nam go przysłano?

- Odpowiedzi może być kilka. - Scarpi przechadzał się powoli między stolikami z rozłożonym na nich sprzętem badawczym. - Po pierwsze, zwróćmy uwagę na ten śmiech na końcu nagrania. Nadaje on całości wydźwięk sztubackiego kawału. Być może kiedyś grupa młodych ludzi, bo to są głosy młodych ludzi, zaczęła bawić się w satanizm. Część z nich nie traktowała tego poważnie, a część tak. Być może na tym tle doszło wśród nich do nieporozumień? Może do rozłamu? Kiedy więc światło dzienne ujrzały informacje o okolicznościach śmierci biskupa, ci, którzy wcześniej nie traktowali sprawy poważnie, zastanowili się, czy aby w to wszystko nie są zamieszane osoby, które w satanizmie poszły dalej?

- Taki donos na współwyznawców?

- Raczej lęk, że ktoś z zabawy uczynił krwawy rytuał zakończony zbrodnią. I że, być może, nie będzie to ostatnia ofiara.

Po tych słowach jezuity zapadło milczenie. Nagle drzwi otworzyły się z impetem i stanęła w nich Anna Zawistowska, psycholog.

- Co mnie ominęło? - zapytała.

- Pokażcie pani magister tych satanistów, których ponoć nie ma w Lublinie. Ja idę łapać miłośnika telekomunikacji - powiedział Hołownia i skierował się ku wyjściu.

Odciski z obu aparatów telefonicznych były porównywane ze sobą i z policyjną bazą danych. O osiemnastej, kiedy Hagen

wychodził z komendy, nie było jeszcze żadnych pozytywnych wyników w grupie obu telefonów. Zidentyfikowano kilka nowych osób, tak jak w przypadku pierwszej słuchawki, i funkcjonariusze dzielnicowego komisariatu mieli następnego dnia przedstawić wyniki odbytych rozmów. Ani on, ani komisarz nie obiecywali sobie po nich nic specjalnego.

W swoim pokoju wyciągnął się na łóżku przykrytym narzutą w złociste kwiaty, założył ręce pod głowę i jeszcze raz przejrzał wszystkie wydarzenia mijającego dnia, jak poszarpany film wyświetlany na ekranach powiek. Miał uczucie, jakiego doświadcza myśliwy skradający się w buszu na skraju sawanny, wiedząc, że gdzieś obok kryje się dzika bestia, na którą poluje, zdolna powalić go jednym uderzeniem łapy, niepewny, czy już go nie zaczęły śledzić żółte, bystre oczy. Czy ludzka bestia, na usługach Bestii, przyczaiła się do następnego skoku? Czy znowu szykuje świece, odmawia zaklęcia i ostrzy nóż? Hagen usiadł na łóżku, przeczesał palcami włosy.

- Ponosi mnie fantazja - powiedział na głos. - Jeszcze kilka wieczorów spędzonych w towarzystwie księży, i zostanę mistykiem czystej wody.

Wstał i ruszył do kuchni napić się piwa. Kiedy wszedł, zobaczył Ewę siedzącą przy stoliku. Piła herbatę i czytała jakieś czasopismo. Podnosiła właśnie szklankę do ust, jej wargi stulone były jak do pocałunku, obłoczek pary unoszący się nad szklanką wydał się jak żagiel i rozmył w powietrzu.

- Witam - powiedział, zaglądając do lodówki. - Co słychać?

- To raczej ja powinnam zapytać, co słyhać. Nie co dzień spotyka się w kuchni kogoś, kto nadzoruje najgłośniejsze śledztwo w tym kraju.

- Śledztwa nadzoruje prokuratura, córko prawnika - odparł, otwierając butelkę.

- Być może. - Nieznacznie wzruszyła ramionami. - Czy to prawda, co piszą w gazetach, o tym rytualnym morderstwie i satanistach?

- Nie potwierdzam i nie zaprzeczam.

- A więc prawda. Macie go już?

- Mordercę?

- No.

- Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym. A jak tam praca magisterska?

- Ciągle jeszcze zastanawiam się nad tematem. Mój wybór zawęził się już do dwu opcji. Albo Paul Klee, albo ikony.

- To się nazywa rozrzut.

- Na pierwszy rzut oka tak by to mogło wyglądać, ale jeśli rzucimy raz, drugi i trzeci...

- Stają się podobne? Świętej Paraskiewii robi się baniasta, kolorowa głowa?

Roześmiała się, biorąc akurat łyk herbaty, więc parsknęła do szklanki.

- Nie... Aż tak to nie, ale dla mnie jest pewne podobieństwo. Te nadmuchane głowy patrzą na mnie tak samo prawdziwie jak „oblicza niemalowane ręką ludzką”. Wielcy artyści potrafią oddać prawdę o człowieku, używając różnych stylizacji. Nie lubię tylko tych jego ciemno-brudnych obrazów, wolę te pastelowe w kolorycie, emanujące światłem, jak „Ad Parnasum”. Dla mnie zresztą to jawny hołd złożony Seuratowi, a może bardziej Signacowi, sama nie wiem...

- Nie pamiętam tego obrazu - przyznał Hagen po krótkim zastanowieniu. - Klee kojarzy mi się tylko z tymi ufoludkami pogryzionymi przez szerszenie.

- Na pewno go widziałeś, jest we wszystkich albumach. Taki błękitno-złotawy, cały pokryty równo ustawionymi w szeregi dotknięciami pędzla, piramida, brama, czerwone słońce i jakby dźwig albo chmura...

- Patrzyła na niego z wyczekiwaniem.

Zaczynało mu coś świtać, ale zdecydowanie pokręcił głową. Nie, nie może sobie przypomnieć.

- Zaraz przyniosę - oświadczyła, wstając od stołu.

- Albo wiesz co, wpadnij do mnie z sąsiedzką wizytą. Tylko nie przestrasz się bałaganu.

Napił się zimnego piwa, odprowadzając wzrokiem jej zgrabne nogi i krągłą pupę w obcisłych legginsach. Koszulka kończyła się kilka centymetrów wyżej i widział gładkie, opalone ciało. Teraz dopiero zauważył, jak wąską miała talię. Poszedł za nią, zastanawiając się, czemu wszystkie kobiety, które zapraszały go do swych mieszkań lub pokoi, zawsze ostrzegały przed nieporządkiem? Zwykle miały rację, zreflektował się zaraz, przebiegając w pamięci pomieszczenia, do których wchodził, tak jak teraz, dzięki nagłemu impulsowi właścicielki. Pamiętał jedno z nich, pokój hotelowy zajmowany dopiero od trzech dni, który wyglądał jakby we wnętrzu obu walizek wybuchły granaty ręczne. Brakowało tylko krwi i wnętrzości gospodyni na ścianie. Pokój Ewy był podobnej wielkości jak ten, który sam zajmował. Bałagan, jeśli był, to znacznie poniżej jego progu estetycznego. Na ścianach wisiały duże reprodukcje oprawione w antyramy. Van Gogh, Cezanne, Picasso i inne, których nie rozpoznawał. Pokój oświetlony był skomplikowaną kombinacją halogenów wyławiających z półmroku obrazy.

Kilka drobnych cząsteczek kurzu wirowało w snopach światła.

- Miałam go na ścianie, tutaj. - Pokazała palcem miejsce, gdzie wisiał teraz obraz przedstawiający bardzo młodą, raczej brzydką dziewczynę, w dwuznacznej pozie. Spod sukienki widać jej było białe majteczki.

- Pornografia dziecięca wysokiego lotu?

- Trochę tak, chyba... To Balthus, taki Polak ze zmyślonym arystokratycznym rodowodem mieszkający w Szwajcarii. Sądzę, że malował te wszystkie lolitki dla swojej i swoich pedofilskich znajomych przyjemności. Ale nie znam jego historii zbyt dobrze, takie mam tylko odczucia, jak na nie patrzę. Dobry malarz.

- Zapewne. Nie lubię, kiedy ktoś eksploatuje dziecięcą seksualność. Moja była żona miała zresztą na tym punkcie prawdziwą obsesję.

- A „Primavera” Cybisa? - zapytała. - Wisi w Muzeum Narodowym. Te granice wiekowe są czysto umowne. Nie tak dawno faceci w twoim wieku żenili się z szesnastolatkami i wszyscy byli zadowoleni. Moja rodzona babcia miała niecałe siedemnaście lat, jak wyszła za mąż za dziadka, który miał wtedy prawie czterdzieści. Miała z nim pięcioro dzieci. W zasadzie, czemu seksualność młodzieży ma być tematem tabu?

- Seksualność młodzieży nie jest tematem tabu, kup sobie jakieś pismo dla nastolatek, to się przekonasz. Seksualność dzieci jest tematem tabu, tu się zgadzam. Czy to dobrze, czy to źle, to już raczej kwestia smaku. Obrazki malowane z wyobraźni, no cóż, jeśli ktoś to lubi... - Wskazał gestem obraz Balthusa. - Wszystkie inne formy przekazu wizualnego wymagają udziału dzieci i to jest zwykle przestępstwo.

- Niektórzy z was, jak Chaplin na przykład, lubią po prostu bardzo młode kobiety. Teraz młodzi ludzie dojrzewają szybciej, szesnastolatki prowadzą normalne życie płciowe. Czemu wszystko jest w porządku, jeśli robią to z rówieśnikami, a problem powstaje, jeżeli spotkają jakiegoś fajnego starszego mężczyznę lub kobietę?

- Jak bardzo starszego?

- A co za różnica? Każda z nas szuka w mężczyznach oparcia, zaufania, poczucia bezpieczeństwa. Czy nie lepiej stracić dziewictwo z kulturalnym, czułym, znającym się na rzeczy trzydziestolatkiem niż ze spoconym rówieśnikiem mającym kłopoty z... - Przerwała.

- Może i lepiej, ale ja nie mam wielkiego doświadczenia w tych sprawach. Nigdy nie byłem dziewczyną, ale wierzę, że wiesz, o czym mówisz.

- Ja zaczynałam trochę później - odsunęła niecierpliwym gestem połykujące w świetle halogenu włosy spadające jej na twarz - ale dobrze wiem, jak to jest.

- Każda dziewczyna, z którą się rozmawia, nieważne z którego pokolenia, zaczynała zawsze trochę później niż jej koleżanki. Nigdy nie udało mi się poznać tej, która w swojej klasie zaczęła pierwsza.

- To taka nasza samoobrona - odpowiedziała, przeglądając albumy na półce i pochylając się przy tym. Przyglądał jej się uważnie, chłonął kuszącą kobiecość emanującą z jej kształtów i sposobu poruszania się. - Chcemy się wam wydawać mniej używane. Jak samochody z podkreconym licznikiem. Jest. - Wyjęła jeden ze stojących na półce albumów i potrząsnęła nim triumfalnie. Zapaliła stojącą lampę, usiadła na wersalce, założyła nogę na nogę i poklepała narzutę obok siebie. - Siadaj, proszę. Ja jestem pełnoletnia - dodała, dostrzegając jego krótkie wahanie.

- Jasne - powiedział.

Usiadł obok niej tak, że pozostała pomiędzy nimi wolna przestrzeń kilku centymetrów. Podała mu album, otwarty już na właściwej stronie.

- To ten obraz, o którym mówiłam. „Ad Parnassum”.

Patrzył na delikatnie przenikające się kolory sieny, złota i błękitu, wytłoczone pędzlem w maleńkie prostokąty, i na płonące nad piramidą słońce w kolorze krwi tętniczej. Być może było tu nawiązanie do puentylistów, a może nie. Rodziły się w nim zupełnie inne skojarzenia. Przewróciła stronę. „Światło i inne”. Studium w lawendowych odcieniach zmierzchu, te same drobne prostokąty pozostawione przez pędzel głaszczący płótno.

- I popatrz tu. - Położyła na poprzednim albumie nową książkę. Bizantyjskie mozaiki miały w sobie podobne falowanie koloru, jakże podobną fakturę i element prostoty, choć przecież to była sztuka figuratywna. – To z kościoła Świętego Zbawiciela na Chorze z Konstantynopola, z trzynastego wieku. Zaśnięcie Marii Panny.

Złote i błękitne kamyki kompozycji miały w sobie podobny rytm, choć brakowało im regularności cegiełek Klee.

- Dzieli je prawie osiemset lat. - Spojrzała na niego. Światło zamigotało na ciemnych splotach włosów, kiedy odwróciła głowę. Jej brązowe oczy patrzyły na niego wyczekująco, a na ich dnie skrzył się delikatny uśmiech.

- To prawda, podobieństwo jest uderzające, ale to nie są ikony.

Teraz jej oczy uśmiechnęły się razem z całą twarzą. Białe zęby skojarzyły mu się z płytkami mozaiki, którą miał przed sobą.

- Ikona pochodzi od greckiego *eikon*, czyli obraz. Każdy obraz jest ikoną. Świat jest ikoną.

- My, laicy, zwykle przez ikonę rozumiemy obraz o treści religijnej, malowany zazwyczaj na deskach, pochodzący z kręgu kultury i religii prawosławnej, głównie oczywiście z Bizancjum i z Rosji.

- Pewnie, że tak. Trochę żartowałam.

- A trochę nie?

- Świat istnieje dla nas poprzez percepcję zmysłową. Postrzegamy go głównie oczami, oczywiście. Odbieramy go w formie obrazów. Odrzuciwszy logiczno-rozumową interpretację tych spostrzeżeń i dedukcję, to świat jest dla nas zbiorem obrazów. Zbiorem ikon.

- Jedne ikony są znacznie piękniejsze niż inne. - Patrzył jej prosto w oczy. Nie zmieszała się, uśmiechnęła się tylko lekko.

- Kryteria estetyczne, jako szalenie subiektywne i związane z tradycją, sztuka współczesna odrzuciła już dawno.

- Co zatem pociąga cię w ikonach, jeśli nie piękno?

- Podobają ci się ikony?

- Szczerze mówiąc, to tak sobie. Szalenie statyczne, ten sam motyw w stu wariantach, skostniałe w kanonie... Nie jestem wielkim miłośnikiem. Raczej nie.

- Mnie interesują właściwie z tych samych powodów, które wymieniłeś. Stworzono pewien wzorzec w średniowieczu i z niewielkimi zmianami dotrwał do dziś. Jak wejdiesz do Internetu i poszukasz, to ogłaszają się studia malujące ikony, a wzory są żywcem przeniesione z tych sprzed tysiąca pięciuset lat.

- Chyba sprzed tysiąca lat?

- Nie, nie, gdzie to jest? - Przewracała szybko kartki. - O, proszę. Święty Piotr z klasztoru Świętej Katarzyny na Synaju, z szóstego wieku. Enkaustyka na desce. Namalowany półtora tysiąca lat temu, a można by go drukować na koszulkach i nikt

by się nie poznał, że tego nie namalował jakiś współczesny twórca. Kiedy go zobaczyłam pierwszy raz, nagle miałam wrażenie, że cała ta droga Giotta, Era Angelica i Masaccia, nie mówiąc o innych, była tylko wyważaniem otwartych dawno drzwi i trzeba było przejść przez Tycjana, Rembrandta i van Gogha, żeby dojść z powrotem do nieznanego mistrza, który to namalował. Gdyby nie ikonoklaści z ósmego i dziewiątego wieku, być może nasze spojrzenie na rozwój malarstwa byłoby zupełnie inne? Jeżeli takie dzieła przetrwały na zadupiu imperium, na Synaju, to co zniszczono w stolicy? - Westchnęła lekko i zamyśliła się na chwilę. Widział jej profil, tak jak wtedy podczas obiadu, i znowu podziwiał miękkie linie, jakie go formowały.

- Tak naprawdę to najchętniej pisałabym właśnie o tym. O sztuce sprzed panowania Leona Trzeciego. Ale u nas oczywiście nie ma nawet śladu tego rodzaju zabytków, bo i skąd? A i na świecie są pojedyncze egzemplarze. Niszczono je dziesiątki lat, z dużym zapamiętaniem. Zostało bardzo niewiele. Okres jest reprezentowany głównie przez mozaiki, obrazów takich jak ten - postukała w książkę - właściwie nie ma. Rzucano je na stosy i palono, tak jak zakazane książki za Hitlera. Wiesz co - spojrzała na niego i dostrzegł na jej twarzy mgiełkę rozmarzenia - chciałabym zobaczyć ten olbrzymi złoty wizerunek Chrystusa znad bramy Chalke pałacu cesarskiego w Konstantynopolu, od którego zniszczenia zaczęło się to wszystko. Wywołało to takie rozruchy w mieście, że cesarz opóźnił wprowadzenie edyktu o ikonoklazmie o trzy lata. - Przerwała na chwilę, patrząc na obrazy na ścianie.

- Dowódcę tych, co zniszczyli tę złotą ikonę na rozkaz cesarza, kobiety na ulicy rozerwały na strzępy - powiedziała po

chwili. - Czy dzisiaj jakakolwiek sztuka jest w stanie wzbudzać takie emocje?

- To nie sztuka je wzbudzała. - Hagen oparł się wygodnie i spojrział w sufit. - To religia. Te ikony nie były kochane i czczone dlatego, że były piękne, tylko dlatego że ludzie widzieli w nich Boga. Były ich łącznikiem z Bogiem. Gdybyś zniszczyła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nie ręczę za pobożnych pątników. Sztuka sama z siebie oddziałuje tylko estetycznie, jak sądzę. To temat, jakiego dotyczy, nadaje jej prawdziwy wymiar uczuciowy. Nikt nie kiwnie palcem, jeżeli zniszczysz jakiś obraz abstrakcyjny, ale spróbuj zabrać się do krucyfiksu albo pomnika powstańców warszawskich, albo zabytkowego mihrabu w meczecie Al-Aksa. Z Al-Aksa nie wyjdiesz żywa.

- Nie wejdę tam, to po pierwsze, bo jestem kobietą, po drugie, oczywiście, że treść przedstawienia, a nie jakość wykonania decyduje. Niemniej tak już jest, że jedne obrazy są święte, powodują cuda i są obwieszane wotami, a inne wiszą w samotności, w tym samym kościele.

- Kobiety mogą wchodzić do meczetów, proszę pani. Byłem w Al-Aksa ze swoją byłą żoną i nikt jej jakoś nie wyprosił.

- No tak, coś mi się musiało pomylić. - Przesunęła się tak, że siedziała teraz zwrócona do niego przodem, a ich kolana niemal się stykały. Widział jej twarz w ujęciu trzy czwarte, jak do fotografii paszportowej.

- Jak sądzisz, który temat będzie lepszy?

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział szczerze. - Ja osobiście nie pisałbym ani o jednym, ani o drugim.

- A o czym?

- Coś w rodzaju: „Najbardziej wyuzdane przedstawienia miłości lesbijskiej w sztuce Zachodu”. Pisałbym o tym, co mi jest naprawdę bliskie.

- Jesteś lesbijką? - zapytała, śmiejąc się.
- W pewnym sensie. Też pociągają mnie kobiety.
- Nie wątpię. - Spoważniała na chwilę, ale uśmiech błędził ciągle wokół jej ust.

Zapadła cisza i w ciepłym świetle lampy stojącej za ich głowami patrzyli na siebie. Zamknęła album powolnym ruchem, nie spuszczać z niego wzroku. Miał wrażenie, że przygląda mu się z intensywną ciekawością, i poczuł się przez chwilę jak owad w gablocie. Jej duże, ciemne oczy, obrysowane długimi rzęsami, wyglądałyby pięknie nad czadorem, pomyślał. Jaki prawowierny muzułmanin mógłby im się oprzeć? Cisza przeciągała się. Zrobiło mu się dziwnie nieswojo i spojrzał na zegarek.

- Aleśmy się zasiedzieli - mruknął.
- Wstał. Ona nadal milczała. Wpatrywała się w jego twarz.
- Czemu tak na mnie patrzysz? - zapytał.
- Przyglądam się sławnemu policjantowi z bliska. Kto wie, kiedy znowu będę miała taką szansę.
- Zajrzyj do mnie jutro. Pokażę ci trochę fajnych zdjęć z wypadków drogowych.

Nie uśmiechnęła się tym razem.

- Zajrzę - powiedziała. - Może jednak mi pomożesz.
- Zrobię co w mojej mocy. Dobranoc.
- Nie powiedziałaś w końcu, czy podoba ci się ten obraz Klee.

- Podoba mi się, chociaż muszę przyznać, że mnie kojarzy się z projektem bardzo pięknego dywanu. Można nawet powiedzieć, że jest to gotowy projekt kilimu lub kobierca. Szkoda, że nie masz go tu. - Wskazał ścianę. - Zamiast tej brzydkiej dziewczynki.

- Mój chłopak go zabrał. - Wzruszyła ramionami. - Ma niedługo oddać.

- Dobranoc - powiedział, otwierając drzwi.

W oczach pozostała mu jej sylwetka, siedzącej na wersalce bokiem do niego, z nagimi stopami opartymi na siedzeniu, tam gdzie on znajdował się przed chwilą. Pochylona, obejmując ramionami kolana, patrzyła na niego, przechylając głowę. Kaskada włosów spadła jej przez ramię, tworząc ciemne tło dla szczupłych nóg. Widział ją jeszcze, kiedy szedł do siebie przez mrok korytarza.

8

Jeżeli komuś wydawało się, że presja wywierana na grupę operacyjną nie mogła być już większa, to teraz okazało się, jak bardzo się mylił.

- Kuria jest bardzo zaniepokojona. - Komendant wodził wzrokiem po obecnych na sali odpraw. - I ma powody. Nuncjatura jest bardzo zaniepokojona. Ojciec Święty jest zaniepokojony. Wojewoda dzwonił do mnie wczoraj trzy razy, a odkąd złapaliśmy jego syna jadącego po pijanemu, nigdy mu się to nie zdarzyło.

Hagen uśmiechnął się lekko. Komendant przynajmniej potrafił zachować resztkę poczucia humoru. Szef lubelskiej policji patrzył na salę pełną ludzi. Jego twarz była poważna i zatroskana.

- Dzisiaj rano rozmawiałem z ministrem. Rząd również nie życzy sobie więcej zabójstw. Wygląda na to, że wszyscy są przeciw kolejnym morderstwom, z wyjątkiem nas!

- Ja jestem przeciw - zgłosił się Nęcki.

Komendant go zignorował.

- Musimy złapać tego mordercę i teraz oczekuję, że usłyszę od was mnóstwo świetnych propozycji. Mieliście całą noc na rozmyślanie. Powiedzcie, jak chcielibyście go złapać, a znajdziemy potrzebne środki, jeżeli pomysł będzie dobry.

Pomysłów było wiele. Aspirantka Sobczuk spisywała je wszystkie na wielkich płachtach papieru. Potem podczas długiej dyskusji ustalili, które z nich mają rzeczywistą szansę powodzenia.

- Czy wszyscy zgadzamy się, że jedynym stałym elementem, który może stanowić rzeczywisty punkt zaczepienia, są jego telefony? - Hołownia stał obok wypisanych koncepcji i patrzył na zebranych wyczekująco.

Pokiwali głowami.

- Tak jest - powiedział jakiś głos z tyłu sali.

- Świetnie. Sądźmy zatem, że należy monitorować budki telefoniczne w uczęszczanych miejscach w centrum za pomocą kamer wideo i polegać na cywilnych patrolach oraz wycofać częściowo mundurowych do zagęszczenia sieci patrolowej na obrzeżach miasta, czy tak? - Wszystkie głowy pochyliły się ponownie. - Jaki będzie czas reakcji takiego patrolu, jeżeli ściągniemy do miasta i włączymy do tego drogówkę z całego województwa?

- Biorąc pod uwagę liczbę publicznych telefonów i patroli, wielkość terenu... - Nęcki liczył przez pewien czas w milczeniu. - Sądzę, że nie jesteśmy w stanie uzyskać lepszego wyniku niż trzy minuty.

- Dużo za długo! - Komendant uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Musimy coś zrobić, żeby było krócej.

Zapadła cisza.

- Wyłączmy część telefonów - powiedział Hagen.

- Jak to wyłączmy? - Komendant spojrzał na niego niepewnym wzrokiem.

- Zwyczajnie. Ustalmy to z TP S A, to przecież spółka skarbu państwa. Niech odłączą wybrane przez nas aparaty. Dzięki temu uzyskamy możliwość obstawienia reszty. Tylko dyskretnie. Mundurowi muszą być trzymani jak najdalej.

- Świetnie, przygotowujemy wszystko, dzisiaj w nocy montujemy kamery, ja biorę na siebie telekomunikację. - Komentant zerwał się energicznie. - Do roboty!

- Doskonały pomysł, inspektorze - pochwalił, przechodząc za krzesłem Hageny, który skromnie pochylił głowę.

Telefon, na który czekali, zadzwonił dwie minuty po jedenastej. Ten, kto dzwonił, tym razem nie chciał rozmawiać z komisarzem. Wszystko, co miał do powiedzenia, przekazał telefoniście.

- „To ja - powiedział. - Będziecie ich znajdować jednego po drugim”.

Odłożył słuchawkę.

- Można na nim polegać - skomentował Hołownia po odsłuchaniu nagrania z komputera. – Przynajmniej jeżeli chodzi o telefony. - Sarkazm obecny w jego głosie nie pasował do poważnego, zatroskanego wyrazu twarzy.

Siedzieli we wspólnym gabinecie i przesłuchiwali nagrane do tej pory rozmowy, które technicy przypisywali jednej i tej samej osobie. Komisarz jadł kanapkę przygotowaną przez żonę. Przeżuwał powoli, wpatrując się w ścianę za plecami inspektora. Ostatnie zdanie wybrzmiało i w ciszy słychać było tylko szelest papieru śniadaniowego oraz szum twardego dysku komputera.

- Pieprzony dzwonnik - odezwał się wreszcie Hołownia cicho. - Jak go dorwę, to...

Zamyślił się znowu. Ciszę przerwało pukanie do drzwi.

- Proszę: - Hagen podniósł oczy znad papierów.

Do pokoju weszły Sylwia i Anna Zawistowska, szefowa sekcji psychologów.

- Pan nas wzywał, inspektorze? - Jej duże orzechowe oczy spojrzały na nich pytająco.

Skinął głową i zaprosił je do zajęcia miejsc na krzesłach ustawionych przy biurku. Usiadły i spojrzały po sobie, bo jedno miejsce zostało wolne.

- Poczekajmy jeszcze chwilkę - powiedział Hagen.

Komisarz potaknął skinieniem głowy, połknął ostatni kęs kanapki i napił się herbaty.

- Kawa, herbata, coca-cola? - zapytał inspektor

Zamówili napoje i kiedy sekretarka komendanta, przydzielona im do pomocy, wychodziła z kwaśną miną przygotować trzy kawy, w tym jedną z mlekiem, w drzwiach minęła się z prokurator Tarnawską. Joanna ubrana była w kremowy komplet, na szyi miała sznur rzecznych pereł. Wydała mu się wyjątkowo piękna.

- Przepraszam za spóźnienie, znowu mamy kontrolę z Warszawy - powiedziała.

Wszyscy pokiwali głowami ze zrozumieniem. Afery w prokuraturze lubelskiej były znane i szeroko opisywane przez prasę. W lokalnym światku wrzało wokół nich od dawna. Joanna poprosiła o wodę, którą komisarz rzucił się przynieść. Po chwili siedzieli już wszyscy w milczeniu i przenosili pytające spojrzenia z Hołowni na Hageną i z powrotem. Komisarz chrząknął.

- Właściwie to pan inspektor prosił, żebyśmy zebrali się tu na chwilę i przedyskutowali pewne aspekty sprawy. Proszę, inspektorze.

- Tak jest. - Hagen oderwał wzrok od kolan Joanny i spojrzał na przybyłych. - Pomyślałem, że dzieje się wiele ważnych spraw naraz. Jesteśmy zalani gigantyczną ilością danych, przynajmniej ja tak się czuję, i zdaje mi się, że możemy trochę stracić ostrość widzenia spraw. Żeby do tego nie dopuścić,

chciałem przedyskutować kilka problemów, poznać wasz punkt widzenia. Zaprosiłem jeszcze Pawła Nęckiego, ale teraz jest zajęty w laboratorium. - Znowu powiódł po nich wzrokiem. - Zatem pytanie fundamentalne numer jeden: czy dzwoniący do nas człowiek jest zabójcą biskupa?

Spojrzały po sobie, potem na Hołownię, który wzruszył lekko ramionami, jakby mówiąc: nie ja to wymyśliłem.

- Dobrze, odświeżmy zatem wspomnienia. - Kliknął kilka razy myszką i z głośników komputera rozległ się znajomy głos wygłaszający swoje kwestie, aż do tej dzisiejszej. Słuchali w skupieniu.

- Pani Anno, proszę powiedzieć, co pani o tym sądzi - zwrócił się do psychologa.

Wszystkie oczy skierowały się na nią i Anna wiedziała, że nie wywinie się byle czym.

- No cóż... - zaczęła trochę niepewnie. - To bardzo kategorycznie sformułowane pytanie, panie inspektorze, nie sądzę, bym była w stanie... Nie sądzę, by ktokolwiek był w stanie odpowiedzieć na nie z całkowitą pewnością.

- Jasne. - Hagen oparł łokieć na blacie biurka, drugą rękę wsparł na poręczy fotela i pochylił się lekko w jej stronę. - Niemniej większość naszych działań aktualnie idzie w jego kierunku, więc powstaje pytanie, czy działamy efektywnie? Spytam jeszcze raz, czy uważa pani, że ten dzwoniący i piszący to zabójca?

- Zaczniemy może od pytania, dlaczego dzwoni i pisze? - Rozejrzała się wokół, a wszyscy przytaknęli. - Wydaje mi się, że być może ciężar tajemnicy, jaką w sobie nosi, jest zbyt duży. Wszyscy dookoła o tym mówią. Radio, telewizja, prasa, ludzie w autobusach, księża na ambonie. Wszyscy zastanawiają się, co się stało. A on jest między nimi i wie. On jeden zna prawdę.

Być może jest to dobry argument za tym, że działał sam. W swoim pojęciu dokonał czegoś niezwykłego, ale ujmując to metaforycznie, blask tego czynu nie oświetlił go. Pozostaje nadal anonimowy, tak jak wcześniej. Zatem dzwoni do ludzi, którzy są najbardziej zainteresowani sprawą, do policji, i rzuca nam takie ochłapy, które nic nie mówią, są dla niego w miarę bezpieczne, ale dają mu dodatkowo dreszcz emocji, poczucie prowadzenia gry, przechytrzenia nas wszystkich. Gdyby, te telefony były bardziej rozgadane, bardziej opisowe, bo ja wiem, bardziej konkretne, miałabym chyba więcej wątpliwości. Takie, jakie są, lakoniczne, trochę na zasadzie starego powiedzenia „ja wiem, a pan rozumie”, są dla mnie bardziej przekonujące. Podsumowując, sądzę, że to może być morderca. Zdecydowanie jest to najlepszy, najbardziej prawdopodobny z tropów, jakimi dysponujemy.

- To na pewno. Jednak czy człowiek, który usiłuje przywołać diabła za pomocą czarnej magii i ofiary ludzkiej, będzie potem dzwonił na policję?

- To zależy. Po pierwsze, nie udało mu się. Zatem jest rozczarowany i zawiedziony, prawdopodobnie głęboko zawiedziony. Ten szatan był mu do czegoś potrzebny. Jeżeli był to sposób na zaistnienie w świecie, na swoje wielkie pięć minut, to zdecydowanie rozminął się z celem. Jego czyn stał się jednak sławny. Ofiara stała się sławna. Tylko on sam kryje się w głębokim cieniu, jako znak zapytania.

- Taki mały Herostrates?

- Nie, niezupełnie. Nie sądzę, żeby szukał samej sławy. Szukał raczej mocy i władzy. Sława stałaby się automatycznie ich pochodną. Nie zdobył ani mocy, ani władzy, więc próbuje

nami manipulować, by zdobyć ich namiastkę. Można to ująć jako potrzebę bycia kimś ważnym za wszelką cenę.

- Zatem to on? Tak uważasz? - Joanna pochyliła się lekko na krześle.

Mówiła do Zawistowskiej na ty, musiały dobrze się znać.

- Nie położyłabym na szali swojej pensji przeciwko orzechom, jak mawiają Amerykanie, ale skłaniam się do opinii, że to może być on.

- A jeżeli to żartowniś? - spytał Hołownia. - Jeżeli ugania-
my się z kamerami i patrolami za jakimś pieprzonym dowcip-
nisiem...

- Tego nigdy nie możemy wykluczyć. Wiemy jednak, że je-
den z listów denat otrzymał najpóźniej w dniu morderstwa,
drugi zaś nawiązywał do aspektów morderstwa nieznanymi
szerokiemu ogółowi.

- Obyś miała rację. - Hołownia najwyraźniej też był z panią
magister na ty.

- Jeśli mogę coś powiedzieć... - Sylwia włączyła się do dys-
kusji takim tonem, że Hagenowi zabrakło tylko dwóch palców
podniesionych do góry.

- Prosimy.

- Jak słyszeliśmy przed chwilą, w pierwszym swoim tele-
fonie powiedział: „Nigdy nas nie złapiecie”. Powstaje pytanie,
czy użycie liczby mnogiej miało nas wprowadzić w błąd, czy też
przeciwnie, liczba pojedyncza w następnych telefonach jest
zasłoną dymną. Ja w każdym razie dostrzegam tu jakąś nie-
konsekwencję, której nie potrafię przekonująco wytłumaczyć.

Wszyscy pokiwali zgodnie głowami, a Hagen przyznał Syl-
wii kolejny punkt na swojej liście rankingowej.

- To jedna rzecz. Oprócz tego zastanawiałam się, czy aby
na pewno autor listów i ten, co do nas dzwoni, to jedna i ta sama

osoba. Wydaje mi się, że chyba jednak nie. Listy były jego ulubionym sposobem komunikacji. Są starsze niż telefony.

- Nie wiemy, czy oprócz pisania listów nie dzwonił do biskupa - zauważyła Joanna.

- Nie wiemy. Ale nawet jeżeli dzwonił, to dlaczego zarzucił podwójny sposób komunikacji, a pozostał tylko przy telefonach?

- Może ze względów bezpieczeństwa? Poczul, że tak podwójnie ryzykuje? A może rozmowa telefoniczna daje mu więcej satysfakcji niż list, który jest w końcu dość bezosobową formą komunikacji.

- Szczególnie list anonimowy. - Hagen uśmiechnął się.

- Właśnie.

- No nie wiem. - Sylwia pokręciła głową. - Dlaczego zadzwonił tego samego dnia, kiedy przysłał list?

- Z jego punktu widzenia to było dzień czy dwa później. - Joanna zawijała pukiel włosów na palec. Lśnił na nim jak złota obrączka. - Mogło mu się dłużyć czekanie.

- Nie rozstrzygniemy tego jednoznacznie na tym etapie. - Hołownia poprawił się na krześle. - Ja sądzę, jeżeli mogę wyrazić swoją opinię, że to jest nasz człowiek. Po pierwsze - palec wskazujący komisarza zawisł w powietrzu - w papierach denata znaleźliśmy jego list. - Sylwia poruszyła się w niemym proteście. - Po drugie, skontaktował się z nami niemal natychmiast po tym, jak podjęliśmy działania, i telefony można uznać za kontynuację jego pasji pisarskiej. Po trzecie, grozi nowym morderstwem, więc nawet jeżeli to nie on zabił biskupa, w co wątpię, to i tak trzeba go złapać, a nic lepszego nie mamy.

- Wszystko to byłoby bardziej przekonujące, gdyby zadzwonił do nas, zanim gazety podały wiadomość o śmierci ofiary.

- Sylwia nie była skłonna poddać się tak łatwo.

- Wysłał list z informacjami, które nie były ujawnione przez media - odparła Anna. - To dowodzi, że jeżeli nawet nie jest mordercą, to wszedł w posiadanie informacji nieznanymi ogółowi. Jest zatem w niewielkim kręgu osób, które wtedy o tym wiedziały. - Sylwia pokiwała głową. — Wyszło nam, że w momencie, kiedy list został wysłany, mogły to być już setki osób. Sprawdzaliśmy to.

- Faktem jest, że nie wiemy, kiedy został napisany, a raczej wyklejony - zauważył Hagen.

- W ogóle niewiele wiemy - powiedział Hołownia.

- No właśnie, co nas zbliża do pytania zasadniczego numer dwa: jeżeli go złapiemy, to co, pani prokurator, będziemy mu w stanie udowodnić? Jakie zarzuty postawić? Przypominam: nie mamy żadnych biologicznych śladów oprócz sierści kota i jakiejś szarej nitki. Jeżeli się nie przyzna i powie, że dzwonił sobie do nas ot tak, dla zabawy, i jest mu teraz bardzo przykro, to co wtedy? - Hagen nieco teatralnie zawiesił głos, ale chyba nikt oprócz niego nie zwrócił na to uwagi.

Ten aspekt sprawy umknął wszystkim obecnym, zafascynowanym codziennym rozwojem wypadków i łowami na mordercę. Patrzyli na Joannę, która zamyśliła się głęboko. Wreszcie spojrzała na Hageną, jej niebieskie oczy wydały mu się jeszcze większe niż dotychczas.

- Obawiam się, że poza przewencyjnym aresztowaniem, bo takie utrudnianie śledztwa jest dość poważnym zarzutem, na razie nie mamy żadnych dowodów, na których moglibyśmy oprzeć akt oskarżenia.

- „Na razie” to jest właściwe określenie. - Hołownia powiedział wzrokiem po siedzących. - Jak go dorwiemy, dopiero zacznie się gromadzenie dowodów. Przeszukamy jego mieszkanie,

działkę, garaż, samochód i co tam jeszcze posiada. Przepytamy wszystkich, którzy go znają, z każdej minuty jego życia. A przede wszystkim popracujemy nad nim tutaj, prawda, inspektorze?

- O tak - potwierdził Hagen. - O tak. Obyśmy go tylko... - Nie dokończył, bo drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Nęcki.

- To chyba on - oświadczył, łapiąc oddech, widocznie biegł po schodach. - Chyba go mamy na taśmie.

Wszyscy zerwali się na równe nogi i jednocześnie zarzucili go pytaniami.

- Chodźmy do laboratorium - powiedział. - Zobaczcie sami.

W laboratorium przed ekranem komputera stał wianuszek ludzi, więc kiedy weszli, w niewielkim pokoju zrobiło się naprawdę ciasno.

- Zapraszam - powiedział Lewicki, odsuwając swoich ludzi na boki i dopuszczając do ekranu nowo przybyłych. - Witam panią prokurator.

Stanęli przed monitorem, patrząc przez ramię technikowi obsługującemu komputer. Joanna stała przed Hagenem, mimo woli dotykał jej w tłoku całą powierzchnią ciała i przez chwilę nie mógł się skupić na tym, co mówił Nęcki.

- ... i jak państwo pamiętacie, nagrywaliśmy całą uroczystość. Proszę bardzo - zwrócił się do technika. - Od dwudziestej piątej minuty.

Kliknęła mysz i ekran ożył. Pojawił się kondukt pogrzebowy, zbliżający się do pokrytego górą kwiatów grobowca. Hagen rozpoznał natychmiast miejsce, które odwiedził wczoraj. Cmentarz w Zamościu. Kamera najechała na grupę idącą za trumną, można było obejrzeć zbliżenia wszystkich postaci po kolei.

- Większość mamy już zidentyfikowanych - poinformował Lewicki. - Pozostałych będziemy mieli namierzonych po południu.

Kondukt zatrzymał się, rozpoczęła się ostatnia część ceremonii.

- Przyśpiesz trochę.

Postacie zadrgały dziwnie, małe cyferki w rogu ekranu zaczęły biec szybciej.

- Trwało to wszystko dosyć długo i jak sądzę, operatorowi trochę się nudziło - zaczął Nęcki. - Stop.

Pole widzenia kamery przesunęło się, zaczęła opuszczać grupę i wolną panoramą zwróciła się w lewo. Zobaczyli sylwetkę stojącą pod drzewem, kamera dokonała zbliżenia i Hagen rozpoznał siebie.

- Pan inspektor - powiedział Nęcki.

Pole widzenia obiektywu znowu się poszerzyło i postać Hageny zmalała. Kamera pracowała nadal. Widzieli zrudziałe resztki liści poruszane słabym wiatrem, cienie gałęzi układające się na szarych pomnikach.

- Teraz! Widzieliście?

Wszyscy pokręcili głowami.

- Tylko Paweł to zauważył - powiedział Lewicki. - Ma oko.

- Jeszcze raz poproszę. - W głosie Nęckiego wyczuć można było zadowolenie. Obraz został cofnięty. - Teraz powoli.

Obraz cmentarza przesuwiał się przed nimi bardzo wolno.

- Stop - zarządził Nęcki. - Proszę spojrzeć tutaj.

Pokazał czubkiem ołówka jedno z drzew na ekranie i dopiero teraz, pochylając się lekko i przytulając do bezbronnej Joanny, Hagen zauważył, o co mu chodziło. Pień znajdujący się dość daleko od operatora był dziwnie zniekształcony. Ukrywał się

za nim człowiek, który wyglądał zza niego, samemu nie chcąc być widzianym.

- Puśćmy to znowu. - W głosie Nęckiego wyczuwało się lekkie napięcie. Była to w końcu jego wielka chwila, przez moment był panem ich niepodzielnej uwagi.

Znowu przed ich oczami zaczęła przesuwać się panorama cmentarza, ale teraz, kiedy wiedzieli, na co patrzeć, z łatwością odnaleźli ukrytą za drzewem sylwetkę, która w trakcie przejazdu kamery poruszyła się kilkakrotnie, a pod koniec zniknęła całkowicie za pniem.

- Nie chciał się pokazać, skubany - mruknął komisarz.

- Powiększyliśmy obraz, ale od razu muszę uprzedzić, że cyfrowa kamera ma niezbyt dużą zdolność rozdzielczą, a on był dość daleko. To jest najlepsze ujęcie, jakie znaleźliśmy, poprawione i wyostrzone w Photoshopie. Więcej nie możemy zrobić - oświadczył technik.

Otworzył nowe okno na ekranie i pojawiło się w nim rozmazane zdjęcie. Można było odróżnić pień drzewa i zarys człowieka, jaśniejszą plamę twarzy, ale rysy zniknęły całkowicie w prostokątnych plamach.

- Tak jesteśmy blisko! - powiedział Hołownia, prostując się. - Ale wciąż nam się wymyka.

Wszyscy odwrócili się od ekranu, na którym znowu biegły kadry filmu.

- Myśli pan, że to on? - zapytała Joanna, odwracając się tak, że stanęła twarzą do Hagena i oparła się lekko o niego albo tak mu się tylko wydawało. Patrzyła w bok na komisarza i on też spojrzął w jego kierunku.

- Ktoś ukrywał się na cmentarzu zamkniętym od rana, albo raczej nieotwartym po nocy, i zza drzewa przyglądał się ceremonii. Widzieliśmy, że nie był to żaden ciekawski dzieciak.

- To prawda - odparła Anna. - Mnie też zdawało się, że to był dorosły mężczyzna, niemniej istnieje możliwość, że ktoś podkraść się po prostu z ciekawości.

- Zaraz, chwileczkę - powiedziała Sylwia. - Przecież on tego dnia dzwonił do nas z Lublina.

- No dzwonił, faktycznie. - Komisarz był przez chwilę zbity z tropu. - O której dzwonił? - zapytał po chwili, oczekując, że ktoś będzie pamiętał.

- O trzynastej pięćdziesiąt siedem - poinformował Nęcki.

Hagen spojrzał ponad Joanną na cyferki biegnące na ekranie.

- Te zdjęcia kręcono o jedenastej trzydzieści dziewięć. Mógł zdążyć? - spytał.

- Mógł - odpowiedział komisarz.

W pokoju wywiązała się dyskusja i jedni potwierdzali, a inni podważali opinię Hołowni. Hagen, udając, że ogląda coś bardzo ciekawego, pochylił się lekko w stronę monitora. W półmroku laboratorium byli nagle tylko we dwoje. Stali tak, jakby tańczyli jakiś wyjątkowo powolny taniec. Czuł z tyłu obecność innych osób stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, napierających na niego lekko, i poddawał się im, przytulając się do pani prokurator. Przypomniały mu się chwile sprzed wielu lat, kiedy jeździł do szkoły zatłoczonym do nieprawdopodobieństwa autobusem i jeżeli dopisało szczęście, to można było przeżyć podczas drogi wiele przyjemnych momentów, które nauka określa niezbyt udułnym słowem „ocieractwo”. Joanna nie odsuwała się, zresztą nie miała dokąd, za nią było oparcie krzesła technika. Patrzyła w bok, słuchając dyskutujących współpracowników. Jego dłoń powędrowała mimochodem za jej plecy, aby objąć ją w talii, kiedy coś w obrazie, w który trochę

bezmyślnie się wpatrywał, przykuło jego uwagę.

- Niech pan zatrzyma - powiedział głośno, przesuając się lekko do przodu i kładąc dłoń na ramieniu technika.

Joanna zachwiała się i podtrzymał ją, obejmując w talii i przyciskając do siebie. Nie odsunęła się, patrzyła na ekran komputera, na którym zamarł lekko rozmazany obraz.

- Proszę cofnąć jakieś trzydzieści sekund - sprecyzował.

Jednocześnie jakiś dodatkowy zmysł mówił mu, że ich kole-dzy, stojąc z twarzami zwróconymi w stronę monitora, nie wi-dzą jego ręki obejmującej Joannę, i nie opuszczał jej. Na ekra-nie widać teraz było idących powoli uczestników pogrzebu, wracających od grobu, rozmawiających w małych grupach.

- Tutaj - powiedział Hagen, pochylając się mocno do przo-du i stukając palcem w ekran.

- O kurcze - skomentował ktoś z tyłu.

Na skraju ekranu widać było niewielką sylwetkę człowieka odchodzącego szybko między grobami, mniej więcej prostopa-dle do linii, w jakiej poruszali się żałobnicy. Po chwili zniknął między pniami drzew.

- Punkt dla inspektora - oświadczyła Joanna.

W półmroku ścisnęła go lekko za ramię. Puścił ją natych-miast. Teraz on był ośrodkiem zainteresowania.

- Cholera jasna, tego kawałka nie oglądaliśmy już specjal-nie uważnie, to ostatnie dwie minuty filmu - powiedział Lewic-ki z podziwem. - Że też pan to wypatrzył.

Wśród pomruków pochwały, uśmiechając się lekko, spojrzął w dół na Joannę i napotkał jej wzrok. Jej oczy zdawały się świecić w

półmroku jak dwa wielkie szafiry i to lśniące spojrzenie było tak dziwne, że na moment przymknął oczy, a kiedy je otworzył, patrzyła już w stronę komisarza, który zapraszał ich z powrotem do gabinetu. Jednocześnie Lewicki mówił technikowi, żeby wydrukował powiększenie tajemniczej sylwetki. To musiał być odbłask ekranu komputera, pomyślał, ale pozostało w nim dziwne uczucie dotknięcia czegoś nieznanego. Przepuścił ją przodem. Sekundy wcześniej zdawała się dosłownie i w przenośni na wyciągnięcie ręki, rozpoznawał nieomylnie tę specyficzną uległość kobiecego ciała poddającego się jego ramionom, a teraz patrzył na nią, jakby ją widział pierwszy raz. To świetliste spojrzenie przejęło go dziwnym i niewytłumaczalnym chłodem. Głupieję, powiedział sobie w myślach, żeby otrząsnąć się z tego wrażenia. Od tych diabłów i aniołów głupieję do reszty. Pokręcił głową zirytowany swoimi przywidzeniami. Wszyscy wokół rozmawiali głośno. Widać było, że to, co zobaczyli, napawało ich dodatkowym optymizmem. Ich przeciwnik, kimkolwiek był, przestał być zupełnie anonimowy. Za zmienionym głosem w aparacie telefonicznym i wyklejanymi anonimami dostrzegli sylwetkę człowieka z krwi i kości. Niewyraźną i zamazaną z powodu odległości, ale jakże bardziej teraz realną i namacalną. Poczuli wreszcie, że ta gra może się zakończyć zwycięstwem.

Popołudnie umykało szybko na pisaniu raportów i zamiejscowych rozmowach z różnymi specjalistami z zagranicy, którzy pragnęli podzielić się z nimi swoją opinią na temat sprawy lub zostali wcześniej o nią poproszeni.

- Dobrze pan mówi po angielsku - pochwalił go Hołownia po pierwszym telefonie z USA. - I po niemiecku! - Jego podziw był autentyczny.

Hagen, odkładając słuchawkę po rozmowie ze specjalistą do spraw sekt z policji z Hamburga, uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. Zdumienie komisarza sięgnęło jednak zenitu, kiedy kilkanaście minut później płynną francuszczyzną udzielał informacji znajomemu z Europolu z Brukseli.

- Zna pan biegle trzy języki? - zapytał po zakończeniu przez Hagena ostatniej rozmowy.

- Mam wrodzoną łatwość nauki języków obcych. Nic na to nie poradzę. Kilka miesięcy w jakimś kraju i już mówię dosyć swobodnie. Potem oczywiście sporo zapominam.

- Zna pan jeszcze jakieś inne? - W głosie Hołowni po-brzmiewało niedowierzenie.

- Tak raczej użytkowo, wie pan, o filozofii bym sobie nie podyskutował. Włoski, hiszpański, flamandzki. No i rosyjski oczywiście, ale ten wszyscy trochę znamy.

- No, nie wszyscy - odparł komisarz. - Ja na przykład jestem wybitnym antytalentem językowym. W szkole - dramat. Teraz mieliśmy kursy angielskiego dla wyższych oficerów... Nie chce pan nawet wiedzieć, jak to wyglądało.

- Trochę wiem. Jak pan myśli, komisarzu, dlaczego to akurat mnie wysłali do Brukseli? Przecież nie za piękne oczy.

- Co, w komendzie głównej tacy sami ludzie jak tutaj?

- Tacy sami. Wie pan przecież, że kiedyś nikt się nie przejmował w policji znajomością języków. Prezydentowi czy premierowi można dawać tłumacza do każdej rozmowy, ale tam w Europolu, jako łącznik, to właściwie nic innego pan nie

robi, tylko rozmowy, rozmowy, negocjacje.

- Czemu pan wrócił?

Hagen zamyślił się na chwilę. Patrzył na Hołownię i zastanawiał się, ile komisarz może wiedzieć. W Warszawie cała afera z Claire i amerykańskim wywiadem była tajemnicą poliszy-nela. Tutaj jednak...

- Z powodów osobistych, tak bym to ujął. Zresztą, jak pan wie, nie ma ludzi niezastąpionych. Komisarz Wójcik, który wyjechał na moje miejsce, mówi dobrze po angielsku i na pewno mu to wystarczy.

- Jasne. - Komisarz przyglądał mu się spod oka. - A jakie tam zarobki, dobrze płacą w Unii?

- Lepiej niż tutaj. - Hagen uśmiechnął się. - Ale tam nie ma mazowieckich wierzb.

- No tak, wierzby są ważne, wiem coś o tym - mruknął komisarz, wracając z powrotem do swoich papierów.

Kilka godzin później, kiedy siedział już sam w pokoju, bo współlokator zakończył pracę na ten dzień, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział, nie odrywając wzroku od raportu dla nadkomisarza.

Do pokoju weszła Sylwia i zamknęła za sobą drzwi.

- Czy można, panie inspektorze?

Spojrzał na nią spod oka i zaraz odwrócił się w jej stronę na obrotowym krześle. Sylwia, która na co dzień miała raczej błądą karnację, była teraz zarumieniona jak na pierwszej randce, a jej oczy błyszczały rozgorączkowane.

- Proszę siadać. - Wskazał jedno z krzeseł pozostałych po ich małej naradzie tego ranka. - Czy coś się stało?

Patrzyła na niego przez chwilę, nic nie mówiąc, wreszcie położyła na stole trzymane przy piersi dokumenty i wyrównała je delikatnym ruchem.

- Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o tych połączeniach telefonicznych biskupa z Akademią Rolniczą i Akademią Medyczną?

Hagen skinął głową.

- Sprawdziłam wtedy wszystkie dane, ale nic nie udało mi się uzyskać. Muszę powiedzieć, że było to bardzo frustrujące. Miałam wrażenie, że pan przykłada dużą wagę do tego tropu...

- Jej spojrzenie było pytające i nie pozostało mu nic innego, jak znowu potwierdzić skinieniem głowy. - Skoro nie udało mi się tutaj, pomyślałam, to może gdzie indziej. Wie pan, jak to jest w przysłowiu, gdzie diabeł nie może, tam babę pośle...

Teraz Hagen się uśmiechnął. Ten diabeł, z którym mieli do czynienia, używał bardziej bezwzględnych posłanników niż Sylwia, która, może z powodu dziewczęcego wyglądu, a może ze względu na wyczuwalną aurę łagodności i nieśmiałości, bardziej kojarzyła mu się z egzaminowaniem dzieci na kartę rowerową niż z łapaniem psychopatycznych morderców.

- Zabrałam sobie te dokumenty do domu i studiowałam je wieczorami. - Klepnęła plik papierów leżących na biurku, a Hagen zauważył, że ma krótko obcięte, niepomalowane paznokcie.

- I?

- I nagle mnie olśniło. Dzisiaj, jak wracaliśmy z laboratorium, coś mi przyszło do głowy. Chodzi o dokumenty finansowe biskupa. Zwrócił pan uwagę na regularnie powtarzające się wypłaty w dniach od jedenastego do czternastego każdego miesiąca. Były to różne kwoty, zwykle oscylowały wokół siedmiuset, dziewięciuset złotych. Paweł sprawdzał je, ale nie udało

mu się znaleźć żadnej korelacji z innymi płatnościami. Dzisiaj na schodach przyszło mi do głowy, że taką regularną płatnością, mniej więcej podobnej wysokości, mogłyby być czynsz. Sama płaciłam czynsz piętnastego, kiedy wynajmowałam mieszkanie. Ale, pomyślałam zaraz - kontynuowała, widząc, że Hagen chce coś powiedzieć - przecież biskup miał czynsz opłacony przez kurię. Na początek postanowiłam sprawdzić, gdzie pobierał pieniądze. Pan dyrektor banku był bardzo chętny do współpracy i już po godzinie wiedziałam, że prawie wszystkich wypłat dokonał z bankomatu w holu oddziału, w którym miał konto, położonego zresztą blisko jego domu. Zakładając, że moja koncepcja była słuszna, pozostawały dwie możliwości. Albo przekazywał pieniądze do ręki domniemanemu wynajmującemu, i wtedy szukaj wiatru w polu, albo też wpłacał je na rachunek, a operacja z bankomatem miała służyć zatarcia drogi przepływu pieniędzy. Poprosiłam o zestaw wpłat na rachunki, dla ułatwienia w przedziale od pięciuset do tysiąca pięciuset złotych, dokonywanych w tym oddziale w dniach pobrania gotówki przez Wygnowskiego. To nie jest bardzo oblegana placówka, ale i tak dostałam te wszystkie papiery. - Wskazała na biurko. - Przystudiowałam to uważnie. Co miesiąc, oprócz stycznia, kiedy podjął pieniądze w Zamościu, tego samego dnia kiedy on pobierał pieniądze, ktoś wpłacał siedemset złotych na ten rachunek. - Podesunęła leżącą na wierzchu kartkę papieru.

Na wydruku podkreślony był wielocyfrowy numer konta w Banku Handlowym. Figurujące przy nim nazwisko nic mu nie mówiło. Obok widniał skreślony niebieskim atramentem dopisek *siódmy oddział w Warszawie, Kredytowa 27.*

- Ciekawy zbieg okoliczności - powiedział ostrożnie.

- Tak właśnie pomyślałam. Zrobiłam potem takie zestawienie, tabelkę, proszę bardzo... - Podała mu drugą kartkę, gdzie w pionie wypisane były nazwy miesięcy, a obok w dwóch kolumnach godziny wypłaty z bankomatu i wpłaty na tajemnicze konto. Przebiegł je wzrokiem, czując narastające podniecenie. - Największa różnica pomiędzy wypłatą i wpłatą wynosi dwadzieścia minut. Musiała wtedy być spora kolejka - powiedziała cicho. - Ale martwił mnie jeszcze ten styczeń. Zadzwończyłam razem z panem dyrektorem do Zamościa. Pan dyrektor zresztą bardzo zapalił się do roli detektywa, musi mieć tam strasznie nudną pracę. Udało nam się ustalić, że w tamtejszej filii w styczniu, dziesięć minut po wypłaceniu dziewięciuset złotych z bankomatu przez biskupa dokonano przelewu siedmiuset złotych na to samo konto. - Przerwała na chwilę, jakby czekając, aż jej słowa dobrze zapadną zwierzchnikowi w pamięć. Odchyliła się na krześle i lekko rozluźniła. - Mamy jakąś nić, która miała pozostać niewidoczna dla zewnętrznego obserwatora. Potrzebne byłoby śledztwo zakrojone na taką skalę jak nasze, żeby ktokolwiek mógł połączyć te fakty.

Hagen jeszcze raz przebiegł oczami kolumny liczb i rzędy cyferek. Wszystko wydawało się w porządku, nie potrafił znaleźć błędu w rozumowaniu dowodowym. Wstał i wyciągnął do niej rękę. Zaskoczona jego nagłym ruchem, podniosła się szybko i z lekkim ociąganiem podała mu dłoń. Uścisnął ją mocno.

- Gratuluję - powiedział. - To świetna dedukcja. Naprawdę. Nikt z nas na to nie wpadł, a pani rozgryzła to sama. I to w czasie wolnym - dodał, uśmiechając się. - To nasz jedyny alternatywny trop, nie łączący się z tym wariatem od telefonów.

Sylwia pokraśniała jeszcze bardziej od tych pochwał. Jak wyjdzie z gabinetu, to pomyślała, że ją tu molestowałem, przemknęło mu przez głowę i znowu się uśmiechnął samymi kącikami ust.

- Nie wierzy pan w naszego wariata? - zapytała, zbierając papiery.

- Sam nie wiem. Martwię się tylko, co będzie, jeżeli się okaże, że to jednak nie on. Wrócimy wtedy do punktu wyjścia, a raczej wrócilibyśmy, bo teraz dzięki pani mamy wreszcie coś jeszcze. Zaraz skontaktuję się z prokuraturą i zadzwonię do Warszawy, żeby chłopcy prześwietlili ten rachunek i jego właściciela, a panią proszę o zreferowanie całej sprawy jutro na porannej odprawie. Niech koledzy uczą się, jak kojarzyć fakty.

Sylwia wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi, nie wiedział, bardziej zadowolona czy speszona jego ostatnimi słowami. Zadzwonił do nadkomisarza do Warszawy, którego złapał w samochodzie w drodze do domu, i wymógł na nim obietnicę, że jutro z samego rana ich ludzie zabrają się do właściciela konta. Ponieważ bank na pewno będzie wymagał nakazu sądowego, Hagen musi go jak najszybciej dostarczyć. Pożegnał się i zadzwonił do prokuratury, ale tam zgłosił się tylko dyżurny. Prokurator Tarnawska była już poza biurem. Przerwał połączenie, znalazł w notesie numer i zadzwonił do niej na komórkę.

Był w świetnym nastroju. Późne popołudnie bądź jak kto woli - wczesny wieczór, spędził w kuchni, przygotowując sobie kolację. Teraz siedział przy stoliku, wdychając aromat duszonych pomidorów z cebulką, czosnkiem i bazylią, rozłożonych małowniczo na cienkich plastrach bakłażana króciutko podsmażonych na bardzo gorącej oliwie, i w oczekiwaniu na

pierwszy kęs wypił jeszcze jeden łyk chianti. Przekroił złocisty plaster, nagarnął na niego czerwonych mięsistych kawaleczków, wśród których połyskiwały kremowe cząstki cebuli, kiedy do kuchni weszła Ewa, z takim impetem, że dłoń zamarła mu w pół drogi do ust. Była wyraźnie wzburzona, w jej ciemnych oczach lśniły łzy, a włosy wydawały się bardziej gęste i kędzierzawe niż zwykle. Wyglądała pięknie.

- Co się... - zaczął, odkładając widelec.

- Boże, jaka jestem wściekła! - krzyknęła i uderzyła pięścią w stół. - A to świnią!

- Kto? Co się stało?

- Mogę? - zapytała i nie czekając na pozwolenie, wyciągnęła rękę, podniosła jego kieliszek do ust i wypila duszkiem do dna. Odstawiła go na stół i odsapnęła. Opadające jej na twarz loki podskoczyły od poddmuchu. Odgarnęła je dłonią. - Mogę jeszcze?

- Jasne.

Wstał szybko i nalał jej w swoim poprzednim kieliszku, a sobie w nowym. Butelkę postawił na stole. Wypiła połowę i opuściła kieliszek. Na wargach załśniła jej czerwona kropla, oblizwała ją jak kotka.

- Siadaj. - Podstawił jej krzesło.

Usiadła, ale zaraz zerwała się znowu i wypila kilka łyków. Dolał jej jeszcze wina. Usiadła znowu.

- Trochę mi już lepiej - powiedziała. - Dzięki.

Usiadł naprzeciwko niej, oparł łokcie na stole i splótł dłonie nad parującym talerzem. Zapach bazylii i czosnku owionął go znowu, przypominając, że nie jadł tego dnia nic konkretnego.

- Co się stało? - powtórzył pytanie.

Odstawiła kieliszek na stół.

- Pamiętasz naszą rozmowę o magisterce?

- Jasne.

- Byłam teraz na spotkaniu z docentem Twerskim od malarstwa nowoczesnego, który mógłby być moim opiekunem, jeżeli zdecydowałabym się pisać o Klee. Umówił się ze mną w restauracji na starym mieście, w dziekanacie nie miał czasu. Dobrze, myślę sobie, zajęty człowiek, nie będę mu przeszkadzać. Spotkaliśmy się tam w takiej piwniczce, był bardzo szarmancki, zaproponował, żebyśmy się napili wina, powiedział, że pamięta mnie ze swoich seminariów o ekspresjonistach, Bauhausie i abstrakcji. No to ja mu powiedziałam, że to były bardzo ciekawe zajęcia, bo faktycznie nie były złe. - Napila się znowu. - I tak sobie porozmawialiśmy, a to o czym ja bym chciała pisać, co on by widział, jakie ujęcie tematu byłoby ciekawe, a jakie wtórne i że to jest bardzo dobry pomysł, że razem możemy wypracować taki *modus vivendi*, który zaowocuje wspaniałymi recenzjami, bo on ma znakomite układy z całym gronem profesorskim. - Zmarszczyła śmiesznie nos, przypominając sobie jakieś szczegóły. Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała Hagenowi prosto w oczy. - Długo rozmawialiśmy, z czego większość czasu on mówił o sobie. Jaką ma dobrą pozycję na uczelni, jak to rektor jest jego świetnym znajomym. Potem powiedział mi, że właśnie zakładają z żoną sprawę o separację, bo na takiej uczelni jak nasza rozwód byłby źle widziany, i pytał mnie, co ja sądzę o jego sytuacji domowej. Wreszcie jak wypiliśmy, a właściwie on wypił prawie dwie butelki wina, zaczął twierdzić, trochę już bełkotliwie, że będę jego najpiękniejszą absolwentką, że ze wszystkimi innymi potrafił świetnie się porozumieć i zawsze współpraca układała się doskonale, ku

obopólnemu zadowoleniu. Zaczął mnie głaskać po włosach i po twarzy, o tak. - Pochyliła się nagle do Hagena i przejechała mu dłonią po policzku w pieśczośliwym geście. - A potem zaczął się przyglądać moim piersiom i pytać, czy rzeczywiście są prawdziwe, czy to jednak jest silikon i że musi sprawdzić, i nagle złapał mnie za biust...

Wypiła do dna resztę wina i zamilkła na chwilę.

- I co, tak mu pozwoliłaś?

- W mordę mu nie dałam - przyznała po chwili. - Zerwałam się na równe nogi, powiedziałam mu, że zachowuje się poniżej wszelkiej krytyki.

- A on co na to?

- Żeby nie udawała takiej świętej Teresy, bo on nas wszystkie dobrze zna, studenckie cichodajki. Ja mu na to, że jest chamem i nie mam zamiaru mieć z nim więcej do czynienia. Zabrałam się i wyszłam.

Zapadła chwila ciszy, podczas której mierzyli się wzrokiem ponad stołem. Wreszcie Hagen opuścił oczy na talerz, teraz lekko już przestygłych warzyw i nabrał ponownie kopiasty widelec.

- Jak powiedziałaś, on się nazywa? - zapytał niewinnym tonem, zaczynając jeść.

- Docent Twe... - zaczęła machinalnie, ale przerwała w pół słowa. - Hola, hola, a co to pan sąsiad kombinuje?

- Ja? Nic. Zupełnie nic - odparł Hagen, połknąwszy kolejny kęs. Nazwisko docenta odnotował sobie w pamięci.

- Niech no pan inspektor nie wtrąca się w nie swoje sprawy - powiedziała wojowniczo, potrząsając grzywą włosów.

- W życiu. Gdzieżbym tam ja, skromny łaps, wtrącał się w życie naukowe tak szanowanej placówki. Może coś do zjedzenia?

Pochyliła się w jego stronę i wciągnęła zapach, łakomie, jak zwierzątko.

- Umm... Pachnie ekstra! Co to jest?

Wy tłumaczył jej i podgrzał pozostałą porcję. Spróbowała i przewróciła oczami w wyrazie ekstazy.

- Re-we-la-cja - powiedziała. - Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że starsi panowie karmią mnie dobrymi rzeczami.

- A co, dobrze dają jeść w tym lochu, gdzie byliście?

- Nie wiem, nic tam nie jadłam, zbyt byłam przejęta. Mówię o tym, co jest tutaj.

Do kuchni weszła Agnieszka i cała historia została opowiedziana od nowa, a Hagen nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerkać na jedną z omawianych kwestii. Pochwyciła raz jego spojrzenie i pełen poczucia winy wbił oczy w talerz.

- A to bydlak! - powiedziała na koniec Agnieszka. - Mam nadzieje, że tak tego nie zostawisz.

- A co ja mogę zrobić? Nikt nas nie widział, nie słyszał, jego słowo przeciw memu. Akurat jest mi teraz potrzebna afery o molestowanie seksualne i to jeszcze na KUL-u, kiedy chcę napisać pracę, obronić się i mieć to wszystko z głowy. Machnęłam ręką na abstrakcjonizm i mam zamiar zabrać się do ikon.

Ponarzekały obie na ogólną beznadziejność cechującą ród męski, czego wysłuchał bez jednego słowa sprzeciwu, a potem Agnieszka wyszła i zostali znowu sami.

- A więc postanowione? - zapytał.

- Co masz na myśli?

- Ikony.

- No właściwie tak. Szczerze powiedziawszy, wahałam się do ostatka, ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Zresztą,

czy to nie wszystko jedno, z czego napisze się pracę magisterską?

- Wszystko jedno - zgodził się.

Wyglądało na to, że dwa razy opowiedziana historia wyczerpała jej zasoby złości. Wino i kolacja pewnie też zrobiły swoje.

- Masz jakieś plany na wieczór? - zapytał, rzuciwszy okiem na zegarek.

- Nie. - Pokręciła zdecydowanie głową, może nawet z pewną przesadą. Włosy zasypały jej twarz, dmuchnęła na nie z irytacją. - Jestem do wzięcia.

- Poczekaj chwilę.

Wyszedł do swojego pokoju i zadzwonił do księdza Piotrowskiego. Ksiądz Leon skończył właśnie wieczorne nabożeństwo i, jak się wyraził, chętnie zobaczy jakiś promyk światła w swojej mrocznej samotni. Odnosiło się to do zapowiedzi przyrowadzenia do niego młodej i pięknej studentki zainteresowanej starymi ikonami.

Wyszli razem, odprowadzeni ciekawym spojrzeniem Agnieszki, stojącej w drzwiach swego pokoju. Nie uprzedził Ewy, dokąd jadą, i kiedy wysiedli na podjeździe przy kościele, rozglądała się wokół ciekawie. Znowu szli ciemnym dziedzińcem, ale jej obecność sprawiała, że mrok był mniej gęsty, a z powietrza zniknęły zapach tajemnicy.

Ksiądz otworzył im od razu po pierwszym puknięciu w drzwi, jakby czekał tam na nich od dłuższego czasu.

- Niech będzie pochwalony - powiedział Hagen, trochę niespodziewanie dla samego siebie, przestępując próg.

- Na wieki wieków. Zdejmijcie państwo płaszcze, proszę. Napaliłem w piecu i w pokoju zrobiło się gorąco jak w Afryce.

Hagen przedstawił ich sobie wzajemnie, a gospodarz zabrał ich okrycia. Ewa, poza przywitaniem się, nie powiedziała dotąd ani słowa, ale pochwycił jej spojrzenie rzucone, trochę niepewnie, w jego stronę. Wyjaśnień zamierzał udzielić jej dopiero za chwilę.

- Proszę, proszę bardzo. - Ksiądz Leon wprowadził ich do pokoju, w którym Hagen siedział poprzednim razem. Na widok całej ściany zawieszonych ikonami twarz Ewy rozjaśniła się w uśmiechu zrozumienia. Hagen z grubsza wprowadził gospodarza w sprawę jej pracy magisterskiej, na co tamten pokiwał głową.

- Tak, tak. Od dawna myślałem, żeby zinwentaryzować i jakoś udokumentować to wszystko. I te ikony -wskazał na ścianę - i reszta powinny być obejrzone przez fachowca.

- Są jeszcze jakieś inne? - zapytała Ewa.

- O tak, nie mam tu miejsca na wszystkie, więc powiesiłem tylko te, które mi się najbardziej podobały. Resztę trzymam w takim zagraconym pokoju, dawnej służbowce tutejszej. W sumie będzie ich chyba z pięćdziesiąt.

- I nikt ich dotąd nie oglądał? Mam na myśli konserwatorów i historyków sztuki oczywiście.

- No jakoś tak się złożyło...

Ksiądz Leon poczęstował ich herbatą i usiedli przy stoliku. Ewa wysłuchiwała historii o dziadku gospodarza, tym razem w znacznie rozbudowanej wersji. Pytała o pochodzenie ikon, ale wiadomości na ten temat okazały się bardzo skąpe. Pewne było tylko to, że zanim przyjechał do Polski, przodek księdza prze-wędrował niemały szmat Rosji i Ukrainy.

- Nie wiem, może zbierał je cały czas, a może są tylko z ostatnich kilku wsi, w których się zatrzymał. Nie potrafię powiedzieć.

Na prośbę Ewy zapalili górne światło i kiedy oni oddawali się przyjemnościom podniebienia, studiowała dokładnie kolejne deski.

- Na pewno wymagają starannej renowacji - powiedziała, nie odwracając głowy, a ksiądz Leon, słysząc to, uśmiechnął się przepraszająco do inspektora. - Wydaje mi się też, że przynajmniej niektóre są naprawdę stare... Jak stare, będzie można powiedzieć po dokładnej analizie.

Potem razem z księdzem poszła do służbówki zobaczyć resztę obrazów. Hagen nalał sobie drugą szklanekę herbaty, dołożył konfitur i w ciszy przerywanej tylko stłumionymi odgłosami rozmowy toczącej się gdzieś w odległym zakątku domu kontemplował wydarzenia minionego dnia. Po dłuższej chwili byli z powrotem. Ewa oświadczyła, że jest tu materiał nie tylko na pracę magisterską, ale pewnie i na doktorat, i habilitację. Oczywiście jej błyszczały, na policzkach miała rumieńce, które Hagen przypisał winu i rozgrzanemu piecowi. Ksiądz Leon patrzył na nią z uśmiechem.

- To tak miło - powiedział, gdy się zegnali – kiedy w domu takiego samotnika pojawiają się młodzi ludzie. Mam wrażenie, że nawet powietrze staje się naładowane energią. To dodaje sił.

Po wyjściu na chłodne powietrze dziedzińca przez chwilę szli w milczeniu. Nagle Ewa złapała go za rękę i pocałowała w policzek. Zaskoczony spojrzał na nią. W mroku zobaczył jej szeroko otwarte oczy i biały uśmiech.

- Wiesz, co tam znalazłam?

- Nie mam pojęcia. - Uśmiechnął się, bo w jej głosie było tyle hamowanego entuzjazmu i radości, że wystarczyłoby dla dziesięciu zgorzkniałych policjantów.

- Wydaje mi się... - Zatrzymała się i obróciła go twarzą do siebie. - Wydaje mi się, powtarzam, nie jestem pewna, że tam

w pokoju, w tym składziku, jest jedna zakurzona, ale niezbyt zniszczona ikona we wczesnym stylu bizantyjskim albo wręcz pochodząca z Konstantynopola! - Ostatnie słowa niemal wykrzyknęła i teraz zasłoniła usta ręką, rozejrzała się dookoła. Pustka październikowego wieczoru otaczała ich wilgotnym chłodem. W oddali słychać było szum samochodów. Roześmiała się, wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę samochodu.

- To wszystko są stare ikony, o różnej wartości artystycznej. Głównie dziewiętnasty, osiemnasty wiek, ale są co najmniej dwie starsze, sądzę, że z ikonostasów jakichś sporych świątyń, bo są naprawdę dobrze namalowane. Ale ta jedna... To może być ktoś z uczniów Teofana Greka, może ktoś z jego kręgu, ale delikatność rysunku i kolorystyka... Aż mi się nie chce wierzyć... Gdyby to było to, co podejrzewam, to byłby jedyny taki egzemplarz w Polsce. Jeden z niewielu w Europie! Boże, jaka jestem podniecona...

Wsiadli do samochodu, włączył silnik, zapalił światła i powoli zawrócił na wąskim podjeździe. Ewa siedziała obok niego, milcząca teraz i zamyślona. Paznokcie jej szczupłej dłoni wybijały jakiś niespokojny rytm na osłonie poduszki powietrznej pasażera.

- Jeżeli się nie mylę i moje podejrzenia się potwierdzą - odezwała się nagle - będzie to największa sensacja od czasu odnalezienia obrazu El Greca na tej wiejskiej parafii.

- Biedny ksiądz Leon - odparł Hagen. - Ciekawe, skąd weźmie na ubezpieczenie tego obrazu, jak go już objawisz światu.

Spojrzała na niego z ukosa, ale zaraz roześmiała się znowu. Po niedawnym wzburzeniu nie został nawet ślad, jej śmiech

był szczery, zaraźliwy i Hagen, sam nie wiedząc kiedy, też zaczął się śmiać.

- Nie żałujesz już swoich dywanów?

- Ależ skąd. Miałaś wspaniały pomysł, żeby mnie tu zabrać. Ten zbiór to marzenie każdego historyka sztuki i antykwariusza. Niepewnego pochodzenia, dzieła wysokiej i co najmniej przyzwoitej klasy, zupełnie nieznane na rynku! W prasie fachowej będzie się o nich pisać i pisać. Takiej klasy zbioru nie ma chyba żadne muzeum w Polsce. I to wszystko moje! Umówiłam się z księdzem Piotrowskim, że pozostawi mi opracowanie materiału na wyłączność. Pan docent niech się pocałuje w...

Przerwała na chwilę, a potem odwróciła twarz w jego stronę.

- Tak się cieszę, że mnie do niego zabrałeś, że w ogóle pomyślałeś... - dodała ciszej. - Bardzo dziękuję. Nic lepszego nie mogło mnie dzisiaj spotkać.

Hagen dla odmiany wcale nie był pewien, czy dzisiejsza eskapada była dobrym pomysłem, ale postanowił nie dzielić się z nią chwilowo swoimi wątpliwościami. Święty spokój porządnego człowieka mógł zostać zmaćony raz na zawsze. Zbyt cenił ten element we własnym życiu, żeby tak beztrósco igrać z cudzym.

- Obiecay mi tylko - powiedział, kiedy wysiadali z samochodu - że na razie nikomu o tym nie opowiesz.

Spojrzała na niego trochę zdziwiona.

- No dobrze - zgodziła się bez przekonania.

- Paluszki do góry i przysięgamy.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. Bardzo cię proszę, przez kilka dni nikomu ani słowa. Wyrób sobie sama zdanie, z czym tak naprawdę masz do czynienia. Inaczej kolejny docent dobierze ci się do pracy.

Wymógł na niej wreszcie solenne przyrzeczenie, że nie będzie się chwalić nikomu do momentu, aż nabierze pewności co do jakości i pochodzenia dzieł, a szczególnie tego jednego.

- To będzie wymagało badań specjalistycznych - powiedziała. - Analizy spektrograficzne, C14, rentgen...

- Jasne. Pamiętaj tylko, że jeżeli dowie się o tym ktoś niepowołany, a nie sądzę, żeby wasze środowisko lepiej dotrzymywało tajemnicy zawodowej niż prokuratura, to ta ikona, razem z innymi, zniknie na zawsze i jeszcze ksiądz Leon oberwie po głowie.

Ten argument przemówił chyba do jej rozgorączkowanej wyobraźni.

- Jakoś to załatwię. - Machnęła ręką. - W końcu tam pracują mężczyźni.

- To wyjaśnia twój optymizm. - Uśmiechnął się. - Dobranoc i wielkich snów.

Obróciła się w drzwiach, oparta o framugę. Patrząc z ciemnego korytarza, widział jej profil na tle wypełnionego światłem pokoju, jak wycięty z czarnego papieru przez przedwojennego jarmarcznego artystę. Leciutko zadarty nos, pełne usta, smukła szyja, strome piersi...

- Dobranoc - rzuciła w ciemność, gdzie majaczyła sylwetka Hageny, i powolnym ruchem zamknęła drzwi.

Cały następny ranek po odprawie, na której zabłysła wreszcie pełnym blaskiem gwiazda aspirantki Sobczuk, upłynął mu na porządkowaniu papierów, piętrzących się barwnymi pryzmami segregatorów i kartonowych teczek wypchanych dokumentami jak nowe sienniki trawą. Zwalił je wszystkie na duży wózek i dyżurny wywiózł cały ładunek do podręcznego archiwum, które Nęcki zaczął tworzyć w dawnym pokoju związków zawodowych. Przekopując się przez dokumentację, cały czas czekał na telefon z Warszawy. Znacznie później, niż przypuszczał, połączono go z nadkomisarzem.

- Nie pytaj, czemu dopiero teraz dzwonię - usłyszał zaraz na początku. - Zezwolenie sądu na ujawnienie danych bankowych otrzymaliśmy wczoraj późnym wieczorem faksem, więc chłopcy pojechali do banku z samego rana. Ale dyrektorzy nie przychodzą tak wcześnie do pracy, a potem mają ważne narady, powiem ci tylko tyle, że musiałem zadzwonić w trzy miejsca, żeby facet zrozumiał, że to nie zabawa. Potem próbowali zakwestionować ważność faksu i właściwie mogliby wygrać z nami w sądzie, muszę ci powiedzieć, że ten ich radca prawny to bezczelne bydlę. Na szczęście wtedy, jak diabeł z pudełka, pojawiła się prokurator z oryginałem, bo ktoś w tej waszej

prokuraturze pomyślał, żeby go wysłać kurierem. Na to im już rura zmiękła i dostaliśmy wszystkie dane rzeczonoj osoby. Pod domowym numerem telefonu nikogo nie było, na szczęście do karty kredytowej miał podaną komórkę. Pracuje, jak się okazało, w dużej firmie, zajmującej się, zauważ, nieruchomościami, więc jak go zapytaliśmy, czy wolałby się z nami spotkać na mieście, czy mamy przysłać mundurowych do biura, to zaraz się z nami umówił, chociaż najpierw był bardzo zajęty. Sam z nim rozmawiałem, uważasz - zaznaczył nadkomisarz, żeby Hagen dobrze pojął, jak daleko posuniętą pomoc mu zaoferowano. - Najpierw uspokoiłem go, bo był trochę roztrzęsiony, że nie mamy do niego żadnych konkretnych zarzutów i nie jesteśmy urzędem skarbowym, ale za to oczekujemy pełnej i lojalnej współpracy. Następnie zapytałem, czy otrzymuje regularne wpłaty z Lublina na swoje konto w wysokości siedmiuset złotych miesięcznie. Najpierw wahał się chwilę i próbował się wymigiwać, ale przycisnęliśmy go wyciągiem z banku i wtedy już chyba całkiem się otworzył. Tak, powiada, otrzymuje takie przekazy od pana Wygnowskiego z Lublina, który odpowiedział na jego ogłoszenie o wynajmie mieszkania. Zatem, pytam, są to opłaty za czynsz? Za czynsz, mówi on i spuszcza głowę. Tutaj bowiem dotknęliśmy bolesnego miejsca, jako że wynajem ów nie był zgłoszony do żadnego urzędu skarbowego ani do administracji, co ponoć bardzo odpowiadało najemcy, a na co on przystał z bólem swego profesjonalnego sumienia specjalisty od obrotu nieruchomościami. Oto adres tego lokum. - Nadkomisarz podał Hagenowi adres, który zaraz potem Nęcki zidentyfikował na ich ściennej mapie.

- Od kiedy mu to wynajmował?

- Otóż w pierwszej wersji od maja, ale po zaprezentowaniu drugiego zestawu wyciągów świadek przypomniał sobie, że jednak chyba od grudnia.

- Zatem prawie jedenaście miesięcy. Czy widział tam kiedykolwiek kogoś innego oprócz Wygnowskiego?

- Nie. A samego najemcę widział tylko raz, kiedy oglądali mieszkanie. Dobili targu, spisał jego dane z dowodu osobistego, przekazał klucze i tyle.

- Zorientował się, kim był jego klient?

- Jeżeli nawet tak, to musimy przyjąć za prawdziwe jego twierdzenie, że nie wiedział, ponieważ nie mamy żadnego wyciągu, żeby go z nim skonfrontować.

- Fakt faktem, że ja na przykład nie mam pojęcia, jak się nazywają ani jak wyglądają biskupi w mojej diecezji. Miał prawo go nie znać.

- Miał. Cały zapis rozmowy prześlemy do was dzisiaj, teraz chciałem ci przekazać najważniejsze fakty.

- Jasne. Dziękuję za osobiste zaangażowanie w sprawę.

- Nie ma o czym mówić. Teraz, kiedy już ją rozwiążecie, będę mógł powiedzieć z czystym sumieniem, że to dzięki mnie.

- Jak zawsze.

- Oczywiście. Sukcesy naszych podwładnych są naszymi sukcesami, porażki zaś są ich własnym problemem. Powodzenia.

Kilka minut później cała ekipa razem z ludźmi Lewickiego była gotowa do wyjazdu.

- Zabierzcie chłopaków z prewencji - nastawał komendant, a kiedy Hołownia się ociągał i twierdził, że nie mają najmniejszego powodu spodziewać się tam jakiegoś oporu, zamknął mu usta, oświadczając, że nie życzy tu sobie mieć kolejnej Magdaleny.

Zatem pojechali w kilka samochodów. Na miejscu dogoniła ich Joanna z jeszcze gorącym nakazem sądowym.

- Podejrzewam, że sama je sobie wypisujesz - powiedział do niej Hagen cicho, kiedy szli w stronę wejścia do klatki schodowej zaniedbanego, czteropiętrowego bloku z końca lat osiemdziesiątych.

- Mam ich całą szufladę, ale nie mów nikomu.

- Dobrze. Gratulacje za tego kuriera do Warszawy, bardzo im się przydał.

- Nie ma o czym mówić.

Ściągnięty na miejsce dzielnicowy nie miał nic do powiedzenia na temat mieszkania ani jego lokatorów. Nie było żadnych wezwań ani powodów do interwencji - to wszystko, co od niego usłyszeli o numerze 17. Co innego - zapewniał ich, gdy stali w wejściu do budynku, czekając na dozorcę - gdyby zapytali go o numer 8. Wtedy, proszę bardzo, mógłby im opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami historię zamieszkującej go rodziny, obfitującą w skandale natury moralnej oraz finansowej. Dozorca również dysponował bardzo ograniczoną wiedzą.

- Zdaje się, wynajęte jest - powiedział, prowadząc ich na górę. Wynajmującego nigdy nie widział.

Zatrzymali się przed drzwiami. Żeby nie było tłoku na podeście, większość stała na schodach, rozmawiając półgłosem, a technik z laboratorium, uzbrojony w pęk kluczy przywiezionych specjalnym kurierem z Warszawy, zabrał się do zamków w asyście policjantów z prewencji z bronią i z wielkim młotem do wyłamywania zasuw. Kiedy tak stali, czekając na otwarcie drzwi, Hagen nie potrafił stłumić uczucia dziwnego podekscytowania, jakie odczuwać można, zasiadając do czytania czyichś

pamiętników bez wiedzy właściciela. Za chwilę mieli wejść do domu, który Wygnowski postanowił zachować w tajemnicy przed wszystkimi. Otworzą karty, które miały pozostać nieprzeczytane.

Po kilku minutach drzwi stanęły otworem. W środku nie było nikogo i mundurowi zajęli miejsce na dole schodów, a do mieszkania weszła ekipa dochodzeniowa. Nie mógł się oprzeć pokusie i pierwszy przekroczył próg. Wnętrze stanowiło duży kontrast z zaniedbaną klatką schodową czy tandetnymi, zniszczonymi drzwiami. Trzypokojowe, duże mieszkanie było świeżo odnowione, niedawno przeprowadzono w nim generalny remont. Na podłodze leżała miękka kremowa wykładzina, na ścianach położono drogą tapetę, w identycznym kremowym kolorze, o ewidentnie brytyjskiej proweniencji. Wszystkie drzwi, wykonane ze szlachetnego drewna, miały obrobione przez stolarza framugi. Łazienka wyłożona była czerwonawocielistym trawertynem, a jej dominujący akcent stanowiła wielka wanna odbijająca się w gładzi lustra zajmującego całą ścianę. Tam gdzie zazwyczaj byłby salon, czyli w największym pokoju, urządzona była sypialnia. Tak jak wanna w łazience, tutaj królowało olbrzymie łóże, jak to ujął Hołownia - trzyosobowe. Narzuta i zasłony, ciężkie, lejące się, były idealnie dopasowane kolorystycznie, z elementami ceglasto-kremowymi. Również tutaj jedna ściana pokryta była lustrami stanowiącymi drzwi szafy wbudowanej w ścianę. Założył rękawiczki i otworzył je po kolei, szafa była pusta. Na stoliku nocnym, jednym tylko, z lewej strony łóżka, stała mała lampka w stylu Tiffany'ego. Wystroju wnętrza dopełniały nowoczesne obrazy z aktami męskimi i żeńskimi wiszące na ścianach i dobrej jakości sprzęt grający, stojący w specjalnej szafce. Pilot do

wieży leżał na stoliku obok lampki. W pozostałych dwóch pokojach stało zgromadzone wyposażenie i umeblowanie pozostawione przez poprzedniego użytkownika, jak ocenił, warte mniej więcej tyle, co nowa tapeta na ścianach. Także niewielka kuchnia urządzona była całkowicie na nowo. Wyglądało zatem na to, że były tu trzy pomieszczenia odgrywające zwykle jakąś rolę w miłosnych rendez-vous. Sypialnia, łazienka i kuchnia. Widocznie nic więcej nie było potrzebne. Zajrzał do lodówki. Była pusta, tylko w pojemniku na drzwiach stała butelka białego wina Sauternes. Ktoś tu lubił bardzo dobre i bardzo drogie odmiany. Całe mieszkanie sprawiało wrażenie zupełnie sterylne, ogołocone ze wszystkich śladów ludzkiej bytności.

Otworzył szafkę nad kuchnią i uśmiechnął się. Ekskluzywna zastawa Rosenthala, którą można kupować na sztuki, tu dla dwóch osób. Kieliszki, srebrne sztuce w szufladzie, wszystko dla dwojga.

- Kosz na śmieci też jest pusty - powiedział Hołownia, opierając się o framugę. Widocznie komisarz zaczął zwiedzanie od odpadków. - Co pan o tym sadzi?

Hagen streścił pokrótce swoje wrażenia i wysnuł wniosek, który, jak mu się wydawało, narzucał się nieodparcie.

- Gniazdko, luksusowe gniazdko przeznaczone do miłości. Zrobione dla dwojga. Tak, aby wspólnie spędzony czas upłynął w możliwie sprzyjającym otoczeniu. Wszystko urządzone ze smakiem. To były pewnie nieliczne, kradzione godziny i chcieli, żeby były doskonałe. Tak mi się wydaje.

- To musiało kosztować sporo pieniędzy. - Gest Hołowni ogarnął całe mieszkanie. - Trzeba sprawdzić, czy widać to w wydatkach, w miesiącach zimowych, jak sądzę... Przepytamy

zresztą sąsiadów, to dowiemy się wszystkiego. Myśli pan więc, że to gniazdko miłości?

- Tak.

- Sam nie wiem... W końcu to biskup.

- W końcu to człowiek.

- Pewnie, ale... Jakoś mi się to wszystko nie bardzo układa. Biskup miałby tutaj garsonierę, tak?

- Chyba tak.

- Czemu zatem nie spotykali się u niej, zakładając, że jakaś kobieta istniała? Po co wydawać tyle pieniędzy?

- Nie mam pojęcia. Mogła być mężatką, bo ja wiem? Może mieszkała razem z kimś?

- A może to jednak jest jakaś pomyłka? Chociaż nie - zrelektował się komisarz. - Niby wszystko się zgadza. Cholera, jak nam to teraz pasuje do całego obrazka?

- Mamy po prostu drugi, równoległy ślad, który pewnie nigdzie nas nie zaprowadzi, a z drugiej strony, kto go tam wie? Może ten, co do nas dzwoni, to jest mąż tej jego tajemniczej przyjaciółki, któremu odbiło na tyle, że najpierw zabił Wygnowskiego, a teraz chce dalej mścić się na księżach za jej zdradę? Dopóki jej nie znajdziemy, nie wiemy nic.

- Mamy dwa tropy - powiedział Hołownia zamyślony. Jego zgięty palec wskazujący, obleczony w cienki lateks rękawiczki postukiwał w futrynę, jakby pukał do wrót tajemnicy. - Co pan na to, inspektorze, żebyśmy się trochę podzielili robotą? Ja bym wziął na siebie tego specja od telefonów, a pan poszedłby za tą damą?

- Bardzo dobry pomysł. - Hagen nie miał nic przeciwko pozostawieniu komisarzowi sławy pogromcy „zabójcy księży”, jak, nieco na wyrost, ochrzcili go już niektórzy. Znacznie bardziej interesujące wydawało mu się uzyskanie możliwości

wglądu w intymny świat księdza Rafała. Świat tak nagle przed nimi objawiony.

- Prosiłbym tylko o przydanie mi do pomocy aspirantki Sobczuk. Sądzę, że należy się jej możliwość kontynuowania tego, co tak pięknie zaczęła.

- Oczywiście. - Hołownia był zadowolony. Odpadały mu elementy śledztwa według niego drugorzędne i mógł całkowicie skupić się na głównym wątku. - Wracam do komendy, gdzie pan?

- Za chwilę. Porozmawiam z Sylwią i ustalę wszystko z panią prokurator.

Hołownia pożegnał się i Hagen przeszedł do sypialni, gdzie zbierano ślady linii papilarnych, a Sylwia przyglądała się obrazom na ścianie.

- Pani Sylwio - zaczął, a ona obróciła się do niego - właśnie na moją prośbę została pani oddelegowana do współpracy ze mną nad tym - wskazał dłonią na łóżko - wątkiem śledztwa.

Zauważył, że się ucieszyła, i zrobiło mu się przyjemnie, że ktoś ma ochotę z nim pracować. Był tu w końcu elementem przypadkowym i przejściowym, sukcesy odniesione pod jego kierownictwem nigdy nie będą miały tej wagi, co zapisane w pamięci miejscowych przełożonych.

- Znajdźmy panią prokurator i zastanówmy się, jak zlokalizować tę tajemniczą damę.

Joanna była w łazience, teraz całej posypanej białym proszkiem. Lewicki stał obok niej i rozmawiali o zbieranych właśnie odciskach.

- Tak, to istotnie ciekawe - mówił szef laboratorium, przyglądając się smugom na wannie i na kamiennym blacie, uwidocznionym przez techników. - Niech pan spojrzy, inspektorze, wygląda na to, że ktoś bardzo metodycznie zacierał wszystkie ślady. Wanna, blaty, lustra, wszystko zostało umyte

i odłuszczone. Poręcze, klamki, drzwi, sztućce wytarto, jak sędzę, szmatką z benzyną. Mamy tu kilka włókien. - Wskazał na małe torebeczki leżące w plastikowym pojemniku. - Jak dotąd znaleźliśmy jeden porządny odcisk palca, na pilocie do wieży, i jest to odcisk prawego kciuka biskupa. Ktoś wykonał ogromną pracę, ogołając to mieszkanie ze wszystkiego, co mogło mieć dla nas jakiegokolwiek znaczenie jako trop. Muszę powiedzieć, że tak systematycznego zacierania śladów jeszcze nie spotkałem w swojej karierze. Na łóżku nie ma pościeli, jak może widzieliście, pod narzutą jest tylko kołdra bez poszwy, brak też poszew na poduszki i prześcieradła. Na tym, co zostało, nie znaleźliśmy ani jednego włosa.

- Co z odkurzaczem? - spytała Sylwia.

- Pusty i czysty, jak nowy. No, jest nowy, to inna sprawa, ale na pewno był używany.

- Jak sobie poradziła z tymi włosami? - Hagen był pełen podziwu dla determinacji nieznannej im jeszcze kobiety.

- Sędzę, że za pomocą szerokiej taśmy samoprzylepnej. Zajmuje to trochę czasu, ale można oczyścić różne powierzchnie, szczególnie takie jak koce, dywany i narzuta.

- Konkretnie to ile to wielkie sprzątanie mogło trwać?

- Nie wiem dokładnie, ale zakładając, że jest sprawną i zdecydowaną osobą, sędzę, że wystarczyła jej jedna cała noc.

- Zatem możemy przyjąć, że kiedy dowiedziała się, że biskup jest martwy, przysłała tu i urządziła sobie sprzątanie życia.

- Jeżeli to nie ona go zabiła. - Sylwia poprawiła czepek chroniący jej włosy przed kontaktem z miejscem zbrodni. - Czy

sprawdzaliście, panowie, te pomieszczenia pod kątem ewentualnych plam krwi? Być może Wygnowski zginął tutaj, to znaczy został ogłuszony i potem przewieziony do Wólki.

- Nie, jeszcze nie zabieraliśmy się... Myśli pan, że to ma sens? - Lewicki ze swymi wątpliwościami zwracał się do Hage-
na, mimo że odpowiadał na pytanie Sylwii. - Wygnowski mógł zostać ogłuszony tutaj? Jeżeli dobrze pamiętam, to po wyjściu z seminarium wybierał się na jakieś przyjęcie urodzinowe czy coś takiego.

- To prawda, ale z drugiej strony, to właściwie nie mamy pojęcia, co robił i dokąd poszedł po pożegnaniu się z ojcem Dionizym. Zamyka za sobą drzwi seminarium i znika w ciemności, by wyłonić się z niej dwa dni potem w Wólce. Czarna dziura.

- Właśnie. Według mnie to sugeruje, że morderca zaskoczył go gdzieś niedaleko od seminarium. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby odbyło się to tutaj. Jesteśmy zupełnie po drugiej stronie miasta.

- Fakt. Niemniej trzeba wziąć pod uwagę wszystkie ewentualności. Tu Sylwia ma rację. Zresztą lokalizacja świadczy o tym, że chciał ukryć to swoje miejsce schadzki możliwie jak najdokładniej.

- Być może, być może... Ale jest równie prawdopodobne, że to była dogodna lokalizacja dla niej. Znajduje się, na przykład, na drodze między domem a pracą lub mniej więcej w okolicy. Jeżeli jest mężatką, niełatwo jej było wykraść te godziny na spotkania. - Joanna w zamyśleniu pocierała róg blatu.

- Zależy, jaką ma pracę - zauważyła Sylwia.

- No właśnie. - Hagen zatarł ręce. - Co nas sprowadza do naszych baranów. Sądzę, pani Sylwio, że będzie okazja do drugiego podejścia do naszej analizy telefonicznej.

- To znaczy? - zapytała Joanna.
- Mamy głos nagrany na komórce, to raz. Mamy długie godziny rozmów z zakładem, zakładem... Co to było?
- Zakład Fizjologii Kręgowców Akademii Rolniczej - odpowiedziała Sylwia.
- No właśnie, dziękuję, i z Akademią Medyczną. Naszym błędem było założenie, że ofiara rozmawiała z dwiema niezależnymi osobami w dwóch różnych miejscach. Jasne, że nie mogła pani tam nikogo pozytywnie zidentyfikować. Teraz trzeba szukać jednej postaci. Kogoś, kto pracuje w Akademii Rolniczej i współpracuje z Akademią Medyczną lub kogoś z Akademią Medyczną, kto w danym okresie miał powód, aby bywać wieczorami w zakładzie fizjologii. Tak czy owak to ten zakład naukowy stanowi klucz do rozwiązania naszej zagadki. Pozwala nam maksymalnie zawęzić poszukiwania. I w dodatku szukamy kobiety. Pozwoliłbym sobie na luksus zgadywania i dodał - ładnej kobiety. Co wy na to?
- Że też ja wtedy na to nie wpadłam... - Sylwia pokręciła głową z niedowierzaniem. - To się wydaje takie oczywiste.
- Teraz tak. Tydzień temu nie było jeszcze wystarczających przesłanek do takiego rozumowania.
- Sądzę, że to dobry plan. Tylko co zrobimy, jak już namierzemy jakąś podejrzaną? Nie mamy nic konkretnego na potwierdzenie naszych domysłów.
- No, tu bym się nie zgodził, Joasiu. - Lewicki, który z uwagą przysłuchiwał się ich rozmowie, włączył się do niej teraz. - Mamy to nagranie głosu. Jest bardzo dobrej jakości, myślę, że wynik analizy mógłby być dość przekonujący.
- Mało.

- Ślady zapachowe? - zasugerował Hagen.
- To się nie utrzyma. - Lewicki pokręcił głową.
- Zeznania sąsiadów? - Sylwia patrzyła na nich z nadzieją.
- Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi... To pewnie będzie duża szansa.

- Mąż, jeżeli ma męża? - Niepewność w głosie Joanny była łatwa do wychwycenia.

- Może nic nie wiedzieć chłopina. Tak to już jest, że mężowie dowiadują się zwykle ostatni - odparł Lewicki.

- Może tak, a może nie. Teoretycznie zarówno on, jeżeli istnieje, jak i ona są w ścisłym kręgu naszych podejrzanych. Sam fakt, że nie zgłosili się do tej pory, kwalifikuje się pod utrudnianie śledztwa. - Spojrzał z nadzieją na Joannę, ale ta zrobiła sceptyczną minę. - No dobrze, nawet jeżeli nie, to ona pracuje z kręgowcami niższymi, nie z prawnikami, i być może o tym nie wie.

- Oho, będziemy tu naginać prawo. - Lewicki się uśmiechnął.

- Sam się w tym gubię. - Hagen rozłożył ręce. - No dobrze, na nas już czas - zwrócił się do Sylwii. - Czeka na nas zoologia.

Zakład Fizjologii Kręgowców mieścił się w kompleksie budynków Akademii Rolniczej wzniesionym na przelomie wieków. Przyjechali tu, wstępując po drodze do mieszkania Sylwii, aby mogła zmienić mundur na coś mniej rzucającego się w oczy. Stali teraz pod drzwiami z napisem: *Prof. dr hab. Roman Garbacz, sekretariat kierownika.*

Hagen zapukał i weszli do środka.

- Dzień dobry - powiedział do starszej pani o potężnych gabarytach, zajmującej miejsce za biurkiem zawalonym stosami

papierów. Na tablicy magnetycznej za jej plecami przypięta była kartka podobna do tarczy strzelniczej, z podpisem *Likwidator stresu. Tu walić głową*. Kierownika zakładu nie zastali, udał się on bowiem, wraz z kilkoma osobami z personelu naukowego, na sympozjum do Barcelony i wraca do pracy dopiero w poniedziałek.

- Kto zastępuje pana profesora?

- A państwo właściwie w jakiej sprawie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie sekretarka.

Sylvia już zaczęła otwierać torebkę, żeby pokazać odznakę, kiedy Hagen łagodnie położył dłoń na jej palcach.

- Proszę być tak miłą i skontaktować nas z osobą, która zastępuje pana profesora. Nie chciałaby pani przecież, żeby musiał przerywać zjazd i wracać tylko dlatego, że nie była pani w stanie lub, co gorsza, nie chciała tego uczynić. - Łagodny ton głosu Hagena i spojrzenie skierowane prosto w oczy zrobiły swoje.

- No dobrze. - Wzruszyła lekko ramionami. - Pan docent Szczepański zawsze zastępuje pana profesora, kiedy ten wyjeżdża.

- Gdzie go znajdziemy?

- W tym samym korytarzu, trzecie drzwi na lewo.

Zastępca kierownika okazał się szczupłym mężczyzną w średnim wieku, z mocno szpakowatą bródką. Kiedy weszli, siedział za biurkiem, paląc fajkę, z nogami założonymi na blat, i czytał jakieś czasopismo naukowe. Spojrzał na nich znad krawędzi periodyku i widząc nieznane twarze, zdjął nogi ze stołu.

- Czym mogę służyć?

Hagen zamknął za sobą starannie drzwi, wyjął legitymację i podał ją siedzącemu.

- O, policja, komenda główna w Warszawie - skomentował Szczepański nieco zaskoczonym głosem, oddając legitymację. - Co państwa do nas sprowadza?

- Dla dobra śledztwa nie chciałbym się wdawać w niepotrzebne szczegóły - zaczął Hagen, kiedy usiedli na wskazanych przez gospodarza krzesłach. - Potrzebujemy od państwa pilnie następującej informacji: kto z waszych pracowników współpracuje lub pracuje dodatkowo w Akademii Medycznej lub czy ktoś z akademii dorywczo lub na stałe współpracuje z zakładem.

- No cóż. - Szczepański był chyba trochę zakłopotany. - Nie wiem, czy jestem upoważniony do udziela...

- To jest śledztwo w sprawie o poważne przestępstwo, panie docencie. - Przerwał mu Hagen. - Jeżeli pan sobie życzy, możemy pana poprosić do siedziby prokuratury - spojrzął na zegarek - za godzinę na przykład, gdzie złoży pan oficjalne zeznanie w charakterze świadka.

- Ja świadkiem? Ja nic nie wiem! - Szczepański o mało nie odgryzł cybucha fajki. - To jakiś absurd!

- Ależ wie pan wystarczająco dużo, żeby nam pomóc. By panu zaoszczędzić kłopotów, postanowiliśmy pana odwiedzić i nie zabierać niepotrzebnie czasu. Czy mógłby pan zatem odpowiedzieć na nasze pytanie?

- Niech mi pan da pomyśleć przez chwilę. - Docent zapatrzył się w sufit, a kłęby dymu wzniosły się w ślad za jego wzrokiem.

Spojrzeli na siebie z Sylwią. Być może byli o krok od rozwiązania zagadki uroczej garsoniery.

- Wydaje mi się - przemówił wreszcie Szczepański, obracając wzrok na rozmówców - że są co najmniej dwa projekty, jakie w tej chwili realizujemy wspólnie. Jeden prowadzony jest we współpracy z Zakładem Immunologii, a drugi z Katedrą

Radiologii i Medycyny Nuklearnej.

Szczepański podał cztery nazwiska osób zaangażowanych w projekty. Żadne z nich nie im nie mówiło. Gorzej, że wszystkie wymienione osoby były kobietami.

- Czy mógłby pan powiedzieć, na czym polegają oba projekty? - zapytała Sylwia.

Pan docent długo i zawile objaśniał im szczegóły techniczne.

- Zatem jeżeli dobrze zrozumiałam, wszystkie badania robione wspólnie z katedrą radiologii prowadzone są w ciągu dnia?

- Tak jest. Z pieniędzy z grantu wykupujemy czas na ich spektrofotometrycznie masowym. Nie ma takich pieniędzy, które by sprawiły, żeby te panie pracowały na dwie zmiany.

- A to drugie badanie?

- Immunologia? No tam to sprawa jest trochę inna. Jak się nastawi różne testy, to czasami trzeba siedzieć i po czterdzieści osiem godzin. Żeby było szybciej, część prowadzimy u nich, a część u nas. To pilny projekt w ramach współpracy europejskiej, finansowany z grantów koncernów farmaceutycznych, bardzo dla nas opłacalny.

- Kto bierze w nim udział z państwa strony? - spytał Hagen, mając nadzieję, że w jego głosie nie słyhać skrytego podniecenia.

- Nasz wkład koordynuje pani doktor Junak. Ona jest odpowiedzialna za zwierzęta hybrydowe i transgeniczne, a to jest właśnie nasza rola.

- Czy mogłabym prosić o dane pani doktor? - zapytała Sylwia.

- I wszystkich pozostałych, naturalnie - dodał Hagen.

Notowała szybko. Doktor nauk biologicznych Marta Junak-Rachwalska, telefon do domu, telefon do pracy.

- Bliższe dane uzyskacie państwo w sekretariacie.
- Oczywiście. - Hagen wstał. - Czy moglibyśmy porozmawiać dzisiaj z tymi osobami?
- Nie ze wszystkimi. Doktor Junak i doktor Czerko są razem z profesorem w Barcelonie i wracają, jeśli mnie pamięć nie myli, w niedzielę późnym wieczorem.

Przeszli z powrotem do sekretariatu, gdzie już bez żadnych problemów uzyskali wszystkie potrzebne informacje. Hagen spojrział z ciekawością na datę urodzenia pani doktor. Obliczył sobie szybko. Trzydzieści sześć lat. Piękny wiek dla kobiety...

Po wyjściu na korytarz przybili sobie „piątkę” w sportowym stylu.

- Super! Mamy ją nareszcie! Tylko szkoda, że wraca dopiero w niedzielę.

- Sądzę, że mamy też inny problem. Taki mianowicie, że pomimo naszych dokładnych zaleceń w tej sprawie podejrzewam, że pan docent dzwoni właśnie do profesora do Barcelony.

- Sądzi pan, że ją spłoszy?

- Zobaczymy. W niedzielę wieczorem wszystko się wyjaśni. Na razie nie jest to sprawa, w którą moglibyśmy angażować hiszpańską policję. Nie mamy żadnych sensownych dowodów.

- Jeżeli uważa, że zatarła wszystkie ślady łączące ją z Wygnowskim, to może nie skojarzyć tych dwóch faktów.

- Mam nadzieję. Byliśmy tak ogólnikowi, jak to tylko możliwe. Sądzę, że nasi naukowcy podejrzewają, że próbujemy wyjaśnić jakieś przekręty w finansowaniu badań. Dlatego nie chciałem, żeby pani pokazywała lokalną legitymację. Z drugiej

strony, ona jest w ciężkim stresie od momentu ujawnienia śmierci biskupa. Prawdopodobnie ma syndrom zająca śpiącego pod miedzą z otwartymi oczami. Podejrzewam, że jest wykończona czekaniem, czy ją znajdziemy, czy też nie. Miejmy nadzieję, że choć złe przeczucia pewnie się w niej obudzą, to złoży je na karb zszarpanych nerwów. Przejmiemy ją na lotnisku, możliwie jak najłagodniej, i zabierzemy do domu.

- To musiało być dla niej straszne - powiedziała Sylwia, kiedy stali już przy samochodzie. - Jeżeli nie miała z tą sprawą nic wspólnego, to musiała przeżyć prawdziwy dramat. Poznała mężczyznę, może miłość swego życia. Nie mogła z nim być tak, jak by chciała, normalnie, bo ona była mężatką, a on duchownym, biskupem. Stworzyli sobie swój mały świat, taką namiastkę wspólnego życia, a i to jej zostało odebrane...

- To prawda. - Hagen zamyślił się. - Jakoś nie patrzyłem na to z tej strony...

Ustalili, że Sylwia zbierze wszelkie dostępne informacje o Marcie Junak.

- Chciałbym, żebyśmy przed pierwszą rozmową wiedzieli o niej wszystko. Tylko postarajmy się zrobić to jak najdelikatniej, bez wzbudzania podejrzeń.

Po południu siedzieli w pokoju Hagen a i przeglądali dokumenty rozłożone na całej powierzchni biurka jak karty w pasjansie. Papiery wydobyte z działu kadr Akademii Rolniczej, wyciągi bankowe, bilingi telefoniczne, PIT-y z urzędu skarbowego, dokumenty z urzędu stanu cywilnego, zeznania sąsiadów mieszkających obok numeru 17.

Hagen odchylił się na oparciu krzesła, obrócił się tyłem do okna, żeby mieć jak najlepsze oświetlenie, i wpatrywał się w zdjęcie Marty, załączone do jej podania o pracę prawie dziesięć

lat wcześniej. Zdjęcie było czarno-białe i nieco wyblakłe. Jej jasne oczy patrzyły na niego spokojnie i śmiało. Miała proste blond włosy spadające na ramiona, rozdzielone pośrodku głowy wyraźnym przedziałkiem. Twarz pociągła, rysy regularne, prosty, wąski nos z delikatnymi skrzydełkami, usta ładnie wykrojone, wargi dość wąskie, ich kąciaki uniesione w lekkim półuśmiechu.

- No cóż - powiedział wreszcie, odkładając zdjęcie na stół.
- Niebrzydka, ale sprawia raczej wrażenie chłodnej. Mogłaby grać Izabelę Łęcką w „Lalce”.

- Myśli pan, że jest podobna do Małgorzaty Braunek? - zapytała Sylwia, biorąc zdjęcie do ręki i przyglądając mu się ze sceptycznym wyrazem twarzy.

- Bardziej niż do Beaty Tyszkiewicz. - Uśmiechnął się.

- Bo ja wiem? Oglądałam ostatnio jakiś film z czasów jej młodości i właściwie można by się doszukać jakiegoś podobieństwa. Tyszkiewicz była może bardziej pulchna, ale...

- No pięknie. Ja już myślałam, że pani nie robi wieczorami nic innego, tylko grzebie w tych szpargałach i rozgryza naszą sprawę, a tu proszę, filmy, i to stare polskie kino.

- O, ja robię wieczorami mnóstwo różnych rzeczy, a film widziałam, zanim zaczęliśmy śledztwo.

- Teraz pani tak mówi, jak się pani wygadała.

- No cóż, przełożony ma zawsze rację. - Skłoniła lekko głowę w udawanym geście pokory.

- To mi się podoba znacznie bardziej. To jest właściwe podejście. A teraz - powiedział, poważniejąc - przekopmy się przez to wszystko.

Ciszę gabinetu zakłócał tylko szelest przewracanych stron. Hagen czytał różne dokumenty i jednocześnie zastanawiał się,

jak to możliwe, że umknęła im tak ważna w życiu ofiary osoba.

- Chyba coś mam! - powiedziała nagle Sylwia, wstając i zmierzając do wyjścia. - Zaraz wracam, muszę to sprawdzić.

Po kilku minutach była z powrotem, a na twarzy miała szeroki, triumfujący uśmiech.

- Od czasu rozmowy w akademii miałam niejasne wrażenie, że zetknęłam się już gdzieś z tym nazwiskiem. Numer telefonu komórkowego, jaki nam podano w zakładzie fizjologii, nie należy do niej. Jest zapisany na Andrzeja Rachwalskiego, męża. Pewnie kupiony w ramach którejś z promocji. W spisie numerów, z jakimi się z niego łączono, figuruje mieszkanie prywatne biskupa i jego prywatna komórka. Jest również numer telefonu w garsonierze, ale tam dzwoniła z komórki tylko trzy razy. W sumie jest tych połączeń siedem w ciągu kilku miesięcy i wszystkie są bardzo krótkie, nie dłuższe niż trzy minuty. Przejrzałam teraz dokumenty i okazuje się, że dobrze pamiętałam - kiedy kilka dni temu analizowaliśmy z Pawłem połączenia przychodzące i wychodzące z prywatnej komórki biskupa, pojawiło się wśród nich nazwisko Rachwalski.

- Tak? - zapytał Hagen. - Dlaczego zatem nie prześwietliliśmy go wtedy?

Spojrzenie, którym go obrzuciła, pełne było urazy, ale zaraz znowu uśmiechnęła się triumfująco.

- Oczywiście, że sprawdziliśmy. A Rachwalski jest, uwaga! - Zawiesiła dramatycznie głos.

- No! - ponaglił ją, uśmiechając się mimo woli.

- Rachwalski jest kolegą biskupa z KUL-u! Wykłada gościnnie historię starożytną dla wydziału teologii. Rozmawiał z nim jeden z funkcjonariuszy. Stwierdzono, że świadek utrzymywał z

ofiarą sporadyczne kontakty zawodowe. Przyjęliśmy, że te telefony to normalne rozmowy służbowe. Takich telefonów od i do współpracowników było na wyciągach mnóstwo. Nie pojawił się na nich drugi numer należący do Rachwalskiego, którego on sam używa. Widać panowie jednak nie dzwonili do siebie. To nie pozwoliło nam się zorientować, że coś jest nie tak.

- Rozumiem. - Hagen rozważał otwierające się przed nimi możliwości. - Wygląda na to, że ksiądz Rafał miał romans z żoną kolegi z wydziału?

- Dokładnie tak. Miejmy nadzieję, że jednak przyleci.

Znowu pograżyli się w poszukiwaniach, ożywieni nowym tropem. Po kilkudziesięciu minutach przystąpili do wymiany informacji.

- Co nam powiedzieli sąsiedzi? - zapytał.

- Widywali w drzwiach mieszkania albo mężczyznę, albo kobietę, nigdy oboje razem, ale bardzo rzadko. Nigdy nie było tam imprez ani zakłócania porządku. Po tym jak mieszkanie zostało wynajęte, pod koniec roku odbył się tam duży remont i wszyscy byli ciekawi, kto się wprowadzi. Potem okazało się, że ktoś tylko opiekuje się pustym mieszkaniem do powrotu właściciela, odwiedzając je od czasu do czasu, i ciekawość bardzo osłabła.

- Tu poznaję rękę biskupa. Skinęła głową.

- To tyle.

- Świetnie. Czekamy zatem do niedzieli, wtedy wszystko powinno nam się zacząć wyjaśniać. Dobrego weekendu.

- Nawzajem. - Sylwia wstała i zaczęła zbierać papiery. - Idzie pan dzisiaj wieczorem na przyjęcie imieninowe do komendanta?

- A czy jego zaproszenie można odrzucić?
- Pewnie nie. - Zgarnęła wszystko w jedną stertę, objęła ją opiekuńczo ramionami i przycisnęła do piersi. - Dobrej zabawy.

Kiedy wyszła, Hagen zadzwonił na komórkę do ojca Scarpiego i umówił się z nim na następny dzień, a potem włączył komputer i zaczął szybko pisać swój codzienny elaborat, tak aby miał szansę zastać jeszcze nadinspektora w biurze w to piątkowe popołudnie.

Dom komendanta stał na obrzeżach miasta, poza jego administracyjnymi granicami. Hagen zapomniał adres, jaki miał podać taksówkarzowi, i trafił dopiero po telefonicznej konsultacji z komisarzem. On właśnie powitał go w drzwiach.

- Prosimy - powiedział Hołownia. - Gość w dom, Bóg w dom.

Zza jego pleców wyjrzała obfitych kształtów kobieta w wieczorowej sukni, z włosami ufarbowanymi na platynowy blond i z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Witamy, witamy - powiedziała, podając mu rękę do ucałowania. - Mąż gdzieś tu się ukrywa... - Hagen wręczył jej bukiet kwiatów i poprosił, żeby nie trudziła się i nie odrywała komendanta od znajomych.

- Ależ skąd, inspektorze... - Jej bystre oczy wyłowiły męża w tłumie wypełniającym salon i podeszli do niego.

- Świetnie, że znalazł pan chwilę! - zawołał komendant, chyba szczerze uradowany jego widokiem. Z lekkiego zaciągania można było wnioskować, że gospodarz hołdował starej zasadzie, że należy napić się z każdym gościem.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział Hagen i ucałowali się z dubeltówki. Wręczył gospodarzowi butelkę irlandzkiej

whisky, co spotkało się ze zdecydowanym protestem.

- Pan jest tu jak najmiley widzianym gościem i nie potrzeba nic ze sobą przynosić, naprawdę.

- To te wszystkie lata w Brukseli tak mnie zdeprawowały. Oni tam nie słyszeli o sławnej polskiej gościnności.

Ściskając go za ramiona jedną ręką, w drugiej ściskając butelkę whisky, gospodarz posterował prosto w środek tłumu i Hagen miał przyjemność zaznajomić się ze śmietanką urzędniczo-policyjno-polityczną Lublina. Ponieważ był przedstawiany jako „mój człowiek z Warszawy”, witały go szerokie uśmiechy i mocne, przyjacielskie uściski dłoni oraz co najmniej jedno zaciekawione, trochę filuterne spojrzenie dużych, ciemnych oczu. Kiedy poznał już wszystkich i w głowie zaczęło mu lekko szumieć od wypitych z tej okazji kieliszków dobrze zmrożonej wódki, uwolnił się z ramion komendanta i zdryfował w stronę zimnego bufetu ustawionego wzdłuż jednej ze ścian. Nałożył sobie sałatkę z tuńczykiem, kiedy obok niego wyrosła potężna postać komisarza.

- Polecam wędliny - powiedział Hołownia, nakładając sobie kilkanaście plasterków kielbasy. – Komendant wywodzi się z rodziny o długich masarskich tradycjach. Przed wojną mieli w Lublinie sklep z własnymi wyrobami. Zawsze na jego imieniny robią specjalną partię. O ile mnie pamięć nie myli, to zajmuje się tym jego stryj, który ma teraz z osiemdziesiąt lat i praktykował w rodzinnym interesie jeszcze przed wojną. Teraz nigdzie pan czegoś takiego nie dostanie.

Takich rzeczy nie trzeba było Hagenowi powtarzać dwa razy. Podziękował komisarzowi, odłożył talerzyk z sałatką i zapominając na ten wieczór o poziomie cholesterolu, miążdżycy i zawałach serca, oddał się orgii wędliniarskiej. Schab, salceson,

kielbasy, kaszanka. Wszystko zrobione doskonale, właściwie przyprawione, bez konserwantów, świetne.

- Sądzę - zwrócił się do Hołowni po chwili zapoznawania się ze smakiem poszczególnych wyrobów - że komendant zrobiłby lepszy interes, sprzedając takie wędliny niż będąc naczelnikiem policji.

- Wszyscy mu to mówimy. Najlepsze jest, że on sam przeszedł pełne szkolenie, że tak to ujmę, i potrafi zrobić istne cudeńka. Twierdzi, że jak przejdzie na emeryturę, to otworzy znowu rodzinny sklep w Lublinie.

- Jeżeli to zrobi, to ja zaproponuję mu spółkę i otworzę sklep w Warszawie. Biorąc pod uwagę jakość tego, co można teraz kupić w supermarketach, nie będziemy w stanie nastarczyć towaru.

- To prawda. - Hołownia ze smakiem zjadał prawdziwą wiejską kielbasę. - Ja nie jestem takim koneserem jak pan, inspektorze, ale muszę przyznać, że to, co kupujemy w sklepach, to straszne gówno. Na co dzień się o tym nie pamięta, ale wystarczy przyjść tutaj i spróbować, jak smakują prawdziwe polskie wyroby, a człowiek czuje, co traci.

- No tak. - Odezwał się za nimi kobiecy głos. - Ty oczywiście jesteś przy bufecie. Nie masz zamiaru przedstawić mnie panu inspektorowi?

Odwrócili się obaj i Hagen zobaczył szczupłą kobietę, z włosami przyprószonymi lekką siwizną, spiętymi w zgrabny kok odsłaniający wysmukłą szyję. Miała na sobie ciemnofioletową suknię z dekoltem w kształcie łezki.

- Moja żona, Zofia - wymówił komisarz z emfazą, co przypomniało Hagenowi film „Miś”.

Z uśmiechem pochylił się nad jej dłonią.

- Dużo o panu słyszałam, inspektorze - powiedziała.

Przypatrywała mu się ciekawie. Znał to spojrzenie, jakim obrzucany jest wolny mężczyzna bez towarzyszącej mu kobiety, na przyjęciu, gdzie wszyscy mają mniej lub bardziej ustabilizowaną sytuację życiową.

- Joasia bardzo dobrze się o panu wypowiadała.

- Pani prokurator Tarnawska i moja żona są starymi przyjaciółkami - wtrącił Hołownia.

- Tak, to prawda. Oni niestety nie przepadają za sobą. Zupełnie inne style pracy, jak powiada mój mąż. Jak się panu podoba nasz prowincjonalny Lublin, panie inspektorze?

Kiedy Hagen tłumaczył, że wcale nie prowincjonalny i że bardzo, i że nigdy dotąd nie spotkał takiego nagromadzenia pięknych kobiet na metr kwadratowy, komisarz włożył mu do ręki kieliszek z dobrze zmrożoną wódką.

- Zdrowie pięknych kobiet - powiedział. - Pan inspektor wie, co mówi, to światowy człowiek, myszko.

Hagen uśmiechnął się.

- Zdrowie wszystkich pięknych kobiet z Lublina, w pani ręce, pani Zofio.

Wypili, zakąsili i chwilowo rozmowa zeszała na tematy walorów turystycznych miasta i stanu zabytkowych kamieniczek na starówce. Po jakimś czasie okazało się, że żona komisarza pracuje w przedsiębiorstwie konserwacji zabytków i jej zainteresowanie opinią Hageną nie jest tylko czysto grzecznościowe.

- Strasznie brakuje nam pieniędzy - mówiła, gestykulując wyrażeniem trzymanym w ręku kieliszkiem, do którego komisarz usiłował bezskutecznie nalać kolejną porcję. W końcu złapał ją za nadgarstek i dopiero w ten sposób uzupełnił jej zapas

alkoholu. - Liczymy teraz na dotacje z Unii Europejskiej, ale to może trochę potrwać, niestety nasze władze nie są do końca przygotowane do korzystania z tych wszystkich programów.

Rozmowa o finansach i zabytkach trwała jakiś czas, przerywana przez komisarza toastami w rodzaju: „No to za ten rynek” lub „Niech nam się stare miasto pięknie odnowi”.

- Pójdę poszukać Joasi. Pewnie nie wie, że pan już tu jest - oznajmiła po którejś kolejce pani Zofia i zniknęła w tłumie gości.

- Niezłe tempo pan narzucił, komisarzu. Jeszcze chwila takiego picia i będzie mnie pan odwoził do domu w stanie wskazującym na znaczne spożycie.

- A, gdzie tam. - Hołownia włożył mu do ręki kolejną oszronioną porcję. - Pozwoli pan, że jako starszy wiekiem, chociaż młodszy stopniem, proponuję, żebyśmy przeszli na ty?

- Absolutnie - odpowiedział Hagen.

Wypili i uścisnęli sobie ręce, kiedy wróciła do nich żona komisarza w towarzystwie Joanny. Pani prokurator ubrana była w biało-srebrzystą suknię, dopasowaną do ciała, ukazującą nagie ramiona i plecy. Całość zdawała się trzymać tylko na wąskiej tasiemce opasującej jej szyję i dwóch innych łączących ją z przodem sukni. Patrząc na nią z góry, widział delikatny zarys piersi w wycięciu dekoltu. Wydawała się wyższa niż zwykle i zauważył, że nosiła pantofelki na bardzo wysokich obcasach, a jej suknia miała z boku wysokie rozcięcie, w którym widać było zarys zgrabnej nogi. Pocałował Joannę w rękę i rozmowa potoczyła się na temat sprawy, która zajmowała teraz cały ich czas. Hagen opowiedział, co udało im się ustalić w

sprawie garsoniery, a Hołownia wyraził zaniepokojenie, bo jego rozmówca telefoniczny po raz pierwszy od wielu dni nie zadzwonił.

- Czy to oznacza, że zamilkł na zawsze? - spytała Joanna.

- Mam nadzieję, że nie. Niestety, to jedyny sposób, żeby go dopaść. Gdyby przestał dzwonić, musielibyśmy czekać na następną zbrodnię i liczyć, że tym razem popełni jakiś błąd.

- Czy łączysz jego zamilknięcie z tym wątkiem śledztwa, którym teraz zajmuje się pan inspektor? - Wyglądało na to, że poza komendą i prokuraturą Hołownia i Joanna byli ze sobą na ty. No cóż, zreflektował się, przecież to przyjaciółka jego żony...

- Nie mam pojęcia. - Hołownia rozłożył ręce.

- A co pani o tym sądzi?

- Och, przestańcie sobie panować. - Komisarz wyraźnie był w nastroju do niwelowania barier między ludźmi.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Bruderszaft?

- Jeśli pani prokurator taka łaskawa. - Wypili i pocałował ją w policzek.

Kątem oka dostrzegł, że pani Zofia przygląda im się z lekkim uśmiechem. Ktoś nastawił muzykę i na zaimprovizowanym parkiecie pojawiły się pierwsze pary, kołyszące się w takt powolnej melodii.

- Chodź, misiu. - Żona pociągnęła komisarza na parkiet. - Przyjęcia to nie same przyjemności.

Joanna popatrzyła za nimi i Hagen ujął ją za rękę.

- Zatańczymy?

Skinęła głową i przeszli kilkanaście kroków na środek salonu. Stanęli naprzeciw siebie, objął ją delikatnie w tali.

- Dobrze pan... Dobrze tańczysz - powiedziała 'po chwili.
- To ty dajesz się dobrze prowadzić.

Czuł, że ma naturalny talent i wycucie rytmu, ewidentnie uzupełnione szkoleniem tanecznym. Unosiła się w jego ramionach leciutko jak srebrzysta smuga dymu. Powiedział jej to. Lekko uściśnęła jego dłoń. Znowu czuł jej zapach, widział połyskliwe, jasne włosy, a kiedy coś mówiła i podnosiła wzrok, duże błękitne oczy. Jeśli spojrzał bardziej w dół, miał przed sobą kuszący cień jej dekoltu. Rozmawiali jeszcze chwilę o sprawie. Potem zapadło między nimi milczenie i dwie lub trzy piosenki przetańczyli, nic nie mówiąc, i tylko spoglądali sobie w oczy od czasu do czasu. Hagen uśmiechnął się do niej, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Kątem oka zauważył, że ktoś mu się przygląda i pochwycił spojrzenie żony komisarza skierowane na nich znad ramienia męża. Przestali tańczyć i wrócili na chwilę do bufetu. Potem Hagen poprosił panią Zofię, a Joanna tańczyła z Hołownią.

- Pięknie razem wyglądacie - powiedziała, patrząc mu w oczy nieco, jak mu się wydawało, badawczo.

- Sądzę, że to można powiedzieć tylko o pani prokurator.

- Joanna jest piękną kobietą.

- Bardzo piękną.

- Jej mąż nie przychodzi na takie spotkania w gronie jej znajomych z pracy. Możliwy konflikt interesów, pan rozumie. Joasia bardzo zwraca uwagę na takie rzeczy.

- Bardzo słusznie. Jedno nieprzewidziane zdarzenie może postawić takie spotkanie w świetle reflektorów i pojawiają się niepotrzebne stresy dla całej rodziny. Dzieci też źle znoszą takie bezpodstawne oskarżenia.

- Właśnie, tym bardziej że teraz w prokuraturze źle się dzieje, ale przecież pan wie to lepiej ode mnie. Nawiasem mówiąc, oni nie mają jeszcze dzieci. Chyba jakoś nigdy nie było na nie czasu. Pan ma dzieci, inspektorze? Bo my mamy dwie świetne dziewczyny.

Przez resztę tańca Hagen poznał wiele szczegółów z życia dwóch córek komisarza.

Jakiś czas później znaleźli się z Joanną na tarasie, gdzie gwar głosów był słabszy. Hagen wciągnął w płuca wilgotne nocne powietrze. Na niebie wisiał księżyc w pełni i płynące nad nimi chmury podświetlone jego blaskiem wyglądały jak wiosenna kra na rzece. W czarnych szczelinach między srebrzystymi obłokami migotały gwiazdy.

- Piękna noc - powiedział.

- Chłodna. - Joanna otuliła się szalem.

Hagen zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego.

W cieniu tarasu rozmawiali długo o różnych sprawach, ale po pewnym czasie zorientował się, że głównie to on mówi o sobie. Zaczęło się, kiedy poprosiła, żeby opowiedział jej o swoim dzieciństwie, o studiach, o rodzicach. W żartach zapytała nawet, jakie miał stopnie w szkole. Na jej wyraźne życzenie opowiedział o swoich zainteresowaniach, o językach obcych, o których wiedziała już od Zofii. Potem rozmowa zeszała na Eryka, jego syna, i Hagen z dumą pochwalił się, jaki to bystry młody człowiek, jak dobrze radzi sobie w szkole, chociaż ciężko przeżył rozstanie rodziców.

- Teraz wiesz już o mnie wszystko – oświadczył wreszcie. - Moja próżność została zagłaskana na śmierć. O czym będziemy rozmawiać na następnym przyjęciu?

- Wtedy może ja opowiem ci coś o sobie?
- A może teraz?
- Teraz chodźmy jeszcze zatańczyć, bo jest mi trochę zimno i będę już musiała wracać do domu.

- No nie, to nie jest fair. - Hagen wziął od niej marynarkę i weszli do domu. - Przesłuchałaś mnie i wyznałem ci wszystko jak na spowiedzi, a teraz uciekasz?

- Tak to już bywa, kiedy się człowiek zadaje z prokuratorem - odparła, wchodząc razem z nim między tańczące pary.

- A właśnie, czemu prokuratura, a nie bardziej lukratywne odnogi prawniczej profesji?

- Czemu nie zostałam adwokatem?

- Lub notariuszem.

- Nie, notariusz to nie jest zawód na mój temperament. Umarłabym z nudów.

- Zatem adwokatem.

Milczała chwilę.

- Jest taki stary dowcip - odezwała się wreszcie - który w pewnym sensie podsumowuje mój stosunek do palestry. Adwokat rozmawia z klientem i mówi: „Proszę mi o tym dokładnie opowiedzieć, tylko nie kłamać, ja muszę znać całą prawdę”. „Kłamać? - mówi klient - dlaczego ja mam kłamać, od kłamania jest pan mecenas”.

Hagen roześmiał się.

- Zatem z powodów etycznych. Co by na to powiedzieli luminarze naszej adwokatury, broniący teraz najgorszych mafioso? Sądzę, że byłiby oburzeni.

- Na pewno. Przecież każdy ma prawo do obrony. Tylko czasem w tym wszystkim ztraca się granicę pomiędzy prawem a sztuczkami prawniczymi, zacierają się różnice między klientami a obrońcami i potem jeździ się na te same plaże, co bandziory, i pije się z nimi w nocnych lokalach, i powoli staje się

jednym z nich. Adwokatem mafii.

- Można być uczciwym adwokatem, Joasiu - powiedział, naśladując ton perswazji, jakim przemawia się do małego dziecka. - Naprawdę można.

Teraz ona uśmiechnęła się do niego.

- Można. Ja wolę jednak być prokuratorem, tym bardziej że mój mąż zarabia wystarczająco dużo, żebym nie musiała się martwić swoją pensją.

- Nieprzekupna, surowa, nieugięta. I piękna - dodał ciszej.

Spojrzała mu w oczy i w jej źrenicach dostrzegł ślad tego szafirowego blasku, który wtedy w laboratorium napełnił go takim niepokojem. Patrzyli na siebie w milczeniu, kołysząc się w rytm muzyki, która przepływała przez nich i oplatała jak różnokolorowe wstęgi, coraz ściślej i mocniej, aż ich biodra zetknęły się i pozostały razem, póki nie wybrzmiały ostatnie nuty.

- Zniknęła jak Kopciuszek? - zapytała pani Zofia, kiedy znowu spotkali się przy bufecie.

Hagen skinął głową, bo usta miał pełne wyrobów stryja komendanta.

- Nie został nawet pantofelek - powiedział, gdy przelknął. Napił się czerwonego wina, które znalazł w kuchni i które wydawało mu się znacznie bezpieczniejszą opcją od wódki, jaką wlewali w niego komendant i komisarz.

- Zawsze tak z nią jest. To bardzo dobre małżeństwo. On ma dużą firmę budowlaną, tak dużą, że często startuje w przetargach organizowanych przez tych ludzi, których tutaj pan widzi. - Lekkim ruchem głowy wskazała na pokój, gdzie gwar rozmów wzrósł o kilkanaście decybeli od czasu, kiedy Hagen

pojawił się na przyjęciu. - Robią zresztą także prace renowacyjne na starym mieście. Zawsze myślałam, że ona przesadza z tą ostrożnością, ale teraz, kiedy afery goni afery i grzebią we wszystkich zależnościach i powiązaniach służbowo-towarzyskich, widzę, że miała rację. Niemniej szkoda, że nie przychodzą razem na takie spotkania jak to. My z mężem nie wychodzimy z domu zbyt często.

- No cóż, przynajmniej dzięki temu miałem dzisiaj taką dobrą partnerkę do tańca.

- Joasia świetnie tańczy, prawda? - Hagen skinął głową. - Przez wiele lat była w grupie tanecznej, prawie całe studia wyjeżdżali na różne konkursy. Roman, jej mąż, nie jest niestety dobrym tancerzem, więc dla niej to też pewnie była miła odmiana. Odmiana sama w sobie ma często wielki urok, nieprawdaż? - Znowu to badawcze spojrzenie poszukujące jego źrenic.

Hagen przeklął w myślach swoje niewczesne gesty wobec pani prokurator. Wyglądało na to, że opowiedziała o wszystkim przyjaciółce. Jeżeli ta podzieliła się swoją wiedzą z mężem, to coś, co mogło być miłym, niewinnym flirtem, stanie się tajemnicą poliszynela i tematem plotek. Jezu, znowu to samo. To ten sam Hagen, którego wyrzucili za romanse z Brukseli i który niedawno rozszedł się z żoną? Niektórzy faceci nigdy nie dorosną i tak dalej. Westchnął i wypił cały kieliszek do końca. Koniec z tymi bzdurami, powiedział sobie. Kończymy jak najszybciej tę przekłątą sprawę i z powrotem do Warszawy, do biura.

- Jak się pozostaje w związku małżeńskim, trzeba być bardzo ostrożnym w dozowaniu sobie odmiany - odparł. - Wiem coś o tym.

Skinęła głową, ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo za jej plecami pojawił się Hołownia i zaczął ich namawiać, żeby wyszli

do ogrodu, gdzie paliło się ognisko i został uruchomiony grill.

- Jeżeli nie jadłeś karkówki zrobionej przez komendanta, to nie jadłeś nic - zachęcił Hagena.

Pani Zofia wymówiła się chłodem, więc wyszli na dwór sami. Hołownia zapalił papierosa i przez chwilę stali w milczeniu, przyglądając się mężczyznom w garniturach i dwóm kobietom w kurtkach zarzuconych na wieczorowe suknie pięknym kielbaski.

- Martwi mnie, że nasz człowiek nie dzwoni. - Komisarz wypuścił w górę gęsty kłęb dymu. - Oby mu się nie odwidziało całkowicie.

- Zastanawiałem się nad naszą dyskusją w biurze i nad teorią Sylwii, że piszący i dzwoniący to nie jest ten sam człowiek. Pamiętasz? - powiedział z namysłem Hagen. Hołownia skinął głową. - Uderzył mnie w niej pewien ton prawdy, który, mówiąc obrazowo, zadzwieczał mi czysto. Choć samo rozumowanie nie jest do końca poprawne, to mam wrażenie, że wnioski są słuszne.

- Jak to? - Komisarz spojrział na niego. Odblask ognia igrał w jego oczach.

- Wydaje mi się, że miała rację, rozdzielając autora listów od autora telefonów, ale nie z powodu koincydencji czasowej. Pomyśl, pamiętając, jak zginął Wygnowski, o czym pisał człowiek od listów, że tak go umownie nazwę? „Twój Pan Nadchodzi” w pierwszym liście, który znaleźliśmy w domu biskupa, a potem „I przyszedł pan ciemności po jego duszę jak po swoją”. O czym mówią nam te listy? Najpierw zapowiadają, a potem potwierdzają interwencję szatana w życie biskupa. Podmiotem ich, że tak powiem, jest szatan, a nie człowiek. – Hagen nie był pewien, czy wyraża się wystarczająco jasno. Wódka i wino lekko zaburzały mu ostrość widzenia spraw. - Natomiast nasz

telefonista nie odnosi się w ogóle do spraw nadprzyrodzonych. Powiedziałbym, że manifestuje swoją niechęć do księży i dzieje się to na poziomie całkowicie ziemskim. Ich przekazy, które dostaliśmy, są tak naprawdę zupełnie niekompatybilne. Jeden odnosi się do religii, drugi do ludzi. Ich wspólnym mianownikiem jest tylko powiązanie z naszą sprawą.

- Jesteś pewien słuszności tego rozumowania?

Hagen pokręcił przecząco głową.

- To jest tylko jedna z możliwych interpretacji, ale kiedy o niej pomyślałem, to wydała mi się bardzo pociągająca.

- Brzmi rozsądnie, ale to wszystko jest ciągle cienki лёd. Czasem mam wrażenie, że niepotrzebnie dzielimy włos na czworo. Trzeba złapać tego faceta od telefonów, a potem zobaczymy. Wy weźmiecie w obroty tę panią biolog. Może z tego coś wyniknie. Nie mamy na razie innych opcji.

Hagen wypił łyk wina.

- Mam wrażenie - powiedział po chwili milczenia - że coś nam umyka. Gdzieś tam, w ciemności, jest jakieś drugie dno, ale nie potrafimy go dojrzeć. - Palcem wskazującym obwiodł rant kieliszka. - Może zresztą za dużo wypilem.

- Ja na razie dostrzegłem w ciemności grill. - Hołownia wziął go za ramię. - Karkówka na nas czeka.

Następnego dnia poranek był znacznie dłuższy niż zazwyczaj. Po raz pierwszy odemknął powiekę około ósmej, ale cały organizm mówił mu, że jest jeszcze za wcześnie, i Hagen uległ rozsądnej perswazji. Przed dziesiątą jednak, kiedy po raz drugi zobaczył smugi słońca wdzierające się przez okno, wstał i w łazience przed lustrem spróbował wejrzeć w głąb samego siebie. Jak na ilość wódki, jaką przyjął wczoraj wieczorem, oraz biorąc pod uwagę fakt, że zmieszał ją z czerwonym winem, to właściwie czuł się zupełnie dobrze.

- Wygląda na to - powiedział do swojego odbicia patrzącego na niego zaspanymi oczami z głębi lustra - że uratowały cię wędliny pana komendanta. Żeby nie to... - Machnął ręką i zabrał się do mycia zębów.

Poranna kawa parowała aromatycznie, a on obcinał właśnie uważnie czubek jajka na miękko, kiedy do kuchni weszła Ewa. Ubrana była w kremowy szlafrok frotte, włosy miała upięte do góry w sposób, którego nigdy do tej pory nie widział. Wraz z nią wpłynął zapach dopiero co odbytej kobiecej kąpieli, pachnącego mydła, wilgotnych włosów, wody toaletowej. Przypomniały mu się wczesne dni małżeństwa, dawno temu, kiedy jeszcze nie pojawiło się dziecko i mieli z Julią dużo czasu dla

siebie, a weekendowe poranki upływały w niespiesznej, trochę senniejszej atmosferze, nasyconej spełnieniem, leniwym dotykiem, zapachem. Pamiętał chwile, kiedy rozchyłał jej szlafrok i zanurzał twarz w piersi, ciepłe od gorącej wody, w której lubiła brać prysznic, a ona wplatała mu palce we włosy i głaskała go czule. Mruczał wtedy cicho, gardłowo, jak wielki kot i szeptał jej o miłości prosto do serca, którego pulsowanie wyczuwał wargami obolałymi po nocnych szaleństwach.

Ewa załapała wrzątkiem saszetkę owocowej herbaty, posłodziła i usiadła naprzeciwko niego, mieszając powoli ciemniejący płyn.

- Udana impreza?

- Bardzo. - Hagen z apetytem, jakiego nie spodziewał się po sobie jeszcze dwie godziny temu, kończył swoje jajko. - Poznałem podobno wszystkich ludzi, którzy naprawdę coś znaczą w tym mieście, ale żadnego z nich nie pamiętam. Wygląda na to, że nigdy nie zrobię kariery w polityce.

- Na pewno nie w Lublinie, Tutaj jest bardzo ważne, kto kogo i dlaczego pamięta. Zresztą jak wszędzie. - Wzruszyła lekko ramionami. - Wspomaganie farmakologiczne? - Wskazała na opakowanie ibuprofenu leżące obok talerza.

- Tak. Wprowadziłem do organizmu zbyt dużo wysokooktanowego paliwa i miałem z rana trochę ciężką głowę, a dzisiaj czeka mnie pojedynek intelektualno-zręcznościowy i lepiej być w dobrej formie.

- Brzmi tajemniczo. Czy można się dowiedzieć, o co chodzi? - Znad krawędzi kubka jej duże, ciemne oczy patrzyły na niego z ciekawością.

- Można, ale to jest wiadomość tylko dla twoich ślicznych uszu. Ścisłe tajna. Po wysłuchaniu spalić.

Zebrał naczynia i wstawił je do zlewu. Odwróciła się w jego stronę, szlafrok rozchylił się nieco, jej opalony dekolt przypominał mu wczorajsze rozmowy z Joanną.

- Tak? - Patrzyła na niego z uśmiechem. Zauważyła, że zgubił wątek w fałdach jej okrycia, i chyba ją to bawiło.

- Gram dziś w golfa z najprawdziwszym tajnym szpiegiem Watykanu.

Roześmiała się głośno i przez dłuższą chwilę nie potrafił jej przekonać, że nie robi sobie żartów.

- Lecisz do Włoch? - zapytała wreszcie.

- Nie. Podobno jest tu pod miastem ciekawe pole, które monsignore zdążył już obejrzeć.

- Grasz w golfa? - zapytała i kiedy skinął głową, dodała zaraz: - Ty snobie!

- Niechaj każdemu będzie wolno snobować się na jego własny sposób. Ja na przykład zacząłem grać w Belgii, a tam nie jest to jakiś szczególny snobizm. Po prostu jeden ze sposobów spędzania wolnego czasu. Jest droższy od wielu innych i chętnie wybierany przez starszych, zamożnych ludzi, różnych wyższych urzędników, przedsiębiorców i polityków, dlatego stanowi dobrą płaszczyznę dla interakcji socjalnych obywateli o pewnym poziomie dochodów i znaczenia. Coś jak bardziej rozwlekła terytorialnie wersja salonu pana komendanta z wczorajszego wieczoru.

- Próbowałeś doszlusować do tej sfery?

- Nieźle mi szło. - Uśmiechnął się na wspomnienie popołudnia, kiedy pierwszy raz spotkał Claire w budynku klubu golfowego, w którym grali razem z Joshem McLachlanem, szkockim nacjonalistą i fanatykiem golfa, służbowo łącznikiem Scotland Yardu w Brukseli.

„Po raz pierwszy Szkot reprezentuje na zewnątrz Scotland Yard, cóż za ponura ironia historii”, mówił właśnie do jakiejś miejscowej piękności, w której żyłach musiała płynąć krew co najmniej pięciu narodowości i która wcześniej podziwiała jego pewne uderzenia podczas turnieju. Hagen, który nie grał w zawodach, bo dopiero zaczynał swoją przygodę z tym sportem, dyskretnie odwrócił się i jego wzrok napotkał jakiś zielony błysk od strony baru, który zaraz zgasł, kiedy szczupła blondynka, trochę po trzydziestce, odwróciła głowę, jakby spłoszona tym, że zauważył jej spojrzenie skierowane na niego. Zaciekawiony, bo nigdy wcześniej jej tutaj nie widział, podszedł do baru i stanął tuż obok. Była odwrócona tyłem, ale słyszał, jak rozmawia w gronie znajomych. Bez trudu rozpoznał ich amerykański akcent i głośny śmiech, charakterystyczne i takie same na całym świecie. Poprosił o jeszcze jedno białe wino i kiedy brał kieliszek do ręki, nieznajoma obróciła się nagle w stronę barmana, potrącając go w łokieć, a zimne białe Chateau Monluc chlusnęło na jej pistacjową koszulkę polo od Lacosty. W zamieszaniu, jakie powstało, wśród wzajemnych przeprosin i rytualnych samooskarżeń, miał okazję z bliska zajrzeć w najbardziej zielone oczy po tej stronie oceanu, żeby po chwili, kiedy zaprosili go do swojej grupki rozmawiającej o golfie, utonąć w nich tak, jakby skoczył z rozgrzanej słońcem skały w Pointe du Grouin na Szmaragdowym Wybrzeżu prosto w leniwie oddychające połacie wód Atlantyku, a one zamknęły się nad nim szklistą zieloną taflą.

- Dawno już nie grałem. Sądzę, że miło będzie sobie przypomnieć, jak to drzewiej bywało. A panna co planuje na dziś?

Ewa wypila kolejny łyk i odstawiła kubek.

- Idę do księdza Leona, będziemy robić zdjęcia i wstępną inwentaryzację, a wieczorem... Bo ja wiem, może gdzieś wy-skoczymy z dziewczynami.

- Nie z chłopakiem?

- Nie. Na razie został odstawiony do lodówki, musi skru-szeć. Zaczęło mu się ostatnio trochę przewracać w głowie.

- Boże, co z ciebie wyrośnie, dziecko. - Hagen załamał rę-ce. - Niezła z ciebie zołza.

- Trzeba się szanować. Tak zawsze nam powtarza pani Maria, zresztą sam słyszałeś.

- Słyszałem. Jak się w to jednak wpisuje Wielka Miłość?

- Miłość miłością, a facet musi wiedzieć, że nie jest abso-lutnym pępkiem świata, i przestać się zachowywać, jakby był. Czas dorosnąć.

- Niestety. Chociaż niektórym szczęśliwcom to się nigdy nie udaje.

- Jak tak na was patrzę, to większości się nie udało. Nie-ktorzy na przykład włączą się po polach za małą białą piłeczką, podbijając ją kijkiem, zamiast zająć się jakąś pożyteczną pracą.

- Tu trafiłaś w sedno. Tylko że ja nie jestem niedojrzały. Ja już zdążyłem z powrotem zdziecinnieć.

Uśmiechnęła się szeroko i biało, jak w telewizyjnej reklamie pasty do zębów.

- Powodzenia w inwentaryzacji. Idę robić w polu. - Sięgnął dłonią i rozburzył jej misternie spleciony kok, tak że włosy opadły jej na twarz, kryjąc ją za lśniącą, skręconą w loki zasło-ną.

Odrzuciła włosy do góry, ale Hageną nie było już w kuchni. Usłyszała jego kroki w korytarzu, trzasnęły drzwi, chwilę po-tem dobiegł ją odgłos włączanego silnika i znowu zapadła cisza.

Siedziała jeszcze chwilę, pijąc herbatę i przeczesując dłonią lekko wilgotne włosy. Na gładkim czole, tuż nad miejscem, gdzie zbliżały się ku sobie smukłe brwi, pojawiła się delikatna pionowa zmarszczka.

Chociaż był zaopatrzony w mapę, to znalezienie pola Pierwszego Lubelskiego Klubu Golfowego w Szczekarkowie zajęło mu trochę czasu. Po przejechaniu mostu na Wieprzu zjechał z szosy na drogę gruntową, która szerokim łukiem przez poźółkłe już pola zaprowadziła go do domku klubowego, chyba jedynego w Europie zrobionego z oryginalnej starej chałupy lub stodoły krytej strzechą. Zaparkował obok kilku samochodów z lubelską rejestracją i podszedł do budynku. Do umówionej godziny spotkania z jezuitą zostało jeszcze trochę czasu. Wypożyczył kije, kupił dwa koszyki piłek i stanął na wolnym stanowisku do ćwiczeń. Wyjął z torby żelazny kij, dziewiątkę, i zaczął rozciągać się i napinać mięśnie, jednocześnie rozglądając się wokół. Klub zlokalizowany był na terenie dawnych łąk i nieużytków, w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki. Na oko wiele jeszcze mu brakowało do absolutnej schludności i perfekcyjnego utrzymania klubów z zachodniej Europy, z drugiej strony miał w sobie coś, co tamte zatraciły już dawno temu, przekształcając się z oryginalnych szkockich łąk w angielskie ogródki. Miał w sobie świeży oddech przygody i dawał poczucie całkowitego zjednoczenia z naturą. Tu była granica zasięgu golfa na południowy wschód Europy i jak to na pograniczu, wiele elementów było w fazie tworzenia. Na idealne, wypieszczone greeny przyjdzie czas później, kiedy w golfa będą tu grywać studenci z

lubelskich uniwersytetów, prawnicy, lekarze i księża. Księża zresztą już grywają, poprawił się w myślach, przypominając sobie, że jak wspomniał Scarpi, o polu, jako o swoistej ciekawostce, poinformował go jeden z miejscowych jezuitów.

Kończył już drugi koszyk i wyjmował właśnie kolejny kij z torby, kiedy zauważył zawracający na drodze samochód i za chwilę idącego w jego stronę Włocha.

- *Buongiorno, ispettore!* - Scarpi rozłożył ręce w po witalnym geście. - Widzę, że jest pan bardziej niż punktualny.

Ubrany był w ciemnoszare sportowe spodnie i grafitową koszulę z krótkimi rękawami, przez ramię niósł przerzuconą wiatrówkę.

- Witam. - Hagen uściśnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń. - Po prostu chciałem chwilę poćwiczyć, żeby nie ponieść zbyt sromotnej klęski. Naszego wymiaru sprawiedliwości i aparatu ścigania nie stać na jeszcze jedną porażkę.

- Nawet w golfa?

- Przede wszystkim w golfa.

Scarpi pożyczył komplet kijów dla siebie, kupił piłki i stanął obok niego. Założył na lewą rękę czarną rękawiczkę i po krótkiej rozgrzewce zaczął mocnymi uderzeniami wysyłać piłki daleko w pole. Hagen dokończył swój drugi koszyk, a potem stał przez chwilę, obserwując księdza. Kiedy ten skończył, obaj ujęli rączki swoich wózków i wolnym krokiem, ramię w ramię, poszli w kierunku pierwszego tee, aby rozpocząć grę. Wymienili kilka grzecznościowych uwag o pogodzie, która nieoczekiwanie pozwala im na odpoczynek w tak miłej, niemal letniej atmosferze, a przecież jeszcze kilka dni wcześniej była okropna jesienna plucha. Potem zapadła cisza, kiedy obaj szykowali się do pierwszego uderzenia.

- Tutaj dolki są dosyć krótkie - powiedział Scarpi, ustawiając piłkę na podstawce i biorąc do ręki żelazo piątkę. - W zasadzie można się obyć bez woodów.

Pierwszy dołek ciągnął się na całej swej długości wzdłuż rzeki i chwila nieuwagi mogła kosztować długie poszukiwania zgubionej piłki w krzakach. Scarpi uderzył prosto na flagę. Piłka poleciała lekkim slicem i zniknęła w wysokiej trawie porastającej prawy skraj fairwaya. Ucząc się na cudzych błędach, Hagen zagrał bardziej konserwatywnie, celując na lewo od dolka, i jego piłka wylądowała znacznie bliżej wystrzyżonego naleśnika greenu. Przy dobrym drugim zagranium mógł liczyć na zmieszczenie się w trzech uderzeniach. Cała pierwsza runda dziewięciu dołków nie trwała długo i upłynęła im w istic sportowej atmosferze. Rozmawiali o wrażeniach zakonnika z pobytu w Polsce i w Lublinie. Scarpi długo rozwodził się nad pięknem lubelskiego renesansu, specyficznym połączeniem prostoty i wyrafinowania, które w tej postaci nie było obecne we Włoszech. Na pytanie, jaki kościół, w takim razie najbardziej przypadł mu do gustu, nie wymienił jednak ani kościoła Świętego Mikołaja, który tak bardzo podobał się Hagenowi, ani Świętej Agnieszki, ani Ojców Jezuitów, co byłoby chyba najbardziej poprawne politycznie.

- Zdziwi pan się może, ale codziennie chodzę na wieczorną mszę do bazyliki Ojców Dominikanów. Widocznie nie przesiąknąłem tak do końca jezuickimi uprzedzeniami. - Mrugnął porozumiewawczo lewym okiem i uśmiechnął się. - A tak poważnie, to znajduję tam sprzyjającą atmosferę duchową. W niewielkiej kaplicy bocznej, blisko ołtarza, można być jednocześnie samotnym i przeżywać komunie z innymi uczestnikami mszy świętej. Poza tym słyhać tam, jak bracia odmawiają

brewiarz, a to zawsze działało na mnie kojąco i pozwalało mi skupić myśli. Nawiasem mówiąc, w tej kaplicy jest jedna z najbrzydszych podobizn Madonny, jaką zdarzyło mi się spotkać. Powinien pan zobaczyć. Kiedy znowu znaleźli się przed budynkiem klubu, Scarpi prowadził dwoma uderzeniami, a Hagen uważał, że i tak miał dużo szczęścia, bo mógł przegrywać znacznie wyżej, biorąc pod uwagę różnicę umiejętności. Usiedli na chwilę przy stolikach, zamówili piwo. Swobodna konwersacja o niczym, która towarzyszyła grze, dobiegła końca. Przyszedł czas na poważną rozmowę.

- Pozwoli pan, *ispettore*, że zapytam, czemu właściwie za wdzięczamy to dzisiejsze miłe przedpołudnie. - Ciemne oczy Włocha patrzyły na niego badawczo.

- Cóż, pomyślałem, że trochę ruchu wszystkim nam dobrze zrobi, szczególnie że ostatnio bardzo intensywnie grzebaliśmy się w różnych papierach. - Scarpi słuchał, nie przerywając. - Dwa dni temu udało nam się namierzyć i zidentyfikować mieszkanie, które biskup Wygnowski wynajmował, nie przestrzegając przepisów dotyczących rejestrowania i opodatkowania tego typu umów. - Hagen zrobił pauzę, pozwalając Scarpemu na ocenę wagi tej informacji. Twarz jezuita pozostała jednak nieporuszona. - Mamy także podstawy przypuszczać - ciągnął - że głównym celem, dla którego to mieszkanie zostało wynajęte, było umożliwienie mu odbywania potajemnych spotkań z pewną kobietą.

- Jakie macie panowie podstawy, żeby tak twierdzić?

Hagen streścił pokrótce, jakie wyniki osiągnęli w tej części śledztwa, nie wdając się w żadne bliższe szczegóły. Nazwę zakładu fizjologii także pozostawił dla siebie. Dlatego właśnie, że tej natury fakty zostały ujawnione, wyjaśnił Hagen, chciał

porozmawiać o nich na neutralnym gruncie i przygotować stronę kościelną na to, co w zasadzie nieuchronnie teraz nastąpi. Wcześniej lub później, ale raczej wcześniej, należy się spodziewać przecieku do prasy lub innych mediów. Przynajmniej dla niektórych z nich będzie to pasjonująca historia miłosna obalająca pewne tabu, jakim w polskiej tradycji jest celibat księży i publiczne się na jego temat wypowiedanie. Dotyczy to zaś szczególnie hierarchów, którzy na razie nie mieli tak zabrudzonej kartoteki jak w niektórych kościołach na Zachodzie. Przykład arcybiskupa Paetza pokazuje, że jeśli pojawi się taki temat, to może przez całe tygodnie nie schodzić z łamów gazet.

- Oficjalnych materiałów dotyczących tego wątku nie przekazemy stronie kościelnej aż do momentu, kiedy uzyskamy pewność, że w żaden sposób nie będzie to mogło wpłynąć na przebieg śledztwa. Niemniej sądzę, że tego rodzaju ogólna informacja pomoże wam przygotować się do nieuniknionej rozmowy na ten temat z dziennikarzami.

Scarpi milczał przez chwilę. Jego wzrok zdawał się błędzić gdzieś za plecami Hageny, wśród zarośli nad rzeką, gdzie zgubił wcześniej swoją piłkę.

- Czy łączy pan tę sprawę bezpośrednio z aktem morderstwa? - zapytał wreszcie.

Hagen wyjaśnił mu swój punkt widzenia i wskazał na pewnego rodzaju stan zawieszenia, w jakim chwilowo się znaleźli, kiedy człowiek, do tej pory dzwoniący regularnie, wczoraj nie skontaktował się z nimi, a jednocześnie nie mogli posunąć się dalej w sprawie garsoniery, bo kobieta, która mogłaby udzielić im wyjaśnień, była za granicą. Jeżeli on nie zadzwoni dzisiaj, to następny ruch są w stanie wykonać dopiero jutro wieczorem.

- Rozumiem. Nie wnikając w personalia, skoro chcecie je panowie zachować dla siebie, chciałbym zapytać, czy osoby związane z wątkiem, nazwijmy to prywatnym, mogły, według pana oceny, stworzyć całą tę oprawę nekromantyczną, łącznie z owym rebusem, o którym rozmawialiśmy w Zamościu?

Hagen pomyślał o mężu Marty, wykładowcy historii starożytnej, który na pewno wszystkie tego typu informacje miał w jednym palcu, i zrobiło mu się na moment gorąco. Miał ochotę stuknąć się w czoło otwartą dłonią, żeby ukarać się za to, że nie skojarzył tych dwóch faktów.

- Myślę, że jest to możliwe - powiedział ostrożnie. - W zasadzie ująłbym to może nawet tak: biorąc pod uwagę, że o naszym dzwonniku nie wiemy nic...

- Dzwonniku? - Scarpì patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Przepraszam, to taki roboczy slang. Człowiek, który do nas dzwoni, został przez niektórych nazwany dzwonnikiem, dla ułatwienia komunikacji. Zatem ponieważ nie wiemy o nim właściwie nic, nie wiemy też, czy to ta sama osoba, która pisała anonimy, nie jestem w stanie ocenić, czy na przykład mógł wymyślić te gry liczbowe. Osoby związane z, jak ksiądz to ujął, wątkiem prywatnym, owszem, mogłyby tego dokonać z łatwością.

- No cóż, zatem pozostaje mi tylko podziękować za tę informację, choć jak sadzę, wystąpimy o udostępnienie nam pełnej dokumentacji dotyczącej tego aspektu sprawy. - Hagen skinął głową. - Muszę powiedzieć, tak między nami - Scarpì pochylił się lekko w stronę inspektora - że jeżeli te supozycje znajdą pełne potwierdzenie w faktach, będzie to świadczyć o niezwyklej umiejętności ukrywania swoich poczynań przez

biskupa Wygnowskiego. Zazwyczaj tego rodzaju historie, zwłaszcza jeżeli ciągną się przez dłuższy czas, są publiczną tajemnicą w kręgach kościelnych. W tym wypadku nie natrafiłem na żadne podejrzenia, nie mówiąc o dowodach.

- Zgadza się. Z tego, co zdążyłem się zorientować, ksiądz biskup rzeczywiście dobrze potrafił zakonspirować ten aspekt swego życia. Pozostaje pytaniem otwartym, jak dalece udało się to drugiej połowie ich związku?

- Sądzi pan, że zdradzany mąż byłby doskonałym wyjaśnieniem całej tej historii?

Hagen przyglądał się chwilę młodej dziewczynie, która pod okiem instruktora ćwiczyła pierwsze uderzenia. Kiedy pochylała się lekko i wypinała, żeby przyjąć właściwą pozycję, pod obcisłymi spodniami doskonale widać było zarysy szczupłych pośladków i stringi, które miała pod spodem. *Cherchez la femme*, pomyślał. Zawsze to samo...

- Kiedy zaczynaliśmy to dochodzenie i zacząłem przekopywać się przez materiał dowodowy, rozmowy ze świadkami, znajomymi, współpracownikami i rodziną, nie mogłem znaleźć jednego, choć szukałem ze wszystkich sił. Nigdzie, na taśmach, zdjęciach, w opasłych tomach akt, nie było nawet cienia racjonalnego motywu morderstwa. Mieliśmy tę teorię sekty satanistycznej i teorię szaleńca. Żadnych wiarygodnych bezpośrednich świadków, żadnych innych opcji, które można by chociaż przebadać. Teraz sytuacja wygląda inaczej. Zazdrość, zraniona dumą... Jest ksiądz Włochem, nie muszę księdzu tłumaczyć jakie to potężne motywy. Rozwód po włosku to w końcu wasz wynalazek. - Scarpi skinął głową. - Łatwo wyobrazić sobie sytuację, kiedy mąż orientuje się, że jego ukochana żona ma romans z

innym mężczyzną. Być może dała mu to boleśnie odczuć? Kobiety często łączą płomienny związek na zewnątrz małżeństwa z gwałtownym ochłodzeniem stosunków wewnątrz. Szczególnie pożycie intymne jest wrażliwe na takie emocjonalne rozdarcie. Może przestała z nim sypiać, wymawiając się w najróżniejszy sposób? Kto wie? W pewnym momencie on zdobywa dowody i najprawdopodobniej żąda, żeby zakończyła swój romans. Ona się nie zgadza lub zgadza się pozornie, ale potajemnie spotykają się dalej. Dowiemy się. W każdym razie mąż uznaje, że w tej sytuacji jedynym sposobem na zatrzymanie jej i być może odzyskanie uczucia jest pozbycie się konkurenta w sposób, który odsunie od niego podejrzenia zarówno policji jak i małżonki. Wymyśla więc cały ten satanistyczny *entourage*, czeka i w odpowiednim momencie... - Hagen zamarł na chwilę z otwartymi ustami.

Boże, przecież to takie oczywiste!, pomyślał. Rachwalski był z tego samego kręgu zawodowego co biskup, mógł znać jego rozkład dnia, jeżeli wiedział o przyjęciu imiennym u dziekana, jeżeli był w dodatku na nie zaproszony... Związane z tym skojarzeniem możliwości jak błyskawice przebiegły mu przez głowę.

- Czy coś się stało? - zapytał Scarpi.

- Nie, ale właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl, która być może pozwoli nam posunąć się naprzód w tym wątku śledztwa. Tak czy owak zabija Wygnowskiego, pozorując działanie sekty lub wariata, i czeka na rozwój wydarzeń.

- Wiele ryzykuje - odparł Scarpi powątpiewającym tonem.

- Włoski rozwód zasadzał się na domniemaniu bezkarności,

jakie żywili sprawcy. Od kiedy zaczęli być karani z całą surowością prawa, liczba tego typu spraw drastycznie zmalała.

- Po pierwsze, mógł przypuszczać, że nie dowiemy się o mieszkaniu. Zresztą mało brakowało, a przeoczylibyśmy ten ślad. Po drugie, nie mamy pojęcia, czy w ogóle wiedział o tej garsonierze. Nie jest powiedziane, że schwytał ich *in flagranti* ani że ich śledził. Mógł się nie orientować, gdzie się spotykają, a jednak wiedzieć o ich związku. Sądzę, że przemyślał to wszystko dokładnie, zaplanował, rozważył wszystkie za i przeciw, a ponieważ pchany był silnym impulsem zemsty i zazdrości, więc w końcu podjął decyzję i uderzył.

- Zakłada pan zatem, że ten, jak mówicie w policji: dzwonnik, nie jest mordercą?

- To za wiele powiedziane. Uważam, że mamy alternatywny ślad, co najmniej tak samo dobrze udokumentowany jak tamten, z tą wielką przewagą, że pojawia się w nim właśnie ten brakujący kamyczek - motyw. Stary jak świat, normalny, niewydumany motyw, który mógł pchnąć człowieka do takiej zbrodni.

- Nie można igrać z uczuciami, to prawda. - Scarpi zamyslił się. - Czy ten dzwonnik jest groźny, czy nie? - spytał po chwili.

- Czy jego groźby wobec księży są realne?

- Tak.

- Nie wiem. Jeden ksiądz zginął. Kiedy ktoś dzwoni i mówi, że to zrobił i że ma zamiar zabić następnych, to nie należy tego lekceważyć.

- Żałuję, że jak dotąd nie mogliśmy być bardziej pomocni. - Scarpi westchnął lekko i odstawił pustą szklankę. - Nasze wewnętrzne śledztwo ujawniło obraz pasterza niemal doskonałego. Nie mógłby być lepszy, gdybyśmy się szykowali do procesu beatyfikacyjnego. - Uderzył dłonią w stół z wyraźną irytacją.

- Jedno jest pewne. Ktokolwiek wiedział o romansie biskupa, nie próbował najczęściej używanej w takiej sytuacji drogi i nie skontaktował się z kurią. Zatem jeżeli, tak jak pan mówi, walczył o zakończenie ich związku, nie zaatakował go w jego najsłabszym miejscu. Dlaczego?

Hagen zastanowił się przez chwilę nad argumentem jezuitę. Rachwalski był pracownikiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jeżeli wszcząłby taką awanturę na tej właśnie uczelni, gdzie wpływy hierarchii Kościoła w porównaniu z pozycją jednego świeckiego wykładowcy były ogromne, to jakie miał szanse na zwycięstwo bez wywlekania wszystkiego na zewnątrz i zniszczenia swojej kariery? Hagen spróbował rozważyć je obiektywnie i doszedł do wniosku, który jak sądził, nasunął się też Rachwalskiemu. Szanse na zwycięstwo były minimalne. Co mógł więc zrobić, aby nasycić zarówno swoją potrzebę zemsty, jak i zachować życiowe *status quo*? Rozwiązanie, które streścił przed chwilą Scarpnemu, wydawało się w zasięgu ręki...

- Nie wiem dlaczego - powiedział. - Dowiemy się.
- Być może ten romans jest po prostu pewnym artefaktem logicznym, może istnieje inne wyjaśnienie znanych wam faktów?
- Być może, ale żeby znaleźć to inne wyjaśnienie, trzeba by się posłużyć jakąś inną, nieznaną mi odmianą logiki.

Hagen dopił piwo. Wątpliwości zakonnika nie brzmiały przekonująco. Wyglądało na to, że stosunkowo łatwo zaakceptował całą historię. Hagen był bardzo ciekaw, co Włoch rzeczywiście wiedział.

Scarpi wstał.

- Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak czekać i mieć nadzieję, że jeden z tych wątków doprowadzi nas do mordercy. I oby po drodze nikomu nie przytrafiło się nic złego.

- Amen - odpowiedział Hagen, ujmując rączkę swego wózka. Przed nimi leżało jeszcze kolejne dziewięć dołków do zamknięcia rundy.

W drodze powrotnej zadzwonił do Sylwii i podzielił się z nią wszystkimi skojarzeniami, jakie nasunęła mu rozmowa ze Scarpim. Zobowiązała się do przejrzenia dokumentów i dyskretnego przepytania dziekana na temat zaproszonych i obecnych na przyjęciu gości. Była właśnie na etapie zbierania informacji o Rachwalskim, łącznie z zamawianiem z biblioteki jego pracy habilitacyjnej.

- Po co pani te szpargały? - zapytał.

- Niech pan posłucha, inspektorze, o czym pisał. - Usłyszał szelest przewracanych papierów, a potem ze słuchawki popłynął znowu jej głos. - „Najwcześniejsze udokumentowane przypadki praktyk magicznych z terenu Palestyny. Analiza porównawcza w świetle Biblii i pism talmudycznych”.

- Specjalista od magii?

- Na to wygląda. Ślad staje się coraz gorętszy, czuję to.

- Super. Będziemy w kontakcie.

Uczucie tłumionej ekscytacji i oczekiwania, jakie przeżywał od wczoraj, jeszcze się nasiliło.

Po obiedzie długo pracował w komendzie, studiując pod nowym kątem materiały z pierwszych dni śledztwa. Od czasu do czasu na czytany tekst nasuwał mu się obraz rozchylonego szlafroka Ewy i wtedy z westchnieniem sięgał po kolejny łyk zimnej kawy.

- Mogłaby prawie być twoją córką, stary capie... - mruzczał do siebie i z determinacją, by więcej o niej nie myśleć, zagłębiał się w kolejny dokument. Sygnał telefonu przerwał mu lekturę. Nie odrywając spojrzenia od strony, którą czytał, odebrał połączenie.

- Hagen.

- Hołownia z tej strony. Nie uwierzysz, ale ten sukinsyn zadzwonił przed paroma minutami do mnie na komórkę! Cholerny drań! Komórki nie są monitorowane, więc zanim podałem centrali numer, który mi się wyświetlił, jego już dawno nie było przy budce. Jeżeli będzie teraz dzwonił bezpośrednio do mnie, to jesteśmy ugotowani.

- No nie, nie jest tak źle. Jest kilka opcji. Pierwsza, najbardziej prymitywna, to jeżeli zobaczysz, że dzwoni numer, którego nie znasz, a szczególnie aparat uliczny, to nie odbieraj, tylko drugim telefonem dawaj sygnał do centrali. Druga to automatyczne przekazywanie połączeń z twojego telefonu na centralę, co pozbawi cię praktycznie dostępu do komórki, więc możesz ją i tak zostawić na centrali, co jest wersją trzecią.

- To wszystko i tak w poniedziałek. Powiem ci, że trochę mnie zatkało, kiedy na spacerze z dziećmi usłyszałem tego łobuza w słuchawce.

- Co nam objawił tym razem?

- Jak zwykle był dość lakoniczny. Powiedział: „To już naprawdę niedługo. Ta śmierć was zaboli”.

- Jeżeli jest żartownisiem, to bardzo oszczędnym w słowach.

- Oby był. Kiedy tak myślę o tych wiadomościach od niego, to mam poczucie, jakbym patrzył na gromadzące się chmury. Już jest diabelnie ciemno i za chwilę zaczną padać. Boję się, że

jeżeli wkrótce go nie dorwiemy, to komuś stanie się krzywda. To jest tak, psiakrew, jakbyśmy oglądali jakiś cholerny film. Widzisz, że za chwilę kogoś rozwałą, ale nic nie możesz zrobić, bo to wszystko dzieje się za szybką telewizora i nikt cię nie usłyszy, choćbyś krzyczał na całe gardło. Teraz mam identyczne wrażenie. Praktycznie widzimy go, jak się zamierza na kolejną ofiarę, i nic nie możemy zrobić! To mnie frustruje, to mnie diabelnie wkurza! Dobrze, dobrze... - Hagen usłyszał, jak odpowiada żonie, której głos zalecał mu spokój i opanowanie, chociażby przez wzgląd na dzieci.

- Do zobaczenia w poniedziałek. - Wciąż posapując z irytacji, komisarz rozłączył się.

Hagen dopisał nowy akapit do rubryki, w której trzymał wszystkie cytaty z dzwonnika. Ta sytuacja trwała już zbyt długo, żeby budzić w nim takie napięcie jak w Hołowni, który uważał, że to jest jego główny ślad. Teraz Hagen obiecywał sobie znacznie więcej po ich nowym tropie i coraz bardziej skłonny był uznawać dzwonnika za nieszkodliwego, choć uciążliwego maniaka. Kiedy go wreszcie złapiemy, to pewnie okaże się, że leczył się już od dawna, i tylko nasz profil osobowościowy był tak skonstruowany, że nie wychwycił go podczas przeczesywania środowiska psychiatrycznego.

Z komendy wyszedł, kiedy zaczynało już zmierzchać, z myślą, aby zażyć małego spaceru. Na ścianie starego budynku zobaczył tablicę poświęconą Zegadłowiczowi, którego „Motory” były jednym z erotycznych objawień jego młodości. Włożył dłonie w kieszenie płaszcza, bo znowu zaczynało robić się zimno, i pogrążony w erotycznych fantazjach, na które wreszcie postanowił sobie pozwolić, wolnym krokiem przemierzał ulice

deptane kiedyś butami młodego chłopaka, przyszłego autora „Zmór”, Srebrempisanego.

Kilkadziesiąt minut później pił w kuchni herbatę, przeglądając jakieś kobiece pismo zostawione na stole przez jego współlokatorki, gdy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i po chwili Ewa opadła na krzesło naprzeciw niego, z wyrazem zmęczenia, ale i satysfakcji na twarzy.

- Jak poszedł pojedynek? - zapytała, kiedy zaoferował jej filiżankę.

- Przegrałem w golfa. Jeśli zaś chodzi o resztę... Zobaczmy. A jak tam inwentaryzacja?

- Doskonale. Książ Leon jest bardzo miły, ale o konserwacji dzieł sztuki nie ma najmniejszego pojęcia. Będzie co robić w długie zimowe wieczory.

- I o to chodzi. Całe ludzkie życie jest zabieganiem o to, żeby było coś do roboty w zimowe wieczory. W najgorszym razie mamy potem wzrost urodzeń na jesieni.

- Nie, nie. Tak było kiedyś, za twoich czasów - poprawiła go. - Potem, kiedy już wyginęły dinozaury, to zaraz sprytne ludziki wymyśliły telewizję. Dlatego przyrost naturalny mamy od pewnego czasu lekko ujemny.

- Co ty dziecko wiesz o telewizji? Czy ty chociaż widziałaś kiedyś czarno-biały telewizor?

- Nie, ale jako mała dziewczynka stałam kiedyś w kolejce w sklepie.

- No tak. Teraz wszystko rozumiem. To traumatyczne dzieciństwo pozostawiło trwałe rany na twojej psychice.

Jej uśmiech zgasł nagle, jakby wypowiadając ostatnie słowa, zdmuchnął płomyk świecy.

- Nie mówmy o dzieciństwie, dobrze? To nie jest dla mnie przyjemny temat.

- Przepraszam, nie miałem pojęcia...

- Jasne, nie ma o czym mówić. OK?

- Pewnie. Co z dzisiejszym wieczorem?

- Umówiłam się z Patrycją, że pójdziemy na trochę do klubu. Do Hadesu albo do MC.

- Z Patrycją?

- Tak, proszę pana policjanta. Z Patrycją, moją koleżanką z roku, bardzo miłą dziewczyną.

Podniósł ręce zwrócone wnętrzem dłoni w jej stronę w międzynarodowym geście braku złych intencji.

- Żadnych więcej pytań. Dobrej zabawy.

- Żartowałam tylko. Może byś się z nami wybrał?

- Nie masz szacunku dla moich siwych włosów?

- Siwe włosy bywają bardzo sexy. Niektórzy się farbują, żeby wyglądać jak Steve Martin. Trochę ruchu dobrze ci zrobi. Jesteś za młody na to, żeby tylko grać w golfa i oglądać gazety z modelkami w bieliźnie. - Wskazała na czasopismo, które przeglądał, gdy weszła.

Hagen spróbował policzyć, ile to czasu minęło, od kiedy był w klubie studenckim, i właściwie nie mógł sobie przypomnieć. Był stary. Odkąd rozstał się z Claire, starzał się w środku tak szybko, jakby zaraził się progeria. Czy to mógł być ten rodzaj lekarstwa, którego dotąd szukał nadaremnie? Energia emanująca z młodych ludzi, która tak przypadła do gustu księdzu Piotrowskiemu. Kto wie? Skinął głową i podziękował za zaproszenie: jeżeli to nie będzie kłopot i tak dalej.

Ewa odstawiła filiżankę i wstała.

- Idę się wykąpać i przebrać. Patrycja wpadnie za godzinę.

Gdy znalazł się z powrotem w pokoju, zorientował się, że myśli, w co się ubrać, jakby rzeczywiście wybierał się na jakąś randkę, i co dziwniejsze, że odczuwa pewne podekscytowanie, tak jakby ta piękna młoda kobieta znajdowała się w kręgu jego możliwych zdobyczy. Kiedy przebierał się w dzinsy i nową koszulkę polo, złapał się na wesołym pogwizdywaniu i to przekonało go ostatecznie, że wieczorne wyjście było dobrym pomysłem. Zbyt długo już czuł się jak zmurszały pień, niepotrzebny i obumarły. Trzeba otrząsnąć się z kory, zobaczyć, co życie niesie jeszcze oprócz pracy i przegranych, smutnych romansów, z góry skazanych na najwyższy wymiar kary.

Usłyszał pukanie Patrycji i otworzył drzwi. Ładna blondynka z długimi włosami przywitała go jak starego znajomego, a chłopak w skórzanej kurtce, który wszedł za nią, mocno uściśnął mu dłoń.

- Krzysiek - powiedział.

Przez chwilę kusilo go, żeby powiedzieć: inspektor Hagen. Ale na to miał w sobie zbyt mało alkoholu. Weszli do środka i Patrycja zniknęła w pokoju Ewy. Krzysiek był sympatycznym, otwartym człowiekiem. Jak się okazało, studiował prawo, był na bieżąco ze sprawą biskupa i, jak zapewnił, przynosiło mu zaszczyt, że wybierze się do klubu z inspektorem nadzorującym śledztwo. Hagen ze swej strony poprosił go, żeby nie rozmawiali o sprawie, bo jak się wyraził, nie są to tematy, które powinny być omawiane na szerokim forum, wiesz, co mam na myśli. Krzysztof wiedział i wtedy z mroku korytarza wyłoniły się dziewczyny. Ewa wyglądała tak pięknie, że na chwilę zaparło mu dech w piersiach. Coś, czego nie doświadczył od wielu miesięcy. Na myśl, że przez cały wieczór będzie mógł choćby

patrzyć na nią z bliska, ogarnęło go uczucie niekłamanej przyjemności.

Kluby studenckie nie zmieniły się jakoś dramatycznie od jego czasów, więc po chwili czuł się jak u siebie w domu. Ryk muzyki, potężny, przyspieszony puls basów, który czujesz w piersiach, poganiający twoje własne serce, tłok, gwar, śmiech, alkohol, zapach papierosów i marihuany. Tutaj, jak rzadko gdzie, miało się uczucie chwytania dnia za mordę. Znaleźli mały stolik, Hagen zamówił potrójną tequilę dla wszystkich. Barmanka z kolczykiem w nosie podała mu tackę z dwunastoma złotawymi szklaneczkami, cytryną i miseczką z solą. Rozmawiali o jakichś drobiazgach, ale niewiele, bo hałas był okropny. Rozglądał się ciekawie dookoła. Od razu zauważył dwóch mężczyzn w swoim wieku, wysokiego, potężnie zbudowanego blondyna i drugiego w okularach, mocno siwiejącego, siedzących dwa stoliki obok z jakimiś dziewczętami, pogrążonych w rozmowie, zapewne bardzo wesołej, bo pomimo hałasu co chwila dochodziły do niego wybuchy śmiechu. Fakt, że nie był tu jedynym wykopaliskiem, dziwnie dodał mu animuszu. Kiedy rozmawiali z Ewą, pochylali się do siebie blisko, żeby nie krzyknąć i coraz częściej zanurzał twarz w jej bujne włosy. Czy to dzięki jej bliskości, czy dzięki tequili jego dobry nastrój stawał się coraz lepszy.

Kiedy wypili drugą rundkę trzech kieliszków, przyszła pora, żeby udać się na parkiet. Ścisk był taki, że taniec zostawał siłą rzeczy sprowadzony do swoich pierwocin, rytmicznych ruchów o mniejszym lub większym stopniu skoordynowania, w zależności od możliwości i stanu tańczącego. Pomimo obiektywnych przeszkód kilka par obok nich dawało prawdziwy pokaz

erotycznych pragnień, ocierając się o siebie w niezwykle zmysłowy sposób. Dudniła muzyka, pulsowały światła, wyrrywając snopem stroboskopu z ciemności tańczących i rozmazując ich w czasie, białe bluzki świeciły błękitnawo w ultrafiolecie, odcinając się od sztucznie pociemniałych twarzy, jakby wszyscy zjechali się tutaj prosto z Karaibów.

Najpierw tańczyli oddzielnie, w zasadzie we czwórkę, ale potem Patrycja przytuliła się do Krzysztofa i kiedy Hagen chciał coś powiedzieć Ewie, odruchowo przycisnął ją do siebie i tak już zostali, poruszając się razem, wyczuwając dotyk swoich ciał, wymieniając od czasu do czasu jakieś krótkie frazy, które usprawiedliwiały tę nagłą bliskość. Hagen zawsze miał dobre poczucie rytmu, teraz bez trudu dostosował się do rodzaju tańca, który jej zdawał się odpowiadać. Zahaczył palec wskazujący za szlufkę od paska z tyłu jej obcisłych spodni, ich biodra stykały się, zjednoczone w rytmicznym ruchu. Gdy pochyłał się trochę bardziej do przodu, żeby coś do niej powiedzieć, lub kiedy ona pochyliła się w jego stronę, czuł sprężystą krągłość jej piersi. Kiedy szli z powrotem do stolika, w kolejnej powodzi ultrafioletu i białego światła lampy stroboskopowej migającej gdzieś nad głową zobaczył, jak jej białe ciuszki zapłonęły zimnym, intensywnym blaskiem. Zdawała się płynąć przed nim na tle ciemnej sali, unosząc się w strumieniu czasu, zamrożona jaskrawymi błyskami, odciskając na jego siatkówce obrys idealnej kobiecej sylwetki, gibkiej, głęboko wyciętej w talii, z krągłymi zarysami bioder. Zamówił z tej okazji kolejną porcję tequili i potem, pochylony w jej stronę, w gąszczu lśniących i pachnących włosów opowiedział jej o tym. Podchodząc znowu do baru, pochwycił spojrzenia młodych mężczyzn, pewnie

studentów, cały ten klub był mekką studentów, ślizgające się po niej. Wyłowił z gwaru i muzyki słowa podziwu oraz pożądania, wulgarne i szczere.

- Jezu, ja pierdołę, co za ekstradupa...

W tej krótkiej chwili nie ciążył mu wizerunek starego satyra obleśnie zalecającego się do młodej nimfy. Potem jednak wydał się sobie tym bardziej śmieszny i trochę żalony.

- Przepraszam - powiedział cicho, kiedy w jej rozmowie z Patrycją znalazł krótką szczelinę.

- Co mówiłeś?

- Przepraszam - powtórzył, przysuwając usta możliwie blisko jej ucha, tak by nikt inny nie mógł ich usłyszeć. Jej dłoń o eleganckich, naturalnych paznokciach z delikatnym francuskim manikiurem spoczęła na chwilę na jego policzku.

- Za co?

- Za te... Te głupstwa, które tu opowiadałem przed chwilą... Normalnie to nie jest w moim stylu.

Pochyliła się i poczuł jej wargi muskające jego ucho.

- Podoba mi się twój nowy styl. - Mrugnęła do niego zawadiacko i wróciła do przerwanej konwersacji.

Czując, że jego dobry nastrój zaczyna się rozpadać jak domek z kart, poszedł na całość i zamówił cztery pełne porcje kamikadze. Barmanka, tym razem z dużą ilością kolczyków w uszach, napełniła cztery rzędy probówek błękitnym, opalizującym płynem, którego skład Hagen ciągle zapominał, a który przynajmniej barwę zawdzięczał blue curacao. Kiedy postawił je na stoliku, Patrycja powiedziała:

- Chłopcy próbują nas chyba upić! Tylko po co? Czy ja nie jestem wystarczająco łatwa, Krzysiu?

- Jesteś cholernie łatwa - zgodził się pogodnie Krzys, na którego tequila zdawała się działać znacznie silniej niż na dziewczyny. - Dlatego tak cię kocham.

Zaczęli całować się namiętnie, Hagen i Ewa wybuchnęli śmiechem i spojrzeli na siebie. W jej dużych, ciemnych oczach odbijały się światła baru i pełgały jak iskry wesołości. Tamci oderwali się od siebie z widoczną trudnością. Dłoń Patrycji pozostała na udach chłopaka.

- Za miłość! - powiedział Hagen, przekrzykując muzykę.

- I za pigułkę antykoncepcyjną - dodała Patrycja i wszyscy znowu się roześmieli.

Powiada się, że dobrze zrobiony kamikadze ma w sobie taką moc, że każdy, kto go wypije, lotem koszącym zaczyna zbliżać się do podłogi. Ta opinia okazała się z pewnością trafna w odniesieniu do Krzysia. Wypiwszy cały rząddek, pozostał już na krześle, oddalając się w sobie tylko znany wymiar. Hagen, widząc to, przezornie wyhamował i pozostał przy dwóch próbkach. Wystarczyły one, aby jego ruchom na parkiecie nadać nadzwyczajną miękkość i grację, którą ktoś patrzący z boku i nieuprzedzony co do ich rzeczywistego charakteru, mógłby wziąć za lekkie zataczanie się od czasu do czasu. Na szczęście tłok i zgiełk, dym i rytm nie pozwalały nikomu na bardziej szczegółowe obserwacje. Oparli się o siebie nawzajem, czuł jej gibkie ciało poruszające się w tym samym rytmie, strome piersi ocierały się o niego, włosy, burza jej wspaniałych włosów oplątywała mu całą twarz, bo coś jej chciał powiedzieć, zaraz jak zaczęli tańczyć, a może ona jemu, ale zapomniał, o co chodziło, i tańczyli tak wraz z perkusją rozpędzającą krew w żyłach, a serce biło mu prędzej i prędzej, czas zwolnił i zniknął

gdzieś w ciemności. Poczul narastającą falę gorąca, jakby ktoś rozdmuchał w jego trzewiach stare, spopielałe węgle, i teraz cały zdawał się żarzyć czerwonym poblaskiem. Zdał sobie sprawę, jak bardzo jest podniecony, a po chwili dotarło do niego, że ona z pewnością również to czuje. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie jest mu wstyd. Wyzwolił się z duszącego gorsetu autoironii. Była piękną kobietą, godną pożądania przez każdego mężczyznę. Nieważne, starszego czy młodszego. Wokół niej wirował cały rozedrgany, rozchybotany dźwiękiem mikrokosmos. W jaskrawych błyskach światła widział jej wielkie oczy, jak oczy gazeli z Chobi wpatrującej się w niego w blasku reflektora.

W pewnej chwili, kiedy pochylił się, żeby jej wreszcie powiedzieć, jak bardzo mu się podoba, ona też odwróciła głowę w jego stronę, pewnie żeby powiedzieć coś do niego. Ich usta zetknęły się, zderzyły ze sobą, poczuł, że zarzuca mu ramiona na szyję i całowali się bezwstydnie na środku parkietu, pojawiając się i znikając w błyskach stroboskopu, jakby jakiś nowy, szalony Rodin rzeźbił ich wprost z mroku lśniącem dłym światła. Zatonął w niej, w muzyce przenikającej splecione ciała, zanurzył się w dotyku, smaku i zapachu. Poczul, że jej dłoń gładzi krótkie włosy z tyłu jego głowy, a druga wsuwa się do tylnej kieszeni dżinsów, przyciskając go jeszcze mocniej. Ztracił się w jej objęciach zupełnie. Do rzeczywistości przywrócił go jej głos:

- Wracamy do domu. Natychmiast. - Jej język w jego uchu był argumentem nie do odrzucenia.

Na przeszkodzie w realizacji planu stanął im chwilowo Krzyś, którego ktoś musiał Patrycji pomóc dostarczyć do domu. Gdy spod akademika, gdzie rolę holowników przejęli koledzy, jechali taksówką w stronę domu Patrycji, Ewa pocieszała

koleżankę, która najwyraźniej liczyła na znacznie bardziej interesujący wieczór. Hagen nie mówił nic. Wpatrywał się w nocne miasto przemykające za oknem, nieznanne mu domy i ulice. Trzymał ją za rękę, ich przeplecione palce mocno zaciśnięte, jakby się bał, że zniknie jak senne widziadło. Gdy wysiedli na Jesionowej i światła samochodu zgasły za rogiem, Hagen poczuł nagle, że jest zupełnie trzeźwy. Słyszał szelest liści usychających w ciemnościach nad ich głowami, widział obłoczki pary, jakimi unosiły się ich oddechy. W górze pełgały gwiazdy, nad dachem domu wisiał wielki, bladოსrebrzysty księżyc, zatapiając ich w zimnej, nocnej poświacie. Jesienne powietrze było kryształowo przejrzyste, widać było wyraźnie fakturę powierzchni martwego globu, krater i wielkie równiny mórz. Wydawał się na wyciągnięcie ręki. Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, zobaczył go jeszcze raz, odbity w jej oczach. Cicho weszli do domu. W korytarzu moment niepewności, co teraz, czy to już koniec na dzisiaj, czy też będzie jeszcze jakiś dalszy ciąg.

- Chodźmy do ciebie - szepnęła. - Rano Agnieszka czasem wchodzi do mnie bez zapowiedzi, nie chcemy jej przecież szokować.

- Pewnie, że nie.

Hagen otworzył drzwi do pokoju, weszli. Podszedł do łóżka i zapalił małą lampkę.

- Nastaw jakąś muzykę - powiedziała cicho.

Kliknął myszką, by ożywić komputer i wprowadził hasło. Kiedy wkładał płytę, usłyszał za plecami jakiś szelest i odwrócił głowę. Zobaczył ją w półmroku, miała na sobie teraz tylko wysoko wycięte białe majteczki i biustonosz. Uśmiechnęła się, widząc podziw i pożądanie wymalowane na jego twarzy. Podeszła do niego lekkim krokiem, oparła mu dłonie na ramionach.

Kłęcząc, miał twarz na wysokości jej płaskiego, opalonego brzucha. Przytulił się do niej, najpierw policzkiem, potem ustami, całując atlasową skórę. Wstał powoli, znowu zetknęły się ich wargi, poczuł, że wyjmuje mu koszulkę ze spodni. Podniósł ręce do góry, żeby mu ją mogła zdjąć. Kiedy z głośników popłynęły pierwsze takty muzyki, leżeli już spleceni, szukając się głodnymi ustami i spragnionymi dłońmi, ich nagie ciała spowite tylko woalem dźwięku.

Wynurzył się z krótkiego snu, jak z głębi oceanu, wciągnął głęboko powietrze w płuca. Jej ciało, wtulone w niego plecami, przesycone było spokojem. Jego dłoń na jej piersi poruszała się lekko w rytm powolnego oddechu. Włosy łaskotały go w policzek. Nawet w bezruchu poranka, zagładającego kolumną słonecznego blasku do pokoju, czuł jędrność i napięcie opalanej skóry, którymi niedawno nie mógł się nasycić. Kochali się przez całą noc, do świtu. Wspomnienie jej głośnych westchnień, kiedy gryzła palce, żeby nie krzyczeć, a paznokcie wbiła mu w ramię tak mocno, że potem śmiejąc się, oglądali ślady, sprawiło, że otarł się o nią zmysłowo. Mruknęła coś niezrozumiałe, jej dłoń powędrowała na jego pośladki, przyciskając go mocniej. Zaczął pieścić delikatnie jej piersi i całować muszelkę ucha, którą odszukał ustami w gęstych splotach włosów. Po chwili kochali się znowu, teraz już powoli i delikatnie, obolali po długich godzinach namiętności, jakie mieli za sobą.

Dzień niedzielny dotrzymał obietnicy, jaką niosła noc. Błękit zamknął się nad Lublinem przejrzystą kopułą. Z rzadka,

statecznie, żeglowały pod nią białoszare kłęby młodych chmur, rozświetlone jaskrawym, niemal letnim słońcem.

Wyszli na spacer i wędrowali teraz stromymi uliczkami zmierzającymi w stronę starego miasta, obejmując się ramionami i całując co pięćdziesiąt kroków. Brudne jesienne liście, tak odrażające jeszcze parę dni temu, połyskiwały w słońcu starym złotem, szeleszcząc pod ich stopami, szemrząc nad głową. Zatrzymali się na chwilę pod wielkim kasztanowcem, gdzie spośród poplątanych, pożółkłych źdźbeł trawy wyławiali zielone, kolczaste języki kasztanów i otwierali je, zgadując, ile gładkich, brązowych owoców będzie w środku. Hagen spoglądał na nią ukradkiem, kiedy odwracała wzrok, i nie mógł uwierzyć, że to wszystko, co układało się teraz w jego pamięci jako kolejna warstwa przeszłości, rzeczywiście się wydarzyło. Obserwował miękkie poduszeczki jej ust, delikatnie wykrojone nozdrza, szlachetny zarys wysokich kości policzkowych, wygięte łuki brwi. Kiedy pochylała się nad kłębowskiem trawy, widział cień, jaki rzucały długie rzęsy. Jednocześnie wiedział, że ma ją na wyciągnięcie ręki, i nie mógł w to uwierzyć. Była jak istota, która zstąpiła z głębi jego erotycznego snu i dlatego nie może być prawdziwa. Kiedy się obudzę, pomyślał, będę do niej tęsknił.

Obeszli wokół dawne staromiejskie mury, dziś już w większości nieistniejące, zaglądali do starych, renesansowych kościołów otwartych w to piękne jesienne popołudnie, spacerowali tam, gdzie niegdyś była dzielnica żydowska i stała wielka synagoga, potem weszli na zamek i jak prawdziwi turyści obejrzeli freski w kaplicy pod wezwaniem Świętej Trójcy, unikato-we połączenie zachodniej, gotyckiej architektury ceglanej rodem z północnoeuropejskich nizin i wschodniej sztuki

dekoracyjnej tchnącej splendorem prawosławia. Słuchał melodii jej głosu, kiedy objaśniała mu różne detale polichromii, przyglądał się jej miękkiemu profilowi na tle barwionego szkła okien. Usiedli potem w ogródku na rynku, rozmawiali o burzliwym związku Patrycji i Krzysztofa, którzy rozchodzili się i wracali do siebie regularnie od kilku lat. Opowiadała mu o tegorocznych wakacjach w Grecji, kiedy chciały w męskich przebraniach dostać się na górę Athos i na szczęście w ostatniej chwili porzuciły ten pomysł, o wspinaczce w Meteorach, gdy zeszyły z utartych szlaków i postanowiły zdobyć szczyt jednego z niezamieszkałych ostańców z antycznymi ruinami murów na szczycie, co o mały włos nie skończyło się tragicznie, bo popękana skała nie stanowiła pewnego oparcia dla dłoni i stóp. Potem on zagłębił się we własne wspomnienia helleńskie. Mówił o wieczorach i porankach na górze Giona, wznoszącej się ponad starożytnymi Delfami, gdzie wśród szczytów można było strząsnąć z sandałów pył i upał Fokidy i w chłodnym, przejrzystym powietrzu kąpać się jak w morskich falach. Opowiedział o wieczorach i nocach spędzonych na korynckich plażach, gdzie żywili się winogronami skradzionymi z pobliskich upraw, pili młode wino wyniesione w półtoralitrowych butelkach po 7UP z lokalnego święta winorośli i rozmawiali o bogach i historii, patrząc w gwiazdy i na światła statków opuszczających kanał rozdzielający kontynent od wyspiarskiego teraź Peloponezu. Spróbował odmalować dla niej ciszę i aromat sosnowych gajów ciągnących się wzdłuż złocistych plaż riwieri olimpijskiej w czasach, kiedy więcej było tam kuracjuszy przy słynnych źródłach niż wczasowiczów, gdzie morska bryza przesywała na wskroś zacienione wydmy, zmuszając go do noszenia

koszulek, gdy parę metrów dalej, na plaży, piasek był tak rozgrzany, że można było po nim tylko biec do wody. Obdarowywali się wspomnieniami, przekazując je sobie jak delikatne klejnoty, ostrożnie, z uwagą, tak by nie uronić nic z połyskliwej zawartości. Poznawali swoje sposoby odczuwania świata. Oswajali swoje dusze po tym, jak w nocy próbowali oswoić swoje ciała. Kiedy mówiła, wpatrywał się w jej oczy i usta, nie chcąc uronić żadnych niuansów, półuśmiechu lub zmarszczenia brwi. Miał świadomość, że kiedy sam opowiadał i zaczynał patrzeć przez nią na wskroś, prosto w minione dni, jej wzrok równie badawczo wędrował po jego twarzy. Na cześć greckich wspomnień jedli owoce morza, bakłażany i pili retsinę, którą znalazł na samym końcu karty win.

- Nikt tego nigdy nie zamawiał - przyznał kelner - dlatego jeszcze mamy.

Potem, po krótkiej konferencji z szefem kuchni, zamówili deskę serów z orzechami włoskimi i winogronami, której nie było w karcie, oraz młode, białe bordeaux.

Godziny przepływały wraz z cieniami kamienic ślizgającymi się po bruku. Chłód dał im sygnał do wymarszu. Wędrowali powoli ulicą Gruella. Kiedy mijali Katowski Kamień, objął ją i mocno przytulił. Przez mroczną śluzę Bramy Trynitarzkiej przeszli w jasną przestrzeń placu. Szli do domu w powolnym, spacerowym tempie, a dzień z wolna dogasał wokół nich, zatapiając wąwozy ulic w fioletowej powodzi zmierzchu.

Gorąca herbata wypita w kuchni, gdzie krzątając się wokół kubków i czajnika, ocierali się o siebie jak lubieżne koty, rozgrzała ich i rozleniwiła. Hagen wziął z pokoju butelkę porto i dwa kieliszki. Usadowili się u niej na kanapie. Położył głowę na

jej kolanach, zamknął oczy i cały zamienił się w dotyk. Czuł palce przeczesujące mu delikatnie włosy, sprężystą jędrność jej ud pod głową, chłodny, gładki ciężar kieliszka, który wolno obracał w dłoni zwieszanej nad dywanem. Kiedy uchylił lekko powieki, kątem oka dostrzegł wypukłość piersi, obrysowaną mocnym cieniem przez światło stojącej lampy. Rodził się w nim ten rodzaj spokoju, jaki pamiętał niejasno z jakiegoś innego życia, opowiedzianego mu chyba kiedyś przez kogoś, kto nazywał się prawie tak samo jak on...

Sygnal komórki dotarł do niego nie od razu, widocznie musiał się zdrzemnąć. W pierwszym odruchu spojrzął, czy nie rozlał wina, ale nie, kieliszek stał spokojnie na dywanie. Wyjął telefon z kieszeni i dostrzegł nazwisko komisarza na ekranie.

- Hagen.

- Dobrze, że cię złapałem. - W głosie Hołowni słychać było zdenerwowanie. - Dzwonił do mnie kilka minut temu. Powiedział: „Odjęta będzie Rzymowi prawa ręka i wylupione oko prawe, żeby nie gorszyło więcej”. Albo coś bardzo podobnego i zaczął się śmiać, a potem dodał: „zaraz”. I wyłączył się.

- Dzwonił z automatu? - Hagen przytrzymał ramieniem telefon i jednocześnie wkładał buty. Na pytające spojrzenie Ewy pokręcił lekko głową: „nie teraz”.

- Nie, z jakiejś niezarejestrowanej komórki na kartę. Próbowalem złapać Scarpiego, ale ma wyłączony telefon, wszyscy w cholernej kurii mają wyłączone telefony!

Hagen spojrzął na zegarek. Było wpół do siódmej.

- Nic dziwnego - powiedział. - Wszyscy są na wieczornych mszach.

- Gdzie go teraz znaleźć, na Boga?! - W głosie Hołowni wyczuł nutę desperacji. - Kto może wiedzieć...

- Ja chyba wiem. Może być u Dominikanów. Mówił mi w sobotę, że chodzi tam na wieczorne msze.

Hagen szedł przez korytarz, wpychając pistolet za pasek. Nie było czasu na zapinanie szelek z kaburą. Zobaczył wystraszone spojrzenie Ewy skierowane na broń i pocałował ją, nie zatrzymując się. Wskoczył do samochodu, zapalił silnik. Opony zapuszczaly, kiedy ruszył w stronę starego miasta.

- Jesteś pewien? - Słyszał przez telefon, że Hołownia idzie szybkim krokiem.

- Tak powiedział. Jestem pewien na osiemdziesiąt procent, że tam jest. Drugie trafienie to może być archikatedra. Jeżeli arcybiskup celebrowa wieczorną mszę, to może być tam. - Usłyszał trzask drzwi w samochodzie komisarza.

- Wysyłam patrole do obu kościołów i pod Pałac Biskupi. Miejmy nadzieję, że to tylko bluff.

- Jadę do Dominikanów. - Hagen wszedł w zakręt z piśkiem opon, za chwilę miał wjechać na plac przed katedrą.

- Tam się spotkamy, za kilka minut będę pod zamkiem. Hasło na dziś to „Rawa”.

Hagen rozłączył się.

Plac przed katedrą zamieniony był teraz w wielki parking, więc łamiąc wszystkie przepisy, przejechał chodnikiem pod prąd pod Bramę Krakowską i wyskoczył z samochodu. W zasięgu wzroku nie było policjantów. Wycofali z tego obszaru mundurowych, żeby morderca czuł się swobodniej, korzystając z telefonów, ale on przejrzał ich grę i teraz Hagen nie wiedział, którzy z otaczających go ludzi to jego sprzymierzeńcy. Ruszył biegiem przez bramę w stronę rynku. Jego kroki dudniły na bruku. Ominął grupkę młodzieży, odprowadzony zdziwionymi

spojrzeniami. Pistolet uwierał, więc wyszarpnął go zza paska. Przeciął rynek, gdzie na jego widok jakaś dziewczyna krzyknęła przestraszona, i skręcił w prawo w lekko wspinającą się pod górę ulicę Złotą, prowadzącą w stronę bazyliki. Minął dwie osoby idące w tę samą stronę. Kiedy dobiegł do rogu Archidiakońskiej, zwolnił do marszu, żeby uspokoić zdyszany oddech. Z lewej usłyszał w ciemności szybkie kroki biegnącego człowieka i głośnie sapanie. W perspektywie ulicy dostrzegł Hołownię. Pomachał mu ręką i kiedy upewnił się, że komisarz go zauważył, skierował się w stronę wejścia. Dłoń trzymającą broń włożył w kieszeń kurtki i przestąpił próg. W kruchcie było kilka osób, jakiś mężczyzna zaczerpnął właśnie święconej wody, przeżegnał się i skierował ku wyjściu, dwie kobiety klęczały, odmawiając różaniec.

- Święty, Święty, Święty Paaan Bóg Zastępów. Pełne są niebiooosa i ziemia... - zaintonował ksiądz, wewnątrz nie było znać żadnych śladów poruszenia, nic się chyba nie wydarzyło.

Wszedł do nawy głównej. Jego wzrok szybko przebiegał po ławkach pełnych ludzi i grupkach stojących w przejściu. Nigdzie nie widział szpakowatych włosów i orlego nosa jezuitę. Wtedy przypomniały mu się słowa o najbrzydszej Madonnie w bocznej kaplicy.

- Przy samym ołtarzu, tak że słyhać mnichów odmawiających brewiarz - powtórzył pod nosem słowa zakonnika, tak jak je zapamiętał.

Zobaczył duże okno z kolumnkami na wysokości pierwszego piętra, gdzie klasztor łączył się z wnętrzem kościoła.

- Przepraszam... - szepnął, przeciskając się środkiem w stronę ołtarza.

Kilka gniewnych spojrzeń zwróciło się w jego kierunku, ale Hagen nie zauważał zmarszczonych brwi i zaciśniętych w grymasie dezaprobaty ust.

- Uświęć te dary mocą Twojego Ducha... - powiedział ksiądz i wszyscy uklękli.

Hagen był nagle jedyny w całej świątyni, który stał. Nad głowami ludzi dostrzegł po lewej stronie, przy samym ołtarzu, niewielkie odrzwia. To musiało być wejście do kaplicy, o której wspominał Scarpi. Być może siedzi tam pogrążony w modlitwie, nieświadomy, że poluje na niego szaleniec. Hagen przecisnął się między dwiema klęczącymi kobietami i przy wtórze niezadowolonych pomruków zajrzał do kaplicy. Wewnątrz było ciemno, poblask lamp rozjaśniających kościół zatrzymywał się u drzwi, które teraz dodatkowo blokował swoim ciałem. Odsunął się, żeby przepuścić więcej światła, i zobaczył ciemną sylwetkę klęczącą przed obrazem, pochyloną w głębokim ukłonie. Jeżeli był to Scarpi, to całkowicie pogrążony w modlitwie nie zwracał uwagi na stojącego w progu. Hagen usłyszał głośne szuranie za plecami. Obejrzał się. Wszyscy wstali. Dwie czy trzy osoby patrzyły na niego ciekawie. Spojrzał znów w mrok kaplicy. Postać przed obrazem nie zmieniła pozycji. Nie drgnęła nawet o centymetr od chwili, kiedy spojrział na nią pierwszy raz. Poczul zimny dreszcz na plecach. Usłyszał za sobą szybkie kroki. Hołownia stanął za nim, dysząc ciężko.

- Jest? - wysapał szeptem.

Hagen nie odpowiedział. Wolnym krokiem, nadal mając nadzieję, że się myli, że może ksiądz po prostu usnął, podszedł do klęczącego. Z bliska widział już, że to Scarpi. Pochylił się i potrząsnął go lekko za ramię. Jezuita powoli, jak na zwolnionym filmie, osunął się na prawy bok i z głuchym łoskotem

upadł na kamienną podłogę. Hagen pochylił się nad nim, żeby wymacać puls, i poczuł, że sutanna jest mokra. W słabym świetle zobaczył, że ma rękę powalaną w ciemnej, gęstej cieczy. Cały przód sutanny był przesiąknięty krwią. Nie wyczuł tętna ani na nadgarstku, ani na szyi. Szklane oczy jezuitę odbijały światła ołtarza.

- Nie żyje. - Wstał. - Trzeba zamknąć kościół, nikt nie może... - zaczął, a potem przypomniał sobie człowieka w szarym płaszczu ocierającego się o niego w drodze do wyjścia. - Być może minąłem go w kruście! - rzucił gorączkowo. - Wychodził, musiałeś go widzieć, niepozorny facet w szarym ortalio-
nie, koło pięćdziesiątki, szczupły...

- Widziałem go, szedł szybko w stronę rynku. - Hołownia wyrwał pistolet z kabury. - Miałem nawet wrażenie, że skręcił tam, kiedy mnie zobaczył.

Powiedział kilka szybkich zdań do radiotelefonu. Przy wejściu wszczął się rozgardiasz, kilku mężczyzn wtargnęło gwałtownie do środka. Hołownia machał do nich ręką. Hagen przepychał się już w stronę drzwi, trzymając odznakę przed sobą na wysokości twarzy.

- Policja! - usłyszał jeszcze za plecami. - Proszę pozostać na miejscach...

Ulica była słabo oświetlona, w perspektywie jaśniała plama rynku. Człowieka w płaszczu nigdzie nie było widać. Hagen pobiegł przed siebie, za plecami słyszał kroki komisarza. Wbiegł na rynek. Grupa młodych ludzi stała przy ścianie Trybunału, pijąc piwo. Podbiegł do nich, wymachując odznaką.

- Policja! Ścigam mordercę. Czy widzieliście faceta, który szedł od Dominikanów jakieś dwie, trzy minuty temu? - Patrzyli na niego okrągłymi, przerażonymi oczami i dopiero po

sekundzie zorientował się, że w drugim ręku trzyma pistolet skierowany w ich stronę. Opuścił broń. - Widzieliście go?!

- Ja go widziałam, przed chwilą - powiedziała wysoka dziewczyna w czarnej skórzanej kurtce. - Poszedł tam. - Wskazała na prawo, na wylot ulicy Grodzkiej.

- Na pewno?

Ktoś inny skinął potakująco głową.

- Na pewno - odparła. - Tutaj mało kto tak się śpieszy.

W tym momencie dogonił go zdyszany Hołownia i razem ruszyli w pogoń ciężkim kłusem.

Grodzka ciągnie się na dość długim odcinku między rynkiem i bramą zamkową, przecinając rozległy plac Po Farze. W zabytkowych kamienicach ulokowało się wiele restauracji i barów, w tunelu słabo oświetlonej ulicy widzieli kilka postaci idących w obie strony. Przebiegli kilkadziesiąt metrów, oddychając coraz głośniejszymi oddechami, kiedy komisarz chwycił go za ramię.

- To on!

- Gdzie?

- Tamten facet, który minął latarnię. To on, poznaję go na bank! - Wskazana przez Hołownię sylwetka oddalona była od nich o sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów. O ile mógł dojrzeć, był to mężczyzna ubrany w płaszcz. Szedł szybko w stronę zamku. Komisarz miał chyba jednak lepszy wzrok lub przynajmniej żywszą wyobraźnię. - Bierzmy go, już nam nie ucieknie!

Wystartowali jak sprinterzy na setkę, ale już po kilkadziesiąt krokach Hagen poczuł, że nogi zaczynają mu ciążyć, a w płucach brakuje powietrza. Przebiegł dzisiaj znacznie więcej niż w ostatnich trzech miesiącach razem wziętych. Starzał się oddychać wolno i głęboko, zmuszając stopy do miarowego rytmu. Oczywiście miał utkwione w sylwetkę idącego daleko

przed nimi człowieka, czuł serce trzepoczące się w klatce piersiowej jak ryba wyjęta z sieci. Obok słyszał ciężkie kroki komisarza, jego głośny, świszczący oddech. Biegli, mijając nielicznych przestraszonych przechodniów, którzy odsuwali się z drogi na widok trzymanyh przez nich pistoletów. Odległość dzieląca ich od podejrzanego zmniejszyła się do kilkudziesięciu metrów. Widział go teraz na tle prześwietu bramy zamkowej. Zaczęło brakować mu powietrza, kiedy ścigany spojrział za siebie, usłyszawszy wreszcie ich kroki. Zamarł na chwilę, a potem rzucił się do ucieczki.

- Policja! - krzyknął Hagen chrapliwym głosem, czując gwałtowny zastrzyk adrenaliny. To jednak on! Mieli go!

- Stój, bo strzelam! - Usłyszał zadyszany głos Hołowni i zorientował się nagle, że kroki komisarza umilkły. Skręcił gwałtownie pod ścianę kamienicy. Huk wystrzału odbity echem w wąwozie starej uliczki zadudnił jak grzmot. Tamten skulił się i biegł dalej. Drugi strzał, potem trzeci rozbrzmiewały już z większej odległości, bo Hagen biegł teraz przy samym murze, żeby stanowić jak najmniejszą przeszkodę dla strzelającego. Miał wrażenie, że po trzecim wystrzale uciekający zachwiał się lekko, ale to mogło być złudzenie. Dzielilo ich jeszcze kilkadziesiąt metrów. Jeżeli tamten pokona bramę i zbiegnie po schodach na otwartą przestrzeń placu, tracąc tym samym jeszcze połowę przewagi, to celując z góry, zastrzelili go jak psa. To samo przyszło chyba do głowy ściganemu, bo nagle skręcił w lewo i zniknął w bramie kamienicy. Hagen usłyszał jakby odległy brzęk tłuczonego szkła, potem drugi, skręcił na środek ulicy i zatrzymał się, celując w ciemność pod kamiennym

łukiem i dysząc ciężko. Wewnątrz panowała cisza. Dogonił go Hołownia.

- Czy tu jest przejściowe podwórko? - zapytał go przerywanym szeptem. Zdawało mu się, że z atmosfery zniknęła nagle połowa tlenu.

- Tu... wszędzie... są przejściowe... podwórka - wydyszał komisarz. - To labirynt.

Wezwał posiłki przez radio, podając im swoją pozycję i opis podejrzanego, zarządził też blokadę okolicznych ulic. Gdzieś w dali usłyszeli zawodzącą syrenę karetki pogotowia.

- Zaraz tu będą - powiedział Hołownia.

- Zaraz to jego już tu nie będzie. - Hagen rozejrzał się szybko wokół. - Masz jakieś światło?

Komisarz sięgnął do kieszeni i wyjął małą latarkę długopisową.

- Tylko to gówno.

- Idziemy?

- Idziemy.

Hagen zacisnął spocone dłonie na kolbie pistoletu, który trzymał oburącz na wysokości twarzy, i powoli weszli w ciemność. Szli, nasłuchując, plecami do przeciwległych ścian. Hagen widział tylko niejasny, zamazany w ciemności zarys sylwetki komisarza, choć ten był raptem cztery metry od niego. Pod stopą Hołowni zgrzytnęło szkło i Hagen wiedział już, że biegnąc, słyszał dźwięk rozbijanych żarówek.

- Pst! - Hołownia mrugnął latareczką. Podszedł do niego jak najciszej. - Tu jest wejście na górę - szepnął komisarz. Hagen bardziej wyczuł, niż zobaczył, wąską szczelinę w ścianie, nogą wymacał pierwszy drewniany stopień. - Rozdzielmy się. Ja pójdę na górę, ty sprawdź podwórce.

- Okej. - Hagen ruszył powoli, starając się iść bezszelestnie. Usłyszał za sobą, jak schody skrzypnęły cicho pod ciężarem komisarza.

W studni starej kamienicy październikowa noc była czarna jak węgiel. Nie paliła się żadna lampa, gdzieś nad głową zauważył jedno czy dwa słabo oświetlone okna. Słyszał daleką, stłumioną syrenę radiowozu, dobiegającą gdzieś z góry cichą muzykę, a przede wszystkim łomot własnego serca, sam nie wiedział, ze zmęczenia czy z emocji. Oczy przyzwyczajały się do mroku, zaczynał rozróżniać zarysy ścian. Powoli przykucnął. Wstrzymał oddech. Nasłuchiwał kroków, oddechu, czegokolwiek. Cisza. Pustka. Gdzieś daleko stuknęło zamykane okno. Wstał i ruszył przed siebie, musiał zbadać konfigurację podwórka. Zakładając, że morderca skręcił tu zmuszony okolicznościami, miał raptem kilka sekund, aby się z nim zapoznać, bo zaraz zbił lampy. Cisza i bezruch panujące wokół sprawiły, że zaczęło w nim narastać przekonanie, iż ścigany wymknął im się jakimś tylnym wyjściem. Dotarł do muru zamykającego podwórze. Nie mogło mieć więcej niż osiem metrów na osiem, to ciemność czyniła je rozległym. Ruszył w prawo, po chwili natrafił na kolejne schody prowadzące ku górze. Znowu stanął, wstrzymując oddech. Nikogo. Powoli, po cichu, zaczął wspinać się na piętro. Stał już na podeście, kiedy z bramy usłyszał stłumiony krzyk i odgłos szamotania. Huk wystrzału przeorał ciszę, jakby w środek podwórza uderzył piorun. Hagen rzucił się z powrotem, dwoma skokami był na ziemi i biegł w stronę schodów, przy których rozstali się z Hołownią. Usłyszał głośny łoskot, jakby potężny ciężar spadał po stopniach, i nagle tuż przed nim w ciemności pojawiła się sylwetka człowieka, jej

kontur widoczny na tle wejścia do bramy. Rozpędzony, przyspieszył ostatnie trzy kroki, jakby skakał w dal, i całym ciężarem rzucił się na ten umykający cień. Zderzyli się potężnie, impet powalił ich obu na ziemię, usłyszał dźwięk metalu obijającego się o beton, przyszedł mu do głowy nóż, którym musiał być pchnięty Scarpi. W świetle z ulicy mignęła mu plama twarzy, uderzył z całej siły trzymanym w rękę pistoletem, usłyszał jęk i poczuł, jak od ciosu wygina mu się nadgarstek. Skoczył na leżącego, chwycił go za ramiona i próbował przydusić do ziemi. Drapieżna dłoń chwyciła go za policzek, poczuł, jak paznokcie wbijają mu się w skórę. W obawie o oczy odsunął się gwałtownie, tamten wyrwał się z jego osłabłego chwytu, kopnięcie w udo odrzuciło Hagenę do tyłu. Widział, jak zabójca odsunął się od niego na czworakach i zaraz zaczął wstawać.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął Hagen.

Dostrzegł szybki ruch na tle wyjścia, zasłonił się odruchowo lewym przedramieniem, poczuł piekący ból i nacisnął spust. Trzy wystrzały zlały się prawie w jeden huk, ciemną sylwetką szarpnęło i okręciło ją, jak liść uderzony nagłym podmuchem wiatru. Morderca oparł się jeszcze na chwilę o ścianę, a potem powoli osunął na ziemię. Hagen ostrożnie podszedł bliżej, napięty, na ugiętych nogach, celując w brzuch tamtego trzymanym oburącz pistoletem. W wilgotnym powietrzu zawisł ostry zapach prochu. Człowiek na ziemi nie poruszył się. Obok jego prawej ręki leżał długi kuchenny nóż. Ostrożnie prawą stopą odsunął go od ciała. W skąpym świetle latarni przyjrzał się jego rysom. Na prawym policzku widział rozcięcie i krew, pewnie po uderzeniu bronią. Pociągła twarz czterdziestokilkuletniego mężczyzny nic mu nie mówiła. Mogli go sobie szukać sto... Usłyszał z tyłu cichy jęk. Hołownia!

Podbiegł do schodów. Komisarza znalazł za półpięciem. Leżał głową w dół i gdyby nie jęknął, pewnie by go nadepnął w tych egipskich ciemnościach. Złapał go pod ramiona i zachwiał się. Hołownia ważył tyle, co betoniarka pełna cementu i tak samo łatwo było go taszczyć w dół po stromych schodach. Uważając, żeby się nie potknąć, ściągał go powoli na dół. Bezładne stopy komisarza dudniły głucho po drewnianych stopniach. Cały czas pojękiwał cicho. Hagen usłyszał hałas na dole, kroki. Nawoływały ich jakieś głosy, za plecami zamigotały światła latarek.

- Rawa, Rawa! - zawołał na cały głos. - Inspektor Hagen! Wezwijcie karetkę! Potrzebna jest natychmiast karetka! - krzyknął przez ramię. - Komisarz Hołownia jest ranny!

- Proszę się odsunąć, inspektorze - powiedział jakiś głos za nim. - Weźmiemy go na ręce.

Hagen cofnął się, jacyś ludzie przecisnęli się obok niego, na trzy-cztery podnieśli komisarza i znieśli do bramy.

Było tam z dziesięć osób. Wszyscy mówili przez radia i telefony komórkowe.

- Co wy, kurwa, śpicie?! Gdzie erka?! - krzyczał do telefonu jakiś człowiek, nieznany Hagenowi. - To niech jedzie szybciej!

W oddali usłyszeli sygnał karetki pogotowia, który stawał się coraz głośniejszy. Potem dołączył do niego drugi. Hagen ukląkł przy Hołowni, którego policjanci próbowali wstępnie opatrywać.

- Co się stało? - zapytał.

Komisarz był błydy, na czole perlily mu się krople potu. Chwycił Hagen za przedramię, zabolalo.

- Co z nim? - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

- Leży tam. Nie ucieknie. - Hagen machnął ręką w kierunku ciała. - Gdzie dostałeś?

- W brzuch, panie inspektorze - odezwał się pochylony nad Hołownią policjant. - Chyba stracił dużo krwi.

- Zadzwoń... do mojej żony - powiedział Hołownią tak cicho, że Hagen ledwo go usłyszał. Poczul, że jego uścisk słabnie, komisarz zamknął oczy. - Zimno mi - szepnął.

Karetką podjechała z piskiem opon, sanitariusze chcieli podejść do pólśdzącego w wejściu człowieka w płaszczu, ale policjanci pokierowali ich do komisarza. Pomogli im włożyć go na nosze i po chwili Hołownią zniknął w brzuchu karetki.

- Grupę krwi ma w legitymacji policyjnej! - krzyknął Hagen.

Lekarz podniósł dłoń, dając mu do zrozumienia, że usłyszał. Zawył sygnał i erka popędziła po staromiejskim bruku.

- Co z nim? - zapytał funkcjonariusza schylonego nad człowiekiem, do którego przed chwilą strzelał.

Na ścianie widać było dwie ciemne, rozmazane pionowe smugi, zaczynające się na wysokości piersi i znikające za plecami rannego. Krew.

- Chyba jeszcze żyje. - Policjant wzruszył lekko ramionami.

Widać było, że nie przejmuje się losem bandyty, który zranił Hołownię. Błysnął flesz, ktoś robił na gorąco zdjęcia sytuacyjne.

Podjechała druga karetka. Pochylili się nad rannym. Stwierdzono tętno na dużych arteriach. Załadowali go na nosze. Kiedy przechodzili obok, lekarz zatrzymał się na chwilę.

- Proszę pokazać tą rękę. - Hagen podniósł dłoń do góry i zobaczył w świetle reflektorów, że rękaw kurtki był

przecięty i cały czarny od krwi. - Niech pan wsiada, zabierzemy was obu.

Lekarz wskoczył przodem, Hagen wgramolił się za nim z trudem. Poczul się nagle bardzo zmęczony. Usiadł ciężko obok sanitariusza w nogach noszy. Oparł łokcie o kolana, głowę wsparł na dłoniach. Karetka ruszyła, kątem oka widział gorączkową krzątanicę przy postrzelonym. Podłączano mu różne butelki z płynami, podawano leki. Lekarz wyjął z torby laryngoskop i rurkę intubacyjną. Otworzył usta rannego, wprowadził do środka łopatkę laryngoskopu. Na szyi pojawiła się dziwna wypukłość.

- Nic nie widzę. Naciśnij - powiedział lekarz. Sanitariusz przycisnął grdykę. Doktor, zgarbiony, zaglądał do szeroko otwartych ust. - Jest.

Wsunął do końca rurkę, wyjął laryngoskop, karetką zarzuciło lekko na zakręcie. Podłączył worek Ambu z przewodem od butli tlenowej i rozpoczął wentylację. Sanitariusz okleił rurkę plastrem i zajął się zmienianiem butelki, z której do kaniuli w żyłę łokciowej przezroczystym strumyczkiem leciał jakiś płyn.

Hagen patrzył beznamiętnie na czerwone plamy rozlane na rozcinanej nożycami białej koszuli. Szedł do kościoła, to się ubrał w garnitur, pomyślał. Klatka piersiowa pokryta była rzadkimi, ciemnymi włosami. Dostrzegł dwa otwory wlotowe po swoich kulach. Jeden niemal pośrodku ciała, w miejscu, gdzie ostrym łukiem łączą się prawe i lewe żebra, odgradzając brzuch od klatki piersiowej, drugi nad prawym sutkiem. Widocznie trzecia kula już go ominęła. W takt ruchów dłoni lekarza pompującego mu powietrze w płuca, z górnego otworu wypływała różowawa, pianista wydzielina. Sanitariusz pokrył rany białymi opatrunkami. Mężczyzna ubrany był nadal w

stalowoszary płaszcz, którego porozcinane rękawy wyglądały nieco groteskowo, garnitur marengo, białą koszulę, teraz już niemal całą czerwoną od krwi, i ciemny krawat, który sanitariusz przeciął i włożył do kieszeni płaszcza.

- Po odstawieniu go do szpitala sprawdźcie, panowie, czy coś tu nie zostało - powiedział do załogi karetki. - Ten facet jest podejrzany o morderstwo księdza i usiłowanie zabójstwa policjanta, a właściwie dwóch. Potem wszystko może mieć znaczenie w sądzie.

Tamci pokiwali głowami, a Hagen zanotował w myśli, że karetkę musi przejrzeć ekipa Lewickiego.

- Dojeżdżamy! - krzyknął do nich kierowca. - Zespół chirurgiczny już czeka.

- Świetnie. - Lekarz spojrzął znad leżącego na Hageną, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jego obecności. - Niech pan od razu idzie do ambulatorium chirurgicznego - powiedział. - Tam pana opatrzą.

Podjechali tyłem pod wejście do izby przyjęć. Nosze położono na wózek i w asyście personelu ranny zniknął w głębi budynku. Hagen powoli wysiadł z karetki. Na podjeździe zobaczył dwa radiowozy, z drzwi szpitala wyszedł Nęcki z telefonem przy uchu. Na widok Hageną skończył rozmowę i zawołał pielęgniarkę.

- Strasznie pan blady, inspektorze, może pomóc? - spytał, idąc koło niego do ambulatorium.

Hagen pokręcił przecząco głową i odesłał go do opieki nad rzeczami podejrzanego. Jak najszybciej należało ustalić jego tożsamość. Zdjął kurtkę z pomocą pielęgniarki, zażywnej pięćdziesięcioletniej kobiety z lekkim wąsikiem sypiącym się nad górną wargą. Cała lewa ręka była brązowa od zakrzepłej krwi. Syknął z bólu, odrywając materiał koszuli od skóry, i zobaczył,

że przedramię po zewnętrznej stronie miał głęboko, równo rozcięte. Spod naruszonego skrzepu wypłynął strumyczek ciemnej krwi i czerwone krople rozbryznęły się na kafelkach podłogi. Poczul, że robi mu się słabo, i usiadł na leżance.

- Niech pan się położy - powiedziała siostra. - Chirurdzy są zajęci, musi pan poczekać.

- Jak długo?

- Nie wiem, pewnie parę godzin. Założę panu zaraz tymczasowy opatrunek.

Westchnął ciężko. Nie miał czasu leżeć tu bez sensu, czekając na kilka, no najdalej kilkanaście szwów.

- Wszyscy są zajęci?

- Tak. Mamy te dwa przypadki ze strzelaniny w mieście i obaj są na stołach operacyjnych.

- Rozumiem. - Poruszał palcami zranionej ręki, zacisnął dłoń w pięść i rozluźnił. Ściągnięte były całe, mięśnie działały. Poczul się lepiej, zaczynał mu również wracać animusz. - Niech pani będzie tak miła i poprosi tu do mnie kogokolwiek, kto umie trzymać imadło i wiązać węzłki. Może być ortopeda, urolog, ginekolog, neurochirurg, okulista - co pani sobie życzy, ale nie mam czasu czekać na koniec operacji.

Po dłuższej perswazji, bo życzenie chorego było sprzeczne z uświęconym tradycją podziałem obowiązków, gdzie każdy obsługiwał „swoich” pacjentów, udało się ją przekonać i zadzwoniła na ortopedię. Młody dyżurant nie robił żadnych problemów. Znieczulił nasiękowo okolice rany, oczyścił ją ze skrzepów, założył dwie warstwy szwów, opatrunek, jeszcze surowica przeciwtężcowa, recepta na leki przeciwbólowe, osłonowy antybiotyk i po godzinie Hagen był gotów powrócić między żywych. Podpisał wszystkie dokumenty o wypisie ze szpitala na

własne żądanie. Wyszedł na korytarz ambulatorium chirurgicznego i usiadł na drewnianym krześle pod ścianą. Wyjął z kieszeni zegarek, który pokryty plamami krwi wyglądał, jakby nagle zardzewiał. Spojrzał na tarczę. Odkąd wybiegł z domu, minęły raptem dwie godziny z kawałkiem. Niedzielny wieczór dopiero się rozpoczynał. Wyjął telefon i zadzwonił do Sylwii. Była w archiwum w komendzie. Próbowali porównać zdjęcie podejrzanego z albumami przestępców, na razie bez skutku. Nęcki, który nie znalazł przy rannym żadnych dokumentów, rozwoził odbitki po komisariatach miejskich, gdzie rano mieli im się przyjrzeć wszyscy dzielnicowi.

- Te same zdjęcia, trochę podretuszowane, pójdą za chwilę w lokalnej telewizji i w jutrzejszych gazetach - powiedziała. - Ściągamy dziewczyny na centralę. Radio cały czas o was mówi - dodała. - Co z panem komisarzem?

- Nie wiem, operacja nadal trwa.

- Czy panu nic się nie stało? Paweł mówił coś o ręce...

- Zaciąłem się przy goleniu, ale żyję. - Przez chwilę był twardzielem. - Potrzebuję domowego numeru komisarza.

- Już dzwoniłam do jego żony. Strasznie się zdenerwowała. Wysłaliśmy po nią radiowóz, pewnie już jest w szpitalu.

Podziękował jej i zadzwonił do Joanny, ale ona była już w bazylice, gdzie zabezpieczano ślady. Rozłączył się i niemal natychmiast odezwał się sygnał jego telefonu.

- Hagen.

- Boże, wreszcie cię dopadłam! Nic ci nie jest? - Głos Ewy pełen był napięcia i lęku. - Zrobiło mu się dziwnie przyjemnie,

że ktoś się o niego boi w tym obcym mieście. - W radiu mówią o jakiejś strzelaninie z policją na starówce, o morderstwie w kościele, podobno ofiary walczą o życie... Jezu, jak się bałam...

- Mogłaś zadzwonić wcześniej - zarzucił jej żartobliwym tonem - teraz to już jestem po operacji.

- Po jakiej operacji?! Co się stało?

Opowiedział jej pokrótce przebieg wydarzeń, nie wdając się w żadne szczegóły.

- Jesteś w PSK 4? - upewniła się. - Zaraz biorę taksówkę i przyjeżdżam po ciebie. Swoją drogą, to nie dałeś mi telefonu i musiałam dzwonić po numer do ojca Leona.

- Nie przyszło mi do głowy, że trzeba mnie będzie łąpać w szpitalu - mruknął i rozłączył się.

Nie chciał jej dać poznać, jak bardzo, bardzo ucieszyła go myśl, że za chwilę ją zobaczy i potem razem opuszczą to miejsce. Wyobraźnia podsunęła mu obraz ciała jezuitę, leżącego gdzieś blisko, w chłodni kostnicy. Odpędził tę wizję od siebie, westchnął głęboko i wykręcił numer nadkomisarza.

Ewa pojawiła się w głębi szpitalnego korytarza wcześniej nawet, niż się spodziewał. Patrzył, jak szła szybkim krokiem, z gracją, którą albo się ma, daną od Boga, albo nie i nie da się jej wypracować najcięższymi ćwiczeniami. Pocałowała go na powitanie, a potem przysiadła obok i jeszcze raz zarzuciła go pytaniami. Nie odpowiadał wiele, raczej patrzył na nią umęczonym wzrokiem i znacząco podtrzymywał zranioną rękę. Trzeba było oddać jej sprawiedliwość, że stanęła na wysokości zadania. Okazała mu akurat tyle współczucia, ile trzeba było, żeby ukoić dziecięcą potrzebę bycia wziętym pod czułą opiekę i jednocześnie nie umniejszyć jego świeżo nabytego statusu zwycięskiego wojownika. W taksówce to już on objął ją ramieniem i

z przyjemnością rozpraszał resztki lęku, jaki o niego żywiła, oraz wysłuchiwał, jak bardzo to wszystko ją zdenerwowało. W domu został zaprowadzony pod prysznic, a że nie mógł przecieź zmoczyć świeżo opatrzonej ręki, więc doświadczył przyjemności bycia kąpanym, namydlanym, nacieranym, opłukiwanym wodą przez piękną, nagą dziewczynę, muskającą go w trakcie tych zabiegów swymi wyzywającymi piersiami i pieszczącą go ustami pod silnym strumieniem wody, co oczywiście zakończyło się w łóżku i nie pamiętał, kiedy w jego życiu seks był tak namiętny, zapamiętanie w uniesieniu tak wielkie, jak tej nocy.

Dużo, dużo później leżał obok niej na wznak, wpatrując się w ciemność. Próbował wyłowić z ciszy jej miarowy oddech. Leniwie płynące myśli uformowały w nim obraz Claire i rozważał, czy lepiej było mu teraz, czy wtedy, kiedy kochali się w Hotel Roblaise. Zobaczył przed sobą jej twarz, taką, jaką codziennie widział na ekranie komputera. Jej usta poruszały się, ale nie słyszał żadnych słów. Poczul ból zranionej ręki i wrócił myślami do wydarzeń sprzed kilku godzin. Jeszcze raz biegł razem z komisarzem ulicami starówki. Cień, który ścigali, skręcił w bramę, oni wpadli tam za nim. W ciemności słychać było tupot i szybkie oddechy. Nagle Hagen zorientował się, że w mroku jest obok nich ktoś jeszcze. Usłyszał krzyk Hołowni, zobaczył uciekającą postać, ale zdyszany oddech za jego plecami nie ucichł.

- Kto tu jest? - krzyknął, wrywając pistolet z kabury i obracając się gwałtownie.

W ciemności słyszał tylko ciężkie, rżące sapanie, coraz głośniejsze i bliższe, i nagle zobaczył, jak zestala się w mroku

kształt czarniejszy jeszcze od nocy i rośnie nad nim, ogarniając go, roztopiając w sobie, aż on sam zmienia się w skłębiony obłok ciemności, nie może już oddychać, musi zaczerpnąć powietrza!...

Obudził się cały mokry, bolała go ręka, oddychał ciężko. W pokoju było gorąco i duszno. Wstał i podszedł do okna, otworzył je szeroko. Do środka wtargnął zimny strumień wilgotnego powietrza, opłynął go i obmył z gorąca. Wciągnął głęboki haust, wypełniając płuca październikową nocą. Martwe, białe światło lamp ulicznych przypomniało mu o Scarpim. Znowu powrócił obraz zimnego blatu z nierdzewnej stali i poszarzałego ciała zakonnika, oblanego drgającą poświatą jarzeniówek.

Okrył Ewę kołdrą, bo powietrze w pokoju zaczęło się szybko ochładzać, wyjął telefon z kieszeni spodni, założył szlafrok i przeszedł do kuchni. W komórce znalazł informację od Sylwii, że pani Marta Rachwalska przyleciała do kraju zgodnie z rozkładem i została przejęta przez warszawską policję na lotnisku. Jutro rano będzie można z nią wreszcie porozmawiać. Zadzwoił do komendy, gdzie po długim poszukiwaniu w papierach, dyżurny zaspanym głosem podał mu numer do szpitala.

Po kilku sygnałach słuchawkę podniosła pielęgniarka czuwająca przy konsoli.

- OIOM, słucham.

Hagen przedstawił się i zapytał o stan zdrowia komisarza.

- Informacji można udzielać tylko rodzinie. W specjalnych wypadkach osobom postronnym, ale wtedy tylko osobiście. Przez telefon nic nie mogę panu powiedzieć.

Hagen przekonał ją, żeby bardzo ogólnie poinformowała go, czy operacja zakończyła się sukcesem i czy Hołownia był nadal

wśród żywych. Odpowiedź na oba pytania była twierdząca. Zaświtał mu wtedy inny pomysł i poprosił ją o wezwanie policjanta pilnującego podejrzanego. Po chwili uzyskał potwierdzenie od posterunkowego. Zarówno komisarz, jak i morderca Scarpiego żyli, ale obaj byli w ciężkim stanie. Komisarz w lepszym, jak zauważył funkcjonariusz z satysfakcją. Byli w tej chwili nieprzytomni bądź spali, policjant nie był pewien. Był za to pewien, że nie ma co liczyć na zeznania postrzelonego przez Hagena człowieka. To akurat lekarze powiedzieli jasno i dobitnie.

- Dziękuję - powiedział inspektor i rozłączył się.

Wiadomość, że Hołownia najpewniej wróci do zdrowia, nappełniła go radością i uspokoiła. Połknął dwie tabletki pyralginy, popił wodą. Otworzył szafkę, wyjął butelkę osiemnastoletniej Glenmorangie, którą dostał na pożegnanie od Josha, i nalał sobie na palec do swojej ulubionej szklaneczki z grubego szkła, ukradzonej dawno temu z jakiegoś baru w Szkocji. Odchylił się z krzesłem, balansując na dwóch tylnych nogach i opierając się głową o ścianę. Upił łyk aromatycznego alkoholu. Bogaty bukiet starej whisky łagodnie drażnił nozdrza.

Wtedy, po raz pierwszy tej nocy, pomyślał o synu i nagle bardzo zapragnął usłyszeć jego głos. Na zegarze małego kuchennego radia pulsowały jednak cyfry 04.37, więc porzucił ten pomysł. Obiecał sobie, że będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobi rano. W ciszy wypełnionej mrużeniem lodówki pił powoli miodowo-złocisty płyn, nie myśląc o niczym, odczuwając tylko wielką, spokojną radość istnienia.

Jeżeli ktoś w lubelskiej komendzie wojewódzkiej zasługiwał kiedykolwiek na miano bohatera dnia, to był to Hagen następnego ranka. Wszyscy chcieli uścisnąć jego dłoń. Młode policjantki pokazywały go sobie z daleka palcami. Przeszedł z komendantem trzymającym go w serdecznym objęciu przez główny hol pełen ludzi. Miał teraz swoje pięć minut i pozwalał sobie na wygrzewanie się w promieniach sławy. Odmówił jednak stanowczo wszelkich wywiadów dla mediów, twierdząc, że sekcja prasowa komendy świetnie sobie poradzi z tym zadaniem. Informacje ze szpitala napawały optymizmem. Hołownia obudził się rano. Był przytomny i w zadziwiająco dobrej formie. Jak dowiedział się od Lewickiego, komisarz został pchnięty w brzuch, tuż pod prawym łukiem żebrowym. Ostrze uszkodziło wątrobę i system żyły wrotnej, stąd obfita i nagła utrata krwi. Na szczęście w porę jeszcze udało się go zacerować, jak wyraził się szef laboratorium. Dostał dużo krwi i płynów i odpukać, nie pojawiły się żadne powikłania towarzyszące czasem masywnym przetoczeniom. Postrzelony przez Hagena człowiek nadal określany był w dokumentach jako NN. Identyfikacja utknęła w martwym punkcie. Odciski palców nie znalazły

odpowiednika w ich kartotece, a nie mieli jeszcze odpowiedzi z Warszawy. Nie rozpoznał go nikt w komisariatach miasta i okolic. Czekali teraz na informacje, które powinny spłynąć po ukazaniu się porannego wydania gazet i przeprowadzeniu wywiadu w kurii. W swoim pokoju Hagen dokładnie przeczytał medyczny raport ze szpitala z opisem obrażeń, jakich doznał morderca. Otrzymał dwa postrzały z przodu, z bliskiej odległości. Jedna kula weszła w ciało w nadbrzuszu tuż pod sklepieniem łuku żebrowego, przebiła żołądek i wyszła przez plecy, rozrywając mięśnie przykręgosłupowe po stronie prawej. Druga weszła nad prawym sutkiem, złamała żebro, przebiła prawe płuco i strzaskała łopatkę, tworząc duży otwór wylotowy. Oprócz tego ranny miał złamaną kość jarzmową prawą, co Hagen rozpoznał jako ślad po lufie swojego pistoletu, oraz ranę powierzchowną prawego uda, najprawdopodobniej styczny postrzał z dość dużej odległości. Zatem Hołownia trafił go, choć zapewne nie tak, jak zamierzał. Ranny stracił dużo krwi, był nadal znieczulony, zwiotczony i sztucznie wentylowany. Nie mogli spodziewać się od niego żadnych wyjaśnień, być może przez cały najbliższy tydzień. Zamknął dokumentację. Wymknął im się. Jednak im się wymknął! Nie na zawsze, ale na razie nie wiedzieli o nim dużo więcej niż dotąd.

Ktoś zastukał delikatnie do pokoju.

- Proszę!

Sylwia weszła do środka i położyła na biurku papiery.

- Cieszę się, że nic się panu nie stało - powiedziała, siadając na wskazanym krześle.

- Ja też - odparł Hagen szczerze. - Jestem bardzo zadowolony.

Uśmiechnęła się do niego. Na jej twarzy, bledszej niż zwykle, widział ślady nieprzespanej nocy spędzonej na tropieniu tożsamości mordercy Scarpiego.

- Przyjechała już Marta Rachwalska. Domaga się adwokata i wypuszczenia jej do domu. Może zresztą w odwrotnej kolejności. Powiedziałam jej, że chcemy zadać tylko kilka pytań, ale sprawa jest niecierpiąca zwłoki, dlatego sami przywieźliśmy ją z Warszawy.

Hagen zamyślił się. Jeżeli Rachwalska lub jej mąż byli zamieszani w tę sprawę, to w perspektywie przyszłego procesu należałoby nawet naciskać na obecność adwokata. Jeśli jednak morderca biskupa leżał teraz na intensywnej terapii, jej zeznania miałyby tylko charakter wyjaśniający.

- Zawiadomiła pani prokuraturę?

- Zaraz tu będą.

- Dobrze. Niech sobie wzywa tego adwokata, ale najpierw chciałbym z nią zamienić parę słów.

Hagen przekazał jej jeszcze kilka dodatkowych poleceń porządkujących pracę na ten dzień i wyszli z gabinetu.

Dr Marta Junak-Rachwalska siedziała sama w pokoju przesłuchań i paliła papierosa. Może to światło, może zmęczenie lub stres, ale wyglądała starzej niż na wszystkich zdjęciach, jakie dotąd widział. Miała teraz znacznie jaśniejsze włosy niż na fotografiach, była również wyraźnie szczuplejsza. Jej rysy wyostrzyły się, policzki lekko zapadły, dłoń oparta na trzymanej na kolanach torebce nerwowo otwierała i zamykała zamek. Oparł głowę o weneckie lustro i próbował przeniknąć wzrokiem, co też kryje się za sklepieniem tego wysokiego czoła, teraz przeciętego mocną, pionową zmarszczką.

- Nie włączajcie jeszcze nagrywania, poczekajcie na mój znak - powiedział cicho, chociaż ona i tak nie mogła go usłyszeć.

Kiedy ruszył w stronę drzwi, Sylwia wykonała taki ruch, jakby chciała wejść do środka razem z nim, ale zatrzymał ją gestem dłoni.

- Zostań tutaj - powiedział. - Przyglądaj się jej bardzo uważnie.

Kiedy otworzył drzwi, kobieta spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem. Zobaczył, że ma wyraźne, sinawe cienie pod oczami. Sprawiała wrażenie, jakby nie spała od tygodnia. Pewnie tak właśnie jest, pomyślał.

- Podinspektor Hagen, Komenda Główna Policji w Warszawie - przedstawił się i dostrzegł w jej oczach lekką iskierkę paniki.

Jego nazwisko najwyraźniej było jej znane i pewnie kojarzyła je ze sprawą biskupa. Przebiegła wzrokiem pomieszczenie, jakby szukając wyjścia, które ktoś zapomniał zamurować. Odhicia w lustrach przyglądały im się obojętnie.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań - powiedział, patrząc jej w oczy.

Czekał, kiedy głośno zaprotestuje, zażąda wypuszczenia do domu lub pomocy prawnika, ale ona milczała. Patrzyła na niego jak mysz, do której pełznie wąż. Miał wrażenie, że czuje obecność fatum w powietrzu, a może to był po prostu strach. Usiadł naprzeciw niej. Dzielił ich teraz tylko blat biurka. Hagen pochylił się lekko w jej stronę. Odkąd wszedł, jej ręka trzymająca papierosa nie zmieniła położenia, widział tylko, jak odłamał się cienki, szary słupek popiołu i rozsypał na brązowym fornirze. Dym drżał i dygotał, powielając i powiększając drżenie palców, w których tkwił żarzący się niedopałek.

- Pani Marto, dlaczego zabiła pani Rafała?

Drgnęła. Jakby uderzył ją w twarz. Jej oczy rozszerzyły się, dłoń zakryła usta.

- Ja... Czemu pan... Ja bym nigdy przecież... - Patrzenie na nią sprawiało mu niemal fizyczny ból. - Jak pan może tak mówić?! Nie wolno panu tak mówić...

Zobaczył, jak z szeroko otwartych oczu płyną łzy, biegną po policzkach i kapią na spódnicę. Otarła je wierzchem dłoni. Hagen podał jej chusteczkę. Milczeli obydwoje. Wycierała oczy, ale łzy nie przestawały płynąć i po chwili szlochała spazmatycznie. Przyglądał się jej, szukając jakiejś fałszywej nuty, drgnięcia twarzy, spojrzenia rzuconego ukradkiem dla sprawdzenia efektu. Widział jednak tylko prawdziwą, głęboką rozpacz. Wszystkie dni i noce spędzone w cichej desperacji po śmierci Rafała i w agonii oczekiwania, czy ją znajdą, czy wpadną na jej trop, wypłynęły teraz słonymi kroplami, ujawniły się w niekontrolowanym drzeniu ramion wstrząsanych łkaniem. Ta kobieta nie miała już siły, by dłużej walczyć. Kiedy uspokoiła się trochę, wytarła oczy i twarz chusteczką Hageny. Zmęczonym ruchem poprawiła włosy. Wydmuchała nos.

- Nie zabiłam go - oświadczyła, chowając chustkę do torebki. Szczęknął cicho zatrzask. - Kochałam go i spotykałam się z nim bez wiedzy mojego męża, to prawda, ale nigdy... Nie wolno panu nawet tak myśleć.

- Zacznijmy zatem jeszcze raz - powiedział.

Poza zasięgiem jej wzroku wykonał palcem wskazującym gest naśladujący kręcenie się taśmy. Usłyszał jedno puknięcie w zewnętrzny mikrofon. Byli teraz w telewizji.

Przedstawił się, zidentyfikował miejsce i czas, zapytał ją o personalia, pouczył o przysługujących prawach.

Wbrew temu, co mówiła wcześniej, nie wyraziła chęci, aby podczas przesłuchania wstępnego w charakterze świadka był obecny adwokat. Pochylił się jeszcze bardziej w jej stronę, oparł łokcie na stole, brodę wsparł na splecionych dłoniach. Jej wzrok na moment zatrzymał się na opatrunku widocznym pod rękawem marynarki. Utkwił spojrzenie w jej oczach.

- Niech mi pani po prostu opowie to wszystko od początku.

I Marta zaczęła mówić. Najpierw trochę nieporadnie, jakby szukając słów, potem coraz szybciej, coraz płynniej, kiedy jej myśli odpłynęły w przeszłość, a oczy skierowane na jego twarz patrzyły w rzeczywistości znacznie, znacznie dalej.

Miała trzydzieści siedem lat, była mężatką od lat dziesięciu. Ósmioletnia córka była jej największym skarbem. W małżeństwie układało im się różnie, jak to w małżeństwie. Wydawało jej się, że są zgodną parą i że ich życie jest w zasadzie szczęśliwe, aż... Mąż pracuje w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Prawie równo rok temu odbywało się duże spotkanie z okazji inauguracji kolejnego roku akademickiego. Większość pracowników naukowych wybierała się tam w towarzystwie współmałżonków i tym razem, wyjątkowo, ona też pozwoliła się zaprosić. Nie lubiła tego rodzaju spotkań, szczególnie na KUL-u, gdzie obecność hierarchów i księży profesorów wywoływała dosyć specyficzną, sztuczną atmosferę. Tym razem było tak samo i już podjęła decyzję o samotnym powrocie do domu, gdzie córka siedziała z babcią, kiedy podszedł do niej przystojny ksiądz, trochę od niej starszy, o miłym obejściu, i zagaił rozmowę. Początkowo nieco sztywna wymiana opinii z czasem

stawiała się coraz swobodniejsza. Nie zauważyła nawet, kiedy śmiali się razem z jakichś obejrzanych kiedyś skeczy Monty Pythona. Wokół nich przewinęło się mnóstwo ludzi, witając się i wymieniając grzecznościowe uwagi, a oni stali i rozmawiali. O jesieni, o kolorach liści w parku... O kluczach dzikich gęsi, które widzieli niedawno, o przemijaniu, o filmach, sztukach, książkach, wreszcie o kolorze jej oczu, dziwnie, niepokojąco szarych. I dziwnie błyszczących, jak zauważyła późnym wieczorem w łazience, przyglądając się sobie w lustrze znacznie dłużej niż zwykle.

- Nie zanudził cię nasz biskup? - zapytał ją mąż, kiedy wracali do domu.

Wtedy dowiedziała się, kim właściwie był jej rozmówca.

Spotkali się przypadkiem na ulicy kilka tygodni później, a przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Dużo później dowiedziała się, że czekał tam na nią już drugi dzień z rzędu. Wylądowali w zacisznej kawiarence, gdzie przy małej czarnej spędzili nieoczekiwanie dużo czasu. Kiedy wychodziła, Rafał, jak prosił, żeby go nazywała, miał już zapisany jej numer telefonu. Zadzwonił wcześniej, niż się spodziewała, a ona, sama właściwie nie wiedząc dlaczego, zapisała jego telefon w pamięci komórki pod nazwiskiem starej przyjaciółki ze szkoły podstawowej. Widywali się, kiedy czasem udawało jej się wcześniej wyrwać z pracy, i zaczęli rozmawiać godzinami przez telefon, kiedy przesiadywała wieczorami w instytucie, pilnując całodobowych doświadczeń. Kosmetyczka i fryzjer stali się nagle nieodzownym składnikiem jej życia, chociaż do tej pory występowali w nim tylko od czasu do czasu. Koleżanki z pracy zauważyły w niej pewne zmiany i bezbłędnie rozpoznały znane im z

własnego doświadczenia objawy. Marta była zakochana. Nie dopuszczała tej myśli do siebie przez długi czas. Choć jej wiara była bardzo letnia, a przywiązanie do Kościoła bardziej formalne niż rzeczywiste, to jednak, bądź co bądź, był to przecież ksiądz. Mało ksiądz, biskup! Ale pod koniec roku nie potrafiła się już dłużej oszukiwać. Była okropnie, beznadziejnie, straszliwie zakochana. Gdy wreszcie przyznała się do tego sama przed sobą, ogarnęło ją przerażenie. Co teraz będzie?

Na początku stycznia pozwoliła się zaprosić do jakiegoś mieszkania, znajdującego się na drodze pomiędzy jej pracą a domem. Kochali się tam po raz pierwszy i to przypieczętowało jej los. Tyle ciepła, oddania, czułości i miłości, ile dał jej tamtego popołudnia, nie zaznała przez wszystkie lata swego udanego, jak zawsze sądziła, związku. Następnym razem to ona była stroną inicjującą różne śmiałe gry, pikantne zabawy, nowe pozycje. Chciała, żeby robili razem rzeczy, jakie wydawały jej się nie do przyjęcia przez dziewięć lat małżeństwa. Prosiła, by kochał się z nią, jak nikt dotąd i było to trochę tak, jakby znowu straciła dziewictwo z tym jednym, jedynym, wybranym...

- Czy pan wie, dlaczego to wszystko opowiadam? - spytała, a kiedy Hagen pokręcił przecząco głową, zaciągnęła się głęboko dopiero co zapalonym papierosem. - Chciałabym, żeby pan zrozumiał.

Mijały miesiące. Widziała, że staje się coraz ważniejszą częścią jego życia. On był teraz najistotniejszym elementem jej świata, w którym dotąd niepodzielnie królowała ośmioletnia Ola, jej córka. Kiedy byli razem, kochali się, pili wino i rozmawiali o wszystkim, co wydawało im się ważne lub ciekawe, czym chcieli się ze sobą podzielić. Nigdy nie rozmawiali o jej

mężu. Nigdy też nie wspominali o Kościele i o Bogu. To były inne światy, które istniały gdzieś, hen daleko, za drzwiami ich przytulnej garsoniery. Stawały się coraz bardziej wirtualne, zamieniały w ułudę rzeczywistości, bo przecież prawdziwe życie było tu, w tych czterech ścianach, w dotyku ust i pieszczocie dłoni, w blasku świec...

W lipcu wyjechali z mężem na długi urlop i wtedy poczuła, jak bardzo Rafał zdążył się już zrosnąć z jej życiem. Tęskniła do niego cały czas. Jak nigdy dotąd nie mogła się doczekać powrotu do pracy. Wymieniane ukradkiem SMS-y i krótkie rozmowy telefoniczne, kiedy nikt nie patrzył i nie słuchał, podsycaly tylko głód. Trudno jest żyć bez powietrza.

To ostatnie zdanie wymówiła z lekkim, melancholijnym półuśmiechem, który pojawił się na moment w kącikach jej ust i zaraz zgasł jak płomyk zapalniczki na wietrze.

Kiedy zobaczyli się wreszcie w sierpniu, długo nie mogli się sobą nacieszyć. Ich spotkania stawały się coraz dłuższe, jej nieobecności w domu coraz trudniejsze do ukrycia, złośliwe komentarze w pracy na temat wczesnego wychodzenia do domu coraz głośniejsze. Wtedy, pamięta to bardzo wyraźnie, powiedziała mu pierwszy raz, że chciałyby być z nim na zawsze. Tak normalnie, jak kobieta z mężczyzną, jak żona z mężem, chociaż ślub akurat wydawał się jej najmniej istotny. Rafał słuchał jej bardzo uważnie, potem długo leżeli przytuleni, a on milczał i rozmyślał. Nie powiedział wtedy tak, ale nie powiedział też nie. I oto narodziła się w niej nadzieja. Skoro możliwość bycia razem, którą przedtem odrzucała z góry jako zupełnie wykluczoną, pragnąc tylko cieszyć się każdym dniem, pojawiła się na horyzoncie, zaczęła teraz inaczej patrzeć na ich

związek i na Rafała. Przestał być jej kochankiem, zaczął stawać się jej mężczyzną.

Marta zapaliła następnego papierosa. Zauważył, że jej ręce nie trzęsły się już tak, jak na początku rozmowy. Zrzucenie z serca wielkiej tajemnicy zdawało się mieć na nią kojący wpływ.

Następna rozmowa na ten temat odbyła się pod koniec września. Tym razem to on powiedział, że pragnąłby być z nią razem na zawsze. Wyznał jej, jak bardzo jest rozdarty pomiędzy ich doczesnym szczęściem a posłannictwem duszpasterskim.

- Nie ma dnia, żebym o tym nie rozmyślał całymi godzinami - powiedział. - Zaprzęta to mój umysł tak, jak ty wypełniasz moje serce.

Tego dnia zdawało jej się, że nie idzie ulicami jak inni, ale że unoszą ją duże białe skrzydła, które nagle wyrosły jej u ramion. Słyszała ich poszum, widziała, jak ich pęd kołysał złote liście. Bała się niemal, że uderzy kogoś idącego zwyczajnie chodnikiem. Szczęście wydawało się tak blisko...

Hagen myślał, że rozplacze się znowu, ale tylko rysy jej twarzy stwardniały i usta zacisnęły się w wąską linię. Ta kobieta była niemal w zenicie szczęścia, by potem nagle runąć w sam nadir rozpacz. Widział to teraz wypisane na jej obliczu tak wyraźnie, jak to jest tylko możliwe.

- Potem nie mogłam się z nim skontaktować, nie wiedziałam, co się stało. Zawsze oddzwaniał od razu po moim telefonie. Zadzwoiłam do kurii, przedstawiając się jako pracownik KUL-u i pytając o niego. Usłyszałam wtedy po raz pierwszy, że zniknął i nikt nie może się z nim skontaktować. Potem zaczęły krążyć po mieście plotki, że nie żyje. Nie mogłam, nie chciałam w to uwierzyć. Dopiero kiedy mąż powiedział, że dziekan

potwierdził tę wiadomość na zamkniętym spotkaniu dla pracowników naukowych... Zresztą wtedy też nie uwierzyłam. Tak naprawdę to chyba nadal w to nie wierzę. Tak do końca, tak zupełnie. Cały czas jakaś część mnie marzy, że nagle otworzą się drzwi i stanie się cud...

Poszła wtedy do ich mieszkania, jak nazywała wynajęte przez Rafała lokum, i płakała tam, nie mogąc się uspokoić. Szlochała jak małe, skrzywdzone dziecko. Zanosila się łkaniem, gryząc kołdrę, żeby jej zawodzenia nie sprowadziły sąsiadów. Nie było żadnej przyjaznej ręki, która mogłaby pogłaskać ją po głowie. Nikt nie mógł z nią dzielić bólu i wielkiej pustki, jaka się przed nią rozwarła. Potem, kiedy ogłosili w mediach oficjalny komunikat o jego śmierci i zaczęto mówić o poszukiwaniach mordercy, przeraziła się nagle, że teraz wszystko się wyda. Będą o nich pisać brukowe gazety, nazwisko, które nosi jej córka, będzie obrzucane błotem w całej Polsce. Ona sama jako kochanica biskupa będzie wytykana palcami na ulicy. A co z pracą? Co z pracą męża na uniwersytecie?

Miała wszelkie dane, aby przypuszczać, że nikt nie wiedział o ich związku. Rafał był bardzo ostrożny. Wiedziała, że miał drugi telefon, żeby nikt w kurii nie zorientował się, do kogo dzwoni. Jej komórka była zarejestrowana na męża, panowie mogli przecież rozmawiać o sprawach zawodowych. Z domu nigdy do niego nie dzwoniła. Gorączkowo myślała, co zrobić, żeby zabezpieczyć się jeszcze lepiej. Pewnej nocy wysprzątała dokładnie całe ich mieszkanie, usuwając wszystko, co mogłoby naprowadzić kogoś na jej ślad.

- Panowie jednak mnie znaleźli.
- Nie było to łatwe - zapewnił ją Hagen - i zajęło nam dużo czasu.

Napięcie, w jakim oczekiwał na zakończenie jej opowieści, opuściło go. Nie wspomniała słowem o tym, żeby mąż dowiedział się kiedykolwiek o ich romansie. Ukrywała coś czy też jego koncepcja miała miękkie, gliniane nogi i była bliska runięcia w październikowe błoto?

- Proszę powiedzieć, kiedy widzieli się państwo po raz ostatni?

- W środę w tygodniu poprzedzającym jego... jego zaginięcie. Nie mieliśmy dużo czasu, spędziliśmy razem około półtorej godziny.

- Czy pamięta pani, żeby biskup Wygnowski mówił wtedy, lub może wcześniej, o jakichś groźbach lub anonimowych liściach?

- Nie, nigdy. Gdyby tak było, na pewno bym to zapamiętała.

- Czy rozmawialiście państwo kiedykolwiek o szatanie, satanizmie, jakichś dziwnych sektach?

- Nigdy.

- Czy pamięta pani, co według Księgi Daniela napisała tajemnicza ręka na murze pałacu króla Baltazara?

Patrzyła na niego zupełnie zaskoczona. Jeżeli udawała, to była naprawdę dobra.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie inspektorze.

- To nie ma w tej chwili znaczenia, proszę tylko odpowiadać na pytania. Czy podczas ostatniego spotkania Rafał wydawał się czymś zaniepokojony, czy zachowywał się w jakikolwiek sposób odbiegający od tego, do czego była pani przyzwyczajona?

Milczała chwilę. Miał wrażenie, że widzi, jak w jej skupionych oczach przewija się film z ostatnich minut spędzonych razem.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Zachowywał się zupełnie normalnie.

- Czy potem kontaktowała się z nim pani jeszcze?

- Tak, oczywiście. Rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon.

- Kiedy po raz ostatni?

- W poniedziałek. Rafał był bardzo zajęty, pędził z jednego spotkania na drugie i nie miał wiele czasu. Zamieniliśmy tylko kilka słów.

Obydwoje zamilkli na moment. Zastanawiał się, czy już teraz zadać to najważniejsze, z jego punktu widzenia, pytanie, czy jeszcze poczekać. Ona była pogrążona we wspomnieniach.

- Właściwie to wtedy właśnie powiedział coś, co było może trochę niezwykle, bo ja wiem zresztą? - Zamyśliła się znowu. - Teraz, kiedy pan o to spytał... Zadzwońiłam do niego z pracy, tak jak zwykle, w porze obiadowej. Ucieszył się, że słyszy mój głos, a potem powiedział mi, że jak się zobaczymy, opowie mi coś ciekawego o tym, co tu się dzieje, bo teraz nie może rozmawiać.

- Czemu wydaje się to pani dziwne?

Spojrzała na niego i lekko wzruszyła ramionami.

- Nigdy wcześniej nie opowiadał mi o rzeczach związanych ze swoimi obowiązkami. To miał być ten pierwszy raz.

- Czy wydawało się pani, że był zaniepokojony?

- Nie. Mówił przyciszonym głosem, ale często tak ze mną rozmawiał, kiedy ktoś był w pobliżu. Był zupełnie spokojny, może trochę, czy ja wiem, tajemniczy? Miałam wrażenie że chodzi o jakąś anegdotę... Trudno mi to wyrazić, nie myślałam o tym w ogóle, aż do dzisiaj.

- Rozumiem. - Hagen pochylił się znowu lekko w jej stronę. - Pani Marto, proszę mi powiedzieć, co pani mąż sądził o tym romansie.

- Nic o nim nie wiedział - odparła - i nic nie wie.

Nie drgnął żaden mięsień na jej twarzy, patrzyła mu spokojnie prosto w oczy.

- Nigdy się nie domyślił?

- Nie. - Pokręciła lekko głową, jakby dla wzmocnienia siły słów. - Jak już wspomniałam, byliśmy bardzo ostrożni.

- Sądzi pani, że można ukryć romans trwający niemal rok?

- Można, jeżeli ktoś się bardzo stara, a druga strona nie jest specjalnie dociekliwa.

Hagen zadał jej jeszcze kilka pytań, krążących wokół tego samego tematu, ale jej odpowiedzi były niezienne: mąż nic nie wiedział o jej znajomości z biskupem. Na koniec poprosił ją o możliwie najdokładniejsze, godzina po godzinie, opisanie wszystkich czynności jej i jej męża z dnia zabójstwa, z podaniem nazwisk wszystkich świadków i osób postronnych, których opinii będzie można zasięgnąć. Przyniósł jej papier i długopis, po czym wyszedł do pomieszczenia za lustrzaną ścianą.

- W drugim pokoju jest już jej mąż i pisze to samo, co ona, tak jak pan kazał - zameldował młody policjant, który przyglądał się Hagenowi tak, jakby ten był co najmniej Brudnym Harrym.

Hagen przeszedł do kolejnego lustra i po raz pierwszy zobaczył swojego podejrzanego. Mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, w szarym garniturze, siedział pochylony nad stołem i pisał. Miał włosy ciemnoblonde, lekko siwiejące na skroniach i mocno przerzedzone na czubku głowy. Nie widział wyraźnie

jego twarzy, ale wydawało mu się, że była dość pełna, zdradzając pewną nadwagę. Historyk miał na nosie okulary w metalowych oprawkach. Można było dostrzec niewielki, dosyć jasny wąs.

Zadzwoił Lewicki. W mieszkaniu i w aparacie telefonicznym Rachwalskich był już założony podsłuch. Joanna jak zwykle zdobyła wszystkie dokumenty w ekspresowym tempie. Hagen postanowił sobie, żeby koniecznie zobaczyć tego sędziego, który tak dobrze z nimi współpracuje. Podejrzał, że musi się w niej podkochać.

- Gdzie są inni? - zapytał funkcjonariusza.

- Niektórzy już czekają, a kilka osób może przyjść dopiero później.

Hagen wezwał tego dnia do złożenia szczegółowych zeznań wielu bliskich współpracowników biskupa z KUL-u. Chciał trochę zaciemnić obraz sprawy Rachwalskiemu.

Drzwi nagle otworzyły się z impetem i do pokoju wbiegła Sylwia.

- Mamy go wreszcie! - zawołała. - Rozpoznał go podobno ktoś z kurii, musimy tam zaraz jechać!

Hagen poczuł przyływ adrenaliny. Kiedy szli szybkim krokiem korytarzem komendy, znowu czuł się tak, jakby ścigał mordercę ulicami. Zaczynało mu to wchodzić w krew.

Sekretarz arcybiskupa, który powitał ich w kurii, był niemal tak samo podekscytowany jak oni.

- Proszę tędy, inspektorze - powiedział bez większych wstępów, prowadząc ich na górę.

W pokoju, który jeszcze niedawno był gabinetem Wygnowskiego, stało kilka osób, duchownych i świeckich. Wśród tych ostatnich było trzech policjantów z komisariatu śródmiejskiego, którzy przeprowadzali tu od rana rozmowy w celu identyfikacji mordercy. Przy biurku siedziała jakaś kobieta, w wieku około pięćdziesięciu lat, która wyglądała, jakby przed chwilą nawiedził ją upiór poprzedniego lokatora gabinetu. Ktoś podawał jej właśnie szklankę wody.

- Niech pani się uspokoi, pani Święcka - przemawiał do niej łagodnie łysawy ksiądz. - Niech pani się napije wody i wszystko nam tu spokojnie opowie.

- I proszę nam tu nie mdleć więcej. - Ksiądz Jan pogroził jej żartobliwie palcem. - To jest pan inspektor z Warszawy, przyjechał tu specjalnie, żeby z panią porozmawiać.

Święcka spojrzała na Hagenę i w jej oczach zobaczył zupełne zagubienie.

- Przepraszam państwa bardzo - powiedział do obecnych - ale muszę prosić wszystkich o opuszczenie pokoju. Niech ksiądz

zostanie - zwrócił się do sekretarza. - Pan, panie posterunkowy, zostanie z nami jako świadek, a panowie, proszę, dopilnujcie, żeby nikt nam tu nie przeszkadzał.

Kiedy wyszli, Hagen otworzył stare szafkowe okno i do środka wpłynął powiew wilgotnego, chłodnego powietrza. Usiadł naprzeciw kobiety i spojrzał na nią z urzędową powagą. Zauważył, że odruchowo poprawiła się na krześle i wyprostowała. Wyjął z kieszeni dyktafon, włączył go i postawił na biurku między nimi. Zidentyfikował miejsce, czas i wszystkich obecnych.

- Proszę podać swoje imię i nazwisko i opowiedzieć nam, jakie są pani obowiązki w kurii.

Nazywała się Leokadia Święcka, miała czterdzieści dwa lata, ale zdaniem Hageny wyglądała na znacznie więcej. Była wdową z jedną córką, w kurii sprzątała od pięciu lat. Jeszcze wczoraj wieczorem usłyszała od sąsiadki o tym strasznym nieszczęściu, co się stało u Dominikanów, a dzisiaj rano, zaraz jak tylko przyszła do pracy, to pojawili się panowie z policji i zaczęli wszystkich wypytywać o tego mordercę ojca Scarpiego. Wreszcie przyszła jej kolej i kiedy pokazali jej to zdjęcie... Głos jej się lekko załamał, kiedy wskazała palcem na leżącą przed nią fotografię, jedną z tych, które Nęcki i inni rozwozili w nocy po komisariatach.

- Czy potrafi pani zidentyfikować tego człowieka?

- No pewnie, że potrafię, właśnie z tego mam te palpacje serca, bo ja jestem bardzo nerwowa...

- Rozumiem, rozumiem. Proszę nam powiedzieć, kto to jest.

- Ja już to mówiłam tym panom. - Wymierzyła palec wskazujący w piersi posterunkowego.

- Proszę teraz powiedzieć to mnie. Wszystko przecież nagrywamy.

- No tak, no tak... - Jej wzrok spoczął na chwilę na srebrzystym pudełku dyktafonu. - Ten na zdjęciu to jest Franciszek Cichecki, mój sąsiad z kamienicy. Tylko że on mieszka pod ósmym, a ja pod dziesiątym. Ale to chyba niemożliwe, żeby to było zdjęcie mordercy, bo to jest bardzo spokojny człowiek. Znamy się już wiele lat, bo on się wprowadził, jak jeszcze żył mój świętej pamięci mąż, chociaż już wtedy ciężko chorował.

- Czy mogłaby pani podać nam swój adres? - poprosił Hagen.

Kiedy już go miał, zadzwonił do Joanny w sprawie nakazu rewizji, a potem do Pawła i przekazał mu wszystkie dane. Ekipa Lewickiego miała natychmiast rzucić wszystkie inne zajęcia i być na miejscu jak najprędzej.

- Proszę nam opowiedzieć wszystko, co pani o nim wie.
- O panu Franciszku?
- Tak jest.

Miał wrażenie, że się lekko zarumieniała, a może to tylko wracały jej na twarz naturalne kolory.

- No ja tam wiele nie wiem, panie inspektorze. Jak powiedziałam, wprowadził się do naszej kamienicy jakieś trzy, cztery lata temu, do tego mieszkania po starej Woźniakowej, co to wtedy umarła na Wielkanoc... Tak. Nie było z nim nigdy żadnych kłopotów, samotny człowiek, podobno żona od niego odeszła dawno temu. Nigdy nie było na niego żadnych skarg, żadnych hałasów, zakłócania ciszy nocnej, kłótni z sąsiadami. Niepijący. Sam mi mówił, że nie bierze alkoholu do ust, nie to co mój ślubny... Pracuje jako księgowy, ale nie powiem panu gdzie, bo jakoś tak się nigdy nie zgadało.

- Często pani z nim rozmawiała?

Teraz już był pewien, że widzi na jej krągłych policzkach cień rumieńca.

- Żeby tak bardzo często, to nie... Wie pan, ja jestem wdowa. Zawsze to miło z kulturalnym człowiekiem porozmawiać. Pan Franciszek to nawet do filharmonii chodził. Zawsze się o moją Elżunię pytał, czy jej dobrze w szkole idzie, czy jest grzeczna, czy mi pomaga. Ostatnio to jej nawet dawał korepetycje z matematyki, bo ona to głowy do rachunków nie ma... Po mnie chyba tak. A jak trzeba było czasem coś zrobić w domu, wie pan, męska ręka się czasem przydaje, to zawsze pomógł. Tylko dźwigać nie mógł, bo się w wojsku nadwerżył, kręgosłup, znaczy, sobie uszkodził, jak skakał na spadochronie.

- Skakał na spadochronie?

- No tak, bo pan Franciszek był za młodu w tych czerwonych beretach, czy jakoś tak, zresztą mówił, że żeby nie te plecy, to by może i został na zawodowego.

Zatem Hołownię powalił nie zwyczajny księgowy, ale były komandos. Poszczególne kamyczki zaczynały mu pasować do obrazka.

- Czy Cichecki chodził do kościoła? Czy był wierzący?

Rozłożyła lekko ręce.

- Żeby tak szczerze powiedzieć, to nie wiem. Widziałam go czasem, jak wychodził w niedzielę elegancko ubrany, ale żebym go kiedyś w naszym kościele spotkała, to nie pamiętam. Tylko że u nas w Lublinie to jest dużo kościołów, więc może chodził gdzie indziej, może do tej parafii, gdzie wcześniej mieszkał?

- A gdzie wcześniej mieszkał?

- Chyba na Kalinowszczyźnie. Miał tam mieszkanie, ale sprzedał, jak się rozeszli z żoną, i kupił u nas mniejsze. Zawsze to oszczędność, a i mniej do sprzątanía.

- Czy wspominał kiedyś o szatanie, o diabłach i tym podobnych sprawach?

Przeżegnała się dyskretnie, jakby odganiając jego słowa.

- Gdzieżby tam, panie inspektorze, to jest porzą... - Zobaczył, jak w jej oczach zapala się błysk zrozumienia. - Nie. - Pokręciła zdecydowanie głową. - On nie mógł zabić księdza biskupa. To naprawdę był porządny człowiek. Nigdy muchy nawet nie skrzywdził i taki był dobry dla zwierząt. Zawsze w zimie koty dokarmił, chociaż dozorczyńni to nawet na niego fukała, że jej sikają na klatce...

- Miał kota?

- Nie miał, ale lubił zwierzęta. Zawsze jak u nas był, to się z naszym Maksymem bawił.

- To pani ma kota?

- Elżunia dostała na urodziny od cioci i tak już został.

- Jakiego jest koloru?

- Taki więcej czarny, ale ma też białe plamy, na piersi i na grzbiecie. Bardzo miły kotek, chociaż, oczywiście, trzeba go było wykastrować, bo strasznie znaczył teren, i wtedy pan Franciszek mi pomógł i zaniósł go do weterynarza.

- Czy rozmawiała z nim pani o morderstwie księdza biskupa?

- O to chodzi! On zawsze mówił, że tego, co to zrobił, to by należało powiesić na najwyższej latarni! Był bardzo wzburzony, jak się o tym dowiedział, i rozmawialiśmy na ten temat wiele razy. Kiedyś, pamiętam, powiedział, że każdy chciałby pomóc policji wytropić mordercę, on też, i że się trochę na tym zna i ma różne kontakty. Przepisałam nawet dla niego telefon

tego policjanta, który u nas był i rozmawiał z księdzem biskupem, żeby mógł do niego zadzwonić, jakby zdobył jakieś nowe informacje. Dlaczego taki człowiek miałby zabić biskupa albo ojca Scarpiego?

- No właśnie, dlaczego? - Hagen rzucił pytanie w przestrzeń holu Pałacu Biskupa, z którego właśnie wychodzili z Sylwią. - Może kobieca intuicja coś pani podpowiada?

- Nie mam pojęcia. Być może ona miała po prostu zupełnie fałszywy obraz podejrzanego. Sympatyczny sąsiad, który pewnie jej się podobał, może nawet coś ich łączyło, albo może raczej ona miała nadzieję, że coś ich łączy... Wygląda na to, że wiele o sobie nie opowiadał, raczej wyciągał od niej informacje.

W samochodzie Hagen próbował usystematyzować świeżo zdobytą wiedzę.

- Księgowy, a więc umysł raczej ścisły, zdolny do drobiazgowego planowania. Były komandos, zatem sprawny fizycznie, umiejący się obchodzić z bronią, czego doświadczyliśmy na własnej skórze. Częsty kontakt z kotami. Mógł się u niego zaplatać do korespondencji włos z sierści. Interesował się sprawą biskupa, miał dostęp do numeru telefonu komisarza. O psiakość!

- Co się stało?

- Zapomniałem zapytać ją, czy miał samochód!

Hagen zadzwonił do sekretarza biskupa i przez niego zadał to pytanie pani Leokadii. Cichecki miał samochód, dosyć starą, granatową ładę, którą zwykle parkował przed domem. Hagen zgłosił samochód do wydziału ruchu drogowego, z prośbą o wyszukanie wszystkich danych i numeru rejestracyjnego. Trzeba było przebadać go w trybie pilnym.

Podjechali pod przedwojenną kamienicę czynszową z szerokim wjazdem na podwórze. Kierowca zaparkował ostrożnie przy wysokim krawężniku i oboje wysiedli. Uliczka, przy której osiedlił się zabójca Scarpiego, była cicha i spokojna. Wąskie chodniki ciągnące się pod starymi murami pokrytymi dziesiątkami napisów i bazgrołów były puste. Nie widział nigdzie samochodu ekipy dochodzeniowej, widocznie nie zdążyli jeszcze dojechać. Wysłał kierowcę na poszukiwanie dozorcy, a sam rozglądał się za granatową ładą. Bez powodzenia. Ruszyli w stronę bramy. Cuchnęło w niej kocimi sikami, a być może nie tylko kocimi. Podwórko, uformowane przez cztery nieotynkowane, ceglane ściany z nielicznymi otworami okien, wyasfaltowane dawno temu, z jednym rachitycznym drzewem, trzepakiem i śmietnikiem, było puste. Przy wejściu do oficyny stał zaparkowany stary, porzewiały motocykl.

- Nie ma go. - Hagen włożył dłonie w kieszenie płaszcza. Było zimno.

- Sądzę, że pojechał nim wczoraj na stare miasto. Tam trzeba go szukać - powiedziała Sylwia, zapinając płaszczyk.

Usłyszeli warkot silnika i na podwórze wtoczyła się powoli biała półciężarówka - laboratorium. Byli już niemal w komplecie.

Kiedy Joanna dołączyła do nich z nakazem przeszukania lokalu, wszyscy zdążyli się już przebrać w białe stroje ochronne i czekali pod drzwiami. Spojrzała na nich, tłoczących się na wąskim podeście, i zdecydowanie pokręciła odmownie głową. Nie może im, niestety, towarzyszyć, jest wiele dokumentów do przygotowania. Pożegnała się, a Lewicki wyjął z plastikowej

torebeczki komplet kluczy znaleziony w kieszeni rannego i przymierzył je do zamków. Włożył pierwszy, obrócił. Szczęknęła zasuwą, wszyscy odetchnęli z ulgą. Zatem pani Leokadia miała rację. To był Cichecki. Powoli, jeden za drugim wszyscy weszli do mieszkania.

Hagen stał w większym z dwóch pokoi, który najwyraźniej odgrywał rolę salonu, i rozglądał się wokół z ciekawością. Oto jama bestii, legowisko szatana. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie bardzo banalne. Meble, których styl można by ogólnie określić jako późny Gierek lub wczesny Jaruzelski, były już mocno wytarte i zmęczone. Dywan na podłodze, jeszcze starszy, wyblakł i spłowieł. Pokój jednak był czysty i sprzątnięty, kurze wytarte. Pozmywane naczynia stały w suszarce na parapecie okna w kuchni. Na regale, zawierającym w sobie niemal pusty barek, główne miejsce przypadło 12-tomowej encyklopedii powszechnej PWN z 1967 roku, wraz z suplementem. Oprócz niej stało tam zaledwie kilka książek, głównie wydawnictw albumowych o Lublinie. W zamkniętej szafce Lewicki znalazł drugi, znacznie większy księgozbiór, który zawierał między innymi komplet dzieł Deschnera, w tym kilkutomową „Kryminalną historię chrześcijaństwa”, ewidentnie zacytowaną. Były tam wspomnienia księdza, który odszedł z Kościoła, „Nie i Amen”, „Opowieści biblijne” i „Opowieści ewangelistów” Kosidowskiego oraz wiele innych tytułów wpisujących się w nurt sceptycyzmu wobec prawd wiary i niechęci wobec instytucji Kościoła. W szufladzie znalazł kilka numerów „Bez dogmatu” i niemal kompletny zbiór numerów „Nie” z tego roku.

- Zamknięte i ukryte przed okiem przyjaciółki z kurii - powiedział Hagen, przeglądając książki.

- Mogłyby zrobić fatalne wrażenie, to prawda. - Sylwia segregowała sprawnie stos gazet, przygotowany chyba do wyniesienia na makulaturę. - Nie widzę nigdzie, pewnie wyrzucił resztki...

- Czego pani szuka?

- Gazet, z których wyciął litery do listów. Patrząc na to, co tu zbierał, to niewiele wyrzucił. Najstarszy jest ten numer „Polityki” z końca sierpnia, całą resztę -wskazała na 30-centymetrowej wysokości stertę gazet - nazbierał w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- W koszu na śmieci też nic nie ma - oznajmił technik Lewickiego, słysząc tę wymianę zdań.

- Podczas przeszukania zwróćcie, panowie, specjalną uwagę na wszystkie pary okularów, jakie znajdziecie. Chciałbym je zobaczyć - powiedział Hagen do pracowników laboratorium.

Sylwia rzuciła mu zdziwione spojrzenie, ale się nie odezwała.

- Coś chyba mam. - Lewicki wyszedł z sypialni. W rękę trzymał otwartą zieloną teczkę na dokumenty. Położył ją na małym stoliku stojącym na środku pokoju i wszyscy pochylili się nad nią. W teczce znajdował się gruby plik wycinków prasowych z różnych gazet. Po tytułach zorientowali się od razu, że dotyczyły sprawy Wygnowskiego. - Starł się być na bieżąco, jeśli można to tak ująć.

- To oddaje istotę sprawy. - Hagen przerzucał różnokształtne kartki. Na jednej z pierwszych notatek znalazł podkreślone na zielono nazwisko komisarza Hołowni, opisanego jako prowadzący śledztwo.

- Jest i nasz ksiądz. - Sylwia wskazała na inny fragment z zakreślonym nazwiskiem Scarpiego. Była to mała notatka z „Kuriera”, dość enigmatycznie wspominająca o przyjeździe do Lublina gościa z Watykanu.

- Jak rozumiem, szczegółów dowiedział się od swojego źródła w kurii. - Hagen wyprostował się. - Co przypomina mi...

Ujął Sylwię za ramię i wprowadził ją do przedpokoju.

- Oni tutaj świetnie sobie poradzą, to małe mieszkanie. Sądzę, że lepiej byłoby porozmawiać z sąsiadami.

Sylwia spojrzała na zegarek i wyraz jej twarzy stał się zdecydowanie sceptyczny.

- Jest dopiero dwunasta, panie inspektorze. Zastaniemy tylko niektórych.

- I tych niektórych pani przepyta. Najważniejsze jest, czy widzieli coś w noc morderstwa. Może spotkali go wracającego nad ranem lub późno w nocy, może wyjątkowo dokładnie czyścił samochód, niósł wcześniej dziwne zakupy... Cokolwiek. Ja wracam do naszych uzdolnionych pisarsko świadków z KUL-u. Mam nadzieję, że już zakończyli wypracowania. Zadzwoń później i zapytam, jak pani idzie.

W komendzie dowiedział się, że obydwójce Rachwalscy spisali swoje zeznania, oświadczyli, że nie mają nic więcej do dodania, i opuścili już komisariat. Ich rękopisy są teraz przepisywane przez najlepsze maszynistki i za chwilę będzie mógł je przeczytać. Zrobił sobie herbatę w kuchni i usiadł za biurkiem. Na szczycie stosu papierów, który je zaściewał, leżał faks z danymi osobowymi Cicheckiego i numerem rejestracyjnym jego lady.

- Rozesłaliśmy to już do komisariatów. Sądzę, że samochód zaraz będziemy mieli. - Nęcki stał w drzwiach. Wyglądał na równie zużytego wypadkami ostatniej nocy, jak Sylwia.

- Świetnie. Nie są to zbyt obfite dane. - Hagen wskazał ręką na papiery. - Właściwie to oprócz faktu, że się urodził i mieszkał gdzieś wcześniej oraz że był żonaty z... - Pochylił się nad kartką - ...Agatą Smelą, to nic więcej o nim nie wiemy. Namierzaliśmy już panią eks-małżonkę?

- Jeszcze nie, mogła znowu zmienić nazwisko, ale sądzę, że wkrótce nam się uda.

- Niech pan tego dopilnuje. Może od niej dowiemy się, dlaczego to zrobił albo raczej dlaczego był do tego zdolny.

- Myślę, że mu po prostu odbiło.

- W pewnym sensie na pewno ma pan rację. Nikt przy całkowicie zdrowych zmysłach nie zrobiłby tego co on, ale kto z nas jest tak całkiem zdrowy?

Zabrzączał dzwonek telefonu i Nęcki wycofał się za próg. Dzwonił naczelny „Kuriera Lubelskiego” i Hagen, który nie miał ochoty na wywiady, chciał go już odesłać do działu prasowego, kiedy tamten powołał się na jakąś pracę zleconą im przez Lewickiego.

- Proszę wyjaśnić mi szczegóły - powiedział. - Doktor Lewicki jest teraz w terenie.

Okazało się, że laboratorium komendy przekazało redakcji fotokopie liter wyciętych z gazety, z ich gazety, zrobione po odklejeniu ich od listu, jaki znaleziono w mieszkaniu biskupa Wygnowskiego. Rolą dziennikarzy było ustalić, z którego numeru gazety zostały wycięte i tym samym określić dolną granicę czasową napisania anonimu.

- Czy to możliwe? Przecież zawsze używacie tych samych krojów czcionek.

- Jest to możliwe, chociaż dosyć mozolne, szczególnie jeżeli zajmowałaby się tym osoba niezorientowana w zawartości

poszczególnych numerów. Otóż litery naklejone na list mają dwie strony. Tę, którą widzimy, oglądając anonim, i drugą, która przytwierdzona jest do papieru. Po starannym odklejeniu i oczyszczeniu mamy tam maleńkie fragmenty artykułów, które przy żmudnej dłubaniu i porównywaniu setek stron gazet można zidentyfikować.

- Udało się państwu? - zapytał Hagen, bardziej przez grzeczność niż z prawdziwego zainteresowania. Jego myśli błądziły wokół Rachwalskiej i Cicheckiego.

- Mieliśmy sporo szczęścia. Cały list był wycięty z jednego numeru „Kuriera” i akurat redaktor odpowiedzialny za to wydanie siedział z nami przy stoliku, jak zabieraliśmy się do tej łamigłówki. Mimo to zajęło nam to sporo czasu - zakończył z naciskiem.

- Rozumiem i zapewniam, że jak tylko to będzie możliwe, udzielimy państwu wyłącznego prawa do opisania tej historii.

- Świetnie. Nie jest pan ciekaw, inspektorze, z którego wydania pochodzą wycięte litery?

Hagen właściwie nie był specjalnie ciekaw, ale coś w tonie głosu dziennikarza sprawiło, że wyprostował się lekko na krześle i oparł czubek długopisu o kartkę.

- Słucham - powiedział.

- Litery zostały wycięte z wydania sobotnio-niedzielnego, z weekendu tuż przed śmiercią biskupa.

- To niemożliwe. Jesteście państwo pewni?

- Absolutnie. Też zauważyliśmy, co to implikuje, i zapewniam, że sprawdziliśmy wszystko kilkakrotnie. Nie ma mowy o pomyłce.

- Jakie implikacje ma pan na myśli?

- Litery wycięto z wydania weekendowego, zatem list mógł być napisany i wysłany najwcześniej w sobotę rano. Nie ma

takiej możliwości, żeby był w skrzynce biskupa w poniedziałek rano, sprawdziliśmy to na poczcie, a to była ostatnia okazja, żeby go odebrał. Potem nie wracał do domu, a wieczorem już nie żył.

- Zatem list nie przyszedł do niego pocztą - odparł Hagen, starając się ostudzić zapał dziennikarza. - Może ktoś wsunął go pod drzwiami?

- Nie, to niemożliwe. Sprawdziliśmy to dzisiaj razem z jego dozorczynią.

- Może zatem ktoś przekazał mu ten list, na przykład w czasie spowiedzi? O ile mnie pamięć nie myli, biskup spowiadał w katedrze w niedzielę.

- Tak, przed sumą, ale istnieje również inna, jak nam się zresztą wydaje bardziej prawdopodobna wersja wydarzeń.

- Mianowicie?

- Morderca wykorzystał klucze ofiary, wszedł do mieszkania i podrzucił list do biurka, co miało sugerować policji wcześniejsze groźby satanistów.

- Nie wierzy pan w religijny kontekst tej zbrodni? - zapytał Hagen.

Naczelnym „Kurier” nie dał się jednak łatwo zbić z tropu.

- Co pan na to, co przed chwilą powiedziałem?

Hagen, świadomy, że to, co mówi, może być później opublikowane przeciwko niemu, milczał przez chwilę.

- Sądzę - odpowiedział wreszcie - że jest to jedna z możliwych wersji wydarzeń. Tak czy inaczej chciałbym podziękować redakcji za trud włożony w pomoc w czynnościach śledczych.

- Miło nam, że możemy być pomocni. Będziemy w kontakcie. - Telefon zamilkł.

Hagen odłożył słuchawkę i w zamyśleniu bawił się ołówkiem. Jeżeli teoria dziennikarzy była prawdziwa, to taki schemat postępowania nie pasował mu do Cicheckiego. Jeżeli chce zabić księdza, jakiegokolwiek księdza, księdza jako symbol Kościoła, a ktoś lepiej symbolizuje matkę naszą Kościół niż biskup, to zabijam go i daję całemu światu poznać, że dopełnił się akt zemsty czy sprawiedliwości dziejowej, czy czego tam sobie moja chora psychika życzy. Zostawiam kartkę, piszę na ścianie, jak Manson i jego banda, wysyłam list do gazet jak Unabomber... Możliwości jest mnóstwo. Na pewno nie przebieram tego morderstwa w szaty satanistyczne i nie maskuję swoich intencji, bo sama zbrodnia właśnie ma być manifestacją moich uczuć.

- Nie trzyma mi się to wszystko kupy - mruknął po chwili.

Napił się zimnej już herbaty. Przepisane zeznania małżeństwa przyniesiono mu wkrótce potem. Przeczytał je uważnie. Nie było w nich żadnych sprzecznych elementów. Obydwoje twierdzili, że w krytycznym dniu wrócili do domu stosunkowo wcześniej - przywilej pracowników naukowych - zajmowali się córką, czytali. Około 19.30 Rachwalski wyszedł na przyjęcie do dziekana, na które był również zaproszony biskup Wygnowski. Żona nie poszła z nim, bo jak napisała: „towarzystwo pseudo-intelektualistów przekonanych o swojej misji cywilizacyjnej wobec reszty świata” niezbyt jej odpowiadało. Nieświadom takiej opinii o swoich kolegach i o sobie małżonek pozostał na spotkaniu do późnych godzin nocnych i jak sam zaznaczył, będąc pod dobrą datą, powrócił do domu około godziny 3.00. „Nie mogę zaliczyć tego przyjęcia do udanych”, napisał. „Wypiłem zbyt szybko kilka zbyt dużych kieliszków już na początku

przyjęcia i dlatego późniejsze godziny przedrzemałem cicho w jakimś kąciku”. Godzina powrotu męża z grubsza zgadzała się również w zeznaniach żony, chociaż jak zauważył, napisała tak: „Wracając w nocy, mąż zbudził mnie, a na moje pytanie, która to godzina, powiedział, że koło trzeciej. Położył się do łóżka i czułam od niego później alkohol”. Na razie nie mieli żadnej wiarygodnej weryfikacji godziny powrotu podejrzanego do domu, trzeba będzie poszukać. Zgodnie z sugestiami policji w zeznaniu Rachwalskiego zawarta była lista gości, których pamiętał z przyjęcia. Chociaż była znacznie krótsza od listy podanej przez żonę dziekana, występowały na niej te same nazwiska, nie było ani jednego odstępstwa. Umówił się telefonicznie z gospodynią przyjęcia na rozmowę po południu. Teraz czekali na niego sąsiedzi Cicheckiego.

Wbrew pesymistycznemu nastawieniu Sylwii udało się przeprowadzić nadspodziewanie wiele rozmów z lokatorami kamienicy. Okazało się, że kilku z nich to już emeryci lub, jak w jednym wypadku, kobieta na urlopie macierzyńskim, i była to doskonała pora, by odwiedzić ich w domach. Wizyty policji były ciekawym przerywnikiem w ich monotonnej egzystencji. Mówili chętnie i otwarcie, ale niewiele mieli im do powiedzenia. Cichecki był spokojnym sąsiadem, nie wadził nikomu, nie ukrywał się, ale i nie narzucał swojego towarzystwa. Dla większości z nich, zasiedziały w swoich mieszkaniach jeszcze od czasu wojny, był nadal nowym lokatorem. Nie widzieli ani nie słyszeli nic ciekawego, innego, odbiegającego od codziennej rutyny ani w poniedziałek, dzień zbrodni, ani w dni bezpośrednio poprzedzające lub następujące po zabójstwie. Coś więcej mogłaby im pewnie powiedzieć pani Świętka, z którą był

najbardziej zaprzyjaźniony. Kamienica nie widziała w tym zresztą nic złego. On rozwodnik, ona wdowa z dzieckiem, sąsiedzi. Nic dziwnego, że mieli się ku sobie. Stali właśnie na podeście schodów poniżej mieszkania Cicheckiego, a Sylwia zdawała relację z rozmów, które odbyła z lokatorami, kiedy usłyszeli szybkie kroki na dole i po chwili w perspektywie schodów zobaczyli dziewczynę idącą spieszenie w górę. Najpierw widać było głównie jasne włosy i różową kurtkę, ale w miarę wspinania się na kolejne stopnie, wyłaniały się szczupłe nogi, które osiągnęły rzadko spotykaną długość, kiedy zrównała się z nimi. Przechodząc obok, obrzuciła ich ciekawym spojrzeniem i równie szybko zaczęła wspinać się powyżej linii ich wzroku. Wzroku, przynajmniej w wypadku inspektora, utkwionego w najładniejszą parę nóg wystającą spod najkrótszej mini, jaką widział tej jesieni. Fakt, że ubrana była w ciemnoszare, grube, bawełniane rajstopy i mimo wszystko wyglądała tak dobrze, dodawał jej jeszcze uroku. Jakże ciekawy musiał być ten punkt obserwacyjny w lecie, kiedy...

- Ona otwiera drzwi do mieszkania Święckiej - powiedziała cicho Sylwia, przerywając jego wizje. - To musi być jej córka.

- Elżunia? - spytał Hagen.

Opowiadanie matki nie wiedzieć czemu uformowało w jego umyśle obraz małej dziewczynki z dużymi problemami z matematyką.

- Nie sądzę, żeby to była pomoc domowa. - Albo mu się zdawało, albo usłyszał w głosie podwładnej nutę sarkazmu.

Podniósł do góry palec wskazujący i parafrazując gest Nikodema Dyzmy z serialu telewizyjnego, pogroził jej delikatnie.

- No! - Chyba zarumieniła się lekko, więc uśmiechnął się do niej. - I tak nie możemy jej przesłuchać bez zgody matki - mruknął. - Trzeba z nimi porozmawiać, jak tylko obie znajdą się w domu.

Obeszli jeszcze kilka lokali, ale od zamieszkujących je ludzi nie dowiedzieli się niczego nowego. Cichecki lubił grzebać w weekendy przy samochodzie. Lubiał chodzić na spacer. Nikt nigdy nie widział go pijanego, nigdy też nie odwiedzały go żadne kobiety. W zimie dokarmał koty na podwórku, ale nie był ich na tyle zapamiętałym miłośnikiem, żeby któregoś przygarnąć do mieszkania. Jak określiła to jedna z mieszkanek wyższego piętra, ubierał się nawet dość elegancko. Z nikim nie rozmawiał o Kościele, księżach, wierze w Boga i tego rodzaju sprawach. Wyglądało na to, że swoje poglądy ukrywał przed światem. Hagenowi wydawało się to sprzecznością samą w sobie. Jeżeli ktoś zżerany jest przez obsesję, ma chyba naturalną potrzebę dzielenia się nią ze wszystkimi, nie zwracając zwykle uwagi na to, czy sobie tego życzą czy też nie.

Prawie równocześnie zapiszczały ich telefony, sygnalizując nadejście wiadomości. Drogówka znalazła samochód Cicheckiego zaparkowany w jednym z podwórek niedaleko zamku. Jednak biegł do samochodu. Na pierwszy rzut oka w środku nie było nic ciekawego, ale wyniki szczegółowych oględzin miały być dostępne dużo później. Ponieważ ich główny świadek nie nadchodził, Hagen zostawił Sylwię przed drzwiami mieszkania w oczekiwaniu na Święcką, a sam udał się do państwa profesora, aby porozmawiać o sławetnym przyjęciu.

Kiedy otworzyły się wysokie drzwi i gospodyni wprowadziła go do środka, Hagen zdziwił się, widząc w salonie zgromadzone

przy stole pięć osób. Cztery dystyngowane damy, w tym jedną z nieomylnymi śladami niegdyś wielkiej urody, oraz zażywnego mężczyznę z bródką w wieku około sześćdziesięciu lat, który okazał się panem domu.

- Kiedy wspomniał mi pan przez telefon, panie inspektorze, w czym rzecz - mówiła pani profesorowa, zapraszając go do pokoju - pomyślałam, że dowie się pan znacznie więcej, jeżeli wszystkie zapamiętane fakty będziemy mogli poddać wielokrotnej weryfikacji. Dlatego zaprosiłam moje przyjaciółki, członkinie naszego koła brydżowego, osoby obdarzone znakomitą pamięcią i przywiązujące wagę do szczegółów. Jestem pewna, że wspólnie jesteśmy w stanie odtworzyć dla pana każdą minutę tej uroczystości oraz stroje i słowa wypowiedziane przez wszystkich uczestników.

- O tak - powiedziała ta z nich, która musiała kiedyś burzyć spokój wszystkich mężczyzn, którzy mieli szczęście ją poznać. - Jesteśmy najgorszą, najbardziej wścibską i najlepiej poinformowaną grupą plotkarek w tym mieście.

Wszystkie pokiwały głowami, zgadzając się z nią w zupełności. Następnie dokonano formalnej prezentacji, po której gospodyni zwróciła się do swego małżonka:

- Drogi Karolu, obawiam się, że rozmowy, które tu będziemy toczyć, nie są przeznaczone dla twoich uszu. Mogłyby bowiem wywołać konflikt sumienia u kogoś na twoim stanowisku.

Ku zdumieniu Hageny dziekan poderwał się żwawo na nogi, jakby tylko na to czekał, i uśmiechnął się rozbrajająco do inspektora.

- Ona ma rację. Będziecie tu pewnie mówić o sprawach, o których ja nie mam pojęcia. Zresztą nie pomogłbym zbyt.

Niespecjalnie interesuję się doczesnym losem naszych bliźnich. Wolę emocje średniowiecza, ze względu na ich czystsza formę. Za to te panie...

- Gestem dłoni objął wszystkie siedzące w pokoju. - Każda z nich uważa się za młodszą wersję panny Marple i tak między nami mówiąc, mają rację.

Dziekan pożegnał się i wyszedł, a tymczasem jego żona podała wszystkim herbatę. Hagen wypił łyk gorącego płynu, czując się przewiercony na wylot czterema parami bystrych oczu. Miał wrażenie, że za chwilę herbata zacznie wypływać na zewnątrz z ośmiu otworów w jego piersi.

- Szanowne panie, bardzo miło jest mi spotkać się z wami tak niespodziewanie. Jak wicie doskonale, prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci biskupa Wygnowskiego. W dniu, w którym popełniono zbrodnię, biskup planował spędzić wieczór w tym domu, na wydawanym wtedy przyjęciu. Nie dotarł tu jednak, prawda? - Wszystkie głowy skinęły potwierdzająco. - Można powiedzieć, że zebrała się tu śmietanka intelektualna miasta, a tym samym wiele osób, które w ten czy inny sposób były związane z biskupem. Naszą rolą dzisiaj będzie ustalić i zweryfikować prawdziwość ich zeznań dotyczących tamtego spotkania. Mam nadzieję, że rozumieją panie powagę sytuacji.

- Możemy być wiekowe, ale nie jesteśmy głupie, inspektorze - odparła kobieta siedząca na prawo od gospodyni, ubrana w zielony kostium. Duża bursztynowa broszka połyskiwała miodowo.

- Naturalnie, że nie, nic takiego nie sugerowałem... - Hagen nieco się stropił.

- Słowo „wiekowe” nie jest chyba właściwe, Anielo - powiedziała zamyślonym tonem dawna piękność.

- Słowo „głupie” też nie było na miejscu - zauważyła inna, w zgaszonej czerwieni.

Hagen zaczął nabierać podejrzeń, że świetnie się bawią jego kosztem.

- Sądzę, że żadne z tych słów nie mogłoby być odniesione do żadnej z pań - podsumował. - Oto co przygotowałem.

Pokazał im tabelę, którą sporządził Nęcki. Obok nazwiska każdego z gości znajdowały się takie rubryki, jak godzina przyjscia na przyjęcie, czy opuszczał przyjęcie w trakcie jego trwania i na jak długo, w co był ubrany, charakterystyczny epizod, który można by poddać weryfikacji, ewentualne obserwacje dodatkowe i godzina wyjścia. Jako osoba trzecia od góry po gospodarzu i jego żonie wpisany był Andrzej Rachwański i kiedy to zobaczyły, miał wrażenie przepływu przez pokój prądu elektrycznego. Informacja o zatrzymaniu żony na lotnisku i wezwaniu męża do komendy policji musiała się już odbić echem w tym grajdołku, pomimo przedsięwziętych środków ostrożności. Panie wypełniły pierwsze dwa wiersze tabeli, żartując i wypowiadając uszczypliwe komentarze. Następnie zabrały się do historyka i Hagen skupił całą uwagę na tym, co mówiły.

- Przyszedł dosyć wcześnie - zaczęła gospodyni. - Sądzę, że było najpóźniej pięć po ósmej.

- Chyba tak - potwierdziła ta w czerwieni. - Ja przyszedłam dokładnie dziesięć po, a on był już rozebrany i pił jakiegoś drinka, kiedy weszłam.

- Zgadza się. Ja przyszedłam jak zwykle punktualnie, a on wszedł, kiedy poprawiałam włosy przed lustrem w holu, po zdjęciu kapelusza. Nie mogło być później niż trzy po - powiedziała pani Aniela i wpisała godzinę przyjscia.

Hagen, patrząc na nie, czuł, że serce w nim rośnie. Wyglądało na to, że miał otrzymać najdokładniejszy zestaw informacji, jaki kiedykolwiek udało się zdobyć policji o jakimkolwiek wydarzeniu.

Ustalono, że przebywał na przyjęciu w sposób ciągły, ubrany był w czarny garnitur, jednorzędowy, z dobrej wełny, choć nieco już znoszony i kupiony, kiedy właściciel był jeszcze nieco szczuplejszy, garnitur, w którym zazwyczaj widywało się go na tego typu spotkaniach. Mimo paskudnej pogody miał porządnie wyczyszczone buty, a spodnie od dołu nie były zachlapane, zatem przyjechał samochodem lub taksówką. Do spodni miał czarny skórzany pasek, białą koszulę i bordowy krawat w małe złote kropeczki, który podzielił panie na te, które uważały, że był jedwabny, i te, które przychyłały się do zdania gospodyni, że był z poliestru. Na nosie miał okulary w metalowej oprawce, włosy, zaczesane na bok, przykrywały lekko łysiejący czubek głowy. Jadł sałatki, zimne wędliny, koreczki, pił głównie long drinki, które sam sobie przyrządzał. Wyglądało, że pił je zbyt szybko, bo już koło dziesiątej siedział w gabinecie i drzemał zawinięty w płaszcz.

- Tak, to prawda, szybko się upił, co nie było do niego podobne. Przesiedział tak chyba do późnej nocy, chociaż nie pamiętam, kiedy wyszedł - powiedziała gospodyni.

- Nie dziwię się, że wyszedł po angielsku - odparła kobieta w czerwieni. - W takim stanie...

- Wyszedł po cichu, to prawda - powiedziała zamyślonym głosem pani Aniela. - Z nikim się nie pożegnał, ale to nie była wcale późna godzina... Zresztą muszę powiedzieć, że nie sprawiał wrażenia pijanego. No wiecie, nieskoordynowane ruchy, zataczanie się, opieranie o ścianę. Nic z tych rzeczy.

- Widziałaś, jak wychodził?
- Tak, widziałam. Przechodziłam właśnie do służbówki po napoje, kiedy zobaczyłam, jak nakłada płaszcz w holu i wychodzi. Szło mu bardzo sprawnie. Gdybym akurat nie przechodziła, nikt by go nie zauważył.
- Pamiętasz, kiedy to było?
- Pamiętam doskonale. Docent Piasecki właśnie wygłaszał orację na cześć twego męża po łacinie. Wszyscy byli w salonie. Ponieważ nie pamiętam już ani słowa z mowy Cycerona, oddaliłam się po tonik.
- Mówiłam panu! - Rozpromieniona gospodyni obróciła się w stronę Hageny. - Pamięć zbiorowa czyni cuda.
- O której zatem wyszedł pan Rachwalski? - zapytał, uśmiechając się do nich.
- Jeżeli jest tak, jak powiedziała Aniela, czyli że wyszedł w czasie oracji, to znaczy, że musiał wycofać się do szatni wcześniej, niż myślałam. Włodek zaczął się popisywać o dziesiątej. Spojrzałam na zegarek, bo zwykle takie rzeczy zaczynają się później. Oni są jak dzieci. Oracja po łacinie, deklamacje po grecku, psalmy po hebrajsku, mowy po aramejsku. Chcą zrobić na sobie nawzajem wrażenie.
- To w miarę zdrowy snobizm - zauważył. - Czy w komentarzach byłyby panie łaskawe dodać coś jeszcze?
- Spostrzegł, że spojrzały po sobie. Kobieta w czerwieni owijała szal na palcu wskazującym lewej dłoni, Aniela patrzyła w okno.
- Jak już wspominałam na początku naszej rozmowy, jesteśmy grupą plotkarek - powiedziała gospodyni, patrząc na niego poważnie.
- Żyjemy głównie dla plotek - dodała Aniela.
- Czasem sądzimy, że sprawiają nam więcej przyjemności niż wnuki - powiedziała inna.

- Zdecydowanie więcej niż mężowie.
- Tak, tak, to na pewno - zgodziły się wszystkie.
- Niemniej choć w każdej plotce jest ponoć ziarnko prawdy, nie chciałybyśmy skrzywdzić niewinnego człowieka. W końcu to nie zabawa, ale dochodzenie w sprawie morderstwa.

- Otóż to - wpadł jej w słowo Hagen. - W dochodzeniu tak poważnym i tak trudnym, jak nasze, liczy się każda poszlaka, każdy trop. Nie wniesiemy oskarżenia ani nie aresztujemy nikogo na podstawie plotek. Ale plotki mogą pozwolić odnaleźć tę właściwą nitkę, po której w końcu dojdzie się do kłębka. Proszę powiedzieć wszystko, co panie wiecie, o wszystkich z tej listy i o sobie również.

- Myśli pan, że morderca jest jednym z nas? - spytała kobieta w zielonym szalu teatralnym głosem.

- Szczerze? - Hagen potoczył wzrokiem po ich twarzach i odczekał chwilę dla dodania dramatyzmu temu, co zamierzał powiedzieć. - Sądzę, że nie możemy tego całkowicie wykluczyć.

Zobaczył, jak nabierają powietrza, żeby coś powiedzieć, ale w końcu żadna z nich się nie odezwała. Milczały przez dłuższą chwilę.

- To bardzo ekscytujące, co pan mówi. - Dawna piękność przebierała palcami srebrne kuleczki naszyjnika. - Haniu, nie poczęstowałabyś nas jakimś koniaczkiem?

- Świetny pomysł - powiedziała Aniela. - Dodajmy sobie animuszu.

Po chwili kieliszki były już puste i gospodyni nalewała drugą kolejkę. Policzki dystygowanych interlokuterek inspektora zabarwiły się delikatnym różem.

- Co głoszą plotki z wielkiego świata? - zapytał.

- Panie inspektorze - pani Aniela patrzyła na niego przenikliwie - to, co pan teraz usłyszysz, to tylko pogłoski. Pracownicy naukowcy i ich żony plotkują jak najgorsze przekupy z bazaru. Nie mamy pojęcia, ile w tym prawdy. - Wszystkie pokiwały głowami. - Jakiś czas temu, nie pamiętam dokładnie, dwa miesiące temu, może dwa i pół, dotarła do mnie plotka, jakoby w małżeństwie Rachwalskich źle się układało. Ponieważ Rachwalski to bliski współpracownik męża Hani, więc zapytałam ją, czy coś o tym słyszała.

- Ja na to, że nie, ale spróbuję się czegoś dowiedzieć. Rozmawiałam potem z doktorem Wielickim, który siedzi z nim w tym samym gabinecie, i zapytałam go, czy słyszał coś na ten temat. Ponieważ Wielicki był doktorantem mojego męża, a wtedy starał się o stypendium w Louven i potrzebne mu było pełne poparcie dziekana, nie chciał sprawić zawodu jego żonie i podzielił się ze mną tym, z czego Andrzej zwierzył mu się w chwili słabości. Otóż podejrzewał, że żona ma romans i to długotrwały romans z jednym z księży profesorów na uniwersytecie. Wystarczyło zastanowić się chwilę i przypomnieć sobie, jak wyglądają, żeby domyślić się, o kim mówił.

- Pani mu uwierzyła?

- Wielickiemu? Tak. Nie miał żadnego powodu, żeby coś zmyślać. W przeciwieństwie do nas nigdy nie był plotkarzem.

- Może miał do niego jakieś pretensje i tak mu się odplącił?

- Może. Nie wiem. Jak powiedziałam, to tylko plotki. - Pochyliła się w jego stronę, opierając łokcie o blat stołu pokryty szydełkowanym obrusem i splatając pod brodą dłonie pokryte delikatną siateczką zmarszczek. - Czy pan sądzi, że to możliwe? Czy żona Andrzeja mogła być związana z biskupem Wygnowskim, a

on zabił go z zazdrości?

Cztery pary bystrych oczu wpatrywały się w niego dociekliwie. Hagen rozłożył ręce w geście bezradności. W rzeczywistości najchętniej objąłby je wszystkie i wyściskał.

- Nie mam pojęcia - powiedział tak szczerze, jak tylko potrafił. - To, o czym panie mówicie, zmienia zupełnie nasz punkt widzenia na pewne aspekty tej sprawy. To może być szalenie ważne. Choć z drugiej strony, może nie mieć żadnego znaczenia - dodał zaraz, widząc, jak pęcznieją z zadowolenia, i chcąc upuścić z nich trochę powietrza. - Nie formułujmy przedwczesnych oskarżeń, żeby kogoś nie skrzywdzić. Na pewno sprawa ta wymaga drobiazgowego wyjaśnienia. Będziemy potrzebować kontaktu z panem doktorem Wielickim, który, jak rozumiem, przebywa aktualnie w Belgii. - Żona dziekana skinęła głową. - Panie zaś proszę bardzo o pilne nasłuchiwanie, co w trawie piszczy, że tak się wyrażę. Czasem jedno słowo wypowiedziane nieopatrzenie lub jakaś obserwacja zupełnie na pierwszy rzut oka bez znaczenia może być przełomowa dla śledztwa - zadeklamał, próbując odtworzyć w przybliżeniu myśli, jakie znalazł kiedyś w powieściach kryminalnych.

Sądził, że oczekuje się, by policjant prowadzący śledztwo powiedział coś w tym rodzaju. Dla starszych pań była to Wielka Przygoda. Nie chciał psuć im zabawy. Zapisał sobie numer telefonu do sekretariatu, gdzie miano mu podać namiary na doktora Wielickiego, a następnie udał się do łazienki, skąd wysłał do Sylwii SMS-a: „zadzwoń do mnie za pięć minut”, co miało mu pozwolić na eleganckie opuszczenie spotkania, sądził

bowiem, że uzyskał już wszystkie informacje, jakich potrzebował.

Mieszkanie pań Święckich miało rozkład i wystrój podobny do tego, które przeszukiwali w południe. Meble z tych samych czasów, potężna kolekcja kryształów na regale. Siedzieli z Sylwią na wersalce przykrytej narzutą ze sztucznego futra. Naprzeciwko nich, w fotelach, siedziały matka i córka. Podczas rozmowy Hagen przyglądał się spod oka dziewczynie. Była bardzo atrakcyjna, wyglądała na znacznie więcej niż szesnaście lat. Patrząc na nie, z trudnością mógł doszukać się jakiegokolwiek podobieństwa. Może zarys dolnej wargi, układ oczu? Jeśli prawdziwe było powiedzenie, że aby przekonać się, jak dziewczyna będzie wyglądać w przyszłości, trzeba przyjrzeć się jej matce, to Ela Świecka miała przed sobą jeszcze długą drogę. Sylwia twierdziła, że wiadomość o tym, co stało się w nocy, zrobiła na niej duże wrażenie. Fakt, że policja podejrzewa sąsiada o zamordowanie dwóch księży, również wywołał odruch sprzeciwu. „To niemożliwe!”, zawołała ponoć i zaraz zasłoniła usta dłonią. Była naprawdę przejęta. Jak dotąd zeznania matki, córka bowiem w jego obecności nie odezwała się ani razu, nie wniosły do sprawy nic nowego.

- Czy mogłybyście nam panie powiedzieć, co robiłyście obie dwa tygodnie temu w poniedziałek i czy widziałyście pana Cicheckiego?

Dosyć długo trwało, zanim były w stanie odtworzyć przebieg tamtego dnia. Matka była w pracy, gdzie zresztą rozmawiała chwilę z księdzem biskupem, niech spoczywa w pokoju, potem wróciła do domu, robiąc po drodze drobne zakupy. O osiemnastej siedziała na pewno w fotelu, oglądając swój ulubiony serial w telewizji.

- Jeden z twoich ulubionych seriali – powiedziała córka, patrząc na matkę w sposób, który świadczył o tym, iż nie pochwala tego zwyczaju.

Później nie wychodziła już nigdzie. Cicheckiego nie widziała w ciągu tego dnia ani razu. Córka wróciła ze szkoły około szesnastej. Zjadła obiad zostawiony przez matkę, potem odrabiała lekcje i słuchała muzyki. O osiemnastej miała korepetycje u pana Franciszka, potem poszła do kina, do domu wróciła około dwudziestej drugiej. Hagen i Sylwia spojrzeli na siebie. Zatem od osiemnastej do dziewiętnastej Cichecki był zajęty korepetycjami z młodą sąsiadką. O dziewiętnastej biskup opuścił seminarium duchowne i ślad po nim zaginął.

- Czy skończyłaś lekcję punktualnie o siódmej, czy trochę wcześniej? - spytał inspektor.

- Nie pamiętam. - Duże szaro-niebieskie oczy patrzyły wprost na niego.

- Na jaki film poszłaś? - zapytała Sylwia.

Elżbieta podała tytuł, kino i godzinę seansu, bez zastanowienia. Zdecydowanie lepiej pamięta film niż korepetycje, pomyślał Hagen. I trudno jej się dziwić.

Kiedy mówiła o kinie, jej wzrok błędził gdzieś pomiędzy nimi, siedzącymi na dwóch końcach wersalki.

Sylwia dopytywała je jeszcze o jakieś szczegóły, ale Hagen już ich nie słuchał, zajęty analizą własnych odczuć i spostrzeżeń.

- Przepraszam bardzo - powiedział, kiedy zapadła chwilo-wo cisza, a Sylwia sprawdzała swoje notatki. - Chcielibyśmy chwilę porozmawiać.

Zabrał dyktafon ze stołu i wyszli do przedpokoju, gdzie szepem wyjaśnił Sylwii swoje wątpliwości. Nie podzielała ich, ale jak to ujęła, cóż szkodzi spróbować.

Zmienił taśmę i oddał jej błyszczące urządzenie. Ustalili plan i wrócili.

Hagen poprosił na słówko gospodynię.

- Szanowna pani, chciałem porozmawiać z panią przez moment sam na sam. - Teraz oni wyszli z pokoju. - Czy byłaby pani tak miła i zgodziła się, żeby córka poszła do siebie z panią aspirant, a my sobie w tym czasie utniemy krótką pogawędkę, bez nagrywania?

Patrzyła na niego lekko przestraszona.

- Czemu bez nagrywania?

- Pewne rzeczy lepiej po raz pierwszy omawiać w mniej oficjalnej atmosferze. Na oficjalne zeznania w prokuraturze zawsze mamy czas. Są sprawy, o które nie chciałbym pani pytać przy dziecku. To co, zgadza się pani, żeby koleżanka porozmawiała z córką sam na sam w jej pokoju, kiedy my będziemy w salonie? - zapytał lekkim tonem.

- Oczywiście. - Spojrzała na niego, jakby dziwiąc się, że pyta ją o rzeczy oczywiste.

- Takie są procedury - wyjaśnił.

Zaraz potem Sylwia i Elżbieta wyszły, a Hagen usiadł obok pani Święckiej w fotelu i przytłumionym głosem wypytywał o jej życie prywatne i znajomość z Cicheckim. Jak się okazało, o czym opowiedziała mu z dużym zażenowaniem, splatając i rozplatając palce na podołku, znajomość z panem Franciszkiem zdawała się zmierzać w dobrym kierunku. Nie żeby do czegoś między nimi doszło, uchowaj Boże, ale miała wrażenie, że był coraz bardziej nimi zainteresowany, że brakowało mu kobiecej ręki, a ona była przecież zawołaną gospodynią. Lubił jej córkę i bardzo jej pomagał, inaczej gdzie by ją tam było stać na korepetycje. Odkąd córka zaczęła brać u niego te dodatkowe

lekcje, jej stopnie w szkole bardzo się poprawiły i to nie tylko z matematyki. Cichecki bywał u nich często na kolacji lub na podwieczorku, czasem wszyscy razem oglądali telewizję. Tylko tak mogła mu odpłacić za to, co robił dla córki, na nic innego nie miała pieniędzy. Nawet Elżunia lubiła te jego wizyty, zawsze się uczesała, włożyła coś porządnego, nie chodziła, jak zwykle, w starym dresie. Widać było, że dziewczynie potrzeba ojcowskiej ręki. To taki wiek, pan wie... Niemniej nigdy nie padły z żadnej ze stron słowa, które można by traktować jako deklarację lub zaproszenie do romansu czy małżeństwa. Cały czas byli jeszcze na etapie bardzo dobrych, wyjątkowo dobrych, stosunków sąsiedzkich.

- To był taki porządny człowiek, panie inspektorze, ja nie mogę uwierzyć w to wszystko, co się stało... A ksiądz Scarpi taki był miły, wszyscyśmy go w kurii polubili, on był podobno osobistym przyjacielem naszego Ojca Świętego. Boże, Boże, co to się porobiło z tymi ludźmi...

Rozmawiali długo. Gospodyni, znajdując w inspektorze wdzięcznego słuchacza, niekrępowana srebrnym pudełeczkiem dyktafonu stojącym na stole pomiędzy nimi, zwierzała mu się ze swego niełatwego życia, jego blasków i cieni, a przede wszystkim z jego szarości i monotonii. Skończyli, ale drzwi do pokoju córki nadal były zamknięte. Hagen nie miał już pomysłu na przeciągnięcie rozmowy, więc podszedł i zapukał delikatnie. Po chwili otworzyła Sylwia. W głębi dostrzegł Elę siedzącą na tapczanie pod wielkim plakatem jakiegoś czarnego rapera, z długimi nogami podciągniętymi pod brodę, ocierającą grzbietem dłoni łzy płynące jej po policzkach.

- Skończyliśmy - powiedział cicho.

Sylwia skinęła głową. Usiadła obok zapłakanej dziewczyny, objęła ją i mocno uściśnęła. Ela oparła na chwilę głowę o jej ramię, a potem Sylwia wstała i wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Pożegnali się z panią Leokadią i wyszli. W samochodzie Hagen zdał jej pokrótce relację z tego, czego się dowiedział, a następnie spojrzał na nią wyczekująco.

- A wam jak poszło?

Sylwia westchnęła ciężko. Wyjęła z kieszeni dyktafon i oddała mu.

- Tu jest wszystko. Najpierw twierdziła, że była w kinie, powtarzała mi kilka razy tytuł filmu i nazwę kina. Potem, kiedy zapytałam ją o kolegów i koleżanki, z którymi poszła, stwierdziła, że była sama. „Zwykle chodzę sama”, powiedziała. Przycisnęłam ją nieco. - Sylwia w zamyśleniu przygryzała dolną wargę, obracając w głowie odbytą właśnie rozmowę. W świetle wskaźników z deski rozdzielczej widział, jak przymknęła oczy. - Trochę ją postraszyłam i przyznała się, że nie była wcale w kinie, tylko została u niego na cały wieczór. Popłakała się i opowiedziała mi wszystko. Zakochała się w nim, odkąd zaczęły się te korepetycje, a od pół roku byli kochankami. Historia jak z „Lolity”. Przyjaźnił się z jej matką, żeby mieć dostęp do córki.

„Wcale się nie dziwię”, chciał skomentować jej ostatnie zdanie, ale coś mu odpowiedziało, żeby darować sobie tę uwagę. Zamiast tego mruknął tylko potakująco.

- Czyżbyśmy mieli alibi dla Cicheckiego na tę noc, kiedy zamordowano biskupa?

- Owszem. Ela była wstrząśnięta wiadomością, że Cichecki zamordował księdza, ale potrafiła przynajmniej podać jakieś w miarę prawdopodobne wyjaśnienie jego ewentualnych motywów.

- No? - zachęcił ją.

Widział, że rozmowa z dziewczyną wysssała z niej energię, a może była już tak zmęczona po nieprzespanej nocy, że nawet wejście w posiadanie naprawdę ważnych informacji zdawało się nie robić na niej wrażenia.

- Otóż Cichecki powiedział jej, że swego czasu, nie potrafiła powiedzieć, pięć czy dziesięć lat temu, zostali eksmitowani razem z żoną z mieszkania w budynku, o który upomniała się kuria i który został jej zwrócony. Jak można sobie wyobrazić, to wszystko odbyło się w wielkim napięciu, do końca nie wiedzieli, czy dostaną mieszkanie zastępcze, jego żona była w ciąży, poroniła. Potem rozstali się, a on nie potrafił związać się z żadną kobietą. Za swoją porażkę życiową i stratę dziecka obwinił Kościół, który bardzo zdecydowanie dochodził swoich praw własności. Nienawidził „czarnych”, jak mówił o klerze. Jeżeli rozmowa schodziła na ten temat, to trudno było mu zachować spokój. Wydarzenia sprzed kilku lat tkwiły w nim głęboko i były ciągle żywe. Elżbieta wierzyła, że przy niej odzyska spokój i szczęście. Roila sobie chyba jakieś plany na temat ich wspólnego życia. Dlatego to, co się stało, było dla niej takim szokiem.

- Wiedziała więc o jego antyreligijnych i antyklerykalnych poglądach...

- Sądzę, że to ją również do niego przyciągało. Chyba miała już po dziurki w nosie tego radiomaryjnego katolicyzmu mamusi. Wahadło wychyliło się w drugą stronę.

- Między niechęcią do Kościoła a mordowaniem księży jest jednak pewna różnica.

- Wygląda na to, że zabójstwo Wygnowskiego wyzwoliło w nim chęć do działania. Tak jakby zobaczył, że to możliwe. Przetarto dla niego szlak.

- To jest jakaś opcja - zgodził się.

Milczeli chwilę. Hagen przypomniał sobie twarz postrzelonego mężczyzny.

- Co ona w nim widziała? - zapytał. - To piękna dziewczyna, chłopcy pewnie za nią szaleją.

- Też ją zapytałam. Powiedziała mi, że jej koledzy są strasznie dziecinni. I nawet jeżeli są inteligentni, to zwykle są dość głupi. On dawał jej oparcie i był drogowskazem w tym dziwnym świecie, w który wchodzi. Myślę, że szukała w nim też substytutu ojca.

- Uwiódł ją?

- Chyba nie. Powiedziała, że chciała, żeby właśnie on był jej pierwszym mężczyzną. Jest dość rozwinięta jak na swój wiek.

- Zauważyłem - mruknął. - Zatem była z nim przez cały wieczór?

- Tak twierdzi.

- Wierzysz jej?

- Chyba tak. Tłumaczyłam jej, że i tak będzie aresztowany za morderstwo z premedytacją, jeżeli przeżyje, ale ona upierała się, że to prawda. Prosiła tylko, żeby nie mówić o tym matce.

- Nie bardzo wiem, jak miałyby nam się udać utrzymać tę informację w tajemnicy. Jeśli Cichecki się wyliże, dojdzie do procesu.

- Na razie jednak nie opowiadajmy o tym na prawo i lewo, dobrze? - Spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

- Jasne. Choć jak powiada stara maksyma: jeden świadek to żaden świadek. W dodatku zakochany w oskarżonym. - Hagen włączył silnik i ruszył powoli. - Przypomnij mi, gdzie mieszkasz. Nie chciałbym, żebyś zmarła z przemęczenia podczas służby. To by źle wyglądało w moich aktach.

Doktor Andrzej Rachwalski siedział przy pustym stole i rozglądał się dookoła. Został ponownie wezwany w charakterze świadka. Poprzedniego dnia złożył obszerny, wyczerpujący zeznanie. „Czego państwo chcecie ode mnie jeszcze? - zamierzałem ich zapytać. - Czy zdajecie sobie sprawę, jak to dezorganizuje tok pracy na uczelni? To niedopuszczalna ingerencja w moje sprawy zawodowe i w życie prywatne”. Postanowił ostro zaprotestować. Kilkanaście minut temu młoda policjantka powiedziała mu, że musi poczekać na prokuratora nadzorującego śledztwo, który będzie prowadzić przesłuchanie. Na razie siedział więc samotnie w pustym pokoju i oglądał swoje odbicie w dużych lustrach pokrywających ściany. Domyślał się, że spoza nich patrzą na niego ciekawe oczy, i nie miał zamiaru dać się wytrącić z równowagi. Oczekiwanie jednak zaczynało mu się dłużyć.

Hagen stał po drugiej stronie szklanej tafli i przyglądał się siedzącemu mężczyźnie w średnim wieku, o niemal okrągłej twarzy, włosach i wąsach w kolorze bardzo jasnego, spłowiałego brązu i sporej nadwadze. Jego dłonie bezwiednie otwierały i zamykały oprawki okularów, które trzymał na kolanach. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie miłego i kulturalnego

człowieka, może odrobinę nudnawego. Drzwi obok otworzyły się i wszedł Nęcki.

- Wielicki wszystko potwierdził, panie inspektorze - zameldował oficjalnie. Od czasu niedzielnej strzelaniny nabral wielkiego respektu dla Hageny. – Dzisiaj złożę oficjalne zeznania w konsulacie i prześlą je do nas kurierem.

A więc jednak kłamała, pomyślał. Ciekawe, ile z tego, co wczoraj usłyszeliśmy, w ogóle było prawdą. Czekał na Joannę, bo chciał, żeby tym razem wszystko odbyło się *lege artis*. Tymczasem w prokuraturze źle się działo. Media opisywały kolejną aferę, po raz drugi w tym roku wkroczyła do nich specjalna kontrola z ministerstwa. Jej bezpośredni przełożony został wczoraj zawieszony w pełnionych obowiązkach i oskarżony o współpracę z gangiem przewożącym skradzione samochody. Dlatego, jak powiedziała mu rano przez telefon, nie została z nimi w mieszkaniu Cicheckiego. Wyglądało na to, że praca w wymiarze sprawiedliwości przypominała stąpanie po polu minowym. Miał nadzieję, że Joanna będzie ostrożnie stawiać swoje małe stopki.

Poprzedniego wieczoru, po odwiezieniu Sylwii do domu, odwiedził w szpitalu komisarza. Ranny był nadal blady i pod-sypiający, ale już nie z upływu krwi, tylko z powodu leków, jakie otrzymywał. Mimo to powitał go serdecznie i podziękował mu za udzielenie pomocy. Inspektor opowiedział pokrótce o postępach w śledztwie, a komisarz obiecał, że dołączy do nich najszybciej, jak tylko będzie mógł.

- Na razie to pan będzie wypoczywał - weszła im w słowo pielęgniarka, która przypominała o upływie czasu dozwolonego przez lekarza czasu wizyty.

Pożegnali się i Hagen wyszedł na dwór w doskonałym humorze. Hołownia zdawał się szybko wracać do zdrowia, a on zbliżał się do rozwiązania sprawy.

Wpatrywał się w to rozwiązanie, pocierając w zamyśleniu podbródek. Wydawało się mocno znudzone czekaniem. Space-rowało teraz po pokoju przesłuchań miarowym, powolnym krokiem, wykonując co trzydzieści sekund zwrot przez lewe ramię. On sam zaczynał odczuwać narastającą niecierpliwość. Byli już tak blisko. Przy odrobinie szczęścia ta rozmowa może być początkiem końca śledztwa. W drzwiach stanęła Joanna. Zdjęła jasny płaszcz i powiesiła na wieszaku, potem podeszła do niego. Pochylił się nad jej dłonią.

- Przepraszam za spóźnienie, ale tam jest istny cyrk - powiedziała. - Opowiem ci później - dodała ciszej.

Skinął głową. Teraz mogli już wreszcie zaczynać.

Rachwalski powitał ich wejście z widoczną ulgą. Po okazaniu dokumentów i wyjaśnieniu mu jego aktualnej sytuacji prawnej Joanna zapytała, czy życzy sobie obecności adwokata.

- Nie, nie ma takiej potrzeby - powiedział, choć Hagen zauważył lekki błysk niepokoju w jego oczach albo tak mu się przynajmniej wydawało.

- Wezwaliśmy pana, aby wyjaśnić wszystkie okoliczności związane ze spotkaniem w domu profesora Wenzla, dziekana wydziału historii, w której to sprawie był pan uprzejmy złożyć już zeznania na piśmie. - Joanna podsunęła mu oryginał tekstu, jaki napisał poprzedniego dnia. - Czy potwierdza pan treść tego oświadczenia?

- Tak.

- Jeżeli dobrze zrozumiałam, przyszedł pan na przyjęcie około godziny ósmej i przebywał pan na nim do godziny mniej

więcej drugiej trzydziści, kiedy wyszedł pan, nie żegnając się z nikim?

- Tak. Wypiłem wtedy za dużo. Zwykle mi się to nie zdarza. Nie jestem przyzwyczajony do większych dawek alkoholu. Praktycznie można powiedzieć, że gdzieś tak od dziesiątej nie uczestniczyłem już w przyjęciu. Usiadłem w pokoju służącym za szatnię i zasnąłem za wieszakiem na płaszcze. Kiedy się obudziłem, nie czułem się zbyt dobrze. Ubrałem się szybko i wyszedłem, nie spotykając nikogo w korytarzu. W domu byłem około trzeciej, co może poświadczyć moja żona, bo obudziłem ją, gdy wróciłem. To wszystko.

- Czy tego wieczoru widział się pan z biskupem Rafałem Wygnowskim?

Rachwalskiemu nie drgnął żaden mięsień w puciołowatej twarzy. Jego jasnoszare oczy zwróciły się ku Hagenowi.

- Nie, nie spotkałem się z nim. Nie było go, jak sędzę, wśród gości pana dziekana, a przynajmniej ja go nie pamiętam.

- Czy znał go pan dobrze?

- Biskupa Wygnowskiego?

- Tak.

- Nie sędzę, żeby można to było określić jako bliską znajomość. Znałem go oczywiście z uniwersytetu, wykładaliśmy na tych samych wydziałach. Nie utrzymywałem z nim żadnych kontaktów poza miejscem pracy, jeżeli to ma pan na myśli.

- Zebraliśmy zeznania od wszystkich uczestników przyjęcia u dziekana, a następnie skonfrontowaliśmy je ze sobą. Potwierdzają one fakt, że wypił pan za dużo i około dziewiątej trzydziści wycofał się do pokoju służącego za skład na płaszcze. - Słuchający go uważnie historyk skinął głową, jakby mówiąc:

„tak jest, oczywiście, czego innego można się było spodziewać”. - Potwierdzają one również fakt, że wyszedł pan, nie żegnając się z nikim, „po angielsku” - kontynuował.

Patrzył na świadka kątem oka, udając, że przegląda leżące przed nim dokumenty i sprawdza zawarte w nich zeznania. Miał wrażenie, że jego sylwetka straciła nieco ze swej sztywności, jakby to, co mówił, pozwalało mu już nieco się rozluźnić.

- Według naszych świadków - tu przejęzyczył się zupełnie świadomie - wyszedł pan z przyjęcia o godzinie... - zawiesił głos, szukając znowu potrzebnego dokumentu - ... o godzinie dziesiątej.

Podniósł wzrok znad papierów i zobaczył, jak na policzki doktora z wolna zaczyna występować rumieniec. Oboje z Joanną wpatrywali się w niego, czekając na to, co odpowie.

- To nieprawda - powiedział po krótkiej chwili. Jego głos brzmiał spokojnie. - Jacy to świadkowie naopowiadali panu tych bzdur?

- Absolutnie wiarygodni, w żaden sposób niepowiązani ze sprawą, a ich tożsamość na razie musi pozostać tajemnicą dla dobra śledztwa.

- To pewnie te megiery, kółko brydżowo-różańcowe - powiedział oskarżycielsko, celując w Hagenę palcem wskazującym. - Zresztą wszystko jedno. - Zreflektował się. - To nieprawda - powtórzył z mocą. - Świadkowie musieli się pomylić. W trakcie trwania takiego przyjęcia łatwo jest zatracić poczucie czasu.

- Zapewne tak, ale jeżeli widzi się kogoś wychodzącego akurat wtedy, kiedy zaczyna się oracja na cześć solenizanta, łatwo zakotwiczyć to wydarzenie w czasie, a i pamięta się o nim dłużej.

- Nie wiem, kiedy zaczęła się oracja i co panu te baby napowiadały, ale wszystko to, co napisałem, jest prawdą.

- Rozumiem. - Hagen odsunął porcję papierów, w której do tej pory zasięgał pomocy, na skraj biurka i przysunął do siebie nową, którą zaczął powoli wertować. - Panie doktorze - powiedział po dłuższej chwili, podnosząc wzrok na Rachwalskiego - od kiedy wiedział pan o romansie pana żony z biskupem Wygnowskim?

- Słucham?! - Zdumienie Rachwalskiego było zupełnie przekonujące. W tym momencie Hagen zorientował się, że niełatwo będzie rozszyfrować tego człowieka. - To jakaś paranoja! Pani prokurator, dlaczego pani na to pozwala, to jest jakaś kolosalna manipulacja!

Hagen spojrział na Joannę i w jasnym świetle zalewającym pokój dostrzegł oznaki zmęczenia, jakie pojawiły się na jej porcelanowej cerze. Ślady, których nie zauważył w półmroku pomieszczenia po drugiej stronie szyby.

- Bardzo proszę o odpowiadanie wprost na zadawane panu pytania - powiedziała beznamiętnym głosem. - Przypominam, że zeznanje pan w charakterze świadka w sprawie o morderstwo i składanie zeznań niezgodnych z prawdą jest zagrożone karą więzienia do lat pięciu. Jeżeli pan sobie tego życzy, w czasie przesłuchania może być obecny pana adwokat. Jeżeli pana nie stać na adwokata, może być panu zapewniony adwokat z urzędu.

W trakcie jej suchego przemówienia Rachwalski uspokoił się.

- Nic mi nie wiadomo o żadnym romansie mojej żony z biskupem Wygnowskim ani z kimkolwiek innym - odparł, jak na gust inspektora, nieco wyzywającym tonem.

- W pierwszych dniach czerwca tego roku na pytanie swego kolegi, dzielącego z panem pokój w zakładzie historii, o to,

dlaczego jest pan taki przybity i podenerwowany od dłuższego czasu, odpowiedział pan, cytując: „To żalosne, ale sądzę, że moja żona ma romans z jednym z naszych biskupów. Czuję się w domu jak niepotrzebny śmieć”.

Rachwalski słuchał tego wszystkiego, utkwivszy wzrok w jakimś punkcie za plecami Hagena. Mięśnie szczęk parokrotnie napięły się i rozluźniły. Jego twarz przybrała barwę płatków maku prześwieconych słońcem, jasny wąs kontrastował z nagle pociemniałymi policzkami.

- To kłamstwo! - Jego głos zadrgał gwałtownie i Rachwalski odchrząknął. Potem jeszcze raz. I znowu. - To bezcelne kłamstwo... Jak on mógł?... - powiedział po chwili milczenia, a kiedy dalej żadne z nich nie kwapiło się do zabrania głosu, dodał: - Zaprzeczam wszystkiemu. W tym, co pan przeczytał teraz, lub wcześniej, nie ma ani słowa prawdy.

- To, co panu przeczytałem, a w czym według pana nie ma ani słowa prawdy, to są zaprzysiężone zeznania doktora Adama Wielickiego, złożone dzisiaj rano w Brukseli w obecności konsula Rzeczypospolitej. Proszę podać mi jeden powód, dla którego doktor Wielicki miałby fałszywie świadczyć w tej sprawie przeciw panu. - Rachwalski milczał, ale na jego twarzy malował się upór i zdecydowanie. - Proszę podać mi jeden powód, dla którego miałyby zostać złożone przeciw panu fałszywe zeznania dotyczące godziny wyjścia z przyjęcia. - Historyk wrzucił ramionami. - Bo ja panu chętnie powiem, dlaczego pana zeznania kłócą się z tamtymi.

Rachwalski wreszcie spojrzął na niego.

- Słucham. Może wreszcie dowiem się, po co naprawdę zostałem tu wezwany.

- Proszę bardzo. Niech pan wróci pamięcią do końca tego-rocznej wiosny. Upały, susza, pożary lasów. Duszne dni i noce nieprzynoszące oddechu. W pańskim małżeństwie źle się dzieje. Od wielu tygodni dostrzega pan zmiany w zachowaniu żony. Dochodzi pan do wniosku, że ma romans. Zaczyna ją pan obserwować i odkrywa pan w końcu, kto jest pana rywalem. Wywołuje to uczucie potężnej frustracji, bo chciałby pan dać upust zazdrości, ale z racji uwikłań zawodowo-towarzyskich jest to osoba poza pana zasięgiem. W chwili słabości zwierza się pan wtedy koledze z pracy ze swoich kłopotów, ale już po chwili zaklina go pan na wszystkie świętości, żeby nikomu o tym nie mówił, bo może to na pana sprowadzić nieszczęście. Młody wykładowca KUL-u nie ma mocnej pozycji przetargowej w sporze z biskupem. Żąda pan od żony, żeby zakończyła związek. Grozi jej, że jeżeli tego nie zrobi, pan będzie zmuszony wystąpić do władz kościelnych w tej sprawie. Żona wszystkiemu zaprzecza, licząc na to, że nie odważy się pan wynieść waszych problemów na forum publiczne. Widząc, że tym sposobem nic się nie da wskórać, przygotowuje pan zupełnie inny plan. Kiedy wznowione zostają zajęcia w nowym roku akademickim, czeka pan już tylko na okazję. Nadarza się ona rzeczonoego dnia, kiedy jesteście obydwaj zaproszeni na przyjęcie imieninowe u dziekana. Jest to ten szczególny moment, kiedy wiadome są panu plany biskupa na wieczór. Po wyjściu z domu spotyka się pan z nim, zmierzającym na przyjęcie, ogłusza go, wiąże i pakuje do bagażnika, a sam udaje się w gości, gdzie niby upija się szybko i układa w szatni na spoczynek, a tak naprawdę czeka tylko na początek oracji, kiedy wszyscy będą zgromadzeni w salonie, żeby wyjść niepostrzeżenie, pojechać

do Wólki Kozłowieckiej, zamordować z premedytacją Rafała Wygnowskiego i o drugiej trzydzieści być w domu i obudzić żonę, aby potwierdziła pana alibi. Oto dlaczego dzisiaj rozmawiamy.

Rachwalski milczał. Jego oczy znowu biegały po ścianie za plecami inspektora, jakby odczytywał niewidzialny dla innych tekst. Hagen wiedział, że nie ma tam żadnego napisu, ale z trudnością opanował chęć obejrzenia się przez ramię.

- Sądzicie zatem, że to ja zamordowałem biskupa? - Jego głos był nienaturalnie wysoki, inny niż ten, który słyszeli dotychczas. Historyk znowu odchrząknął.

- Ma pan motyw, okazję i obstaje pan przy fałszywym alibi. Co by pan myślał na miejscu pana inspektora? - Joanna odezwała się tym razem głosem miękkim i ciepłym.

Przyciągany przyjaznym brzmieniem słów jak magnesem, mężczyzna zwrócił się do niej całym ciałem.

- Ale to nieprawda, przysięgam! Nigdy nikogo nie zabiłem, na Boga! Ledwo znałem biskupa Wygnowskiego. To jakieś koszmarnie nieporozumienie.

- Mamy zeznania złożone pod przysięgą. - Hagen pochylił się agresywnie w jego stronę, a Rachwalski odruchowo wyprostował się na krześle. - Mamy motyw, czysty jak łza. Przekopimy twoje życie jak malutki ogródek działkowy, od płotu do płotu. Przewrócimy je na lewą stronę i obejrzymy pod światło, minuta po minucie. Przeszukamy wszystkie miejsca, o których pomyślałeś, i takie, które ci nawet nie przyszły do głowy. I znajdziemy dowody, nie masz szans. Zgnijesz w cholernym pierdłu, już moja w tym głowa! - Hagen wstał, trzasnął odsuwającym krzesłem i wyszedł z pokoju.

Po jego wyjściu zapadła cisza, która trwała jeszcze, kiedy Hagen stanął po drugiej stronie szyby.

- Ostro pan poszedł, panie inspektorze - skomentował Nęcki, który obserwował przesłuchanie.

- Taa... Teraz kolej na dobrą panią prokurator. Zobaczymy, z czego się zwierzy mamusi.

Ale rozmowa z Joanną niczego nowego nie wniosła. Hagen odbył jeszcze jedną rundę agresywnych pytań, bez skutku. Uzyskał tylko zgodę na zatrzymanie i przeszukanie samochodu i roztrzęsiony historyk ich opuścił. Hagen patrzył z okna komendy, jak wychodzi przez bramę i skręca w lewo, znikając za rogiem. Po chwili zobaczył młodego człowieka, który mógł być lub też nie jednym z wywiadowców, którzy za nim ruszyli. Czuł się teraz jak wielki pająk trzymający kosmatymi odnóżami lepkie nici pajęczyny, w którą powinien złapać się ten niepozorny naukowiec. Morderca. Co do tego inspektor był niemal zupełnie przekonany.

Telewizja, radio i prasa krajowa miały prawdziwe używanie. Również wszystkie portale internetowe wielkich gazet światowych pełne były informacji o morderstwie w Lublinie. Należało się spodziewać napływu świeżych zastępów dziennikarzy do miasta. Hagen mógł sobie wyobrazić, co czuł komendant, czytając o swoich ludziach w każdym dostępnym medium. Wraz ze śmiercią Scarpiego śledztwo zostało „zglobalizowane”. Nie wróżyło to dobrze jego głównym aktorom.

Nęcki zadzwonił do niego około dwudziestej drugiej, przerywając mu długą sesję pocałunków z Ewą.

- Mam dwie wiadomości - powiedział. - Samochód Cicheckiego jest czysty. Nie znaleźliśmy w nim nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek ze zbrodnią.

- Rozumiem. Co jeszcze?

- Jesteśmy gotowi z taśmami z całego dnia.

- Szybko się uwinęli.
- Komputer odfiltruje ciszę z cyfrowych plików roboczych, a technicy na bieżąco wyrzucają telewizor i takie tam. Mamy dla pana samo gęste.
- Świetnie. Zaraz będę.

Jadąc do komendy, przypomniał sobie zdjęcia, jakie pokazali mu Amerykanie. Musiał przyznać, że były niezłej jakości. Zastanawiał się nieraz, czy w archiwach CIA jest też gdzieś film z utrwalonymi scenami ich namiętności. Podejrzewał, że tak. Niech wiedzą, ówoki, że Polak potrafi, pomyślał o tych, którzy będą go sobie oglądać. Uśmiechnął się niewesoło pod nosem i wysiadł z samochodu. Za chwilę on będzie się babrał w resztkach czyjegoś życia małżeńskiego. Czuł się odrobinę tak, jakby miał przeszukiwać ten szczególny kawałek kuchni zaraz za kuchnią na śmieci, gdzie nikt nie lubi zaglądać, jeżeli nie musi.

Nęcki czekał na niego w laboratorium, tym samym, w którym oglądali film z pogrzebu.

- Mamy tu materiał nagrany do dziewiętnastej - powiedział. - Taśmy z następnych trzech godzin powinny zaraz przyjechać.

Hagen wiedział, że pod blokiem, w którym mieszkali Rachwalscy, stał zaparkowany duży samochód dostawczy z napisem *Wodociągi*. Sygnał z urządzeń podsłuchowych był na tyle słaby, że aparatura odbiorcza i nagrywająca musiała być umiejscowiona możliwie blisko.

- W mieszkaniu założonych jest osiem mikrofonów, rozmieszczonych tak, że pokrywają całą przestrzeń. Oprócz tego monitorujemy stacjonarną linię telefoniczną oraz obie ich komórki. Sygnały nagrywane są równoległe na osiem ścieżek dźwiękowych, a potem do materiałów operacyjnych zgrywamy

tylko interesujące nas fragmenty. Całość nagrania zostaje w archiwum jako ewentualne materiały procesowe. Tu ma pan szkic mieszkania z rozmieszczeniem mikrofonów. - Nęcki wskazał palcem zakreślone kółeczkami cyferki od 1 do 8 rozpisane na planie trzypokojowego mieszkania Rachwalskich. - Komputer identyfikuje ścieżkę i czas nagrania, jeżeli ulegają zmianie w trakcie przesłuchiwanie opracowanego materiału.

Hagen skinął głową, założył słuchawki, usiadł cicho w kątku i włączył komputer.

- *Mike 3, 14:32* - powiedział komputer po angielsku.

Na planie zidentyfikował „3” jako przedpokój. Następnie usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Kroki i szuranie, jakby ktoś położył foliowe torebki, na przykład z zakupami, na ziemi.

- Jesteś już? - Głos Marty był wyraźny i czysty, jakby stała tuż obok niego i Hagen poczuł się trochę nieswojo.

- Jestem. - Głos jej męża był przytłumiony i dolatywał jakby z oddali, zapewne był w innym pomieszczeniu.

Usłyszał stukot zdejmowanych butów i szelest odwieszanego płaszcza. Potem znowu torebki i cichy odgłos kroków.

- *Mike 1, 14: 35. Kitchen.* - Odgłos wyjmowania zakupów z toreb i ustawiania ich na półce lub na blacie. Po chwili charakterystyczne młasnienie drzwi lodówki.

- I jak było? Czego chcieli tym razem? - Zbliżające się kroki. Cisza. - Co się stało? - Głos Marty tym razem wyraża zaniepokojenie; widocznie na twarzy męża, który wszedł do kuchni, dostrzegła coś, co ją zaalarmowało. Cisza. Skrzypnęło krzesło. - Co się stało? Powiesz mi wreszcie czy nie? - Teraz słyhać już również zniecierpliwienie.

- Oni myślą, że to ja. - Głos Andrzeja jest stłumiony, jakby mówił z twarzą ukrytą w dłoniach.

Skrzypnęło drugie krzesło. Cisza trwa długo.

- Powiesz mi coś więcej?

- Ten inspektor w zasadzie oskarżył mnie o morderstwo. - Rachwalski mówi wolno, jakby wypowiedanie słów sprawiało mu fizyczną trudność. - Już myślałem, że mnie aresztują.

- Boże, dlaczego? Przecież nie masz z tym nic wspólnego.

- Oni jednak sądzą, że mam. Prokurator kilka razy pytała mnie, czy chcę wezwać adwokata, ale odmówiłem, bo to by wyglądało, jakbym się do czegoś przyznawał, bo nie czuję się pewnie...

- Oskarżyli cię o zabójstwo?

- Nie formalnie. Formalnie zeznawałem cały czas jako świadek. Ale praktycznie tak. Cholera jasna! - Huk i dźwięczenie sztuców uderzających o blat, chyba Rachwalski walnął pięścią w stół. - Nie dotknąłem sukinsyna nawet palcem. Sta- rałem się go nie widywać od początku roku! Nie mam zamiaru płacić za czyjeś grzechy. Nie wrobią mnie w to.

- Oczywiście, że nie. Przecież byłeś wtedy na przyjęciu u dziekana, kiedy to się stało. To jakieś bzdury. Jak mogą cię podejrzewać, kiedy widziało cię tam ze dwadzieścia osób.

- Nie wiem. Pewnie myślą, że zrobiłem to już po wyjściu.

- Ale dlaczego w ogóle myślą o tobie? Przecież powiedziały im, że nic nie wiedziałeś o... o tej całej historii.

Cisza.

- Rozmawiali z Wielickim. Nie wiem, jak na to wpadli, ale on im wszystko powtórzył.

- Mężczyźni faktycznie potrafią być dyskretni. Wysłałam na kompletną idiotkę.

- Idiotkę, idiotkę... To mnie chcą teraz zapakować do więzienia czy też, jak się wyraził ten przeklęty inspektor, do pierdła, przez tego twojego cholernego gacha, nie ciebie. Grzebią w naszym życiu, grzebią nawet w moim samochodzie, nie wiadomo po co.

- Widać, że nie poznali się jeszcze na tobie.

- A co to ma, do cholery, znaczyć?

- Bo jakby się poznali, to by wiedzieli, że pan doktor nie kiwnąłby palcem z powodu jakiegoś głupiego kochanka swojej żony. Co dopiero mówić o zabijaniu. Za dużo zachodu. Co innego urządzać histerię w domu i wypłakiwać się kolegom w pracy. To potrafi świetnie.

- Słuchaj, nie zaczynamy wszystkiego od początku, dobrze? W końcu to nie ja szlajałem się z biskupem po jakichś norach, to nie ja rozbijałem nasze małżeństwo, nie zwracając uwagi na dorastające dziecko. I wiesz, co ci powiem? Podejrzewam, że księżulo miał więcej takich przygód jak ty i pewnie faktycznie ktoś go z tego powodu załatwił. I bardzo dobrze. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

- Nie pozwalam ci tak mówić o nim w mojej obecności! Nie masz nawet pojęcia, jaki to był wspaniały człowiek, nie wiesz, co to jest prawdziwa miłość. Jak to jest, kiedy nie można jeść ani spać, bo cały czas myśli się o tej drugiej osobie. A szczególnie kiedy obok chrapie taki ktoś jak ty!

- To trzeba było się wynieść do narzeczonego, do tej wielkiej miłości, o której ja ponoć nic nie wiem. Ale on jakoś nie chciał, co? Zabawić się, proszę bardzo, ale żeby tak zaraz brać sobie na głowę wszystkie konsekwencje - o, co to, to nie. To bardzo wygodne, tak się zasłaniać sutanną, a jednocześnie

używać życia i niszczyć cudze szczęście.

- Szczęście? Jakie szczęście? Jakiego szczęścia ja z tobą znalazłam przez te wszystkie lata? - Odgłos odsuwanej krzesła. - Nie wychodź, kiedy do ciebie mówię! Jak coś jest nie po twojej myśli, to wychodzisz? Z życia nie można tak sobie po prostu wyjść! - Trzask zamykanych z rozmachem drzwi. Głośny szepot: - Boże, kiedy to się wreszcie skończy...

Hagen wyłączył dźwięk i zdjął słuchawki.

- Dokąd poszedł Rachwański?

- Na przystanek autobusowy. Pojechał na Krakowskie Przedmieście, gdzie wszedł do księgarni i długo wybierał książki, ale nic nie kupił. Potem spacerował jeszcze po okolicy przez mniej więcej godzinę, po czym usiadł w kawiarni, wypił kawę ze śmietanką, zjadł szarlotkę i wrócił do domu o siedemnastej dwadzieścia.

- Po tym wszystkim poszedł oglądać książki?

- Może to go uspokaja? Ja jak czasem wejdę do księgarni, to sam nie wiem, kiedy czas przelatuje. - Głos Lewickiego dobiegł zza pleców Hageny i inspektor odwrócił się.

- Witam. O tej porze wciąż na posterunku?

- A tam. - Lewicki machnął ręką. - Mam taką jedną koncepcję, którą chcę przetestować, i trzeba jeszcze parę rzeczy przygotować na jutro. Położyłem dzieciaki spać i pomyślałem, że wpadnę na chwilę.

- Niech no ktoś teraz napisze, że nie tropimy mordercy dwadzieścia cztery godziny na dobę - mruknął Hagen. - Każę mu zjeść całe wydanie gazety.

Włączył dźwięk i założył słuchawki, ale wszystko, co udało się podsłuchać po powrocie podejrzanego do domu, to były zwykłe rodzinne rozmowy, prowadzone w chłodnym tonie i

oszczędne w słowach, bo wróciła już od babci ich córka.

Hagen był nieco rozczarowany, ale w sumie uważał, że jak na pierwszy dzień dowiedzieli się sporo. Przede wszystkim historyk nie przyznał się w domu do wcześniejszego opuszczenia przyjęcia ani wtedy, ani teraz. Nie mieli tu zatem do czynienia z ustalonymi zeznaniami, ale z jakimś dobrze skrywanym sekretem. Tu cię mamy, brachu! Inspektor zatarł z zadowoleniem ręce. Dzięki ci, Panie, za wścibskie staruszki. Wiedział, że jeżeli nie znajdą żadnych namacalnych dowodów, o co Rachwalski dobrze zadbał, to sprawę uratować może tylko przyznanie się oskarżonego. Sądził, że nie będzie zbyt trudno je uzyskać. Potem, oczywiście, obrońca każe mu odwołać wszystkie zeznania pod takim czy innym pretekstem, niemniej tyle właśnie będą mogli zrobić, aby sprawiedliwości stało się zadość.

- Co tam się teraz dzieje? - zapytał Nęckiego, który rozmawiał przez telefon w rogu pokoju.

Aspirant rozłączył się i podszedł bliżej.

- Podejrzany wyszedł niedawno z domu, pojechał samochodem na osiedle Chopina i wszedł do bloku. Tam jest domofon na klatce i zanim ktoś otworzył wywiadowcom, zniknął w jednym z mieszkań. Na pewno nie wychodził tylnym wyjściem czy coś takiego, pilnowali go dokładnie.

- Dawno tam jest?

- Od mniej więcej dwudziestu minut.

- Może poszedł do jakiegoś znajomego, żeby się go poradzić?

- Porównują nazwiska z listy lokatorów z tymi z dokumentacji dotyczącej Rachwalskiego, ale na razie nic nie znaleźli.

- Kto koordynuje obserwację podejrzanego?

- Sam młodszy inspektor Mrowiec, szef pionu kryminalnego. Wczoraj wrócił ze zwolnienia lekarskiego po wypadku samochodowym. Chodzi o kulach, ma nogę w gipsie, może go pan widział. Komendant był na niego wściekły, bo nie było go w pracy, kiedy zginął biskup, a to Mrowiec powinien był pilotować śledztwo.

- A komisarz Hołownia?

- On jest następny w kolejności, można powiedzieć. I tak by dostał tę sprawę, tyle że byłby jeszcze Mrowiec między nim a komendantem, co szefowi bardzo by pasowało. Jednoosobowe podejmowanie decyzji, które mogłyby być, nie daj Bóg, kontrowersyjne, to nie jest jego ulubiony sport.

- Nie znam komendanta wojewódzkiego, który by dostał swoje stanowisko dzięki kontrowersyjnym decyzjom - odparł Hagen. - Liczy się raczej systematyczne, pełne wdzięku lizanie właściwej dupy. - Nęcki uśmiechnął się lekko. Nie pracował przecież w policji od wczoraj. - Co z telefonami?

- Nic specjalnego. - Aspirant wrzucił lekko ramionami, podając mu wydruk numerów, z jakimi łączyli się obserwowani.

Hagen przebiegł listę wzrokiem i ze zdziwieniem zauważył nazwisko biskupa pośród numerów wybieranych z telefonu żony. Spojrzał na godzinę połączenia -14.52. Niedługo po wyjściu Rachwalskiego z domu na spacer po Krakowskim i do księgarni.

Pokazał to połączenie Nęckiemu.

- Coś się nagrało?

- Nic. Pewnie nacisnęła przycisk przez pomyłkę.

- Nic nie mówiła?

- Ani słowa.

Znajdźmy ten kawałek.

- Jasne.

Nęcki usiadł do klawiatury i po chwili na ekranie zobaczyli graficzny zapis ośmiu ścieżek dźwiękowych. Wpisał dokładny czas połączenia i już byli z powrotem w mieszkaniu Rachwałskich, w momencie kiedy kobieta dzwoniła do martwego kochanka. Założyli słuchawki.

- Puszczę wszystkie ścieżki naraz, bo nie wiem, czy jeszcze wtedy była w kuchni.

Hagen skinął głową. Przez chwilę trwała cisza, a potem usłyszał dźwięk, ciche stuknięcie, które musiało powstać w chwili, kiedy odłożyła komórkę na stół. Potem w ciszy pustego mieszkania, szczęśliwie położonego z dala od ruchliwych ulic, usłyszał wychwycony przez czułe mikrofony stłumiony kobiecy płacz, przechodzący w szloch, rozdzierająco smutny i samotny. Zdjął słuchawki.

Tknięty nagłą myślą wyjął telefon i wykręcił ten sam numer, który wybrała Marta kilka godzin przedtem. Rozległo się parę sygnałów, a potem ciepły męski głos powiedział:

- Dzień dobry. Cieszę się, że dzwonicz, ale nie mogę teraz niestety z tobą rozmawiać. Zadzwoń później.

Wystarczająco ogłędnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń przypadkowego telefonującego, wystarczająco intymnie, by Marta rozplakała się w swoim pustym mieszkaniu. Poczul nagle, że jest bardzo zmęczony i że jest już późna noc. Pożegnał się z Nęcim, który zostawał na nocną zmianę, i poszedł do domu. Zadzwońią do niego, jeżeli podejrzany zrobi coś niezwykłego. Wchodząc do domu, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami Ewy. Przez moment wsłuchiwał się w ciszę po drugiej stronie, a potem poszedł do siebie.

- Wyszedł z bloku po północy. Wywiadowcy oceniają, że był na jednym z górnych pięter, sądząc po tym, jak długo jechała winda. Niewiele nam to daje, bo tam są korytarze przez całą długość kondygnacji, po dziesięć mieszkań z każdej strony. Nie udało się nam też zidentyfikować żadnego nazwiska, poza jednym. Nowak. Taka osoba pracuje w zakładzie historii na etacie bibliotekarza, a w bloku mieszka dwu Nowaków. Nie jest to jednak żaden z nich.

Nęcki uśmiechnął się znad papierów do słuchającego go audytorium. Hagen stwierdził, że nie był tak wymięty, jak należało się spodziewać, pewnie przespał się gdzieś na służbowej kanapie. Przeniósł wzrok na młodszego inspektora Mrowca. Po nim widać było nieprzespaną noc bardziej niż po aspirancie. Jego zaokrąglona twarz obdarzona parą lekko siwiejących wąsów nie wyróżniała się spośród tłumu innych nieco otyłych funkcjonariuszy wyższego szczebla, których spotykał codziennie na korytarzach komendy wojewódzkiej. Starał się zapamiętać jakiś charakterystyczny szczegół, w obawie że nie rozpozna go potem i popełni niewybaczalną gafę. Nagle przypomniał sobie, co Nęcki mówił o kulach i o gipsie, i uśmiechnął się pod nosem. Po zakończeniu odprawy podeszedł do niego

komendant i przedstawił ich sobie z Mrowcem. Hagen wyraził się bardzo pochlebnie o dotychczasowej współpracy z komisarzem Hołownią, co zostało przyjęte bez uśmiechu.

- Mam nadzieję, że nam będzie się współpracować równie dobrze - powiedział Mrowiec.

Potem się pożegnał. Po długiej nocy wybierał się odpocząć do domu.

- Dlaczego tu siedział osobiście? - zapytał komendanta, kiedy szef pionu kryminalnego oddalił się.

- Zapoznawał się z aktami, jak sądzę. Inspektor Mrowiec uległ niedawno ciężkiemu wypadkowi i nie wrócił jeszcze w pełni do zdrowia. To duże poświęcenie z jego strony, że w sytuacji, kiedy zabrakło komisarza Hołowni, zajął się sprawą osobiście. Był informowany na bieżąco, ale to zupełnie co innego kibicować, a co innego prowadzić śledztwo.

- Oczywiście.

- Panie inspektorze, o czternastej mamy ważne spotkanie, zwołane na wniosek kurii i naszej góry. - Komendant patrzył bystro na Hagenę, chcąc wyczuć, czy ten wie coś więcej, ale on zachował pokerową twarz. - Będzie szefostwo prokuratury, my i strona kościelna. Są pewne rzeczy, które wymagają omówienia.

- Naturalnie. - Hagen nie miał pojęcia, o co chodzi, ale nie chciał stracić wizerunku dobrze poinformowanego człowieka z Warszawy, więc udawał, że sprawa jest oczywista.

- Zatem o drugiej.

Zamknął drzwi do swojego pokoju i zadzwonił do Joanny. Nie wiedziała jeszcze o spotkaniu, ale nie było w tym nic dziwnego, jej główny szef bowiem był od wczesnego rana zajęty rozmowami z członkami wewnętrznej komisji śledczej.

Niemniej jeżeli w takim okresie jak ten znalazł czas, aby konferować z kimkolwiek, to sprawa musiała być dużej rangi.

Parę minut później rozległo się pukanie do drzwi i Hagen zapisał w pamięci komputera raport dla nadinspektora, przyklnął pokrywę laptopa, po czym powiedział:

- Proszę!

Do pokoju wszedł niski, okrągły człowiek. Mundur opinał się na nim do granic możliwości.

- Podkomisarz Nawrocki - przedstawił się, podając Hagenowi pulchną dłoń. - Wydział wewnętrzny. - Usadowił się na krześle Hołowni, rozsunął na boki zgromadzone na biurku papiery. - Chciałem porozmawiać z panem, inspektorze, o raporcie na temat użycia broni służbowej w niedzielę dziewiętnastego października. - Otworzył czarną skórzaną teczkę i wyjął z niej podpisane przez Hageną dokumenty. Na drugim komplecie inspektor zauważył podpis Hołowni. Było tam też kilka innych. - To w zasadzie tylko formalność, ale musimy przez to przejść. Proszę na początek wyjaśnić mi, co właściwie rozumie pan przez sformułowanie: „Biegnąc w stronę kościoła, dostrzegłem komisarza Hołownię”? Gdzie konkretnie go pan zauważył i co on w tym czasie robił?

Odpowiedzi na pytania uszczegółowiające jego sprawozdanie zabrały im ponad godzinę, co jak na formalność, o której wspomniał Nawrocki na początku, wydało mu się dość długo. Powiedział mu o tym.

- Pan komendant lubi, żeby wszystkie takie sprawy były idealne pod względem formalnym. - Z aktówki wydobyl pistolet Hageną opakowany w foliową torebkę i podał mu go dwoma

palcami. - Zakończyliśmy badania balistyczne. Może go pan znowu używać.

- To dobrze, zaczynałem się bez niego czuć nieswojo. - Rozpakował broń, sprawdził, czy komora naboju jest pusta, obejrzał magazynek, który został uzupełniony, zabezpieczył i schował do kabury. Podpisał dokumenty. - Czy mogę służyć czymś jeszcze? - zapytał, widząc, że krąży pracownik działu wewnętrznego nie podnosi się do wyjścia, tylko przygląda mu się z lekkim półuśmiechem.

- Cała ta dokumentacja jedzie do Warszawy - powiedział komisarz. - To też jest powód, żeby wyglądała możliwie profesjonalnie. Nie chcielibyśmy, żeby koledzy ze stolicy sobie z nas dworowali. - Hagen zatrudniony był w komendzie głównej, jasne więc było, że dotyczące go akta muszą tam być przekazane. - Jutro będziemy kończyć zbieranie materiałów i do końca tygodnia powinniśmy wysłać wszystko do KG.

Podkomisarz podniósł się z krzesła. Hagen patrzył, jak jego tłuściutki paluszki zawiązywały czerwoną tasiemkę urzędowej teczki.

- Czekamy jeszcze tylko na opinię komendanta i zdanie prokuratury, ale jutro będziemy już mieć wszystko - powtórzył. - Komendant obiecał, że na rano będzie miał dla nas gotowy cały zestaw. Dzisiaj, niestety, jest jakieś ważne spotkanie. Aha, a tu jest oficjalne skierowanie na rozmowę z psychologiem.

Położył kartkę na stole przed inspektorem. Uśmiechnął się znowu, zasalutował do nieistniejącej czapki i wyszedł.

Hagen obracał w myślach zasłyszaną właśnie informację, że opinia o nim, jako o funkcjonariuszu, który ranił obywatela,

najprawdopodobniej śmiertelnie, i o całej sytuacji, która do tego doprowadziła, będzie zależna od wyniku popołudniowego spotkania. Rozważał wszystkie implikacje, które ta zawołowana groźba ze sobą niosła, gdy zadzwonił telefon na biurku. Dyżurny poinformował go, że przyszedł Rachwalski i pilnie chce rozmawiać z inspektorem Hagenem w sprawie morderstwa księdza biskupa.

- Oczywiście, już idę. Proszę go wprowadzić do pokoju przesłuchań i zaproponować coś do picia.

Zadzwonił do Joanny, ale jej komórka była wyłączona, zostawił więc informację o pojawieniu się podejrzanego na automatycznej sekretarce, a potem u żywego odpowiednika. Dzwoniąc, zauważył, że przyszła do niego nowa wiadomość. Ewa napisała: *Spotkajmy się wieczorem, tęsknię za Twoimi dłońmi*. Uśmiechnął się i skasował SMS-a.

Rachwalski czekał na niego gotowy zeznawać. Wyglądał znacznie gorzej niż wczoraj. Nocne spacery, kłótnia z żoną i lęk wycisnęły na jego twarzy swoje piętno. Obrzęknięta twarz, zaczerwienione, zmęczone oczy. Hagen usiadł naprzeciw niego, świadom obecności Sylwii i kilku innych osób za szklaną taflą lustra. Po wszystkich rutynowych formułkach zapytał wreszcie podejrzanego, co go do nich sprowadza.

- Chciałem złożyć dodatkowe wyjaśnienia dotyczące zeznań, składanych już wcześniej przeze mnie w tym pokoju, w sprawie wydarzeń z dnia szóstego października.

- Chce pan uzupełnić zeznania?

- Tak jest. Z różnych powodów, o których za chwilę, nie powiedziałem wtedy całej prawdy. Zdaję sobie sprawę, że w mojej sytuacji, którą był pan uprzejmy wczoraj mi tak dosadnie

wy tłumaczyć, tylko całkowita szczerłość jest jakimś wyjściem.

Rachwalski nie patrzył na Hagena, nie wpatrywał się też w ścianę, jak poprzednim razem. Teraz jego wzrok spoczywał na splecionych dłoniach, które ułożył przed sobą na stole. W świetle lampy połyskiwała obrączka ślubna.

- Proszę bardzo, słucham pana.

Dłoń Hagena trzymająca długopis narysowała mały okrąg, a potem w środku postawiła kropkę. Za chwilę wszystko się wyjaśni. Łatwo poszło... Taka myśl przeleciała mu jeszcze przez głowę, gdy Rachwalski zaczął mówić.

- Po pierwsze, chciałem wyjaśnić kwestię mojej wiedzy o romansie żony. Mielicie państwo rację, podważając moje zeznania w tym punkcie. Proszę jednak o wyrozumiałość, nie jest to temat, który chciałoby się poruszać z kimkolwiek w takich okolicznościach. - Nieokreślonym gestem dłoni objął całe pomieszczenie, w którym się znajdowali. - Faktem jest, że w okolicach czerwca, może na początku lipca, zorientowałem się, że Marta ma romans. Podejrzenia miałem wcześniej. Spóźnione powroty do domu, zmiana w zachowaniu, w... pożyciu intymnym... - Odchrząknął, wyraźnie zażenowany. - No cóż, nawet bardzo tolerancyjny człowiek w końcu zaczyna kojarzyć fakty. Zacząłem ją wtedy pilnie obserwować, żeby nie powiedzieć: śledzić. Nie było trudno ustalić, gdzie się spotykali, trochę więcej czasu zabrało mi ustalenie z kim. Kiedy odkryłem, że moim rywalem jest biskup Wygnowski... Cóż, muszę przyznać, że był to dla mnie wstrząs. Długo trwało, zanim zdobyłem się na rozmowę z żoną, ta jednak zaprzeczała wszystkiemu i... - Przerwał na chwilę. - Samo wspomnienie tej kłótni przyprawia mnie

o dreszcz. Miałem wrażenie, że broni go przede mną jak lwica, była gotowa niemal na wszystko dla tego człowieka, a ja miałem poczucie, że nagle stałem się jej wrogiem. I wie pan co? Gdyby nie to, że widziałem to wszystko na własne oczy, jak wchodziła do tamtego domu i wychodziła po dwóch godzinach, poprawiając włosy, a kilkanaście minut po niej wyslizgiwał się stamtąd Wygnowski ubrany w cywilne ciuchy, to pewnie bym jej uwierzył. Kobiety mają w takiej sytuacji ogromny dar przekonywania.

Zapadła cisza, Hagen nie poganiał go. Rachwalski najwyraźniej chciał zrzucić z serca sprawy, które ciążyły mu od miesięcy. Drzwi uchyliły się cicho i do pokoju wsunęła się Joanna. Uśmiechnęła się lekko do Hageny, a potem przywitała ze świadkiem.

- O czym to ja... - Historyk, wybitny z rytmu przez jej wejście, zbierał przez chwilę myśli. - No tak. Stanęliśmy zatem w martwym punkcie. Ja zaś nie chciałem pozostawić spraw ich biegowi. Ta sytuacja nie mogła przecież trwać wiecznie. Kiedy Wygnowski wrócił z urlopu i zobaczyłem, że znowu pojawia się na uczelni, pewnego dnia, a było to chyba w drugiej połowie lipca, jeżeli mnie pamięć nie myli, wybrałem się do niego. Kiedy wszedłem, siedział za biurkiem w swoim pokoju w zakładzie teologii i robił jakieś notatki. Spojrzał na mnie i zauważyłem, że zaczerwienił się lekko. Zrozumiał chyba od razu, co może mnie do niego sprowadzać. Podejrzewam, że Marta przekazała mu treść naszej rozmowy. Ja sam, muszę przyznać, byłem mocno zdenerwowany. Nie mam piniaczej natury, tego rodzaju konfrontacyjne sytuacje nie przytrafiają mi się często, starałem się jednak zachować spokój. Powiedziałem mu, że wiem o ich romansie, że postępując w ten sposób, rozbija katolicką

rodzinę, która jest przecież najwyższą wartością według nauczania Kościoła. „Nie ma pan dzieci, księżu biskupie, i mieć ich nie powinien - powiedziałem. - Niech pan nie odbiera dzieciom matki i mężowi żony”. Wspomniałem też coś o szóstym i dziewiątym przykazaniu, przyznając. - Zamyślił się. - Wiedziałem, że powtórzy treść naszej rozmowy, więc powiedziałem mu o tym, jak bardzo kocham Martę, że jest najważniejszą kobietą w moim życiu i że nie mógłbym bez niej żyć. Prosiłem go, żeby nie rozbijał naszego związku. „Dla księdza to igraszka, mnie chodzi o życie”. Taką parafrazę też ode mnie usłyszał. Mówię to ze wstydem. - Zamilkł na chwilę. Hagen miał wrażenie, że przez moment jeszcze znajdował się z powrotem w pokoju profesorskim na KUL-u. - On oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Powiedział, że dla niego świętość rodziny jest nienaruszalna, że popełniłem jakiś koszmarny błąd w ocenie postępowania zarówno żony jak i jego. Pogroził mi nawet, nie bezpośrednio, nie... - dodał, widząc uniesione brwi inspektora. - Powiedział coś w rodzaju: „Chyba nie spodziewa się pan, że ktokolwiek uwierzy w te absurdalne oskarżenia?”. Dał mi do zrozumienia, jak różna była nasza pozycja w środowisku. Wyszedłem z tej rozmowy w poczuciu bezsilny i osamotnienia. To wtedy rozmawiałem z Wielickim. To był rzecz jasna błąd. Zdałem sobie z tego sprawę niemal natychmiast po zakończeniu rozmowy, ale cóż, słowo się rzekło... Muszę powiedzieć, że kiedy tak mi się w oczy wypierali wszystkiego i robili ze mnie wariata, to żalowałem, że nie dysponuję takimi możliwościami jak policja albo wywiad. Muszę się przyznać, że myślałem nawet przez chwilę o wynajęciu prywatnego detektywa, który by im zrobił zdjęcia, tak żeby nie mogli mi więcej kłamać prosto w oczy.

Zdjęcia to dobra metoda, pomyślał Hagen. Wyraźne, kolorowe zdjęcia i zbliżenia twarzy.

- Na tym ta kwestia się zakończyła. Nigdy więcej nie kontaktowałem się w tej sprawie z Wygnowskim, choć nieraz wracała ona w rozmowach z żoną.

- Czy żona kiedykolwiek przyznała się do romansu z biskupem Wygnowskim, czy też zawsze zaprzeczała?

- Nigdy się nie przyznała. Musiałem pozostać przy domysłach i podejrzeniach.

Hagen zobaczył, że Joanna notuje coś w zeszycie i uświadomił sobie, że przecież nie słyszała zapisu rozmów Rachwalskich z wczorajszego popołudnia. Mogła zatem wziąć jego odpowiedź za dobrą monetę.

- Proszę mówić dalej - zachęcił go.

W pamięci odnotował jednak pierwsze ewidentne rozminięcie się z prawdą. Cóż zatem warte były całe te wyjaśnienia?

- Tak wyglądała kwestia naszych stosunków rodzinnych przed moim pójściem na to spotkanie u dziekana. Jak wspominałem, rozmawiałem z biskupem w drugiej połowie lipca. Zatem do chwili, kiedy te megiiery podglądały mnie na przyjęciu, upłynęły prawie trzy miesiące. To był dla mnie trudny okres, muszę to przyznać. Miałem poczucie, że rozpada się cały mój świat, całe zaplecze tak długo budowane, fundamenty, na których wspiera się całą resztę... Miałem poczucie, że grunt usuwa mi się spod nóg, a wokół żadnej życzliwej duszy, nikogo, z kim mógłbym szczerze porozmawiać... Jak państwo pewnie wiecie, nie pochodzę z Lublina i okres, kiedy zawiązuje się prawdziwe, młodzieńcze przyjaźnie, spędziłem gdzie indziej, wśród innych ludzi. Tu miałem tylko kolegów z pracy, z KUL-u. Jak widać po Wielickim, słusznie ich oceniałem. Mniejsza z tym.

Wracając do przyjęcia i tego wieczoru. Było wtedy dokładnie tak, jak państwo powiedzieli. Rzeczywiście wyszedłem wcześniej i nikomu o tym nie mówiłem. Nie miałem pojęcia, że może to mieć w przyszłości takie znaczenie. Nie wyszedłem jednak po to, żeby zabić biskupa, jak pan to sugerował, inspektorze.

Przesłuchiwany podniósł wreszcie wzrok i spojrzął na Hagenę, a ten odczuł silny przypływ rozczarowania. Zatem nici z przyznania się do winy.

- Dokąd więc pan się udał? - zapytał go, nie starając się nawet, żeby sarkazm w jego głosie był mniej wyraźny.

- Jak wspomniałem wcześniej, były to dla mnie trudne miesiące. - Rachwalski znowu patrzył na swoje dłonie. - To, czego dowiedziałem się o żonie, zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Spotkałem wtedy pewną... Pewną osobę.

Potał czoło. Formułowanie myśli zdawało mu się przychodzić z trudem. Wyglądało na to, że nigdy z nikim nie rozmawiał na ten temat. Hagen i Joanna wymienili ukradkowe spojrzenia. No, no...

- To bardzo dobra, uczciwa dziewczyna, ciężko doświadczona przez życie. Samotnie wychowuje sześciolletnią córeczkę. Wydaje mi się, że znalazłem u niej przynajmniej odrobinę zrozumienia. Poznaliśmy się zupełnie przypadkowo. Ona pracuje w księgarni naukowej na Krakowskim Przedmieściu, gdzie ja często spędzam wiele czasu. Kiedy kupowałem coś, a nie było zbyt wielu osób dookoła, zdarzało się nam zamienić kilka słów na temat wybranych przeze mnie książek, czasem jakiś żart, nic, co mogłoby prowadzić do... W każdym razie miałem wrażenie, że dużo czyta, często te same pozycje co ja. Nie była może wyjątkowo ładna, ale ja też nie jestem adoniszem. Tak czy

owak pewnego dnia, kiedy czułem się wyjątkowo podle, coś mi się stało i nagle zapytałem ją, o której kończy, i umówiłem się z nią na kawę. Byłem zdumiony, że nie zrugła mnie i nie wyśmiała. Muszę przyznać, że od czasów narzeczeństwa nie umawiałem się z kobietami. Nie miałem absolutnie żadnej wprawy i szczerze powiedziawszy, miałem nadzieję, że nie przyjdzie. Jednak przysłała po siódmej i spędziliśmy półtorej godziny, rozmawiając o książkach i takich tam. Byłem zdumiony, kiedy sama zaproponowała następne spotkanie. Tak to już poszło. Opowiedziała mi swoją historię, o małżonku, który odszedł w siną dal, a ja, dacie państwo wiarę, opowiedziałem jej o swoich żenujących przypadkach. Miałem poczucie winy, bo spotykałem się za plecami żony i nie byłem teraz wiele lepszy od niej, ale fakt, że wreszcie pojawił się w moim życiu ktoś, komu mogłem powierzyć wszystko to, co gryzło mnie od tak dawna, był zdumiewająco ważny, a sam proces oczyszczający. Teraz sądzę, że być może podobną rolę odegrałaby psychoterapia, ale wtedy jakoś nie przyszło mi to do głowy. Stopniowo te spotkania stawały się coraz dłuższe i coraz częstsze i pewnego wieczoru zaprosiła mnie do siebie i... - Zawiesił głos, jakby szukając odpowiedniego słowa. Nie znalazł go widocznie, bo zamilkł.

- Czy mógłby pan powrócić jeszcze do tego wieczoru u dziekana? - poprosił Hagen, choć domyślał się, co usłyszy.

- Wyszedłem wtedy chyłkiem i pojechałem do Ani, żeby z nią spędzić wieczór. Byłem u niej od dwudziestej drugiej trzydzięci do drugiej i potem pojechałem do domu.

- Rozumiem, że ta pani może potwierdzić pańskie zeznania?

- Sądzę, że tak.
- Proszę zatem o podanie nam wszystkich personaliów i telefonu kontaktowego.

Hagen zapisał dane. Adres, który podał Rachwalski, był identyczny z tym, jaki poprzedniego wieczoru Nęcki wymienił jako cel jego nocnych peregrynacji. To tam spędził pan doktor kilka godzin, bez wątpienia ustalając zeznania na dziś.

- Dlaczego nie powiedział pan nam prawdy od razu? - zapytała Joanna.

- Nie chciałem jej do tego mieszać. Było mi wstyd i jak sądzę, nie chciałem, żeby żona dowiedziała się o wszystkim. Ale być może było to nieuniknione.

Zadali mu jeszcze kilka pytań, które nie wniosły niczego nowego, a sam Rachwalski na koniec po raz kolejny dobitnie podkreślił, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią biskupa. Kiedy wyszedł, przez długi czas panowała cisza. Hagen patrzył na Joannę, która przeglądała protokół poprzednich zeznań i coś porównywała ze swoimi notatkami.

- I co o tym sądzisz?

Podniosła na niego błękitne spojrzenie i zdawało mu się, że wyczytał w nim ślad uśmiechu.

- Teraz już jest jej - powiedziała i spojrzała z powrotem na dokumenty.

- Słucham?

- Nasz świadek. Już się jej nie wywinie, tej tajemniczej Ani.

- No tak. Świetnie. Przesłuchujemy tutaj potencjalnego mordercę, a ty masz tylko obserwacje obyczajowe do skomentowania?

Zobaczył, że uśmiecha się do siebie, ale nie podniosła głowy znad dokumentów.

- Mądra kobieta w jej sytuacji powiedziała by nam, że był u niej, zarówno w przypadku jeśli rzeczywiście spędził u niej tę noc, jak i wtedy, jeśli go nie było. Jeżeli jeszcze do tego jest w nim zakochana...

- To co?

- To musimy znaleźć albo lepsze dowody, albo innego podejrzanego.

Hagen, zniechęcony, opadł na oparcie krzesła i założył ręce na piersiach. Wyciągnął nogi przed siebie i przez chwilę kontemplował czubki swoich butów.

- Zobacz, jaką dziwną symetrię osiągnęliśmy - powiedział. Joanna spojrzała na niego zaciekawiona.

- Co konkretnie masz na myśli?

- No bo pomyśl tylko. - Hagen ożywił się, wyprostował i wyciągnął przed siebie ręce z wnętrzami dłoni zwróconymi w górę. - Z jednej strony mamy Cicheckiego. - Zaznaczył słowa gestem lewej ręki. - Jego alibi na tę noc stanowią słowa zakochanej dziewczyny, która zeznała, że była z nim w tym czasie. Nikt nie potrafi ani potwierdzić, ani obalić jej słów. Z drugiej strony - potrząsnął prawą dłonią - jest pan doktor, także chroniony przez zeznania zakochanej kobiety, równie niemożliwe do weryfikacji. - Poruszył dłońmi, naśladując szale wagi. - Trudno powiedzieć, które alibi waży więcej.

- Ta dziewczyna od Cicheckiego, jak ona się nazywa...

- Elżunia.

Spojrzała na niego dziwnie i kontynuowała.

- Właśnie, Elżbieta. Ta dziewczyna nie ma nic do zyskania, a wszystko do stracenia, łącznie z konfliktem z matką, która będzie uważała, że ukradła jej absztyfikanta. Jeżeli dojdzie do procesu, będą sobie na niej używały brukowce, a i w środowisku szkolnym na pewno jej to nie pomoże. Jej upór potrafię

sobie wytłumaczyć tylko tym, że mówi prawdę.

- Albo chce się stać bohaterką skandalu i poszukuje okazji, żeby zdobyć uwagę mediów. Może ktoś ją przy tej okazji zauważy? Zdjęcia ma gwarantowane na okładkach wszystkich tabloidów. Nie dość, że jest ładna, to jeszcze będzie zamieszana w najbardziej smakowity skandal tego roku.

- Z tego, co słyszałam, jest wystarczająco ładna, żeby zwrócić na siebie uwagę mediów bez niczyjej pomocy. Może tylko powinna być nieco starsza.

- Może brak jej wiary we własne możliwości? Związek z tym Cicheckim, w sumie chyba nie takim znów fascynującym mężczyzną, byłby na to dowodem.

- No, ale teraz poznała już inspektora Hagena, mężczyznę jakże przecież fascynującego, więc po co miałyby się upierać przy tej głupiej historyjce?

- No pięknie. Dzięki. Ja tu próbuję przeprowadzić pogłębianą analizę psychologiczną świadka, a ty sprowadzasz to do osobistej krytyki.

- Krytyki? Powiedziałam tylko, że jesteś fascynującym mężczyzną, w odróżnieniu od pana Cicheckiego.

Teraz śmiała się już otwarcie z jego irytacji.

- Nie można dzisiaj z tobą poważnie popsychologizować - powiedział, wstając. - Zajmij się, proszę, ściągnięciem tu tej Izoldy, niech nam opowie o swoim rycerzu.

Wyszedł, dziwnie podrażniony żartami Joanny, a przed oczami długo jeszcze stały mu wesołe iskry pełgające w głębi jej źrenic. Kiedy usiadł na krześle i otworzył pokrywę laptopa, żeby dokończyć raport, jego wzrok padł na kartkę pozostawioną na biurku przez podkomisarza Nawrockiego - „człowieka

kulę”. Wziął ją do ręki. Skierowano go, jakżeby inaczej, do pani psycholog o orzechowych oczach. Miała ulżyć jego cierpieniom duchowym związanym z postrzeleniem Cicheckiego. Czując nowy przypływ irytacji, przerzucił kartkę na stronę Hołowni, którą od czasu wypadku komisarza traktował jako przedpokój kosza na śmieci. Właśnie tego teraz potrzebował! Nie zamierzał tracić już w tej sprawie więcej czasu, chyba że zostanie zmuszony. Pani magister będzie musiała poczekać.

Kilkadziesiąt minut później do pokoju wszedł Lewicki. Na jego twarzy znać było trudy nocnych przygód w laboratorium, ale w kącikach ust błąkał się cień uśmiechu.

- Co nowego? - zapytał.

- Rachwalski ma alibi na noc zabójstwa w postaci pani księgarz samotnie wychowującej córkę, która w ten sposób, według pani prokurator, cementuje ich związek na wieki wieków.

- No tak. Każdy z nas powinien pamiętać, że nie da się upaść dość nisko, żeby nie mogła nas podnieść słaba kobieca ręka. One są naszą jedyną nadzieją.

- To prawda. Odziedziczą ten świat, kiedy dzięki nauce staniemy się już niepotrzebni.

- Hm... Jeżeli dobrze pamiętam, to cisi mieli go odziedziczyć, to by się nie do końca zgadzało.

- Widział pan prorocstwo, które zgadzałoby się w stu procentach?

- Może o naszej śmierci?

- Dziś to łatwe. Ale za trzydzieści tysięcy lat? Może będziemy wtedy nieśmiertelni?

- Już zapewniliśmy sobie nieśmiertelność w łańcuchu pokoleń. Dzieciaki nam to załatwią.

Uśmiechnęli się. Lewicki usiadł na miejscu, które niedawno zajmował Nawrocki, ale wypełnił przestrzeń w sposób znacznie sympatyczniejszy.

- Co pana sprowadza, oprócz urzędowej ciekawości?

Hagen miał przecucie, że Lewicki wypichcił coś w swoich retortach podczas mrocznych godzin nocnych, ale nie miał pojęcia, co by to miało być.

- Pamięta pan znaleziony przez nas u biskupa list z pogroźkami? - Hagen skinął głową. - Rutynowa analiza wykazała na nim obecność odcisków palców biskupa, możemy zatem przyjąć, że na pewno miał go w dłoni.

- Albo papier, na którym list napisano.

- Albo tak. Zakładając jednak, że miał w ręku list, stajemy przed sprzecznością nie do pogodzenia, bo wiemy, że został napisany literami wyciętymi z numeru sobotniego gazety, zatem nie ma możliwości, aby otrzymał go normalną drogą, czyli pocztą. Nie można go było wsunąć pod drzwiami, musiał jednak jakoś trafić do szuflady ofiary.

- Właściwie możliwości jest dużo. Ktoś mógł mu ten list po prostu wręczyć w kopercie, lub bez, przecież biskup spowiadał w niedzielę w katedrze.

- Właśnie. Słusznie pan zauważył, że możliwości jest dużo. Pomyślałem, że być może jedną z nich jesteśmy w stanie zwerfikować. Pamięta to pan?

Hagen wziął do ręki podane mu zdjęcie przedstawiające związane zwłoki Wygnowskiego na krześle, pokryte śladami zakrzepłej krwi.

- Pamiętam aż za dobrze.

- Niech pan zwróci uwagę na dłonie.

- Tak? - Hagen nadal nie rozumiał, do czego doktor zmierza.

- Całe są powalane zakrzepłą krwią.

- To prawda. Można powiedzieć, że cały jest pokrwawiony.
- Właśnie. Jeżeli zatem ktoś chciał uzyskać odcisk palca ofiary, a zapomniał to zrobić na początku, co, zapewniam, nie jest trudne przy poziomie stresu, jaki towarzyszy zabójstwu, to być może jakiś mikroślad pozostał na liście.

- I co?

- Nie było to łatwe - powiedział Lewicki, podnosząc palec w geście nauczającym - nie było to wcale łatwe. Niemniej na śladach odcisków palców znajdują się cząsteczki, które dają się zidentyfikować jako krew. Właściwie są to pojedyncze erythrocyty, pozbawione jądra, i jest tego za mało - uściślił szybko, uprzedzając pytanie Hageny - żeby zidentyfikować grupę krwi lub osobę przez badanie DNA, zanieczyszczenie próbki byłoby zbyt duże, ale fakt pozostaje faktem: na tym liście są drobiny krwi. Co więcej, są tylko na odciskach palców ofiary. To za mało, żeby poważnie rozpatrywał to sąd, ale dla wsparcia hipotezy śledczej to jest całkiem sporo.

- Dobrze, sprawdźmy, czy wszystko rozumiem. Wygląda na to, że ktoś odcisnął na uprzednio napisanym liście palec biskupa, wytarłszy je wcześniej starannie, ale nie aż tak dokładnie, żeby nie dało się zlokalizować resztek? - Lewicki skinął głową. - Potem ten ktoś zanoszą list do mieszkania biskupa i wkłada go do szuflady biurka, gdzie my go znajdujemy.

- Tak właśnie to musiało wyglądać. I jeszcze jedno: „Biblia Szatana” ma dokładnie takie same mikroślady krwi na sobie. Jego odciski palców wyglądały we fluorescencyjnym mikroskopie jak gwiazdziste niebo.

Hagen przypomniał sobie poświatę bijącą ze ścian i podłogi, jaką oglądali w Wólce Kozłowieckiej.

- Ktoś sporo ryzykował, chcąc nas napuścić na trop satanistów.

- Trudno powiedzieć. Miał klucze do mieszkania Wygnowskiego, nie znaleźliśmy ich przecież przy zwłokach. Właściwie ryzykował tylko spotkanie z gospodynią lub mało prawdopodobny przypadek, że ktoś go zauważy na schodach. Być może zaś w grę wchodził tylko ten pierwszy wariant.

- Co pan przez to rozumie? - Hagen zauważył lekką zmianę intonacji słów Lewickiego. Obudziła się w nim zawodowa czujność.

- W tym wszystkim jest jedno „ale”.

- Mianowicie?

- Pamiętnego poniedziałkowego wieczoru biskupa powalił potężny cios w tył głowy, zadany tępym narzędziem przez osobę praworęczną. Pozbawił go przytomności, której sadząc po rozległości zmian, nie odzyskał do momentu, kiedy nastąpił zgon. Morderca zabrał oczywiście jego klucze do mieszkania i do samochodu, to jasne. Ale skąd, u diabła, znał szyfr do domofonu na klatce schodowej biskupa, skoro ten nie mógł mu go przekazać, będąc nieprzytomny?

Hagen patrzył na niego przez jakiś czas, nic nie mówiąc, a jego umysł analizował wszystkie implikacje uzyskanej właśnie wiadomości.

- Mógł wejść razem z którymś z mieszkańców klatki schodowej, mógł zadzwonić do kogoś i podać się za hydraulika, gazownię, elektryka lub podobnego fachowca. Jak w końcu wchodził do bloków roznosiciele reklam?

- Nie do tego bloku. Na klatce schodowej jest osiem mieszkań, z tego sześć jest zajętych przez księży diecezjalnych, jedno przez osobę świecką, samotną, blisko związaną z Kościołem,

wykładowcę KUL-u, a w ostatnim, tak się akurat składa, mieszka dozorczyńni. O ile mogę wierzyć zapewnieniom mieszkańców, nigdy nie zdarzyło się, aby ktoś roznosił po klatce ulotki reklamowe.

- Rozmawiał pan z nimi?

- Tak, ze wszystkimi. - Lewicki był wyraźnie dumny z siebie. - To jest mój własny wkład w nasze śledztwo. Wie pan, porucznik Columbo i tak dalej... Ale żeby nie przeciągać sprawy: nikt z mieszkańców nie przypomina sobie wpuszczenia przy użyciu domofonu kogoś takiego w okresie od poniedziałku wieczór do piątku, kiedy dokonaliśmy przeszukania. Zapewniam, że każdy z nich nagłowił się porządnie, zanim zaliczyłem mu odpowiedź.

- A może... - zaczął Hagen.

- A może by tak pod listkiem figowym zacząć szukać figi?

- To znaczy?

- Kogoś, kto jest na tyle blisko związany z biskupem bądź z KUL-em, bądź z Kościołem, że jego obecność na klatce schodowej nikogo nie zdziwi, w związku z czym nie będzie się obawiał podjąć tego rodzaju ryzyka. Żeby swobodnie poruszać się po mieszkaniu właśnie co zamordowanego człowieka, trzeba mieć dużo pewności siebie, a ta często wynika z dobrej znajomości realiów i ludzi. Czuł się tam swobodnie, u siebie.

- Albo był bardzo zdeterminowany.

- Może. Ja już swoje powiedziałem. - Lewicki podniósł się.

- Raport prześlę mailem, a wersję drukowaną wrzucę potem wszystkim do skrytek.

- Potem, czyli kiedy?

Doktor spojrział na zegarek.

- Dziś już nie dam rady, mamy robotę na mieście. Jutro rano.

- Dziękuję. To był niezły kawałek dedukcji.

- Zawsze wiedziałem, że mam zadatki na Sherlocka. - Lewicki podał mu rękę i wyszedł.

Hagen usiadł przy stole i oparł brodę na złożonych dłoniach. Czy Rachwalski mógł zdobyć tego typu informacje? Trzeba sprawdzić, czy znał tego wykładowcę, o którym mówił Lewicki, i czy tam kiedyś bywał. A Cichecki? Czy jego Mata Hari z kurii mogła dostarczyć mu takie dane? A Marta?... Kto wie, czy nie przychodziła kiedyś do niego do domu? Niecierpliwość kochanków implikowała niejednokrotnie podejmowanie większego ryzyka. Cóż prostszego niż podać jej wtedy kod, by jak najkrócej stała pod drzwiami. Obecność na klatce schodowej rodziny świeckich stanowiła doskonale alibi. No i wreszcie hipoteza Lewickiego, jak nazwał na swój własny użytek wywody szefa laboratorium. Ktoś związany z Kościołem, kurią lub samym biskupem. Ktoś z tamtych kręgów, posiadający motyw wystarczająco silny, by okaleczyć i zabić człowieka.

Co by to mogło być?

Odpowiedź nasuwała się sama. Biskup świadomie lub nieświadomie zagroził komuś na tyle, że podjęta została próba zlikwidowania go. Jakie interesy mogły wchodzić w grę? Hagen zastanawiał się długo, ale jedyną konkluzją, do jakiej udało mu się dojść, było stare powiedzenie, że jeżeli nie wiadomo o co chodzi, to zazwyczaj chodzi o pieniądze.

Ważna narada zapowiadała się rzeczywiście imponująco. Oprócz Hageny i Joanny, jako bezpośrednio prowadzących śledztwo, wzdłuż długiego stołu w sali odpraw zasiedli jeszcze:

młodszy inspektor Mrowiec, komendant, szef prokuratury apelacyjnej Eryk Barski, wicewojewoda odpowiedzialny za prawo i porządek, którego nazwiska Hagen nie zapamiętał, oraz z ramienia kurii biskup pomocniczy Demianiuk i ksiądz Jan, sekretarz Jego Eminencji.

Joanna streściła przebieg śledztwa, kończąc na wynikach dzisiejszego przesłuchania Rachwalskiego i potwierdzeniu jego słów przez panią Annę Latkowską, pracownicę księgarni naukowej. Hagen nie odzywał się, kilkakrotnie kiwał tylko potwierdzająco głową, zdając się mówić: było właśnie tak, jak powiedziała pani prokurator. Kiedy Joanna skończyła, zapadła cisza i wyglądało na to, że nie bardzo wiadomo, kto wśród tak ważnych figur powinien pierwszy zabrać głos. Wreszcie komendant, jako gospodarz, postanowił rozdzielić role.

- Co o dotychczasowym przebiegu śledztwa i zgromadzonych materiałach operacyjnych sądzi Jego Eminencja arcybiskup? - zwrócił się do strony kościelnej.

Biskup Demianiuk był mężczyzną potężnej postury. Wyglądało jednak, że pomimo swego imponującego wyglądu i pełnionej funkcji nie czuje się kompetentny, by wypowiadać się na temat osądów swego zwierzchnika. Obejrzał się wyczekująco na sekretarza. Ksiądz Jan był najwyraźniej upoważniony do przekazania opinii i zrobił to doskonale. Słuchając go, Hagen ulegał czasami złudzeniu, że ksiądz tylko porusza ustami, a gdzieś z playbacku słychać głos arcybiskupa. Tak do złudzenia podobnie potrafił przekazać frazę swego pryncypała.

- Morderstwo ojca Scarpiego było dla nas wszystkich strasznym ciosem. Jeszcze tego samego wieczoru kontaktowała się z nami Stolica Apostolska oraz osobiście Ojciec Święty. Jego Świątobliwość był bardzo przybity tym, co się stało. Znał

i szanował ojca Scarpiego, miał do niego pełne zaufanie. Jak powiedział, Kościół poniósł niepowetowaną stratę, kolejną w tak krótkim czasie. Ojciec Święty oczekuje, że rychło uporamy się z tym zagrożeniem i łączy się w modlitwie ze wszystkimi wiernymi naszej diecezji. Ciało ojca Scarpiego zostanie pojutrze przewiezione do Włoch, a we mszy żałobnej uczestniczyć będzie Jego Świątobliwość. - Wszyscy z powagą pochyłili głowy. - Ksiądz arcybiskup jest pełen podziwu dla sprawnej akcji policji, która doprowadziła do ujęcia mordercy ojca Scarpiego i zabójcy księdza biskupa. Wiemy o tym, że pan komisarz Holownia i pan inspektor Hagen narażali życie, żeby go zatrzymać i by zbrodnia nie uszła bezkarnie. Przez moje usta Jego Eminencja pragnie podziękować obu panom i wszystkim prowadzącym śledztwo za pełne zaangażowanie, które doprowadziło do ujęcia winnego. Nad nim samym wisi teraz palec Boży i nie wiadomo, czy odejdzie z tego świata, by zdać przed Stwórcą sprawę ze swych przewin, czy też stanie przed ludzkim sądem. Jeżeli umrze, to w duchu miłosierdzia chrześcijańskiego i wzorem Pana naszego Jezusa Chrystusa, który przebaczył swym zabójcom na krzyżu, pomodlimy się za jego duszę. Jeżeli przeżyje, mamy nadzieję, że ramię sprawiedliwości świeckiej wymierzy mu zasłużoną karę. Jego Eminencja od początku uważał za niemożliwe, by na służę bożego Rafała targnął się człowiek przy zdrowych zmysłach. Z tego, co przekazała nam pani prokurator i co już wcześniej otrzymaliśmy od policji, widać wyraźnie, że był to człowiek szalony, chory, opętany żądzą odwetu na Kościele za niepopelnione przewiny. Tak szybkie ujęcie go zapobiegło zapewne kolejnym zbrodniom, jakie mógł popełnić w przyszłości.

Ksiądz Jan zamilkł na chwilę, a potem dodał już innym tonem:

- Ze swej strony również pragnę podziękować policji i prokuraturze za wzorową współpracę z kurią w trakcie tej trudnej sprawy.

Biskup Demianiuk przytakiwał słowom sekretarza, tak jak wcześniej Hagen Joannie i do tego ograniczył się tymczasem jego udział. Hagen zauważył, że w całym swoim wystąpieniu ksiądz Jan nie wspomniał słowem o Rachwalskim. Widać było, że cały ten wątek kuria pragnie zamieść jak najszybciej pod dywan. Kochanki biskupów będące żonami pracowników katolickiego uniwersytetu nie komponują się dobrze z legendą o męczeństwie sługi bożego. A więc tędy was wiedli. Inspektor uśmiechnął się lekko do siebie. Leżący przed nim wydruk z poczty elektronicznej przesunął dyskretnym gestem w stronę siedzącego obok komendanta. Tymczasem wicewojewoda chrząknął i zwrócił się do szefa prokuratury.

- Panie dyrektorze, czy w takim razie możemy uważać tę sprawę za zamkniętą, jak to wynika ze słów Jego Eminencji? Nie miałem takiego wrażenia, kiedy rozmawialiśmy ostatnio.

Widać było, że Barski, wywołany tak obcesowo do tablicy, nie czuł się komfortowo.

- Śledztwo jest bardzo skomplikowane i jak pan wojewoda był uprzejmy zauważyć, wielowątkowe. Nie mniej wydaje się, że biorąc pod uwagę najnowsze wydarzenia, fakt, że wstępne przeszukanie samochodu nie ujawniło żadnych dowodów, oraz zeznania pani... - zajrzał do papierów - Latkowskiej, możemy uznać, że ten Cichecki to najbardziej obiecujący trop. Z morderstwa ojca Scarpiego nam się nie wywinie. Panowie - tu skłonił się w stronę Hageny - schwytali go w zasadzie na gorącym

uczynku. Ręce miał dosłownie czerwone od krwi ofiary. Jeśli zaś chodzi o zabójstwo księdza biskupa, to dysponujemy na razie poszlakami. Mocnymi, niemniej jednak tylko poszlakami. Jeżeli przeżyje, to mamy gwarantowane dożywocie za zabójstwo ojca jezuity. Jeżeli chodzi o tę drugą zbrodnię, to nie będzie łatwo zmontować akt oskarżenia, który obroni się w sądzie, ale można by uznać, że sprawiedliwości i tak stanie się zadość. Dwa dożywocia w praktyce nie różnią się od jednego.

- Rozumiem. Proszę jednak również zrozumieć punkt widzenia urzędu wojewódzkiego. Popołniono na naszym terenie zbrodnię, o której mówi się w całym kraju i nie tylko, a po zabójstwie ojca Scarpiego nie mówi się już o niczym innym. Media naciskają nas, tak jak i zapewne państwa, o jak najszybsze schwytywanie winnych. Czy możemy już powiedzieć, że tak, mamy podwójnego mordercę i sprawa została rozwiązana w rekordowo krótkim czasie, czy też nie mamy nadal zabójcy biskupa i czekamy na dalszy rozwój wypadków? Mam nadzieję, że w tym gronie nie muszę dodawać, którą wersję preferowałby pan wojewoda. - Potoczył wzrokiem po zebranych, pozwalając, by ta informacja zapadła im dobrze w pamięć. - Nie chcielibyśmy wywierać nacisków na prowadzących śledztwo, ale wydaje się, że sprawa dojrzewa już do zakończenia. Co państwo o tym sądzą?

Teraz wszystkie spojrzenia spoczęły na Hagenie. Inspektor narysował jeszcze kolejny okrąg na kartce przed sobą, zanim się odezwał.

- Cichecki jest z pewnością mordercą. Zabił ojca Scarpiego z zimną krwią i należy mu się za to dożywocie. Co do zabójstwa księdza biskupa to istnieją jednak spore wątpliwości. Rozumiem, że jesteście panowie poddawani rozmaitym naciskom

i że kuria również wolałaby mieć ten trudny okres za sobą, niemniej na dziś nie możemy z czystym sumieniem przypisać winy za śmierć biskupa Wygnowskiego tej czy innej osobie. Śledztwo wymaga jeszcze wykonania wielu czynności, w tym również na terenie kurii. - Joanna podniosła w tym momencie wzrok znad dokumentacji, w którą się wpatrywała od zakończenia swojego wystąpienia i przez chwilę patrzyła na niego zdziwiona, ale zaraz opuściła oczy.

- Panie inspektorze, kuria arcybiskupia wykazała jak dotąd maksimum dobrej woli i mam nadzieję, że śledztwo nie zamieni się w nękanie jej pracowników? – Głos biskupa Demianiuka był niski i głęboki, Hagen mógł wyobrazić sobie, jak pięknie brzmiał w starych świątyniach Lublina podczas kazań.

Komendant poczuł się zobowiązany do zabrania głosu i delikatnego zwrócenia uwagi, jak w tej sytuacji są rozłożone uprawnienia.

- Zapewniam księdza biskupa i za pana pośrednictwem Jego Eminencję, że ze swej strony dołożymy wszelkich starań, tak jak dotychczas, aby nasze działania były możliwieajsłabiej odczuwane przez urzędników, niemniej wszystkim nam powinno zależeć na wykryciu prawdy.

Biskup złagodził natychmiast swoje stanowisko, ale w całej postawie przedstawicieli Kościoła widać było, że chcieliby już zakończyć tę sprawę, która zaczynała wymykać się ze swego koryta jak wezbrana wiosenna rzeka. Wody, które niosła ze sobą, były mętne i nie pachniały ładnie. Po dodatkowej wymianie opinii, które nie wniosły nic nowego, przedstawiciele kurii i wojewody wyszli, a na sali zostali tylko ludzie z wymiaru sprawiedliwości. Do powrotu komendanta, odprowadzającego

gości, panowała wśród nich cisza. Wszyscy studiowali akta, jakby nagle zaświtała im nadzieja odkrycia w nich nowych, nieznanych dotąd poszlak. Hagen rysował na kartce przenikające się spirale i zdążył pokryć nimi większość powierzchni papieru, kiedy komendant z impetem wkroczył ponownie do sali.

- Nastrój jak w rodzinnym grobowcu, co? - zapytał, obejmując wzrokiem zebranych.

Nikt nie odpowiedział, więc usiadł na swoim miejscu i postukał palcem w wydruk podsunięty mu wcześniej przez Hage-
na. - Mamy tutaj pismo z komendy głównej, dziwnym zbiegiem okoliczności przekazane mi przez pana inspektora właśnie przed chwilą, które zaleca nam niewyciąganie pochopnych wniosków, bo gdyby okazały się błędne, ośmieszą policję i prokuraturę zarówno w oczach opinii krajowej, jak i zagranicznej.

- Łatwo im pisać z Warszawy. Tutaj mamy swoją własną specyfikę i własne priorytety. Wicewojewoda był na dzisiejszym spotkaniu bardzo oględny w słowach. - Barski wyprostował się na krześle i z trzaskiem zamknął akta przed sobą. - Kiedy dzwoni do mnie do prokuratury i nie ma przy tym nikogo z centrali, to rozmawia trochę inaczej. Tak czy owak, panowie i panie, nie ma na co czekać. Mamy mordercę, to pewne. Czy popełnił obie te zbrodnie? Sądząc po postępach, jakie poczyniliśmy do tej pory, pewnie nigdy się nie dowiemy. Na pewno możemy go skazać za jedną, drugą przylepimy mu zgrabnie do kołnierza. Najgorsze, co może się przytrafić, to niewykrycie sprawcy. Chcecie tu mieć kolejną sprawę Papyły? - Rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że nie chcieli. - Wiecie, jaka jest teraz sytuacja w prokuraturze lubelskiej. Szybkie rozwiązanie tej sprawy pomogłoby nam znowu stanąć na nogi. Tobie też to

nie zaszkodzi. - Palec Barskiego wycelował w pierś komendanta. - Dobrze o tym wiesz.

Komendant dyplomatycznie nie zaprzeczył ani nie potwierdził słów prokuratora. Nikomu taki sukces jeszcze nie zaszkodził. Hagen znał plotki plasujące go wśród kandydatów na szefa policji lub jednego z jego zastępców. Mając na koncie błyskotliwie rozwiązana sprawę kalibru ogólnopolskiego, komendant wzmacniał swoją pozycję.

- Jakie są widoki, żeby szybko zamknąć śledztwo? - zapytał Barski Joannę.

Hagen przyglądał się jej z ciekawością. Co teraz powie?

- Sądzę, że jeszcze jest za wcześnie na ostateczne oceny - powiedziała. Inspektor zauważył, że na gładzi jej porcelanowej cery pojawiły się delikatne rumieńce. - Szczerze mówiąc, nie mamy absolutnie żadnych dowodów na udział Cicheckiego w zabójstwie biskupa Wygnowskiego. Poszlaki, o których pan wspomniał, to niestety tylko przypuszczenia i myślenie życzeniowe. Nie mamy nic, co moglibyśmy przedstawić w sądzie. Byle aplikant adwokacki odeśle nas z kwitkiem.

- Jest nagranie głosu Cicheckiego, w którym przyznaje się do morderstwa - odezwał się niespodziewanie inspektor Mrowiec.

- Jest, to prawda. - Barski przerzucił kilka kartek i odczytał: „Powie wam tylko tyle i dobrze sobie to zapamiętajcie: Nigdy nas nie złapiecie”.

- Słyszałem już lepsze przyznania się do winy. - Komendant w zamyśleniu masował gładko ogolony podbródek, a potem znowu spojrzał na Hagenę.

- Panie inspektorze, jeżeli to faktycznie nie Cichecki zabił biskupa, to jakie są szanse, że złapiemy prawdziwego mordercę, jeżeli taki istnieje?

- Zadaje pan trudne pytania. Muszę jednak państwu powiedzieć, że mamy zupełnie nowy trop. – Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, więc dodał: - Sprawa jest jeszcze gorąca, z dzisiejszego dnia.

Streścił im pokrótce hipotezę Lewickiego, nie cytując jednak swoich wątpliwości. Dodał także, że o ile się orientuje, doktor rozesał już pełną informację do wszystkich zainteresowanych pocztą elektroniczną.

- Tak więc - powiedział na koniec - mamy znowu gdzie szukać. Mnie osobiście wydaje się to obiecujący kierunek.

Komendant milczał i w zamyśleniu przygryzał wąsa. Barski bębnił bezgłośnie palcami po stole, Mrowiec pisał coś w swoim notatniku.

- Dobrze, zrobimy tak. Ponieważ dziś trudno byłoby zmontować sensowną sprawę przeciw Cicheckiemu przed sądem, to póki żyje, ciągniemy śledztwo tym nowym tropem, o którym wspomniiał inspektor - zarządził komendant.

- Jego Eminencja nie będzie zachwycony - mruknął Mrowiec.

- Trudno. Taka jest sytuacja. Jeśli jednak Cichecki umrze, a wszystko wskazuje na to, że tak się to zakończy, to spotkamy się jeszcze raz w tym samym gronie, przeanalizujemy materiały śledztwa i podejmiemy decyzję. Czy ta wersja wszystkich zadowala? - Rozejrzył się po obecnych.

Nikt nie wyglądał na szczególnie zachwyconego, nikt również nie oponował.

- To tyle na dzisiaj - zamknął spotkanie i wszyscy wstali, zbierając swoje papiery. Zaczynała się kolejna runda, ale tym razem słycać było unoszące się nad wszystkim głośnie tykanie zegara.

Zwalił się na nich ogrom pracy. Ciśnienie wywierane na zespół śledczy rosło z każdym dniem. Ludzie byli przemęczeni, niewyspani i drażliwi. Przyjęcie hipotezy Lewickiego jako głównej wersji roboczej spowodowało konieczność przestudiowania wszystkich akt z początkowego etapu śledztwa oraz uzupełnienie uzyskanych informacji, czyli powtórne przesłuchanie dziesiątków ludzi oraz rozmowy z nowo powołanymi świadkami.

Hagen na nowo studiował raporty laboratorium dotyczące dokumentów zabezpieczonych w mieszkaniu biskupa. Aktualnie badane były sterty wydruków ze wszystkich drukarek KUL-u, kurii, Akademii Rolniczej, firmy, w której pracował Cichocki, i Akademii Medycznej. Każda drukarka, tak jak każda maszyna do pisania, ma swoje charakterystyczne cechy, które można odnaleźć i zidentyfikować na wydruku. Aby ekspertyza była wiarygodna, musiało to zająć sporo czasu. Papier, na którym wydrukowano list, był taki sam, jak używany w kurii, ale inny od tego, na którym drukowano w sekretariacie wydziału historii. Nie należało jednak do tego przywiązywać specjalnej wagi. Był to tani i ogólnie dostępny rodzaj papieru do kserokopiarek. Każdy mógł go kupić. Drugi element, który trzeba było

szybko sprawdzić, to: kto z podejrzanych kontaktował się z portalem, z którego ściągnięto „Biblię Szatana”. Nie znaleziono śladu po takim połączeniu w domowym komputerze Rachwalskich ani na serwerze kurii. Cichecki nie miał w domu komputera, a w pracy nie miał dostępu do Internetu. Ten ślad wydawał się prowadzić donikąd.

- Część tych konkluzji jest diabła warta, trzeba sobie z tego zdawać sprawę. - Nęcki mieszał kawę od dłuższego czasu, jakby zamiast cukru wsypał tam jakąś słabo rozpuszczalną substancję. - Jeżeli nasz pan X wiedział, czego będziemy szukać, a nietrudno się było domyślić, to już dawno mógł usunąć wszelkie ślady z systemu. Weźmy komputer Rachwalskich. Oprócz jakichś resztek po deinstalacji kilku pirackich programów nie znaleźliśmy w nim nic ciekawego. Ale - Nęcki wznosił znacząco palec w górę - z danych systemowych wynika, że cały dysk twardy był formatowany już po zabójstwie biskupa. Rachwalski twierdzi, że system był niestabilny z powodu pirackich kopii gier córki i dlatego postawił go na nowo. Nic w tym niby nie ma nadzwyczajnego, ale jest jednak dziwna koincydencja czasowa.

- Żona to potwierdza?

- Nic o tym nie wie. Komputer traktuje typowo użytkowo, nie wnika, co jest w środku. Za to pan doktor lubi sobie w nim czasem pogrzebać. Jeżeli był tam jakiś ślad, w przeglądarce albo w cookies, to wszystko zniknęło.

- A jego komputer w pracy?

- Zarówno w KUL-u, w Akademii Rolniczej, jak i w kurii cały ruch poczty i Internet jest kierowany przez serwery, do których dostęp z uprawnieniami administratorów mają tylko ludzie z IT. Jeżeli połączenie byłoby wykonane stamtąd, to jesteśmy w stanie je odnaleźć. Nie minęło znowu tak wiele czasu.

Dzięki Bogu służby informatyczne współpracują z nami. Sami w życiu nie dalibyśmy rady przekopać się przez to wszystko. Nie przy tej liczbie ludzi, jaką mamy.

- Znaleźliście jakąś korespondencję pomiędzy biskupem a Rachwalską?

- Nic. Nie pisywali do siebie, nie wysyłali SMS-ów. Wygląda na to, że tylko rozmawiali. To minimum śladów, jakie współczesny człowiek pozostawia w Matriksie. Za sam billing jeszcze nikogo nie skazali.

- Gdybyśmy znaleźli jakieś ślady internetowe albo drukarkę, na której puszczone ten plik do wydruku, mielibyśmy wreszcie jakiś stały punkt zaczepienia. Włos z kota to jeszcze za mało, żeby się czegoś uchwycić. Ani w mieszkaniu Rachwalskich, ani w samochodzie, na działce, w garażu, u teściów, nigdzie nie ma żadnego śladu, który można by połączyć ze sprawą. Gdzie wyciągniemy rękę, tam chwytny tylko powietrze. Zaczyna mnie to irytować. - Hagen odchylił się z krzesłem do tyłu, splótł ręce na piersiach i wpatrzył się w sufit.

- A jak tam Cichecki? - spytał Nęcki.

- Konsultował go profesor z Akademii Medycznej i powiedział, że stan jest ciężki, w zasadzie beznadziejny, ale stabilny. Krwotok i spowodowany nim spadek ciśnienia uszkodziły mu mózg na tyle, że najprawdopodobniej nie odzyska już nigdy przytomności, ale żyć, w sensie biologicznym, może jeszcze długo. Podobno nawet do kilku miesięcy.

Nęcki nie skomentował tych informacji. Hagen nie wiedział, czy ultimatum komendanta dotyczące granic czasowych śledztwa wypłynęło poza mury pokoju, w którym zostało wypowiedziane, wolał jednak nie być zidentyfikowany jako źródło takiego przecieku. Spojrzał w okno, gdzie dawno zniknął już

ostatni ślad babiego lata i gdzie ranne zorze z trudem przebijały się przez brudną kurtynę deszczowych chmur. W taki dzień jak ten najchętniej zostałby w łóżku z Ewą, która ostatnio przestała sypiać u siebie w pokoju, a nie trawił czas na jałowych rozważaniach, w kółko o tym samym. Miał poczucie dreptania w miejscu w oczekiwaniu na kolejny przełom. Dni mijały, przełom nie następował, kolejne tropy okazywały się ślepyimi uliczkami. Był tym coraz bardziej zmęczony. Dobrą wiadomością było tylko to, że komisarz Hołownia nadzwyczaj szybko dochodził do siebie i zapowiadał swój rychły powrót do pracy, ku nieukrywanej rozpaczy żony. Hagen czekał na ten dzień z utęsknieniem, bo nie potrafił jakoś polubić inspektora Mrowca. Miał wrażenie, że ten patrzy na niego spode łba, a może po prostu nie zgadzali się w merytorycznej ocenie sprawy. Mrowiec uważał, że mordercą jest Cichecki, a wszystkie ich aktualne działania są tak naprawdę pogonią za jakąś fantasmagorią inspektora z Warszawy. Nie posunął się do odwołania ludzi ze śledztwa, ale wspominał wielokrotnie o brakach na innych odcinkach, kiedy tu badane były same ślepe uliczki. W takie dni jak ten, kiedy z nieba siąpił listopadowy deszcz, a wytężona praca kilkunastu ludzi nie przynosiła niczego nowego, Hagen zaczynał wątpić we wszystkie swoje dotychczasowe przemyślenia. Być może oni wszyscy mieli rację. Mrowiec, komendant, prokurator Barski, wicewojewoda, kuria... Może to on, Hagen, błąkał się bez celu po manowcach, kiedy już dawno powinien spakować zabawki i udać się do domu? Do wynajętego mieszkania na Ursynowie, poprawił się. Miejsce, które nazywał domem, przestało nim być od ogłoszenia wyroku rozwodowego.

Tak naprawdę, to przestało nim być dużo wcześniej, co poznanie Claire uzmysłowiło mu w całej jaskrawości. Dom. Miejsce, dokąd chcemy wracać po dniu ciężkiej pracy, po latach wędrówek. Ciepły, przytulny dom. Magiczne miejsce na ziemi, ogniskujące w sobie uczucia, pragnienia, wolę... Hagen nie miał Domu i tym bardziej Ignął do pokoju u pani Marii, gdzie towarzyszyły mu na ścianie Luangwa, w komputerze Claire, a w łóżku Ewa. Do kołdunów i pierożków ze szpinakiem, do spaghetti alla putanesca, serwowanego z przymrużeniem oka, jedzonego z dłonią zagłębioną między rozwartymi dziewczęcymi udami i popijanego czerwonym winem z Kalabrii, nocy pełnych krągłych, aksamitnych piersi i cichego, rytmicznego pojękiwania, wypełnionych spełnieniem, orgazmem, delirycznym seksualnym transem, w którym z trudem odnajdował granice między swym ludzkim jestestwem a zwierzęciem, które skowytało w ciemności. Być może nie chcę wyjeżdżać z Lublina, pomyślał. Może znalazłem tu coś, co przez poczytne pisma kobiece nazywane bywa szczęściem? Może to jest moje przeznaczenie? Przed oczami stało mu doskonałe ciało Ewy. Płaski brzuch, krągły łuk bioder, pulsujące życiem zagłębienie smagłej szyi. Lubił leżeć w ciemności i czuć w opuszkach palców pulsowanie krwi w jej tętnicach. Puk-puk, puk-puk. Wyobraźnia przywodziła obraz serca trzepoczącego się na uwieży wielkich naczyń w samym środku klatki piersiowej. Puk-puk, puk-puk. Życie. Nieustanny, aż po kres, cykl skurczów i ułamków sekund odpoczynku, odmierzający dni i godziny, miesiące i lata, oddechy wśród jesiennej nocy. Jeśli stąd wyjedzie, to co się stanie z Ewą? Czy mógł poważnie myśleć o związku z dziewczyną młodszą od niego o dwadzieścia lat? Nie wiedział,

co sobie myślała w tej ślicznej główce, co czuła, a bał się zapytać. Nie rozstała się przecież nawet ze swoim chłopakiem. Odstawiła go tylko ponoć na bocznice. Targnęła nim przez chwilę zazdrość. Przymknął powieki. Świat raził go swoim ordynarnym blaskiem. Listopadowe krótkie dni przyniosły mu w darze zmęczenie, które jak płaszcz z ołowiu spoczęło na jego ramionach, gniotąc go ku ziemi. Czekał na jakiś znak zwiastujący wiosnę, ale znak nie nadchodził.

Kolejny wieczór zapowiadał się niezbyt ciekawie. Ewa wychodziła gdzieś ze swoimi znajomymi, a przed nim otwierała się perspektywa długich godzin ślęczenia nad aktami. Postanowił zacząć od odgruzowania blatu stołu, który zdążył pokryć się stertami papierów i stosami kaset magnetowidowych. Kiedy zabrał się do segregowania stenogramów, jego wzrok padł na zaproszenie, jakie otrzymał swego czasu od starszych pań z kółka detektywistycznego. Oficjalne spotkanie kadry naukowej KUL-u z okazji inauguracji roku akademickiego. Tym razem opóźnione z powodu śmierci biskupa, w listopadzie zamiast w październiku. Na takim spotkaniu, rok temu, Rafał poznał Martę. Ciekawe, czy tym razem Rachwalski też się tam wybierze? Odruchowo sprawdził datę. To było dziś, za godzinę. Pomyślał o zgromadzonych tam wszystkich księżach i profesorach z rodzinami i wrzucił zaproszenie do kosza. Potem jednak przyszła mu do głowy pewna myśl i schylił się pod stół. Zaproszenie było lekko wymięte, ale od biedy mogło ująć. Pogwizdując wesoło, zaczął się przebierać w wieczorowy strój. Powziął zamiar, by na tych kilka godzin dołączyć do elity.

Duża sala, w której odbywała się część towarzyska spotkania, wypełniona była ludźmi w wieczorowych strojach. Czarne

sutanny, czarne garnitury, mniej lub bardziej eleganckie stroje dam. W aspekcie dam, Hagen uznał po krótkim czasie obserwacji, że jednak woli kluby studenckie. Stojąc pod ścianą z kieliszkiem w ręku, wypatrywał jakiejś znajomej twarzy. Rachwalski stał przy stole z jedzeniem i rozmawiał z jakąś kobietą. Hagen wolnym krokiem podszedł do niego. Kiedy historyk go zauważył, zastygł na chwilę w pół słowa, a potem z wolna na policzki wypełzły mu ciemne rumieńce. Wygląda teraz, jakby miał gorączkę, pomyślał Hagen. Rachwalski przeprosił rozmówczynię i podszedł do niego.

- Szpieguje mnie pan, inspektorze? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Dobry wieczór - powiedział Hagen, patrząc na niego badawczo i nie odpowiadając na pytanie. - Czy towarzyszy dziś panu małżonka?

Rachwalski zachnął się, ale opanował złość.

- Jestem sam - odparł. - Nie śledziliście mnie od domu?

- Proszę się nie niepokoić - powiedział Hagen nieco protekcyjnym tonem. - Jestem tu wyłącznie w celach towarzyskich.

- Na pewno. Tak pan tu pasuje, jak... - parsknął ze złością i Hagen zauważył, że musiał już sporo wypić, a przecież spotkanie dopiero się rozkręcało.

- Dobrze się pan bawi? - zapytał, wskazując na pusty kieliszek.

- Znakomicie. Wszyscy tu gapią się na mnie jak na raroga. Czekam, kiedy mi na drzwiach gabinetu ktoś nabazgrze flamastrzem „morderca”. I to wszystko dzięki panu. Tak, bawię się świetnie. - Rachwalski mówił przyciszonym, syczącym głosem.

Hagen podszedł do stołu i wziął pełny kieliszek. Wino było dość podłe, ale on potrzebował lekkiego wzmocnienia tupetu. Podał drugi kieliszek Rachwalskiemu.

- Jeśli jest pan niewinny, to te chmury się rozejdą. Jeśli jednak nie...

- Jestem niewinny, do cholery! - Rachwalski niemal krzyknął i parę osób spojrzało w ich kierunku. - Jestem niewinny - powtórzył cicho.

- Oby. - Hagen nachylił się ku niemu konfidencjonalnie. - Bo jeśli nie, to cię dorwiemy. Prędzej czy później, ale dorwiemy.

Wyprostował się i mrugnął do historyka porozumiewawczo, unosząc jednocześnie lekko kieliszek w geście toastu. Rachwalski obrócił się na pięcie i odszedł w stronę drzwi. Hagen dopił wino jednym haustem i zmienił kieliszek. Znowu odwrócił się do sali i przyglądał przechodzącym. Po dłuższej chwili dostrzegł żonę dziekana historii rozmawiającą z jakimś postawnym księdzem. Podszedł do nich i uklonił się starszej pani zza pleców jej rozmówcy. Na jego widok twarz kobiety rozjaśnił uśmiech.

- Jednak pan przyszedł. To bardzo miło z pana strony. Ksiądz pozwoli. - Przedstawiła ich sobie i po kilku słowach zdawkowej konwersacji odciągnęła Hageną pod byle pretekstem na stronę.

- Proszę powiedzieć, co słyhać w wiadomej sprawie? Czy przydały się na coś informacje, jakie panu dostarczyłyśmy?

Hagen postarał się jakoś oględnie zaspokoić jej ciekawość, ale nie obeszło się bez rutynowego stwierdzenia o konieczności zachowania tajemnicy ze względu na dobro śledztwa, i to więcej niż raz.

- Mam do pani prośbę - powiedział po chwili rozmowy. - Czy mogłaby pani wskazać mi docenta Twerskiego?

- Oczywiście. Gdzieś go tu widziałam. Czy on też jest podejrzany? Nie było go wtedy u nas na imieninach męża. - Spojrzała na niego, przechylając lekko głowę. Pytała półzartem, ale w jej oczach migotała prawdziwa ciekawość.

- To zupełnie inna sprawa. - Machnął ręką. - Proszę, broń Boże, tego nie łączyć.

- Oczywiście. Rozumiem. - Wyglądało na to, że następnym tematem obrad kółka brydżowego będzie rola docenta Twerskiego w zagadce śmierci biskupa. Cóż, nie było na to rady.

Po chwili wskazała go dyskretnie Hagenowi. Wysoki, postawny mężczyzna z dosyć zaokrągloną figurą stał w większym gronie osób. Przyjrzawszy mu się dobrze, podziękował i powiedział, że chciałby złożyć swoje uszanowanie dziekanowi. Panna Marple obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała i ruszyli razem na poszukiwanie jej męża.

Kilka kieliszków później spotkali się z historykiem sztuki przy talerzach z resztkami sałatek.

- Wiele nie zostało - stwierdził Hagen.

- Kto zjada ostatki... - Twerski odwrócił się i przez chwilę patrzył na niego, próbując skojarzyć twarz z nazwiskiem.

- Chyba się nie znamy - powiedział Hagen. Przedstawił się i podał swoje miejsce pracy.

- A co policja... - zaczął i zaraz klepnął się otwartą dłonią w czoło. - Ależ ze mnie głupiec. Naturalnie jest tu pan z powodu tego nieszczęścia, jakie nas dotknęło.

Hagen skinął głową.

- Jerzy Twerski, z Zakładu Historii Sztuki. - Wyciągnął rękę. Hagen ujął ją i odruchowo ścisnął mocno, mając w pamięci żelazny chwyt Hołowni. Odpowiedział mu zadziwiająco delikatny, jak na tej postury mężczyznę, uścisk.

- A więc to pan... - Hagen zawiesił głos i nie puszczał dłoni tamtego, zlustrował dokładnie jego twarz, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół.

- Tak, to ja... - potwierdził docent z lekkim uśmiechem, który przygasł pod badawczym wzrokiem inspektora.

- Miło było poznać. - Hagen wziął swój talerzyk, odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę jednej ze starszych pań. Idąc, czuł na plecach niespokojne spojrzenie swojego rozmówcy.

Podczas następnych kilkudziesięciu minut wielokrotnie wyląwiał w tłumie wzrok Twerskiego spoczywający na nim i umykający w bok w momencie, kiedy ich spojrzenia niemal się już spotykały. Ciekaw był, ile czasu zabierze mu podjęcie decyzji. Wreszcie, kiedy szedł do toalety, zza pleców usłyszał jego głos.

- Przepraszam bardzo.

Hagen odwrócił się. Twerski stał kilka metrów za nim, zatrzymany w pół kroku przez słowa, których wypowiedzenie zdawało się dla niego samego zaskoczeniem. Sprawiał wrażenie znacznie bardziej nieśmiałego, niż można było oczekiwać po opowieściach Ewy.

- Słucham.

- Przepraszam, że tak obcesowo pana zatrzymuję, ale kiedy rozmawialiśmy przez chwilę tam przy stole, na dźwięk mojego nazwiska zareagował pan tak, jakby je już gdzieś wcześniej słyszał, a ponieważ jest tu pan w związku z wiadomą sprawą,

więc... Kiedy policjant mówi: „a więc to pan”, człowiekowi może się zrobić nieswojo, nawet jeżeli nie ma nic na sumieniu. - Zaległa cisza, bo Hagen nie kwapił się z ułatwianiem mu tej rozmowy. - Krótko mówiąc, czy mógłby mi pan wyjaśnić, co pan miał na myśli, mówiąc te słowa?

- Nic szczególnego - powiedział wreszcie. - Po prostu pana nazwisko wypłynęło kiedyś podczas jakichś rozmów, zupełnie zresztą nieoficjalnych, które prowadziliśmy z władzami uczelni. To wszystko. Wydało mi się ciekawym zbiegiem okoliczności, że w tym tłumie trafiłem akurat na pana.

To wyjaśnienie nie uspokoiło Twerskiego w najmniejszym stopniu.

- Rozumiem - odparł i pokiwał głową. - Czy mógłby pan jednak objaśnić mnie, w jakim kontekście pan się z nim spotkał?

Hagen rozejrzał się wokół. Byli sami.

- Zostawmy to - powiedział. - To nie ma żadnego związku ze sprawą, którą prowadzę.

- To duża ulga. - Twerski uśmiechnął się, ale jego uśmiech nie był specjalnie radosny.

Hagen zaczynał podejrzewać, że coś mogło tu być na rzeczy. Niechcący poruszył jakąś czułą strunę. Za chwilę przekona się, czy to była ta właściwa.

- Niemniej gdyby pan był tak uprzejmy, jeżeli to nie jest tajemnica, oczywiście...

- No cóż... - Hagen potarł podbródek, jakby rozważając to, co ma następnie powiedzieć. - Nie sądzę, żeby były to sprawy panu nieznanne, więc... Skoro już tak zacząłem nieszczęśliwie... - Twerski zawisł wzrokiem na jego ustach. - Ktoś wspomniał przy okazji jakąś sprawę molestowania studentek czy kogoś tam i w tym kontekście padło pana nazwisko. Ja zapytałem

wtedy, jak to się ma do charakteru uczelni, i usłyszałem, że takie rzeczy zdarzają się wszędzie i że trzeba z nimi walczyć czy coś w tym rodzaju. Nic konkretnego.

Oczy Twerskiego zrobiły się wielkie jak spodki. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Hagen miał wrażenie, że zaraz zemdleje, i nawet zdążył się już trochę przestraszyć, czy nie prze-dobrzył. Ale docent zdołał się opanować. Wyglądał na człowieka, którego najgorsze obawy właśnie znalazły potwierdzenie. Nie mógłby być chyba bardziej zdruzgotany, nawet gdyby się dowiedział, że ma raka.

- Rozumiem - wymamrotał, cofając się powoli. - Rozumiem, przepraszam, że niepokoiłem, rozumiem...

Hagen odwrócił się do niego plecami po raz wtóry tego wieczoru i wszedł do toalety, zatrzaskując za sobą z rozmachem drzwi.

Telefon z ABW był dla niego dużym zaskoczeniem. Zapomniał, że zgłosił przez centralę swoje pytania do delegatury lubelskiej dotyczące satanistów. Teraz miał otrzymać odpowiedź. Był już niemal gotów powiedzieć rozmówcy, że sprawa jest nieaktualna, kiedy pomyślał, że może spalić na przyszłość kanał, jakim się posłużył. Nikt nie lubi przygotowywać odpowiedzi na nieistotne pytania.

- Doskonale - powiedział zamiast tego. - Niecierpliwie czekam na te dane. Kiedy moglibyśmy się spotkać?

Ustalili datę na początek następnego tygodnia i Hagen odłożył słuchawkę. Wpisał termin do kalendarza w komputerze i zapomniał o nim natychmiast.

Przesłuchiwali jeszcze raz wszystkich bliskich i dalszych współpracowników Wygnowskiego. Nikt z nich nie był w stanie

wnieść do sprawy niczego nowego. Hagen osobiście rozmawiał ze wszystkimi mieszkańcami klatki schodowej, w której mieściło się mieszkanie biskupa. Rzeczywiście, żaden z nich nie pamiętał, aby kiedykolwiek otwierał domofonem drzwi wejściowe komuś innemu poza swoimi własnymi gośćmi. Nigdy również nie pojawiały się pod drzwiami mieszkań reklamówki pizzy na telefon ani hipermarketów. Dozorczyńni, jak twierdziła, zawsze starała się przyglądać wszystkim wchodzącym i wychodzącym, co Hagen składał na karb jej niepohamowanej ciekawości, którą można by również nazwać wścibstwem. Na okazanych zdjęciach nikt z nich nie rozpoznał Cicheckiego ani Rachwalskich.

- Gdybym ją tu zobaczyła, zapamiętałabym - powiedziała dozorczyńni, patrząc na zdjęcie Marty. – Bardzo rzadko bywają tu jakieś kobiety.

Hagen był pewny, że może jej zaufać. Gdyby widziała tu kiedykolwiek panią doktor, nie omieszkałaby mu o tym opowiedzieć. Niemniej wydruki z mikrośladami krwi ktoś dostarczył w miejsce, w którym je znaleźli.

- Może zrobił to sam szatan? - Nęcki pił kolejną mocną kawę tego dnia, ale nadal miał mętny wzrok po całonocnej imprezie u przyjaciół.

- Może po prostu ktoś wszedł w sposób zupełnie naturalny razem z jednym z lokatorów, a nie wyróżniał się niczym, co pozwoliłoby go zapamiętać?

- Albo był to ktoś, kto znał kod, bo jest mieszkańcem tego domu, albo jest znajomym jednego z nich i faktycznie przyszedł w odwiedziny, a wychodząc, zaszedł jeszcze do biskupa. Przypominam, że żaden z lokatorów nie przyznał się do przekazania kodu komukolwiek z zewnątrz. Pod ich nieobecność

o wszystko troszczy się gospodyni. - Sylwia jadła z apetytem jakiś czekoladowy batonik i Hagen poczuł nagle przemożną chęć na słodycze.

- Sądziś, że zabił go któryś z tych księży? - Nęcki patrzył na nią zdziwiony.

- Tego nie twierdzę. Mamy jednak dwie możliwości. Albo morderca wszedł tam niezauważony, bo ktoś go wpuścił, a teraz nie pamięta, co w świetle naszej wiedzy wydaje się mało prawdopodobne, albo należy do kręgu bliskich znajomych ludzi, którzy tam mieszkają. W takim razie znał kod lub przyszedł w gości. U mojej mamy w bloku jest kod na klatce i jak chodzę podlewać kwiatki, to mam go zapisany na kartce, a tak normalnie, to ona mi otwiera. Przyszło mi do głowy - Sylwia ożywiła się nagle - że być może on w ogóle nie wiedział, że jest jakiś kod. Zadzwoił po prostu do jednego ze swoich znajomych, którzy tam mieszkają, i wszedł. Musiał się czuć tam diabelnie pewnie, skoro tak ryzykował. Właściwie wszystkie te szatańskie sztuczki na miejscu zbrodni powinny wystarczyć. On jednak chciał być bardziej przekonujący i dodać jeszcze taki drobny akcent domykający całą historię z satanistami. I tutaj trochę się przejechał. Wracając jednak do głównego wątku, jestem przekonana, że aby tam wejść tylko w celu uczynienia całego kamuflażu bardziej wyrafinowanym i wiarygodnym, musiał być niemal pewien swojej bezkarności. Nie podejmowałby ryzyka pokazania się w miejscu, gdzie na pewno będziemy o niego pytać, gdyby było rzeczywiście wysokie.

- Zgoda. - Hagen wstał zza biurka, na którego blacie siedziała Sylwia, i przeszedł się po pokoju. - Wynotujmy z zeznań lokatorów wszystkich wymienionych przez nich gości, jacy

odwiedzili ich w krytycznym okresie między porwaniem biskupa a zaplombowaniem mieszkania. Potem idźcie do nich z tymi listami, niech je przejrzą, dodadzą nowe nazwiska i uzupełnią o dane personalne i wyjaśnienia przyczyny wizyty oraz długości jej trwania w odniesieniu do każdej osoby, a potem dokładnie ich wszystkich sprawdzimy.

Następnego dnia na porannej naradzie zjawił się Hołownia, powitany gorącymi oklaskami. Schudł parę kilo i wyglądał raczej mizernie. Na pytania kolegów, czy zamierza wracać już do pracy, skoro minęły dopiero trzy tygodnie, odkąd został ranny, odpowiedział, że jeszcze nie wraca, ale już nie może wysiedzieć w domu, więc postanowił ich odwiedzić i dowiedzieć się, co w trawie piszczy. Potem Sylwia omówiła plany na najbliższe dni, dotyczące weryfikacji zeznań lokatorów, a Nęcki zaraportował o rozszerzeniu badań sprzętu o instytucje diecezjalne współpracujące z kurią i parafie lubelskie oraz o inne zakłady KUL-u. Hagen miał wrażenie, że na sali panuje atmosfera „jak nie teraz, to nigdy”, ale być może była to tylko projekcja jego własnych odczuć. Po odprawie w gronie wyższych oficerów odbyła się kolejna dyskusja na temat celowości prowadzenia dalszych poszukiwań. Hołownia, który wziął w niej udział, wypowiedział się za zakończeniem śledztwa i obciążeniem Cicheckiego.

- W zasadzie możemy uznać, że nie żyje. - Inspektor Mrowiec był wyraźnie zirytowany przedłużającymi się debatami na ten temat. - Nigdy nie będzie zeznawał, nigdy nie odbędzie się prawdziwy proces. Panowie - spojrzał po wszystkich obecnych - nie oszukujmy się. Sprawę mamy już od jakiegoś czasu praktycznie zamkniętą. Pora zakończyć tę gonitwę za cieniem. -

Komendant kiwał głową, Hołownia kiwał głową. Hagen splótł ramiona na piersiach i przyglądał im się zimnym wzrokiem.

- Rozumiem was, panowie. Rozumiem doskonale. Ogólnie rzecz biorąc, jestem podobnego zdania, ale - zastrzegł, podnosząc dłoń, kiedy wszyscy poruszyli się ożywieni - uważam, że jesteśmy zobowiązani wyczyścić ten ostatni ślad. Skończymy badanie drukarek, prześwietlimy wszystkich gości lokatorów i jeżeli nie znajdziemy nic, to zamykamy cały ten kram,

- Ile to potrwa?

Magia listu od nadinspektora przestała już chyba działać na komendanta. Widać było, że chce zakończyć tę sprawę jak najszybciej. Artykuły w gazetach domagające się oficjalnego wskazania sprawcy i nieoficjalnie obsadzające w tej roli Cicheckiego robiły swoje.

- Do dwóch tygodni. Ponieważ będzie to nasz rzut na taśmę, musimy być bardzo dokładni. Jestem pewien, że wszyscy ci ludzie zgodzą się na jak najdalej idącą współpracę. Na pewno zrozumieją, że w ich najlepiej pojętym interesie jest pomagać policji.

- Niech będzie dwa tygodnie, ale potem kończymy. - Komendant wstał z fotela, dając znak, że zamyka dyskusję.

Udało się więc wytargować ostatnie poruszenie czarnych figur. Tylko od nich samych zależało teraz, czy będzie to mat, czy też partia skończy się wygraną tego, który pewnej październikowej nocy wykonał pierwszy ruch. Biskup zginął w nocy z poniedziałku na wtorek. Wszyscy ci, którzy pojawili się w domu, gdzie mieszkał, od dziewiętnastej tamtego dnia do momentu założenia plomby w czwartek koło południa, byli w ich kręgu zainteresowań.

- Ile osób zostało na listach zweryfikowanych przez naszych świadków?

Hagen przyglądał się rozłożonym na stole kartkom. Na każdej w nagłówku figurował numer mieszkania, nazwisko lokatora, a dalej następowały nazwiska gości z krótkim opisem. Czerwone oznaczały poniedziałek, zielone wtorek, niebieskie środę i fioletowe czwartek. Fioletowe nazwisko było tylko jedno i była to znajoma, która przyszła pożyczyć jakiś przepis od gospodyni.

- W sumie są tu dwadzieścia cztery nazwiska. - Nęcki, który razem z Sylwią przygotował cały ten pokaz, poprawił położenie jednej ze stron, wyłamującej się z szyku, w jakim ją ustawił. - W poniedziałek u księdza prałata Nowickiego, który mieszka nad biskupem, byli goście. Rodzina, sześć osób. Czterooosobowa grupa była również u emerytowanego dziekana Polubca na czwartym piętrze w środę. Cała reszta to pojedyncze odwiedziny. U profesora z KUL-u nie było w tym okresie nikogo. Wygląda na to, że duchowni mają bogatsze życie towarzyskie.

- Odejmując te występy rodzinne, to liderem jest, zdaje się, ksiądz Chołodecki z czwartego piętra.

- Owszem. W poniedziałek jedna, we wtorek trzy i w środę dwie osoby. On jest znacznie młodszy od średniej wieku wszystkich lokatorów, ma trzydzieści sześć lat, kiedy tamci oscylują wokół emerytury. Myślę, że to wiele tłumaczy.

- Kim więc byli wszyscy nasi goście?

Hagen pochylił się nad kartkami i jedną po drugiej analizowali wszystkie osoby, przypisując im odpowiednie kategorie ważności i ustalając kolejność rozpracowania. Kiedy skończyli, Hagen spojrział na zegarek.

- Jest później, niż myślałem - powiedział. - Nie chcę was trzymać tak długo w piątkowy wieczór. Od poniedziałku wsiadamy im

na głowy. Nie mamy wcale dużo czasu.

Jadąc do domu, kupił bilety do filharmonii na recital pianistyczny złożony prawie całkowicie z utworów Chopina i ku jego zdziwieniu Ewa przyjęła zaproszenie z zadowoleniem.

- Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko tego rodzaju rozrywce dla zgredów? - zapytał.

- Z kim przestajesz, takim się stajesz - odparła, a widząc w lustrze jego kwaśną minę, uśmiechnęła się. - Ja, na przykład, skończyłam średnią szkołę muzyczną i całkiem nieźle gram na skrzypcach. Niech cię nie zmyli fakt, że poderwałeś mnie w dyskotece.

- Trochę mnie zmylił - przyznał Hagen.

- Zapnij mi lepiej suknię, bo się spóźnimy, a tego nie wolno robić.

Spóźnili się na pierwszą część recitalu, bo zapinanie czarnej wieczorowej sukni przeciągnęło się znacznie ponad miarę. Na szczęście jego ulubiony „II koncert f-moll” był w planie już po przerwie i zdążyli zająć swoje miejsca wraz z powracającą z foyer publicznością. Hagen nie był w stanie określić, czy pianista był dobry, czy wyśmienity. Powyżej pewnego poziomu sprawności technicznej wszystkie wykonania wydawały mu się właściwe. Ewa oświeciła go, że słuchają bardzo dobrego wykonania partii fortepianu, miała jednak pewne zarzuty do orkiestry. Czas upłynął szybko, a po koncercie poszli do „Piwnicy”, mieszczącej się prawie naprzeciwko filharmonii, na lekką kolację. Blask płomienia świecy stojącej na stoliku odbijał się w jej ciemnych oczach, drgając, kiedy mówili coś pochyleni ku sobie. Położyła dłoń na jego rękę. Wypielegnowany paznokcieć

gładził delikatnie grzbiet jego dłoni. Pili czerwone wino i uśmiechali się do siebie, kiedy zapadała między nimi cisza.

- Nie boisz się, że złapią cię gliny? - zapytała, kiedy otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Boję się - powiedział, wsiadając i zapalając silnik. - Dziś jednak postanowiłem być dzielny. Dla ciebie.

Oparła głowę na jego ramieniu, jej włosy połaskotały go w policzek.

- A więc wieź mnie, bohaterze, do twego pałacu.

- Się robi, paniusiu - mruknął, wykręcając tyłem z parkingu na ulicę.

Budził się powoli, jakby wynurzając się z czarnych odmętów ciepłej, lepkiej cieczy. Otworzył oczy. W pokoju było ciemno, Ewa potrząsała jego ramieniem.

- Co się?... - zaczął mówić, ale położyła mu dłoń na ustach.

W ciszy nocy rozległo się głośnie i wyraźne pukanie do drzwi.

- Słucham - powiedział, wstając z łóżka.

Nie mógł chyba jeszcze całkiem oprzytomnieć, wydawało mu się, że pukanie nie dobiega od drzwi wejściowych.

- Panie inspektorze, to ja. - Usłyszał stłumiony głos pani Marii i zrozumiał, że nie przesłyszał się wcześniej. Stukała w drugie drzwi, łączące pokój z jej częścią domu.

- Już idę.

Narzucił szlafrok i wiążąc pasek, otworzył zamek.

- Co się stało?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwonił do mnie komisarz Hołownia, bo nie udało mu się z panem skontaktować, a podobno jest jakaś ważna sprawa.

- Dziękuję. Dziękuję bardzo i przepraszam, że panią obudzili z mojego powodu.

- To żaden kłopot. Wiem przecież dobrze, jak to jest. Dobranoc - powiedziała i odwróciła się w stronę schodów.

- Dobranoc.

Zamknął drzwi i wyjął z wiszących na krześle spodni telefon, który wyłączył, kiedy weszli do filharmonii. Ekran pokazał mu, że jest właśnie 3.27. Miał dziesięć nieodebranych połączeń. Od Nęckiego, od Sylwii i od Hołowni. Westchnął ciężko i wybrał ten ostatni numer.

- Co się stało? - zapytał, kiedy komisarz odebrał.

- Miałeś rację! - Głos Hołowni był pełen podekscytowania.

- To nie Cichecki zabił biskupa.

- Skąd wiesz?

- Bo mamy wreszcie prawdziwego mordercę.

Ulica przed budynkiem, w którym mieszkał biskup Wygnowski, wyglądała jak plan zdjęciowy amerykańskiego filmu gangsterskiego. Zaparkowane radiowozy z migającymi światłami, zasieki policyjnej taśmy, reflektory, tłum podekscytowanych gapiów kłębiący się wokół, pomimo nietypowej godziny, policjanci z kałasznikowami, chuchający w dłonie, wyrwani z łóżek i przywiezieni tu do pilnowania... no właśnie, czego?

Hagen wyciągnął legitymację i podsunął ją pod nos funkcjonariusza.

- Proszę, niech pan przejdzie, panie inspektorze. On tam jest na podwórku.

Hagen podniósł do góry taśmę i schylił się, przechodząc na drugą stronę. Drzwi do klatki schodowej, które ostatnio przekraczał kilkakrotnie, były teraz otwarte na oścież, ze środka wydobywało się przytłumione światło. Wszedł do wnętrza, kolejny funkcjonariusz sprawdził mu dokumenty.

- Tędy na podwórko.

Hagen minął go i zagłębił się w ciemność korytarza. Szedł ku dźwiękowi licznych głosów i coraz jaśniejszej poświacie. Za zakrętem były małe, otwarte szeroko drzwi. Zobaczył przez nie grupę ludzi w białych fartuchach, rozstawione reflektory.

Błyskał flesz aparatu. Wszedł w krąg jaskrawego światła i zabołały go oczy, przywykłe jeszcze do ciemności panującej wokół nocy. Przysłonił je ręką. Funkcjonariusze i technicy stali zwrócenieni do niego plecami na dnie studni podwórza wypełnionej światłem do poziomu pierwszego piętra. Nie mógł dostrzec, czemu się przyglądali i o czym rozmawiali z takim podnieceniem, gestykulując nerwowo. Wcisnął się pomiędzy zgromadzonych. Wtedy wreszcie zobaczył, dlaczego zerwano go w środku nocy.

Przy murze, na betonowych płytach, leżał człowiek. Leżał na brzuchu, twarzą do ziemi, z jedną ręką podwiniętą pod ciało, niewidoczną. Wokół głowy skreślonej nienaturalnie i zniekształconej widać było czarne rozbryzgi i plamy krwi. Hagen pochylił się ku ziemi. W tym ułożeniu nie widział twarzy, jeżeli pozostała jeszcze jakaś twarz do oglądania. Jedyne, co mógł stwierdzić, to że mężczyzna był ubrany w sutannę, która podwinęła się, ukazując łydki, woskowo bezkrwiste w blasku reflektorów. Na jednej stopie tkwił czarny but, druga była goła, bez skarpety. Hagen dostrzegł drugi but leżący niedaleko z ustawionym obok numerem.

- Spokojnie, panowie, już kończymy zdjęcia. - Usłyszał z prawej głos Lewickiego. Spojrzał w tamtą stronę. Szef laboratorium szedł od strony tego samego wejścia, którym przed chwilą sam przyszedł, prowadząc pod rękę starszego mężczyznę. Jego twarz wydała się Hagenowi znajoma. Po chwili zorientował się, że był to profesor Koszarowski, wykładowca KUL-u, zamieszkały na ostatnim piętrze budynku, w którym kiedyś mieszkał Wygnowski. Z ciemności wychynął teraz Nęcki i zbliżył się do nadchodzących. Hagen także ruszył w tamtą stronę. Przywitał się ze wszystkimi. Profesor, o dziwo, rozpoznał

go. Jego twarz, pobrużdżona i zmęczona, zdradzała jego wiek - osiemdziesiąt lat. Oczy, błyskające żywo zza okularów w stałowej oprawie, zdawały się temu zaprzeczać.

- Cóż za nieszczęście - powiedział. - Doprawdy, aż trudno uwierzyć. Może to jakaś pomyłka?

- Dlatego pana tu zaprosiliśmy, panie profesorze. - Lewicki utorował im drogę przez tłum. - Muszę pana uprzedzić, że to nie jest widok dla ludzi o słabych nerwach, więc jeżeli pan nie zechce...

- Ja, widzi pan, walczyłem przez sześćdziesiąt dni w powstaniu i widziałem pacyfikację na Woli - odparł łagodnie profesor. - Nie mam aż tak subtelnej konstytucji.

- Oczywiście, przepraszam - sumitował się Lewicki.

Stary człowiek machnął ręką i ruszył do przodu. Podeszli do ciała. Lewicki dał sygnał i dwaj technicy odwrócili delikatnie leżącego na wznak. Pomimo Wyraźnych uszkodzeń i zakrzepłych, czarnych sopli krwi nawet Hagen go rozpoznał. Spojrzał na profesora, który wpatrywał się w zwłoki.

- To on - powiedział po chwili. - Nie mam żadnych wątpliwości. To ksiądz Karol Chołodecki, mój sąsiad.

- Panie inspektorze. - Nęcki pociągnął go za ramię. - Chodźmy. Komisarz jest już na górze.

Kiedy wchodzili szerokimi schodami, mijając po drodze drzwi do mieszkania Wygnowskiego, Nęcki pokrótce zapoznał go z wydarzeniami wieczoru.

- Około drugiej zadzwonił do dyżurnego ksiądz Polubiec. Był zupełnie rozhisteryzowany i w pierwszej chwili funkcjonariusz myślał, że to albo wariat, albo ktoś sobie robi głupie żarty. Wreszcie prałat zebrał się trochę w garść i powiedział, co się stało. Ponieważ źle sypia, robił w nocy porządki w jakichś papierach i na zakończenie poszedł wyrzucić śmieci do pojemnika.

Kiedy przechodził przez podwórze, a trzeba dodać, że nie było tam żadnej sprawnej żarówki, literalnie potknął się o ciało i wywrócił. Kiedy namacał trupa, to mało nie dostał zawału. Zresztą trudno mu się dziwić. Jeszcze kiedy przyjechaliśmy, miał całe ręce, kolana i podeszwy butów we krwi. Za nic nie dał się namówić, żeby zejść na dół i zidentyfikować ciało, trzeba było go objąć pomocą psychologa. Na szczęście pan profesor był bardziej zrównoważony. Proszę - zakończył, puszczając Hageną przodem.

Drzwi do jednego z mieszkań na najwyższym piętrze były otwarte, a pilnujący ich policjant wyraźnie podsypiał, oparty o ścianę. Nęcki szturchnął go, kiedy wchodzili, i tamten się wyprostował. W środku kręciło się kilka osób. Hagenowi rzuciło się w oczy szeroko otwarte okno z powiewającą w przeciagu firanką. Niecodzienny widok w środku nocy w połowie listopada. Do parapetu przystawione było krzesło.

- Zobaczyliśmy to otwarte okno z podwórza i byliśmy prawie pewni, że to on, ale dopiero teraz mamy pozytywną identyfikację. Drzwi otworzyła nam gospodyni - dodał Nęcki, widząc pytające spojrzenie inspektora.

- Dobrze, że już jesteś. - Hołownia wyszedł z pokoju obok i wyciągnął do niego rękę. Jego uścisk powoli zaczynał nabierać dawnego wigoru.

- Gdzie ten morderca, o którym wspominałeś?

- Aha! - Komisarz wzniosł w górę palec wskazujący. - Jest tutaj!

Zawrócił na pięcie i ruszył szybkim krokiem ku drzwiom, z których przed chwilą wyszedł. Hagen szedł tuż za nim. Czyżby wreszcie mieli rozwiązanie tej przekłetej sprawy? Daj Boże,

pomyślał. Weszli do mniejszego pokoju, który ewidentnie pełnił funkcję gabinetu. Na biurku obok monitora komputera stała tradycyjna maszyna do pisania. Hołownia pochylił się nad nią i podniósł leżącą na blacie kartkę papieru formatu A4, włożoną w ochronną koszulkę foliową laboratorium kryminalistycznego.

- Oto on - oświadczył, nagle poważniejąc. - Oto wyznanie mordercy biskupa Wygnowskiego.

Hagen wziął w ręce śliską folię. Na białej kartce widniało kilka zdań napisanych na maszynie:

Me mogę dłużej znieść ciężaru moich grzechów i brzemienia winy.

Krew biskupa przeze mnie przelana domaga się zapłaty.

Zabiła go moja słabość i pycha, a szatan prowadził moją rękę.

Kościół był dla mnie wszystkim i wiedziałem, że jeśli moje grzechy zamkną mi drzwi kurii, to nie będzie dla mnie ratunku. Biskup dowiedział się o mej skłonności do mężczyzn i groził mi. Nie miałem innego wyjścia. Żałuję tego, co się stało. Wiem, że niedługo wszystko się wyda, policja bywa już u mnie prawie codziennie.

Oby Bóg ulitował się nade mną i mi wybaczył, bo ja wybaczyć sobie nie potrafię.

Żegnajcie.

- Był nadal w maszynie, jak weszliśmy do mieszkania. Można powiedzieć, że ten list jest jeszcze gorący.

Hagen czytał go po raz czwarty.

- Jeśli dobrze rozumiem, Chołodecki zabił Wygnowskiego, bo biskup dowiedział się o jego homoseksualnych skłonnościach i zagroził mu usunięciem z Kościoła?

- Tak jest. A teraz nie wytrzymał presji naszego śledztwa i pękł.

Hagenowi przypomniała się głowa leżącego na podwórzu człowieka, rozpęknięta jak gliniany garnek.

- To słowo oddaje istotę rzeczy - zauważył, ale Hołownia nie zareagował.

- To koniec - powiedział.

Widać było, że jest podekscytowany.

- Kończymy tę nieszczęsną sprawę. A już zaczynałem myśleć, że rozmyje się nam w spekulacjach wokół Cicheckiego.

Hagen chciał mu przypomnieć, że sam głosował za zakończeniem śledztwa na tym etapie, ale rozmyślił się. Co było, minęło.

- Rozejrzę się tu trochę - powiedział.

- Jasne. - Komisarz odwrócił się już w stronę jednego z techników i zaczął ustalać zasady zabezpieczenia sprzętu komputerowego do badań.

Hagen przyjrzał się gabinetowi, w którym stali. Książki na półkach, religijne obrazy na ścianach, głównie chrystologiczne, przedstawiające mękę Pańską, chociaż dostrzegł też reprodukcję powołania świętego Mateusza Caravaggia. Na półkach literatura religijna i powieści, głównie współczesne. Pod biurkiem stał komputer, na parapecie okna mała drukarka atramentowa i płaski skaner formatu A4. Jako źródło światła służyła kopia lampki od Tiffany'ego na wysokiej mosiężnej nóżce. Obok monitora LCD i odsuniętej na skraj biurka klawiatury stała maszyna do pisania firmy Remington, stara, tak na oko może nawet pięćdziesięcioletnia. To na niej ksiądz Chołodecki napisał swój ostatni list, zanim pochłonęła go ciemność na dole.

Hagen obejrzał dokładnie całe trzypokojowe mieszkanie. Wszędzie panował ład i porządek. W końcu sprzątała tu ta sama

gospodyni, co u Wygnowskiego. W salonie na ścianach wisiały ikony. Czarne źrenice Matki Boskiej i starych świętych ze znużeniem śledziły krzątanie ludzi w białych kombinezonach. Pożłociste fragmenty sukni i kręgi aureoli odbijały światło reflektorów. W sypialni zawieszono naprzeciw siebie dwa wielkie obrazy, wystylizowane na włoskich mistrzów renesansu, malowane zapewne na zamówienie, przedstawiające męczeństwo św. Sebastiana. Znany motyw ujęty był na nich nieco odmiennie, ale na obu nagie ciała świętego, jak odbicia w lustrze, przężyły się pod wpływem bólu spowodowanego przez wbijające się groty strzał. Po umięśnionych udach spływały strugi krwi, oczy, przymknięte lub zamglone i wzniesione do nieba, nadały twarzy wygląd uduchowiony i wzniosły. Obrazy malował ktoś posiadający niezły warsztat. Hagen nie pamiętał nazwisk autorów oryginałów, ale obiecał sobie, że to sprawdzi. Poprosił fotografa o zrobienie zdjęć i zamówił duże odbitki. Ostatecznie był aktualnie kochankiem prawdziwego eksperta w dziedzinie historii sztuki.

Kiedy wrócił do domu, zaczynało już świtać, a ekspert przeniósł się do swojego pokoju. Hagen rozebrał się szybko i wskoczył pod koldrę, pragnąc chwycić jeszcze chociaż dwie godziny snu. Dzisiaj musiał być w formie. Śledztwo wyraźnie zmierzało ku swemu zakończeniu.

W komendzie tryumfalny nastrój dało się wyczuć już na schodach, kiedy mijająca go policjantka uniosła do góry kciuk i uśmiechnęła się. Na sali odpraw, zazwyczaj pustej w sobotnie przedpołudnia, panował głośny gwar. Było tam dwa razy więcej ludzi niż zwykle. Miał wrażenie, że niektóre twarze widzi w

ogóle po raz pierwszy. Sukces miał w sobie wielką siłę przyciągającą. Przywitał się z Hołownią i innymi członkami grupy. Wszyscy zajęli miejsca. Pierwszy raz zdarzyło się, że zabrakło krzeseł i wiele osób stało pod ścianami. Spotkanie prowadził komendant, po jego lewej ręce siedział Mrowiec. Szef pionu kryminalnego przedstawił wypadki poprzedniej nocy. Szczegółowo, niemal minuta po minucie opisał wszystkie wydarzenia. Wstępne rozpoznanie dokonane na miejscu przez sąsiada zostało zweryfikowane już w kostnicy przez trzech niezależnych świadków, duchownych z kurii arcybiskupiej.

- Nie spodziewaliśmy się tak dobrej współpracy ze strony duchownej - zauważył młodszy inspektor. - O siódmej wszystkie okazania były już zakończone. W tej chwili - spojrzał na zegarek - od dwudziestu minut trwa już sekcja zwłok pod nadzorem prokuratorskim, która, miejmy nadzieję, pozwoli nam potwierdzić przyczynę zgonu ustaloną wstępnie na miejscu zdarzenia.

Przez większość czasu Hagen miał nieodparte wrażenie, że całe spotkanie jest tylko jedną wielką próbą przed konferencją prasową, na której ogłoszone zostanie rozwiązanie sprawy. A zatem koniec, pomyślał. Trochę rozczarowujący. Bez spektakularnego aresztowania, bez przyznania się do winy, bez długiego, trzymającego wszystkich w napięciu procesu. Tylko krótki list, otwarte okno i ocean nocy poza krawędzią parapetu. Przed oczami stanęły mu czarne rozbryzgi krwi na betonie i głowa samobójcy przypominająca skorupkę po jajku na miękko, otwartą u góry i opróżnioną z zawartości. Galaretowate grudki rozsiane wokoło. Przez chwilę siedział zamyślony, rozważając, co to oznacza dla niego. Planował swoje kolejne posunięcia.

Trzeba będzie porozmawiać z panią Marią, pożegnać się ze wszystkimi. Trzeba będzie rozstać się z Ewą. Przymknął oczy. Tych kilka tygodni zbudowało wokół niego wirtualny świat. Dom, kobieta, praca. Dom był stacją, kobieta miała swoje własne życie, chłopaka i plany, których on nie był częścią, a z tutejszą komendą pożegna się, pewnie na zawsze, już w najbliższych dniach. Czuł się jak człowiek, który szedł przez rzekę, skacząc z jednej rozkołysanej kry na drugą, i dopiero niedawno dotarł do grubego, stabilnego lodu tylko po to, by po chwili zorientować się, że rozpada się on pod jego stopami na swobodnie unoszone przez prąd fragmenty. Otrząsnął się z tych myśli i skupił na tym, co mówiono zza przydzielanego stołu.

- Mamy nadzieję, że postępowanie będzie można uznać za zamknięte jeszcze w nadchodzącym tygodniu - powiedział Mrowiec.

Na sali zerwały się oklaski i ludzie uśmiechali się do siebie. Lubelska policja stanęła oto przed najpoważniejszym wyzwaniem w swojej historii i potrafiła stawić mu czoło. Tajemnica zbrodni stulecia została rozwiązana w kilka tygodni. Będzie co świętować w nadchodzące sobotnie popołudnie.

Po odprawie spotkali się w ich wspólnym z Hołownią gabinecie. Było kilka osób zaangażowanych w śledztwo od samego początku. Rozmowy prowadzono podekscytowanymi głosami, ludzie cały czas wchodzili i wychodzili. Po chwili ktoś rzucił pomysł, aby udać się na starówkę do jakiegoś pubu i oblać sukces. Ruszyli całą grupą, zjednoczeni wspólnym poczuciem zwycięstwa. Hagen rozejrzał się, kiedy wyszli na ulicę, ale nigdzie nie mógł dojrzeć Sylwii, chociaż mógłby przysiąc, że widział ją

na odprawie. Po chwili machnął ręką. Dobry nastrój udzielił się także jemu. Będzie, co ma być, a na razie pora na zasłużony odpoczynek i chwilę relaksu. W następnym tygodniu czekały ich długie godziny papierkowej roboty, dopinania wszystkich wątków, porządkowania dokumentacji i dowodów, nagrań operacyjnych i opinii ekspertów. Kiedy to zakończą, przyjdzie dla niego czas, by powiedzieć do widzenia.

W pubie siedzieli kilka godzin. Z powodu wczesnej pory byli praktycznie jedynymi klientami, co pozwoliło im czuć się swobodnie i głośno rozmawiać. Z nalewaka tryskały złociste strumienie miejscowej Perły i Zwierzynieckiego. Barman ledwo nadążał wymieniać kufle.

- To był kawał dobrej roboty - mówił mu Hołownia wprost do ucha dwie godziny później. Z głośników leciała przebojowa muzyka i na małym parkiecie ktoś już nawet tańczył. - Kurde, naprawdę myśleliśmy, że to ten komandos. Żeby nie ty, nigdy byśmy nie wypłoszyli tego pedała z krzaków.

Hagen uśmiechnął się i machnął ręką.

- Napisz to do komendy głównej, może mnie wyślą z misją łącznikową do RPA.

- Za RPA. - Komisarz wzniosł kolejny toast.

Hagen nie był pewny, czy rekonwalescent powinien wlewać w siebie tyle piwa, ale w końcu Hołownia nie cierpiał na niewydolność nerek, tylko został pchnięty nożem. W tej chwili jedynymi śladami po październikowych wypadkach były szczuplejsza twarz i zdecydowanie mniejsza tolerancja na alkohol. Wypili dopiero kilka piw, a Hołownia był już nieźle wstawiony.

- Ty to jesteś jednak niezły ananas - mówił mu dwa kufle później. - Niezły ananas - powtórzył.

Hagen spojrział na niego zdziwiony.

- Dlaczego ananas?
- Już ty wiesz dlaczego.

Komisarz figlarnie pokiwał swoim grubym palcem wskazującym przed jego nosem.

- Nie mam pojęcia! - Hagen przysunął swoją szklankę do kufła Hołowni i trącił go lekko. - No mów!

- Wszystko wiem od Zosi - powiedział Hołownia zadowolony z siebie. - Wszystko wiem.

Wypili. Hagen otarł usta i pochylił się w stronę rozmówcy.

- Coś zmyślasz.
- Nic nie zmyślam. Kobiety rozmawiają ze sobą w tajemnicy, a potem, jak się okazuje, jej ciężar jest zbyt wielki na jedne wątłe barki i muszą się nim podzielić. Choćby nawet z mężem.
- Przestań zasuwać jak sfinks samymi zagadkami i mów jak człowiek. Uratowałem ci życie, a ty chcesz, żebym teraz skonał z ciekawości?

- Uratowałeś, to prawda. Jestem twoim dłużnikiem, zawsze ci to będę pamiętał. Prosimy jeszcze po jednym!

- No właśnie. Zatem mów, jaki to ze mnie ananas.
- Pewnego wieczoru, ostatnio, moja małżonka zapytała mnie, co ja właściwie o tobie wiem. Powiedziałem jej z grubsza to, co wszyscy mówią, i potem pytam, skąd ta nagła ciekawość. A ona mi na to, wyobraź sobie, że rozmawiała z Joasią, to jest z panią prokurator, i wygląda, że jej trochę zawróciłeś w głowie. Ja na to, że bardzo dobrze, bo to znaczy, że pozostały w niej jednak jakieś ludzkie uczucia.

- Toś mi brat - powiedział Hagen i wypili.
- Niemniej - kontynuował Hołownia, zaznaczając frazę wymownym ruchem dłoni i robiąc przerwę na wypicie kolejnego

łyka - moja żona nie była skłonna podzielić tego punktu widzenia.

Hagen kiwał ze zrozumieniem głową.

- Co powiedziała?

- Powiedziała, że według niej inspektor Hagen to bardzo niebezpieczny mężczyzna.

- Bo noszę broń?

- Nie... - Hołownia roześmiał się. - Niezupełnie. Ona, widzisz, uważa, że dostrzegła w twoich oczach głód, którego nigdy nie zaspokoi jakaś jedna, konkretna kobieta. A ponieważ, cytuję, jesteś przystojny, elegancki i... zaraz, a, inteligentny, oraz umiesz słuchać, więc jesteś niebezpieczny. Kobiety bowiem łatwo poddają się twemu czarowi, aby potem obudzić się z uczuciem pustki w sercu. Joanna powinna się ciebie strzec. Sprawa się skończy, ty wyjedziesz, a ona będzie cierpiała.

Hagen zamyślił się.

- Twoja żona to mądra kobieta - powiedział po chwili. - Powinieneś się jej trzymać.

- Nic innego nie robię od wielu lat. Zdrowie.

Zapowiadało się długie sobotnie popołudnie. Popołudnie przeszło w wieczór, a wieczór zakończył się w kolejnym, nie wiadomo którym już lokalu, późno w nocy. Hołownia dawno został odwieziony do domu i teraz Hagen szedł lekko chwiejnym krokiem przez ciemność listopadowej nocy, czując na twarzy wilgotny powiew wiatru i obracając w głowie wszystko to, co na swój temat usłyszał od komisarza. Kiedy dotarł do domu, informacje i wspomnienia zaczęły mu się już mieszać, a kiedy się obudził, pamiętał z tego wszystkiego tylko tyle, że podobno spodobał się Joannie. Był to kolejny, oprócz przeknięcia dwóch tabletek pyralginy, bodziec, który pozwolił mu

wstać z łóżka. Było południe i na telefonie miał nagrany wiadomość od Sylwii z prośbą o pilny kontakt.

Spotkali się w małej restauracyjce na starym mieście. Sylwia w cywilnym stroju prezentowała styl młodzieżowo-sportowy. Hagen miał poczucie, że wyglądają jak ojciec z córką na niedzielnym obiedzie. Podzielił się z nią swoją obserwacją.

- Nie sądzę. Podejrzewam, że jeżeli ktoś na nas patrzy, to uważa nas raczej za typową parę drugiego rzutu.

- Drugiego rzutu?

- Tak. Pan jest już rozwiedziony z pierwszą żoną, z mojego lub z jakiegoś innego powodu, i teraz po raz drugi układa sobie życie z młodszą kobietą. Normalna wymiana na nowy model.

- Mam nadzieję.

Kelner przyniósł piwo i Hagen z pewnym obrzydzeniem zanurzył usta w pianę. Niewielka dawka alkoholu miała pomóc zwalczyć kaca, który zaczynał panoszyć się w jego organizmie. Piwo było zimne i smaczne. Pociągnął drugi, duży łyk. Odstawił szklankę, otarł usta serwetką i spojrzał wyczekująco na Sylwię, mieszającą herbatę z zamyślnym wyrazem twarzy. Podniosła na niego oczy, szare, w oprawie jasnych rzęs. Bez makijażu, tak jak zawsze. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem ona podniosła szklankę i upiła mały łyk. Odstawiła ją zdecydowanym ruchem i tak jak Hagen przed chwilą, otarła usta chusteczką.

- Nie chciałabym, żeby pan potraktował to, co za chwilę powiem, jako przejaw mojego zarozumiałstwa albo próbę zwrócenia na siebie uwagi za wszelką cenę. - Słowa wypowiedziała wolno, jakby ważąc je po kolei w myślach, zanim za-
brzmią.

Hagen skinął głową. Sylwia mówiła dalej, a jej wzrok przemieszczał się gdzieś w okolice serwetki leżącej przed inspektorem, sztućców, potem szklanicy z piwem, by ponownie wrócić do serwetki.

- Kiedy wysłuchałam wczoraj wystąpienia szefostwa na odprawie, miałam poczucie, że sprawa została już definitywnie zamknięta. Widziałam, że wszyscy się cieszą i z ulgą przyjmują to, co się stało. Morderca się przyznał, sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Czy może być bardziej oczywiste i jasne zakończenie? Sama nie wiem dlaczego, ale jakoś nie podzielałam tych uczuć i zaraz po odprawie poszłam do domu. Zastanawiałam się, co mnie w tym wszystkim niepokoi i czego mi brakuje do szczęścia. Po pewnym czasie zorientowałam się, że nie przekonuje mnie motyw działania sprawcy.

- Motyw?

- Tak. Od początku śledztwa motyw był tym elementem, który najmniej pasował nam do całej układanki. Dlatego, jak sądzę, taką karierę zrobiła kandydatura Cicheckiego. Wariat nie potrzebuje jasnego motywu, zastępuje mu go szaleństwo. Doktor Rachwański też miał swoje powody, żeby się rozliczyć z biskupem, ale czy w dzisiejszych czasach tak załatwia się spory o kobietę w kręgach inteligencji katolickiej? Tutaj mamy przyznanie się do winy, napisane co prawda na maszynie, ale zawsze... Ksiądz Chołodecki wyjaśnia nam, że odkrycie przez biskupa jego homoseksualizmu mogło stać się początkiem końca jego pięknie zapowiadającej się kariery. Zabił go więc, symulując działanie tajemniczej satanistycznej sekty, podrzucił do mieszkania listy z zawołowanymi pogrózkami i czekał na koniec śledztwa. Kiedy wyglądało na to, że wszystko zmierza do szczęśliwego rozwiązania i wyznaczony na mordercę Cichecki

zabierze swoją tajemnicę do grobu, pojawiają się pogłoski o nowym tropie, a policja zaczyna węszyć dosłownie pod jego drzwiami. Nie wytrzymuje napięcia i skacze z okna. Tak to było?

- Tak właśnie było. - Hagen pokiwał głową.

Napił się znowu piwa. Nie bardzo potrafił skupić się na tym, co mówiła. Czego właściwie Sylwia chce od niego w to niedzielne popołudnie? Jego wzrok pobiegł za rozkołysanymi, krągłymi pośladkami kelnerki niosącej zamówione przez kogoś dwie wódki. Sprawa znalazła wreszcie swoje rozwiązanie, wszyscy mieli ją z głowy. Hagen miał ją z głowy, Sylwia miała ją z głowy. Po co wspominać zeszłoroczne śniegi?

- A mnie się zdaje, że to jakaś bujda na resorach - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Dziecko, co ci chodzi po głowie?

Hagen poczuł się bardzo zmęczony. Młoda współpracownica, jak to młodziź, miała jakąś rewolucyjną teorię obracającą w proch ustalone fakty, burzącą porządek ustanowiony przez starych graczy. Występowała przeciwko oficjalnej prawdzie, węsząc zgniliznę ukrytą pod galowym mundurem. Czeka go teraz długa i niezbyt produktywna dyskusja.

- Chwileczkę - powiedział, kiedy już otwierała usta, żeby mu zacząć wszystko tłumaczyć, i zamówił sobie jeszcze jedną szklankę piwa. Należała mu się.

Kiedy kelnerka przyjęła zamówienie i odpłynęła, falując bogactwem swego ciała, spojrzał na Sylwię, starając się ukryć ogarniające go znużenie.

- Jaka jest twoja wersja?

- To nie jest żadna wersja - zapewniła go. - Problemem jest motyw. Zastanawiałam się, jak wyglądała sytuacja emocjonalna w godzinie „zero”, tuż przed popełnieniem morderstwa

na Wygnowskim. Ktoś musiał naprawdę bardzo chcieć tej śmierci i gotów był zaryzykować wszystko: własną wolność lub nawet życie, dobre imię, pamięć potomnych, rodzinę. Ktoś gotów był rzucić wszystko na szalę i dokonać okropnego, odrażającego czynu, przeciwko któremu buntuje się normalna natura ludzka. Poziom determinacji, jaki towarzyszył tej zbrodni, był wręcz imponujący. Aby osiągnąć taką determinację, konieczny był, z psychologicznego punktu widzenia, bodziec o odpowiedniej sile, czyli właściwy motyw. Zaczęłam się zastanawiać, czy motywacja podana przez Chołodeckiego była wystarczająca, czy przypadkiem nie było to coś w rodzaju: zaszedł mi drogę, więc wbilem mu nóż w plecy.

- I co?

- Doszłam do wniosku, że tak właśnie jest.

- Bardzo się cieszę, że dla pani perspektywa załamania się kariery w policji nie byłaby powodem do zastrzelenia komendanta, chociaż już co do Mrowca, to można by się zastanowić... Jednak mówiąc poważnie, to niestety nie jest żaden argument. Nigdy nie wiadomo, co jest dla kogoś ważne, nawet tak ważne, że będzie chciał z tego powodu kogoś zabić. Ludzie mordowali się z powodów dziesięć razy bardziej błahych niż ten.

- Tak sobie też pomyślałam. Przecież nie mogę wejść w jej skórę czy też zajrzeć mu pod czaszkę.

Sylwia zorientowała się, w jakim kierunku zmierza, i zastrzegła od razu:

- Tylko tak metaforycznie mówiąc.

- Metaforycznie, to rzeczywiście nie - zgodził się Hagen z lekkim półuśmiechem.

- Postanowiłam więc zorientować się, co w trawie piszczy. Porozmawiałam z różnymi znajomymi, ludźmi o szerokich

kontaktach towarzyskich, oni zapytali jeszcze innych. Nawiasem mówiąc, sobota wieczór to świetny moment na takie środowiskowe badanie rynku. Wszyscy są w jednym czy dwóch miejscach, nie trzeba tracić czasu.

- I co powiedzieli znajomi znajomych?

- Po pierwsze, Chołodecki był dobrze znany w środowisku miejscowych homoseksualistów. Niektórzy nazywali go „naszym księdzem” i traktowali jak duszpasterza środowiska, chociaż jak zapewnił mnie jeden z miejscowych, prominentnych homoseksualistów, pragnący oczywiście zachować anonimowość, nie był bynajmniej najwyższym ułożonym w hierarchii kościelnej człowiekiem o takich skłonnościach. Wiele osób wiedziało o jego preferencjach. Nie była to żadna pilnie strzeżona tajemnica, którą nagle odkrył biskup.

- Zaraz, zaraz. To, że ktoś jest znany w zamkniętym i częściowo zakonspirowanym świątku lubelskich gejów, nie jest tożsame z obnoszeniem się z homoseksualizmem po korytarzach kurii. Tam był akceptowany w sposób naturalny, dlatego przecież szukał ich towarzystwa, w kurii recepcja jego skłonności byłaby z pewnością inna.

- Z pewnością, ale czy byłaby faktycznie taka, jak napisał w liście?

- Kto miałby to w końcu wiedzieć, jak nie on? Tkwił w tym przecież na co dzień.

- Ja nie wiem. - Sylwia patrzyła na niego swoimi szarymi oczami. - Pan jest pewien?

Hagen zamyślił się. Tak z ręką na sercu, nie mógł odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. Miał za mało danych. Wiadomo, że Kościół i kręgi związane z Kościołem atakowały homoseksualizm jako zboczenie i stan sprzeczny z naturą oraz

krytykowały promiskuityzm środowisk gejowskich. Jak jednak odnoszono się do „zбочeńców” we własnych szeregach? Przykłady ze świata i polskiego podwórka świadczyły raczej o ukrywaniu i zatajaniu tego rodzaju praktyk. Chociaż być może jak zawsze aktualne stawało się krótkie: co wolno wojewodzie...

- Nie jestem pewien, jaki byłby odbiór tej sytuacji przez ludzi w kurii. Nie wiem. Ale tak naprawdę ważne jest to, co miałby do powiedzenia sam biskup Wygnowski, który był bezpośrednim zwierzchnikiem naszego samobójcy. Być może był homofobem albo bardzo dbał o czystość moralną w podległych mu szeregach? Nigdy się już tego nie dowiemy. Być może rozmawiał z Chołodeckim i powiedział mu o swoich planach względem jego osoby. Być może postawił mu ultimatum: albo z tym skończysz, albo idziesz na wikarego pod ruską granicę. Nie wiemy, co się między tymi dwoma wydarzyło.

- Przeczytał pan tyle tomów akt, rozmawiał z tyloma ludźmi i sądzi pan, że on by się tak zachował?

- Nie ludźmy się, że poznamy człowieka, czytając to, co na jego temat zgromadziła w teczkach policja. Nasz obraz jest niepełny i skażony podstawowym grzechem, jakim jest wtórny charakter wszystkich obserwacji. Przefiltrowaliśmy ludzkie opinie przez bibułkę z jego świetlanym nekrologiem i mamy taki wywar ziołowy, homeopatyczny, cieniutki bardzo, pozbawiony aromatu. Chołodecki miał poczucie, że grunt usuwa mu się spod nóg, spanikował i zabił biskupa. I tyle. Nie on pierwszy i nie ostatni.

- Ale czy miał to poczucie?

- Tak napisał.

- Czy jest pan w stanie stwierdzić to, opierając się na jakichś innych, niezależnych źródłach?

- Nie wiem.
 - Możemy się dowiedzieć.
 - Kończymy śledztwo w następnym weekend. Potem będą już same dożynki biurokratyczne.
 - Mamy pięć dni. Dosyć czasu na zaspokojenie drobnej intelektualnej zachcianki.
 - Zobaczmy. - Hagen skończył swoje piwo i wstał, dając znak, że rozmowa zbliża się ku końcowi. - Pomyślę o tym.
 - Będę się przypominać. Aha, zapomniałabym: Chołodecki miał kiedyś nawet stałego partnera, ale teraz, już od dość dawna, podobno nie widywał się z nikim. Tak słyszałam.
- Pożegnali się i Hagen wyszedł na ulicę. W trakcie spaceru jego myśli pobiegły w stronę Ewy, a potem ku synowi i po chwili cała odbyta właśnie rozmowa została uznana za niebyłą.

Poniedziałek rozpoczął orgię biurokracji. Hagen cały dzień spędził przy komputerze, wysyłając raporty i podpisując rozmaite partie dokumentacji. Po południu na chwilę zajrzała do niego Sylwia, ale nie miał ochoty z nią rozmawiać i pozbył się jej pod byle pretekstem. Wyczuła chyba jego nastawienie, bo wychodząc, rzuciła mu spojrzenie chmurne i obrażone. Machnął na to ręką i wrócił do raportu dla nadinspektora. Mając jednak w pamięci jej pociemniałe gniewem oczy, dopisał informację o trapiących ją wątpliwościach. Kiedy wreszcie skończył, na dworze od dawna było już ciemno, a gdy szedł do wyjścia, wszystkie drzwi były już zamknięte i na korytarzach panowała cisza.

Noc wypełniały zimny deszcz i ostre podmuchy wiatru. Kiedy z ulgą zamknął drzwi samochodu i otarł dłonią wodę z włosów,

zabrzmiął sygnał telefonu. Dzwoniła Ewa, którą wieczór i psia pogoda dopadły na posterunku u ojca Leona. Czy mógłby ją odebrać? Mógł, rzecz jasna, i po kilku minutach szedł w deszczu przez ciemne podwórko, zagarniając rozbiegające się poły płaszcza. Po dotarciu na plebanię był już całkiem przemoczony. Widząc jego stan, zarówno Ewa jak i ksiądz Leon namawiali go gorąco, żeby został i wysuszył się.

- Zapalenie płuc murowane.

Gospodarz odebrał od niego marynarkę i koszulę i przyniósł mu jedną ze swoich flanelowych. Kiedy Hagen zapinał ją i podwijał rękawy, Ewa włączyła suszarkę do kontaktu i stojąc na krześle, suszyła mu włosy, rozburzając je energicznie palcami.

- Teraz trzeba się rozgrzać i odpocząć, żeby móc znowu wyruszyć na dwór. Listopadowe szarugi to nie żarty.

Ksiądz postawił przed Hagenem szklanekę gorącej herbaty i dla obojga po maleńkim kieliszeczku wypełnionym złotawym płynem. Ujął taki sam w dwa palce, mruknął: „Nalewka z dziurawca, dobra na wszystko”, i wypił. Poszli w jego ślady. Ewa zakrztusiła się, bo alkohol był bardzo wysokoprocentowy.

- Spirytusowa?

Ksiądz skinął głową i usiadł obok inspektora.

- Przepraszam, że tak pytam, ale mówi się, że wiecie już panowie, kto zamordował Rafała - odezwał się, patrząc badawczo w oczy Hageny. Jego okrągła twarz był poważna i skupiona.

- To prawda - powiedział Hagen. - Co jeszcze się mówi?

- No cóż, taka wiadomość, jak samobójcza śmierć księdza, sama w sobie tragiczna i niespotykana, bo to przecież ciężki grzech, to już jest sensacja. A jeżeli jeszcze okazuje się on mordercą

swojego biskupa, i to w tym strasznym szatańskim rytuale... Człowiek sam nie wie, co o tym wszystkim myśleć.

Hagen napił się gorącej herbaty, rozparł się wygodnie w fotelu. Ewa siedziała na kanapie z twarzą ukrytą za kaskadą włosów, przeglądając jakąś książkę. W ciszy słyszał mechanizm starego zegara, odmierzający upływające wolno sekundy. Na myśl o ponownym wyjściu na zewnątrz zrobiło mu się zimno.

- Znał pan księdza Chołodeckiego? - spytał dla podtrzymania rozmowy.

- O tyle, o ile. Był znacznie młodszy, a w Kościele, jak wszędzie, istnieje pewna wspólnota pokoleniowa. Wiedziałem, kto to jest, spotkałem się z nim w trakcie jakichś świąt. Nie pamiętam, żebym z nim kiedykolwiek rozmawiał.

- Mówił pan kiedyś, o ile dobrze pamiętam, że plotkowaliście czasem z biskupem, jak pan to ujął: „jak stare baby”. - Ksiądz Leon skinął głową. - Czy w trakcie tych rozmów biskup Wygnowski wspominał może kiedyś o nim?

- Raz czy dwa. Pracowali razem, o ile dobrze pamiętam.

- Skoro plotkowaliście, to czy nie wspominał może o jego skłonnościach homoseksualnych?

- Wspominał, oczywiście, ale to nie był temat rozmowy. Z tego, co pamiętam, to jego nazwisko padało w kontekście tych wielkich programów charytatywnych dofinansowywanych przez Unię. Mam wrażenie, że obaj się tym zajmowali.

- Jakież konkrety?

- Nie pamiętam. - Ksiądz Leon rozłożył ręce. - Nie przywiązywałem wtedy do tego specjalnej wagi.

- To było dawno temu?

- Nie chcę skłamać, ale wydaje mi się, że musiał już minąć chyba rok.

- W trakcie ostatnich miesięcy nie wspominał o nim?

- Nie pamiętam, żeby wymieniał jego nazwisko.

- Ale przedtem wypominał mu homoseksualne ciągotki?

Ksiądz Leon nie odpowiedział od razu. Przez chwilę drapał się po nosie, zastanawiając się nad pytaniem Hageny.

- Wydaje mi się, że rozmawialiśmy już na ten temat - powiedział w końcu. - Takie rzeczy się zdarzają, ale nie są w Kościele częstsze niż normalnie wśród ludzi. Nie widzę powodu, żeby jakoś specjalnie prześladować homoseksualnych księży, jeżeli się dobrze prowadzą i nikomu nie robią krzywdy.

- Bardzo liberalny punkt widzenia - zauważył Hagen, a ksiądz skrzywił się, słysząc słowo „liberalny”. - Czy jednak biskup go podzielał? Mamy powody przypuszczać, że Chołodecki obawiał się szykanowania ze strony przełożonego z tego właśnie powodu.

- No nie, panie inspektorze, kto wam nagadał takich głupstw?

- Morderca jasno napisał o tym w swoim pożegnalnym liście.

- Że Rafał go szykanował, bo był homoseksualistą?

- Że obawiał się złamania kariery kościelnej z tego powodu.

- Gdyby to był powód do łamania karier, to... - zaczął ksiądz Leon, ale przerwał w pół zdania. - Tak czy owak to jakieś brednie. Dlaczego niby Rafał miałby to zrobić?

- Odkrył podobno tajemnicę jego skłonności i to miało być przyczyną. Rozumiem to jako dążenie do utrzymania pewnej,

nazwijmy to: czystości, wśród podległych mu księży.

- To chyba jakieś nieporozumienie - powiedział ksiądz Leon, poprawiając okulary. - Ja go prawie nie znałem, a słyszałem coś niecoś o jego, nazwijmy to, skłonnościach, tak jak o paru innych jeszcze księżach. To małe środowisko, krąży w nim wiele plotek. W kurii na pewno wszyscy o tym wiedzieli.

- O romansie biskupa nie wiedział nikt.

- Teraz już zaczęły krążyć pogłoski na ten temat. Więc to prawda?

- Tak. Ona jest mężatką. Przez chwilę byłem przekonany, że to jej mąż go zabił.

- To byłoby już bardziej sensowne niż to, co pan wcześniej zasugerował. Chołodecki był młody, ambitny, to na pewno, ale z tego, co pamiętam, miał bardzo dobre notowania w kurii. Nigdy nie słyszałem, żeby groziło mu załamanie kariery. A już na pewno nie z powodu orientacji seksualnej, jak to się teraz chyba mówi. Dopóki była to jego prywatna sprawa, a jego zachowanie nie bulwersowało opinii publicznej, to nie miał się czego obawiać. Tym bardziej że, jak mi się zdaje, gdyby Rafał nawet chciał mu zaszkodzić, to nie byłoby to takie proste. A nie sądzę, żeby chciał.

- Spodziewałby się ksiądz jakiejś formy solidarności homoseksualistów we władzach kościelnych?

- To pan powiedział, inspektorze. Ja mogę tylko jeszcze raz podkreślić, że nigdy nie słyszałem, żeby Rafał wyrażał się negatywnie o księdzu Chołodeckim z jakiegokolwiek przyczyny.

Hagen westchnął ciężko. Wieczorna zdawkowa konwersacja przekształciła się oto w festiwal aspirantki Sobczuk. Trudno mu będzie teraz ignorować jej wnioski.

- To, co ksiądz mówi, rzuca nieco inne światło na całą tę sprawę - powiedział w końcu. - A ja bardzo nie lubię niekonsekwencji w materiale dowodowym.

Następnego dnia Hagen udał się na spotkanie z arcybiskupem. Rozmawiali prawie pół godziny i choć hierarcha nie był w swoich sądach tak kategoryczny, jak proboszcz, to jednak wystarczająco jasno dał Hagenowi do zrozumienia, że wiedział o słabości księdza Chołodeckiego, i nie miał zamiaru robić z tego powodu wielkiego zamieszania. Ostatecznie nie tak dawno papież wybaczył jednemu z biskupów ślub. Zresztą z tego, co wiedział, ich współpraca układała się doskonale. Ksiądz biskup cenił swego współpracownika, a ten odpłacał mu należnym szacunkiem.

- Na tym gładkim obrazku jest jednak rysa - zauważył inspektor pod koniec rozmowy. - Wygląda na to, że jeden z tych znakomitych współpracowników zamordował drugiego.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Arcybiskup potrząsnął głową.

- Takie są fakty, niestety - zakończył inspektor, ale kiedy wychodził, miał wrażenie, że nie przekonał rozmówcy.

Wrażenie to pogłębiło się jeszcze następnego dnia, kiedy pojawił się w komendzie biskup pomocniczy Demianiuk w bardzo bojowym nastroju. Dla gości tego formatu drzwi komendanta zawsze stały otworem. Także i teraz uchyliły się zapraszająco, aby potem zamknąć się wszystkim ciekawskim przed nosem. Rozmowa nie trwała długo, już po kwadransie wynurzyli się obaj z pokoju. Komendant ocierał ukradkiem pot z czoła, a biskup posapywał gniewnie.

- Żegnam więc i oczekuję na przyszłość pełniejszej współpracy - powiedział. A kiedy zobaczył kilka osób przyglądających się im, zwrócił się do nich, a jego bas przetoczył się dźwięcznie przez korytarz. - Kościół nie pozwoli, aby w bezprzykładny sposób szargany był jego autorytet i dobre imię. Władze państwowe i organy wymiaru sprawiedliwości nie mogą być wodzone na pasku przez garstkę niedouków. Będziemy się upominać, by szanowano godność duchownych.

Kiedy zniknął na horyzoncie, podobny do potężnej chmury burzowej, z której raz po raz uderzają pioruny, komendant wezwał szefów zespołu do siebie.

- Ksiądz biskup był uprzejmy wyłożyć mi tutaj - pokazał palcem środek pokoju - w słowach nie do końca parlamentarnych stanowisko kurii wobec informacji przeciekających z wymiaru sprawiedliwości do opinii publicznej. Jak twierdzi, po mieście krążą plotki o jakichś orgiach homoseksualnych, deprawacji ministrantów albo też o gigantycznym spisku żydowsko-satanistycznym. Niektórzy zaś mówią, że to Chołodecki był satanistą i że wszystkie sakramenty, jakich udzielił, a trochę zdążył, są nieważne. Podobno parafianie od św. Agnieszki, gdzie Chołodecki był nominalnym proboszczem, są bardzo zdenerwowani tą sytuacją, a właściwie, jak ujął to biskup: są strasznie wkurwieni i nie wiedzą, co o tym wszystkim myśleć.

- Chyba przyszedł czas, aby wydać jakieś oświadczenie dla prasy, które przecięłoby te spekulacje.

- Może konferencja prasowa? - Mrowiec patrzył na szefa z nadzieją. - Za chwilę to już nie będzie żaden news. Teraz mamy szansę, żeby zapunktować.

- Konferencja jest dosyć ryzykowna. Nie wiadomo, co dziennikarze już wiedzą i jakie pytania padną z sali. Nie chcemy

wyjść na kretynów robiących konferencję, a potem zasłaniających się co drugie zdanie tajemnicą śledztwa. To zawsze robi fatalne wrażenie.

- Zatem oświadczenie. - Hołownia wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Pytanie jest jedno. Czy już ogłaszamy, że sprawa jest rozwiązana, czy czekamy na wyjaśnienie wszystkich wątków, a im mówimy, że w osobie księdza mamy podejrzanego? I co z treścią listu? Jeżeli się do niego nie odniesiemy, to całe powiązanie między nimi staje się kompletnie niejasne. Z drugiej strony, dla dobra śledztwa powinien on na razie pozostać tajemnicą.

- Widzieli go ludzie z kurii - powiedział komendant.

- Ale... - zaczął Hołownia i nie skończył, bo zrozumiał, po co w rzeczywistości przyszedł tutaj biskup. - No tak.

- Właśnie. Kuria wie, nimi nie musimy się kłopotać. Martwi mnie to podgrzewanie nastrojów na mieście, gdzie mówią, że Chołodeckiego zamordowali ci sami, co poprzednich dwóch, i że to spisek przeciw narodowi polskiemu, papieżowi i religii, i że Cichecki nie działał sam.

- To prawda - przyznał Mrowiec. - Sam słyszałem, jak przywoływano postać księdza Popiełuszki.

- Podwójne życie biskupa Wygnowskiego, ksiądz Chołodecki mordercą i homoseksualistą. To całkiem sporo jak na jeden raz. Zwłaszcza tu, w Lublinie. Zastanawiam się, jaki będzie odbiór tych wszystkich rewelacji, jeżeli teraz wywalimy kawę na ławę.

- Właśnie. W tej sytuacji na pewno znajdą się tacy, którzy będą węszyć zdradę i oszustwo, jakiś monstrualny spisek mający oczernić duchowieństwo. Zresztą, czy ja wiem? I tak mamy szczęście, że ten wątek romansowy z życia biskupa jeszcze

nie trafił do gazet. Aż dziw.

- Mniejsza z tym. Panowie, wracam do najważniejszej kwestii. Zamykamy wreszcie tę sprawę czy nie?

Spojrzenie inspektora Mrowca obiegło wszystkich obecnych.

- I tak nie możemy podjąć takiej decyzji bez prokuratury. To oni prowadzą śledztwo, a jak znam Barskiego, nie będzie się nas o nic pytał, tylko ogłosi swój sukces. I to już niedługo.

- Musimy się zatem spotkać w pełnym składzie i zdecydować o kalendarzu. Sądzę, że liczy się teraz każdy dzień. Sukces ma wielu ojców, bądźmy jednym z nich.

Po powrocie do siebie Hagen zadzwonił do Sylwii. Ponieważ nie odbierała, nagrał się jej na sekretarkę z prośbą o szybki kontakt. Przeglądał właśnie materiały śledztwa dotyczące księdza, kiedy zadzwoniła.

- Przepraszam, że nie mogłam odebrać, ale rozmawiałam w tym czasie z księdzem profesorem Pawlickim, byłym prorektorem seminarium duchownego, opiekunem i spowiednikiem podejrzanego.

- I? - Hagen odchylił się na krześle do tyłu.

- Po pierwsze, to on się ze mną skontaktował i prosił o rozmowę. Po drugie, powiedział mi, że Chołodecki był bardzo oddany swojej misji kapłańskiej. Co prawda nie ukrywał swojej orientacji seksualnej zbyt skutecznie, ale od długiego czasu starał się żyć w czystości. Zmagał się z grzesznym ciałem tak samo, jak każdy inny heteroseksualny ksiądz. Potwierdził też, że kilka lat temu ksiądz spotykał się z kimś przez dłuższy czas.

- Tak po prostu zdradził ci tajemnicę spowiedzi?

- Nie. Jak wspomniałam, był jego doradcą, rozmawiali o tym wielokrotnie. To właśnie ksiądz rektor namówił go do rezygnacji z tego związku i powrotu na drogę celibatu. Od lat Chołodecki niezłe sobie z tym radził, nie odciął się jednak od środowiska i znajomości. Z punktu widzenia Kościoła, w sytuacji kiedy nie uprawiał seksu, jego orientacja była w zasadzie bez znaczenia, bo „celibat zrównywał wszystkich w oczach Pana”.

- Czyli co, po jego homoseksualizmie została tylko fama w środowisku, tak?

- Na to wychodzi. Będę dalej szukać. A czy pan dowiedział się czegoś?

- Rozmawiałem z dwiema osobami - mruknął Hagen niechętnie do słuchawki, a potem zreferował jej pokrótce rozmowę z księdzem Leonem i arcybiskupem.

Kiedy skończył, przez chwilę w słuchawce panowała cisza, potem zaś ostrożnym głosem zapytała:

- To wszystko wydaje się dość spójne, nie sądzi pan?

- Właściwie tak - zgodził się półgębkiem.

- Słucham?

- Brzmi w miarę rozsądnie. Tylko dokąd nas prowadzi?

- Do wniosku, że ksiądz nie napisał prawdy w liście o motywach swojej zbrodni. Jeżeli zatem skłamał na ten temat, to być może reszta listu też jest kłamstwem lub tylko zręczną mistyfikacją. Jego samobójstwo jest, jak pan już na pewno wie, całkowitym zaskoczeniem dla wszystkich, którzy go znali, chociaż to, samo w sobie, nie jest żadnym ewenementem. Jak wiemy, bywa tak bardzo często. Ale jeżeli połączymy jedno z drugim...

- No właśnie, co wtedy? - Hagen wpadł jej w słowo. - Czytałem dzisiaj wyniki sekcji. Nie ma tam nic, co sugerowałoby udział osób trzecich.

- Nie dziwi ich, że tak skoczył na główkę?

- Nie jest to częste, to prawda, ale zdarza się. Wszystko zależy od stopnia determinacji, a co za tym idzie, od możliwości opanowania naturalnego w takiej sytuacji lęku.

- Jak dla mnie, za dużo jest w tym wszystkim znaków zapytania i niespójności. Jeżeli pan pozwoli, będę szukać dalej.

- Proszę bardzo, chociaż nie masz dużo czasu. Dziś jest kolejne spotkanie zespołu prowadzącego śledztwo.

- Będę się spręzać.

- Powodzenia.

Hagen rozłączył się i zamknął oczy. Jeżeli pojawią się jakieś nowe poszlaki, to czeka go kolejna seria nieprzyjemnych rozmów. Odgrywanie roli adwokata diabła zaczynało go już męczyć.

Z zamyślenia wyrwał go telefon sekretarki komunikującej, że jego gość, umówiony ponoć i bardzo ważny, major Pawłowski z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, właśnie przyszedł. Zdenerwowana pytała, dlaczego ona o niczym nie wie. Przepraszył ją za swoje roztargnienie i porządkując naprędce papiery na biurku, zaprosił majora do gabinetu.

Pawłowski był młodszy od Hageny o kilka lat, łysiejący, ze sporym brzuszkiem wylewającym się nad paskiem spodni. Nie do końca odpowiadał powszechnym wyobrażeniom o agentach wywiadu. Uścisnęli sobie ręce i po wymianie wstępnych formalności gość przeszedł do rzeczy.

- Chciałbym zaznaczyć, że wszystko, o czym będziemy dzisiaj rozmawiać, jest ściśle tajne i nie może opuścić ścian tego pokoju - zaczął poważnym tonem.

Hagen skinął głową, wyrażając całkowite zrozumienie. Nie wspomniał jednak nic o dyktafonie w kieszeni marynarki, na który nagrywał tę rozmowę.

- Jak zrozumiałem, dane, o które pan wystąpił, mają na celu ustalenie ewentualnych osób zamieszanych w działalność satanistyczną i sekciarską w celu zawężenia kręgu podejrzanych w sprawie zabójstwa biskupa Wygnowskiego?

- Tak jest.

- Czy przypadkiem zabójca biskupa nie został już zidentyfikowany?

Hagen nie mrugnął nawet okiem. To w końcu była ABW. Powinni wiedzieć, co w trawie piszczy.

- Mamy kolejne poszlaki. Nie mogę niestety potwierdzić, że mamy już zabójcę.

- Rozumiem. Proszę jednak pamiętać, że dane, jakie panu przedstawię, nie mogą być przywołane podczas ewentualnego procesu. To dane operacyjne ABW, nie możemy dekonspirować naszej aktywności. Czy to jest jasne?

- Całkowicie.

- Doskonale. A zatem przechodząc do rzeczy. Podczas jednej z akcji, mającej na celu ocenę nastrojów oraz badającej stan infiltracji młodzieży i studentów KUL-u przez nieformalne grupy wyznaniowe, natknęliśmy się na grupę osób ewidentnie zainteresowanych satanizmem. Formacja ta została spenetrowana przez nas za pomocą różnych technik operacyjnych. Ustalono, że trzon stanowi około siedmiu do dziesięciu osób powiązanych ze sobą różnymi układami natury towarzyskiej. W większości znali się już, zanim podjęli studia. Oprócz nich, w obrębie oddziaływania grupy znajdowało się około dziesięciu, dwunastu osób związanych z nią znacznie luźniej. Według naszej oceny charakter tej grupy nie wykaczał właściwie poza swego rodzaju paczkę koleżeńską. Żadne źródło nie potwierdziło,

aby odprawiane rytuały i spotkania były czymś więcej niż poszukiwaniem rozrywki, połączonej często z konsumpcją alkoholu i czasem z wybrykami o naturze seksualnej. Mam tu na myśli wspólne uprawianie seksu, ewentualnie seks grupowy. Nie stwierdzono żadnych praktyk łączących się z łamaniem prawa. Przynależność do grupy była w pełni dobrowolna, nie stwierdzono także tworzenia żadnych struktur pionowych. Według naszych informacji grupa przestała istnieć w trakcie minionych wakacji i nie podjęła żadnej działalności w nowym roku akademickim.

- Od kiedy się spotykali?

- To była efemeryda. Grupa zawiązała się zeszłej zimy. Możemy przyjąć, że działała około pół roku. Odbyli zapewne mniej więcej dziesięć spotkań. Muszę nadmienić, że to jedyna taka grupa w obrębie Lublina, jaką kiedykolwiek namierzaliśmy. Tak między nami mówiąc, sądzę, że to były wygłupy obliczone na bardziej pikantny seks. Po śmierci biskupa Wygnowskiego musieli wpaść w niezłą panikę. Kiedy usłyszeli o tym, jak zginął, poczuli się pewnie, jakby stali w pierwszym rzędzie podejrzanych. Trudno ich zresztą obwiniać. Nawiasem mówiąc, nie sądzę, żeby mieli z tym cokolwiek wspólnego. To dzieciaki. Na tych swoich czarnych mszach tylko deklamowali te bzdurne kwestie i pokazywali gołe dziewczyny. Żadnych ofiar, nawet z dżdżownicy, nie mówiąc o księżach. Nic ciekawego. - Major wyjął z aktówki gruby skoroszyt i położył go przed sobą. - Tak dla dopełnienia formalności przyniosłem fragmenty materiału operacyjnego. Zechce pan rzucić okiem?

- Nagie dziewczyny?

- Niestety nie. - Pawłowski uśmiechnął się. - Proszę.

Hagen otworzył album ze zdjęciami. Od razu rozpoznał zakapturzone postacie, które widział na filmie. Twarze, które kryły się pod kapturami, nic mu nie mówiły.

- To był ich arcykapłan. - Palec majora wskazał jedną z osób. - Niejaki Robert Wardzyński. - Bardzo dobry student, jak się okazało. Ciekawa postać.

Na kolejnych stronach były zdjęcia zrobione teleobiektywem, na których młodzi ludzie, już w strojach jak najbardziej świeckich, dokądś szli lub stali, rozmawiając. Wzrok inspektora prześliznął się po nich, odwrócił stronę. To samo, następna, to samo...

Nagle jego wzrok wychwycił jakiś znajomy element i Hagen podniósł album bliżej oczu.

- Coś ciekawego? - zapytał Pawłowski.

Na jednym ze zdjęć wysoki chłopak rozmawiał ze szczupłą blondynką. To była Patrycja, koleżanka Ewy, z którą bawili się wtedy na dyskotecę.

- Gdzieś już ją widziałem - powiedział.

- Możliwe. - Wyjął zdjęcie z kieszonki i odwrócił. - Patrycja Miłkowska, czwarty rok historii sztuki. To teraz będzie na piątym. Nic więcej o niej nie wiem. Trafiła tu, bo rozmawiała z Wardzyńskim.

- To on?

- Tak. Przez jakiś czas skupiliśmy się właściwie głównie na nim. Interesowało nas, czy nie ma jakichś powiązań zewnętrznych, ale na nic nie trafiliśmy.

Hagen odwrócił stronę. Z kolejnych zdjęć patrzyła na niego twarz Ewy uchwycona pod różnymi kątami. Stała, siedziała i szła, rozmawiając z tym samym mężczyzną. Z Robertem Wardzyńskim. Poczul, że robi mu się gorąco. Kolejny zestaw zdjęć kontrwywiadu, pomyślał. Czas zatoczył koło. Przymknął na chwilę oczy. Miał wrażenie, że słyszy złośliwy chichot losu.

- A to kto? - zapytał pozornie lekkim tonem. - Ładna dziewczyna.

Pawłowski znowu wyjął zdjęcie.

- Ewa Lenart. O ile pamiętam, to zaczęła się spotykać z Wardzyńskim już w trakcie prowadzenia rozpoznania. - Przyjrzał się jej twarzy, jakby widział ją pierwszy raz. - Rzeczywiście ładna. Oprócz tego, że się z nim spotykała, nie miała z grupą nic wspólnego.

Hagen przejrzał resztę albumu, ale nie widział już oglądanych zdjęć. Czuł, jak coś uchwyciło i ścisnęło jego spłot słoneczny, gniotąc i miażdżąc mu wnętrzości. Kiedy Pawłowski wreszcie wyszedł, Hagen siedział chwilę bez ruchu. Potem z wściekłością wyrzwał pięścią w pokryty papierami blat biurka. Głuchy łomot rozerwał ciszę jak armatni strzał.

- Suka - syknął przez zaciśnięte zęby, rozmasowując sobie dłoń. - Fałszywa suka!

Spotkanie zwołane zostało w trybie superpilnym. Tym razem nikt nie próbował się ociągać i udawać zapracowanego. Priorytety były jasno ustawione. Ugrać, ile się da, na sukcesie, jakim będzie ogłoszenie zakończenia śledztwa i znalezienia winnego. Na sali zasiadło ściśle grono kierujących dochodzeniem. Komendant, Hołownia, Mrowiec, Joanna, Barski i Hagen.

Wszystkie spojrzenia skierowane były na komendanta, który przechadzał się wzdłuż stołu odpraw.

- Zanim zaczniemy, chciałbym państwu przekazać, że dzwonił dzisiaj arcybiskup. Uważa on, że wiele elementów związanych z udziałem księdza Chołodeckiego, łącznie z jego alibi na dzień morderstwa biskupa, jest jeszcze niejasnych, doradza zatem maksymalną ostrożność w postępowaniu. Każdy nasz krok jest bowiem, według niego, obserwowany przez

światową opinię katolicką. To tak gwoli wprowadzenia. Teraz proszę panią prokurator o zapoznanie nas ze stanem najnowszych ustaleń.

Joanna w skrócie przypominała wydarzenia ostatnich dni, skupiając się bardziej szczegółowo na czynnościach wykonanych po stwierdzeniu samobójstwa księdza Chołodeckiego. Śledztwo potwierdziło fakt, że był on homoseksualistą, tego typu zeznania udało się bez większego problemu uzyskać od współpracowników księdza, choć, rzecz jasna, początkowy opór duchownych był duży. Miał on dopiero po zapoznaniu ich z odnośnym fragmentem listu. Wtedy „przypominali sobie”, że faktycznie, kiedyś zetknęli się z takimi pogłoskami. Sekcja zwłok i analiza kryminologiczna miejsca zdarzenia nie wskazują na udział osób trzecich. Wygląda na to, że Chołodecki rzeczywiście odebrał sobie życie. Na liście i na maszynie są tylko jego ślady palców. Materiał jest zbyt krótki, by przeprowadzić analizę stylu. W świetle powyższego możemy jednak założyć, że zostały napisane przez niego. Joanna, mówiąc, przeglądała jednocześnie dokumenty. Listopadowe, chłodne światło kładło na jej twarzy subtelne, rozmyte cienie, jak z obrazów Vermeera. Hagen miał nadzieję, że nikt nie wpadnie na pomysł, by zapalić żarówki. Wpatrywał się w nią intensywnie, próbując tym widokiem zatrzeć w pamięci twarz Ewy ze zdjęć ABW.

- Co z jego alibi na dzień zabójstwa biskupa?

- Podejrzany był dwukrotnie przepytywany na tę okoliczność przez policję. Zeznania zostały złożone w odstępie około miesiąca, niemniej nie różnią się znacząco od siebie. Podejrzany zeznał, że w poniedziałek wieczór odprawił mszę o osiemnastej w kościele Św. Agnieszki, a następnie wrócił do domu

około dziewiętnastej trzydzieści. Kościelny potwierdza, że ksiądz wyszedł z kościoła parę minut przed siódmą. Nie przypomina sobie, żeby się jakoś specjalnie spieszył ani by wydarzyło się cokolwiek niezwykłego. Resztę wieczoru i noc spędził sam. We wtorek był normalnie w pracy w kurii, rano, o ósmej trzydzieści.

- Żadne alibi. - Mrowiec wzruszył ramionami. - Mógł po zakończeniu mszy pojechać do seminarium, to nie jest przecież daleko, ogłuszyć Wygnowskiego, zawieźć do Wólki i tam zabić. Rozumiem, że jak dotąd nie znaleziono u niego nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z przestępstwem?

- Z tym nie. - Joanna otworzyła następną teczkę. - W komputerze znaleźliśmy kilkaset zdjęć o charakterze pornografii homoseksualnej i kilkanaście godzin tego rodzaju filmów.

- Pedofil?

- Chyba nie, ale jeszcze nie przebiliśmy się przez wszystko. Nawet na szybkim podglądzie to jest mnóstwo czasu.

- A co z samochodem?

- Jest zabezpieczony. Jak ekipa wyjdzie z mieszkania, to biorą się do samochodu.

- Kiedy?

- Dzisiaj, może jutro, zobaczymy, jak się uwiną.

Hagen poczuł, że telefon wibruje w jego kieszeni, więc wyjął go i spojrział na ekran. Dzwonił Lewicki. Odebrał i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił na salę, gdzie powitały go spojrzenia zaciekawionych oczu.

- Otworzyli samochód - powiedział i zawiesił głos.

- I co? - zapytał Hołownia.

Milczał jeszcze przez chwilę, bawiąc się ich ciekawością. Wreszcie powiedział to, co przed chwilą zakomunikował mu szef laboratorium.

- W bagażniku znaleźli okulary biskupa.

Stali przy bagażniku ciemnozielonego opla astry należącego niegdyś do księdza Chołodeckiego. Wszystkie drzwi były otwarte, na podłodze policyjnego garażu leżały zapakowane w przezroczyste woreczki i poukładane na czarnej folii drobiazgi wyjęte ze środka. Z rąk do rąk przechodziło znalezisko wydobyte zza tapicerki wyściełającej podłogę bagażnika. Męskie okulary w delikatnej, metalowej oprawie. Jedno szkło nie tkwiło na swoim miejscu.

- Macie je? - zapytał Hagen, pokazując palcem pustą oprawę.

- Nie. - Lewicki stał obok i przyglądał się, jak technik miniaturowym odkurzaczem zbierał pył z tylnego siedzenia. - Wygląda na to, że wypadło gdzieś wcześniej. Być może stukło się, kiedy go uderzył w głowę, a biskup upadł na chodnik.

- Musimy jeszcze tu spokojnie pogrzebać. Poszukać śladów krwi i tak dalej.

- Jasne. - Hagen zajrzał ponad Joanną do otwartego kufra. - Jak on go tu zmieścił? - zapytał.

- To nie jest takie trudne. - Lewicki wyjął papierosy i zrobił trzy kroki do tyłu, żeby zapalić. - Mamy tu taki sam model od dealera. Heniek jest tego samego wzrostu co biskup - wskazał jednego z techników - i zapakowaliśmy go do środka. Człowiek po odpowiednim złożeniu zajmuje nie tak znowu wiele miejsca. Były przypadki transportu ciała w walizce.

- To już chyba w kawalkach.

- Tak, oczywiście, ale pamiętajmy, że Wygnowski nie był martwy, tylko głęboko nieprzytomny i nie wchodziło w grę stężenie pośmiertne. Ciekawe, że nie zmarł podczas transportu w takich warunkach. Człowiek to jednak wytrzymałe stworzenie.

Joanna podeszła do niego.

- I jak tam twoje rewelacje? - zapytała cicho.

- Idą na półkę - powiedział, wzruszając ramionami. - Szkoda tylko, że nasza współpraca już się kończy.

Uśmiechnęła się do niego, a potem dołączyła do swojego szefa.

- A zatem postanowione - usłyszał głos komendanta. - Na pojutrze na dwunastą zwołujemy prasę, radio i telewizję. Pan, komisarzu, i pani prokurator będziecie odpowiedzialni za przygotowanie oświadczenia. Pierwszy szkic chciałbym zobaczyć jeszcze dziś, jutro będziemy mieli cały dzień, żeby nad nim popracować. Sądzę, że możemy sobie pogratulować.

Wszyscy wymienili uściski dłoni.

- To będzie ważna chwila w historii wymiaru sprawiedliwości w regionie - powiedział Barski. - Będzie się o niej mówić przez długie lata.

- Oby dobrze - mruknął cicho Lewicki, stojący za ich plecami z papierosem w dłoni. Hagen usłyszał go i przypomniała mu się Sylwia. Musiał do niej zadzwonić. Miał też do wyjaśnienia sprawę w domu.

Pukanie do drzwi pokoju wyrwało go z zamyślenia.

- Proszę! - powiedział, nie odwracając głowy.

Ewa weszła do środka promiennie uśmiechnięta.

- Posłuchaj, co wymyśliłam na dzisiaj... - Słowa zamarły jej na wargach, kiedy zobaczyła jego zaciętą twarz i zimne spojrzenie. - Co się stało?

- Popatrz sobie, popatrz... - powiedział, włączając magnetowid. Starał się zachować spokój.

Na ekranie pojawiły się zakapturzone postacie, w pokoju rozbrzmiał enochiański bełkot. Kiedy kamera pokazała zakapturzonego kapłana, Hagen nacisnął pauzę. Postać zastygła na ekranie ze wzniesionymi ramionami, drgając lekko w rytm pracy głowic urządzenia.

- Poznajesz go w tym stroju? - zapytał, spoglądając na nią pierwszy raz od momentu, kiedy uruchomił taśmę.

Ewa była blada. Wyglądała jak ktoś, kto nagle zobaczył przed sobą rozkawałkowane zwłoki. Przez chwilę obawiał się, że zwymiotuje na jego ramię, ale zaraz się opanowała.

- Skąd to masz?

- Pracuję w policji, jeżeli zapomniałaś. Nawiasem mówiąc, ty też możesz się tam ubiegać o posadę. A może lepiej od razu w agencji wywiadu? Podaj mnie jako źródło referencji, wystawię ci świetną opinię. Jak tam kolega Robert, zadowolony z twojej pracy?

- Posłuchaj. - Jej głos był miękki i proszący. - To nie jest tak. Nie dlatego byłem z tobą. - Wyciągnęła rękę w stronę zastygłego obrazu na ekranie. - Ja po prostu...

- Tak zwyczajnie się ze mną zaprzyjaźniłaś, tak? I przysięgniesz mi teraz, że on nigdy cię o to nie prosił i o niczym nie wiedział?

- No dobrze, na początku byłem ciekawa, jak biegnie śledztwo, bo Robert bał się, że namierzycie te ich nieszczęsne wyglupy. Nikt nie chce mieć zabagnionej kartoteki na całe życie tylko dlatego, że... Wszystko, co potem było między nami, nie ma z tym nic wspólnego. Uwierz mi, proszę. Proszę cię...

W jej wielkich, ciemnych oczach zaszklily się łzy, odbijał się w nich poblask telewizora. Hagen odwrócił głowę do ekranu.

Czuł, jak znowu wzbiera w nim czarna fala wściekłości. Jej obecność w pokoju sprawiała mu teraz niemal fizyczny ból. Bał się, że za chwilę nie zapanuje nad sobą i uderzy ją w tę piękną, zdradziecką twarz.

- Wyjdź, proszę - powiedział przez zaciśnięte zęby.
- Nie wypędzaj mnie, nie teraz, wysłuchaj mnie, proszę...
- Wyjdź! - krzyknął, zrywając się z krzesła i nie panując już nad sobą. - Wynoś się wreszcie! Nie mogę już na ciebie patrzeć. Budzisz we mnie obrzydzenie do samego siebie. - Jego głos zasyczał i szarpnął nią jak uderzenie batem.

Odwróciła się i wybiegła. Usłyszał, jak na korytarzu wybuchnęła płaczem, potem trzasnęły drzwi i zapadła cisza. Kopnął skrzydło uchylonych drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem. Serce waliło mu w piersiach, jakby wbiegł na wysoką górę. Jakim był starym głupcem, głupcem, po trzykroć głupcem! Gwałtownie szamocząc się z materiałem, założył płaszcz i wyszedł w noc, nie zwracając uwagi, dokąd idzie. W ciemności wszystkie drogi leżały przed nim tak samo puste.

Z Sylwią umówił się następnego dnia we wczesnych godzinach przedpołudniowych, kiedy całe kierownictwo komendy i prokuratury było niedostępne z powodu zbliżającej się konferencji, której ogłoszenie wywołało w mediach efekt podobny do uderzenia kijem bejsbolowym w pszczeli ul.

Charakterystyczne ciche pukanie do drzwi oderwało go od wpatrywania się w protokół sekcji zwłok i podejmowania kolejnych prób zrozumienia pierwszego zdania. Jego myśli krążyły daleko stąd.

- Proszę! - powiedział głośno, odkładając papiery.

Do pokoju weszła Sylwia, a za nią wmaszerował Lewicki. Hagen, nieco zaskoczony, poprosił ich, by usiedli.

- Panie inspektorze, pozwoliłam sobie zaprosić pana doktora do naszej rozmowy, bo sądzę, że przyda nam się trzeźwe spojrzenie z boku.

- Jeszcze trzeźwe - zaznaczył gość, patrząc sugestywnie na zegarek. - Ale już zaraz trzynasta...

- Aluzju poniał. - Hagen wyciągnął z biurka butelkę porto i trzy kieliszki i nalał wszystkim. - Należy nam się - powiedział, udając dobry nastrój. - Odwaliliśmy kawał policyjnej roboty.

- Nasze zdrowie - dodał Lewicki i wypili.

- Konferencja jest jutro. Czas dostępny na śledztwo skurczył się bardzo. Poddajesz się?

Sylwia potrząsnęła zdecydowanie głową i Hagen zauważył, że zarumieniła się lekko. Albo porto, albo emocje, pomyślał.

- Rzeczywiście nie mamy dużo czasu, przejdźmy zatem od razu do sedna. Rozmawiałam przed - spojrzała na zegarek - dwiema godzinami z jego byłym stałym partnerem, nazwijmy go panem J. To były seminarzysta. Tam się poznali i związali. Potem J. wystąpił z seminarium i zaczął robić karierę w przemyśle budowlanym, z którym był związany rodzinnie.

- Dlaczego wystąpił z seminarium?

- Jak to ujął: stracił łaskę wiary i powołanie. Nie został wydalony za homoseksualizm, jeżeli to pan miał na myśli. Zatem zajął się budowlanką, a tymczasem Chołodecki ukończył seminarium i zaczął szybko wspinać się po szczeblach kariery. Kiedy wrócił do Lublina po krótkim pobycie na prowincji, dawna znajomość odżyła. Spotykali się często, zazwyczaj w mieszkaniu J. Chołodecki mawiał podobno, że jego własne mieszkanie było „pod obserwacją inkwizycji”. To jednak były tylko żarty. Jak twierdzi J., Karol nie bał się zwierzchności kościelnej, wiedział bowiem, że najważniejsze to nie rzucać się w oczy i nie wywoływać skandalu. Według J. w kurii obowiązuje w całej rozciągłości zasada pani Dulskiej o czterech ścianach i praniu brudów. Wartościowy pracownik, jeżeli nie przysparza kłopotów, ma pozostawioną szeroką swobodę postępowania. Dlatego księża po cywilnemu jeżdżą zabawić się do Warszawy, bo to pozwala im zachować pełną anonimowość i nikt nie robi im z tego powodu afery, bo wiadomo, że młoda krew musi się

wyszumieć. Jak stwierdził, zwierzchność zazwyczaj wie, jak dalece może popuścić cugli. Młodzi księża doceniają tę wyrozumiałość i ich przywiązanie do zwierzchności wzrasta. Ostre egzekwowanie tego rodzaju zakazów wprowadziłoby niepotrzebne napięcie i konflikt w struktury. A tak, jeżeli ktoś zachowa się nieodpowiedzialnie i ściągnie na siebie uwagę mediów swoim postępowaniem, spotyka się zazwyczaj z solidarnym potępieniem. Oczyszczenie szeregów z kogoś, kto „przegiął”, narażając na szwank opinię o wszystkich, kiedy mógł robić swoje dyskretnie i bezpiecznie, również nie spotyka się z dezaprobatą ogółu. To są w większości inteligentni ludzie, rozumieją, co znaczy umiar. Otóż ksiądz Chołodecki w niczym nie przekroczył ogólnie przyjętych norm. Zwierzchność wiedziała o jego skłonnościach i przymykała na nie oko, bo nie wynikało z nich żadne zagrożenie. Tym bardziej że kilka lat temu zaczął z nimi poważnie walczyć, z pobudek czysto ideowych, jak zapewnił mnie jego spowiednik, a teraz potwierdził J.

- Co to znaczy: walczyć? - zapytał Lewicki.
- Przestał być czynnym homoseksualistą. Nie spotykał się więcej z partnerem, nikt nie słyszał też o żadnym innym jego związku. Żył w celibacie od dobrych trzech lat.
- Był zatem ideowym księdzem. Gdzie to nas prowadzi?
- Do co najmniej dwu niekonsekwencji z punktu widzenia motywacji i psychologicznego portretu podejrzanego.

Sylwia wystawiła palec wskazujący prawej ręki, rozpoczynając wyliczanie.

- Czego niby miał się obawiać ze strony biskupa Wygnowskiego? Wszyscy wiedzieli o jego słabościach i w pewnym

sensie je akceptowali, dopóki nie były uciążliwe. W ostatnich latach zniwelował wręcz ewentualne ryzyko, zachowując przykładowy celibat i utrzymując szerokie stosunki towarzyskie wewnątrz kurii i duchowieństwa lubelskiego. Był lubiany i ceniony, nikt nie powiedział o nim złego słowa, nawet teraz, kiedy został oskarżony o tę potworną zbrodnię. Miał oczywiście swoje grono zawistnych, ma je każdy szybko awansujący człowiek w każdej organizacji. Oni jednak zarzucali mu przede wszystkim młody wiek i brak doświadczenia duszpasterskiego. Można się domyślić, że była to grupa starszych księży, jakoś tam związana z pokoleniem arcybiskupa, niechętna młodym zdolnym ściągany do kurii przez Wygnowskiego, nadal jednego z najmłodszych biskupów w Polsce. Czemu więc, pytam jeszcze raz, czemu miałyby mordować swojego patrona i szefa, skoro nie możemy znaleźć żadnej konkretnej groźby, jaką ten dla niego stanowił?

- To raz. - Sylwia wystawiła drugi palec. - Po wtóre, jak wspomniałam, gotów był do podjęcia ciężkiej walki z samym sobą z powodów, nazwijmy to, moralno-religijnych. Czy nie świadczy to o tym, że nie były to dla niego puste pojęcia? Że miały dla niego znaczenie zdefiniowane przez Kościół kategorie dobra i zła, zachowań zgodnych i niezgodnych z prawem boskim? - Powiodła po nich wzrokiem, oczekując na odpowiedź. Obaj skinęli głowami. - Jak zatem ktoś taki mógł zdecydować się z rozmysłem na czyn będący naruszeniem najbardziej fundamentalnych przykazań swojej wiary? Nikt nigdy w żadnej z rozmów, sam z siebie ani indagowany przeze mnie, nie zarzucił mu nieposłuszeństwa, obojętności, nie dość gorącego zaangażowania w sprawy religijne. Dlaczego ktoś taki

miałby najpierw zabić człowieka z zimną krwią, dodatkowo z całym tym towarzyszącym morderstwu Wygnowskiego diabelskim entourage'em, a potem odebrać sobie życie, skazując się na potępienie wieczne, skoro jego własna religia, której był kapłanem, ofiarowała mu przebaczenie za grzechy i możliwość ich odkupienia? - Zawiesiła na chwilę głos. - Według mnie, psychologicznie to jest nie do obrony - zakończyła.

- W jego bagażniku znaleźliśmy okulary biskupa - powiedział Hagen.

- To prawda. - Lewicki podstawił kieliszek w jego stronę i inspektor dołał mu rubinowego płynu. - Niemniej w świetle tego, co tu usłyszałem, a są to dla mnie, muszę nadmienić, zupełnie nowe informacje, zatem w świetle wyводу pani aspirant nieco inaczej zaczynają mi się rysować pewne elementy, do których nie przywiązywałem szczególnej wagi, pozostawiając to zespołowi śledczemu.

- Włączył się panu Sherlock, doktorze.

- Coś w tym rodzaju. Ale *ad rem*. Jest kilka spraw, które nie są dla mnie do końca jasne: dwie pary kluczy i błoto. To przede wszystkim.

Spojrzeli na niego.

- Jak wiecie, przeprowadziliśmy dosyć dokładną rewizję w mieszkaniu podejrzanego. W jej trakcie znaleźliśmy jedną parę kluczy do samochodu marki opel astra i jedną parę służącą do otwierania drzwi wejściowych. - Lewicki znowu napił się porto, a oni patrzyli nań wyczekująco. - Gdzie trzymacie państwo takie klucze? - zapytał.

- W torebce - odpowiedziała Sylwia. - Jeżeli nie mam torebki, to w kieszeni płaszcza albo w spodniach, a czemu...

- Zaraz powiem. A pan, inspektorze?

- Zwykle noszę je w kieszeni spodni, czasem w płaszczu, nigdy w marynarce.

- Świetnie, a gdzie je państwo trzymacie w mieszkaniu?

- W przedpokoju, na szafce pod lustrem - odparła Sylwia.

- Ja mieszkam tu kątem, więc zwykle leżą na stole w moim pokoju.

- Jasne. Ja na przykład mam specjalną tabliczkę z haczykami w przedpokoju i tam zwykle wiszą, chyba że zostaną w kurtce. Jednak klucze u podejrzanego znaleźliśmy na dnie szuflady w sekretarzy w salonie. Nie jest to wygodne miejsce. Kiedy teraz o tym myślę, to nie znam nikogo, kto by je tam przechowywał. Inna sprawa, że zestaw samochodowych kluczy wyglądał na mało używany, ale to samo w sobie, rzecz jasna, nie jeszcze nie znaczy.

- A nie samo w sobie? - zapytał Hagen, nalewając teraz do własnego kieliszka.

- To co innego. Jeżeli założymy, że nie było to samobójstwo, bo jak rozumiem, do tego zmierza rozumowanie pani aspirant, wtedy powiedziałbym, że znaleźliśmy zapasowe komplety kluczy, które ludzie zwykle mają w domu. Wtedy leżałyby właśnie w takim miejscu jak te, które teraz są w naszym laboratorium.

- A oryginały?

- Rzecz jasna, zabrał je morderca. Zamknął drzwi wejściowe, żebyśmy mieli zagadkę zamkniętego pokoju, a klucze do samochodu... Sprawa jest chyba jasna.

Hagen westchnął ciężko.

- To jest bardzo niejasna sprawa. Hipotezy na podstawie supozycji opartych na domysłach. Podrzucił okulary do samochodu księdza?

- Być może. W tym kontekście faktycznie istotna staje się kwestia błota.

- Błota? - Sylwia patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Tak jest. Pamiętacie zapewne, jaką podłą pogodą uraczył nas początek października, kiedy zginął biskup? Lało wtedy już od dobrych kilku dni. Przy wyjściu z seminarium, o ile mnie pamięć nie myli, a możemy to oczywiście sprawdzić, była wtedy przebudowywana cała brama i kawał chodnika w związku z wymianą sieci kanalizacyjnej, którą urząd miasta przesładuje nas od paru lat. Pamiętam, że samochód biskupa stał wtedy na ulicy, bo nie mógł właśnie z tego powodu wjechać na dziedzińiec szkoły. W błocie leżały deski i pojedyncze trylinki umożliwiające przejście względnie suchą nogą, ale nie w nocy.

Hagen od dłuższej chwili schylał się pod biurkiem, toteż Lewicki umilkł, wpatrując się w jego plecy.

- Już mam. - Inspektor wyprostował się i wyciągnął gruby skoroszyt z napisem „zdjęcia”. Szybko przerzucił obrazki. - Są - powiedział, wyjmując kilka z nich i kładąc przed sobą na biurku. - Samochód biskupa.

Pochylili się nad niewielkimi obrazkami. Na zdjęciach wykonanych w pochmurny dzień widoczny był czarny ford mondeo ujęty z kilku stron. Wszystkie pokazywały ten sam element tła. Grubą warstwę błota naniesionego na asfalt kołami ciężarówek, rozmiękające-go w padającym deszczu.

- Zgadza się, było tam dużo błota - potwierdził Hagen.

- Właśnie. Mogę zapalić? - zapytał Lewicki, a kiedy Hagen niechętnie kiwnął głową, wyjął z kieszeni fartucha papierosy i zapalił jednego.

Sylwia podsunęła mu popielniczkę. Lewicki odchylił się w fotelu i wydmuchnął pod sufit błękitną chmurę dymu, a Sylwia wstała i otworzyła okno.

- Tylko jednego - powiedziała surowym tonem.
Lewicki skinął głową. Zaciągnął się jeszcze raz.
 - Błota było tam od cholery. Za to w samochodzie księdza nie ma żadnego śladu. Widziałem, ogólnie rzecz biorąc, czystsze wozy, ale nie ma tam nawet śladu po tym, czego moglibyśmy się spodziewać, jeżeli przewiózł biskupa do Wólki.
 - Jest coś takiego jak myjnia samochodowa. Na pewno go umył.
 - Zapewne. Tylko dlaczego przeoczył okulary, jeżeli zrobił taką świetną robotę z błotem i krwią?
 - Może miał w samochodzie folię, która zabezpieczyła wykładzinę, a okulary zsunęły się w bok i ich nie zauważył?
 - Wkładał pan kiedyś dużego, nieprzytomnego chłopca do bagażnika opla astra, będąc samemu nie do końca atletą?
 - Nie miałem tej przyjemności.
 - A ja miałem. Próbowałem zapakować tam Heńka. Choć był przytomny i trochę mi pomagał, to zeszło mi się sporo czasu i byłem mokry jak mysz. On to musiał zrobić w nocy, w błocie, przy padającym deszczu, z całkowicie bezwładnym ciałem, a biskup ważył dziewięćdziesiąt kilo. Możemy zapomnieć o folii. Pytanie brzmi raczej: jak tego dokonał? Nie mógł się przecież spodziewać, że przez tak długi czas nikt nie będzie tamtędy przechodził. Było w końcu około siódmej wieczorem...
 - To kolejne dobre pytanie.
- Hagen podrapał się po głowie. Konferencja prasowa została zapowiedziana, oświadczenie szlifowano już od kilku godzin... Zastanawiał się, co robić.
- Jest jeszcze nitka - powiedział Lewicki.
 - Jaka nitka?

- Ta, którą znaleźliśmy na ubraniu biskupa i która najprawdopodobniej pochodziła z bagażnika samochodu, jakim wieziono biskupa. Ma inny kolor niż wykładzina w oplu księdza.

- Nie byliśmy jej pewni.

- Jasne, że nie. Ostatecznie jego rzeczy przeleżały parę dni w starej studni, zanim je znaleźliśmy. Niemniej jest to kolejny element, który nie pasuje. Nie musi pasować, ale miło byłoby, gdyby się zgadzał.

- W takim śledztwie nigdy nic nie będzie się zgadzać w stu procentach.

- Niech chociaż zgodzi się w osiemdziesięciu - powiedziała Sylwia.

- Co z listem pożegnalnym? - zapytał Lewickiego.

- Jest badany. Nie od razu udało nam się znaleźć materiał porównawczy. Wygląda na to, że ostatnimi czasy wszystko pisał na komputerze. Być może wydawało mu się, że ten ostatni list bardziej elegancko będzie wyglądał w maszynie do pisania.

- A może napisał go ktoś inny? Jeżeli komputer był zabezpieczony hasłem, a biorąc pod uwagę zawartość, pewnie był, tak? - Lewicki skinął głową. - No właśnie. Morderca nie miał do niego dostępu i skorzystał z maszyny, która akurat była pod ręką.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Morderca? Na razie naszym ulubionym mordercą jest właśnie ksiądz Chołodecki. Trzeba będzie naprawdę mocnych argumentów, żeby obalić tę wersję śledztwa.

- Z drugiej strony, jeżeli ta hipoteza jest prawdziwa, to nieoczekiwanie znajdujemy się bardzo blisko naszego teoretycznego supermordercy. Pierwsza zbrodnia otwierała przed nami niemal nieskończony krąg podejrzanych. Zakładając, że to, co

wydarzyło się u Chołodeckiego było jednak morderstwem, a nie samobójstwem, krąg podejrzanych bardzo się zacieśnia.

- Sęk w tym, że z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości ten krąg już dawno się zacieśnił. Nie bardzo widzę, co mogłoby przekonać ich do tego, do czego sam nie jestem tak do końca przekonany.

- Może spójrzmy na to wszystko z punktu widzenia adwokata? Przecież widać, że będzie można to wszystko obalić, a przynajmniej podważyć.

- Jakiego adwokata? Dziecko! Chołodecki nie żyje i pies z kulawą nogą nie będzie studiował tych tomów, jakie się nabierają do zamknięcia sprawy. Żeby się dokopać choćby do tych nieszczęsnych kluczy i jeszcze to zauważyć, to już jest zadanie życia dla kogoś z zewnątrz. Zresztą czemu miałby je podejmować? Jutro sprawa będzie zamknięta, bo zostanie przedstawiona oficjalna wersja wypadków. Żeby później coś zmienić, no, to trzeba będzie się dobrze napocić. Zresztą kiedy? Mrowiec zabierze ludzi ze sprawy jeszcze tego samego dnia. Od dawna na to czeka. Dla niego, na przykład, ta sprawa była zamknięta jeszcze przy Cicheckim. Teraz musielibyście mu chyba przystawić pistolet do głowy, żeby się cofnął.

- Ja nie mam służbowej broni. - Lewicki rozłożył ręce.

- Ja mam, ale nie stać mnie, żebym ją wyciągnęła - odparła Sylwia.

Ich spojrzenia spoczęły na Hagenie.

- Znienawidzą mnie - powiedział. - Już drugi raz będę wyrywał psu kość z pyska. Psy tego nie lubią.

- Jeżeli potem da mu pan serdelka, będzie zachwycony.

- A jeżeli nie dam? Ugryzie mnie w tyłek.

- Wtedy zawsze może znowu złapać kość. Kości się tak szybko nie starzeją. Nadal będzie smaczna.

Po ich wyjściu Hagen siedział przez chwilę nieruchomo, przeżuwał jeszcze raz wszystkie nowe informacje. Za oknem resztki liści czepiały się kurczowo czarnych gałęzi drzew. Po szybko płynęły małe strumyczki wody, widocznie wiatr niósł deszcz prosto w okno. Wreszcie westchnął, podniósł słuchawkę i wykręcił numer nadinspektora.

Kiedy późnym popołudniem wszedł na salę obrad, powitało go pięć nieprzychylnych spojrzeń. Komendant przechadzał się swoim zwyczajem wzdłuż stołu, reszta siedziała po przeciwnej stronie blatu, tak że czuł się jak student stojący przed komisją. Twarz Joanny była nieprzenikniona, wokół ust nie błąkał się nawet cień uśmiechu. Skulił się wewnętrznie i wciągnął głowę w ramiona. Nie lubił takich sytuacji. Nie mógł jednak dać im odczuć swego dyskomfortu, musiał przemawiać jak mocny człowiek ze stolicy, za którego tutaj uchodził.

- W czym rzecz, panie inspektorze? - zapytał obcesowo Mrowiec. - Sądziliśmy, że wszystko jest już ustalone.

- Otrzymałicie państwo mój raport dotyczący ostatnich analiz sytuacji. - Hagen stanął za oparciem krzesła i spoglądał na nich z góry. - Wynika z niego, że istnieją istotne poszlaki, które jeżeli nie zostaną satysfakcjonująco wyjaśnione, uniemożliwiają zakończenie śledztwa na tym etapie. Po zakończeniu postępowania nie czeka nas proces sądowy. Ustalenia nie zostaną poddane powtórnej, drobiazgowej weryfikacji. To, z czym zamknijemy sprawę, będzie stanowić kompletną wersję

naszej prawdy o tych morderstwach. Ludzi przeniesiemy przecież natychmiast na inne pilne odcinki, nieprawdaż? - Pochylił się lekko w stronę Mrowca.

- Oczywiście. Nie jest racjonalne, żeby zajmowali się wyjaśnioną sprawą. Nie będzie procesu, wiemy, kto jest mordercą, po co tracić czas? - Rozejrzał się po innych obecnych, szukając ich aprobaty. Wszyscy mniej lub bardziej zdecydowanie skinęli głowami. Zachęcony ich niemym poparciem, Mrowiec ciągnął: - Po co rozdzielać włos na czworo? Życia to biskupowi nie przywróci, a że kuria nie może się pogodzić, że morderca jest z ich własnych szeregów, to już ich sprawa. Nie musimy robić zawsze tego, czego życzy sobie arcybiskup. Poza tym nie musimy chyba przypominać wszystkim tu obecnych, jak ważny jest dla nas ten sukces. Sprawą Wygnowskiego cały region żyje od jej wybuchu. Im wcześniej damy ludziom odpowiedź na ich pytania, tym lepiej.

- Pan inspektor nie jest stąd - powiedział Barski, patrząc na Hagenę spode łba. - Pan inspektor ma najwyraźniej inne priorytety. Z Warszawy nasze problemy mogą wydawać się małe, ale dla nas są w sam raz. Prosimy o niewtrącanie się w nasze sprawy.

Z jego napastliwego tonu Hagen wynioskował, że interwencja nadinspektora w prokuraturze krajowej była skuteczna. Biedny Barski, w swojej dzisiejszej skomplikowanej sytuacji, z kontrolą na głowie, nie mógł sobie pozwolić na lekceważenie telefonów z góry. Stąd frustracja, którą wyładowywał na Hagenie.

- Przykro mi, inspektorze, ale ja również uważam, że powinniśmy zakończyć to śledztwo - powiedział komendant. - Co państwo sądzicie?

Po kolei wszyscy wypowiedali się w tym samym duchu. Joanna, kiedy mówiła, że można już zamknąć śledztwo, nie patrzyła

na niego, tylko gdzieś ponad jego lewym ramieniem, na ścianę.

- A zatem jesteśmy wszyscy zgodni, tylko pan inspektor Hagen jest przeciw.

Patrzył na nich i odczuwał niemal fizyczną presję ich spojrzeń, mówiących mu: odczep się od nas, daj nam skończyć z tą sprawą i zebrać należne nam laury. Wracaj, skąd przyszedłeś. Zacisnął palce na poręczy krzesła. Tym razem pies nie chciał puścić kości.

- Założmy, że zamkniemy śledztwo już teraz. A do tych wszystkich materiałów i wątpliwości dokopią się dziennikarze. Przecież to nie są tajne dane. Zaczną rozpisywać się o domniemanej niewinności księdza, o tajemniczym mordercy, który umknął wymiarowi sprawiedliwości, zarzucą nam indolencję. To mogą być działania inspirowane po cichu przez kurię. Nie pamiętacie już państwo, o czym mówił biskup Demianiuk? Jeżeli nie wyjaśnimy sami wszystkich wątpliwości, a przynajmniej nie ujmemy ich w protokole i nie przeanalizujemy po kolei, to teraz będziecie mieli sukces, a na wiosnę być może wlokącą się tygodniami wojnę podjazdową mediów. Mało jest w telewizjach programów śledczych? A czy jest lepsza sprawa od tej? Hierarchia duchowna, seks i przemoc.

Kiedy Hagen mówił, Barski kręcił powoli głową w niemym geście zaprzeczenia. Nie, nie i nie. Jemu potrzebny był sukces dziś, a być może wczoraj. Czy ci idioci z Warszawy, z komendy głównej i z prokuratury tego nie rozumieją?

- Nie róbmy sobie sami krzywdy - zakończył Hagen.
- Zachowajmy rozsądek.

Zapadła cisza i tym głośniejszym zabrzmiał sygnał telefonu komórkowego komendanta.

- Przepraszam - powiedział. Wyjął telefon i sprawdził, kto dzwoni, a potem odszedł pod okno i prowadził rozmowę przy-ciszonym głosem. Kiedy się rozłączył, jego spojrzenie poszukało wzroku inspektora i mignęło w nim coś jakby szacunek.

Zatem nadinspektor spisał się nadzwyczajnie. Należało mu się po tym wszystkim od Hagena duże piwo.

- To był wojewoda. - Komendant stanął tym razem obok Hagena, patrząc przez stół na innych zebranych. - Urząd Wojewódzki zdaje się podzielać wątpliwości pana inspektora. - Kiedy Barski chciał zaprotestować, uspokoił go gestem dłoni. - W podtekście jest takie przesłanie: Na wiosnę są wybory samorządowe. Jeżeli teraz zakończymy śledztwo, a potem okaże się, że jego wyniki zostaną podważone i wykorzystane przeciwko rządzącej koalicji, jako kolejny przykład nieudolności, to pan wojewoda stanie się naszym osobistym wrogiem.

- Tak powiedział? - Barski otarł czoło chusteczką.

- Tak należało go zrozumieć. Co pan w takim razie proponuje, inspektorze? Bo na jutro wyznaczaliśmy konferencję prasową, a z przecieków wszyscy już wiedzą, że wskażemy winnego.

- Spróbujmy zrobić tak, żeby wilk był syty i owca cała. Na konferencji prasowej powiemy, że mamy podejrzanego i że wszystko wskazuje na to, że jest winny. Ostateczne ustalenia potrważą jeszcze jakiś czas. Z punktu widzenia mediów to jest prawie tak samo dobre jak zamknięcie sprawy. Zostawiamy sobie jednak furtkę i jeżeli coś by się zmieniło w sytuacji, to zawsze możemy ją wykorzystać lub nawet powiedzieć, że była to tylko przykrywka dla uśpienia czujności prawdziwego mordery.

- Wierzysz w innego mordercę? - zapytał Hołownia.
- Sam nie wiem. - Hagen wzruszył lekko ramionami. - Być może. Choć słowo „wiara” nie jest tu całkiem na miejscu.

Patrzył na nich z góry i widział, jak dociera do nich prostota jego planu: mamy sukces, ale jeszcze trzeba troszeczkę podłubać przy szczegółach.

- Co z ludźmi? Komisarz Hołownia ma co robić i bez tej sprawy - powiedział Mrowiec. Był wyraźnie niezadowolony z obrotu wypadków.

- Po konferencji pan komisarz zacznie zaznajamiać się z nowymi sprawami, a o nadzór nad tym końcowym etapem śledztwa na pewno możemy poprosić pana inspektora. - Komendant uśmiechnął się do Hagen, może trochę złośliwie.

- Z przyjemnością. Mam nadzieję, że możemy liczyć na życzliwą współpracę prokuratury?

- Naturalnie - odparł Barski, który odetchnął z ulgą, odkąd dowiedział się, że dostanie prawie dokładnie to, co chciał. - Prokuratura jest w pełni do pana dyspozycji, inspektorze.

Hagen uśmiechnął się mimowolnie i spojrzał na Joannę. Miał wrażenie, że słowa szefa ją też leciutko rozbawiły.

- Bardzo na to liczę - powiedział Hagen, kierując te słowa do pani prokurator, a ona po raz pierwszy od początku spotkania spojrzała mu prosto w oczy.

Konferencja prasowa odbyła się zgodnie z przedstawionym przez Hagen schematem. Dyrektor Barski, jako znajdujący się w największej potrzebie, został wydelegowany do odczytania oświadczenia. Następnie padło wiele pytań ze strony mediów.

Niektóre z nich trzeba było zbyć formułą o konieczności zachowania tajemnicy dla dobra toczącego się nadal postępowania wyjaśniającego. Na inne można było udzielić odpowiedzi, pacyfikując nieco podgrzane nastroje.

Po konferencji Hagen zwołał zebranie „grupy uderzeniowej”, jak ją określił. Niespodziewanie Sylwia wystąpiła z propozycją, aby spotkanie odbyło się u niej w domu, czemu inspektor przyklasnął. O siódmej zasiedli wszyscy w minimalistycznie urządzonego wielkim salonie Sylwii. Pani aspirant była szczęśliwą posiadaczką obszernego mieszkania w kamienicy z końca XIX wieku. Odziedziczyła je po dziadkach w niezbyt dobrym stanie. Jak dotąd stać ją było tylko na wyrzucenie niemal całej poprzedniej zawartości, odmalowanie ścian i wycyklinowanie podłóg. Duże połączenie starej dębowej klepki połyskiwały elegancko w świetle prowizorycznych lamp. Hagen, który przyniósł wino, otwierał je teraz, a Sylwia poszukiwała kieliszków. Nęcki i Lewicki zwiedzali mieszkanie, głośno wyrażając zazdrość. Sto dwadzieścia metrów na pierwszym piętrze w takim miejscu. Nęcki kręcił z podziwem głową.

- Nie wiedziałem, że jesteś taką dobrą partią.

- Sama nie wiedziałam aż do zeszłego roku, kiedy ojcu udało się wreszcie wyprocesować to mieszkanie od miasta. Kupił je przed wojną mój pradziadek, który był dyrektorem gimnazjum. Jeszcze do niedawna mieszkali tu lokatorzy.

- Mieszkanko jest super. - Hagen nalewał chilijskie cabernet sauvignon do podsuniętych kieliszków. - Teraz tylko paręset tysięcy na wykończenie i gotowe.

- Niech pan nawet nie żartuje. Ceny mebli, wyposażenia kuchni i łazienki są po prostu koszmarnie. Gdyby nie rodzice,

to nie mogłabym nawet zrobić tych podstawowych prac.

- Musisz się dobrze wydać za męża, jak pani prokurator, to będziesz mogła pracować dla przyjemności i o nic się nie troszczyć.

- A ja widzę inne rozwiązanie. - Hagen usiadł w fotelu. - Rozwikłasz tę zagadkę i dostaniesz potężną premię od komendanta.

Uśmiechnęli się, ale nie były to szczególnie wesołe uśmiechy. Zapadła cisza. Spojrzenia wszystkich spoczęły na Hagenie, nadszedł czas, żeby wyjaśnił, po co ich zaprosił.

- Znacie sytuację - zaczął. - Udało nam się zdobyć dodatkowe dni, może tygodnie pracy nad sprawą. Zgromadziłem was razem, bo jesteście osobami, które najwięcej wniosły do tej pory do śledztwa. Pan doktor był tak miły, że zgodził się nas wspomóc swoim analitycznym umysłem. - Lewicki skromnie pochylił głowę. - Jako hipotezę wyjściową obieramy wniosek Sylwii. Zakłada on, że Chołodecki nie był zabójcą biskupa, ale kolejną ofiarą, parawanem dla prawdziwego mordercy, którego tożsamość pozostaje na razie nieznana. Ze specjalnym naciskiem na „na razie”. Proponuję, abyśmy, ze względu na nieformalny charakter spotkania, urządzili sobie dzisiaj burzę mózgów. Pamiętajmy, nie ma pomysłów na tyle szalonych, żeby nie mogły być prawdziwe. Życie zawsze w końcu przerasta wyobraźnię. Kto zaczyna?

Zapadła chwila ciszy i wszyscy przez moment spoglądali po sobie.

- To może ja - powiedział Nęcki. - Rozmawialiśmy z Sylwią, jak podejść do tej sprawy. - Otworzył teczkę, która do tej pory spoczywała obok fotela, i wyjął z niej jakieś papiery. - Po zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że należałoby zadać sobie

dwa pytania. Po pierwsze: dlaczego zginął Chołodecki? Po drugie: dlaczego właśnie teraz? Na pytanie pierwsze odpowiedź wydaje się dosyć prosta. Zginął, bo miał posłużyć komuś jako kozioł ofiarny, co zresztą udało się znakomicie. A dlaczego teraz? Sądzę, że doszliśmy w naszym śledztwie do takiego momentu, że dalsze drążenie jakiegoś wątku lub wątków pozwoliłoby nam odkryć tożsamość mordercy. Dlatego uważamy, że rozsądnie byłoby podjąć śledztwo w miejscu, w którym zostało porzucone. Jeżeli nasz pomysł jest słuszny, a zdaje się, że pan doktor prezentuje podobny punkt widzenia - Lewicki skinał głową - to nie możemy być daleko od ujawnienia rozwiązania.

- Istnieje również prawdopodobieństwo, choć tylko teoretyczne, że ksiądz zginął, bo zbyt dużo wiedział.

- Jeśli tak, to nic już na to nie poradzimy. - Lewicki podstawił kieliszek i Hagen nalał mu wina. - Gdyby ktoś wymyślił sposób wydobywania informacji z mózgów nieżyjących ludzi... Trudno sobie wyobrazić, ile by zarobił.

- No to ten wariant odrzucamy. - Hagen bez żalu rozstał się ze swoim przypuszczeniem. Tymczasem Nęcki znalazł w pliku kartek tę jedną, której szukał, i odłożył teczkę.

- Kiedy zginął Chołodecki, byliśmy zajęci sprawdzaniem komputerów i drukarek w kolejnych instytucjach i u kolejnych osób jakoś tam powiązanych z ofiarą i z podejrzanymi. Zabieraliśmy się również do analizy listy gości, którzy odwiedzili lokatorów domu biskupa w krytycznym okresie. Nawiasem mówiąc, na mieście mówi się już, że ten dom jest przeklęty. To były te dwie aktywności, po których najwięcej sobie obiecywaaliśmy.

- Jak stoimy z analizą wydruków?
- Trochę to jeszcze potrwa. Mamy tego dosłownie stopy. Nie muszę chyba dodawać, że na razie na nic nie trafiliśmy.
- A goście?
- Zaczynaliśmy się brać do rozpracowania, kiedy nastąpiła śmierć księdza. Na razie to wszystko nieco zawisło w próżni.
- No dobra, spójrzmy zatem, co tu mamy.
- W omawianym czasie przewinęły się tam dwadzieścia cztery osoby z zewnątrz. Po wyeliminowaniu rodzin, dzieci i niedołączonych staruszków zostało nam dziesięć, z tego sześcioro gości samego księdza Chołodeckiego.
- Sześcioro? - zapytał Lewicki.
- Tak. - Nęcki podał mu kartkę. - W poniedziałek, czyli w dniu morderstwa, była u niego pani magister Barańska, właścicielka galerii na Krakowskim Przedmieściu. To właśnie przez nią zamawiał te kopie męczeństwa św. Sebastiana, które wisiały w jego sypialni. Planował teraz jakiś duży obraz do kościoła i umawiała go na rozmowy z artystami. Jej zeznania w pełni pokrywają się z tym, co on sam nam powiedział.
- Odpada. - Hagen odłożył panią magister na stronę. - Nie mamy czasu na zbędne dywagacje, musimy się zdać na instynkt.
- Tak jest. Następnie we wtorek był u niego ksiądz infułat Pokrowski, proboszcz parafii Świętego Ducha, który przyszedł razem z księdzem Wagą, wikarym w tym samym kościele. Omawiali podobno jakieś sprawy kościelne i osobiste. Chołodecki nie był specjalnie precyzyjny. Na razie mamy telefoniczne potwierdzenie, że taka rozmowa się odbyła.

- Pokrowski to ważna figura, nie taki tam sobie proboszcz - powiedział zamyślony Lewicki. - Protonotariusz apostołski czy coś w tym rodzaju. Należę do jego parafii, ale tego Wagi nie znam, musi być nowy. Z akt wynika, że prałata i ofiarę nie łączyła żadna zależność służbowa, nie pojawił się też nigdzie w opisie kręgu bliskich znajomych. Ciekawe, czego u niego szukał?

- Mamy punkt do szybkiego wyjaśnienia. - Hagen zanotował sobie nazwiska w notesie. - Czy pobraliśmy próbki z drukarek i kserokopiarek w parafii Pokrowskiego?

- Nie. Nie braliśmy ich dotąd pod uwagę.

- Teraz weźmiemy.

- Jasne.

- Czy to nie dziwny zestaw gości: ksiądz infułat i wikary? Jaka jest między nimi różnica wieku?

- Może wikary był jego kierowcą? Sprawdzimy.

- Kto następny?

- Maciej Włast, zastępca dyrektora lubelskiego Caritasu do spraw ekonomicznych.

- Świecki?

- Tak. Ekonomista z wykształcenia, zdaje się...

- Przyszedł o dwudziestej?

- Około.

- Nie za późno jak na robocze spotkanie?

- To był ten pierwszy dzień, kiedy biskup Wygnowski nie pojawił się w kurii. Chołodecki zeznał, że byli z dyrektorem w stałym kontakcie w ciągu dnia, bo następnego ranka wyruszał kolejny transport darów i potrzebne były podpisy biskupa. Czekali do wieczora, a o ósmej dyrektor przyszedł do niego do domu, by załatwić sprawę bez kontrasygnaty, za zgodą arcybiskupa. Wszyscy zainteresowani, łącznie z arcybiskupem, powtórzyli to samo przez telefon, kiedy ich pytaliśmy.

- Dobrze. Czy mamy zbadane wydruki z Caritasu i z domów pracowników?

- Na szczęście rzadko kto ma w domu drukarkę laserową albo ksero. Caritas już zbadaliśmy. To nie była żadna z ich maszyn. Teraz jeszcze zostało nam tylko przejrzanie dokumentacji środków trwałych i możemy ruszać dalej.

- Do parafii Pokrowskiego.

- Chociażby.

- Świetnie. Kto był u niego następnego dnia?

Sylwia otworzyła notes i przerzuciła kilka stron. Podawała nazwiska i inne dane.

- To znajomi księdza z kręgów homoseksualnych. Jeden jest dość znanym miejscowym poetą, drugi pracuje jako barman w jednym z klubów. Spotykali się w miarę regularnie, raz na tydzień, raz na dwa tygodnie, zazwyczaj u Chołodeckiego. Trochę pili, plotkowali, rozmawiali o sztuce. Chołodecki miał sporo znajomości w kręgach artystycznych.

- Wiadomo - parsknął Nęcki.

- To też, ale nie tylko związanych z jego orientacją seksualną. O ile mi wiadomo, przymierzał się na przyszłość do stanowiska duszpasterza środowisk twórczych. Jeżeli Wygnowski otrzymałby diecezję, on z pewnością dostałby tę pozycję.

- No właśnie! - Hagen ze złością uderzył dłonią w udo. - Tu jest ten cały zgrzyt w oficjalnej wersji. Przecież Chołodecki był podczepiony pod Wygnowskiego jak wagon pod lokomotywę! Musiałby być kompletnym idiotą, żeby go mordować.

- Tak jest. - Lewicki poprawił się na sofie. - Kiedy tak was słucham z zamkniętymi oczyma, a chciałbym zaznaczyć, że nie

śpię, to rysuje mi się obraz mordercy, który, owszem, zna stosunki panujące w kurii i słyszał trochę plotek, ale nie jest to wiedza dogłębna. Słyszał coś niecoś o skłonnościach Chołodeckiego i wie, że oficjalnie Kościół jest nastawiony do nich negatywnie. Nie siedzi jednak w tym wszystkim na tyle głęboko, by znać prawdziwe mechanizmy i rzeczywiste nastroje, jakie tam panują.

- To może być Pokrowski, który jest daleko od kurii, ale jest księdzem, albo ten Włast, który jest blisko kurii, ale jest świeckim.

- To mógłby być Pokrowski z Wagą. Od dawna chodzi za mną myśl, że z technicznego punktu widzenia to powinno być dwóch ludzi. Chyba że podjechał półciężarówką, jakimś wozem dostawczym czy czymś takim... Zapakowanie nieprzytomnego biskupa do samochodu to byłby prawdziwy wyczyn dla jednej osoby.

- Ksiądz infułat i jego młody wikary... Cóż za smakowita para podejrzanych. - Hagen uśmiechnął się. - Nadajmy temu pełny priorytet. Musimy gości Chołodeckiego prześwietlić na wskroś. Zarobki, PIT-y, konta bankowe, nieruchomości, samochody, wywiad środowiskowy, billingi, rodziny, historia medyczna, przynależność do organizacji... Przepuścimy ich samych oraz ich wszystkie kontakty przez nasze bazy danych plus Europol. Może coś z tego wyniknie. Odciski palców trzeba porównać z materiałem ze wszystkich lokalizacji. Z Wólki Koźłowieckiej, z samochodu i z mieszkania biskupa, z samochodu i z mieszkania Chołodeckiego. Sprawdźmy również, być może któryś z nich był powiązany z Cicheckim. Nigdy nic nie wiado.

Omówili potem gości dwóch innych mieszkających na tej klatce schodowej księży i zdecydowali poddać ich tej samej procedurze prześwietlania. Kiedy skończyli, gospodyni włączyła muzykę. Nęcki i Lewicki rozmawiali o komputerach i aparatach cyfrowych, a Sylwia tańczyła z Hagenem. Ich cienie pojawiały się i znikwały na kremowych ścianach, pełzały po nowej podłodze lub falowały na zasłonach, aż pochłonęła je noc.

Wieczorem nie nastawił budzika i rano paskudnie zaspał. Przeklinając głośno, wskoczył pod prysznic, a potem ubierał się jak najszybciej. Nie chciał sprawiać wrażenia, że gna ludzi do roboty, a sam po długim wieczorze wyleguje się w łóżku. Chwycił tylko butelkę wody mineralnej, rzucił ją na siedzenie pasażera i ostro ruszył z miejsca. Listopadowe chmury ciążyły nad miastem jak niski sufit pomalowany siną farbą. Reflektory samochodów odbijały się w mokrym asfalcie. Hagen wyprzedził kilka samochodów, ale potem nie zdążył na zmianę świateł i ostro zahamował, żeby nie wjechać na pasy. Butelka skoczyła do przodu jak żywa i zniknęła w ciemności pod fotelem. Odpiął pas i pochylił się, aby jej poszukać.

Huk i trzask pękającego szkła niemal go ogłuszył. Prysnęły na niego fragmenty szyby. Serce zatrzymało się na jedno uderzenie, a potem oblała go fala gorąca. Wyszarpnął z kabury pistolet i wymierzył w wybite okno za swoim ramieniem. Usłyszał ryk silnika i pisk opon startującego samochodu. Ostrożnie podniósł głowę. Po lewej stronie mignął mu znikający za rogiem tył jakiegoś ciemnego wozu. Spojrzał w prawo. Nikogo. Wysiadł z samochodu. Szyby w obu przednich drzwiach były

rozbite, pociski przeszły na wylot. Wyglądało to na strzał grubym śrutem z obrzyna i to z dwóch luf naraz. Serce waliło mu jak młot, w gardle zaschło. Przełknął ślinę. Jakaś kobieta podbiegła do niego i coś mówiła, kilka samochodów stojących z tyłu trąbiło. Poczul coś zimnego na szyi, przełożył pistolet do lewej ręki i potarł to miejsce. Spojrzał na palce, były całe powalane krwią. Szkło, pomyślał. Schował broń. Zrobiło mu się trochę słabo. Usiadł na fotelu kierowcy i zamknął na chwilę powieki.

- Proszę pana, pan krwawi! Co tu się stało?

Otworzył oczy. Kobieta nachylała się nad nim, jej twarz była tuż obok.

- Nic takiego - powiedział. - Bardzo pani dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy.

W głowie mu szumiało. Wyjął legitymację i machnął jej nią przed nosem.

- Policja. Proszę tu poczekać i nigdzie nie odchodzić. Zadzwoił do Hołowni i zawiadomił go o zamachu.

- Jak nazywa się ta ulica?

Kobieta podała mu nazwę, a potem Hagen rozłączył się i ruszył zatrzymać kierowców, którzy stali za nim pod światłami.

Kiedy dotarł wreszcie do komendy, huczało tam jak w ulu. Pierwszy raz próbowano w Lublinie zamordować oficera policji. Co prawda przyjeźdnego, z Warszawy, ale zawsze jednak wysokiego rangą policjanta. Hagen miał plaster na lewym policzku i na szyi, gdzie zraniły go odłamki szkła. Poza tym jego ciało nic nie dolegało. Wewnątrz jednak czuł obracający się potężny wir, zagarniający wszystko wokół niego, rozciągający czas, zostawiający z wypowiedzi ludzi tylko strzępki. Nie mógł

się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł być przez chwilę sam.

Zatrzasnął za sobą drzwi gabinetu, mówiąc, że musi zadzwonić do Warszawy, i w nagle zapadłej ciszy usiadł przy biurku, wsparłszy głowę na rękach. Siedział tak przez dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami, czekając, żeby falujące w nim emocje nieco się uspokoiły. Wyprostował się, odetchnął głęboko kilka razy i spojrzał przed siebie. Pancerna szafa na dokumenty, stojąca za krzesłem Hołowni, wydawała się znacznie ładniejsza niż zazwyczaj. Zaklął cicho z głębi serca. Jego słowa wsiąkły w stopy papierów na biurku. Było blisko...

- Coś mi się zdaje, że ty sobie chyba nie radzisz w tym Lublinie, co? - powitał go nadinspektor, kiedy zadzwonił na jego prywatną komórkę.

- Chyba tak - odparł Hagen, a potem zrelacjonował ostatnie wydarzenia. W tle słyszał, jak przełożony wymawia się od uczestnictwa w jakimś spotkaniu z powodu pilnego telefonu.

- No to mamy, kurwa, kłopot - powiedział nadinspektor, a w tle trzasnęły drzwi do jego gabinetu. - Ciekawe, który to.

- Który co? - zapytał Hagen, nie rozumiejąc.

- Który z tych lokalnych skurwysynów cię wystawił, rzecz jasna. Ty chyba jeszcze nie doszedłeś do siebie.

- Myślisz, że to robota nadana z wewnątrz policji?

- A co, Duch Święty im podszeptał, że to inspektor Hagen z Warszawy jest jedynym przeciwnym ukręceniu łba tej sprawie? Pewnie, że to wyszło od nas albo z prokuratury. Tak to wygląda, kiedy patrzy się z dystansu. Czasem warto się cofnąć o krok, żeby zobaczyć tak zwany *big picture*, nie?

- Pewnie masz rację, muszę to przemyśleć. - Hagen nie mógł jeszcze pogodzić się z wnioskami szefa. - Co radzisz robić?

- Na razie udawaj głupka i połącz to z jakimiś rachunkami z przeszłości, a ja uruchamiam CBS i biuro kontroli wewnętrznej, ale po cichutku.

- Sądzisz, że to mogło wyjść z samej góry?

- Komendant? - W telefonie zapadła cisza. - Jeszcze parę lat temu powiedziałbym, że to niemożliwe... A teraz sam nie wiem. Tak się porobiło, że nie wiesz już czasem, kto jest po twojej, a kto po drugiej stronie. Wiem na pewno, że to nie ty zabiłeś tego Wygnowskiego, bo piliśmy wtedy razem wódkę.

- Dzięki za zaufanie, to bardzo pomaga. Czy sądzisz, że to może się powtórzyć?

- Raczej nie, ale nie przypisuj mojej opinii zbyt wielkiego znaczenia. Zachowaj czujność.

- Podniosłeś mnie na duchu.

- O to mi chodziło. Nie daj się zabić tym kmiotom.

Nadinspektor rozłączył się, a Hagen długo siedział wpatrując się niewidzącymi oczyma w przestrzeń, pochłonięty rozmyślaniami nad tym, co od niego usłyszał. Równie ważne jak „kto” i „z czyjego polecenia”, było pytanie „dlaczego?”. Jeżeli znajdzie na nie odpowiedź, to znajdzie morderców biskupa. Ta zbrodnia, pozornie tak bezsensowna, miała jednak drugie dno, którego obecność mógł dotąd tylko przeczuwać, a które objawiło się dzisiaj na chwilę w deszczu szklanych odłamków zasypujących mu twarz.

Z letargu wyrwał go telefon od Joanny. Wieść o zamachu dotarła już do prokuratury. Kiedy opowiedział jej, co się stało, po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

- Musimy spokojnie porozmawiać - powiedziała, kiedy zaczął już podejrzewać, że rozmowa została rozłączona. - Pamiętaj, gdzie była garsoniera biskupa?

- Tak.

- Bądź tam za godzinę.

- A jak wejść?

- Będę na ciebie czekać. Mam klucze.

- Sprawa jest tak poważna? Długa cisza.

- Tak - odparła i rozłączyła się.

Gdy wyszedł z pokoju, znowu otoczyło go kilkanaście osób. Opowiedział im ogólnikowo wersję zaproponowaną przez nadinspektora. Rozmawiał z Sylwią, a przez telefon z Nęcim, który osobiście gnębił operatorów telefonicznych o billingi. Wszyscy wyrazili radość, że nic mu się nie stało. Zadzwoił do Lewickiego i umówili się, że po zakończeniu badań technicy przekażą samochód do serwisu, żeby jeszcze dziś miał wstawione nowe szyby.

- Nie mają niestety pancernych, a wygląda na to, że mogłyby być przydatne - dodał na koniec szef laboratorium.

- Miejmy nadzieję, że już nie. - Hagen pożegnał się i wyszedł z komendy, nie mówiąc, dokąd idzie. Dwie przecznice dalej złapał taksówkę. Podał kierowcy adres i spojrzał na zegarek. Wyglądało na to, że spóźni się kilka minut.

O tej porze obskurna klatka schodowa była pusta. Wchodząc, słyszał tylko swoje kroki i oddech. Pod drzwiami odruchowo uniósł rękę do dzwonka, ale potem nacisnął klamkę. Uchyliły się, ukazując mroczny przedpokój. Gdzieś z głębi słychać było muzykę. Kiedy przekraczał próg, poczuł lęk. A jeżeli

to pułapka, jeżeli to Joanna go wystawiła? Nikt przecież nie wiedział, że tu jest. Stał plecami do ściany z pistoletem w dłoni, wsłuchując się w najbliższy szmer dobiegający z wewnątrz. Przymknął delikatnie drzwi. Natężenie wpadającego przez nie światła zmniejszało się stopniowo, aż wreszcie otoczył go głęboki półmrok. Drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem. Zamknął zasuwę Gerdy. Przynajmniej nie musi się martwić o gości z zewnątrz. Zajrzał do kuchni. Pusto. W łazience pusto. Posuwał się korytarzem wyłożonym wykładziną tłumiącą kroki. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Zajrzał do obu pokoi wypełnionych rzeczami. Nikogo. Została tylko sypialnia. Poczł, że w mieszkaniu jest bardzo ciepło. Albo to ja się tak rozklejam, pomyślał. Wziął głęboki wdech, otworzył drzwi i pchnął lekko przed siebie. Spojrzał w głąb pokoju, nie przekraczając progu. Grube zasłony były zaciągnięte i resztki światła, jakie ćmiły się jeszcze na zewnątrz, tu prawie nie docierały. W mroku zobaczył cyferki błyszczące na wyświetlaczu wieży. Muzyka wypełniała ciemność, w powietrzu poczuł zapach perfum Joanny.

- Wejdz. - Jej głos dobiegł gdzieś spod okna. - Czekałam na ciebie.

Usłyszał syk zapalanej zapałki i zobaczył płomyk. Po chwili zapłonęła świeca stojąca przy szafce na biurku. Zgasła zapałkę. Hagen przestąpił próg i szybkim spojrzeniem omiół pokój. Była sama. Postać Joanny otulonej płaszczem, oświetlona przez płomień świecy odbijała się w lustrzanej tafli drzwi szafy. Podszedł i odsunął je zdecydowanym ruchem. Szafa była pusta. Czując się teraz śmiesznie, wolnym ruchem schował broń i odwrócił się. Poczł kroplę potu spływającą po czole. W pokoju

było nieznośnie gorąco. Zaczął zdejmować kurtkę, spojrzął na Joannę i zatrzymał się w pół gestu. Stała między nim a świecą. Blask rozświetlający włosy tworzył wokół jej twarzy świetlistą aureolę. Trwała nieruchomo w tym upale, ubrana w jesienny płaszcz. Serce zabiło mu mocniej i sięgnął do włącznika światła.

- Nie zapalaj - powiedziała. - Nie chcę, żeby było widać z ulicy, że ktoś tu jest. - Zrobiła krok w jego stronę.

Zdjął marynarkę i poczuł, że koszula lepi mu się do pleców. Otarł czoło chusteczką.

- Strasznie tu gorąco. Nie jest ci za ciepło w tym płaszczu?

- Trochę tak. - Rozwiązała pasek i jednym płynnym ruchem zsunęła go z ramion, a Hagenowi słowa uwięzły w gardle.

Stała przed nim tylko w białej bieliźnie, jej ciało obrysowane świetlistym konturem opalizowało złotawo w drgającym blasku świecy.

- Czekałam na ciebie - powtórzyła.

Hagen rzucił chusteczkę na podłogę i podszedł do niej blisko. Otulił go jej zapach, zapach perfum i rozgrzanego ciała. Uniosła ku niemu twarz. Jej oczy błyszczały niepokojącym błękitem. Oddychał szybko, serce biło mu mocno, jakby wbiegł tu po schodach przez dwanaście pięter. Pochylił się i pocałował ją delikatnie, żeby nie spłoszyć tego pięknego widziadła. Wilgotne wargi rozchyliły się, pod palcami poczuł gładką skórę, łapczywie zagarnął dłonią krągły pośladek. Przytulił ją mocno do siebie. Drobne ciało było giętkie i sprężyste. Poczuł palce przeczesujące mu włosy i wpijające się w nie mocno. Odciągnęła mu głowę do tyłu, a drugą ręką wyjęła broń z kabury.

Zamarł. Uśmiechnęła się i odłożyła pistolet na fotel.

- Przez chwilę nie będzie ci potrzebny.
Chwycił ją na rękę i poniósł w stronę łóża.

Leżeli przykryci wielkim prześcieradłem kąpielowym, które znaleźli chwilę wcześniej w łazience. Uchylili okno, bo upał w środku stał się nie do zniesienia. Biskup zamontował tu cały system grzejników, wodnych i elektrycznych, a termostat ustawił na dwadzieścia osiem stopni. Hagen leżał podparty na łokciu i patrzył Joannie w oczy, w których odbijał się poblask świecy płonącej za jego plecami.

- Czemu akurat teraz? - zapytał ją po raz drugi. Poprzednim razem oblała go w odpowiedzi prysznicem i potem kochali się oparci o wannę.

Teraz milczała przez kilkanaście sekund.

- Przestraszyłam się, że mi cię zabiją – powiedziała wreszcie cicho i delikatnie musnęła opuszkami palców jego ramię. Przeszedł go zimny dreszcz. - Do dzisiaj nie byłam pewna, czy mogę to zrobić. Nigdy jeszcze nie byłam z nikim prócz męża. Kiedy usłyszałam, że o mało nie zginąłeś, poczułam tu - położyła jego dłoń na swoim brzuchu - taką dziwną pustkę. Jakby wielki głód. - Białe zębki błysnęły w uśmiechu. - Teraz się tobą sycę.

Pocałowała go w pierś.

- Byłaś pewna, że ci ulegnę?

Przewróciła go na plecy i spojrzała na niego z góry.

- Szczerze mówiąc, jakoś nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś się opierać. Od początku miałam wrażenie, że ci się podobam. Słusznie?

- Słusznie. Jesteś wyjątkowo piękna. - I mądra.

- I mądra. I piękna.

- A czy jestem bardziej piękna czy mądra? - zaszczębiotała, naśladując z powodzeniem rozkapryszoną małą dziewczynkę. -

Przechyliła kokieteryjnie głowę i szybko zamrugła rzęsami.

- Już ci mówię. - Uśmiechnął się. - Chwileczkę.

Zerwał się z łóżka i zamknął okno. Potem wrócił powoli z nieprzeniknioną miną i jednym ruchem ściągnął z niej okrycie. Patrzył na nią, leżącą nago na wielkim łożu, jak filigranowa, złota figurka. Posażek uśmiechnął się i przeciągnął wyzywająco.

- No i jak?

- Już pewnie wspominałem, że jesteś prześliczna...

Przysunęła się do brzegu łóżka i wyciągnęła rękę, ujmując delikatnie jego sztywniejący członek.

- Ooo... Naprawdę ci się podobam.

Roześmiała się, a potem pochyliła się i zaczęła go pieścić ustami.

Kiedy wieczorem leżał w swoim łóżku, całe to popołudnie, cały miniony dzień wydawały się zupełnie nierzeczywiste, jak dwa sny. Jeden koszmarny i mroczny, drugi kolorowy i wypełniony rozkoszą. Gorąca złoto-blond ekstaza, w sam raz na listopadowe chłody, szczególnie teraz, kiedy znowu został sam. Wspomnienie dotyku jej ciała przywołało znowu podniecenie i Hagen był podbudowany poczuciem własnej męskości.

- Nie jestem jeszcze taki stary... - powtórzył sobie szeptem to, co mawiał czasem po spotkaniach z Ewą. - Jeszcze żyję! - powiedział głośno.

I chociaż usypiał w dobrym nastroju, to w nocy ze snu wyrwał go trzask kruszącego się szkła. Zagrożenie, spychane w podświadomość przez cały dzień, wypełzło z ciemności i Hagen wstał, żeby zrobić sobie porządnego drinka. Usiadł potem w szlafroku przy stole, włączył „V koncert fortepianowy” Beethovena i w zamyśleniu patrzył w okno. Obracał w głowie słowa

nadinspektora, rozważał to, co usłyszał potem od Joanny.

- Barski jest po prostu wściekły. Jakby mógł, toby cię uduślił własnymi rękoma. Ta sprawa to prawdopodobnie jego „być albo nie być”. A on bardzo chce być. Zrobiłby wszystko, żeby ją mieć już zapisaną na swoje konto jako sukces, którym mógłby szermować, walcząc z wnioskami komisji kontrolnej.

- Taki tam macie chlew, jak mówią?

W odpowiedzi przewróciła oczami, dając mu do zrozumienia, że ludzie i tak mało wiedzą.

- Tu wszyscy są ze sobą powiązani. To małe miasto, wbrew pozorom. Tak zwana elita jest jeszcze mniejsza i powiela się od lat. Wiesz, że Rachwalska jest skoligacona z moim mężem? Siódma woda po kisielu, ale jednak.

- Rachwalski mówił, że nie są z Lublina.

- On nie. Za to jego małżonka jest co prawda z domu Junak, ale po matce Orzelska. A Orzelscy byli przez Podedworskich związani z Tarnawskimi jeszcze pod koniec dziewiętnastego wieku. Teściowa od razu wiedziała, o kim mówię, kiedy tylko o niej wspomniałam.

- Co nas prowadzi do?...

- Co nas prowadzi do tego, że Barski, komendant, Mrowiec, wojewoda i jego zastępcy to tak naprawdę jedna grupa. Mrowiec chodził z wojewodą do tej samej klasy w liceum. Syn Barskiego jest żonaty z córką jednego z dyrektorów w urzędzie wojewódzkim.

- Jasne, a komendant sypiał z Chołodeckim.

Joanna nie uśmiechnęła się.

- Chcę ci powiedzieć, że jeśli w tle tego wszystkiego są jakieś brudne interesy, to trudno przewidzieć, kto okaże się wrogiem, a kto przyjacielem.

- A ty?

Jej oczy wpatrywały się w niego nieruchomo.

- Ja też jestem stąd.

Żachnął się niecierpliwie i opadł na wznak. Pochyliła się nad nim.

- Ale wszedłeś tu z odbezpieczoną bronią?

- Tak - szepnął po chwili.

Patrzyła na niego długo w milczeniu, a potem zaczęła go całować.

Zastępca dyrektora lubelskiego Caritasu przyjął go od razu, chociaż Hagen nie był wcześniej umówiony. Siedział teraz w jego skromnie urządzonej gabinecie i oglądał zdjęcia z różnych akcji charytatywnych, rozwieszane na ścianach. Piotr Włast był nieco młodszy od Hagena. Ciemne włosy, pociągła twarz, okulary w cienkiej metalowej oprawie, szary garnitur, stonowany krawat. Archetypowy urzędnik, pochylony nad swoimi dokumentami. Tym razem był to kalendarz, w którym sprawdzał daty podane przez inspektora.

- Wszystko jest tak, jak mówiłem przez telefon - powiedział, stukając palcem wskazującym w otwartą stronę kalendarza. - W środę rano odprawialiśmy kolejny transport darów na Ukrainę. Musiał pan o tym słyszeć, to największa akcja pomocowa z terenu Unii do państw byłego ZSRR. Ciężarówki wyjeżdżają w środę o świcie, wracają zwykle w sobotę lub w niedzielę. Paliwo, przegląd, załadunek i znowu w drogę. Tak to się już kręci od prawie roku. Ta akcja to było ukochane dziecko biskupa Wygnowskiego, święć, Panie, nad jego duszą. Zawsze sam odprawiał konwoje. Dlatego kiedy nie przyszedł we wtorek, myśleliśmy, że może zachorował albo coś mu nagle wypadło, ale nie mogliśmy się z nim skontaktować. Ciężarówki stały

już załadowane, gotowe do drogi. Był u nas po południu ksiądz Chołodecki i sprawdził całą dokumentację, ale nie miał uprawnień do zwolnienia darów. Dlatego wieczorem, kiedy już wszyscy szukali biskupa, dostaliśmy zgodę od metropolity i ksiądz Chołodecki podpisał dokumenty w zastępstwie.

- Był pan już kiedyś wcześniej w tym budynku, gdzie mieszkał ksiądz?

- Nigdy.

- Nie odwiedzał pan tam biskupa Włynowskiego?

- Nie miałem pojęcia, że biskup tam mieszkał. Czemu pan o to pyta?

- To rutynowe pytania.

Wieczór, kiedy zginął biskup, Włost spędził z żoną w domu.

- Tak spędzam większość wieczorów. Mamy małe dziecko, rzadko gdzieś wychodzimy.

Hagen przepisał go jeszcze z całej historii współpracy z oboma duchownymi. Nie dowiedział się niczego, co mogłoby stanowić jakikolwiek punkt zaczepienia dla dalszych rozważań.

- Co sprawiło, że trzy lata temu rozpoczął pan tu pracę?

- W Lublinie nie ma aż tak wielu stanowisk dyrektorskich, żeby można było sobie w nich przebierać jak w ulęgalkach.

- Zapewne. - Hagen zajrzał do notatek, choć dobrze pamiętał fakty, o które chciał zapytać. - Czemu zatem, jeżeli jak pan mówi, szanse na dobrą pracę są ograniczone, przeniósł się pan tu z Warszawy?

- Przez serce. - Włost uśmiechnął się pierwszy raz od początku rozmowy. - Zakochałem się w lubliniance, a że ona nie

mogła przenieść się do Warszawy, więc ja się przeniosłem tutaj.

- Rozumiem. - Inspektor zamknął notatnik i wstał, aby się pożegnać.

W samochodzie odebrał telefon od Sylwii. Widziała się z pierwszym z podejrzanych, poetą, i długo rozmawiali. Potwierdził, że takie spotkania, mniej lub bardziej plotkarskie, odbywały się dosyć regularnie. Po tym dniu, o który go pytała, spotkali się jeszcze kilkakrotnie, ostatni raz trzy dni przed śmiercią księdza. Nawiasem mówiąc, nie zaobserwował nic, co mogłoby wskazywać na zamiar samobójstwa. Jak jej powiedział, w środowisku gejowskim mówi się raczej o sprytnie zakamuflowanym morderstwie. Nikt, kto znał ofiarę trochę bliżej, nie może uwierzyć w jego samobójstwo.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - odpowiedział jej Hagen machinalnie, bo zajęty był głównie wypatrywaniem w mijających samochodach facetów z obrzynami.

Sylwia wyczuła chyba jego nastrój, bo przeszła nad tym komentarzem do porządku dziennego.

- Podejrzany twierdzi, że nie znał biskupa Wygnowskiego, nigdy się z nim nie spotkał i gdyby nie gazety, nie wiedziałby nawet, że taki ktoś mieszka w tym mieście. Wygląda na to, że poruszali się po zupełnie innych orbitach.

- Co teraz?

- Jadę do tego drugiego, a potem będę to wszystko weryfikować. Jak nasz dyrektor?

Hagen skrzywił się.

- Facet wypisuje faktury i podlicza słupki. Potwierdził poprzednie zeznanie. Wszystko zgadza się z tym, co wiemy już od

arcybiskupa i jego przełożonego. Był tam służbowo.

- To super. Jednego mamy wyeliminowanego, a na mój gust to dwóch, bo ten poeta w ogóle nie pasuje do obrazka.

- Nie wiesz, do czego zdolni są poeci. Taki Stalin, na przykład. Tłumaczył Rustaweliego, a jak dobrze mu szło mordowanie?

- Skoro pan tak mówi...

Do Sylwii jakoś nie przemówiła ta analogia. Może nie wiedziała, kim był Rustaweli? Bo chyba nawet dzisiejsza młodzież słyszała o Stalinie.

- Jak będziesz wiedzieć coś więcej, to dzwoń.

Rozłączył się. Skręcił w szeroką bramę i wjechał na dziedzińiec parafii Świętego Ducha.

Prałat Pokrowski zbliżał się już powoli do księżej emerytury. Był potężnym, zwalistym mężczyzną o gładkiej, lekko zaróżowionej twarzy. Rzadkie, siwe włosy nosił krótko przycięte. Obwisłe powieki nadawały jego spojrzeniu wyraz wyniosłej dezaprobaty. Tak właśnie wpatrywał się w Hageną przez dzielącą ich gładź blatu ogromnego biurka. Wielki zegar stojący w rogu zaczął wybijać godzinę i inspektor odczekał z zadaniem pierwszego pytania, dopóki nie skończył.

- Jak dobrze znał pan księdza Chołodeckiego?

Prałat z namysłem potarł policzek.

- Kiedy ksiądz Chołodecki zaczynał swoją drogę duszpasterską, został skierowany jako wikary do mojej parafii i przez rok chyba, jeżeli mnie pamięć nie myli, współpracowaliśmy.

Hagen zaklął w duchu. Takie wiadomości powinni mieć wyłowione wcześniej. Zajrzał do notatek.

- Z moich informacji wynika, że zmarły nigdy nie pracował w tej parafii.

- Oczywiście. To było sporo lat temu, co najmniej dziesięć, byłem wtedy proboszczem w parafii Świętej Trójcy i tam go poznałem.

- Rozumiem. Jak układała się panów współpraca?

- Jak to proboszcza i wikarego. Jeden rozkazuje, a drugi słucha.

- Nie powstały między wami w tym czasie żadne zatargi?

- Czy policja myśli, że to ja zabiłem księdza Karola, bo pokłóciliśmy się dziesięć lat wcześniej o nagłośnienie kościoła? - Prałat prychnął.

Teraz Hagen zauważył, że ksiądz infulat jest zdenerwowany jego wizytą. Zza maski wyniosłości zaczęło wyglądać oblicze o rysach ściągniętych złością.

- Uważa pan, że mamy powody, aby pana podejrzewać?

Hagen specjalnie pomijał całą tytulaturę. Miał wrażenie, że to irytuje przesłuchiwanego.

- Dziwię się, że w ogóle zadaje pan takie pytania. Oczywiście, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią księdza Karola. Nie wiem tylko, czego właściwie chciałby się pan dowiedzieć. Poświęcam policji swój czas, który powinienem oddawać parafianom, a w zamian wysłuchuję pytań niemających nic do rzeczy!

- Kto zatem, według pana, jest zamieszany w tę śmierć?

Prałat zrobił się czerwony na twarzy.

- Nie mam absolutnie żadnego pojęcia! Skąd, do cholery, miałbym to wiedzieć?

- Wie pan jednak, że został zamordowany. Tak się pan przed chwilą wyraził. - Hagen spojrział do notatek, chociaż

cytował z głowy: - „Czy policja myśli, że to ja zabiłem księdza Karola?”. O ile mi wiadomo, jako prawdopodobną przyczynę zgonu podano samobójstwo.

- Być może, nie wiem. O jego śmierci słyszałem od znajomych i nie pamiętam, czy dokładnie powiedzieli mi, jak zginął. Pewnie założyłem, że to było zabójstwo, jak z księdzem biskupem... Sam nie wiem.

Prałat podkreślał teraz swoje słowa szerokimi gestami rąk. Był wzburzony.

- A więc współpraca z księdzem Chołodeckim układała się poprawnie i rozstaliście się panowie, nie chowając żadnej urazy?

- Tak właśnie było.

- Poproszę pana o spisanie dla mnie nazwisk i adresów ludzi, którzy współpracowali wtedy z panami i będą mogli potwierdzić to zeznanie. - Prałat skinął głową. - Często się pan z nim później widywał?

- Sporadycznie. On pracował w kurii, potem dostał, zdaje się, probostwo, takie na pół gwizdka, jak to mówią. Spotykaliśmy się czasem przy okazji świąt całej diecezji.

- A na gruncie prywatnym?

- Nie znałem księdza Karola prywatnie.

- Rozumiem. Co w takim razie spowodowało, że odwiedził go pan we wtorek, siódmego października?

- A to, to już pan daruje, jest sprawa kościelna. Zresztą, co moja wizyta u księdza Karola na miesiąc przed jego śmiercią może tu mieć do rzeczy?

- Jaki przedział czasu uznałby pan za istotny?

- Proszę sobie nie robić żartów! W tamtym okresie odwiedzało go na pewno wielu ludzi. Ciekawe, dlaczego policja uparła się akurat na mnie? Znamy takie przykłady, kiedy obrzuca się błotem zasłużonych duchownych, żeby potem tym łatwiej

przeciwko nim występować. Ja jednak kończę pracę w parafii dopiero za pięć lat i nie uda się wam mnie stąd wcześniej wygryźć.

- Uważa pan, że naszym celem jest pozabawienie pana parafii?

- A czemu niby mają służyć te wszystkie niedorzeczne pytania o moje stosunki z Chołodeckim? Jak mi się z nim pracowało? Po co go odwiedziłem? Byłem u niego razem z wikarym. Nigdy nie spotykałem się z nim sam na sam.

W tym momencie Hagen zrozumiał, że prałat obawia się o posądzenie go o kontakty homoseksualne z ofiarą. Ciekawe, dlaczego mu to przyszło do głowy? -pomyślał. Czyżby na złodzieju czapka gorzała? A może boi się, że sfera młodych wilków czatuje na jego miejsce i każde tego typu posądzenie może być wykorzystane przeciwko niemu? Uświadomił sobie, że nie znają notowań Pokrowskiego w kurii. Może nie były tak wysokie, jak im wszystkim się wydawało?

- Zgadza się, był tam pan razem z wikarym, księdzem Wagą. Jego też zapytamy o cel tej wizyty. Równie dobrze może mi pan o tym powiedzieć już teraz. Kiedy wezwiemy panów do prokuratury i będziecie zeznawać pod przysięgą, nie będzie możliwości zasłonięcia się tarczą kościelną. Prawo nie uznaje tego rodzaju wytłumaczenia.

Pokrowski uspokoił się nieco. Dotarło do niego, że wcześniej czy później będzie musiał opowiedzieć o wypadkach tamtego wieczoru.

- Skoro policja tak nalega... - zaczął.
- Nalegam - powiedział Hagen.
- Proszę bardzo, chociaż nie ma w tym żadnej tajemnicy, a tylko sprawa jest nieco krępująca dla nas wszystkich. Ksiądz

Waga przyszedł do mojej parafii siedem miesięcy temu, prosto z seminarium. Pracuje również jako katecheta w sąsiedniej szkole. - Prałat westchnął.

- Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w trakcie prowadzenia zajęć poznał tam matkę jednego z zerówki, samotną matkę, dodam, i jak to się zdarza, zawróciła mu w głowie. Tak to bywa z tymi młodymi klerykami. Ja zawsze powiadam, że księdzem powinno się zostawać po czterdziestce, kiedy człowiek ma już większość pokus za sobą i zna pułapki świata. No nic. Zadurzył się w niej i przyszedł tu do mnie z opowieścią, że myśli o odejściu z Kościoła. Szukał porady duchowej. - Pokrowski zamyślił się. - Ja, widzi pan, nie mam za dużej cierpliwości do ludzi. Taki mam niestety popędliwy temperament. No i nakrzyczałem na niego od razu. Potem jednak przemyślałem to sobie, rozmawiałem zresztą jeszcze z kolegą... No nie bardzo się nadaję do takich spraw. Dobrze zarządzam parafią, ale wychowawca to ze mnie żaden. Wtedy pomyślałem o księdzu Karolu. Słyszałem o jego... - Zawahał się i spojrzał na Hagenę.

- Panowie wiecie o jego kłopotach z no, powiedzmy, z pewnymi skłonnościami... - Hagen skinął głową. - No właśnie. - Prałat odetchnął z wyraźną ulgą. - Jemu udało się te trudności przezwyciężyć. Pozostał we wspólnocie kościelnej i dobrze sobie radził. Sądziłem, że rozmowa z kimś takim może być dla księdza Wagi pomocna. Poza tym z racji wieku Karol mógł łatwiej znaleźć z nim wspólny język niż ja.

- Jak przebiegło spotkanie?

- Najpierw rozmawialiśmy we trzech, a potem zostawiłem ich samych i poszedłem zjeść kolację do restauracji. Sądziłem, że moja obecność jako przełożonego księdza Wagi może być dla niego krępująca.

Taka delikatność i takt nie bardzo pasowały mu do obrazu prałata, jaki sobie zdążył do tej pory wyrobić.

- Jak długo to panu zajęło?

- Kolacja?

- Tak.

- Około godziny, może trochę dłużej. Nie spieszyłem się. Wiem, że takich spraw nie załatwia się w kwadrans.

- Czy ktoś może potwierdzić pana zeznania?

Prałat podał nazwę restauracji, ale zastrzegł się, że był w niej wtedy pierwszy raz i nie sądzi, żeby ktokolwiek pamiętał go po upływie tylu tygodni.

- Sprawdzimy. Jak ta rozmowa wpłynęła na pana wikarego?

- Trudno powiedzieć. Na razie nie wspominał drugi raz o odejściu. Nie wiem, czy to wpływ Karola. Skontaktowałem księdza Wagę z kilkoma doświadczonymi kapłanami. Zresztą pokusy ciała po pewnym czasie często tracą swój złudny blask i przestają aż tak przyciągać.

- Rozumiem. Skontaktujemy się z nim jak najszybciej. Proszę mi teraz powiedzieć, czy znał pan biskupa Wygnowskiego?

Hagenowi zdawało się, że zauważył coś na kształt zmieszania na twarzy duchownego po tym pytaniu, tak jakby nie spodziewał się, że padnie w trakcie tej rozmowy.

- Znałem go, oczywiście - powiedział.

- Jak bliska była to znajomość?

- Taka, jaka łączy proboszcza i biskupa pomocniczego. Dwukrotnie ksiądz biskup wizytował moją parafię i był podejmowany obiadem. Spotykałem go także podczas uroczystości diecezjalnych.

- Nie znał go pan na gruncie prywatnym?

- Nie.

- Co pan robił tego dnia, kiedy zginął biskup?

Pokrowski spędził tamten wieczór jak każdy inny, samotnie na plebanii. Nie, nikt nie może potwierdzić jego słów. Z początkowego zmieszania nie pozostał już żaden ślad. Zresztą Hagen nie był wcale pewny, czy dobrze odczytał uczucia rozmówcy. Pożegnał się i wyszedł. W samochodzie wyjął telefon i włożył go w zestaw głośnomówiący. Ksiądz Leon odebrał w kancelarii swojej parafii.

- Co ksiądz może mi powiedzieć o prałacie Pokrowskim? - zapytał, kiedy już zakończyli wymianę rutynowych grzeczności.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

- To ciekawe, że akurat o niego pan mnie pyta - powiedział wreszcie ksiądz.

- A to czemu?

- Bo to właśnie ksiądz Pokrowski był swego czasu mурowanym, jak to się mówiło, kandydatem do mitry biskupiej, która wtedy dosyć niespodziewanie przypadła Rafałowi. Z tego, co wiem, do dziś nie pogodził się z tym faktem. Jego stosunki z arcybiskupem i z całą kurią są od tamtego czasu mocno napięte. Nie umiem powiedzieć, czy śmierć Rafała coś tu zmieniła, ale cnota posłuszeństwa i chrześcijańska pokora nigdy nie były jego mocnymi stronami. Kiedyś, o ile pamiętam, był bliskim znajomym księdza metropolity. Po powołaniu Rafała, odsunął się od niego, może teraz znowu zbliżą się do siebie. Pokrowski miał znakomite kontakty z ludźmi, którzy potem zrobili kariery w Watykanie. Zawsze miał w Lublinie bardzo mocną pozycję.

- Jak ważne jest takie stanowisko biskupie dla zwykłego księdza?

Proboszcz zastanawiał się chwilę.

- To tak, jak zostać generałem dla zwykłego oficera, powiedzmy kapitana. Niektórzy marzą o tym całe życie.

- Jak Pokrowski?
- Chyba tak. To chyba był jego życiowy cel. Kto wie, może teraz, kiedy zabrakło Rafała, uda mu się go zrealizować?
- Tak się mówi?
- Nie byłoby w tym nic takiego niezwykłego. Jest przecież wakant. Ktoś musi się zająć sprawami gospodarczymi diecezji i działalnością charytatywną. Pokrowski jest dobrym gospodarzem. Jest z tego znany w całym Lublinie. Może mieć dużo innych wad, ale to akurat robi doskonale. Był już raz brany pod uwagę. Nie sądzę, żeby przez ten czas wyrósł mu pod bokiem jakiś inny poważny kandydat.

Pożegnali się i Hagen wyłączył telefon. Siedział dłuższą chwilę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w deskę rozdzielczą. Różne myśli przepływały mu przez głowę, a bohaterem większości z nich był dostojny prałat, kandydat do stolicy biskupiej, choćby i tytularnej. Potem włączył silnik i powoli wyjechał z dziedzińca parafii na ulicę. Kiedy jego samochód zniknął za rogiem, opadła też firanka w oknie, do tej chwili podtrzymywana spoconą ręką.

Przesłuchanie księdza Wagi nie wniosło nic nowego do ich wiedzy o wydarzeniach tamtego wieczoru. Zakochał się rzeczywiście w matce jednej ze swoich małych uczennic. Zastanawia się teraz, co zrobić ze swoim życiem. Żadnych decyzji jeszcze nie podjął. Rozmowa, jaką odbył z księdzem infułatem, nie należała do przyjemnych, to prawda. Natomiast wdzięczny jest mu za umożliwienie wymiany myśli i doświadczeń z innymi księżmi, którzy zwalczali w życiu różne pokusy. Ksiądz Chołodecki był bardzo pomocny. Jako żywy dowód na możliwość

pokonania samego siebie i grzesznego ciała, dzięki modlitwie i łasce Pana naszego Jezusa Chrystusa. Kiedy prałat wyszedł na kolację, mogli porozmawiać sobie od serca i szczerze. Bardzo mu to pomogło. Nie, nie spodziewał się, że ksiądz infulat tak taktownie się wycofa i zostawi ich samych. To zupełnie nie w jego stylu, ale przecież ludzie się zmieniają, czasem na lepsze. Nie pamięta, czy weszli sami, czy ksiądz Karol wpuścił ich przez domofon. Był wtedy bardzo zdenerwowany, świadom, że wałą się jego plany życiowe i że gubi drogę, jaką wybrał sześć lat wcześniej, kiedy zdecydował się wstąpić do seminarium. Ksiądz biskupa Wygnowskiego znał tylko jako wykładowcę na uczelni. Nie miał pojęcia, gdzie mieszkał.

Młody ksiądz miał twarz, która wydała się Hagenowi bardzo dziecięca. Cała ta sprawa, niespodziewana miłość, konieczność opowiadania o niej przełożonym i policji, niepewność, co będzie dalej, zdawała się przygniatać jego wysoką sylwetkę do ziemi. Kiedy wychodził z gabinetu Hageny, sprawiał wrażenie, jakby na ramionach niósł potężny ciężar.

- Prostolinijność nigdy nie ułatwiała człowiekowi życia - zwrócił się po jego wyjściu do Joanny.

- Poczekaj jeszcze trochę. Niech no sobie dłużej nad tym pomyśli, porozmawia jeszcze z kilkoma kolegami w sutannach doświadczonymi w tych sprawach i cała historia skończy się jak zwykle. Albo się rozstaną, albo ona, jeżeli na swoje nieszczęście naprawdę się w nim zadurzyła, zostanie jego kochanką, nigdy nie będąc w stanie ułożyć sobie normalnie życia.

- Mówisz, jakbyś sama przeżyła takie rozterki.

- Ja wiąże się tylko z gliniarzami przeznaczonymi do odstrzału. - Uśmiechnęła się. - Ale znam taką dziewczynę. Nie

wdając się w szczegóły, nie miała lekkiego życia.

Joanna śpieszyła się i nie mieli czasu porozmawiać.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - zapytał, całując ją na pożegnanie.

- Ciągle jeszcze mam te klucze - powiedziała szeptem.

Dotknęła palcem delikatnie jego ust i wyszła. Hagen usiadł i z trudem oderwał myśli od wspomnień wczorajszego dnia. Czekał na niego ksiądz prałat i jego, jakże ludzka, żądza zaszczytów.

Spotkali się wszyscy późnym popołudniem w sali odpraw komendy. Hagen zrelacjonował wydarzenia dnia. Nieformalne informacje uzyskane od księdza Leona zostały w tym czasie potwierdzone całkowicie oficjalnie i nawet, można powiedzieć, majestatycznie, przez sekretarza arcybiskupa.

- Konkludując - powiedział - mamy tutaj człowieka, który przez lata samotności i wyrzeczeń pracował nad tym, by wreszcie zyskać prawdziwe znaczenie i władzę, otrzymując sakrę biskupią. W chwili gdy największe marzenie jego życia miało szansę się ziścić, wtedy właśnie dowiaduje się, że ubiegł go młody profesor KUL-u, niejaki Wygnowski. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, był wtedy naprawdę wściekły. Nawet jego gospodyni, chociaż jak to gospodyni księdza, bardzo przypomina te trzy hinduskie małpki w jednej osobie, przyznała, że przez dłuższy czas nie był sobą po tej nominacji.

„Nigdy wcześniej to się księdzu nie zdarzyło, żeby na mnie krzychał, a wtedy tak. Jak pamiętam, to tak ze trzy takie ciężkie miesiące wtedy były, a potem wszystko z powrotem się uspokoiło. Chociaż ksiądz proboszcz to się taki trochę zgorzkniał

zrobił. Po prawdzie to jemu się to stanowisko należało. Wszyscy wiedzą, że to najzasłużeńszy ksiądz w naszej diecezji”. Hagen wyłączył dyktafon.

- Tak to wygląda. Pokrowski ma motyw i nie ma alibi na czas, kiedy dokonano obu zabójstw. Miał możliwość podrzucenia dokumentów do mieszkania biskupa, bo wychodził na ponad godzinę z mieszkania Chołodeckiego, ponoć do restauracji. Tam jakoś nikt go nie pamięta, chociaż przecież nie co dzień stołują się u nich wieczorami księża.

- Od jutra zabierzemy się do jego samochodu, komputerów i drukarek - powiedział Lewicki. - Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Ani Sylwia, ani Nęcki nie mieli nic ciekawego do zakomunikowania na temat pozostałych osób odwiedzających dom biskupa. Żadna z nich nie dawała się połączyć ze sprawą w jakikolwiek sposób.

- Trzeba zweryfikować zeznania Wagi u tej jego narzeczonej. - Hagen stuknął długopisem w adres zapisany przez księdza na kartce papieru.

Sylwia spojrzała na zegarek.

- Jeszcze zdążę. Myślę, że mi łatwiej będzie się z nią porozumieć niż wam.

Wszyscy skinęli głowami. Sylwia wzięła kartkę, pożegnała się i wyszła.

- Przesłucham ich poczty głosowe i przeczytam SMS-y w pierwszej kolejności. Mam wydruki w domu - powiedział Nęcki i również się pożegnał.

- Ogary poszły w las - mruknął Lewicki, patrząc na drzwi, które się za nimi zamknęły. - Kiedy tak na nich patrzę i widzę, że im się jeszcze chce, to moje zniechęcenie trochę się zmniejsza.

- Świeży powiew młodości. Dodaje sił życiowych i wzmacnia duszę. - Hagen, wstając, poklepał go po ramieniu. - Może ratunkiem byłaby jakaś miła Małgosia, doktorze?

- Nie pragnę wiecznej młodości - odparł Lewicki, zakładając płaszcz. - Chciałbym tylko, żeby własne dzieci nie oddały mnie do domu starców.

Wieczorem zadzwoniła Sylwia. Ukochana księdza Wagi w całość rozciągłości potwierdziła wersję Pokrowskiego.

- Ona ma nadzieję, że Waga podejmie decyzję do świąt. Jak powiedziała, nie ma zamiaru czekać całe życie.

- Ostra dziewczyna.

- Wie, czego chce. Jak sądzę, uznałby ją pan również za bardzo atrakcyjną.

- To jej dodaje pewności siebie?

- Chyba tak. Dobranoc.

- Dobranoc.

Hagen odłożył telefon i spojrział na ekran komputera przed sobą. Claire ze zdjęcia uśmiechała się do niego jakby trochę szyderczo.

Późnym rankiem następnego dnia, przy kiosku z gazetami, natknął się na Lewickiego.

- Jak tam dokumenty od prałata? - zapytał, kiedy szli razem na pierwsze piętro.

- Sprawdziliśmy wszystko, zarówno kancelarię parafii, jak i mieszkania wszystkich księży. Mają tam jeden taki wielofunkcyjny kombajn: faks, drukarka i ksero w jednym. Reszta to atramentówki. Wynik analizy będzie jeszcze dziś.

- To przynajmniej poszło szybko.

- Na szczęście. Utknęliśmy za to w tym Caritasie.

- Jak to? Przecież skończyliście już analizę materiałów.
- Skończyliśmy, ale nie możemy się doliczyć tych cholernych drukarek.
- Tyle ich tam jest?
- Siedemnaście i trzy kserokopiarki. Ten budynek jest bardzo staroświecki i bez sensu jest mieć drukarki współdzielone, bo trzeba by biegać po piętrach. Mają za to więcej taniego sprzętu.

- W czym tkwi problem?

Doszli do wejścia do laboratorium i Lewicki wcisnął kod na cyfrowym zamku.

- Proszę - powiedział, puszczając Hageną przodem. - Problem w tym, że ewidencja środków trwałych nie zgadza się nam ze stanem faktycznym.

- Oszustwa podatkowe?

- Nie w tym rzecz. - Lewicki wyjął z grubej teczki kopię jakiegoś dokumentu. - Proszę bardzo.

Był to wpis do ewidencji środków trwałych drukarki Hewlett Packard Laser Jet 1010 o długim numerze seryjnym. Datowany był na początek poprzedniego roku. Następnie doktor podał mu kopię gwarancji wystawionej na tę samą drukarkę wraz z dokumentem zakupu.

- Zgadza się?

- Zgadza. Gdzie jest haczyk?

- Otóż nie ma takiej maszyny w całym biurze. Są wszystkie inne, a tej nie ma. Zamiast niej jest to.

Pokazał mu zdjęcie spodniej strony drukarki z nalepką z numerem fabrycznym. Był taki sam jak w dokumentach.

- Nic nie rozumiem. - Hagen miał wrażenie, że chyba traci czas. - To jest to samo.

- Też tak myśleliśmy. Dopóki nie poszła tam na zastępstwo nasza nowa praktykantka Ania.

Wskazał dyskretnym gestem odległe szklane drzwi, gdzie przy komputerze pracowała młoda kobieta z krótko obciętymi czarnymi włosami. O ile mógł dostrzec, miała szczupłą, ładną twarz i duże oczy.

- Bardzo miła. A więc jest i Małgosia?

Lewicki chyba nieco się zmieszał, bo zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

- Na pewno jest bardzo uważna - powiedział. - Kiedy robiła tę dokumentację zdjęciową, zastanowiło ją, że ta jedna nalepka jest jakby lekko pomarszczona i bardzo delikatnie splekana. Spróbowała ją odkleić i okazało się, że tkwi jak przymurowana.

- To chyba dobrze?

- Niezupełnie, bo normalne naklejki można przynajmniej zacząć odklejać. Wymaga to pewnego wysiłku, ale nie nazbyt wielkiego. Z tej tutaj - wskazał palcem urządzenie stojące na biurku - ściągnąłem ją osobiście. - Tamta zaś ani drgnęła. Wczoraj Ania sprawdziła ją więc w HP. Przy tej komputeryzacji, jaką teraz mamy, dostaliśmy wszystkie numery poszczególnych części w ciągu paru godzin. Dokładnie wczoraj wieczorem.

- I co?

- Nic się nie zgadza. Ta drukarka powinna mieć w sobie prowadnicę do tonera, cały mechanizm wałków podających papier i silnik elektryczny o zupełnie innych numerach seryjnych.

- Ktoś przełożył nalepkę na nową drukarkę i żeby się trzymała, użył do tego porządnego kleju.

- Właśnie. Pytanie brzmi: dlaczego to zrobił?

- Może ktoś po prostu uszkodził maszynę, nie chciał, żeby się wydało, i podmienił ją na nową. Ludzie boją się o pracę.

- Może. Taka drukarka kosztuje w sklepie niecałe osiemset złotych. Z rabatem kupili je po... - Przerzucił dokumentację. - Po sześćset osiemdziesiąt za sztukę. To nie jest kwota, za którą wylatuje się z pracy. Nawet z Caritasu. W najgorszym razie potraciliby to pracownikowi z pensji, minus amortyzacja. Nikt by z tego powodu z głodu nie umarł.

- Dziwne.

- Właśnie. Dlatego pomyślałem, że być może to była nasza drukarka.

- To było wydrukowane na HP?

- Toner nie był oryginalny, ale to nic dziwnego. Wszędzie można kupić tańsze materiały eksploatacyjne do markowych produktów. Jak najbardziej mogło to być wydrukowane na takiej drukarce. Natomiast nie było wydrukowane na żadnej z nich, jak już wcześniej mówiłem.

- Z tym, że jedna okazała się podmieniona.

- Właśnie.

- Zgaduję, że nie jest to drukarka z pokoju naszego dyrektora do spraw ekonomicznych?

- Nie. Ta stała w sekretariacie księdza Orłowskiego, *capo di tutti capi*. W miejscu ogólnie dostępnym.

- Jasne. Wracamy zatem do punktu wyjścia i nadal wszyscy są podejrzeni.

- Niestety. Chociaż czuję - Lewicki poklepał palcem wskazującym nos - że jesteśmy coraz bliżej. Jeszcze chwila i wszystkie kamyki ułożą się na swoich miejscach.

- Oby. Ja nie widzę tego tak różowo.

- Wyczuwam brak entuzjazmu. Może potrzeba Małgosi?

Hagen uśmiechnął się i pożegnał. Gdyby tylko Małgorzaty były lekiem na całe zło...

Zbierał się już do wyjścia, kiedy zadzwonił Nęcki.

- Nic nie udało mi się na razie znaleźć w telefonach. Dziewczyny wpisują to wszystko do bazy danych i w nocy zapuścimy komputery - powiedział. – Teraz właśnie wyszedłem z parafii Świętego Ducha. Samochód księdza Pokrowskiego wygląda na czysty, tak na pierwszy rzut oka, chociaż technicy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Natomiast, uwaga! Ksiądz sprzedał dwa tygodnie temu swój stary samochód dostawczy. Taką małą furgonetkę.

Hagen przypomniał sobie, co o transporcie nieprzytomnego biskupa mówił Lewicki, i poczuł przyływ emocji.

- Komu ją sprzedali?

- Jakiemuś Ukraińcowi z Kowla. Trochę potrwa, zanim do niej dotrzemy. - Nęcki najwyraźniej też pamiętał tamtą rozmowę.

- Chyba że umowa jest fałszywa, a samochód rozmontowano na części na jakimś szrocie.

- Wtedy niczego już się nie dowiemy. Trzeba by skontaktować się z Ukrainą. Niedługo przywiozę kopię umowy. Jesteśmy już blisko, czuję to!

Wyglądało na to, że wszyscy mieli poczucie nadciągającego przełomu. Być może on też powinien zawierzyć instynktowi, na który ostatnio zwykł się powoływać.

Wieczorem spotkali się z Joanną w garsonierze biskupa. Elegancka sypialnia znowu wypełniła się zdyszanymi oddechami i szmatkowymi westchnieniami, przeplatanymi rozmową na tematy służbowe, gdy Hagen relacjonował najnowsze wydarzenia. Kiedy tak do niej mówił, leżąc na boku, z głową wspartą na dłoni, głaszcząc delikatnie wyniosłość gładkiego

biodra i miękką dolinę talii, jego myśli krążyły wokół zupełnie innego tematu. Co powiedziała mężowi, żeby tu przyjść? I dlaczego nie śpieszy się z powrotem? Nie dostrzegał w niej tego niepokoju i pośpiechu, tak typowego dla mężatek wpłątanych w romans, kradnących czas, którego nigdy nie było dość. Joanna najwyraźniej miała jakąś świetną wymówkę albo była obdarzona wyjątkowym zaufaniem, którego właśnie nadużywała. Miała również nieposkromiony apetyt. Kiedy wreszcie rozstali się późno w nocy, czuł się jak gąbka wyżęta przez Waligórę. Po powrocie do siebie legł na łóżko i zapadł w sen bez zjaw i mar z przeszłości.

Sylwia weszła bez pukania i Hagen odruchowo zamknął pokrywę laptopa, żeby niepowołane spojrzenie nie spoczęło na raporcie dla nadkomisarza.

- Przepraszam.

Usiadła przy biurku. Było wczesne popołudnie, na blacie stała filiżanka z kolejną kawą, para wznosiła się mglistą, delikatną wstążeczką.

- Coś pilnego?

- Coś dziwnego. - Rozłożyła przed sobą okazałych rozmiarów skoroszyt. - Na noc zapuściliśmy komputer z różnymi bazami danych zebranych w jedną, żeby zobaczyć, czy nie ma jakichś powiązań, których można by się uchwycić. - Przerzuciła kilka stron w leżącej przed nią dokumentacji. - Wskoczyły nam tu wszystkie połączenia ze służbowym telefonem biskupa i rozmowa Pokrowskiego z Chołodeckim. A na koniec, proszę spojrzeć - wskazała jedną z linijek zakreśloną na czerwono - mamy rozmowę między numerem dyrektora Własta i komórką niejakiego Henryka Sosnowskiego. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że komputer zidentyfikował jego zapis w Centralnym Rejestrze Osób Zaginionych. - Spojrzał na nią pytająco. - Dzisiaj sprawdziliśmy, kto to taki. Mamy tu dane, które udało się uzyskać.

Henryk Sosnowski, lat pięćdziesiąt dwa, żonaty, zamieszkały w Chełmie, ulica Biłgorajska dwanaście, zaginął piątego października, w niedzielę, w Lublinie, zatem dzień przed morderstwem Wygnowskiego. Zgłoszenie przyjęto w Chełmie, w komendzie powiatowej, siódmego października. Zaginięcie zgłosiła żona. Jako miejsce pracy podała spółkę Trans-Ost, w której mąż pracował jako kierowca tira. Ta spółka jest - uwaga! - jedną z dwóch, które obsługują transporty darów z Caritasu diecezji lubelskiej na Ukrainę w ramach kościelnej akcji charytatywnej. W niedzielę rano wrócił z Ukrainy, zostawił samochód w bazie i poszedł na miasto. Od tej chwili nikt go więcej nie widział.

- Gdzie tu mamy punkt zaczepienia? Jeżeli ta spółka była podwykonawcą Caritasu, to miał sto powodów, żeby rozmawiać z Włastem.

- Pewnie tak. Ale przejrzałam zapisy jego rozmów, przychodzących i wychodzących z ostatnich sześciu miesięcy, i to był ten jeden jedyny raz, kiedy się z nim kontaktował. Zresztą nie dzwonił zbyt wiele. Głównie z trasy do domu. Interesująca nas rozmowa trwała czterdzieści trzy sekundy.

- Nie mieli sobie wiele do powiedzenia.
- Najwidoczniej nie. Myśli pan, że to bez znaczenia?
- Nie, nie, skądże, świetna robota, dziękuję. - Hagen uściśnął jej dłoń. - Tylko...

- Tak, panie inspektorze?
- Jak to możliwe, że policja ma zgłoszone zaginięcie osoby pracującej w firmie blisko powiązanej z osobą biskupa, a my nic o tym nie wiemy?

- Też mnie to zaciekało. Rozmawiałam z prowadzącym tę sprawę w Chełmie i zaklina się na wszystkie świętości, że jak

zaczęli ją obrabiać, to wysłali do nas zawiadomienie faksem. Przekopałam teraz sporo dokumentacji i nie znalazłam ani śladu. Wygląda na to, że gdzieś zaginęło w tym bałaganie.

- Zapewne, zapewne... - przytaknął machinalnie. Przez głowę przemknęły mu jeszcze raz słowa nadkomisarza o tym, że zamach na niego zlecono w tym budynku lub w prokuraturze.

- Odnalazł się już?

- Ten Sosnowski?

- Ten Sosnowski.

- Nie. Przepadł bez wieści. Pewnie już go tam przestali szukać, bo ile można...

- Niech prześlą nam całą dokumentację. Nie - zmienił zdanie - niech przywiozą ją dzisiaj i oddadzą bezpośrednio w moje ręce.

- Dzwonię do nich natychmiast. - Sylwia wstała.

- Zostaw mi te papiery, rzucę na nie okiem - powiedział, przytrzymując skoroszyt, który chciała podnieść z biurka.

Wydruki rozmów przychodzących i wychodzących z interesujących ich numerów pokryły blaty obu biurek. Hagen pochylony studiował billingi z owej feralnej dla kierowcy niedzieli. Rankiem tego dnia o 8.17 zadzwonił do domu. Rozmowa trwała 123 sekundy, można było przyjąć, że dotyczyła samopoczucia bliskich i ostatnich wydarzeń w rodzinie. Zaznaczył sobie, że trzeba jej treść zweryfikować. Potem kolejne połączenie o 13.57 do Własta, na komórkę, trwające 43 sekundy. Do weryfikacji. O 14.24 odebrał połączenie z numeru, którego komputer nie zidentyfikował. Rozmawiał 32 sekundy. Hagen postawił przy numerze czerwony znak zapytania. Kolejny telefon do domu o 14.27, rozmowa trwała 58 sekund. O 15.32 telefon został wyłączony i nie zgłosił się już nigdy więcej. Ta cisza wydała

się Hagenowi szczególnie złowróżbna. Jak zaznaczyła Sylwia na marginesie, w jego poczcie głosowej znajdują się nagrania i SMS-y od rodziny i pracodawcy z prośbą o kontakt i przerwanie milczenia. Teraz przyjrzał się rozmowom Własta. Niedziela minęła mu bardzo spokojnie. Dopiero o 13.40 zadzwonił Wygnowski ze swojej służbowej komórki. Według notatki obok była to ich ósma rozmowa w ciągu ostatniego tygodnia. Rozmawiali 6 minut i 23 sekundy. To była zdecydowanie najdłuższa rozmowa, jaką odbyli, pomyślał. Ale nie, przyjrzał się innym wydrukom i zorientował się, że rozmawiali jeszcze tego samego dnia wieczorem, o 21.40, i tym razem zajęło im to prawie osiem minut. Hagen postawił na wydrukach swój komputer i niecierpliwie zaczął przeglądać pliki, w których archiwizował dokumenty związane ze sprawą.

Jest.

Otworzył załącznik do korespondencji, jaką otrzymał od Sylwii w pierwszych dniach sprawy, w którym rozpisane były drobiazgowo aktywności biskupa w ostatnich dniach przed śmiercią. Odnalazł niedzielę. 12.00-13.00 suma w archikatedrze, przeczytał. Obok wymienieni byli koncelebranci, nazwiska nic mu nie mówiły. Dalej, przewiął listę. Oto i on. Hagen przyglądał się niewielkiemu zapisowi i w zamyśleniu pocierał podbródek. O 21.56 biskup wszedł na stronę internetową Centralnego Biura Śledczego i przeglądał ją siedem minut, czego zapis pozostał w jego komputerze.

Wybrał na komórce telefon Nęckiego.

- Sprawdź, proszę, dokładnie numer... - Pochylił się i odczytał rząd cyferek, przy których tkwił czerwony znak zapytania. - Chcę o nim wiedzieć wszystko.

To była ich trzecia noc. Joanna kochała się z nim w całkowitym zapamiętaniu, aż chwilami miał wrażenie, że jest w tym pokoju sama ze swoją rozkoszą, że za zasłoną przymkniętych powiek widzi zupełnie inny świat, w którym nie mam miejsca na jego twarz. Kiedy skończyli, wtuliła się w niego i leżeli długo w milczeniu. W mroku wieczoru słuchał jej cichnącego oddechu, czekając, aż uspokoi się serce, wypełniające uderzeniami całą klatkę piersiową. Teraz dopiero doszedł go dźwięk muzyki, która sączyła się z głośników. Łagodna, jazzująca melodia, ciepły kobiecy głos.

- To jego płyta? - szepnął w jasne włosy.

- Nie, to moja.

Poczuł, jak jej palce delikatnie przesuwają się po jego skroni. Przytulił ją mocno. Każdą minutą swojej obecności w tym pokoju zacierali pamięć o Tamtych, którym miał służyć. Wymazywali z powietrza zastygłe kształty ramion i pośladków, zagłuszali swoim oddechem słowa i westchnienia, które trwały jeszcze w kałużach mroku rozlanych w zakamarkach pokoju. Inna muzyka, inne perfumy, inna tonacja jęklanych zaklęć rozkoszy... Czas usuwał resztki, oczyszczał swój nurt z odpadków przeszłości, pokrywając się pianą dnia dzisiejszego.

Przysnął na chwilę i kiedy się ocknął, zobaczył jej oczy wpatrzone w siebie. Błękitne, pociemniałe w mroku, odbijały płomień świec płonących za jego plecami. Opuszką palca delikatnie obwiodła jego usta.

- Jutro muszę oddać klucze - szepnęła.

Głowę miał jeszcze ciężką od snu. Słowa przepłynęły ponad nim i zamieniły się w smugę dymu nad wygasłą świecą. Potem zrozumiał, co powiedziała. Są tu ostatni raz. Jej dłoń ujęła energicznie jego członek. Obróciła Hagenę na wznak i usiadła

na nim, nie wypuszczając go z dłoni. Pochyliła się i poczuł jej rozwarłe usta i giętki język. Obu rękoma chwycił ją za włosy i wygiął jej szyję w łuk. Poczul, że jej łono przesuwa się lekko po jego podbrzuszu, zobaczył, że zmrużyła oczy, różowy koniuszek języka pojawił się między wargami i mocno pchnął biodrami, wchodząc w nią tak mocno, że jęknęła i szarpnęła głową, ale nie puścił jej, tylko lewą dłonią chwycił silnie jej pośladek i wnikał w nią gorączkowo, głęboko, aż jej paznokcie wbiły mu się w ramiona, a kropla śliny z kącika ust spadła mu na pierś.

- To nie lipa. Ten samochód nadal istnieje. - Nęcki stał w drzwiach gabinetu i machał w powietrzu wydrukiem z faksu. - Odezwali się do nas z Kowla. Niejaki Sergiej Małynin zarejestrował go w tym tygodniu. Tu mamy wszystkie jego dane.

- No, to jest rekord świata. - Hagen wstał znad rozłożonych wydruków telefonów. - Jak to się udało?

- Ha! Milicja w Kowlu testuje nowy zintegrowany system komputerowy dotyczący kradzieży samochodów, grant unijny zresztą. Mamy więcej niż szczęście. Gdyby go sprzedał choćby do Tarnopola, to już byłaby kaplica.

- Rzeczywiście, palec Boży.

- Mówiłem, że zbliżamy się do rozwiązania!

- No i co teraz?

Hagen z rozbawieniem przyglądał się młodemu człowiekowi.

- Trzeba by tam pojechać i zbadać ten samochód, i jeśli trzeba, to zabrać z powrotem...

- A kto by tam mógł pojechać? - Hagen zamyślił się.

- Może ja? - nieśmiało zaproponował aspirant.

- Ty? Tam trzeba raczej kogoś z laboratorium...
- Rozmawiałem z doktorem Lewickim. Wyśle ze mną człowieka, żeby dopilnować, że miejscowi zrobią wszystko, co trzeba. Proszę...

Widać było wiarę, że odpowiedź znajduje się po tamtej stronie granicy. Szedł za śladem, który złapał w parafii Świętego Ducha i nie chciał odpuścić.

Wreszcie Hagen nie wytrzymał i uśmiechnął się.

- Dobrze - powiedział. - Porozmawiam z komisarzem.
- Z panem inspektorem Mrowcem. Komisarz jest znowu na zwolnieniu lekarskim.
- Zatem z panem inspektorem. Masz dane tego telefonu?
- Proszę bardzo. - Nęcki, szczęśliwy, podał mu skoroszyt z wydrukami. - To jest telefon na kartę, którego właściciel nigdy go nie zarejestrował. Ślepy zaułek.
- Nie pierwszy i nie ostatni. - Hagen rzucił materiały na biurko. - Paszport masz aktualny?
- Tak jest!
- To go szykuj. Na razie.

Kiedy za Pawłem zamknęły się drzwi, Hagen usiadł na biurku, podniósł słuchawkę i wykręcił wewnętrzny numer Mrowca.

Dane, które dostarczył mu Nęcki, zdawały się potwierdzać słowa młodego aspiranta. Telefon rzeczywiście nie był zarejestrowany, zatem komputer słusznie odczytywał go jako anonimowy. Sprzedany został blisko dziewięć miesięcy wcześniej w Warszawie w dużym domu handlowym. Wydruki zawierały spis połączeń przychodzących i wychodzących oraz zapis SMS-ów. Tych ostatnich nie było zbyt wiele i były bardzo lapidarne:

OKi, OK, Kiedy? 22.30, Jutro, Dziś. Innych nie był w stanie rozszyfrować: *DDRGV, ZBNGT* i temu podobne.

- Dziwne - mruknął do siebie.

Przejrzał listę połączeń. Właściciel, lub właścicielka telefonu, kimkolwiek był lub była, nie należeli do osób rozmownych. Zazwyczaj jedno, dwa, czasem trzy połączenia dziennie. Przerzucił kartki, szukając dat z początku października. Piąty, niedziela. Patrzył przez chwilę na słupek danych.

- Aleś się, bracie, rozgadał... - mruknął, przysuwając sobie kartkę, żeby spisać numery.

Pierwsze połączenie zanotowano o 13.52, trwało 8 minut i 17 sekund. Dzwonił inny anonimowy telefon na kartę. Potem następują trzy kilkusekundowe połączenia z innym numerem w odstępach paru minut każde. Można się domyślić, że nikt nie zgłaszał się po tamtej stronie i zostawiono tylko krótką informację na sekretarce. Telefon na numer domowy. Ten już miejscowy, lubelski, właścicielka: Jeleńska Jadwiga. Rozmowa trwa 38 sekund. Trzy minuty później numer, z którym usiłowano się tak pilnie połączyć, oddzwania. Rozmawiają 152 sekundy. Zaraz potem połączenie z telefonem w Niemczech. Rozmowa trwa ponad siedem minut. Chwila przerwy i telefon do Sosnowskiego. Jest już prawie wpół do trzeciej. Teraz następuje przerwa. O 16.38 dwa krótkie, kilkusekundowe połączenia na ten sam anonimowy numer, z którego dzwoniono po południu, i do Niemiec. W poniedziałek, dzień śmierci biskupa, odbywa się kilka krótkich rozmów z tymi samymi trzema numerami. Ostatnie połączenie jest z godziny 0.16.

Przejrzał jeszcze raz wszystkie wydruki. To jeden, jedyny raz, kiedy rozmawiano z tego telefonu o tak późnej porze. Ha-gen rozluźnił sobie krawat pod szyją i rozpiął kołnierzyk koszuli.

W następnych dniach liczba telefonów zmniejsza się, aż w okolicach czwartego dnia po morderstwie spada praktycznie do zera. Pojedyncze połączenia są odnotowane co kilka dni. Jeszcze raz przejrzał wszystkie notatki. Miał poczucie, że gubi się w morzu cyfr, więc włączył komputer, otworzył arkusz kalkulacyjny i zaczął wprowadzać dane.

- Wystąpiłem o zezwolenie na założenie podsłuchu na trzy anonimowe telefony, co może przyczynić się do ich identyfikacji. Nie powinniśmy mieć problemów ze zgodą sędziego - powiedział Lewickiemu, kiedy ten zapoznał się już z ostatnimi nowinami.

Doktor pokręcił głową.

- Ich związek ze sprawą nie jest jasny - zauważył. - Ogniwem łączącym podejrzane numery jest jedno połączenie do Sosnowskiego. To niewiele.

- Teoretycznie ma pan rację, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, że miało miejsce tylko raz w zapisanej historii jego telefonu i zdarzyło się akurat tego popołudnia, kiedy zniknął...

- Zapewne, zapewne... Co powiedział Włost na temat konwersacji z biskupem z tamtego dnia?

- Nie pytaliśmy go. - Hagen przerzucał dokumentację dotyczącą zaginionego kierowcy. - Zawsze jeszcze zdążymy, po co ma wiedzieć, że interesujemy się Sosnowskim?

- Racja. Nawiasem mówiąc, niewiele tego tu jest. - Wskazał leżące przed Hagenem papiery.

- Owszem. Muszę przyznać, że komenda dzielnicowa nie wysiliła się specjalnie. Stąd pewnie taka panika, kiedy zażądaliśmy od nich materiałów. Po przyjęciu zgłoszenia i zebraniu lokalnych danych Chełm przekazał im sprawę, jako jednostce

terytorialnie właściwej, bo na ich obszarze działania mieści się baza transportowa. Mam wrażenie, że nie kiwnęli nawet palcem w bucie.

- Typowe. Mają tyle własnych spraw, że takie coś jak zaginięcie faceta z innego miasta od razu idzie do szuflady. Szczerze mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Jeśliby jednak odnalazło się ciało...

- Sądzi pan, że nie żyje? A może to on załatwił biskupa i dał nogę?

- To możliwe. Mógł go, oczywiście, zabić, tylko po co?

- Może był satanistą? Może to jednak był mord rytualny?

- To po co by uciekał? Dotychczas wypłynął w tej sprawie tylko w kontekście swojego zniknięcia.

- Miał po prostu cholerne szczęście, że nikt go ze sprawą nie połączył. Nie spodziewał się widocznie, że ujdzie mu to na sucho.

- Albo nie ma żadnego związku ze śmiercią Wygnowskiego i całe to zaginięcie jest po prostu zwykłą koincydencją.

- To możliwe, ale takie przypadki budzą we mnie wielką podejrzliwość. Jak dotąd nic tu nie działo się przypadkiem. Za każdym głupstwem, zdawałoby się bez znaczenia, stał jakiś istotny fakt. Jak za tymi wizytami u Chołodeckiego. A propos, czy wydelegował pan już kogoś na Ukrainę? Nęcki chce jechać jak najszybciej.

Lewicki skrzywił się.

- Nie mam za bardzo kogo wysłać. Ludzie są zawaleni robotą.

- A Małgosia? Czy już rozgryzła Zagadkę Dziwnej Naklejki z Caritasu?

- Utknęliśmy tam w martwym punkcie, nikt nic nie wie i wszyscy robią wielkie oczy, kiedy o tym słyszą. Zresztą ona nie ma jeszcze doświadczenia.

- To świetnie by się z Pawłem uzupełniali. On też jeszcze młody i przystojny...

Doktor spojrział na niego bez uśmiechu i Hagen opuścił oczy na dokumentację. Czyżby jednak statecznemu człowiekowi w średnim wieku przydarzyło się To? Wewnątrz zaczął trząść się ze śmiechu, ale na zewnątrz usiłował nie dać nic po sobie poznać.

- Ktoś musi jechać - powiedział.

- Ktoś pojedzie. - Lewicki wstał i skierował się w stronę drzwi, otworzył je, a potem odwrócił się do pokoju w stylu porucznika Columbo. - A myśleliście o triangulacji? - zapytał.

- W jakim sensie?

- Takim jak w filmach o Klossie, kiedy gestapowcy namierzali wrogą radiostację. Trzy odbiorniki kierunkowe wyznaczały swoje namiary i tam, gdzie na mapie przecinały się ich wektory, była ukryta radiostacja komunistów. Czy nie można by zrobić czegoś takiego z tymi telefonami komórkowymi? Będziemy chociaż wiedzieli, czy dzwonią stąd czy ze Szczecina.

- I to jest superpomysł! Dzięki. - Hagen pokazał wychodzącemu wzniesiony w górę kciuk i podniósł słuchawkę telefonu.

- Paweł? Zostaw, cokolwiek tam robisz i przyjdź do mnie natychmiast.

Nęcki podczas trwania śledztwa wyrobił już sobie takie znajomości w świecie operatorów sieci telefonicznych, że tego rodzaju sprawy załatwiał przez komórkę.

- I co? Da się zrobić czy nie? - dopytywał się ostatecznie jednego z inżynierów, po dłuższej merytorycznej dyskusji,

której Hagen przysłuchiwał się w milczeniu i z rosnącym zniecierpliwieniem. - Dzięki, czekam na info. - Rozłączył się.

- Postarają się nam to załatwić, choć odbędzie się to nieco inaczej niż w czasie wojny. Telefon komórkowy jest, jak wiadomo, w stałym kontakcie z masztem nadawczo-odbiorczym, który zresztą identyfikuje, stąd wyświetlane na ekranie elementy lokalizacji, na przykład „Krakowskie Przedmieście” czy „Zamek”. Wybiera przy tym ten nadajnik, który jest najbliżej, czyli którego sygnał jest najsilniejszy. Robi to automatycznie, rezygnując z przesyłania danych przez inne stacje, które rozpoznaje, ale są one słabsze. Dysponując odpowiednim systemem komputerowym, jesteśmy w stanie uzyskać odczyt ze wszystkich nadajników, w których zasięgu jest dany telefon, i zidentyfikować moc jego sygnału. Następnie przeliczamy siłę sygnału na odległość od masztu, wykreślamy na mapie wokół nadajników okręgi i w miejscu, w którym się przetną, mamy zlokalizowany telefon.

- Z jaką dokładnością?

- Plus minusz dziesięć, dwadzieścia metrów w każdą stronę? - Nęcki nie był pewien. - Tak mniej więcej.

- To cholernie dokładnie, tak szczerze mówiąc. Nie jest to może GPS, ale to naprawdę całkiem niezłe. Kiedy nam dadzą znać?

- To zajmie trochę czasu. Telefony są z różnych sieci, mają tam różne systemy informatyczne i kupę roboty nawet bez naszych pomysłów. Nie są zbyt szczęśliwi - zauważył Nęcki.

- Powiedz im, że za pomoc w złapaniu mordercy mogą dostać dyplom od komendanta. W złoczonych ramkach.

- Powiem. Zobaczymy, czy to ich przekona.

Nęcki wstał i wyszedł szykować się do wyjazdu. Hagen skontaktował się z biurem Europolu w Niemczech w sprawie wyjaśnienia tożsamości właściciela niemieckiej odnogi niedzielnych konwersacji.

Operatorzy dotrzyмали słowa i po upływie godziny Hagen mógł studiować wyniki analizy pomiarów. Wszystkie trzy telefony dało się namierzyć. W momencie wykonywania badań lokalizacyjnych dwa z nich znajdowały się w Lublinie. Jeden na starym mieście, drugi na Abramowicach. Trzeci, jak ustalono, był w Chełmie. Trudno byłoby wyciągać na tej podstawie daleko idące wnioski. Ponieważ Nęcki wyruszył już na Dzikie Pola, Hagen osobiście ustalił stałe monitorowanie ich lokalizacji. Codziennie rano mieli otrzymywać podsumowanie aktywności za poprzednią dobę.

Jako pierwsze ogniwo w łańcuszku niedzielnych telefonów Hagen zidentyfikował człowieka, z którym ktoś próbował skontaktować się przez Jeleńską. Z jej billingu wynikało, że natychmiast po zakończeniu rozmowy zadzwoniła pod inny numer komórkowy, z którym rozmawiała 12 sekund. 17 sekund później numer, do którego usiłowano się tak pilnie dodzwonić, odezwał się sam. Właścicielem komórki, z którą skontaktowała się Jeleńska, był jej syn Cezary Jeleński. Jego postać nie była obca funkcjonariuszom z komendy dzielnicowej.

- To łobuz - powiedział starszy aspirant z sekcji kryminalnej. - Kiedyś regularnie był zamieszany w pobicia i różne awantury. Teraz jakoś się ustatkował i od co najmniej roku nie mieliśmy na niego żadnych skarg.

- Gdzie pracuje?

Policjant wybuchnął śmiechem.

- Czarek? On jest jak te ptaszki niebieskie. Nie sieje, nie zbiera, a ma. Oficjalnie żyją z matką z renty, a naprawdę pewnie

z jakichś drobnych przekrętów. Nigdy jednak na niczym nie wpadł.

- Gdzie można go w takim razie spotkać?

Aspirant był przygotowany.

- Przepytalem dzielnicowego. Najłatwiej będzie go znaleźć na osiedlowej siłowni, bywa tam co najmniej dwa razy w tygodniu.

- Nie możemy tak długo czekać. Jakiś inny pomysł?

- Sklep z piwem na osiedlu. Tam też się zwykle kręci.

- Super.

Hagen podziękował mu za pomoc, a potem przedstawił swój plan.

Betonowe bloki pokryte regularną siecią szczelin wielkiej płyty. Szare i bezbarwne królestwo kwadratów i prostokątów wpisanych w siebie przez architekta, który fantazję przejął w spadku po urzędnikach - bohaterach opowiadań Gogola. Nuda. Chodnikiem idzie dwoje młodych ludzi. Zatrzymują się i rozmawiają. Nagle on zastyga na ułamek sekundy, a potem pochyla się ku niej, szepcząc coś do ucha. Ona wyjmuje komórkę z kieszeni i jednym dotknięciem klawisza wybiera numer. Za jej plecami rozlega się skoczna melodyjka, stłumiona odległością. Słucha przez chwilę, a potem rozłącza się i chowa telefon. Bierze chłopaka pod rękę i kontynuując przechadzkę, znikają po chwili za rogiem.

- To on. - Głos Sylwii w jego aparacie brzmi jak muzyka. Gdyby była teraz obok, wyściskałby ją. – Snuliśmy się po osiedlu razem z dzielnicowym w cywilu chyba półtorej godziny, zanim go zobaczył i rozpoznał. Jeleński odebrał telefon na naszych oczach. Mamy to nagrane na wideo, to i jego głos, kiedy pyta, kto dzwoni.

Pierwszy anonimowy numer został zidentyfikowany. Pytanie tylko, co z tego? Co taki Czarek J., osiłek i prostak, mógł mieć wspólnego z Wygnowskim i Chołodeckim? Jego i ich orbity nie przecinały się w lubelskim wszechświecie. Gdzie mógł być ewentualny punkt styczny? Na razie nie nasuwała mu się gotowa odpowiedź.

Na zakończenie dnia pojawiło się zezwolenie na założenie podsłuchu na wszystkie trzy anonimowe telefony.

- Ponieważ są anonimowe, to w ogóle nie było problemu. - Dowiedział się od Joanny przez telefon. - W ciągu paru godzin wszystko będzie gotowe i rozmowy będą rejestrowane.

Wieczorem zadzwonił Nęcki. Dotarli do Kowla. Następnego dnia od rana zaczną oględziny samochodu. Z tonu głosu można było wywnioskować, że wiele sobie po nich obiecuje.

- Kto z tobą pojechał?
- Pan Stefan. To prawa ręka doktora, najbardziej doświadczony technik. Wszystko będzie dobrze.
- Doskonale. Czy twoja komórka tam odbiera?
- Tak.
- Bądźmy w kontakcie. Daj znać, jak tylko czegoś się dowiesz.

Rano były już pierwsze wyniki podsłuchu. Numer, który pierwotnie skontaktował się z Sosnowskim, wysłał na niemiecki telefon komórkowy SMS-a o treści „DDPWS”. Pół godziny później pod ten sam numer zadzwoniono z aparatu zidentyfikowanego przez maszt w Chełmie. Odebrał mężczyzna. Mówił po niemiecku.

- Słucham?

- Czy mogę rozmawiać z Joachimem? - Dzwoniący z Chelma posługiwał się językiem Goethego dość płynnie.

- To pomyłka. Do widzenia. - Niemiec odłożył słuchawkę.

- To wszystko? - Hagen zdjął słuchawki.

- To wszystko, ale dla nas wystarczy. Daj mi teraz jakąś próbkę głosu, a będziemy mieli osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa trafienia. Te cyfrowe urządzenia mają na poziomie operatora znakomitą jakość.

- Świetny pomysł. Mamy tu paręset tysięcy ludzi w mieście, proszę sobie wybrać.

- Coś pan inspektor dziś nie w humorze? Zdaje się, że pasowałoby, żeby facet podał swoje dane i zaraz potem przyznał się do wszystkiego?

- Chyba tak... Z drugiej strony widać, że coś tu śmierdzi. Faceci rozmawiają szyfrem. Normalni ludzie tak nie robią. Tak czy owak, niezależnie od związku ze śmiercią biskupa, trafiliśmy tu w jakiś nerw. Jeszcze ich to zaboli.

Zadzwonił telefon.

- Hagen.

Rozmówca z drugiej strony przedstawił się jako Manfred Glatter, rzecznik niemieckiej sekcji Europolu.

- Znakomicie - ucieszył się Hagen. - Jakie macie dla nas wiadomości?

Glatter jednak nie spieszył się z udzielaniem informacji. Przede wszystkim chciał wiedzieć, dlaczego Polacy interesują się tym konkretnym numerem telefonu komórkowego. Hagen jeszcze raz wyjaśnił swoje powody i powołał się na obszernie wyjaśnienia przesłane pocztą elektroniczną.

- Czy właściciel tego telefonu jest o coś podejrzany w Polsce?

- Nie. Nie jest o nic podejrzany. Wyjawienie jego tożsamości mogłoby rzucić dodatkowe światło na prowadzoną tutaj trudną sprawę.

- Rozumiem. - Glatter umilkł na chwilę i Hagen odniósł niejasne wrażenie, że nie są sami na linii. - Przepraszam za przerwę, musiałem skonsultować się z przełożonymi - powiedział w końcu Niemiec. - Sprawdziliśmy, że jest pan upoważniony do dostępu do tajnych danych Europom. Czy ta linia jest zabezpieczona?

- Nie sędzę.

- Zatem wszystkie szczegóły prześlemy normalnym bezpiecznym kanałem przez Warszawę. Teraz tylko zasadnicze kwestie. Ten telefon, o który pytacie, jest anonimowy, kupiony prawie rok temu w Bochum. Używany jest zupełnie sporadycznie, głównie do kontaktów z numerami w Polsce i w Holandii.

- Ach tak... - Hagen nie potrafił ukryć swego rozczarowania.

- Tak. Niemniej podejrzewamy, że należy do niejakiego Ugura Tepego, objętego inwigilacją przez BND. Podejrzany ma rozległe kontakty w tureckich kręgach emigracyjnych oraz wśród osób określanych czasem jako ekstremiści lub fundamentaliści islamscy. To jeden z jego licznych anonimowych numerów telefonów.

- Znudzil im się Internet?

- Po jedenastym września Internet nie jest już tym, czym był wcześniej. Wielki Brat położył na nim łapę.

- Jasne. Niemniej to wszystko nie składa się w spójną całość. Ekstremiści islamscy to nie jest problem, z którym my tu się spotykamy. Nie mamy tu nawet zwykłych muzułmanów, a co dopiero mówić o ekstremistach. Gdzieś tu tkwi jakiś błąd.

- Tyle wiemy.

- Jaką rolę odgrywa ten Tepe w strukturach fundamentalistów?

- Szczegóły są tajne, ale z grubsza można powiedzieć, że jest jedną z osób odpowiedzialnych za przepływy finansowe wewnątrz Europy. To biznesmen.

- Czym się zajmuje?

- Ma wielką firmę przewozową - powiedział Glatter. - Spedycja po całym kontynencie.

Hagen poczuł, jak robi mu się nagle gorąco w to listopadowe, zimne przedpołudnie.

Zatem przewozy, transport. Na jednym końcu łańcuszka jest Tepe, wielki spedytor obracający milionami i używający ich swoim niespokojnym współwyznawcom. Na drugim jest Sosnowski pracujący dla spedytora z Chełma. W Chełmie został zlokalizowany następny anonimowy telefon z niedzielnych rozmów. Wszystkich ich łączy dzwoniący z Lublina anonim, którego na razie nie byli w stanie zidentyfikować. Tylko do czego nas to prowadzi? Hagen siedział odchylony głęboko do tyłu, tak że oparcie krzesła wspierało się o ścianę. Nogi założył na biurko i kontemlował rozrysowany na karcie formatu A3 schemat połączeń. Sosnowski jest pracownikiem Trans-Ostu. Trans-Ost jest podwykonawcą przewozu darów na Ukrainę. Caritas i Wygnowski koordynują całą akcję. Mają tysiąc powodów, żeby kontaktować się telefonicznie. Awarie, opóźnienia na granicy, celnicy, kontrahenci ze strony ukraińskiej. Tematów do rozmów na pewno im nie brakowało. W ich kontaktach nie było nic dziwnego. Tylko gdzie jest Sosnowski? Kto jest dostawcą darów przychodzących do Lublina od Caritasu z krajów starej Unii? Zapisał sobie pytanie na kartce, chociaż sądził, że zna odpowiedź. Zamyślił się tak głęboko, że kiedy

drzwi otworzyły się z trzaskiem i Sylwia wpadła przez nie jak bomba, o mało co nie runęła na podłogę. Zamachał rozpaczliwie ramionami i jakoś udało mu się odzyskać równowagę.

- Co się stało? - zapytał poirytowanym tonem.

Sylwia, która ledwo powstrzymała się od parsknięcia śmiechem, z powrotem przybrała zaaferowany wyraz twarzy.

- Chyba mamy przełom! - zawołała, pokazując oba kciuki w geście zwycięstwa. - Paweł właśnie dzwonił z Kowla. Obejrzel samochód. Najpierw nic nie rzuciło im się w oczy. Czysty, świeżo wysprzątnany. Potem zabrali się do różnych specjalistycznych badań i kiedy przeprowadzili test fenoloftaleinowy, okazało się, że w jednym miejscu wykładziny wynik był dodatni! Wykładzina w samochodzie księdza Pokrowskiego była kiedyś zachlapana krwią!

- Ludzką czy zwierzęcą?

- Tego jeszcze nie wiemy. Milicja w Kowlu nie ma potrzebnej aparatury, ale już załatwili, że samochód zabierają do Lublina. Gdyby okazało się, że to krew biskupa, to mielibyśmy wreszcie jakieś twarde dowody.

- Pokrowski... - Hagen zamyślił się. - To byłoby rzeczywiście ciekawe. Tak czy owak bierzemy go pod dwudziestoczegodzinną obserwację, zakładamy podsłuchy na wszystkie telefony i jak to tylko będzie możliwe, również na plebanii. Jeśli to on, nie chciałbym, żeby nam się wymknął.

- Podsłuchujemy już pół województwa - powiedziała Sylwia. - W końcu ktoś się do tego dobierze.

- Mamy na wszystko kwity. - Hagen postukał znacząco palcem w szufladę biurka. - Tu nie będzie żadnej Watergate.

- Oby. Myśli pan, że to proboszcz? Tyłu już było pewnych podejrzanych... Czasem mam wrażenie, że ten morderca jest

nierzeczywistą postacią. Jak dym. Próbujemy go chwycić, a on przepływa nam między palcami i przyjmuje nową postać.

- Tak właśnie jest - powiedział, patrząc na nią poważnie. - I dlatego to jest taka fajna praca.

Uśmiechnęła się i wyszła, zamykając drzwi. Hagen odłożył spisy połączeń telefonicznych i wyciągnął skoroszyt z napisem *Pokrowski* na grzbiecie. Otworzył go na pierwszej stronie i zaczął czytać.

Późnym wieczorem Nęcki był już w Lublinie. Kiedy Hagen kładł się spać, samochód księdza zaczynał być właśnie poddawany najdokładniejszemu przeglądowi w historii swojej posługi.

- To ludzka krew.

Te trzy słowa wybudziły go z głębokiego snu. Za oknem była jeszcze nieprzenikniona noc. Na ekranie komórki zobaczył, że jest kwadrans po piątej rano.

- Chryste, to on... - szepnął. - Są jakieś szanse na identyfikację DNA?

- Być może, chociaż jestem raczej nastawiony sceptycznie. Po takim czasie poziom zanieczyszczeń musi być olbrzymi. Na razie od rana siadamy do analiz serologicznych. Zobaczymy, co uda się wyciągnąć z tego materiału. Samochód umyto silnymi detergentami kilka razy. Mamy szczęście, że w ogóle znaleźliśmy to, co znaleźliśmy. - W głosie Lewickiego słychać było zmęczenie nieprzespaną nocą.

- Zaraz tam będę - powiedział Hagen, zakładając koszulę jedną ręką. - Jaką grupę krwi miał biskup?

- A1 Rh+ M₁N₀ i tak dalej. Mamy pełny profil serologiczny. Z tym nie ma kłopotu. Obyśmy tylko mieli z czym porównać.

- Na razie. - Hagen rozłączył się. Włożył spodnie i poszedł umyć zęby.

Przy wjeździe do komendy omal nie zderzył się z Hołownią, jadącym z drugiej strony i nieprzestrzegającym przepisu o pierwszeństwie przejazdu. Znaczący, komisarz miał się lepiej.

- Zadzwonili do mnie, a że już nie spałem, to postanowiłem przyjechać - powiedział, ściskając mu rękę na schodach. - Powinieneś ostrożniej jeździć - dodał jeszcze.

Hagenowi odebrało mowę z oburzenia i tak, milcząc, weszli do środka. Zaspany dyżurny patrzył za nimi zdziwionym wzrokiem. W laboratorium obejrzeliby wysłużonego białego fiata dublo. W przestrzeni bagażowej, po prawej stronie, obok nadkola zidentyfikowano krwawą plamę. Miała wielkość mniej więcej sześć na siedem centymetrów i była zupełnie niewidoczna gołym okiem. Dopiero metodyczne zastosowanie czulej próby wykrywającej obecność hemoglobiny ujawniło jej istnienie, a immunoelektroforeza w żelu agarowym potwierdziła jej ludzkie pochodzenie.

- Czy możemy powiedzieć, kiedy ta plama powstała? - zapytał Hołownią.

- Nic szczegółowego. Na pewno minęło już trochę czasu, ale czy to były dni, tygodnie czy miesiące, tego nie wiem.

Lewicki siedział przy swoim biurku i pił kolejną mocną kawę. Oczy miał podkrążone, ale błyskały w nich wesołe ogniki. Wyjaśnił im problemy z oznaczaniem grup krwi, jakie sprawiają takie ślady.

- Najprawdopodobniej nie damy rady oznaczyć antygenów

z układu ABO. Może uda się z czynnikiem Rh, może z układem Gm. Obawiam się jednak, że to będzie za mało na wasze potrzeby.

- Na nasze potrzeby - zaznaczył Hagen i Lewicki uśmiechnął się.

- Zawsze podobał mi się pomysł, że to mój proboszcz jest mordercą.

- Tak, a wikary pomaga mu przewozić ciało. Wiem. - Hagen pokiwał głową. - Nawiasem mówiąc, do tej furgonetki mógł go włożyć jeden człowiek.

- Czy Pokrowski nie jest za stary na takie dzwiganie? Myślicie, że dałby radę?

Hagen przywołał w pamięci zwałistą sylwetkę prałata.

- Sądzę, że tak. Jest z niego nadal kawał chłopca.

- Ale to ciągle mało! - Hołownia klepnął poręcz krzesła i wstał. - Na podstawie tych dowodów, jakie mamy, nie jesteśmy w stanie zbudować żadnego sensownego aktu oskarżenia. No bo patrzcie - zaczął wyliczać na palcach - nie ma alibi na noc morderstwa biskupa, ale to samo można powiedzieć o kilku tysiącach lublinian. Był bardzo zawiedziony, kiedy biskupstwo dostał Wygnowski. Gdyby jednak z tego powodu popełniano morderstwa, to żaden biskup nie dożyłby emerytury. Miał realną możliwość podrzucenia listów do mieszkania biskupa - to jest coś. Znał Chołodeckiego, mógł do niego przyjść, nie budząc podejrzeń, i go zamordować. Ale to tylko przypuszczenie. Nie mamy cienia dowodu. Krew w furgonetce jest co prawda ludzka, ale wygląda na to, że dużo więcej się o niej nie dowiemy. Wystarczy, że wymyśli jakąkolwiek historię o skałczonym palcu. Żeby go dorwać i żeby nam się potem nie wyśliznął na sali sądowej, musimy znaleźć coś mocniejszego. Jakiś dowód, coś, co nie będzie tylko kolejną poszlaką.

- Znamy przecież procesy poszlakowe... - powiedział Hagen w zamyśleniu. - Zresztą, jak go dobrze przyciśniemy, to może pęknie. Jak twardy może być człowiek od lat przywykły do wygod i szacunku, kiedy mu się to wszystko nagle odbierze? Musimy to tylko dobrze rozegrać. Klasycznie, dobry i zły glina. Ja będę ten zły, mamy już z prałatem swoją historię. Poza tym zaczniemy teraz gmerać wokół niego znacznie dokładniej niż dotąd. Nie mieliśmy jeszcze na to wystarczająco wiele czasu. Może coś znajdziemy. Może ktoś sobie coś przypomni. Na razie nikomu nie przychodzi nawet na myśl, że protonotariusz papieski mógłby być podwójnym mordercą biskupa i księdza. Nie kojarzą go po prostu z tą sprawą. Co innego, kiedy uświadomią sobie powagę sytuacji. Kto wie, co wtedy wypłynie na wierzch?

- Tak czy inaczej musimy tę sprawę przedyskutować na najwyższym szczeblu. - Komisarz wsparł się na oparciu krzesła i powiódł wzrokiem po obecnych. - Myślę, że rozsądnie będzie ustalić tryb postępowania ze wszystkimi, żeby potem nie było jakiegoś *votum separatum*. - Znacząco spojrzął na Hagen. - Pokrowski to nie byle śmądak. Tu potrzebna będzie prawdziwa dyplomacja.

- Jasne - zgodził się Hagen.

Było mu wszystko jedno. Jeszcze jedna narada. Jeszcze jeden dupochron dla lokalnych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości.

- Muszę się napić kawy - powiedział. - Gdzie tu macie wodopój?

Miał mnóstwo czasu dla siebie tego ranka. Siedział w gabinecie i patrzył na cyferki wyświetlone w prawym dolnym rogu ekranu komputera - 06.14. Jezu, nigdy jeszcze nie był w biurze

o tej porze. Czy już powinien zagłębić się w papiery? Przejrzał żółte post-ity naklejone na blacie obok komputera. Część wyrzucił, jeden zatrzymał na chwilę w ręku. *Trans-Ost, baza - czy ktoś pamięta tamtą niedzielę.* Odcyfrował swoje gryzmoły. Zmiał go wreszcie i wyrzucił do kosza. Za oknami dopiero zaczynał się świt. Wstał i zabrał teczkę dotyczącą Sosnowskiego. Jeszcze raz spojrzął na zegar. Kierowcy zaczynają pracę wcześniej.

Baza Trans-Ostu wyglądała jak baza ludzi umarłych. Ciemno i cicho. Zamknięta brama, opuszczony szlaban, ani śladu ludzkiej obecności. Rozglądał się za jakimś dzwonkiem, kiedy usłyszał pomruk silnika nadjeżdżającej ciężarówki. Po chwili zatrzymała się koło niego i w szarości świtu rozległ się chrapliwy ryk klaksonu. Po kilkunastu sekundach otworzyły się drzwi niewielkiego budyneczku. Wyszedł z nich mężczyzna, zapinając kurtkę. Rozczochrane włosy zdradzały, że podniósł się właśnie z łóżka. Okno w szoferce uchyliło się i wyjrzał przez nie młody kierowca.

- Ruszże dupę, Józiu - powiedział przyjaźnie. - Robota czeka.

- Robota nie zając.

Józek otwierał ciężką kłódkę, szczęknięły przesypujące się przez otwór w bramie ogniwa łańcucha. Otworzył szeroko odrzwia, podniósł szlaban i odstąpił na bok, przepuszczając ciężarówkę, która wtoczyła się na plac, posapując pneumatycznym zawieszeniem kabiny kierowcy. Józio zostawił otwartą bramę, opuścił tylko szlaban.

- Pan do kogo? - zapytał Hagen, kiedy ten podszedł bliżej.

- Policja. - Machnął mu przed nosem legitymacją. - Chciałem zamienić z panem kilka słów.

- Ze mną? Ja nic nie zrobiłem. Jestem uczciwym obywatelem.

Legitymacja nie zrobiła na nim większego wrażenia. Patrzył na Hagenę przekrwionymi oczami. Nawet z tej odległości, z jakiej ze sobą rozmawiali, w jego oddechu wyczuć można było resztki starego alkoholu.

- Nigdy nic nie wiadomo. Zapraszam na małą pogawędkę.

Wskazał otwarte drzwi stróżówki. Dozorca niechętnie ruszył za nim.

- O co chodzi? - zapytał, kiedy tylko znaleźli się w środku.

Hagen nie odpowiedział, tylko rozejrzał się wokół. U sufitu wisiała goła żarówka. W jej świetle widać było stół z jakimiś puszkami i resztkami chleba. Obok stała szklanka po herbacie, ze ściankami pokrytymi brązowym osadem. Rozgrzebana pościel na wąskim łóżku była szara i wyglądała na niezmienianą od momentu powstania bazy. W pokoiku unosił się kwaśny zapach brudnego ciała, rozlanego piwa i wilgoci. Hagen usiadł na jednym z krzeseł i gestem wskazał drugie cieciewi.

- Na początku chciałem zaznaczyć, że sprawa jest poważna - powiedział grobowym głosem, patrząc tam temu prosto w oczy. - Dozorca opuścił wzrok. - W niedzielę piątego października zginął wasz kierowca Henryk Sosnowski. Znał go pan?

Na twarzy tamtego zauważył ulgę, widocznie spodziewał się jakichś innych pytań.

- Pewnie, że go znałem. Ja tu już cztery lata pracuję.

Podał mu zdjęcie Sosnowskiego.

- Czy to on?
- Józek rzucił tylko okiem.
- On.
 - Czy pamięta pan tę niedzielę, kiedy zniknął?
 - Pamiętać pamiętam, a co?
 - Niech pan sobie spróbuje przypomnieć, jak to się wtedy wszystko odbyło. Kiedy wrócił, z kim rozmawiał, co mówił, dokąd poszedł?
 - Kiedy wrócił, to ja tam sobie nie muszę nic przypominać
- odparł.

Wstał i podszedł do wąskiego stołu stojącego pod oknem. Otworzył szufladę i wyjął mocno sfatygowany, gruby zeszyt. Otworzył go i śliniąc palec, przewracał kartki, szukając właściwej strony.

- Tu jest wszystko spisane. Jak chłopaki coś nie bardzo się zgadzają z dyspozytorem, to zawsze mogą u mnie sprawdzić.

- A co pan ma z tego?
- Czasem który piwo odpali. Sami się prosili, żeby wjazdy i wyjazdy notować, bo wiadomo, jak to bywa... Heniek... No, tu jest. Wrócili z Ukrainy w niedzielę o dziesiątej czterdzieści trzy. On i jeszcze dwóch. W trzy wozy byli.

- Daleko jeździli?
- Tego nie wiem. - Józek wzniesł ramionami. Zamknął zeszyt i siedział, patrząc czujnie.

- Rozmawiał pan z nim wtedy po powrocie?
- Nie pamiętam. Normalnie to ja tam za wiele z chłopakami nie gadam. Mam swoją robotę.

Za oknem rozległ się narastający huk silnika i Józek wyszedł podnieść szlaban.

- Nie wpisuje ich pan teraz do zeszytu – zauważył Hagen, kiedy tamten wrócił i zajął swoje miejsce.

- Teraz przyjeżdżają po towar, to po co mam ich wpisywać? Wpiszę ich, jak będą wyjeżdżać w trasę.

- Zatem nie widział go pan w ogóle, wtedy w niedzielę? Zaczerwienione oczy zamrugały.

- Jak nie widziałem? Widziałem, jak wjeżdżał, to wtedy go wpisałem. Zostawił wóz do rozładowania i potem widziałem go, jak wychodził.

- Nic nie mówił?

- Powiedział: „Do widzenia, panie Józku” czy coś takiego. Hagen wstał.

- Do widzenia - powiedział i wyszedł na świeże powietrze.

Na dużym placu stały zaparkowane trzy ciężarówki. Dwie miały oznaczenie *Trans-Ost* na plandekach, trzecia była pomalowana w kolory tęczy, mocno już wyblakłe. Na ich tle widniał wielki napis *Wirkler*, pod nim, mniejszymi literami, *Transport Internazionale*. Według adresu podanego na tylnych drzwiach, samochód był z Norymbergii. W jednym z długich budynków wyglądających jak magazyny wysokiego składowania drzwi były otwarte i Hagen wszedł do środka.

W niewielkim pomieszczeniu siedziało dwóch mężczyzn, najprawdopodobniej kierowców, i piło kawę. Przez uchylone drzwi z napisem *Dyspozytor* zobaczył kolejnego pracownika. Mężczyźni spojrzeli na niego, kiedy wszedł, i natychmiast opuścili oczy z powrotem w czarne otchłanie swoich kubków. Domyślił się, że wiedzą, kim jest. Józek przekazał informację, wpuszczając drugi samochód. Pewnym krokiem skierował się do drzwi dyspozytorskich i otworzył je szeroko.

- Dzień dobry.

Drobny, szczupły człowiek około pięćdziesiątki, w szarym garniturze, kremowej koszuli i brudnozielonym krawacie podniósł na niego wzrok znad ekranu komputera. Włosy na głowie miał zaczesane „na pożyczkę”, między tłustymi pasmami przeświecała łysina. Hagen zamknął za sobą drzwi i przedstawił się. Dyspozytor poprosił go o legitymację i studiował ją chwilę. Zapisał coś na skrawku papieru i oddał ją z powrotem. Potem, w ramach rewanżu, Hagen poprosił go o dowód osobisty. Wyjął go z pewnym ociąganiem i wręczył inspektorowi. Hagen przyjrzał się plastikowej karcie. Władysław Krężel, urodzony w styczniu 1956 roku. Oddał go z powrotem.

- Co pana do nas sprowadza? - zapytał Krężel.
- Sosnowski. - Hagen przysunął sobie krzesło.
- Jak nikogo nie było, to nie było, ale jak już ktoś przyszedł, to sam pan podinspektor z komendy głównej.

Hagen nie był pewny, czy właściwie wyczuł drwinę w jego głosie.

- Nie przepytawali was policjanci z komendy dzielnicowej?
- Dzwonili, a jakże, dzwonili... Napije się pan czegoś?
- Dziękuję. Był pan tu, kiedy Sosnowski wrócił w niedzielę z Ukrainy?
- A gdzie niby miałbym być? Byłem.
- Jak się zachowywał?
- Normalnie.
- Nie zauważył pan nic niezwykłego?
- Nic.
- Rozmawiał z panem?
- Tak. Zdał samochód z towarem, powiedziałem mu, że rozładunek trochę potrwa, bo nie dość, że oni przyjechali we trzy wozy, to jeszcze akurat przyszły dary z Niemiec. Nie bardzo mu to było w smak, bo chciał już jechać do domu. Ale co

miał zrobić? W końcu machnął ręką i powiedział, że pojedzie na miasto.

- Mówił po co?
- Nie. Może chciał iść do kina?

Hagen wciąż miał nieprzyjemne uczucie, że dyspozytor się z niego nabija.

- Ile miał czasu?
- Do rozładunku?
- Tak.

- Tak gdzieś do sześciu godzin. Inni kierowcy też są spoza Lublina, wszystkim się spieszyło.

- Co zrobiliście, kiedy nie pojawił się wieczorem?

Dyspozytor spojrział w ekran niewidoczny dla inspektora.

- Nic - powiedział w końcu. - Co mieliśmy zrobić? Wrócił chłop z trasy, może poszedł się zabawić? Zapił, zatrzymał się u znajomych czy gdzie... Zdarza się.

- Sosnowskiemu też się zdarzało?
- Nie żebym pamiętał... Ale wielu się zdarza.
- Wspominał coś jeszcze, jakieś wydarzenie z trasy, jakąś sprawę albo osobę?

- Nie - odparł dyspozytor, patrząc w monitor. - Nic nie mówił.

Hagen wyczuwał tu jakiś dysonans. Krężel uciekał wzrokiem w ekran. Nie odpowiadał „nie pamiętam”, „chyba” i tym podobne, ale mówił „nie, na pewno nic nie powiedział”. Czy po tylu tygodniach, tylu odprawach i tylu utarczkach z kierowcami mógł wszystko tak doskonale pamiętać? Być tak zupełnie pewny tego, co się wtedy stało?

- Czyli nie wie pan, panie Krężel, gdzie on się wtedy wybierał?

- Nie mam pojęcia, panie podinspektorze. - Krężel uśmiechnął się lekko, mówiąc te słowa. Widać było, że ma poczucie, że

zwycięsko wyszedł z tego starcia. Pewnie miał rację.

- Gdyby pan sobie coś przypomniał... - Hagen podał mu swoją wizytówkę. - Jeszcze się odezwiemy - powiedział na odchodnym, ot tak, żeby dyspozytor nie czuł się za pewnie, jeżeli jednak miał coś do ukrycia.

Obaj kierowcy jeszcze siedzieli przy stoliku. Poprosił ich o rozmowę. Jeden, jak się okazało, pracował w Trans-Ost dopiero od miesiąca i nawet nie słyszał o Sosnowskim. Drugi znał go dobrze, jeździł z nim czasem w długie trasy jako zmiennik.

- To był bardzo porządny człowiek - powiedział. - Żadnych dziwek, wódki nie pił, ślub jakiś złożył czy coś takiego. Wszystkie pieniądze oddawał żonie, a jak mu tam jakieś zaskórniaki zostały, to wydawał na wędkę. Nieraz mi o łowieniu ryb opowiadał. Czasem to aż mnie strach ogarnia, kiedy pomyślę, jak on zniknął. Jak kamień w wodę. Ani śladu po nim nie zostało. Był człowiek i nie ma człowieka. Dziwne.

Nie potrafił powiedzieć nic więcej, również jemu Hagen podarował wizytówkę.

Pracownicy magazynu nie wnieśli do sprawy nic nowego. Oni rozładowywali po prostu ciężarówkę, z Sosnowskim tamtego dnia nikt nie rozmawiał. Kierowcy, którzy byli wtedy razem z nim na Ukrainie, teraz byli w trasie.

Hagen wyszedł przez bramę pod szlabanem, który podniósł dla niego Józek, i wsiadł do samochodu. Miał wrażenie, że ten trop był już całkowicie zimny.

W biurze przygotował sobie dużą kawę z mlekiem i ponieważ była już właściwa godzina, zadzwonił do żony Sosnowskiego do Chełma.

- Chciałem zapytać panią o kilka spraw - powiedział po wymianie zwyczajowych grzeczności. - Bardzo proszę się skoncentrować i przypomnieć jak najdokładniej to, o co będę pytał. Każdy szczegół może mieć znaczenie. Proszę opowiedzieć mi, o czym rozmawiała pani z mężem, kiedy dzwonił do pani podczas tego wyjazdu na Ukrainę. Przypomnę pani teraz, kiedy te rozmowy się odbyły.

W oparciu o billing jego komórki spróbowali odtworzyć wszystkie ich rozmowy niemal słowo po słowie. Były to zwykłe, krótkie rodzinne rozmowy o najważniejszych wydarzeniach w domu.

- Dobrze - powiedział. - Mąż zadzwonił do pani w niedzielę o ósmej siedemnaście rano. O czym wtedy państwo rozmawiali.

- Powiedział mi, że już zjechali z granicy i niedługo będą w Lublinie... - Słychać było, że próbuje sobie przypomnieć dawno wypowiedziane słowa. - Zapytał mnie, czy nikt obcy nie kręcił się ostatnio koło domu. Co on jeszcze mówił...

- Czemu o to pytał?

- Nie mam pojęcia. Tak sobie teraz tylko przypominam. Czy to źle?

- Nie, nie, absolutnie nie, po prostu jestem ciekaw. A czy kręcił się ktoś taki?

- Nie, skąd? U nas sąsiedzi zaraz by obcego wypatrzyli, to małe miasteczko.

- Czy pamięta pani coś jeszcze?

- Nic więcej.

- Czy podczas tych wszystkich rozmów mąż wydawał się pani w dobrym humorze, spokojny?

- Chyba tak... Zresztą nie wiem, może jak dzwonił wtedy rano, a może jeszcze potem z Lublina, to mi się wydał taki

jakby nieobecny. Ja mu powiedziałam, że córka dostała piątkę z matematyki, a on się nawet nie ucieszył, nie zapytał z czego, nie chciał z nią rozmawiać, tylko powiedział: „a to dobrze, to dobrze”, jakby mnie nie słuchał, i zaraz się rozłączył.

- O czym dokładnie rozmawialiście państwo, jak zadzwonił o drugiej z minutami?

- Dosłownie zamieniliśmy parę słów. Powiedział, że musi jeszcze coś załatwić i może wróci później, a ja mu opowiadałam o córce. Odebrałam ją właśnie ze szkoły i sądziłam, że będzie chciał z nią zamienić dwa słowa.

- Nie wie pani, co takiego planował załatwić wtedy w Lublinie?

- Nie mam pojęcia. Tak się dokładnie wyraził. „Zostanę dłużej, bo muszę tu jeszcze coś załatwić”. Więcej już się nigdy nie odezwał. - To ostatnie zdanie było już przesiąknięte płaczem i Hagen postanowił szybko zmienić temat.

- Czy pani mąż jest religijnym człowiekiem? - zapytał, specjalnie kładąc nacisk na „jest”.

Opanowała się szybko.

- Tak, mąż zawsze był bardzo religijny. Kiedyś był ministrem przez wiele lat, teraz działa w radzie parafialnej.

- Złożył też, o ile dobrze zrozumiałem, śluby powstrzymania się od alkoholu?

- Tak. Wie pan, jak to jest, kierowca nie może za wiele pić, bo się w pracy nie utrzyma. Mąż wypić lubił. A dzięki ślubom jakoś wszystko szło dobrze i teraz już nie zagląda wcale do kieliszka.

- Rozumiem. Czy jest coś jeszcze, co uważa pani za ważne lub niecodzienne, co wydarzyło się w ciągu tych kilku dni poprzedzających jego zaginięcie?

Milczała chwilę, zastanawiając się.

- Chyba nic... Nic mi nie przychodzi do głowy. Cała jakaś taka rozbita jestem, nie mogę się pozbierać... Czy to kto słyszał, żeby człowiek tak zniknął?... A ja miałam złe przeczucia, wie pan? Mówiłam mu, może nie bierz tego zastępstwa, po co ci to, lepiej złap jakiś kurs po Polsce. A on nie, że potrzebne nam są pieniądze i tak pojechał.

- Zastępstwo?

- No tak. Ktoś tam od nich w firmie zachorował czy miał wypadek, nie pamiętam, i mężowi zaproponowano zastępstwo. On normalnie to na Ukrainę nie jeździł.

- Dlaczego?

- No, tam to tylko najstarsi, najzaufańsi kierowcy pana Mariana jeżdżą. Wiadomo, że i pieniądze z tego inne są. Unia przecież płaci, prawda? Pan Marian to zresztą złoty człowiek się okazał. Teraz tyle mi z dziećmi pomógł i za ten ostatni kurs bez żadnego gadania wypłacił. Nie mogę narzekać.

- Pan Marian?

- No tak, Marian Cieślik, męża szef, właściciel firmy.

- Znaczy się, porządny człowiek?

- Złego słowa nie mogę powiedzieć.

Na tym zakończyli rozmowę. Hagen pożegnał się z nią i wyłączył nagrywanie. Sporządził notatkę i dołączył ją do akt.

Narada, która odbyła się o jedenastej, miała burzliwy przebieg. Zaczęło się od oświadczenia Lewickiego, że nie są w stanie wykonać oznaczeń serologicznych ani prób DNA z materiału zabezpieczonego w furgonetce prałata.

- Mam nadzieję, że nie mamy zamiaru rezygnować? - zapytał Mrowiec, kiedy Lewicki już wyszedł. Powiódł okiem po

obecnych. - To przecież nic nie znaczy, że nasze laboratorium sobie z tym nie radzi. Mamy przecież pełne wsparcie komendy głównej. - Skłonił się lekko w stronę Hagena, który rzecz jasna potwierdził jego słowa.

- Absolutnie, ta sprawa ma priorytet i jeżeli zadecydujemy, by cokolwiek przesłać do Warszawy, tam natychmiast się do tego zabiorą. Jeżeli będzie trzeba, wyślemy je do Berlina lub Londynu, albo nawet do Quantico.

- Musimy dostać tego drania - dodał jeszcze Mrowiec.

Nieoczekiwanie okazało się, że komendant miał inne zdanie na ten temat niż jego zastępca.

- Nasze laboratorium jest świetnie wyposażone - powiedział. - Doceniamy, oczywiście, dobrą wolę Warszawy, ale zazwyczaj sami doskonale dawaliśmy sobie radę.

Widać było, że nie chce wypuszczać nitek sprawy z rąk. Sukces miał mieć jednego ojca: policję w Lublinie i jej naczelnika. Nastąpiła krótka wymiana zdań. Mrowiec twardo upierał się przy swoim. Wreszcie komendant, pomny na obecność prokuratorów i Hagena, przełożył ich rozmowę na potem, do gabinetu.

- Tę decyzję podejmiemy później. Teraz radźmy, co zrobimy z Pokrowskim.

- To duża figura - powiedział Barski. - Nawet jeżeli założymy, że to nie Chołodecki był mordercą, a przypominam, że takie jest nasze oficjalne stanowisko, i teraz podejrzanym jest prałat Pokrowski, to i tak musimy postępować bardzo rozważnie. Rozmawiałem tu i ówdzie i sądzę, że musimy mieć mocniejsze zarzuty niż to, czym dysponujemy w tej chwili, żeby go zamknąć.

- Zamknąć? - zapytał komendant.

- Tak zrozumiałem pana komisarza, kiedy rozmawialiśmy rano przez telefon. Chcemy go wsadzić do aresztu i dobrze

przycisnąć na przesłuchaniach, żeby go zmiękczyć i wydostać przyznanie się do winy, bez którego mielibyśmy proces poszłakowy, jeżeli w ogóle by do niego doszło.

- Szanse na to, że sąd odeśle nam dokumentację do uzupełnienia bez wszczynania procesu oceniam na pięćdziesiąt procent, może nawet więcej – powiedziała Joanna.

Hołownia patrzył w okno i bębnił palcami po stole.

- Cholera jasna, czuję, że to on - odezwał się nagle. - Ta sprawa krew w sprzedanym aucie to nie może być przypadek. Ilu z nas ma pokrwawione samochody? - Milczeli. - Ależ ma ten sukinsyn szczęście. Jak już go prawie mamy i, no tyle - pokazał kilkucentymetrowy odcinek między palcem wskazującym i kciukiem - dosłownie tyle nam brakuje, to znowu mu się udaje wywinąć.

Hagen milczał, przysłuchując się dyskusji. Materiał z samochodu bezwarunkowo trzeba było wysłać do Warszawy, co do tego Mrowiec miał absolutną rację i już jego w tym głowa, żeby komendant się zgodził. Co do dalszego postępowania, widać było, że prokuratura nie ma zaufania do zgromadzonych poszłak. Bali się wszczynać fałszywy alarm, teraz, kiedy morderca biskupa w oczach społeczeństwa był jużznaczony. Zabierając się ostro do Pokrowskiego, podważali swój własny medialny sukces, ryzykując, że na koniec zostaną z niczym z powodu niedostatecznych dowodów.

- Piekielnie niezręczna sytuacja - powtórzył tymczasem po raz trzeci dyrektor Barski. - Znajdźcie coś, cokolwiek, co pozwoli go powiązać mocniej ze sprawą.

- I na tym dzisiaj zakończymy. - Komendant podniósł się. - Musicie węszyć, pytać, słuchać i szukać - powiedział do Hołowni

i Mrowca. - Meldujcie o wszystkich nowych faktach, jak tylko wypłyną.

- Rozumiem, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby przesłuchać go w charakterze świadka? - spytał komisarz.

- Oczywiście, że nie. - Barski zbierał swoje dokumenty, szczęśliwy, że nie wywierali na niego silniejszej presji. - Prokurator Tarnawska służy panom wszelką pomocą.

Joanna skinęła głową.

Kiedy wychodzili, Hagen uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, ale Joanna była myślami gdzieś daleko i nie zwróciła na niego uwagi.

Włączając z powrotem komórkę, zorientował się, że dzwoniłi do niego z nasłuchu elektronicznego. Oddzwonił natychmiast.

- Ożywił nam się Chełm - powiedział technik. - Kolejny niezarejestrowany telefon na kartę zadzwonił do Chełma z Lublina. Proszę posłuchać, co nagrało się rano o szóstej trzydziści osiem.

Sygnal oczekiwania, a potem męski głos, jakby lekko zaspány.

- Słucham cię.

- Jest tu glina. Na razie utknął na wartowni.

- Czego chce?

- Jeszcze nie wiem.

- Daj mi znać.

- Jasne.

- Wszystko w porządku?

- Wszystko gra.

- Dzwonź zaraz.

Sygnal przerwane go połączenia.

- To wszystko? - spytał Hagen.

- Nie, mamy tu dla pana coś ekstra. Te same telefony rozmawiają o siódmej dwadzieścia sześć.

Sygnal.

- I co jest? - Tym razem głos, który się odezwał, nie miał w sobie nic sennego.

- Nie zgadniesz, kto tu przyszedł.

- Bo to nie teleturniej. Dawaj.

- Ten sam inspektor Hagen co zawsze.

- Kurwa mać! Czy oni tam nie mają nic innego do roboty, tylko wysyłać inspektorów na przeszpiegi? Nic dziwnego, że ten burdel trafia szlag. Czego chciał?

- Pytał o Heńka.

- Coś konkretnego?

- Nie... Takie tam ogólne pierdoły. Nic nie wiedzą.

- Kto jest w bazie?

- Wojtek i ten nowy, Grzelec. Duży spokój.

- To dobrze. Nic nie pękaj. Słoni� mówił, że jednak mogą w końcu przyjść, ale to nic nie znaczy. Wszystko jest pod kontrolą.

- Tylko dlaczego ten skurwysyn? Powinni tu przysłać jakiegoś gnojka, a nie jego. W końcu to szycha.

- Nie ma co teraz pieprzyć. Widzimy się za niedługo, to pogadamy. Cześć.

- Cześć.

Szczęknęła rozłączona linia.

- I co pan na to? - spytał technik.

Hagen usłyszał w jego głosie śmiech, pewnie nieźle się bawił, słuchając.

- Jak się nazywacie? - zapytał ostro.

- Leszkiewicz Marcin - odparł technik, teraz lekko przestraszonym głosem.

- Świetnie, Leszkiewicz. O tym nagraniu nikomu, ale to nikomu ani słowa. Jak coś piñiesz, a ja się dowiem, to będniesz

nagrywał ptaszki skaczące po zielonej trawie, czy się rozumiemy?

- Tak jest.

- Dobrze. Jeżeli będą jakieś nowe połączenia na te telefony na kartę, to meldować natychmiast. Mój numer znacie. Tę taśmę chcę mieć u siebie w ciągu godziny. Wykonać.

Leszkiewicz się rozłączył. Hagen zobaczył w wyobraźni prześwitującą przez tłuste kosmyki łysinę dyspozytora. Nie potrzebował żadnej analizy głosu, żeby rozpoznać mówiącego. Coś tam jednak śmierdziało w tej bazie. Coś śmierdziało bardziej niż pokoik Józka i Hagen miał zamiar dowiedzieć się, co to jest.

Poprosił Sylwię o dyskretne zebranie wszelkich danych na temat Cieślaka w wydziale gospodarczym komendy lubelskiej, w urzędzie skarbowym i od kolegi z Chełma. Późnym popołudniem zaczął nieco podsypiać nad papierami. Postanowił więc przejść się przed powrotem do domu, bo miał zamiar jeszcze trochę popracować. Być może chciał też uniknąć spotkania z Ewą. Jej widok budził w nim nadal gwałtowne emocje. Zaparkował przy kościele Świętej Trójcy i wolnym krokiem ruszył Krakowskim w stronę starówki. Idąc, wdychał głęboko zimne listopadowe powietrze, w którym czuł już zapowiedź mrozów nadciągającego grudnia. Światło zapalonych latarni przepierało się z ostatnimi prześwitami konającego dnia, nadchodziła wczesna noc końca jesieni. Zatrzymał się przed wystawą księgarni. Zauważył tom wierszy zebranych Czechowicza i wszedł do środka. Przed chwilą minął pomnik poety i ta koincydencja wydała mu się nieprzypadkowa. Nie było kolejki, zapłacił i wyszedł. Dopiero kiedy był już na ulicy, zorientował się, że

obsługiwała go przyjaciółka doktora Rachwalskiego, jego niedoszłego kandydata na mordercę. Boże, jak te dni sprzed zaledwie paru tygodni zdawały się odległe...

W kawiarni hotelu „Europa” zamówił cappuccino i zasiadł przy stoliku w kącie sali. Zaczął przeglądać wiersze.

... Mrok żółkniejący światłem. Chocholy.

Z nieruchomych gałęzi opada chrzęszcząc szkliwo.

Dzwonią kościoły.

Wcześniej. Ciemno. Smutno. Ckliwo.

Była w nich zaklęta melodia tego miasta, która nie zmieniła się wiele do dzisiaj.

Dzwonek komórki rozległ się nadszpiewanie głośno i zabrzmiał prostacko w ciszy kawiarni, Hagen zawstydzony zmagął się chwilę z kurtką, wyłuskując aparat z kieszeni. Numer, który pojawił się na wyświetlaczu, nic mu nie mówił.

- Hagen - powiedział półgłosem.

- Dobry wieczór. - Męski głos zdawał się brzmieć niepewnie. - Czy to pan inspektor Hagen?

- Przy telefonie.

- Pan mnie nie zna, ale słyszałem od chłopaków, że był pan dzisiaj w firmie i pytał pan o Heńka.

- To prawda - odparł Hagen, odwracając się tyłem do sali. Włączył szybko funkcję nagrywania w telefonie.

- Dostałem ten numer od kolegi, bo on powiedział, że to może mieć jakieś znaczenie, chociaż mnie się raczej nie wydaje...

Przed oczami Hageny pojawiła się twarz młodego kierowcy, zmiennika Sosnowskiego.

- Proszę śmiało mówić. Wszystko może mieć znaczenie w takiej sprawie, jak ta.

- Tylko wie pan, ja nie chcę mieć do czynienia z policją. Tutaj nie patrzą na takich zbyt dobrze.

- Rozumiem. Jak pan się nazywa?

- Właśnie o to chodzi, że nie chcę składać formalnych zeznań ani podawać nazwiska. Czy mimo to chce pan rozmawiać?

- Jasne. Chociaż...

- To niech pan słucha. - W tonie mówiącego czuł narastające zdenerwowanie, miał wrażenie, że tamten rozgląda się nerwowo. - Jak Heniek wrócił wtedy z Ukrainy, to nie miał zbyt tęgiej miny. Pytałem go, czy coś się stało, ale tylko machnął ręką. Myślałem, że może jest zmęczony. Potem, jak się przebrał i wychodził, to zapytałem, dokąd idzie, a on mi na to: „Na sumę. Na sumę, poganinie jeden”. I poszedł.

- Nie wie pan, do jakiego kościoła?

- Heniek? On zawsze mówił: „Jak jestem w Lublinie, to chodzę do katedry, zwykle kościoły to ja mam u siebie”. Tak mówił. To pewnie i tym razem tam poszedł.

- Jest pan pewien tego, co pan mówi? To może być bardzo ważne.

- Pewnie, że jestem pewien. Przecież to ledwo parę tygodni temu było, a on zaraz potem zniknął. Tak powiedziałem Wojtkowi dzisiaj, że może go tam anieli prosto do nieba wzięli, bo taki świątobliwy był, a on mi na to, żebym do pana zadzwonił, to dzwonię.

- Czy przypomina się panu coś jeszcze?

- Nie, to wszystko.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Hagen i rozłączył się. Wiedział wystarczająco dużo, żeby zidentyfikować rozmówcę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kawa i rozmowa z kierowcą wybudziły go niezwykle skutecznie. Po senności nie zostało ani śladu. Zapłacił, włożył wieszki do kieszeni i szybkim krokiem ruszył w stronę katedry. Zatem Sosnowski przyszedł tu na mszę. Mszę celebrował biskup Wygnowski. Byli tego dnia w odległości kilkunastu kroków od siebie. To nie mógł być przypadek.

W katedrze było jeszcze pusto, do wieczornego nabożeństwa zostało sporo czasu. W zakrystii znalazł kościelnego szykującego szaty liturgiczne. Przedstawił się i wyjaśnił, w jakiej przyszedł sprawie. Starszy człowiek sprawdził w kalendarzu i powiedział, że niestety, nie może pomóc, bo to nie on był tego dnia w kościele.

- Chorowałem i zastępował mnie bratanek. Młody jeszcze, ale łebski chłopak, może on coś pamięta?

Hagen poprosił go o telefon do domu brata i zadzwonił. Przedstawił się, a potem oddał słuchawkę krewnemu stojącemu obok, aby ten go uwiarygodnił. Młody człowiek zdawał się podekscytowany faktem, że przepytuje go policja.

- Ja czasem stryjka zastępuję, jak się źle poczuje albo coś, ale wtedy to pierwszy raz pomagałem się ubrać do mszy biskupowi. Bardzo był miły, żartował, że albo mu się wzrok pogorszył, albo tak się dziwnie zmieniłem, wie pan, że niby nie uważałem, że to nie stryj.

- Rozumiem. Czy podczas mszy lub po jej zakończeniu wydarzyło się coś, co zapamiętał pan jako dziwne lub niezwykłe?

Cisza. I po chwili:

- Co konkretnie ma pan na myśli?

- Sam nie wiem, szczerze mówiąc. Czy biskup z kimś rozmawiał?

- O, z wieloma ludźmi. Spowiadał, udzielał komunii, potem tacy różni przychodzili jeszcze do zakrystii.

- Jacy różni?

- No, ja ich tam nie znam. Była jakaś pani, potem jakiś facet. Trudno powiedzieć.

Hagen miał wrażenie, że młodemu człowiekowi brakuje słów, żeby wyrazić swoje myśli.

- Daleko stąd mieszkasz? - zapytał.

- Kilka przystanków.

- Za ile czasu możesz być w katedrze?

- Jak tata mnie podrzuci, to nawet za dziesięć minut.

- Dobrze. Czekaamy na ciebie ze stryjem.

Kilkanaście minut oczekiwania skrócił sobie rozmową z kościelnym o biskupie Wygnowskim i dziwnym losie, jaki go spotkał.

- Na pogrzebie był tu cały Lublin - mówił starszy człowiek. - Szpilki nie dałoby się wsadzić. Ludzie siedzieli i stali, ściśnięci jak śledzie w beczce. Długo tu pracuję, a takiego tłumu nie pamiętam.

- Też tam byłem - powiedział.

- No to pan wie.

Hagen skinął głową. Wspomnienie pogrzebu i to wnętrze kojarzyły mu się z Joanną, z niespodziewaną bliskością jej nieznanego wtedy jeszcze ciała i nakładały się jak dwa naświetlone razem negatywy na noce spędzone w garsonierze Wygnowskiego.

Od strony wejścia usłyszeli szybkie kroki dwóch osób. Bratanek kościelnego miał na imię Maciek i prawie dwa metry wzrostu. Grał w licealnej reprezentacji w koszykówkę. Weszli do zakrystii i usiedli. Hagen poprosił o zapalenie dodatkowego światła.

- Chciałbym, żebyś się teraz skupił i trzy razy zastanowił, zanim odpowiesz na każde moje pytanie. To, co powiesz, może być bardzo ważne - powiedział Hagen.

Ojciec i stryj stojący obok pokiwali poważnie głowami. Hagen sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie, które pokazywał wcześniej w bazie.

- Czy widziałeś wtedy w niedzielę tego człowieka?

Obaj bracia pochyłili się, zaglądając młodemu przez ramię. Maciek wpatrywał się w zdjęcie. Obserwując jego mimikę, Hagen miał wrażenie, że dosłownie potraktował polecenie i faktycznie obraca każdą myśl trzy razy, zanim przejdzie do następnej. Był wyraźnie przejęty.

- No, widziałem go - powiedział w końcu. Starsi spojrzeli po sobie.

- To co tak długo myślałeś? - zapytał go ojciec.

- Tak jak pan inspektor kazał, dobrze się zastanowiłem, czy mi się przypadkiem z kimś nie pomyliło albo coś. Ale to na pewno on. Pamiętam tę gułkę. - Wskazał na niewielką narośl, albo znamię na czole kierowcy, tuż pod linią włosów.

- I co on robił? - zapytał Hagen, starając się słumieć podniecenie w głosie.

- To właśnie on przyszedł po mszy do zakrystii. Czekał chwilę ze mną pod drzwiami, bo w środku była ta pani, która chyba przyszła w sprawie ślubu córki, a potem weszliśmy do środka.

- Byłeś tu z nimi razem? - Hagen nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście.

- No tak. Pomogłem biskupowi zdjąć ornat, a potem składałem szaty i chowałem naczynia, a oni rozmawiali.

- O czym?

- Nie wiem. - Maciek spojrział niepewnie na stryja i na ojca, a potem z powrotem na Hageną. - Nie mam pojęcia. Najpierw

rozmawiali cicho, a potem biskup poprosił mnie, żebym wyszedł, bo mają ważne sprawy, to wyszedłem. W kościele było jeszcze sporo roboty.

- Czy usłyszałeś cokolwiek z ich rozmowy? Może jak się witali?

- To słyszałem. Ten ze zdjęcia powiedział: „Niech będzie pochwalony”, a biskup odpowiedział: „Na wieki wieków”. Potem tamten przyklęknął i ucałował pierścień. Potem powiedział coś takiego: „mam ważną sprawę do księdza biskupa”, i zaczął mówić przyciszonym głosem, więc nie wiem, o czym rozmawiali. A potem ksiądz biskup poprosił, żebym wyszedł.

- Która mogła być wtedy godzina?

- Nie wiem. Nie patrzyłem na zegarek.

Zapadła cisza.

- No, to akurat możemy pewnie tak z grubsza policzyć - odezwał się stryj. - Msza zaczyna się o dwunastej. Jak biskup Wygnowski celebrował, to zwykle trwała godzinę, może godzinę i pięć minut. Zanim wszystko poskładaliście, następne dziesięć. Długo była u księdza ta pani?

- Może z pięć, może z dziesięć minut.

- To nam razem daje dwadzieścia pięć po pierwszej. Możemy założyć, że o takiej godzinie, plus minus pięć minut, ten pana człowiek wszedł do środka.

- Pamiętasz, ile czasu rozmawiali?

- Nie wiem. - Maciek rozłożył ręce. - Księża koncelebranci jeszcze spowiadali. Sprzątałem ołtarz, zbierałem książeczki do nabożeństwa, to się schodzi. - Stryj pokiwał głową. - Potem, jak wszedłem do zakrystii, to ksiądz biskup rozmawiał przez telefon, a ten pan siedział obok i tylko na niego patrzył. Jak wszedłem jeszcze następnym razem, to był już tylko biskup i właśnie wychodził.

- Powiedział coś przed wyjściem?
- „Zostań z Bogiem” chyba czy coś takiego.
- Wyglądał na zdenerwowanego?

Maciek wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. Chyba się gdzieś spieszył.
- Dziękuję ci - powiedział, wstając i wyciągając do młodego człowieka rękę.

Maciek podniósł się i spojrzął na Hagenę ze swoich wyżyn.

- Proszę bardzo - odparł niepewnie.

Nie rozumiał, jakie znaczenie mogą mieć dla Hageny jego informacje.

- Chciałbym, abyście panowie nie wspominali o naszej rozmowie do momentu, kiedy oficjalnie wezwiemy młodego człowieka do prokuratury celem złożenia zeznań.

- Będzie musiał iść do prokuratury? - zaniepokoił się ojciec.

- Razem z panem, oczywiście. To tylko formalność. A na razie ani słowa nikomu. Rozumiemy się? - Spojrzął na nich.

Wszyscy trzej skinęli poważnie głowami, jak Horacjusze składający przysięgę. Dostojna cisza katedry podnosiła powagę tego aktu.

Pijąc w domu kolejną kawę, próbował ułożyć sobie w głowie wszystkie fakty we właściwej kolejności.

W niedzielę rano Sosnowski wraca z trasy. Rozładunek zajmie do sześciu godzin, więc zostawia samochód i mówiąc, że idzie na sumę, wychodzi. Po mszy spotyka się sam na sam z biskupem Wygnowskim, który następnie odbywa w jego obecności rozmowę telefoniczną. Korelacja czasowa i porównanie z billingiem wykazują, że mogła to być tylko i wyłącznie rozmowa z Piotrem Włastem. Po jej zakończeniu Sosnowski wychodzi z

katedry. Dziesięć minut później to on dzwoni do Własta i rozmawiają krótką chwilę. Nie kontaktują się więcej. Pół godziny później dzwoni do niego anonimowy numer, który zlokalizowali w Lublinie, a chwilę później Sosnowski po raz ostatni rozmawia z żoną, mówiąc jej, że ma sprawę do załatwienia i wróci wieczorem. Od tego momentu jego ślad się urywa. Wieczorem, po długiej rozmowie z Włastem, biskup po raz pierwszy i ostatni w zapisanej historii swego komputera wchodzi na strony CBS. Sam zostaje porwany i zamordowany następnego dnia. Jeżeli listy z pogrózkami były w rzeczywistości fałszywkami podrzuconymi dla zmylenia śladów, to czemu Wygnowski nagle zainteresował się Centralnym Biurem Śledczym? Nie trafił tam przypadkiem. Z zachowanej historii w wyszukiwarce wynika, że po prostu wpisał w nią nazwę biura i wszedł na znaną stronę główną. Przeszedł do podstrony lubelskiego oddziału CBS i oglądał ją przez parę minut, po czym zapisał ją na twardym dysku. Sosnowski musiał mu powiedzieć coś, co sprawiło, że zadzwonił do Własta, przerywając mu niedzielny wypoczynek, a następnie rozważał skontaktowanie się z policją.

Otworzył w komputerze spis połączeń zastępcy dyrektora Caritasu. Odnalazł jeszcze raz niedzielę. Po telefonie od Wygnowskiego Włast niemal natychmiast zadzwonił do Cieślika. Rozmawiali trochę ponad cztery minuty. Informacje Sosnowskiego musiały się odnosić, rzecz jasna, do ostatniego kursu na Ukrainę. Musiał tam zauważyć coś, co wzburzyło zarówno jego, biskupa, jak i Własta. Ostatni w łańcuszku poinformowanych był Cieślik. To numer, dzisiaj zidentyfikowany jako należący do niego, łączy się natychmiast po rozmowie z Włastem

z ciągle anonimowym numerem w Lublinie, który potem pojawi się w billingu kierowcy. Sosnowski – biskup – Włast - Cieślik - anonim z Lublina - Sosnowski. Koło się zamyka. Zatem Cieślik. Wszystkie ścieżki zdają się prowadzić do niego... Gdyby kierowca chciał z nim porozmawiać, nie musiał korzystać z pośrednictwa biskupa, pomyślał Hagen. Być może Włast, rozmawiając z nim i pewnie próbując na gorąco wyjaśnić sprawę, niechętny poinformował go o czymś, o czym tamten zdecydowanie nie powinien wiedzieć. Pamiętając rozmowę właściciela firmy z dyspozytorem, którą odsłuchał w południe, Hagen poczynił wiele notatek przy jego nazwisku. Teraz dla odmiany on zaczynał mieć poczucie, że są coraz bliżej rozwiązania.

Rano zorientował się, że cała komenda aż huczy od plotek na temat Pokrowskiego i plam krwi w jego samochodzie.

- Najpóźniej dzisiaj to wszystko przecieknie do gazet - powiedział Hołownia. Następnie wyraził się dobitnie i deprecjująco o pracownikach komendy wojewódzkiej policji. - Rozwałą nam całe dochodzenie - zakończył.

Hagen zamknął się z Sylwią w pokoju i wtajemniczył ją w swoje ustalenia. W miarę jak mówił, jej oczy robiły się większe i większe, aż w końcu, kiedy wysłuchała nagranych rozmów telefonicznych, wyglądała niemal jak „pies z oczami jak filiżanki” z bajki Andersena.

- Może pan znajdzie tu coś jeszcze. - Wskazała przygotowany dla niego stos makulatury z informacjami o Cieśliku. - Ja idę do urzędu skarbowego.

Hagen zrobił sobie kawę i zaczął przedzierać się przez gąszcz informacji. Przeglądał kolejne teczki, spisywał na kartkach wszystkie interesujące fakty. Powoli wyłaniał się z nich pełniejszy obraz. Marian Cieślik miał czterdzieści sześć lat. Urodził się w Chełmie, gdzie mieszkał do dzisiaj. Żonaty, dwie córki. Wykształcenie zakończył na technikum mechanicznym

ze specjalnością budowa i eksploatacja maszyn rolniczych. Przez wiele lat pracował w Niemczech jako kierowca. Potem do spółki ze znajomym kupił używaną ciężarówkę i przez kilka lat jeździł na własny rachunek. Trzy lata temu założył Trans-Ost, spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Kapitał zakładowy wynosił pięćdziesiąt tysięcy złotych. Cieślik był jedynym udziałowcem. Oficjalnie zatrudniał trzech kierowców, księgowego, dyspozytora i sześciu magazynierów. Inni pracowali u niego dorywczo lub mieli własną działalność gospodarczą i rozliczał się z nimi jako z podwykonawcami. Taki właśnie status miał Sosnowski. Samochody były w leasingu. Z pokontrolnych dokumentów księgowych wyłaniał się obraz przedsiębiorstwa z trudem zarabiającego na własne utrzymanie.

Informacje z Chełma mówiły o człowieku żyjącym na wysokiej stopie. Nowy dom 300 m², jeep grand Cherokee, renault megane dla żony. Starsza córka studiowała w Niemczech, młodsza chodziła do amerykańskiej szkoły z internatem w Warszawie. Pan Marian inwestował w dzieci pomimo trudności finansowych firmy. O, przepraszam, pomyślał. Z ręcznej adnotacji pracownika wydziału gospodarczego wynikało, że dom należał do rodziców Cieślika.

- Ci emeryci potrafią naprawdę zrobić coś z niczego - mruknął Hagen. Stary Cieślik miał 890 złotych emerytury.

Jako młody człowiek Cieślik wszedł raz w kolizję z prawem. Podejrzewano go o paserstwo kradzionych samochodów. W warsztacie, w którym pracował, policja znalazła kradzione części. W 1987 roku został skazany na trzy lata pozbawienia wolności, z czego odsiedział dwa. Wyszedł wcześniej za dobre

sprawowanie, w kolejnych latach nigdy już nie miał takich problemów. A więc recydywa... W głowie Hageny powstawał obraz szemranego biznesmena, który pod przykrywką legalnych interesów uprawia jakąś grubszą lewiznę. Prawdopodobnie przekrety z darami Caritasu, które woził na Wschód. Sosnowski, zastępujący zaufanego kierowcę, musiał coś zauważyć. Opowiedział to biskupowi, ten poinformował Własta, który zapewne zażądał wyjaśnień od szefa Trans-Ostu. A on już się postarał, żeby Sosnowski zniknął. To brzmiało logicznie. Zlikwidował świadka. Następnie zabił biskupa, bo ten wiedział przecież tyle samo, co kierowca. Włast ocalał. Teraz policja musiała się dowiedzieć, co wiedział. Podczas zeznań nie wspomniał ani słowem o rozmowach telefonicznych z niedzieli. Z drugiej strony, mógł nie wiedzieć, tak jak i oni, o zaginięciu Sosnowskiego. Z dokumentów komendy dzielnicowej nie wynikało, żeby rozmawiano z kimkolwiek poza pracownikami Trans-Ostu, a i to przez telefon. Cieślak na pewno nie miał żadnego powodu, żeby się tym chwalić.

Otworzył pocztę elektroniczną. Glatter potwierdził, że firma Wirkler GmbH z Norymbergii, której samochód widział w bazie Trans-Ostu należy do konsorcjum, którym zarządzał Tepe. Sam fakt, że tam był, o niczym nie świadczył, jak napisał Niemiec. Tepe kontrolował bezpośrednio lub pośrednio do dwunastu procent spedycji wielkotowarowej w Niemczech. Glatter nie wiedział nic o treści telefonów z Polski.

Wybrał na komórce numer Sylwii, ale nie odpowiadała. Zbierał się do wyjścia, kiedy do pokoju wszedł Hołownia.

- A ty dokąd?
- W teren. Mam jeszcze trochę pytań do zadania.

- To później. Jest jakaś afera i stary chce nas wszystkich widzieć u siebie za piętnaście minut. Właśnie szukam Mrowca.

- Tu go nie było.

- Dzięki. Komórka mu wysiadła i człowieka jakby ziemia pochłonęła. Jak myśmy bez nich żyli? - Komisarz mrugnął porozumiewawczo i wyszedł, a Hagen odwiesił płaszcz, który zakładał.

Rozległ się sygnał jego telefonu.

- Hagen.

- Tu Sylwia. Kiedy pan dzwonił, byłam u naczelnika urzędu skarbowego i nie mogłam odebrać.

- Jasne. Jak załatwisz sprawę w urzędzie, pojedź do Własta i porozmawiaj z nim o tych wszystkich wydarzeniach z niedzieli. Przede wszystkim poproś go, żeby ci opowiedział o nich własnymi słowami. Jeżeli nie wspomni o rozmowie z Wygnowskiem, zapytaj go o nią, nie sugerując nic z tego, o czym wiemy. Chcę wiedzieć, co powie nam sam z siebie. Potem zahacz go o rozmowę z Cieślikiem. Notatki ci wystarczą?

- Mam, co trzeba.

- Nagraj wszystko. Jest jeszcze w miarę wcześnie, powinnaś go złapać w biurze.

- Tak jest.

- Jak skończysz, daj mi znać jak najszybciej. Nie wysyłałbym cię, ale komendant zwołał jakąś superpilną naradę. Za ile tam będziesz?

- Tu mi się zejdzie jeszcze pewnie z godzinę, może trochę więcej. Trans-Ost i Cieślik osobiście są im znani. Co roku mają jakieś przepychanki podatkowe. Kierownik urzędu wspomniała też, że przecież policja już kiedyś występowała o wgląd w jego dane.

- Kiedy?

- Mówi, że parę miesięcy temu. Nie chciałam wyjść na idiotkę, więc nie naciskałam jej na razie bardziej, ale trzeba to sprawdzić. W wydziale gospodarczym u nas ani w Chełmie nikt się w tej sprawie nie zająknął, a przecież powiedzieliby mi.

- Wyjaśnimy to. Wyślij mi SMS-a, jak będziesz do niego wchodzić. Jeśli zdążę, to może do ciebie dołączę.

- Może pan być spokojny.

Hagen w zamyśleniu wpatrywał się w telefon. Ktoś grzebał w papierach Cieślika, a oni nic o tym nie wiedzieli. Mógł to być oczywiście przypadek, ale Hagen dawno już przestał wierzyć w jakiegokolwiek przypadki w tej sprawie.

Rozpoczęcie narady przesunięto, bo nikt nie wiedział, gdzie jest Mrowiec. Kiedy wreszcie inspektor się pojawił, sekretarka komendanta zaprosiła ich na spotkanie. W dużej sali siedziało kilkadziesiąt osób z różnych działów zajmujących się sprawą. Dyskusja dotyczyła Pokrowskiego i ryzyka związanego z tym, że informacje przedostaną się do mediów. Długo kłócono się o to, czyja to wina, że wszyscy wiedzą, co się wydarzyło. Hagen siedział zatopiony w swoich własnych myślach i nie odzywał się. W pewnym momencie komisarz trącił go łokciem.

- Śpisz? - zapytał.

- Jeszcze nie.

Joanna siedziała kilka miejsc dalej po jego prawej stronie i kiedy czasem rzucił tam ukradkowe spojrzenie, widział jej czysty, jasny profil na tle ciemnych mebli. Od czasu ich ostatniego spotkania w garsonierze biskupa zamienili dosłownie kilka zdawkowych słów.

- A co pan na to, panie inspektorze?

Pytanie komendanta zawisło w ciszy i Hagen zorientował się, że było zwrócone do niego.

- Przepraszam, zamyśliłem się na chwilę - powiedział. - Czy mógłby pan powtórzyć?

- Czy mamy sami poinformować media o Pokrowskim, czy czekać, aż gazety zrobią z tego sensację?

- Sądzę, że możemy przygotować jakiś oględny materiał o tym, że prowadzone jest postępowanie wyjaśniające, którego celem jest ustalenie wszystkich okoliczności sprawy. W jego ramach wyjaśnienia składać będą między innymi Pokrowski, Waga oraz inni pracownicy parafii. Jak ognia unikałbym stwierdzeń o jakichkolwiek zarzutach, dopóki nie zostaną oficjalnie postawione.

- Oczywiście. - Rzecznik komendy drapał się w głowę. - Idiotyczna sytuacja. Gdybyśmy już ich mieli pod kluczem albo przynajmniej planowali im postawić zarzuty, to rozumiem. Ale tak? Właściwie z jakiego powodu będziemy ogłaszać ten komunikat?

Dyskusja znowu popłynęła obok niego. Rzucił okiem na komórkę. Sylwia nie odezwała się jeszcze. Kiedy spojrzął na komendanta, zauważył, że ten również kontroluje czas, a potem zerka na drzwi. Czyżby ktoś miał do nich dołączyć?

Joanna zabrała głos w dyskusji i jego myśli popłynęły w jej kierunku. Czy nie była ostatnio wyjątkowo chłodna wobec niego? Może mąż domyślił się czegoś i bała się, że ich znajomość wyjdzie na jaw? Może pojawiły się jakieś plotki, o których on nie wie, które jednak dotarły do niej, i woli dmuchać na zimne?... Słowo „mąż”, kiedy zadźwięczało w jego myślach, spowodowało, że poczuł lekki niepokój. Taki, jaki czasem czujemy, wyjeżdżając na wakacje, wiedząc, że czegoś zapomnieliśmy,

ale za Boga nie mogąc sobie uprzytomnić, co by to mogło być. Miał wrażenie, że coś przeoczył. Czuł, że widział coś ważnego, czego nie skojarzył, co mogłoby mieć istotne znaczenie. Postanowił wstać i wyjść z tego spotkania, które zdawało się zmierzzać donikąd, kiedy sekretarka zaanonsowała, że przybyli umówieni goście komendanta.

- Niech pani ich poprosi. - Komendant wstał i poprawił mundur.

Do sali weszło dwóch mężczyzn w cywilu. Jeden koło pięćdziesiątki, szczupły, z mocno przerzedzonymi włosami na jajowatej głowie, przyciętymi na króciutkiego jeża, drugi znacznie młodszy, wysoki, ciemny, o lekko południowej urodzie. Obaj mieli marsa na czole.

- Państwo pozwólcie, podinspektor Rogowski i komisarz Narach z Centralnego Biura Śledczego.

Komendant po kolei przedstawił siedzących. Zarówno Mrowiec, jak i prokuratorzy zdawali się znać gości stosunkowo dobrze.

- Gdybyście panowie zechcieli wyjaśnić, co was do nas sprowadza. - Komendant czuł się chyba nieswojo, w powietrzu wisiała jakaś burza.

Rogowski, starszy z dwóch przybyłych, zabrał głos.

- Proszę państwa, prowadzimy na terenie południowo-wschodniej Małopolski zakrojone na szeroką skalę działania operacyjne. W ich ramach inwigilujemy różne środowiska, grupy przestępcze i nie tylko. Efektem tych działań będzie rozbicie dużych, rozbudowanych struktur przestępczych. Niestety, jak się okazuje, nie możemy liczyć na wsparcie miejscowych organów ścigania, a nawet, powiedziałbym, musimy liczyć się z tym, że niektórzy spróbują pokrzyżować nam szyki! - Potoczył po nich wzrokiem. Rogowski wyglądał na twardego faceta,

który nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. - Dzisiaj zorientowaliśmy się, że jeden z naszych celów jest namierzany przez służby pionu kryminalnego komendy wojewódzkiej. Pan komendant nie był niestety w stanie udzielić mi żadnych informacji, więc może teraz uda nam się czegoś dowiedzieć?

To dlatego tak pilnie szukali Mrowca, pomyślał Hagen.

- Słuchamy pana, inspektorze - powiedziała Joanna.

Gdyby w wazonie, który pusty i zakurzony stał na stole przydialnym, były kwiaty, to ton jej głosu zamroziłby wodę, rozsadzając szkło, a ich płatki osypałyby się, poczerniały.

- Proszę bardzo, pani prokurator. Po to tu przyszlismy. Chcielibyśmy się dowiedzieć, na czyje, u diabła, polecenie, podsłuchujecie państwo ten numer? – Podał numer Cieślaka.

Oczy komendanta spoczęły na Mrowcu, jako na szefie sekcji kryminalnej, ale jego twarz wyrażała tylko zaskoczenie i zmieszanie.

- Czyj to numer? - zapytał.

- To jest anonimowy numer telefonu na kartę, który, jak sądzimy, należy do niejakiego Mariana Cieślaka, przedsiębiorcy przewozowego z Chełma.

Mrowiec spojrział na Hołownię. W jego twarzy malowało się potężne zmieszanie. Widać było, że nigdy nie słyszał o takiej akcji.

- Nie mam pojęcia. - Hołownia rozłożył ręce. – To musi być jakaś inna sprawa.

- To jest ta sprawa - powiedziała Joanna.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

- Dwa dni temu wystąpiłam do sędziego o zgodę na założenie podsłuchu na ten numer i zgodę taką uzyskałam. Co jeszcze chciałby pan wiedzieć?

W momencie kiedy prokuratura wzięła na siebie uderzenie, komendant wyraźnie odetchnął. Barski przeciwnie. Odwrócił się całym ciałem w stronę Joanny i patrzył na nią zdziwionym wzrokiem.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego prokuratura ani sąd nie były uprzejme poinformować nas o tym. Nieodpowiedzialne zwrócenie uwagi na aktywność organów względem pewnych osób może mieć katastrofalne skutki dla akcji, która, podkreślam, ma charakter międzynarodowy.

- W sprawie stanowiska sądu proszę się zwrócić do sędziego. W posiadaniu prokuratury nie znajdują się żadne informacje dotyczące postępowania operacyjnego CBS względem pana Cieślika.

Z miny inspektora łatwo było wyczytać, co sądzi o pomysle informowania o poczynaniach CBS lokalnego oddziału prokuratury apelacyjnej.

- Doskonale. Zatem pewne sprawy mamy już ustalone. Teraz prosimy o natychmiastowe zaprzestanie kontaktów operacyjnych w środowisku pana Cieślika. To może skutkować, powtarzam, narażeniem dużej akcji na niepowodzenie.

Joanna rzuciła Hagenowi ukradkowe spojrzenie. - Panie podinspektorze... Zechce mi pan przypomnieć nazwisko - zaczął.

- Rogowski.

- Panie podinspektorze Rogowski, czy byłby pan tak uprzejmy i przybliżyć nam nieco tę wielką międzynarodową aferę, której dobro przywiodło panów dzisiaj do nas?

- Przykro mi, ale nie jestem upoważniony do przekazywania takich informacji.

Podinspektor powiedział to z ledwo uchwytną, ale wyczuwalną nutką wyższości w głosie. Młody komisarz skinął

potwierdzająco głową. Nie byli upoważnieni do dzielenia się swą wiedzą. Wiedzą tajną i niedostępną zwykłym śmiertelnikom w granatowych mundurach.

- Zatem zegnamy panów - powiedział Hagen. - Miło było poznać. - Odwrócił się do Joanny i zapytał ją konwersacyjnym tonem: - Jak się mają nasze inne prośby o podsłuchy?

Kątem oka zobaczył, jak oficerowie CBS czerwienieją. Rogowski zacisnął szczęki.

- Czy zdejmiecie obserwację z Cieślaka?

Hagen znowu zwrócił się ku niemu. Bufonada tych ludzi prowokowała go. Znajdował w sobie pokłady agresji w stosunku do kolegów, o jakie się nie podejrzewał.

- My mamy tu tylko zwykłą sprawę o morderstwo, a właściwie dwa - powiedział. - Inaczej licząc, może ich być jednak cztery. Być może te cztery ciała to niewiele wobec wielkiej międzynarodowej operacji, ale będziecie musieli pogodzić się z tym, że będziemy mu się przyglądać. Kto wie, może go nawet aresztujemy? Ale wtedy najpierw poinformujemy CBS.

- Czy to jest panów ostatnie słowo?

Rogowski spojrział na zgromadzonych. Nikt się nie odezwał. Nie mieli pojęcia, o czym Hagen mówi, woleli więc nie zabierać głosu. W końcu brał to na siebie człowiek z Warszawy. Po co oni mają się wychylać?

- Świetnie. Rozumiem. Zaznaczam, że będę interweniował w tej sprawie u moich przełożonych.

Goście pożegnali się i wyszli. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Hagen i Joannę zasypał grad pytań. Postarał się wyjaśnić sprawę jak najogólniej, o ile to możliwe, nie wchodząc w żadne szczegóły.

- Musimy to wyjaśnić, to wszystko - podsumował.

- Rogowski jest jak buldog. Jak raz się czegoś uczepi, to nie popuści. Jeszcze o nim usłyszymy - powiedział komendant.

- Tak, on jest strasznie pamiętliwy. - Mrowiec zmarszczył się. - Może lepiej darować sobie tego, jak mu tam... Jak on się nazywał?

- Cieślika.

- Właśnie, dziękuję. Może lepiej darować sobie tego Cieślika i nie wdawać się z nimi w niepotrzebny konflikt. Kiedy będziemy potrzebować ich pomocy, nie dostaniemy jej.

- Oni nie przyszli po pomoc. Oni przyszli, żeby prostym krawężnikom powiedzieć, co mają robić. Elitarność służby rzuciła im się na mózg. To nie jest właściwy styl współpracy i to usłyszą moi przełożeni. - Hagen spojrział na komendanta. - A co usłyszy pański szef?

- Nie wiedziałem, że taki z pana kogut, inspektorze. - Komendant uśmiechnął się pod wąsem. - Proszę się nie martwić o mój raport. Nie jestem przyzwyczajony, żeby mnie jakieś pseudo-FBI próbowało stawiać na baczność w mojej własnej komendzie.

- Wyraźnie próbowali podważać kompetencje moich ludzi bez dania racji - przytaknął Barski. - Nie zaszkodzi przytrzeć im nieco nosa.

Na tym stanęło i wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Oświadczenie rzecznika w sprawie Pokrowskiego miało trafić na biurko Mrowca w ciągu godziny.

Hagen otworzył kolejną teczkę z dokumentacją dotyczącą Trans-Ostu, ale nie mógł się skupić na czytaniu. Adrenalina po utarczce z CBS nadal krążyła mu w żyłach. Joanna pięknie sobie z tym dupkiem poradziła, pomyślał. Joanna... Myśląc o niej, przypomniał sobie to dziwne uczucie zagubienia, jakiego

doświadczył. Teraz powróciło. W tych wszystkich dokumentach, które leżały przed nim, było coś, co spowodowało ten stan. Odłożył nieprzeczytane skoroszyty na bok i znowu otworzył te, które przeglądał wcześniej. Kartkował je powoli, starając się uchwycić jakiś ślad. Nie znajdował w nich jednak nic, czego nie zanotowałby sobie wcześniej. To chyba jakieś przywidzenie.

Telefon zawibrował mu dwukrotnie w kieszeni i Hagen odczytał wiadomość. *Jest w biurze, wchodzę*, napisała Sylwia.

No tak, miała być u Własta mniej więcej o tej porze. Spojrzał na zegarek. W zasadzie mógł jeszcze do niej dołączyć. Wyjął z szuflady biurka teczkę Własta. Otworzył ją, żeby wyjąć wydruki billingów jego telefonu i nagle zatrzymał się. To samo uczucie co poprzednio wróciło ze zdwojoną siłą. Jeszcze raz omiół wzrokiem pierwszą stronę.

Piotr Włast, lat czterdzieści trzy, żonaty, jedno dziecko, córka Anna, lat sześć. Żona Małgorzata z domu Daniszewska, urodzona w Hrubieszowie, lat trzydzieści sześć, niepracująca... Zaraz, zaraz. Gdzie to było?...

Położył obok dokumenty przewoźnika z Chełma. Szybko przerzucał luźne kartki w poszukiwaniu tej właściwej. Zofia Cieślik, lat trzydzieści dziewięć. To nie tu. To było gdzieś dalej. O tu! Kopia metryki ślubu.

Marian Cieślik, urodzony... i tak dalej... i Zofia Daniszewska, urodzona... w Hrubieszowie, zawarli związek małżeński...

- Cholera jasna! - Hagen uderzył pięścią w stół. Włast i Cieślik byli rodziną!

Ruszał właśnie na poszukiwanie Hołowni, żeby podzielić się z nim tą informacją, kiedy zadzwonił telefon. Zawahał się chwilę, ale wreszcie cofnął się od drzwi i podniósł słuchawkę.

- Hagen! - rzucił niecierpliwie.
- Dzień dobry, panie inspektorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale prosił pan, żeby dzwonić, jak coś się ruszy na tych numerach... Leszkiewicz z tej strony.

- Witam. Co się stało?

- Parę minut temu był telefon pod numer... - Leszkiewicz podał niezidentyfikowany dotąd numer w Lublinie. - Niech pan posłucha.

Najpierw wybrzmiało kilka sygnałów, najwyraźniej właściciel telefonu nie spieszył się z podniesieniem słuchawki.

- Tak? - rozległ się wreszcie przyciszony głos.

- To ja. Słoń.

Głos był ledwo zrozumiały i przygłuszony, jakby ktoś mówił przez gruby koc. Po chwili Hagen zorientował się, że tak pewnie było.

- Kto mówi? Co jest?

- Tu Słoń, debilu. Namierz yli Mariana, mają go na podsłuchu nie wiadomo od kiedy. Zdaje się, że połączyli tamtą sprawę z tą dużą historią. Ja ci radzę, bierz dupę w troki, bo jesteś trup. I to już! Nie masz chwili do stracenia.

Rozmowa została przerwana.

- Kto to dzwonił?!

- To jest właśnie najgorsze. - Młody głos Leszkiewicza pełen był niepewności. - Sprzęt wskazuje, że dzwoni on przez centralę z komendy wojewódzkiej policji, ale to chyba niemożliwe...

Hagen stał chwilę, milcząc, przyswajając to, co usłyszał od technika.

- Prześlijcie ten plik natychmiast do obróbki do kryminalistyki, ja już do nich idę.

Z Lewickim spotkał się w drzwiach laboratorium.

- Nigdzie nie wychodź. - Zawrócił go za ramię i obaj weszli do środka szybkim krokiem. - Mamy superpilną sprawę.

Technik otworzył plik i jeszcze raz odsłuchali rozmowę. Lewicki był wstrząśnięty.

- To naprawdę od nas? Czyta się o takich rzeczach, ale usłyszeć na własne uszy, to co innego... Niestety, tego skurwysyna ci nie zidentyfikuję, głos jest chyba zmieniony zbyt mocno. Może jakby go bardzo odfiltrować, ale...

- Nie w tym rzecz. Nad tym będziesz myślał potem, teraz muszę sprawdzić tego, który odbierał.

- Co chcesz zrobić?

- Porównać z facetem, którego mam nagranych tu. - Hagen położył na biurku srebrzysty elektroniczny dyktafon.

Kilka minut później Lewicki wskazał dwie ruszające się w rytmie wypowiedzanych słów krzywe.

- To on - powiedział, a technik potwierdził skinieniem głowy.

- Trzeba go zgarnąć, bo nam pryśnie. Dzięki.

Podrzucił i chwycił w dłoń lśniący przedmiot, w którym zakłęty był nagrany parę dni wcześniej głos Piotra Własta.

Idąc szybko korytarzem, zadzwonił do Sylwii. Usłyszał jej automatyczną sekretarkę. Pewnie wchodząc do Caritasu, wyłączyła telefon. Wybrał numer Joanny. Telefon nadal jeszcze pokazywał nawiązywanie połączenia, kiedy stanął przed drzwiami gabinetu Hołowni. Bez pukania wszedł do środka. Komisarz rozmawiał z jakimś policjantem, którego Hagen nie znał. Na dźwięk otwieranych drzwi skierował ku nim wzrok. Hagen usłyszał w słuchawce popiskiwanie sygnału oczekiwania.

- Słucham cię.

Głos Joanny miał w sobie jakby nutkę zniecierpliwienia. Przerzywał jej widocznie jakieś ważne sprawy.

- Nie rozłączaj się - rzucił do słuchawki. - Sprawa jest bardzo ważna.

- Bardzo pana przepraszam, panie kolego, ale muszę pomóc z komisarzem w cztery oczy. Natychmiast.

Policjant spojrział na Hołownię, który skinął głową. Kiedy tamten wyszedł, Hagen streścił im pokrótce dotychczasowy rozwój wypadków, a potem odtworzył ostatnią taśmę. Kiedy powiedział, skąd dzwonił informator Własta, zarówno w gabinecie, jak i w telefonie, zaległa długa cisza.

- W tej chwili jest u niego Sylwia, ale nie mogę się z nią skontaktować - dodał. - Na pewno splawi ją jak najszybciej i pod byle pretekstem wyjdzie z biura. Jeżeli traktuje tego Słonia poważnie, jeszcze dzisiaj spróbuje zniknąć. Należy przypuszczać, że Słoń poinformował też drugiego szwagra, Cieślaka. Musimy zatrzymać co najmniej cztery osoby. Natychmiast i najlepiej w tym samym czasie. Własta, Cieślaka, dyspozytora i młodego Jeleńskiego. Wszyscy tkwią w tym gównie po rondo kapelusza.

- Zatrzymajcie ich, a ja załatwiam nakazy aresztowania. Wyślę informacje na przejścia graniczne. Niech przeszukują wszystkie samochody.

Hołownia wyjął pistolet z szuflady i zapalił kaburę.

- Musimy być ostrożni - powiedział. - Ten chuj mógł być z nami na naradzie. Nikomu ani słowa. Bierzymy chłopaków z prewencji i jedziemy. Ja do Chełma. Zadzwonię do nich z drogi, niech przynajmniej zabezpieczą posesję. Ty do Caritasu, Nęcki do Trans-Ostu. Jeleńskiego zdejmie Florczak. To ten,

którego przed chwilą ode mnie wyrzuciłeś. On przynajmniej nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Kilkadziesiąt minut później dojechali na miejsce. Budynek Caritasu był tak samo cichy i spokojny, jak wtedy, kiedy odwiedził go po raz pierwszy. Dwóch ludzi pobiegło obstawić tylne wyjście, dwóch zostało przy frontowym, z poleceniem nie wpuszczania i nie wypuszczania nikogo, a Hagen z dwoma podoficerami szybkim krokiem ruszyli w górę schodów. Idąc korytarzem pierwszego piętra, Hagen sprawdzał, czy w mijających pokojach nie ma zastępcy dyrektora. Zatrzymali się pod drzwiami jego gabinetu.

- Wiemy, że został ostrzeżony - powiedział chłopakom z prewencji podczas krótkiej jazdy, kiedy wszyscy w milczeniu oporzędzali broń. - Jest u niego aspirantka Sylwia Sobczuk od nas. Trzeba bardzo uważać.

Hagen zadzwonił do niej jeszcze raz z samochodu. Nie odbierała.

Wąski korytarz za ich plecami był pusty. Wyjął pistolet i odbezpieczył. Policjanci przeładowali swoje beryle. Zza pomalowanych na biało drzwi nie dochodził żaden głos. Hagen poczuł narastający niepokój. Nacisnął klamkę i spróbował otworzyć drzwi. Ustąpiły i rozwarły się z cichym skrzypnięciem. Hagen wszedł do środka. Pokój był pusty. Podejrzany zniknął, zaczął się pościg.

Wszedł do sekretariatu znajdującego się obok. Starsza pani pisząca coś na klawiaturze podniosła wzrok od monitora, w który się wpatrywała, i na jej twarzy pojawiło się bezbrzeżne zdumienie na widok stojących obok niego policjantów w hełmach, kamizelkach kuloodpornych, z karabinami maszynowymi w dłoniach.

- Inspektor Hagen, policja - powiedział. - Gdzie jest dyrektor Włast?

- Pan dyrektor wyszedł jakiś czas temu, razem z tą panią, która u niego była. Ona też była z policji, prawda?

Hagen skinął głową. Widocznie nie czekał nawet minuty i wyszedł razem z nią.

- Wie pani, dokąd poszedł?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie mam pojęcia. Powiedział tylko, że wychodzi na chwilę. Nawet nie zajął, tylko krzyknął do mnie z korytarza.

- Jakim samochodem jeździ pan dyrektor? - zapytał.

Nie wiedziała. Wiedziała jednak, kto wie, i po chwili rozmawiali już z dozorcą parkingu.

- Dyrektor Włast jeździ zieloną skodą octavia - powiedział stróż.

Podał im numer rejestracyjny, który Hagen natychmiast przekazał do drogówki i zarządził blokadę województwa. Nawet helikopter policyjny miał się wzbić w powietrze.

- Kiedy odjechał?

- Bo ja wiem? Może tak ze dwadzieścia minut temu, może pół godziny? Nie więcej.

- W którą stronę skręcił?

- Pojechali w stronę zamku. - Parkingowy machnął ręką wzdłuż ulicy.

- Pojechali?

- Pan dyrektor z tą panią, co z nim przyszła. Ona chyba nie czuła się za dobrze czy co, bo tak dziwnie jakoś wsiadała, jakby przez drzwi dla kierowcy, ale nie jestem pewien, bo to daleko od mojej budki.

Hagen poczuł, że robi mu się gorąco. Włast porwał Sylwię i teraz miał już zakładnika, policjantkę, którą sam do niego wysłał.

A przecież pościg nawet się jeszcze na dobre nie rozpoczął.

- W poszukiwanym pojeździe mogą być dwie osoby - powiedział przez radio. - Mężczyzna i kobieta. On jest podejrzany o zabójstwo biskupa Wygnowskiego i księdza Chołodeckiego, ona jest porwaną przez niego policjantką.

Połączył się z Hołownią. Komisarz miał około dwudziestu kilometrów do celu. Opowiedział mu pokrótce, co zastał w Caritasie. Dowiedział się, że Nęcki znalazł jeszcze ciepłe krzesło dyspozytora, ale po nim samym nie było już śladu. Jechał teraz do jego mieszkania.

- To tak jak my. Za chwilę będziemy pod domem Własta.

- Bądźcie ostrożni. Lepiej, żeby wam uciekł, niż żeby małej coś się stało. Ludzie z Chełma już wyjechali do Cieślিকা.

- Będziemy superostrożni. Nic jej nie grozi - powiedział i rozłączył się.

To było jedno z bardziej nieudanych kłamstw w jego życiu.

Mieszkanie Własta było ciche i puste. Ani śladu jego, żony, córki czy Sylwii. Wyłamane drzwi kontrastowały teraz z bezruczem wnętrza. Przerażona sąsiadka z naprzeciwka, emerytowana nauczycielka, powiedziała im, że żona pana dyrektora wyjechała razem z córką parę dni temu do jego rodziców do Warszawy. Podobno miała wymagała jakichś badań w Centrum Zdrowia Dziecka.

Hagen zadzwonił do nadinspektora, podał wszystkie personalia i poprosił o pilne sprawdzenie miejsca pobytu żony i objęcie jej dyskretną obserwacją. Włast mógł chcieć się skontaktować

z nią lub z rodzicami. Poprosił również o zablokowanie wszystkich kont bankowych i obserwację prób użycia kart kredytowych. Musiał przecież zatankować paliwo czy coś w tym rodzaju. Wezwał ekipę z komendy w celu przeszukania mieszkania i usiadł na wersalce w salonie, aby zastanowić się, co dalej. Zadzwoił do rzecznika komendy, by ten przygotował materiał dla mediów. Jeżeli Włast postanowił zaszyć się gdzieś i przeczekać, pomoc miejscowej ludności byłaby bezcenna. Musieli zaczekać jeszcze chwilę, aby wiedzieć, ilu osób będą poszukiwać.

Pierwszy odezwał się Florczak. Jeleński wyjechał wczoraj z domu. Jego matka nie potrafi lub nie chce powiedzieć dokąd. Z nasłuchu nie wynikało, by ktoś próbował się z nim kontaktować. Być może dzwoniło na domowy numer albo miał jeszcze inny telefon, o którym nie wiedzieli, lub wyjechał w zupełnie innych sprawach.

- Może jest u dziewczyny? Nie przyprowadza ich do domu, bo to denerwuje matkę. - Hagen słyszał w tle głos dzielnicowego.

- Gdzie ona mieszka?

Jak się okazało, nie było jednej, konkretnej sympatii, raczej nieustający strumień przygodnych znajomości.

Hagen rozłączył się.

Nęcki zastał w mieszkaniu dyspozytora tylko jego obłożnie chorą matkę, która nie miała od niego żadnych wiadomości. Mieszkanie wzięto pod obserwację, telefon miał być podsłuchiwany. Najprawdopodobniej będzie chciał się skontaktować z nią w ten lub inny sposób.

Ostatni w kolejce był Hołownia. W dużej, białej willi na obrzeżach Chełma, ozdobionej masą gipsowych kolumniek i stiuków, policjanci zastali tylko żonę Cieślika i ukraińską

gosposię. Żadna z nich nie potrafiła powiedzieć, gdzie się podział pan domu i jego czarny jeep. Dostał jakiś telefon ponad pół godziny temu. Powiedział, że musi wyjechać, potem obaj wsiedli do samochodów i odjechali.

- Obaj?

- Tak, żona mówi, że był u niego wspólnik, który ma na imię Czarek.

- To Jeleński. Sądzę, że to jego cyngiel. Cieślik nie miał wspólnika, może poza szwagrem.

Zadzwoił do Nęckiego.

- Cześć, słuchaj, niech nasi przyjaciele z sieci komórkowych spróbują namierzyć wszystkie te telefony. Cieślika, Krężela i Własta, a na dodatek jeszcze Sylwii. Jeżeli użyjemy tej pseudotriangulacji, może uda nam się zawęzić rejon poszukiwań.

- Już tam jadę. Znajdziemy ją, panie inspektorze - powiedział Nęcki.

- Dzwon, jak tylko dowiesz się czegokolwiek. Ja jadę do jego teściów.

Florczak doniósł, że zidentyfikowali dane samochodu, którym poruszał się Jeleński. Namiary rozesłali już do drogówki, komend powiatowych, posterunków i straży granicznej.

- Zobacz, czy zostawił w domu paszport, czy też ma go przy sobie - polecił Hagen.

Kiedy wsiadał do samochodu, Florczak zadzwonił jeszcze raz. Paszport Jeleńskiego miał w tej chwili w ręku. Ten przynajmniej nie mógł przejść normalnym trybem przez granicę.

Podłączył telefon do ładowarki, bo bateria była już prawie na wykończeniu, kiedy zobaczył, że wyświetliło się imię Joanny.

- Mam złe wiadomości - powiedziała bez zbędnych wstępów. - Straż graniczna w Hrebennem zaraportowała, że Cieślik przekroczył granicę pół godziny temu w swoim samochodzie. Cieślik był jedynym pasażerem.

- Grzebali mu w bagażniku?

- Twierdzą, że tak. Mają tam teraz jakąś akcję przeciwko lokalnym przemytnikom alkoholu czy coś takiego... Nie wiem, ile w tym prawdy.

- Cholera. Jeżeli nie wywiózł go w bagażniku, to wygląda na to, że Jeleński ukrywa się gdzieś w kraju. Może próbować przejść granicę po zapadnięciu zmroku. Zostały nam raptem dwie czy trzy godziny... Czy mają wszystkie dane Własta?

- Wszystkie, łącznie ze zdjęciami z akt personalnych z Caritasu. Możemy tylko mieć nadzieję, że się nie prześliznie.

Rodzice małżonek Cieślika i Własta mieszkali w dużym bloku z końca lat siedemdziesiątych. Obydwoje byli już na emeryturze i Hagen zastał ich w domu.

- My nic nie wiemy - zastrzegła żona od progu, kiedy tylko pokazał jej legitymację. - Córka dzwoniła i uprzedziła, że panowie przyjdą, żeby pytać o Mariana, ale my nic nie wiemy.

- Mój zięć to porządny człowiek - dodał jej mąż.

Hagen przeszedł przez wykładany jasną boazerią przedpokój i wszedł do salonu.

- Czy zastałem państwa córkę, Małgorzatę? Spojrzeli na siebie zbici z tropu.

- Małgosię? - zapytała Daniszewska.

- Tak. Małgorzatę Włast z państwa wnuczką. Czy jest tutaj?

- Nie, tu jej nie ma, pojechała do Warszawy do teściów, ale czemu pan pyta? Czy coś się stało? Czy coś się stało Piotrowi?

Obydwoje patrzyli na niego zaniepokojeni. Chyba dyrektor nie powiadomił teściów o nagłej zmianie planów.

- Nic się jeszcze nie stało - odparł. - Próbujemy pilnie skontaktować się z panem Władem, ale nigdzie go nie ma. Trochę się o niego martwimy, pamiętacie państwo, co przydarzyło się biskupowi Wygnowskiemu?

Obydwoje spojrzeli na siebie, na twarzach zagościł im wyraz prawdziwego, nieudawanego niepokoju.

- Czy Piotrowi coś grozi? O co chodzi?

- Na razie nie mogę więcej powiedzieć. Dla dobra śledztwa sprawa musi jeszcze pozostać tajemnicą. Na razie musimy jak najszybciej odnaleźć pana dyrektora. Biskup Wygnowski przynajmniej nie miał dzieci... - dodał po chwili.

Pięć minut później wiedział już, że oprócz octavii zarejestrowanej na siebie Wład dysponował też czarnym volkswagenem passatem zarejestrowanym na teściową, który trzymał w garażu nr 12 przy ulicy Hetmańskiej. Zięc nie udostępnił im kluczy. Hagen przekazał numery rejestracyjne i opis wozu wszystkim służbom i skierował tam grupę pracującą teraz w mieszkaniu Władka. Dowiedział się przy okazji, że dotąd nie znaleźli paszportów żadnego z małżonków.

Rodzice posiadali niewielką działkę rekreacyjną. Po sprawdzeniu na mapie okazało się, że znajdowała się zaledwie trzy kilometry od Wólki Kozłowieckiej. Wład kupił też ostatnio i zarejestrował na teścia działkę budowlaną pod Lublinem, która była przez niego nazywana „Posagiem Elżuni”, czyli wnuczki. To na razie był jeszcze kawał gołego pola, prawie siedem

tysięcy metrów kwadratowych, ale zamierzali rozpocząć budowę już na wiosnę. Domy i działki zapisane na teściów i rodziców stawały się w tej rodzinie tradycją.

Kiedy zbierał się do wyjścia, Daniszewska zapytała go przyciszonego głosem.

- Czy naszemu Piotrusiowi rzeczywiście coś grozi?

Hagen spojrział w jej oczy, niebieskie, otoczone siateczką zmarszczek.

- Niestety, obawiam się, że tak - odparł zupełnie szczerze.

Starsi państwo stali u wejścia do pokoju, patrząc, jak otwiera drzwi i wychodzi. Przygarbieni, smutni i przestraszeni. Wokół nich rozpadał się świat obu ich córek.

Przed garażem znalazł się niemal w tym samym czasie, co policjanci z prewencji. Duże, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi zamknięte były na grubą zasuwę, wpuszczoną w masywną stalową tuleję i zabezpieczone ciężką kłódką z hartowanej stali. Policjanci wyjęli z samochodu łom i ciężki młot na długim trzonku, służący do wyważania zamków w drzwiach. Po trzech uderzeniach kłódka pękła i z głośnym brzękiem potoczyła się po betonie. Zgrzytnęła zasuwę i otworzyli drzwi. Tył zielonej octavii połyskiwał w ciemności garażu. Zajrzeli do wnętrza. Samochód był zamknięty i pusty. Po prawej stronie kierownicy miarowo pulsowała czerwona dioda autoalarmu.

- Musimy przeszukać wóz - powiedział Hagen.

Miał cichą nadzieję, że Włast zamknął Sylwię w bagażniku, nie chcąc się obarczać dodatkowym balastem podczas ucieczki.

- Będzie wył - ostrzegł policjant, unosząc łom.

- Niech wyje. Wal.

Huknęło szkło rozbijanej szyby, a w rozpoczynającą się szarówkę wtargnęło rytmiczne zawrodo syreny.

Hagen zatrzasnął za sobą drzwi samochodu i odciął dźwięki napływające z zewnątrz. Samochód Własta był czysty, nie było tam nic, co mogło sugerować kierunek ucieczki. Pozostawało liczyć na szczęście. Cała policja województwa lubelskiego i sąsiednich była postawiona w stan gotowości. Radiowozy i nieoznakowane wozy policyjne patrołowały wszystkie drogi. Ustawiono blokady, gdzie sprawdzano każdy pojazd. Powiadomiono wojsko, straż graniczną, nawet straż pożarną. Informacje o samochodzie, którym uciekał, wraz z obietnicą nagrody były podawane przez lokalne stacje radiowe co piętnaście minut i stanowiły sensację dnia. Wszyscy poszukiwali bandyty. Doświadczenie uczyło jednak, że przestępcy potrafili wymknąć się z takich sieci. Lasy i pola, z ich płataniną traktów gruntowych, stanowiły alternatywę dla systemu dróg bitych, patrolowanych przez policję. Wszystkich ścieżek nie byli w stanie obstarwić. Za chwilę miało zacząć się ściemniać. Uciekający zyska przewagę wielu godzin długiej, listopadowej nocy.

Dźwięk telefonu wyrwał go z zamyślenia.

- Hagen.

- To ja. - Głos Hołowni był pełen napięcia. - Widzieli go przed chwilą w Piaskach, to niedaleko Woli Uhruskiej, blisko granicy. Miejskowa policja podała to przez radio, dzwonił do mnie właśnie dyżurny drogówki. Wysłałem tam helikopter. W wozie był podobno tylko kierowca. Ja już jestem w drodze. Zaraz wystartują antyterrorysty. Więcej szczegółów dostaniemy za chwilę. Weź swoją część ekipy i grzejcie, ile fabryka dała.

Lokalni próbują go namierzyć, ale nie chciałbym żadnej strzelaniny.

- Czy to pewna informacja?

- O tej porze roku czarne passaty na lubelskich numerach są tam rzadkością - powiedział komisarz. Za to dużo ludzi słucha radia.

- Ten kapuś od nas też już pewnie wie.

- I pewnie robi teraz w gacie ze strachu.

- Albo zaraz przekroczy granicę i tyle go będziemy widzieli.

- Pies go trącał. Teraz najważniejsza jest Sylwia. Jeżeli coś jej się stanie, to osobiście odstrzelę mu jaja.

- Ja tego nie słyszałem.

Hagen znalazł miejscowość na mapie i zakreślił ją długopisem.

- Jedziemy - powiedział.

Po kilkunastu minutach helikopter zlokalizował samochód Własta na leśnej drodze, zanim ten zdążył się schronić w mroku pod gałęziami sosen. Kiedy został wezwany przez megafon do opuszczenia samochodu i położenia się obok z rękoma na głowie, ruszył ostro przed siebie, świadom, że za chwilę pojawi się tam radiowozy.

- Na co on liczy? Samochodem nie ucieknie przed helikopterem, nawet w lesie - zapytał Hołownię, który mu to wszystko opowiadał przez telefon. Minęli właśnie Dorohucze i pozostało im jeszcze co najmniej pięćdziesiąt kilometrów do miejsca, gdzie odbywał się pościg.

- Pewnie liczy na noc. W ciemności spróbuje zmylić pogoń i przedostać się nad rzekę. Być może ma ze sobą jakiś ponton dmuchany czy coś takiego. A może spróbuje wydostać się poza pierścień poszukiwań.

Od momentu namierzenia Własta w stronę ukrytych w lasach, sennych miejscowości zmierzały wozy policyjne z całego województwa. Od czasu przejścia Armii Czerwonej nie wydarzyło się tu nic równie ekscytującego. Toteż im bliżej byli miejsca akcji, tym więcej mijali grup ludzi, stojących przy drodze i gestykulujących w ferworze dyskusji. Zapadła już niemal zupełna ciemność. Snopy świateł drogowych wyrwały z mroku coraz dłuższe odcinki lasów. Według jego wyliczeń znajdowali się w rejonie wyznaczonego spotkania. Hagen niecierpliwie czekał na telefon od komisarza. Kiedy jednak Hołownia zadzwonił, nie miał zbyt wesołego głosu.

- Gdzie jesteś? - zapytał.
- Zaraz za Piaskami. Co się dzieje?
- Przyjeżdż do Kosynia, to raptem jakieś siedem kilometrów. Nie musisz się zbytnio śpieszyć.
- Dlaczego? Co się stało?
- Zabarykadował się na posesji, ma zakładników i pewnie będzie chciał negocjować. Trochę czasu nam się tu zejdzie.
- Co z Sylwią?
- Podobno jest z nim w środku. Przywiózł ją w bagażniku. Tak przynajmniej twierdzi pilot, ale nie mamy pewności, bo wszystko działo się bardzo szybko. Zanim go dobrze złapał reflektorem na podwórku, oni byli już wewnątrz, ale zaklina się, że wprowadził do środka kobietę.
- Jeżeli ona jest tam razem z nim, to lepiej się rozłączmy. Możemy się spodziewać, że do nas zadzwoni.

Odnalezienie Kosynia zajęło mu więcej czasu, niż przypuszczał. Kilka gospodarstw rozrzuconych w różnej odległości od rozjeżdżonej, gruntowej drogi. Drewniane płoty widoczne w świetle reflektorów, ciemność. Spoza drzew zobaczył lunę

światel. Przyspieszył. Policja rozłożyła się obozem wokół gospodarstwa odsuniętego nieco od innych, oddzielonego od wsi niewielkim zagajnikiem. Zapewne ta samotna lokalizacja wpłynęła na wybór porywacza. Teraz miejsce to otoczone było kordonem policji. Reflektory zalewały je falami białego światła. Słysząc było pomruk pracującego generatora dieslowskiego i szczekanie psa. Na terenie posesji nie widział żadnego ruchu. Brama była otwarta. Na środku podwórka okolonego drewnianym płotem stał niewielki, parterowy dom z silikatowej cegły, niegdyś białej. Okna były ciemne, światło reflektorów wydobywało zza szyb zaciągnięte zasłony. Przed domem, zasłaniając wejście, stał zaparkowany czarny volkswagen passat. Hołownia dowodził akcją, ale lada chwila spodziewali się przyjazdu inspektora Mrowca.

- To jest pan Steńko, tutejszy sołtys. - Niski, otyły mężczyzna wyciągnął do niego rękę i Hagen uścisnął dłoń twardą jak kawałek drewna. - Niech pan powtórzy panu inspektorowi z Warszawy to samo, co pan mi mówił przed chwilą.

- Dobrze. To gospodarstwo należy do Heńka Banaszka. Jego brat, Lucjan, o tam stoi. - Wskazał ledwo majaczącą w mroku postać. - Gospodaruje w następnym domu za laskiem. - Machnął ręką w kierunku, z którego Hagen przed chwilą przyjechał. - Tak jak pan pytał, w domu jest ich czworo. Heniek, jego żona Ala i dzieciaki. Starszy jest Piotrek, ma tak z dziesięć, jedenaście lat, a córka to jeszcze całkiem malutka, może ma z rok, albo i to nie. Tam za domem jest stodoła, obok, po prawej, jest chlew, obora, kurnik i drewnutnia. Nie pamiętam, ile mają sztuk zwierzyny, trzeba by się Lucjana spytać. W domu są te

drzwi, co widać, i drugie z tyłu na podwórko. Tam przy stodole jest buda, słycać, jak pies ujada.

- Nie widać go - zauważył Hagen.

- Bo pewnie wlaźł do środka ze strachu. Nigdy tu czegoś takiego nie widział.

- Dobrze. Musimy zrobić plan posesji i jak najdokładniejszy plan budynku. Niech pan poprosi pana Lucjana.

- Tak jest.

Sołtys zniknął w ciemności za samochodem.

- Trzeba będzie ludzi pokwaterować po wsi - stwierdził komisarz, rozglądając się dookoła. - Sprawa nie skończy się w dwie godziny. Cholera.

- To jest bardzo delikatna sytuacja - powiedział Hagen w zamyśleniu. - Cokolwiek by się działo, musimy trzymać media jak najdalej stąd. Wyciągnijmy od miejscowych wszystkie potrzebne informacje, a potem trzeba odciąć tę posesję kordonem i postawić posterunki na drogach. - Zapiął kurtkę, listopadowy chłód zaczął go już kąsać przez gruby sweter. - Lepiej ściągnijmy jakieś ekstraokrycia dla ludzi i dużo gorących napojów. W nocy mają być silne przymrozki.

Kiedy możliwie dokładny plan domu z drzwiami wewnętrznymi, rodzajem ścian i rozmieszczeniem mebli był już narysowany, odesłali wszystkich mieszkańców poza wyznaczoną granicę kordonu. Na razie nie pozostawało im nic innego do roboty, jak czekać.

Hagen wsiadł do swojego samochodu, włączył silnik i pokręcił ogrzewanie. Na szczęście miał prawie pełny bak, nie grozi mu, że zamarznie. Poświata reflektorów wlewała się do środka, zanurzając wnętrze wozu w niekończącym się zmierzchu. Znowu wróciła myśl o Sylwii. Gdyby nie jego polecenie,

nie byłoby jej tu. Ciężar odpowiedzialności za nią leżał mu na piersiach i ugniatał jak potężny kamień. Nie wiedział nawet, czy żyła! Ten drań mógł ją już zamordować, a oni nie mieliby o tym pojęcia. Narastała w nim wściekłość na Własta, tego bandytę w białym kołnierzyku, dyrektora finansowego. Jeśli zrobi jej krzywdę, pomyślał, nie wypuszczę go stąd żywego. Spojrzał na zegar, dochodziła siódma. Odchylił fotel i przymknął oczy. Przed nimi była długa noc.

Obudził go sygnał telefonu stojącego w zestawie głośnomówiącym. Spojrzał na wyświetlacz i cała senność zniknęła w okamgnieniu. Dzwoniła Sylwia.

- Hagen.

- Witam, panie inspektorze. - Głos Własta był spokojny i wyprany z emocji. Można było odnieść wrażenie, że rozmawiają w jego gabinecie w Caritasie. - Tu jest słabiutki zasięg, więc może przerywać, proszę nie wyciągać pochopnych wniosków, gdyby połączenie nagle zamilkło.

- Rozumiem. Zanim w ogóle będziemy mogli zacząć rozmowę, proszę mi dać do telefonu funkcjonariuszkę policji, którą pan porwał.

- Proszę bardzo. - Włast zgodził się od razu. - Nic jej nie jest.

- Pan inspektor?

Fala ulgi zalała go jak wiosenna powódź. Jej głos nie brzmiał zbyt mocno, ale trudno było się dziwić po tym wszystkim, co przeżyła.

- Tak, to ja. Nic ci nie jest?

- Nic, tylko jestem trochę obolała, bo jechałam po tych wertepach w bagażniku ze związanymi rękami i nogami. Przepraszam za tę sytuację, ale przystawił mi nagle pistolet do głowy...

Jej głos zanikł i znowu odezwał się Włast.

- Jest cała, tak jak powiedziałem, i nic jej się nie stanie, jeżeli zachowacie rozsądek. Teraz proszę posłuchać, co mam do powiedzenia.

- Dobrze, ale proszę chwilę zaczekać, akcją tutaj kieruje komisarz Hołownia, sądzę, że będzie rozsądnie, kiedy także usłyszycy, co pan ma do powiedzenia.

- Proszę oddzwonić, jak będziecie gotowi - powiedział Włast i rozłączył się.

Po chwili Hołownia siedział już obok niego, a na tylnym siedzeniu usadowił się Mrowiec, szef antyterrorystów i dr Zawistowska. Hagen wybrał numer Sylwii i włączył dyktafon.

- Wszyscy w komplecie? - zapytał Włast.

- Jest ze mną komisarz Hołownia, on tutaj dowodzi.

- Witam, komisarzu.

- Panie Włast. - Hołownia poprawił się na siedzeniu obok Hageny. - Nic się nikomu do tej pory nie stało. Niech pan nie pogarsza swojej sytuacji. Niech pan wyjdzie z budynku głównymi drzwiami, z rękoma do góry i idzie wolno w stronę bramy.

- Już pan skończył? - zapytał Włast uprzejmym tonem. - Inspektor Hagen nie plótl przynajmniej nigdy takich dyrdymałów, chociaż też do orłów nie należy. Posłuchajcie mnie teraz i nie przerywajcie, bo nie będę się powtarzał. Po pierwsze, mam tu troje dorosłych i dwoje dzieci. Jeżeli nie chcecie jatki, to róbcie bez szemrania wszystko, co wam każę. Po drugie, nie martwcie się, nie mam wielkich wymagań. Żądam przepuszczenia mojego samochodu do Świdnika. Tam na pasie startowym od siódmej rano ma czekać przygotowany dwumiejscowy samolot, najlepiej CSS-13, z pilotem i pełnym bakiem paliwa. Jak widzicie, nie chcę nic wielkiego. Czekam na

potwierdzenie zgody na moje żądania w ciągu godziny. Jeżeli się nie odezwiecie, zabiję pierwszego zakładnika. Pan inspektor wie, że nie żartuję.

- W ciągu godziny nie zdążymy przeprowadzić wszystkich konsultacji - powiedział szybko Hołownia.

- To się postarajcie - warknął głos z drugiej strony i rozmowa została przerwana.

- No i co? - Hagen odwrócił się w stronę tylnego siedzenia.

- Co pani sądzi?

- Trudno coś powiedzieć po tak krótkiej wymianie zdań, ale jeżeli pana pytanie zmierza do tego, czy spełni swoją groźbę, to sądzę, że takie ryzyko istnieje.

- On wydaje się pańskim fanem, inspektorze - powiedział Mrowiec, uśmiechając się lekko.

- Uwielbia mnie, to prawda. Co robimy z tymi żądaniem?

- Zgadza się, rzecz jasna - odparł szef antyterrorystów, krótko ostrzyżony blondyn około trzydziestki. - Samochód, lotnisko, będzie mnóstwo okazji, żeby go obezwładnić. To amator.

- Nie jest głupi - powiedział Hagen.

- I pan jest jego fanem. - Mrowiec uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Hagen spojrział na budynek zalany trupim światłem rtęciowych lamp. Nie miał zamiaru dać się teraz sprowokować inspektorowi.

- A co pan sądzi? Takie spojrzenie osoby niezbyt zorientowanej w szczegółach sprawy może być dla nas wszystkich cenne - powiedział.

Uśmiech Mrowca zgasł i Hagen zauważył, jak zacisnął szczęki. Profil siedzącego obok niego Hołowni uśmiechnął się w sposób niedostrzegalny dla przełożonego.

- Zgadzam się z komisarzem Chłostą - odpowiedział. - Wyciągnijmy go z tej nory i przy pierwszej okazji kula w łeb. Czy pana ludzie są gotowi?

Szef antyterrorystów, komisarz Chłosta, skinął głową.

- Rozmieścimy strzelców wyborowych we wszystkich newralgicznych miejscach. Jak tylko wyjdzie na otwartą przestrzeń, nie ma szans.

- Lotnisko w Świdniku jest spore - zauważył Hołownia.

- Poradzimy sobie.

- Zapewne. - Hagen znowu obrócił się do tyłu. - Nie uważacie jednak, panowie, że zależy nam na nim żywym? Teraz, kiedy Cieślik zniknął za granicą i diabli wiedzą, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczymy, Włast jest naszym głównym podejrzanym i świadkiem zarazem.

- Są jeszcze ci dwaj, Jeleński i Krężel - odparł Mrowiec. - Będziemy pewnie mieli okazję z nimi porozmawiać. Ten tutaj to pieprzony morderca, który grozi śmiercią policjantce. Nie będziemy się z nim patyczkować. Najważniejsze jest dobro zakładników.

- Z terrorystami nie ma się co patyczkować - przytaknął Chłosta. - Jeżeli się nie podda, to zabijemy go jak psa.

- Dzwonię do Świdnika - powiedział Mrowiec. - Za... - spojrzął na zegarek - ...czterdzieści pięć minut niech pan do niego zadzwoni, komisarzu, i zgodzi się na jego warunki.

- Jak sądzisz, dokąd on chce lecieć? - zapytał Hagen Hołownię, kiedy za Mrowcem i Chłostą zatrzasnęły się drzwi i na tylnym siedzeniu została tylko ciemna postać doktor Zawistowskiej.

- Jeżeli robili z Cieślikiem interesy na Ukrainie, to pewnie mają tam całą sieć kontaktów. Sądzę, że polecą bardzo nisko,

żeby nie być dobrze widoczni na radarach, przekroczą granicę i każe pilotowi wylądować w dogodnym miejscu, a sam spróbuje się rozplynać.

- Może mu się udać?

Komisarz wzruszył ramionami.

- Do Lwowa jest siedemdziesiąt kilometrów od granicy - powiedział. - To raptem kilkanaście minut lotu. Usiądzie gdzieś na drodze, koło wielkiego osiedla, takiego ichniego Ursynowa i szukaj wiatru w polu.

- A co tamtejsza policja?

- Trudno powiedzieć, wszystko zależy od tego, jak duża jest struktura po drugiej stronie granicy.

- Tu było zaangażowanych raptem kilka osób.

- Przynajmniej o tylu wiemy.

- Jednak tych kilka osób miało kontakt w komendzie wojewódzkiej. Po co im takie dojścia, jeżeli handlowali nielegalnie darami po ukraińskiej stronie? To się zawsze wiąże z ryzykiem i zazwyczaj ze sporymi kosztami. Gdyby pojawiły się jakieś nieprawidłowości, to śledztwo miałoby raczej charakter wewnętrzny, kościelny, lub byłoby prowadzone po ukraińskiej stronie.

- Może ci Daniszewscy mają jeszcze trzecią córkę i to była po prostu rodzinna przysługa?

Hagen uśmiechnął się.

- Kto wie, może jakaś kuzynka?

Zadzwoił telefon i komisarz odebrał. Ktoś zdawał raport i Hołownia słuchał dłuższą chwilę.

- To na pewno on? - zapytał wreszcie. - Dziękuję. To Florczak - powiedział. - Ci z telefonów namierzyli sygnał komórki Jeleńskiego. Drogówka znalazła jego samochód w lesie przy drodze na Teosin. To już tuż koło granicy. Jeleński był w bagażniku, nafaszerowany ołowiem. Dostał co najmniej trzy strzały z przystawienia, w tym co najmniej jedną kulę w plecy.

- To na pewno on? - Hagen powtórzył pytanie.
- Tak. Miał przy sobie prawo jazdy, a poza tym zrobili mu fotki i pokazali rodzinie. To na pewno on.
- Nie patyczkują się. To nieco uwiarygodnia groźby tego skurczybyka tutaj. - Wskazał dom przed nimi, oświetlony niczym okno wystawowe. - Jak na opylane na lewo mleko w proszku to coś za dużo tu trupów.
- Ciekawe, co z Krężelem?
- Nęcki cały czas go szuka, ale na razie przepadł jak kamień w wodę.
- Oby chociaż jego udało się schwytać żywego. Mam wrażenie, że był blisko z Cieślikiem, może od niego się dowiemy, co tu było grane.

Kilka minut przed upływem ultimatum Hołownia zadzwonił i przekazał odpowiedź.

- Nie radzę nic kombinować - powiedział Włast. - Jestem przygotowany na wszystkie ewentualności, łącznie z detonacją granatu ręcznego, jeżeli spróbujecie odbić zakładników. Do usłyszenia.
- Blefuje - powiedział Chłosta.
- Być może. Nie będę ryzykował życia aspirantki Sobczuk, żeby to sprawdzić. Czekamy na jego telefon, obserwujemy dom. Mysz ma się nie prześliznąć. Żadnych kroków bez mojej zgody. - Hołownia spojrzał znacząco na Chłostę. Ten wzruszył ramionami.
- Blefuje - powiedział jeszcze raz i odszedł.

Przygotowania w Świdniku miały trwać całą noc. W samolocie montowano dwa ukryte nadajniki GPS. Inne samoloty miały stać w gotowości, aby śledzić ich lot, startując z pobliskich lotnisk polowych. W pogotowiu miały być również śmigłowce po obu stronach granicy, porozumiano się z wojskami

ochrony przeciwlotniczej i strażą graniczną. Ustalenia i dyskusje, jak najlepiej wszystko zorganizować, ciągnęły się do późnych godzin. Kilkakrotnie kontaktowali się z ukraińską milicją, przekazano im wszystkie dane i zdjęcia porywacza oraz jego ofiar. Przed dwunastą Mrowiec wyjechał, żeby dopilnować wszystkiego na miejscu.

O wpół do pierwszej zadzwonił telefon. Numer, który wyświetlił się na ekranie, nic mu nie mówił.

- Hagen.

- Władysław Krężel z Trans-Ostu - odezwał się znajomy głos. - Pamięta mnie pan?

Zaskoczenie było zupełne i przez chwilę miał wrażenie, że się przesłyszał. Kiedy oprzytomniał, włączył nagrywanie w telefonie.

- Owszem, pamiętam. O co chodzi?

- Zostawił pan swoją wizytówkę, kiedy był pan u nas ostatnio, więc dzwonię - powiedział dyspozytor. Jego głos był spokojny, przesiąknięty tą samą drwiną, którą pamiętał z poprzedniego spotkania. - Proszę o tej rozmowie nie informować nikogo z komendy wojewódzkiej.

- Dlaczego?

- Jeden z waszych ludzi, co najmniej jeden, pracuje dla Cieślika i dla Własta. Boję się, że przydarzy mi się jakieś nieszczęście, jeżeli oddam się w ręce ludzi z Lublina.

- Wiesz, kto to jest?

- Niestety nie. Wiem tylko, że to ktoś z samej góry. Tak mi kiedyś powiedział Cieślik.

- Gdzie jesteś?

- Nie powiem panu, bo będziecie chcieli mnie złapać, a ja chcę przyjść do was sam, z własnej woli.

- Czego chcesz?
- Spotkać się w większym gronie.
- To znaczy?
- Chcę się spotkać jutro rano, o dziewiątej, na placu Litewskim. Proszę, aby z waszej strony stawił się prokurator prowadzący sprawę i pan, bo pana znam i wiem, że pan nie jest stąd. Proszę zabrać ze sobą jakichś młodszych funkcjonariuszy, ale nikogo od stopnia komisarza wzwyż. Chyba że panu nie zależy na rozwiązaniu tej sprawy. Postoićcie państwo chwilę, ja się rozejrzę i sam podejść.

- Zostanie pan aresztowany.

- Wiem. Po to się zgłaszam. Nie jest mi tylko wszystko jedno, kto mi założy kajdanki.

Hagen spojrział na jasno oświetlony budynek.

- Obawiam się, że godzina dziewiąta nie wchodzi w rachubę. - Przez chwilę miał wrażenie, jakby umawiał się na randkę.

- O której zatem?

- Umówmy się na czternastą - powiedział.

- Zrozumiałem. Spodziewam się zobaczyć pana pod pomnikiem Unii Lubelskiej o czternastej. Kilka minut później będziemy już mogli porozmawiać bezpośrednio, a zapewniam, że mam ciekawe rzeczy do powiedzenia. - Rozłączył się.

Hagen zapisał numer telefonu, z którym właśnie rozmawiał, w spisie kontaktów jako Krężel. Teraz chyba nic nie mogło go już zadziwić. Zadzwoił do Nęckiego. Kazał mu być gotowym, po cywilnemu, ale z bronią i w kamizelce kuloodpornej, w restauracji „Lublinianka” o 13.30. Sprawa jest absolutnie tajna, nikomu ani słowa. Nikomu - powtórzył z naciskiem. Potem zadzwonił do Joanny i po raz pierwszy usłyszał głos jej męża.

- Tarnawski, słucham.
- Inspektor Hagen - przedstawił się. - Czy mogę rozmawiać z panią prokurator? Sprawa jest bardzo pilna.
- Słucham, Tarnawska. - Zaspany głos Joanny sugerował, że scena rozgrywała się w sypialni. Poczul ukłucie zazdrości.
- To ja. Musimy spotkać się jutro o trzynastej trzydzieści w restauracji hotelu „Lublinianka”. Akcja jest ściśle tajna.
- O co chodzi?
- To się nie nadaje na telefon, ale jest bezpośrednio związane z naszą sprawą.
- Rozumiem - powiedziała. - Będę rano w Świdniku, może zdążymy zamienić parę słów. Dobranoc.

O trzeciej zadzwonili z nasłuchu elektronicznego. Na numer zidentyfikowany jako telefon na kartę należący do Własta przyszedł SMS: „Rota jestem bezpieczny DD3”. Ustalili z operatorem, że wiadomość zostanie zatrzymana i nie będzie dostępna dla aparatu porywacza. Wszystkie próby zadzwonienia do niego miały być monitorowane i odrzucane. Wiadomości, które on próbował wysłać, również grzęzły w skrzynce u operatora. Nie było ich dużo. „Wszystko w porządku nie martw się całuję” do żony i „Rota będę dzisiaj leciał ze Świdnika do PK1” na znany im już, niezarejestrowany numer należący do Cieślika.

Do nich Włast zadzwonił przed szóstą.

- Za dziesięć minut ruszamy - powiedział. - Proszę wyłączyć reflektory.
- Chciałbyś czmychnąć do lasu? - W głosie Hołowni słychać było szyderstwo.
- Możecie sobie otoczyć gospodarstwo batalionem wojska, nie obchodzi mnie to. Wyłączcie reflektory. - Rozłączył się.

- Zgaście to - nakazał komisarz. - Zostawcie jeden, z boku, nie chcemy tu mieć egipskich ciemności. Boi się snajperów, cwaniaczek.

Samochody włączyły silniki, zapaliły światła drogowe i po chwili jedna po drugiej potężne lampy zaczęły gasnąć. Dom z białej cegły i stojący przed nim samochód znalazły się we względnym półmroku. W tej samej chwili kiedy zmieniło się natężenie światła, drzwi budynku otworzyły się i zbита grupa postaci przesunęła się w stronę samochodu. Usłyszał głos Własta: „Szybciej, szybciej!”. Trzasnęły drzwiczki samochodu, wszyscy byli już w środku. Nie widział dokładnie, co tam się działo. Miał wrażenie, że kłębią się i kotłują niezliczone ilości rąk i nóg. Po chwili uświadomił sobie, że porywacz przepycha jednego z zakładników przez fotel kierowcy na miejsce dla pasażera. Kilka minut później telefon zadzwonił jeszcze raz.

- Ruszamy. Jeden fałszywy ruch z waszej strony i uroczą Sylwia dostaje kulkę w brzuch. - Włast pomachał im przez szybę trzymanym w ręku pistoletem. - Dobra wiadomość jest taka, że dzieciaki zostawiam w domu, więc niech ktoś się nimi zajmie.

W tym momencie usłyszeli odgłos włączanego silnika i światła volkswagena zapaliły się.

- W drogę - powiedział Włast i rozłączył się.

Czarny passat przetoczył się obok samochodu Hageny. Widział przez chwilę profil Sylwii. Siedziała z przodu, na miejscu dla pasażera, ze spuszczoną głową. Miał wrażenie, że tylko zapięty pas trzyma ją w pozycji siedzącej. Tylne siedzenie sprawiało wrażenie pustego, widocznie Banaszkowie leżeli na nim jak snopy siana.

Ruszyli. Kawalkadę pojazdów otwierał policyjny radiowóz, za nim jechał mikrobuz z antyterrorystami, potem samochód Własta, potem znowu antyterrorysty, kolejne radiowozy i na końcu Hagen w swoim prywatnym samochodzie. Po wyjechaniu na utwardzoną nawierzchnię kolumna utrzymywała prędkość około 70 kilometrów na godzinę. Droga do Świdnika upływała bez jakichkolwiek zakłóceń. Hagen miał nadzieję, że uspiło to choć trochę czujność porywacza. Musiał być przecież zmęczony. Ucieczka, pogoń, porwanie, negocjacje, strach, że w każdej chwili do domu mogą wpaść antyterrorysty... Można było mieć pewność, że nie spał tej nocy. Z każdą chwilą rosła szansa, że popełni błąd. Zaczęło się rozwidniać i kiedy dojeżdżali na miejsce, było już zupełnie jasno. W świetle dnia wczorajsza nocna rozmowa z dyspozytorem wydawała się zupełnie nierealna. Przesłuchał ją sobie podczas jazdy, żeby się upewnić, że mu się nie przyśniła. Właśnie skończył i odłożył telefon, kiedy minęli zieloną tablicę z napisem *Świdnik*.

Kawalkada kierowana przez policjantów z drogówki, wstrzymujących dla nich ruch na skrzyżowaniach, zbliżała się do celu. Lotnisko było wielkim, płaskim terenem pokrytym brązowymi resztkami trawy. Na jego obrzeżu widać było odległe pozostałości jakichś konstrukcji, dalej domy mieszkalne. Tak się to miało do tego, co normalnie rozumie się jako lotnisko, jak klub golfowy w Szczekarkowie do swoich odpowiedników z Marbelli. Radiowozy z funkcjonariuszami mundurowymi zatrzymały się przy wjeździe na teren lotniska, reszta powoli toczyła się naprzód. Podjechali pod wielki hangar, przed którym w odległości około siedemdziesięciu metrów stał stary, dwumiejscowy samolot. Wszystkie samochody zatrzymały się, oprócz czarnego passata Własta, który nagle przyspieszył i przejechawszy kilkadziesiąt metrów po trawie stanął obok samolotu. Z mikrobusu wysypali się antyterrorysty i zajęli dogodnie pozycje do strzału.

Wszystko zamarło w bezruchu. Z hangaru wyszedł jakiś człowiek i podszedł do pilotującego ich radiowozu. Hagen wyłączył silnik, wysiadł i podszedł do samochodu komisarza. Omiótł wzrokiem teren. Nigdzie nie było widać Mrowca, Joanny ani strzelców wyborowych. Oprócz ich grupy i człowieka w

kombinezonie teren lotniska zdawał się zupełnie pusty. Odezwwał się sygnał telefonu, na ekranie pojawiło się imię „Sylwia”. Zaczynała się wielka rozgrywka finałowa.

- Gdzie jest pilot? - zapytał Włast.

- Mamy kłopot - powiedział Hołownia. - Ludzie boją się z tobą lecieć. Potrzebują jakiejś gwarancji, że wyjdą z tego cało.

- No to macie rzeczywiście kłopot. - Głos Własta nie był tak przepełniony wściekłością, złością i rozczarowaniem, jak powinien być. Teraz powinien zażądać pilota, grożąc zabiciem zakładnika, i dostałby go, bo jeden z oficerów zgodził się z nim lecieć. Mieli podbić stawkę, zbudować dodatkowe napięcie, sprowokować go do jakiegoś błędu. Hagen zdał sobie nagle sprawę, że być może tamten spodziewał się takiego rozwoju wypadków od samego początku. Wyszeptał to komisarzowi do ucha. Ten skinął głową, przyjmując do wiadomości, ale nie będąc do końca przekonany.

- Gdzie są spadochrony? - zapytał Włast po chwili męczącej ciszy.

Hołownia spojrział pytająco na człowieka w kombinezonie.

- Dwa spadochrony są w środku, pod fotelami - powiedział mechanik. Hołownia powtórzył.

- Zobaczmy. Radzę wam, tylko bez głupich sztuczek, bo zginą niewinni ludzie.

Włast się rozłączył. Zobaczyli jakiś ruch w samochodzie i po chwili otworzyły się lewe tylne drzwi. Wysiadł z nich niski, szczupły mężczyzna. Banaszek. Wolnym krokiem, utykając lekko, obszedł tył samochodu. Hagen wziął lornetkę od policjanta i zauważył, że idący przygląda się temu, co dzieje się w

samochodzie. Włast siedział zwrócony w prawo. Hagen dostrzegł, że kobieta z tylnego siedzenia, żona Banaszka, siedzi pochylona do przodu, z głową wtłoczoną między przednie fotele. Włast trzymał ją za włosy, do skroni przytknął jej pistolet. Hagen zauważył, że porywacz rozgląda się szybko na wszystkie strony. Wyraźnie spodziewał się zasadzki. Szyba od strony samolotu opuściła się. Włast krzyknął do mężczyzny coś, czego nie zrozumieli, a ten pokiwał głową. Wszedł na drabinkę przystawioną do samolotu i pochylił się do środka. Trwał jakiś czas w tej pozycji, szukając czegoś i wreszcie wyjął dwa spadochrony. Z trudem zszedł z nimi na ziemię i podał je przez okno do samochodu, a potem stał jeszcze chwilę, trzymając ręce w środku. Hagen zorientował się, że Włast go wiąże. Potem obszedł samochód. Posługując się skrzepowanymi dłońmi, otworzył te same drzwi, którymi wysiadł kilka minut wcześniej i zniknął w środku. Zapadła cisza.

- Sprawdza spadochrony, sukinsyn - wycedził Chłosta przez zęby. - Musi się na tym znać.

- Kombinowaliście coś ze spadochronami? - spytał Hołownia.

W jego głosie Hagen usłyszał nabrzmiewający gniew.

- Nie. - Antyterrorysta wpatrywał się w samochód porywacza. - Mówię tylko, że jeżeli chce sprawdzać spadochrony, to musiał mieć już z nimi coś wcześniej do czynienia. To chyba jasne.

Wyprostował się i podszedł do jednego ze swoich ludzi, który cicho mówił cały czas do mikrofonu.

Hagen miał wrażenie, że Hołownia kieruje tą akcją tylko nominalnie. Widział, że Chłosta słucha Mrowca i że podjęte zostały już jakieś dodatkowe ustalenia, niezależnie od tego, co

planowali wczoraj wieczorem. Podzielił się tymi przemyśleniami z komisarzem. Hołownia skinął głową.

- Tak właśnie jest. Ja nie mam żadnego przełożenia służbowego na Chłostę - powiedział - a Mrowiec jest jego bezpośrednim szefem. Nie widzę tylko powodu, dlaczego mieliby coś kombinować na boku. Brak właściwej koordynacji może zagrozić całej akcji.

- Gdzie jest Mrowiec? - zapytał Hagen.

- Nie mam pojęcia. Teoretycznie nie jest tu do niczego potrzebny.

- Miała tu być prokurator Tarnawska, ale też się nie pojawiła.

Hołownia machnął ręką.

- Pies z nimi tańczył. Aby tylko ten tutaj wreszcie się namyślił. Zobaczymy, co teraz wykombinuje, skoro niedostał pilota.

Czekali jeszcze ponad pół godziny. Wreszcie zadzwonił telefon.

- Teraz wyjdziemy z samochodu. Jeden fałszywy ruch z waszej strony i strzelam. Ja nie mam nic do stracenia, a wy macie tych ludzi i swoje kariery. - Właściciel rozłączył się.

- Co on, do cholery, robi?! - Hołownia odwrócił się do inspektora.

- Sądzę, że on umie latać - powiedział Hagen cicho, tak jakby siedzący w czarnym volkswagenie mogli go usłyszeć. - Poleci sam. Zaplanował to od początku, z pilotem to była tylko taka zmyłka. Obawiam się też, że nie będzie lądował, tylko wyskoczy dla zmylenia śladów.

- Niech to szlag. - Hołownia włączył radio i przekazał tę informację wszystkim jednostkom. - Nie strzelać bez rozkazu - dodał jeszcze.

Przednie i tylne drzwi samochodu od strony pasażera otworzyły się w tym samym momencie. Niepewnie, powoli wynurzyły się z wnętrza dwie postacie. Sylwia i Alina Banaszek. Stały, chwiejąc się lekko, kiedy obok nich przeciskali się mężczyźni. Widział, jak porywacz jeszcze raz sprawdzał im więzy na rękach i nogach. Potem Włost, ze spadochronem na plecach, otoczył się nimi jak żywą tarczą i ruszył. Powoli, pochylony, z pistoletem w jednej ręce, drugą sterował całą grupą, pilnując, by być szczelnie przez nich zakryty od strony patrzących. Szli krok za krokiem, nogi powiązane ze sobą około półmetrową linką wykonywały szarpiące, posuwiste kroki, jakby próbowali iść po bardzo śliskiej nawierzchni.

Hagen rzucił szybkie spojrzenie w bok. Antyterrorysty trzymali podniesioną broń, ale nie składali się do strzału. Tu nie było żadnych niespodzianek. Podoficer od Chłosty cały czas mówił coś do małego mikrofonu wpiętego w kołnierz. Hagen zorientował się, że nikt nie filmuje akcji.

Do przejścia mieli tylko kilka metrów, ale czas zdawał się rozciągać w nieskończoność. Wolał nie wyobrazać sobie, co przeżywała Sylwia. Wreszcie dotarli do drabinki. Włost przyciągnął do siebie obydwójce Banaszków, przytulając się do nich, a Sylwii wskazał ręką z pistoletem, żeby weszła do samolotu i usiadła na przednim miejscu. Sylwia zawahała się i Włost szturchnął ją lufą w żebra tak, że aż się zachwiała. Podtrzymała ją linka, którą miał w ręku. Powoli, niezdarnie pomagając sobie związanymi rękami, zaczęła wspinać się do góry.

- Nie dał jej spadochronu, skurwysyn! - syknął do Hołowni. - Kiedy sam wyskoczy, ona zginie w katastrofie samolotu. Nie można mu dać wystartować!

Hołownia podszedł spiesznie do Chłosty, zaczął mówić coś do niego przyciszonym głosem.

Sylwia stanęła na szczycie drabinki i zatrzymała się, patrząc w głąb kabiny samolotu, a potem spojrzała na Własta. Nie wiedziała chyba, jak przekroczyć burtę ze skrepowanymi rękami i nogami. Powiedział coś do niej i powoli, niezdarnie zaczęła gramolić się do środka. Spojrzał na Hołownię, który czerwony na twarzy szarpał antyterrorystę za ramię. Chłosta wyrwał rękę z jego uścisku i cofnął się o krok. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie wściekłości. Nie chcieli zmienić planów akcji. Hołownia podniósł do ucha telefon komórkowy.

Sylwia usiadła w kabinie na przednim fotelu. Teraz Włast zaczął wchodzić na schodki, tyłem, kuląc się za ciałami małżonków. Wzrokiem kontrolował hangar, wozy policyjne i funkcjonariuszy. Banaszkowe powoli posuwali się za nim, stojąc cały czas o stopień niżej. Związanymi rękoma przytrzymywali się poręczy schodków. Lufa pistoletu chwiała się miarowo, w miarę jak cała grupa mozolnie pięła się w górę. Jeszcze kilka minut i wzbije się w powietrze, skazując dziewczynę na śmierć. Hagen zagryzł wargę do krwi. Był zupełnie bezradny. Nie dowodził tu, nie mógł nic zrobić...

Zarysy głów pojawiły się na tle nieba powyżej burty samolotu. Włast wsparł się dłonią o krawędź, dźwignął się o kolejny stopień w górę i spojrzał w stronę Sylwii. Huk, czerwona chmura tryska w powietrze i kłęb ciał wali się w dół jak lawina kamieni. Przerażliwy, nieludzki wrzask przesywa powietrze, wszyscy rzucają się w stronę samolotu. Z boku słychać syrenę, zza hangaru wypada ambulans, pędzi, trzęsąc się na nierównościach gruntu. Hagen jest na miejscu jednym z pierwszych,

widzi kobietę leżącą na ziemi, z twarzą pokrytą krwią, to ona tak krzyczy, mężczyzna próbuje wstać, podtrzymują go policjanci. Włast leży na brzuchu, dziwnie, nienaturalnie wygięty, jego nogi spoczywają jeszcze na stopniach drabinki, a twarz zanurzona jest w mokrej, obumarłej trawie. Hagen odwraca go na wznak. Wielka dziura zieje tam, gdzie kiedyś było lewe oko. Prawe, otwarte, nieruchomo wpatruje się w ołowiane niebo. Z poszarpanej rozpadliny wypełnionej miazgą resztek mózgu, kości i gałki ocznej, wypływa duża, lepka kropla krwi i powoli toczy się po policzku, jak czerwona łąza.

Spojrzał w górę. Z drugiej kabiny samolotu wynurzył się człowiek w czarnej kominiarce i czarnej kamizelce kuloodpornej z napisem *POLICJA*. Przy jego ustach zamajaczyła cienka kreska mikrofonu. Broń, z której zabił Własta, miał już schowaną w kaburze. Lekko zeskoczył obok ciała. Policjanci rozstąpili się przed nim, a on szybkim krokiem ruszył w stronę hangaru.

Banaszkowa przestała już krzyczeć, lkała tylko w ramionach męża, sanitariusz obmywał jej twarz gąbką. Hagen wziął nóż od funkcjonariusza, który przeciął więzy małżonkom i pośpiesznie wspiął się na drabinkę. Sylwia siedziała, patrząc prosto przed siebie.

- Już po wszystkim - powiedział i pogłaskał delikatnie jej włosy. - Daj ręce.

Powoli podniosła skrępowane nadgarstki do góry. Nóż przeciął plastikowy sznur do bielizny i jej dłonie opadły zaraz na kolana, jakby ważyły zbyt wiele, by tak długo być w górze.

- Już po wszystkim - powtórzył. - Chodź. Chodź do mnie. Wstań.

Powoli, jak we śnie, uniosła się z fotela, a potem przechyliła się bezwładnie, wpadając w jego ramiona. Objął ją i utulił jak dziecko.

- Kto to, kurwa, był i skąd się tu, kurwa, wziął?! - Hołownia, nominalnie dowódca akcji, nie mógł dojść do siebie po tym, co zobaczył i o czym nie miał wcześniej zielonego pojęcia. - Przeszedł tędy, jakby nas tu w ogóle nie było, wszedł do hangaru i tyleśmy go widzieli.

- Nie próbowałeś go zatrzymać?

- Nie, bo za mną stał już Mrowiec i syczał mi do ucha: „zadnych głupich pytań”.

Hagen usiadł ciężko na siedzeniu obok niego i nalał sobie kawy z termosu, który przed chwilą zabrał jednemu z antyterrorystów.

- Chcesz? - Podsunął kubek komisarzowi.

Ten patrzył na niego przez chwilę, jakby nie rozumiał pytania, ale potem wzrok mu zlągodniał i spoczął na powierzchni ciemnego, parującego płynu.

- Dawaj.

Wziął kubek i delikatnie dmuchając na gorącą zawartość, napił się kilka łyków. Hagen nalał też sobie, zakręcił termos i odstawił na podłogę.

- To był egzekutor - powiedział wreszcie. – Nie wiem, pod kogo tak naprawdę są podpięci. Prawie nikt nie zna ich twarzy ani nazwisk. Może był z GROM-u, może z BOR-u, może z brygady antyterrorystycznej, a może to wolny strzelec, facet ze Specnazu czy czegoś w tym rodzaju. Dostają rozkaz, wykonują go i znikają.

Usłyszeli stłumiony huk z hangaru.

- Snajper przestrzelił karabin - oświadczył Hagen. - Zaliczy teraz premię za wykonanie ważnego zadania.

Milczeli chwilę.

- Więc jego tu oficjalnie w ogóle nie było?
- Kogo? - Hagen uniósł brwi w grymasie bezbrzeżnego zdumienia.

Hołownia uśmiechnął się i opadł na oparcie fotela.

- To oznacza, że decyzję podjęto na samej górze. Komendant policji, prokurator krajowy i co najmniej po dwóch zastępców. Prośba musiała wyjść od was z samej góry.

- To nie twoja robota?

- Ja nie mam takiego przełożenia. To musi iść przez komendanta wojewódzkiego i prokuraturę okręgową. Nie prośba o egzekutora, bynajmniej, ale zgoda na zastosowanie nadzwyczajnych środków.

- Stąd nieobecność pani prokurator?

- Pewnie tak. Im mniej świadków, tym lepiej. Sądzę, że już wkrótce dowiemy się, w czym rzecz.

Kilkanaście minut później stali na płycie lotniska razem z Mrowcem i Chłostą. Mrowiec palił papierosa, wiatr szarpał połami jego płaszcz, które zagarniał drugą ręką. Karetki z zakładnikami i z ciałem porywacza zniknęły już z pola widzenia, mechanicy odprowadzali samolot do hangaru, antyterrorysty siedzieli w samochodach. Jeszcze chwila, a będzie tu znowu pusto i cicho, jakby nic się nie wydarzyło.

Mrowiec rzucił niedopałek i przydeptał go obcasem.

- Panowie, żeby nie było wątpliwości. Decyzja o takim, a nie innym załatwieniu tej sprawy została podjęta przez pana komendanta w porozumieniu z dyrektorem Barskim i zaaprobowana przez komendanta głównego. W świetle ujawnionego przez podsłuchy przecieku, dla dobra akcji musiało o tym planie wiedzieć jak najmniej osób. Siłą rzeczy w sprawę musiałem być wprowadzony ja, komisarz Chłosta i jeden z podoficerów,

który utrzymywał z... -Mrowiec szukał odpowiedniego słowa. - Utrzymywał z naszym człowiekiem stały kontakt radiowy. Służył mu, można tak powiedzieć, za oczy i uszy. Jak widzieliśmy, operacja zakończyła się pełnym sukcesem, porywacz nie żyje, nikomu innemu nic się nie stało. Pytania?

Nie było żadnych pytań.

W restauracji hotelu „Lublinianka”, której okna wychodzą na ruchliwe o tej porze dnia Krakowskie Przedmieście, Hagen i Joanna byli nieco wcześniej. Zamówili kawę, a kiedy kelnerka zniknęła za załomem muru, obydwójce zaczęli mówić w tym samym momencie.

- Przepraszam - powiedział, kiedy przerwali w pół słowa. - Słucham cię.

Joanna spojrzała w okno. Ludzie przechodzili, śpiesząc w swoich sprawach, nieświadomi ich obecności za szybą, oddalonych zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Kiedy znowu zwróciła twarz ku niemu, jej spojrzenie było ciemniejsze, rysy poważniejsze niż zwykle.

- Nie możemy się więcej widywać - oświadczyła - i nie dzwoń do mnie do domu, nawet w sprawach służbowych, nikt inny nigdy tego nie robił. Mąż wczoraj wypytywał mnie o ciebie po tym telefonie.

Hagen pochylił się w jej stronę.

- Joasiu... - zaczął, ale ona przerwała mu gwałtownym ruchem ręki.

- Nic nie mów. Proszę cię. Długo się nad tym zastanawiałam. To był błąd, to nigdy nie powinno być się wydarzyć. Sama nie wiem, co mnie opętało. Mam czasem wrażenie, że właśnie się obudziłam, a to był tylko sen. Przyjemny sen - dodała z leciutkim uśmiechem - ale tylko sen.

Hagen chciał zaprotestować, powiedzieć jej, że to nie był żaden błąd, tylko początek czegoś fascynującego, kiedy zobaczył, że do lokalu wchodzi Paweł i zmierza prosto w ich stronę.

- Co się stało? Mam wszystko, tak jak pan mówił. - Poklepał się po widocznej wypukłości kamizelki kuloodpornej.

Hagen opowiedział im przebieg wydarzeń w Kosyniu, rozmowę z dyspozytorem i późniejsze wypadki na lotnisku. W miarę jak mówił, ból, jaki sprawiły mu słowa Joanny, słabł i w końcu skupił się całkowicie na tym, co ich czekało.

- Nie było cię w Świdniku - zwrócił się do Joanny.

- Barski zadzwonił do mnie rano i powiedział, że jest zmiana planów. Kiedy spotkaliśmy się w biurze, kazał mi czekać na wyjaśnienia i powiedział mi, co się stało, dopiero po wszystkim.

- Rozumiem. Sytuacja wygląda teraz tak, że Cieślik zbiegł i albo go kiedyś dorwiemy, albo nie. Jeleński nie żyje i, co gorsza, człowiek, który był kluczowym elementem w sprawie, czyli Włast, również nie żyje. Pozostał nam tylko ten Krężel. Próbuje się dowiedzieć, czego dotyczy śledztwo CBS, w którym zahaczyli o naszych podejrzanych, ale na razie miele się to wszystko gdzieś w biurokratycznych żarnach i nie wiadomo, kiedy z nich wyskoczy. Nasz niemiecki kontakt zidentyfikował tego Turka, którego samochody woziły dary do Polski, jako jedno z możliwych źródeł finansowania ekstremistycznych ugrupowań islamskich w Niemczech i szerzej w Europie Zachodniej. Jaki może mieć związek z Włastem i innymi, to trudno powiedzieć. - Przerwał na chwilę. Napił się kawy i wytarł usta serwetką. - Cały czas się zastanawiam, jaki interes ma Krężel w tym, żeby

oddawać się w nasze ręce i cokolwiek zeznawać. Być może będzie szukał ochrony przed wtyczką w policji, a potem powie nam, że właściwie to on tu tylko sprząta, o niczym nie wie, nie wiedział i w zasadzie to proszę się ode mnie odczepić.

- Co my na niego mamy?

- Nagrania rozmów z Cieślikiem, które pokazują wysoki stopień wprowadzenia w ciemne sprawy szefa. Ogólne podejrzenia.

- Wydaje mi się - zaczęła Joanna - że za tym musi kryć się coś jeszcze. Ci panowie werbują kontakty wysoko w policji i kto wie, gdzie jeszcze, zabijają ludzi bez mrugnienia okiem, a tu ten Krężel chce zeznawać, chociaż nie ma przeciwko niemu żadnych mocnych dowodów... Brak w tym logiki.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Nęcki patrzył zamyślony na ulicę, którą przemierzali ludzie okutani w płaszcze, Joanna mieszała powoli kawę. Hagen, zmęczony, przetarł oczy i wypił resztę espresso jednym haustem.

- Mam wrażenie - powiedziała Joanna cicho, tak cicho, że obaj pochyłili się w jej stronę, żeby dobrze słyszeć - że cały czas chodzimy tylko po obrzeżach. Nie dostrzegamy właściwej istoty sprawy. Widzimy zabitych, porwania, korupcję, ale nie rozumiemy, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Umyka nam pierwotna przyczyna, która legła u podstaw tych wszystkich zbrodni. Nadal brakuje nam motywu przez duże M.

- Masz absolutną rację - przytaknął Hagen. - Mam dokładnie takie same odczucia.

Nęcki skinął głową.

Krótką chwilę milczenia przerwał Hagen.

- Spójrzmy na to wszystko z punktu widzenia naszego przyjaciela Krężela Władysława, z którym za chwilę będziemy

mieli przyjemność. Jak on postrzega sytuację? Co skłoniło go do ucieczki i ukrycia się, przynajmniej do chwili, kiedy przemyślał sprawę?

Nęcki, odpowiedzialny za schwytanie dyspozytora, wziął pytanie do siebie.

- Dowiedział się, że Cieślik jest zagrożony. Ten ostatni musiał przekazać mu ostrzeżenie Słonia, które jak sądzimy, otrzymał. Ponieważ był z nim blisko związany, również poczuł się zagrożony, tak jak Jeleński. Teraz pewnie już wie, że Cieślik nam się wymknął, więc może naprawić błąd i zgłosić się do nas. Boi się wtyczki gangu w policji, bo Słoń nie ma pewności, czy Cieślik nie powiedział jednak czegoś Krężelowi. Jego obawy mogą być uzasadnione.

- Dlaczego jednak chce zeznawać?

- Może to błąd?

- Krężel nie wie, że Jeleński i Włast nie żyją. Bez względu na to powinien spodziewać się, że nie będą zeznawać. W ich interesie leżałoby uporczywe zaprzeczanie wszystkiemu. Szykowałby się nam proces mocno poszlakowy.

- Co my takiego zrobiliśmy, co powoduje, że Krężel sądzi, że wiemy więcej niż w rzeczywistości? - zapytał Hagen, patrząc im kolejno w oczy.

- Podśluchy. Nie wie, od kiedy i jakie telefony podsłuchiwaliśmy - powiedziała Joanna.

- Śledztwo CBS. Słoń mógł im o tym wspomnieć.

- Rozpoczęliśmy poszukiwania wszystkich ważnych postaci naraz, to sugerowało, że znamy wszystkie powiązania - wyliczali.

- Rozesłaliśmy listy gończe za jego kolesiami po mediach. To zawsze robi wrażenie.

- Byliśmy u niego w domu, przepytывaliśmy sąsiadów.

- Zablockowaliśmy i zaplombowaliśmy całą bazę i dokumentację firmy.

- Przejeliśmy wszystkie dokumenty Cieślika.
- Wypytywaliśmy o zaginionego kierowcę, o Sosnowskiego.
- Zaraz, zaraz. - Hagen przerwał im tę licytację pomysłów.
- Chwileczkę. - Jakieś światełko zapaliło się na chwilę w jego zmęczonej głowie i zaraz zgasło. Próbował sobie uświadomić, co to było.

Sosnowski, transporty, dokumenty, baza...

- Kręžel wie, że policja weszła do ich bazy transportowej, zatrzymała samochody, zablokowała magazyny. Sądzi, że znaleźliśmy to, z powodu czego uciekał i on, i Cieślik, i Włast. Do cholery jasnej! Myśli, że wiemy, co oni przywozili tutaj, a nie co robili z towarem wożonym na Ukrainę! Odpowiedź jest w pieprzonej bazie. Trzeba ją i te cholerne samochody dokładnie prześwietlić.

Joanna i Paweł spojrzeli po sobie. Ona uniosła lekko brwi.

- Być może - powiedziała bez przekonania. - Być może.

- Joasiu, potrzebuję nakaz przeszukania i ekipę na całą noc. Zanim się otrząsną i wykradną wszystkie dowody. Co zrobiliście z pracownikami?

- Wszyscy zostali wylegitymowani, niemieckim kierowcom zatrzymaliśmy paszporty, baza jest zaplombowana, pilnuje jej agencja ochrony.

- Nasza czy ich?

- Nasza. - Nęcki zrobił urażoną minę.

- Dobrze. - Hagen spojrzął na zegarek. - Zabieramy tego Krężela do prokuratury. Niech siada i spisuje swój życiorys, jak to bywało w NKWD. Niech na razie nikt z nim nie gada. W sali cały czas ma być dwóch strażników i ktoś od was. Dla pewności. My w tym czasie zwijamy tych zaufanych kierowców

Cieślika, którzy jeździli na Ukrainę i zabieramy się do bazy.

- To duży teren - zwrócił uwagę Nęcki.

- Chyba wiem, gdzie szukać. - Hagen mrugnął do niego porozumiewawczo. - A teraz chodźmy pokazać się ostatniemu bandycie, jaki nam pozostał. Mam nadzieję, że twój widok go przywabi. - Uśmiechnął się do Joanny z wysiłkiem. - Paweł, ty wyjdź pierwszy.

Kiedy za Nęckim zamknęły się drzwi, ujęła mocno jego przedramię i ścisnęła.

- To koniec - powiedziała twardo. - Pamiętaj. Ufam twojemu rozsądkowi.

Spojrzał na nią. Miał wrażenie, że w błękitnych, porcelanowych oczach odbijała się cała sala i ulica za oknem. Nie było tam tylko jego postaci.

Wieczorem tego dnia pusta zwykle o tej porze baza Trans-Ostu zaroїła się ludźmi. Zapalone latarnie i dodatkowe zestawy reflektorów zalewały ją białą, martwą poświatą. Każdy przechodzący przez plac włókł ze sobą wianuszek długich cieni, jak karykatury tych z piłkarskiego boiska. Z granicy pilnie ściągnięto doświadczonych celników znających rozmaite techniki ukrywania kontrabandy. Na placu stały cztery wozy, które w dniu akcji przyszły rano z Ukrainy, i trzy niemieckie tiry, które przywiozły kolejną partię darów.

Podczas gdy policja sprawdzała magazyny, celnicy i ludzie Lewickiego zabrali się do samochodów. Ciężarówki rozładowano. Pełne palety piętrzyły się teraz w rogu placu. Sprawdzano je jedna po drugiej.

Od bramy rozległo się szczerkanie. Z łazika wysiadł funkcjonariusz i szedł w ich stronę z dorodnym biskoptowym labradorem na smyczy.

- Sierżant Kawecki, straż graniczna - przedstawił się. - A to jest Maks. Maks jest wszechstronnie wytresowany, wykrywa wszystko to, co może wykryć pies.

- Zapraszamy. - Hagen wskazał na otaczający ich rozgarniasz. - Niech Maks się temu przyjrzy.

Pies zatrzymał się we wnętrzu pierwszej niemieckiej ciężarówki, do której wskoczył, mniej więcej pośrodku pustego już wnętrza. Zaszczekał i usiadł z pyskiem zwróconym w stronę sufitu. Sierżant poklepał go po głowie i pogłaskał za uszami.

- Co tam jest, Maksiu? - zapytał.

W niewielkim schowku wydrążonym w pokrywie izolacyjnej między wewnętrznym a zewnętrznym poszyciem naczepy znaleźli dokładnie zaklejoną paczuszkę. Ważyła około dwóch kilo. Rozpakowali ją ostrożnie. Laborant ze straży granicznej pochylił się nad nią nisko.

- Heroina - stwierdził celnik.

Lewicki skinął głową. Hagen odwrócił się od stołu, na którym sprawdzali zawartość paczki odkrytej przez Maksa. Wokół stali zgromadzeni ludzie, czekając na jego słowa.

- Mamy narkotyki - powiedział. - Jest tu ich pewnie więcej, więc rozmontujemy teraz te graty na pojedyncze śrubki.

Goście rozmawiali w dwóch czy trzech niewielkich grupkach. Sącząca się z głośników muzyka stanowiła na razie tylko tło konwersacji, ale że był to środek karnawału, niedługo pewnie rozpoczną się tańce. Hagen rozejrzał się, szukając wzrokiem gospodyni. Sylwia zgodziła się, by przyjęcie, którym Hagen zęgnął się z nimi, odbyło się w jej pustych pokojach i podeszła do swojej roli bardzo poważnie. Spędzili razem wiele czasu, przygotowując zimne zakąski i gorące dania. Teraz, ubrana w ciemnoszarą, lekko połyskliwą suknię, krążyła między gośćmi, dbając, by nikomu niczego nie brakowało. Pochwyciła jego spojrzenie i lekko skinęła głową. Wszystko jest pod kontrolą. Wyglądała doskonale i pozornie miała się świetnie, ale wiedział, bo podzieliła się z nim tą informacją, że psychoterapia idzie jej opornie, że przed nią jeszcze długa droga, zanim zrzuci z siebie ciężar tych godzin, kiedy była zakładniczką Własta.

- A więc teraz już definitywnie pan nas opuszcza - odezwał się obok niego Lewicki i Hagen odwrócił się. - Trudno uwierzyć, że zaczęliśmy pracować nad tą sprawą w październiku. Tyle się wydarzyło, że mam wrażenie, jakby minął co najmniej

rok. - Wszyscy wokół pokiwali głowami. - Drugiego takiego morderstwa nie będziemy tu mieli przez co najmniej kilkadziesiąt lat.

Hagen chciał coś odpowiedzieć, ale znowu rozległ się sygnał domofonu i przeprosił ich, by wyjść do przedpokoju i nacisnąć przycisk otwierający drzwi do klatki schodowej. Po chwili na progu pojawiła się kolejna para pokryta topniejącymi płatkami śniegu. Joanna podała mu chłodną, szczupłą dłoń.

- Dobry wieczór. Panowie, poznajcie się: mój mąż - inspektor Hagen.

Mąż Joanny był wysoki, barczysty, na twarzy miał krótki, kilkudniowy rudawy zarost. Uścisnęli sobie dłonie. Hagen odebrał od nich płaszcze i zaprosił dalej.

- Zaraz do was dołączę - powiedział.

Za plecami słyszał głośne okrzyki powitania, kiedy nowi goście wchodziłi do pokoju.

- Jesteśmy już chyba w komplecie. - Żona komisarza Holowni rozglądała się wokół. Wszyscy siedzieli na czym się tylko dało lub stali obok z kieliszkami w rękach. - Ponieważ jest tu tak wiele osób niezwiązanych bezpośrednio ze śledztwem, a większość rozmów zdaje się go dotyczyć, to czy moglibyśmy w ramach wyrównywania szans usłyszeć wreszcie całą tę historię od początku do końca?

- No właśnie - poparł ją mąż Joanny. - Niech wreszcie się wyjaśnią te wszystkie tajemnicze nocne telefony i inne dziwne historie.

Wszyscy się uśmiechnęli. Joanna awansowała niedawno na miejsce swego byłego szefa, który nie podniósł się już po zarzutach współpracy z gangiem przemycającym samochody. Wiadomo było, że bardzo pomógł jej sukces sprawy Wygnowskiego. Była teraz właściwie zastępcą Barskiego, którego ta sama

sprawa utrzymała na stanowisku. W prokuraturze mieli za co być wdzięczni biskupowi.

- Wydaje się, że to właściwy moment, żeby nasz gospodarz wygłosił swoją wielką mowę - powiedział Lewicki.

- Słusznie. Niech pan inspektor opowie nam, jak to było. - Narzeczona Nęckiego, wysoka blondynka w głęboko rozciętej granatowej sukni, zasalutowała mu kieliszkiem.

Uśmiechnął się do niej.

- Niech pan się nie da prosić - poparła ją pani komisarzowa. - Należy nam się słowo wyjaśnienia.

- Proszę bardzo. - Hagen nalał sobie wina, a wokół zrobiło się cicho. - Cała ta historia, w którą my wkroczyliśmy ósmego października w Wólce Kozłowieckiej, tak naprawdę rozpoczęła się dobrych kilka lat wcześniej. Konkretnie osiem lat wcześniej, kiedy młody, dobrze zapowiadający się księgowy poznał na weselu koleżanki Małgosię Daniszewską i zakochał się bez pamięci. Po krótkim czasie znajomości młodzi postanowili się zaręczyć. Jediną kością niezgody było to, gdzie będą mieszkać. Włast pochodził z Warszawy, jego ukochana urodziła się w Hrubieszowie, ale mieszkała w Lublinie. Była bardzo zżyta z rodzicami i nie chciała się z nimi rozstawać. Warszawa jej nie pociągała. Młody, zakochany człowiek uległ jej i przeniósł się tutaj. Później miał tego bardzo żałować. Tymczasem znalazł pracę w jednej z firm i ze znacznie gorszą pensją, ale za to z młodą żoną u boku, rozpoczął nowe życie. Poznał wtedy swojego szwagra, Mariana Cieślaka, który przyjechał na ich ślub z Niemiec, gdzie pracował jako kierowca w jednym z przedsiębiorstw transportowych. Jego bezpośrednim przełożonym był tam przez jakiś czas Ugur Tepe, potomek tureckich imigrantów, robiący szybką karierę w firmie swojego stryja. Kiedy

Cieślik i Włast pili bruderszaft na przyjęciu weselnym, Tepe był już właścicielem co najmniej dwóch firm transportowych i cichym udziałowcem w dużej spółce logistycznej. Mijał czas i ograniczenia związane z poziomem zarobków dostępnych w Lublinie coraz bardziej dawały się Włastowi we znaki. Jego koledzy ze studiów robili karierę w stolicy, zostawali dyrektorami finansowymi w wielkich spółkach, zajmowali eksponowane stanowiska w bankach, zarabiali poważne pieniądze. Włast był tutaj człowiekiem spoza układu. Niełatwo było mu się przebić, a i możliwości były znacznie skromniejsze. Na tym tle zaczęło dochodzić do konfliktów z żoną. Wreszcie firma, w której pracował, zbankrutowała i znalazł się na lodzie. Zażądał od żony, żeby natychmiast przenieśli się do Warszawy. Wtedy teść, poprzez sieć dawnych układów towarzyskich, załatwił mu pracę w Caritasie, na stanowisku księgowego. Tam szybko doceniono jego kwalifikacje i umiejętności. Awansował, zostając dyrektorem finansowym. Pogłaskało to jego próżność, ale nie oszukujmy się, nie zarabia się kokosów, pracując w instytucji dobroczynnej. Włast miał duże aspiracje finansowe. Pożądał dużego, luksusowo urządzonego domu z wielkim ogrodem, wyjazdów wakacyjnych do egzotycznych krajów, chciał jeździć nowoczesnym samochodem terenowym. Nie widział żadnych szans na realizację tych marzeń, jeśli miałby pozostać w swej ówczesnej pracy. W Lublinie nie miał też innych perspektyw. Rodziło to w nim głęboką frustrację, której dawał wyraz podczas spotkań w rodzinnym gronie, rozmawiając ze szwagrem, z którym udało mu się zaprzyjaźnić, pomimo wielu istotnych różnic, jakie ich dzieliły. Kiedy biskupem pomocniczym diecezji

został ksiądz Wygnowski, w działalności instytucji charytatywnych zaczęły następować zmiany. Ich praca nabierała coraz większego rozmachu, a ponad dwa lata temu rozpoczęła się wielka akcja pomocy dla parafii unickich na Ukrainie. Po silnych tarciach, jakie to spowodowało, pomocą objęte zostały też wybrane parafie prawosławne i zasięg akcji przesunął się znacznie na wschód. Nie wiemy, jak długo przedtem Cieślik współpracował z Tepem w zakresie wykraczającym poza zwykły transport towarów. Niemniej właśnie dwa lata temu przekazał Włastowi jego propozycję. Brzmiała ona tak: przetarg na transport darów wygra niedawno utworzona firma transportowa Trans-Ost. Przedstawi ona niepowtarzalną ofertę: dary na Ukrainę będą przewożone za darmo. Jadąc z powrotem, kierowcy będą ładowali normalny, komercyjny towar, który będzie rozładowywany w Polsce, w ten sposób pokrywając koszty własne. Jeżdżąc w obie strony, będą korzystali z udogodnień, jakie wynegocjowano, przygotowując całą operację. Szybkie odprawy na dodatkowym pasie, pełne zrozumienia traktowanie przez obsady obu stron przejść granicznych. Samochody zostały wyleasingowane w firmie, w której większość kapitału należała do Ugura Tepego. Do bazy Trans-Ostu dary dostarczały różne firmy transportowe z zachodniej Europy, w tym te należące do Turka lub z nim powiązane. Sedno projektu leżało w tym, że Cieślik dzięki swym kontaktom na Ukrainie miał zapewnić współpracę z kanałem przerzutowym narkotyków, ludzi i broni, biorącym początki w Afganistanie i w Złotym Trójkącie Kambodży, Birmy i Laosu, prowadzącym przez Turkmenistan, Azerbejdżan, Czeczenię i Gruzję, a kończącym się w portach na wybrzeżu Morza Czarnego, głównie w Odessie.

Wielka akcja pomocy humanitarnej opracowana przez Wygnowskiego i Włastę miała być idealną przykrywką dla najtrudniejszego i najbardziej ryzykownego kroku - przetrzucenia towaru przez granicę Unii Europejskiej. Tak, to była ta wielka życiowa szansa, na którą czekał zastępca dyrektora. Szansa, by w krótkim czasie zarobić wystarczająco dużo pieniędzy w celu zrealizowania wszystkich planów i zamierzeń. Aby raz na zawsze zmienić swój status majątkowy, by nigdy więcej nie mieć już finansowych trosk. Kwestią sporną pozostaje, czy szwagrowie wiedzieli o tym, jaki użytek robi Tepe z pieniędzy płynących przygotowanym przez nich kanałem. Ja osobiście uważam, że nie. Działania terrorystyczne, budowanie i finansowanie mużułmańskich siatek fundamentalistycznych w Europie Zachodniej, głównie w Niemczech i we Francji, to operacje ściśle tajne, rozgrywające się w hermetycznych, zamkniętych środowiskach, z którymi Cieślik i Włast nie mieli nic wspólnego. Sam Tepe został powiązany z kołami islamskiej prawicy dopiero po wieloletnim, żmudnym rozpracowywaniu pajęczyny kontaktów łączących środowiska mużułmańskie w Unii Europejskiej. Co do procederu przetrzutu przez granicę... Na przejściach pracowali ludzie, którzy byli znajomymi Cieślika z Chełma lub jego żony z Hrubieszowa. Te kontakty zostały teraz zacieśnione. Do dziś nie wiemy, jak wielki udział w bezproblemowym funkcjonowaniu akcji przemytniczej miały układy, jaki pieniądze, a jaki autorytet Kościoła, który oficjalnie był właścicielem transportów. Wszystko toczyło się zgodnie z planem i na tajnych kontaktach oraz w przysłowiowych skarpetkach gromadziły się duże sumy za pośrednictwo. Cieślik, jako właściciel

sporej firmy transportowej, będąc w stanie znacznie łatwiej uzasadnić wzbogacenie się, zaczął już z nich nawet korzystać. Właściciel dopiero przymierzał się do tego etapu. Kupił działkę i zarejestrował ją na teściów, kupił drugi samochód, też zarejestrowany na ojca żony, byli z małżonką na Malediwach, o czym nikomu nie wspomnieli, mówiąc, że pojechali do Chorwacji... Obaj panowie postanowili też zadbać o bezpieczeństwo. Spośród różnych kontaktów, jakie nawiązali, a nie ulega wątpliwości, że mieli ich więcej niż jeden, jak dotąd stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość istnienie wtyczki w komendzie wojewódzkiej. Człowieka o kryptonimie Słoń. Niestety, do dziś nie udało się nam rozszyfrować, kto to był. Czy raczej jest. Pracuje nad tym cały czas wydział wewnętrzny, więc Słoń nie będzie mógł spać spokojnie. Jeżeli Cieślik za jakiś czas wpadnie w nasze ręce, co jest więcej niż prawdopodobne, to założę się, że sprzeda go w ramach negocjacji z wymiarem sprawiedliwości. Tak czy inaczej sądzę, że jego dni w policji, a może i na wolności, są już policzone.

- Czy to nie okropne, taka świadomość, że codziennie być może ocieracie się państwo o niego? - Narzeczona Nęckiego aż wzdrygnęła się z odrazy.

- Ohydne - powiedział cicho Lewicki. - Na razie jednak nie można na to poradzić. Sądzę jednak, że inspektor ma rację. Prędzej czy później będziemy go mieli.

- Przepraszam, że przeszkodziłam. - Dziewczyna uśmiechnęła się do Hageny.

- Nic nie szkodzi, a wracając do naszych baranów, to, jak mówiłem, czas mijał, a wszystko toczyło się zgodnie z planem. Do momentu, kiedy tuż przed wyjazdem kolejnego konwoju

jeden z zaufanych kierowców złamał nogę. Cieślik wyznaczył w jego zastępstwie Henryka Sosnowskiego, doświadczonego pracownika, swojego wieloletniego znajomego, sąsiada z Chełma zresztą. Transport odbył się bez przeszkód, ale w trakcie tego wyjazdu Sosnowski zauważył coś, co sprawiło, że po powrocie postanowił skontaktować się z biskupem Wygnowskim, o którym wszyscy wiedzieli, że patronuje całej akcji.

- Dlaczego właśnie z nim?

- Sądzę, że jako duchowny był osobą publicznego zaufania, a Sosnowski, człowiek głęboko wierzący, nie miał żadnych podstaw, by to zaufanie kwestionować. Jako osoba z zewnątrz, niezaangażowana w działania operacyjne związane z akcją pomocy, mógł po prostu nie wiedzieć o istnieniu takich osób jak Włast. Biskupa znali wszyscy. Zatem po mszy Sosnowski spotkał się z Wygnowskim w zakrystii katedry i długo rozmawiali.

- Co mu powiedział?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Albo przypadkowo znalazł ukryte narkotyki lub broń, lub może ludzi, o co byłoby najłatwiej, albo musiał zauważyć jakieś działania, na przykład jak ukrywali przemyt. Sądzę, że widział lub znalazł coś, co sugerowało działania przestępcze, nie było jednak ich bezpośrednim dowodem. Nie przyniósł na przykład biskupowi paczki z heroiną czy semteksem. Musiały to być bardzo poważne podejrzenia, ale nieoparte dowodami, bo inaczej biskup nie wyjaśniałby ich we własnym zakresie, tylko po prostu poszliby na policję. Niestety, Wygnowski zrobił rzecz najgorszą z możliwych. Zadzwoił do osoby odpowiedzialnej za organizację przewozów, żeby zgłosić powstałe wątpliwości. Zadzwoił do Własta. Sądzę, że nie miał pojęcia o powinowactwie łączącym

dyrektora z, szefem firmy transportowej. Do tej pory nie udało nam się znaleźć nikogo w kurii ani w Caritasie, kto by o tym wiedział. Biskup nie miał żadnych powodów, by podejrzewać wieloletniego współpracownika. - Hagen przerwał na chwilę, napił się wina.

- Sądzę, że Włast powiedział mu wtedy, że musi osobiście porozmawiać z kierowcą, a w tym czasie zadzwonił do Cieślika i do Jeleńskiego. Ten ostatni był synem człowieka, z którym Cieślak wszedł w bliską komitywę w więzieniu. Stary Jeleński odsiadywał kolejny wyrok, a młody pracował dla gangu. Włast zadzwonił potem do Sosnowskiego i umówił się z nim na spotkanie, na które przyszedł zapewne razem z Jeleńskim. Co się stało dalej, możemy tylko domniemywać. Ciało Sosnowskiego nie odnaleźliśmy do tej pory. Biskup Wygnowski stanowił jeszcze większe zagrożenie. Gdyby dowiedział się o zniknięciu kierowcy, po tym jak ten umówił się z Włastem, to wszyscy byliby w wielkim niebezpieczeństwie. W tej sytuacji Wygnowskiego trzeba było zabić. W poniedziałek spotkali się podczas wizyty biskupa w stołówce Caritasu i zapewne umówili na wieczór. Sądzę, że ustalili całkowite milczenie o sprawie, dla dobra ciągłości akcji charytatywnej i dla dobra ewentualnego przyszłego śledztwa. Po zakończeniu spotkania w seminarium Wygnowski wyszedł na ulicę, gdzie stał zaparkowany jego samochód. Tam czekali już na niego Włast z Jeleńskim. Silnym ciosem w tył głowy pozbawili go przytomności, załadowali do pożyczonego od znajomego samochodu dostawczego i zawieźli do Wólki Kozłowieckiej. Ten dom na odludziu Włast znalazł, kiedy jeździł na działkę do teściów, położoną dwa kilometry dalej. Nawiasem mówiąc, w tym samochodzie, do którego niedawno

dotarliśmy, ślady krwi były szalenie skromne, prawie niewykrywalne, nie to co u naszego prałata.

- Wicie może państwo, kto wymyślił tę satanistyczną oprawę, o której tyle się swego czasu rozpisywały gazety?

- Włast. Sądzę, że to Włast był autorem pomysłu. Ściągnął w domu z Internetu „Biblię Szatana”, a potem wydrukował ją w pracy. Na pewno on wymyślił i zapisał krwią tę kabalistyczną łamigłówkę na ścianie. Znaleźliśmy u niego trochę literatury dotyczącej magii i różnych kultów, nic, czego nie można by kupić w osiedlowej księgarni. - Przerwał na chwilę.

- Wydaje mi się też, że wszystkie okaleczenia ciała biskupa wykonał Jeleński. Materiały, jakie zdobyliśmy na jego temat, ukazują go jako prostego bandziora, człowieka sprawnie posługującego się pięścią, ale gorzej głową. Ewidentnie miał w sobie rys sadystyczny.

- Czy mogło im się wydawać, że upozorowanie mordu rytualnego to rzeczywiście dobry pomysł? Naprawdę wierzyli, że policja to kupi?

- Prawie im się udało. Zdecydowanie skierowali śledztwo na fałszywe tory. Ale tylko prawie. Gdyby nie to, że do gry włączył się Cichecki, kolejny księgowy w tym szacownym gronie, zapewne dotarlibyśmy do nich szybciej. Kiedy okazało się, że strzelanina na starówce i schwytanie Cicheckiego nie zakończyły śledztwa, a dodatkowo Włast zorientował się - a może pomógł mu w tym Słoń, nie wiemy - że policja zaczyna bardzo interesować się osobami odwiedzającymi sąsiadów biskupa, w czasie kiedy popełniono morderstwo, musiał się domyślić, że przejrzelśmy jego grę. Z racji stanowiska znał wiele plotek krążących w środowisku księży. Wiedział, co mówiło się o księdzu Chołodeckim, bliskim współpracowniku biskupa, którego już raz użył jako pretekstu do dostania się do mieszkania

Wygnowskiego i podrzucenia materiałów. Nie wiemy, pod jakim pretekstem przyszedł do niego tamtej nocy. Nie ma to już teraz żadnego znaczenia. Podejrzewam, że i tym razem poszli we dwóch. Po wejściu na podwórze zniszczyli wszystkie punkty świetlne, by maksymalnie opóźnić odkrycie zwłok. Postępowali z pełną premedytacją. Ogłuszyli Chołodeckiego, napisali list pożegnalny i wyrzucili go na podwórko głową w dół, licząc, że upadek z piątego piętra zatrze wszystkie ślady.

- Liczyli słusznie. Jak pamiętam, sekcja nie wykazała nic podejrzanego.

- Tak było. I o ile w wypadku mordercy księdza Scarpiego można było mieć istotne wątpliwości, czy Cichecki był również zabójcą biskupa, o tyle tu mieliśmy dowód koronny. Dobrowolne przyznanie się do winy. Śmierć Chołodeckiego i jego wyznanie było idealnym rozwiązaniem, które pojawiło się w idealnym czasie. Było na rękę dosłownie wszystkim. W całym zespole śledczym znalazła się tylko jedna osoba, która żywiła jakieś poważniejsze wątpliwości. - Hagen teatralnym gestem wskazał Sylwię i wszyscy zaczęli klaskać. Gospodyni zaczerwieniła się, ale i uśmiechnęła do Hageny. Najwyraźniej miała się coraz lepiej. - Kiedy Sylwia nabrała pewności, że Chołodecki nie był mordercą, zaczęła od tego, że spróbowała przekonać o tym swojego aktualnego wtedy szefa, czyli mnie. Nie było to łatwe, ale w końcu wystąpiłem na głównej naradzie z jej wersją wypadków jako własną. Nie spotkało się to z aprobatą. Stałem się czarną owcą, ostatnim blokującym podjęcie właściwej decyzji. Wieść o tym rozeszła się po komendzie i zapewne dowiedział się o tym również Słoń. Następnego dnia rano udało mi

się przeżyć tylko dzięki butelce wody mineralnej. Byłbym gotów postawić całą swoją nagrodę w zakład, że to Jeleński strzelał wtedy z obrzyna. Ten zamach, oprócz tego, że śmiertelnie mnie przeraził, utwierdził mnie w przekonaniu, że jesteśmy na właściwej drodze. Od tego momentu krąg podejrzanych zaczął się zawężać, aż wreszcie zostali w nim sami bandyci. Czasem lubię sobie wyobrażać, że był to ten sam krąg, który wykreślili wtedy w nocy wokół krzesła z przywiązanim nagim ciałem Wygnowskiego. Ten sam, który jego krwią wypisali na ścianie.

- Umilkł. - Resztę państwo znacie, wszystko było w gazetach.

- Lepiej nie zaczynać z siłami ciemności, bo nigdy nie wiadomo, jaką burzę się rozpęta - powiedział Lewicki.

Wszyscy skinęli głowami, w pokoju znowu podniósł się gwar rozmów.

- Proszę państwa. - Żona komisarza zastukała widelcem w kieliszek. - Żegnamy się dzisiaj z inspektorem Hagenem. Mamy nadzieję, że wywozisz z Lublina same dobre wspomnienia.

- Oprócz zamachu na swoje życie - zaznaczył Hołownia.

Wszyscy się roześmieli.

- I oprócz tej rozróby na starówce, gdzie was o mało nie pozabijał ten wariat, oczywiście. Poza tym same miłe chwile, czy nie mam racji? - Pani komisarzowa patrzyła na niego filuternie.

- Niezapomniane - odparł Hagen. - Niezapomniane.

- Zatem twoje zdrowie i jak to mówią, do zobaczenia w lepszych czasach.

- Zdrowie! - zabrzmiał chór głosów i wszyscy spełnili toast.

- Sądzę, że jest to dobra okazja, żeby wypić za zasłużoną promocję naszej kochanej Joasi. - Żona komisarza była w znakomitym nastroju i zdecydowanie przejęła ster imprezy.

Wypili za Joannę. Potem Hagen wzniósł toast za zdrowie Hołowni, niech szybko wraca do pełni sił. Potem znów wypili za Hagena, za jego przyszłość po powrocie do komendy głównej.

Potem rozpoczęły się tańce i tu prym wiodła również pani komisarzowa, która zdecydowanym ruchem wyciągnęła Hagena na parkiet. Rozmawiali właśnie o dzieciach, ich postępach w szkole i nadchodzących feriach, kiedy zapytała go, czy słyszał ostatnią nowinę towarzyską.

- Nie mam pojęcia, która jest ostatnia. - Roześmiał się.

- Ta jest świeżutka, można powiedzieć. Sprzed pół godziny.

- No to pewnie nie znam. Ostatnie pół godziny występowałem w charakterze radia.

Pani Zofia pochyliła się tak, że jej usta znalazły się tuż przy jego uchu.

- Joanna jest w ciąży - szepnęła. Hagen spojrzał na nią zdziwiony.

- To jakaś tajemnica?

- Na razie jeszcze tak. Dziś byli u lekarza, robili USG. Wszystko wygląda doskonale.

- Skoro to tajemnica, to czemu mi o tym mówisz?

- Musiałam się tym z kimś podzielić, a ty nie jesteś przecież pleciugą, prawda?

- Chyba nie.

- To wielka radość dla nich, a i dla nas, ich przyjaciół. Od dawna myśleli o dziecku, ale jakoś się nie udawało. Byli u

różnych lekarzy, tu w Lublinie i w Warszawie, ale dotychczas nie było efektu, a tu proszę, jak grom z jasnego nieba. Ale czasem tak bywa. Z tym to nigdy nic nie wiadomo. Nasi znajomi zdążyli zaadoptować dziewczynkę z domu dziecka, bo nikt nie dawał im żadnych szans, a po roku byli już w ciąży. Teraz mają trójkę, razem z tą adoptowaną. Tak, tak - potwierdziła. - Nigdy nie wiesz, kiedy ci się to przydarzy. Najważniejsze to nigdy nie przestawać próbować.

Roześmieli się i rozmowa potoczyła się w innym kierunku.

Podszedł potem do Joanny, kiedy stała przez chwilę sama, bo teraz jej męża zagospodarowała niestrudzona pani Hołownia.

- Gratuluję - powiedział cicho.

- Czego? - Spojrzała na niego zdziwiona, bo gratulacje z powodu awansu złożył jej kilka dni wcześniej.

- Tego. - Jego oczy spoczęły przez chwilę na jej brzuchu i zaraz powróciły do twarzy.

Joanna spojrzała w kierunku tańczących, na partnerkę, którą jej mąż trochę nieporadnie unosił w ramionach.

- To plotkara jedna. - Ale w jej głosie nie było złości.

- Na kiedy masz termin?

- Na początek sierpnia.

Hagen w myślach przeliczył szybko miesiące.

- Pozwolisz, że czasem zadzwonię i zapytam o twoje zdrowie?

- Zawsze miło będzie cię usłyszeć.

- A, tu jesteście. - Usłyszał zza pleców głos szefa laboratorium i odwrócił się. - Zauważyłem, że nie wspomniał pan ani słowem o tym dyspozytorze z Trans-Ostu, który sam oddał się w nasze ręce.

- Krężel jest już teraz poza naszą jurysdykcją. Twierdzi, że nie wiedział nic o morderstwach, a my nie mamy żadnych dowodów, że było inaczej, ma natomiast wiele do powiedzenia na temat tego, jak funkcjonował mechanizm przemytu. Przejął go od nas Europol i, kto wie, może przyznają mu status świadka koronnego. Będzie to dla nich duży krok w kierunku rozbitcia całej tureckiej siatki i odcięcia tego źródła finansowania terrorystów. Tyle że to już będzie się działo obok nas. Wywiad, CBŚ, ABW, Europol, CIA. My tylko kopnęliśmy ten pierwszy, mały kamyczek.

- Czemu tak stoicie? - Sylwia miała rumieńce na policzkach i błyszczące oczy. Włost jej nie pokonał. To on gnął teraz pod skorupą zamarznątej ziemi. Ona najwyraźniej świetnie się bawiła. - Chodźmy tańczyć, w końcu jest karnawał!

Pani Maria była szczerze wzruszona kwiatami i całym pożegnaniem. Rozstawała się z nim z żalem. Mężczyzna w domu to w końcu mężczyzna. Nawet lokator. Ucałował jej dłoń i jeszcze raz się pożegnał. Samochód stał już prawie spakowany, teraz poszedł jeszcze wziąć komputer i rozejrzeć się po raz ostatni po pokoju, czy czegoś w nim nie zostawił. Przechodząc korytarem, spojrzął na drzwi do pokoju Ewy. Zaczęły się ferie i znowu był on pusty. Może to i lepiej, pomyślał. Każda forma pożegnania miałyby w tym wypadku trochę zenujący charakter. Schował laptopa do bagażnika i wsiadł do wozu. Zabierał stąd duży ładunek wspomnień. Na razie prawie wszystkie miały gorzki posmak, ale można było mieć nadzieję, że czas sprawi, iż staną się kiedyś przyjemniejsze dla podniebienia. Zapalił silnik.

Na trasie wylotowej na Warszawę, na przystanku autobusowym zobaczył z daleka samotną kobiecą postać machającą ręką. Spojrzał na termometr: minus siedem stopni. Zwolnił i zatrzymał się obok okutanej w płaszcz i szalik szczupłej sylwetki. Otworzył okno po stronie pasażera i kobieta pochyliła się.

- Do Warsza... To pan!

Ten głos...

- Z kim mam przyjemność?

Szalik zniknął i Hagen widział teraz w oknie uśmiechniętą „twarz Elżbiety Świąckiej.

- Ach, to ty... Wsiadaj...

Wrzuciła torbę podrózną na tylne siedzenie i usiadła obok niego. Ruszyli. Rozpięła płaszcz, zdjęła szalik i czapkę. Jej długie ciemnoblonde włosy rozsypały się na ramiona.

- Uciekłaś z domu?

- Nie, jadę na ferie do kuzynki, do Warszawy. Mama dała mi pieniądze na autobus, ale pomyślałam, że oszczędzę i pojedę stopem. I udało się. Cieszę się, że to pan. Trochę się bałam tak jechać sama, nie wiadomo z kim.

Hagen przypomniał sobie jej urywany szloch nagrany wtedy, jesienią, przez Sylwię. Wyznanie, że zdecydowanie woli starszych mężczyzn, i diagnozę, że poszukiwała w kochanku substytutu ojca. Spojrzał na nią kątem oka. Miała czysty, klasyczny profil, rysy i figurę modelki. Tchnęła świeżością i młodością.

- Ile ty masz w zasadzie lat, dziecko? - zapytał.

Dwoje dużych, jasnoszarych oczu spoczęło na jego twarzy.

- W zeszłym tygodniu skończyłam siedemnaście. Jestem już prawie dorosła.

- O tak - powiedział Hagen - jesteś dorosła.

Podkręcił lekko ogrzewanie i mocniej nacisnął pedał gazu. Biała chusta zaśnieżonych pól rozpruła się przed nimi, ukazując czarną podszewkę szosy. Włączył radio i nastawił stację z dynamiczną muzyką. Poczł zapach jej perfum. Wracł do domu.